



RATUJĄ ŻYCIE, ALE SAMI SĄ CZĘSTO BEZRADNI W OBLICZU ŚMIERCI

NOAH
GORDON

LEKARZE



«Książnica»

Noah Gordon

Lekarze

Tytuł oryginału The Death Committee

Noah Gordon.

Urodził się w Worcester w stanie Massachusetts, kształcił w prywatnych szkołach tego miasta, potem studiował na uniwersytecie w Bostonie, gdzie ukończył dziennikarstwo (1950) oraz filologię angielską (1951). Przez kilka lat pracował w jednym z nowojorskich wydawnictw jako redaktor, później był reporterem w „Boston Herald” i wydawcą czasopism medycznych („Psychiatry Opinion”, „The Journal of Human Stress”). Zrezygnował z dziennikarstwa, by napisać swą pierwszą powieść: Rabina. Sukces przerósł jego oczekiwania: na prestiżowej liście bestsellerów „New York Timesa” książka utrzymywała się przez 26 tygodni. Dużym powodzeniem cieszyły się także następne jego powieści: Lekarze (The Death Committee) i Diament z Jerozolimy (Jerusalem Diamond), a Medicus (The Physician) i Szaman (Shaman) przyniosły mu międzynarodową sławę i wiele nagród (m.in. nagrodę J.F. Coopera przyznawaną przez Stowarzyszenie Historyków Amerykańskich „za wysoki poziom literacki fikcji historycznej, łączącej talent historyka z kunsztem pisarza”).

Doktorowi Miludowi Shadiemu oraz personelowi Kliniki Ortopedii Dziecięcej AM w Poznaniu serdeczne podziękowania składa tłumacz z córką Julią.

Raz jeszcze dla Lorraine: dziewczyny, którą poślubiłem, i kobiety, którą się stała.

W niniejszej książce wykorzystano fragmenty utworów W. Szekspira w przekładzie M. Słomczyńskiego oraz fragment wiersza E. Browning w przekładzie L. Marjańskiej.

Człowiek daje pieniądze lekarzowi. Być może zostanie wyleczony. Być może nie zostanie wyleczony. Talmud, Traktat Ketubah: 105.

Rezydent wchodzi z jednej strony tunelu, coś dzieje się w środku, a po sześciu albo siedmiu latach, wyłania się z drugiej strony jako chirurg. „Medical World News” z 16 czerwca 1967 roku.

PODZIĘKOWANIA.

Kiedy pisałem tę powieść, wiele osób okazało mi życzliwość. Lekarze, którzy znosili moje nie kończące się pytania, zachęcali mnie do pracy i służyli pomocą, nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za ewentualne błędy, jakie zakradły się do tej książki. Zawsze bardzo ich ceniłem, teraz dodatkowo jestem im głęboko wdzięczny.

Pragnę serdecznie podziękować doktorowi Andrew P. Sackettowi, pełnomocnikowi rządowemu w Bostońskim Wydziale Zdrowia i Szpitali, oraz doktorowi Jamesowi V. Sackettiemu, jego zastępcy, dzięki którym odbyłem wolontariat w Szpitalu Miejskim w Bostonie jako technik chirurgiczny, pielęgniarce dyplomowanej pani Mary Lawless, siostrze przełożonej bloku operacyjnego Szpitala Miejskiego, za to, że nauczyła mnie, jak należy się zachowywać na sali operacyjnej, a także panu Samuelowi Slattery'emu, dzięki któremu doświadczenia naukowe stały się dla mnie niezapomnianym przeżyciem.

W odpowiedzi na nasuwające się nieuchronnie pytanie zapewniam, że Szpital Suffolk County General to jedynie wytwór wyobraźni i podobnie jak występująca w powieści uczelnia medyczna nie jest wzorowany na żadnej tego typu instytucji.

Jestem wdzięczny doktorowi Lawrence'owi T. Geogheganowi, byłemu naczelnemu rezydentowi chirurgicznemu Szpitala Miejskiego w Bostonie, za to, że wyraził zgodę na mój udział w popołudniowych obchodach, jak również doktorowi Mayerowi Katzowi, który zajął miejsce doktora Geoghegana, kiedy ten został skierowany do Wietnamu, a nieco później sam poszedł w jego ślady.

Za zgodę na uczestnictwo w posiedzeniach Komisji Zgonów w ich szpitalach dziękuję ordynatorowi Oddziału Chirurgii Transplantacyjnej szpitala Massachusetts General doktorowi Paulowi Russelowi, doktorowi Samuelowi Progerowi pełniącemu obowiązki lekarza naczelnego w szpitalach New England Medical Center, doktorowi Ralphowi A. Deterlingowi Jr., naczelnemu chirurgowi tychże szpitali, a jednocześnie szefowi Pierwszej Pomocy Chirurgicznej Szpitala Miejskiego w Bostonie. Ponieważ tak wiele osób służyło mi pomocą, a pamięć oraz notatki mogą okazać się zawodne, przepraszam wszystkich tych, których nazwiska powinny były pojawić się na tej stronie, lecz się nie pojawiły. Za pomoc i współpracę chciałbym podziękować doktorowi Paulowi Dudleyowi White'owi, profesorowi Robertowi Kastenbaumowi, profesorowi Lesterowi F. Williamsowi, doktorowi Anthony'emu

Monaco, doktorowi Donowi R. Lipsittowi, doktorowi Carlowi Bearse'owi, profesor Miriam Schweber, doktor Blaise Alfano, doktorowi Robertowi M. Schlesingerowi, doktorowi Benjaminowi E. Etstenowi, doktorowi Richardowi A. Morelliemu, rabinowi Hilel Rudavsky'emu, panu Patrickowi R. Carrollowi, a także prokuratorowi Charlesowi J. Durniowi.

Doktor Richard Ford, patolog szpitala Suffolk County, który przed wielu laty z niezwykłym taktem i wrażliwością pozwolił młodemu wówczas reporterowi asystować przy sekcji zwłok, teraz ponownie zgodził się, bym stanął u jego boku, i udowodnił, że pomimo upływu czasu jego cierpliwość i zdolności pedagogiczne są nadal niezrównane.

Specjalne podziękowania należą się doktorowi Jackowi Matloffowi i doktorowi Johnowi Merrilowi, którzy poświęcili mi cenny czas i służyli wiedzą, a także, wraz z doktor Susan Rako, zgodzili się zrecenzować maszynopis tej książki.

Za pomoc w przygotowaniu maszynopisu wdzięczny jestem pannie Lise Ann Gordon, a za wsparcie personelowi bibliotek publicznych we Framingham, biblioteki State College Library we Framingham, Bostońskiej Biblioteki Medycznej oraz Biblioteki Medycznej imienia Francisa A. Countwaya. Za bezustanne i bezwarunkowe wsparcie oraz cenne rady dziękuję swojej agentce literackiej, pannie Patricii Schartle, oraz swemu wydawcy, panu Williamowi Goyenowi. Oni wraz z Lorraine Gordon umożliwili mi napisanie tej książki.

Noah Gordon, 1966-1968.

- Odlewał się - wyjaśnił, a Spurgeon wyobraził sobie robotnika opróżniającego pęcherz i czerpiącego ponurą satysfakcję z faktu, że chrzci budynek, w którego powstawaniu uczestniczy. Oczywiście wyobraźni widział też klucz, spadający z wysoka z bezbłędną precyzją, całkiem jakby Bóg chciał w ten sposób zaprotestować przeciwko ludzkim występkom.

Brygadzysta żuł nie zapalone cygaro i spoglądał na rannego.

- Nazywa się Paul Connors. Tyle razy mówiłem tym durniom, że mają nosić kaski. Czy on umrze?

- Na razie trudno cokolwiek powiedzieć - odparł Spurgeon. Uniósł zamkniętą powiekę i stwierdził, że źrenica jest rozszerzona. Sprawdził puls: był ledwo wyczuwalny.

Grubas przyjrzał mu się podejrzliwie.

- Jest pan lekarzem? Czarnuchu?

- Tak.

- Da mu pan coś przeciwbólowego?

- On nie czuje bólu.

Pomógł Maishowi wyciągnąć nosze, po czym załadowali Paula Connorsa do ambulansu.

- Hej! - krzyknął brygadzysta, kiedy Spurgeon zaczął zamykać drzwi. - Pojadę z wami.

To niezgodne z przepisami - skłamał Spurgeon.

- Już to robiłem - odparł mężczyzna niepewnie. - Z jakiego jesteście szpitala?

- County General. - Pociągnął drzwi i zaczekał, aż się zatrzasną. Meyerson tymczasem uruchomił silnik i ambulans szarpnął do przodu. Pacjent oddychał szybko i nierównomiernie, Spurgeon wsunął mu więc na język czarną gumową rurę, po czym włączył respirator. Założył pacjentowi na twarz maskę i maszyna zaczęła podawać tlen w niewielkich równych porcjach, wydając przy tym odgłosy przypominające niemowlaka puszczonego bąki. Syrena zawyła, opony ambulansu terkotały o nawierzchnię. Spurgeon zastanawiał się przez chwilę, w jaki sposób należałoby przedstawić ten wypadek za pomocą muzyki. Bębny, sekcja dęta, instrumenty stroikowe. Można by wykorzystać wszystkie instrumenty.

Prawie wszystkie, pomyślał regulując strumień tlenu. Skrzypce raczej by nie pasowały.

Z głową wtuloną w ramiona Adam Silverstone leżał na twardym blacie biurka w gabinecie naczelnego rezydenta i śnił, że jest to łożo z suchych zbitych liści nagromadzonych przez wiele jesieni, na którym wylegiwał się kiedyś jako chłopiec, wpatrując się w staw i spokojny leśny strumyk. Zdarzyło się to późną wiosną, wkrótce po tym jak skończył czternaście lat. Był to trudny okres w jego życiu, albowiem to właśnie wtedy ojciec zaczął

odpowiadać na pełne oburzenia włoskie przekleństwa babki swoimi własnymi w jidysz. Pragnąc uwolnić się od Myrona Silbersteina i tej starej vecchii, Adam wyszedł któregoś sobotniego poranka na autostradę, złapał okazję, po czym jechał przez trzy godziny z okładem w dowolnym kierunku, byle przed siebie, byle dalej od dymów i żwiru Pittsburgha oraz wszystkiego, co to miasto symbolizowało, aż w końcu wysiadł w miejscu, gdzie droga przecinała las. Później kilkakrotnie próbował je odnaleźć, lecz albo nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie to dokładnie było, albo po prostu las został zaorany przez buldożery, a w jego miejscu stanęły nowe domy. Nie żeby to było jakieś szczególne miejsce; las, dość rzadki i raczej mizerny, pełny był powalonych drzew, w strumyku chyba nigdy nie pływał pstrąg, staw zaś można by określić jako wyjątkowo głęboką i przejrzystą kałużę. Jednakże woda była lodowata i skrzyła się od promieni słońca. Leżał na brzuchu w liściach, wdychał zimną leśną pleśń, czując coraz bardziej dokuczliwy głód, świadomy, że niedługo będzie musiał złapać jakąś okazję i wracać do domu. Nic go to wszakże nie obchodziło, kiedy tak obserwował spacerujące po wodzie robaczki - jesuski. Czego takiego doświadczył przez te pół godziny, zanim wiosenna wilgoć przeniknęła przez suche liście i sprawiła, że drząc z zimna wstał i wyruszył w drogę powrotną? Z jakiego powodu przez resztę życia śnił o tej niewielkiej sadzawce?

Spokój, doszedł do wniosku po latach.

Ten spokój został teraz zburzony przez jazgotliwy dzwonek telefonu. Zaspany podniósł słuchawkę.

- Adam? Mówi Spurgeon.

- No? - odparł ziewając.

- Może będziemy mieć dawcę nerki, stary.

- Tak? - odparł, coraz bardziej przytomny.

- Właśnie przywiozłem pacjenta. Skomplikowane złamanie czaszki z rozległymi uszkodzeniami mózgu. Meomartino asystuje Haroldowi Poole'owi na neurochirurgii. Kazał ci przekazać, że EEG nie wykazało żadnej aktywności.

Teraz był już całkiem rozbudzony.

- Jaką facet ma grupę krwi?

- AB.

- Susan Garland też ma AB. Czyli to ona dostanie tę nerkę.

- Aha... Meomartino kazał ci też przekazać, że w poczekalni siedzi matka tego pacjenta. Nazywa się Connors.

- A niech to wszyscy diabli. - Zadanie uzyskania prawnego pozwolenia na

transplantację należało do wspólnych obowiązków naczelnego rezydenta i chirurga. Ale jak zawsze, kiedy trzeba było odbyć rozmowę z najbliższymi krewnymi dawcy, pomyślał Adam Silverstone, Meomartino znalazł sobie inne, niezwykle pilne zajęcie. - Zaraz schodzę.

Pani Connors siedziała w towarzystwie pastora, tylko częściowo przygotowana na tę rozmowę przez fakt, że jej synowi udzielono ostatniego namaszczenia. Wyglądała na osobę wyjątkowo steraną życiem.

- Och, proszę mi nie opowiadać takich rzeczy - rzekła z oczyma pełnymi łez, nerwowo się uśmiechając, tak jakby za wszelką cenę starała się wyprowadzić go z błędu. - Przecież on wcale nie umiera - upierała się. - Nie mój Paulie.

Adamowi przyszło do głowy, że z technicznego punktu widzenia kobieta ma właściwie rację, gdyż w tym momencie jej chłopak właściwie już nie żył, a jeśli oddychał, robił to tylko i wyłącznie dzięki Boston Edison Company. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że w ciągu paru minut od wyłączenia respiratora wszystkie funkcje życiowe ustaną.

Adam nigdy nie potrafił powiedzieć bliskim umierającym, że jest mu przykro - wydawało mu się to takie puste.

Kobieta zaczęła szlochać.

Czekał długo, aż pani Connors odzyska panowanie nad sobą, a następnie najdelikatniej jak umiał opowiedział jej o przypadku Susan Garland.

- Rozumie pani sytuację tej dziewczynki? Ona też umrze, jeżeli nie dostanie tej nerki.

- Biedactwo - westchnęła.

Adam nie wiedział, czy miała na myśli swojego syna, czy też dziewczynę.

- A więc podpisze pani zgodę?

- Jest już i tak wystarczająco poszarpany. Ale skoro w ten sposób można ocalić czyjeś dziecko...

- Mamy nadzieję, że tak - potwierdził Adam. Uzyskawszy zapewnienie, że zgoda zostanie podpisana, podziękował i czym prędzej się oddalił.

- Pan Jezus poświęcił dla nas całe swoje ciało - odezwał się pastor, kiedy Adam odchodził. - Także dla Paula.

- Ale ja nigdy nie twierdziłam, że jestem Marią, ojczy - odparła kobieta.

Przygnębiony, Adam Silverstone czuł, że może chociaż trochę poprawi sobie nastrój, jeśli zobaczy drugą stronę medalu.

W pokoju 308 Bonita Garland, matka Susan, siedziała na krześle i robiła na drutach. Jak zawsze na jego widok dziewczyna natychmiast przykryła się kołdrą aż po samą szyję,

zakrywając schowane pod nocną koszulą załóżki piersi, którego to gestu Adam starał się nie zauważać. Siedziała oparta o dwie poduszki, czytając „Mad”. Widok ten sprawił mu pewną ulgę. Parę tygodni wcześniej, w czasie długiej, bezsennej nocy, kiedy leżała podpięta do pluskającego dializatora - maszyny, która co pewien czas oczyszczała jej krew z trucizn zbierających się z powodu uszkodzenia nerek - zauważył, że kartkuje „Siedemnastkę”, i zakpił, że czyta takie czasopisma, chociaż sama skończyła dopiero czternaście lat.

Teraz, tryskając entuzjazmem, stał u stóp jej łóżka.

- Cześć, mała - powiedział.

Susan przechodziła właśnie przez okres zarliwego uczucia do pewnego angielskiego zespołu, które to zadurzenie Adam wykorzystywał z bezwstydną prostytucją.

- Taka jedna dziewczyna twierdzi, że wyglądam jak ten facet, który zawsze jest na okładce tej gazetki. Jak on się właściwie nazywa?

- Alfred E. Neumann?

- Aha.

- Pan wygląda nawet lepiej. - Przekrzywiła głowę, żeby mu się przyjrzeć, a on natychmiast spostrzegł, że cienie pod jej oczyma bardzo się powiększyły, policzki zapadły, a wokół nosa pojawiły się pojedyncze zmarszczki. Kiedy po raz pierwszy widział jej twarz, była figlarna i pełna werwy. Nawet teraz, chociaż piegi jaskrawo kontrastowały z ziemistą cerą, widać było, że w przyszłości ta twarz może się stać niezwykle pociągająca.

- Dziękuję - odparł. - Ale lepiej uważaj z prawieniem mi komplementów, bo nigdy nie wiadomo, czy gdzieś za mną nie czai się Howard.

Howard był jej chłopakiem. Któregoś wieczora zwierzyła się Adamowi, że wprawdzie rodzice zabronili im chodzić ze sobą, ale i tak robią to dalej. Czasami czytała mu fragmenty listów od Howarda.

Wiedział, że stara się wzbudzić w nim zazdrość o Howarda, i musiał przyznać, że bardzo mu to schlebia.

- Przyjeżdża w ten weekend.

- To może zaproponujesz mu, żeby zaczekał do przy szłego?

Wlepiła w niego wzrok, zaalarmowana przez niezwykle czuły system ostrzegawczy przewlekłej chorej osoby.

- Czemu?

- Bo będziesz miała dla niego dobrą wiadomość. Mamy dla ciebie nerkę.

- O Boże. - W oczach Bonity Garland pojawiły się ogniki radości. Odłożyła robótkę i spojrzała na córkę.

- Nie chcę jej - stwierdziła Susan, mniąc w palcach róg czasopisma.

- Dlaczego? - spytał Adam.

- Nie wiesz, co mówisz, Susan - wtrąciła jej matka. - Przecież tak długo czekaliśmy na tę chwilę.

- Przyzwyczaiałam się do takiego życia. I przynajmniej wiem, czego się mogę spodziewać.

- Nie wiesz - odparł Adam łagodnie, ujmując delikatnie jej palce. - Bez tej operacji będzie coraz gorzej. Dużo gorzej. A po niej twój stan bardzo się poprawi. Skończą się wreszcie te okropne bóle głowy. Nie będziesz już spędzać nocy podłączona do tej przeklętej maszyny. A za jakiś czas wrócisz do szkoły i będziesz mogła chodzić z Howardem na tańce.

Susan zamknęła oczy.

- Obieca mi pan, że wszystko się uda?

Jezu. Spozrzegł, jak jej matka, uśmiechając się z pełnym bólu zrozumieniem, przyzwalająco kiwa głową.

- Oczywiście - zapewnił.

Bonita Garland podeszła do córki i wzięła ją w ramiona.

- Kochanie, wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

- Mamo.

Bonita przytuliła głowę córki do piersi i zaczęła się kołysać.

- Susie - powiedziała. - Och, dzięki Bogu, mamy ogromne szczęście.

- Mamo, ale ja się tak bardzo boję.

- Nie trzeba się bać, głuptasie. Przecież słyszałaś: doktor Silverstone dał ci słowo.

Adam zamknął za sobą drzwi i zszedł na dół. Żadna z nich nie spytała, skąd wzięli tę nerkę. Wiedział, że kiedy następnym razem je zobaczy, będzie im z tego powodu bardzo wstyd.

Na zewnątrz w dalszym ciągu panował spory ruch, choć wyglądało na to, że zaczyna się trochę przeredzać. Wiał wiatr od morza, niosąc z najbrudniejszej części miasta mieszaninę zapachów, w większości zdecydowanie nieprzyjemnych. Adam miał ochotę na przepłynięcie dwudziestu długości basenu, długi seks albo jakieś inne czysto fizyczne szaleństwo, które być może pomogłoby mu zrzucić z ramion ciężar przeistaczający go w bryłę betonu. Gdyby nie był synem pijaka, pewnie skierowałby się do najbliższego baru, ponieważ jednak był, przeszedł na drugą stronę ulicy, do Maxiego, gdzie zjadł zupę rybną z puszki i wypił dwie filiżanki czarnej kawy. Kawa była jak pierwszy pocałunek brzydkiej dziewczyny - wprawdzie nie ma się czym chwalić, ale przynajmniej przynosi ulgę.

Meomartino stworzył system komunikacji pomiędzy salą operacyjną a najbliższą rodziną dawcy. Cokolwiek by powiedział, ten mechanizm działa, przyznał z niechęcią Adam Silverstone starannie szorując paznokcie.

Spurgeon Robinson stacjonował w drzwiach sali operacyjnej numer 3.

Na pierwszym piętrze w gabinecie chirurgów inny stażysta, niejaki Jack Moylan, towarzyszył pani Connors. Moylan miał w kieszeni druk zgody na pobranie narządów. Siedział ze słuchawką telefonu przy uchu czekając, aż ktoś zakłóci wreszcie panującą na linii ciszę. Po drugiej stronie słuchawkę trzymał świeżo przyjęty rezydent, Mikę Schneider, którego biurko ustawiono na korytarzu niedaleko wejścia na salę operacyjną.

Dziesięć stóp od miejsca, w którym stał Spurgeon, na stole leżał Paul Connors. Minęła już ponad doba od chwili, kiedy przywieziono go do szpitala, ale respirator wciąż oddychał za niego. Meomartino zdążył już przygotować go do zabiegu, a nawet umieścić na brzuchu sterylną plastikową serwetę.

W pobliżu doktor Kender, zastępca ordynatora oddziału chirurgicznego, prowadził cichą rozmowę, z doktorem Arthurem Williamsonem z Departamentu Medycyny.

W tym samym czasie w przylegającej do trójki sali numer 4 Adam Silverstone, teraz już wyszorowany i ubrany w zielony kombinezon, podszedł do stołu, na którym leżała Susan Garland. Dziewczyna, odurzona lekami, wpatrywała się w niego sennie, nie rozpoznając twarzy ukrytej pod maską chirurgiczną.

- Cześć, mała.

- Och, to pan.

- Jak się masz?

- Wszyscy chodzą w tych prześcieradłach. Wyglądacie niesamowicie, jak duchy. - Uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

O dziewiętnastej pięćdziesiąt pięć na sali numer 3 doktorowie Kender i Williamson przyłożyli elektrody elektroencefalografii do czaszki Paula Connorsa.

Podobnie jak poprzedniego wieczora rysik EEG nakreślił na papierze prostą linię, potwierdzając ich wiedzę, że umysł pacjenta już nie funkcjonuje. Dwukrotnie w ciągu dwudziestu czterech godzin zarejestrowali całkowity brak aktywności mózgu. Źrenice pacjenta były nieruchomo rozszerzone, nie stwierdzono także odruchu rogówkowego.

O dziewiętnastej pięćdziesiąt dziewięć doktor Kender wyłączył respirator. Niemal w tej samej chwili Paul Connors przestał oddychać.

O dwudziestej szesnaście doktor Williamson sprawdził bicie serca i stwierdził zgon pacjenta.

Spurgeon Robinson niezwłocznie otworzył drzwi prowadzące na korytarz.

- Teraz - zwrócił się do Mike'a Schneidera.

- Nie żyje - rzekł Schneider do słuchawki.

Czekali w milczeniu. Przez krótką chwilę Schneider nasłuchiwał, aż wreszcie odwrócił się od telefonu.

- Podpisała - oznajmił.

Spurgeon wrócił do trójki i skinął na Meomartino. Doktor Kender patrzył, jak młody chirurg chwytając skalpel i wykonuje poprzeczne nacięcie, przez które miał usunąć nerkę.

Meomartino pracował w ogromnym skupieniu; wiedział, że nefrektomia przebiega zgodnie z regułami sztuki, albowiem doktor Kender milczy z uznaniem. Przywykł do konieczności operowania pod czujnym okiem przełożonych, dlatego ani trochę się nie denerwował.

A jednak jego pewność siebie zachwiała się na ułamek sekundy, kiedy uniósł wzrok i ujrzał doktora Longwooda, który obserwował zabieg z galerii.

Czy to tylko cienie? Czy rzeczywiście dostrzegł u Starego zapuchnięte oczy, pierwsze ciemne oznaki zatrucia mocznikowego?

Doktor Kender odchrząknął, Meomartino ponownie pochylił się nad zwłokami.

Po zaledwie szesnastu minutach operacji wydobyl nerkę, która wyglądała na zdrową i miała pojedynczą, dobrze wykształconą tętnicę. Podczas gdy on palcami w rękawiczce przeszukiwał jamę brzuszną sprawdzając, czy na pewno nie ma żadnego ukrytego guza, zespół komunikacyjny, którego starannie wyszorowani członkowie czekali w pełnej gotowości, zajął się uwolnioną nerką i podłączył ją do urządzenia do perfuzji, które szybko wpompowało w nią lodowaty płyn.

Na ich oczach duża czerwona fasola zbieleła, kiedy urządzenie wypłukało z niej krew, potem skurczyła się pod wpływem zimna.

Zanieśli nerkę na tacy do sali operacyjnej numer 4, gdzie Adam Silverstone asystował doktorowi Kenderowi, który najpierw przyłączył ją do organizmu dziewczyny, a następnie usunął jej własne nerki, dwa pomarszczone strzępy zepsutej tkanki, już od dawna nie funkcjonujące. Mimo to Adam, wrzucając drugą z nich w ręcznik, zdał sobie nagle sprawę, że jedyną linią życia Susan Garland jest obecnie tętnica łącząca jej krwiobieg z nerką Paula Connorsa. Tymczasem przeszczepiony organ zaczynał powoli różowieć, rozgrzany strumieniem młodej gorącej krwi.

W niecałe pół godziny od rozpoczęcia operacji Adam zaszył jamę brzuszną. Później pomógł sanitariuszowi przetransportować Susan do sterylnej sali pooperacyjnej, dotarł więc

do gabinetu młodszych chirurgów jako ostatni. Robinson i Schneider zdążyli już zmienić zielone kombinezony na białe i wrócili na oddziały. Meomartino był w samej bieliźnie.

- Wygląda na to, że jakoś poszło - odezwał się Meomartino.

Adam uniósł zaciśnięte kciuki.

- Widziałeś Longwooda?

- Nie. A co, przyszedł? Meomartino pokiwał głową.

Adam otworzył metalową szafkę, w której znajdowały się jego białe ciuchy, i zaczął ściągać czarne antystatyczne obuwie.

- Nie mam zielonego pojęcia, co go przyniosło - odezwał się Meomartino po dłuższej chwili.

- Wkrótce czeka go to samo. Oczywiście pod warunkiem że uda się nam znaleźć dawcę z grupą B-minus.

- To nie będzie proste. To rzadka grupa. Adam wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że następnym przeszczep dostanie pani Bergstrom.

- Nie byłbym tego taki pewien.

Jednym z najbardziej irytujących aspektów stosunków pomiędzy Meomartino a Adamem Silverstone'em było to, że kiedy jeden z nich otrzymywał informację, która jeszcze nie dotarła do drugiego, trudno mu było oprzeć się pokusie, by nie zachowywać się tak, jakby miał bezpośrednie połączenie z Panem Bogiem. Adam zwinął zielony kombinezon i wrzucił go do stojącego w kącie, w połowie wypełnionego kosza na brudy.

- Co to, do licha, znaczy? Przecież Bergstrom ma dostać nerkę od swojej siostry bliźniaczki, no nie?

- Tylko że ta jej szanowna siostrzyczka wcale nie jest pewna, czy ma ochotę oddać nerkę.

- Jezu. - Wyjął z szafki biały ubiór. Wkładając spodnie zauważył, że są już trochę przybrudzone, i doszedł do wniosku, że następnego dnia będzie musiał wziąć nową parę.

Kiedy wiązał buty, Meomartino wyszedł. Adam miał ochotę na papierosa, ale schowany w kieszeni mały elektroniczny potwór warknął cichutko. Oddzwonił i dowiedział się, że czeka na niego ojciec Susan Garland. Poszedł prosto na górę.

Arthur Garland ledwo przekroczył czterdziestkę, lecz już zaczynał tyć. Miał niepewne niebieskie oczy i rzednące rudawo brązowe włosy. Dystrybutor artykułów skórzanych, przypomniał sobie Adam.

- Nie chciałem wychodzić, zanim nie zamienię z panem kilku słów.

- Jestem tu tylko zwykłym pracownikiem. Może powinien pan raczej zwrócić się do

doktora Kendera?

- Przed chwilą z nim rozmawiałem. Powiedział, że wszystko poszło zgodnie z oczekiwaniami.

Adam skinął głową.

- Bonnie... moja żona... nalegała, żebym się z panem koniecznie spotkał. Powiedziała, że był pan bardzo wyrozumiały. Chciałbym podziękować.

- Naprawdę nie ma za co. Jak się czuje pani Garland?

- Wysłałem ją do domu. To było dla nas bardzo trudne a doktor Kender powiedział, że przez parę dni nie będziemy mogli widywać się z Susan.

- Im mniej będzie miała kontaktów z ludźmi, nawet tymi którzy ją kochają, tym mniejsze prawdopodobieństwo infekcji. Lekarstwa, które jej podajemy, żeby zapobiec odrzuceniu przeszczepu, bardzo zmniejszają odporność.

- Rozumiem - odparł Garland. - Doktorze Silverstone, czy wszystko wygląda dobrze?

Adam był pewien, że Garland zadał już to pytanie doktorowi Kenderowi. Stojąc w obliczu ludzkiej potrzeby pozytywnego zwiastuna, kabalistycznego znaku, że wszystko znajduje się pod stuprocentową kontrolą, poczuł dobitnie rzeczywistą niemoc lekarzy.

- Operacja przebiegła bez problemów - rzekł. - A nerka była zdrowa. Tak więc wiele przemawia na naszą korzyść.

- A co teraz będziecie robić?

- Obserwować, jak rozwija się sytuacja. I czekać. Garland pokiwał głową.

- Proszę przyjąć ten drobiazg w dowód wdzięczności. - Wyjął z kieszeni portfel. - Ze skóry aligatora. Handluje nimi moja firma.

Adam poczuł się bardzo zakłopotany.

- Taki sam podarowałem doktorowi Kenderowi. I proszę nie dziękować, bo wy oddajecie mi dziecko. - Niebieskie oczy zaszkliły się i po policzkach spłynęły łzy. Zawstydzony mężczyzna odwrócił się do pustej ściany.

- Panie Garland, jest pan na pewno piekielnie zmęczony. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wypiszę panu receptę na coś uspokajającego i niech pan wraca do domu.

- Tak, bardzo proszę. - Wydmuchał nos. - Czy ma pan dzieci?

Adam pokręcił głową.

- Nie powinien pan rezygnować z tego doświadczenia. Adoptowaliśmy ją, wie pan?

- Tak... Tak, wiem.

- Długo walczyłem z Bonnie. Przez całe pięć lat. Wstydiłem się. Ale kiedy już ją dostaliśmy... miała sześć tygodni... - Garland wziął receptę, zrobił jakąś uwagę na inny temat,

potrząsnął głową i odszedł.

Operację przeprowadzono w piątek. W następną środę Adam czuł w kościach, że się udało.

Ciśnienie krwi Susan Garland wciąż było wysokie, za to nerka funkcjonowała, jakby została stworzona specjalnie dla niej.

- Nigdy nie przypuszczałam, że moje serce będzie walić jak oszalałe tylko dlatego, że ktoś poprosi o basen - wyznała mu Bonita Garland.

Adam wiedział, że minie jeszcze sporo czasu, zanim jej córka poczuje się lepiej. Doskwierał jej ból rany pooperacyjnej, była bardzo osłabiona przez leki, poza tym okropnie przygnębiona. Złościła się bez żadnego powodu, po nocach płakała. Humor poprawił się jej w czwartek, kiedy odwiedził ją Howard, który okazał się kościstym, piekielnie nieśmiałym chłopakiem.

To właśnie wizyta Howarda podsunęła Adamowi pewien pomysł.

- Kto jest jej ulubionym didżejem?

- Chyba J.J. Johnson - odparła jej matka.

- Może zadzwoni pani do niego i poprosi, żeby w sobotę wieczorem zadedykował Susan kilka piosenek. Moglibyśmy też zaprosić Howarda. Nie będzie mogła tańczyć ani nawet wstać z łóżka, ale w tych okolicznościach będzie to chyba wystarczający substytut.

- Powinien był pan zostać psychiatrą - stwierdziła pani Garland.

- Specjalnie dla mnie? Mój taniec? - wykrzyknęła Susan, kiedy o wszystkim jej powiedzieli. - Muszę koniecznie umyć włosy. Są strasznie tłuste.

Jej nastrój uległ zmianie tak radykalnej, że zachwycony Silverstone zatelefonował do kwiaciarni, zamówił bukiet róż, poświęcając nań pieniądze przeznaczone na inny cel, i podyktował treść liściku, który miał zostać do nich przypięty.

Baw się dobrze, Mała.

Przez prawie cały piątek była w dobrym nastroju, aż do popołudnia. Kiedy Adam przyszedł na wieczorny obchód, dowiedział się, że Susan kilkakrotnie skarżyła się pielęgniarce na jakieś dolegliwości.

- Co się dzieje, Susie?

- Boli mnie.

- Gdzie?

- Wszędzie. Brzuch.

- Tego nie da się uniknąć. To w końcu poważna operacja. - Zdawał sobie sprawę, że w takich przypadkach bardzo łatwo wpaść w pułapkę nadpiekuńczości. Sprawdził ranę

pooperacyjną, lecz nie zauważył nic szczególnego. Puls był wprawdzie lekko przyspieszony, ale kiedy zmierzył jej ciśnienie, uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Normalne. Po raz pierwszy. Powiedz no, lubisz jabłka?

- Aha - uśmiechnęła się blado.

- Musisz się dobrze wyspać, żebyś jutro wieczorem miała siły cieszyć się swoim tańcem.

Pokiwała głową, a on popędził dalej.

Sześć godzin później dyżurna pielęgniarka, która przyniosła jej lekarstwa, odkryła, że w tę spokojną noc w wyniku krwotoku wewnętrznego dziewczyna wykrwawiła się na śmierć.

- Doktor Longwood chce, żeby przypadek Susan Garland został omówiony na posiedzeniu Komisji Zgonów - obwieścił Meomartino nazajutrz podczas lunchu.

- Moim zdaniem to nie w porządku - stwierdził Adam. Siedzieli ze Spurgeonem Robinsonem przy stoliku pod ścianą. Adam grzebał niemrawo widelcem w okropnym gulaszu, podawanym w szpitalu w każdą sobotę, Spurgeon jadł apatycznie, natomiast Meomartino swoją porcję dosłownie pochłaniał. Adam zadawał sobie pytanie, skąd właściwie wziął się stereotyp, że bogaci mają żołądki wrażliwsze niż inni.

- Czemu tak sądzisz?

- Przeszczep nerki dopiero niedawno wyszedł z fazy eksperymentów. Jak mamy znaleźć odpowiedzialnego za śmierć, skoro właściwie wciąż nie mamy żadnej kontroli nad tym obszarem?

- Właśnie w tym rzecz - odparł spokojnie Meomartino, wycierając usta. - Faza eksperymentów już się zakończyła, a szpitale w całym kraju przeprowadzają te operacje z dobrymi rezultatami. Skoro chcemy stosować ten przeszczep klinicznie, musimy wziąć na siebie odpowiedzialność za jego rezultaty.

Łatwo mu tak gadać, pomyślał Adam. On w końcu tylko wykroił nerkę ze zwłok.

- Czy na pewno wszystko wyglądało całkiem normalnie, kiedy widziałeś ją wieczorem? - spytał Spurgeon Robinson.

Adam pokiwał głową i posłał stażystce ostre, przenikliwe spojrzenie. Po chwili się jednak odprężył; Spurgeon, w przeciwieństwie do Meomartino, nie miał tu żadnej pieczeni do upieczenia.

- Wydaje mi się, że doktor Longwood nie powinien przewodniczyć tej komisji - stwierdził Robinson. - Jest przecież ciężko chory. Prowadzi te posiedzenia, jakby to była Święta Inkwizycja. A on Torquemadą.

Meomartino uśmiechnął się szeroko.

- Jego zdrowie nie ma tutaj nic do rzeczy. Ten stary bydlak zawsze się tak zachowywał.

W ciągu jednego takiego posiedzenia mogą człowiekowi zrujnować całą karierę, pomyślał Adam, po czym odłożył widelec i odsunął krzesło.

- Powiedz mi - zwrócił się do Meomartino, czując nagłą potrzebę wyładowania niechęci. - Jesteś tutaj jedyną osobą, która nie mówi o Longwoodzie „Stary”. Czy twoim zdaniem to zbyt lekceważące przezwisko?

Meomartino uśmiechnął się.

- Przeciwnie. Uważam, że jest w nim stanowczo zbyt wiele ciepła - odparł cicho i jadł dalej z nie słabnącym apetytem.

Tuż przed końcem dyżuru Adam przypomniał sobie o bukietach róż.

- Kwiaty? Tak, przyszły, doktorze Silverstone - odparła pielęgniarka. - Kazałam je przesłać do domu państwa Garland. Zawsze tak robimy.

Baw się dobrze, Mała...

Mogłem oszczędzić im chociaż tego, pomyślał ze wstydem.

- Czy wszystko w porządku?

- Pewnie.

Poszedł na szóste piętro do ciasnego pokoiku i wypalił bez żadnej przyjemności cztery papierosy, jeden po drugim, po czym stwierdził ze zdziwieniem, że obgryza paznokcie, chociaż wydawało mu się, że zerwał z tym nałogiem już lata temu.

Pomyślał o ojcu, od którego nie miał żadnych wiadomości, przez chwilę się zastanawiał, czy nie spróbować zadzwonić do niego do Pittsburgha, po czym z ulgą postanowił zostawić wszystko tak, jak jest.

Po dłuższej chwili wyszedł ze szpitala na opustoszałą ulicę. Bar „U Maxiego” był zamknięty, panowały w nim egipskie ciemności. Uliczne latarnie tworzyły ścieżkę poprzez mrok, przerywaną mniej więcej w połowie, tam gdzie jakieś dzieciaki stłukły kamieniem żarówkę.

Ruszył przed siebie.

A potem zaczął biec.

Dobiegł do najbliższego rogu, czując uderzenia betonowego chodnika o stopy.

Na rogu skręcił.

Wbiegł w aleję i przyspieszył.

Obok zawarczał jakiś samochód, zatrąbił klakson, siedząca za kierownicą kobieta krzyknęła coś i zachichotała. Poczł w piersiach niewielki, zduszony przyływ uczucia,

przyspieszył więc mimo bólu, który budził się do życia w prawym boku.

Na rogu skręcił.

Minął parking karetek. Pusty. Pomalowany na zielono blaszany klosz dużej żółtej latarni nad wjazdem drżał na wietrze, rozsyłając dookoła tańczące cienie.

Przebiegł obok rampy rozładunkowej sąsiedniego magazynu, gdzie jakiś kloszard - majaczący w ciemnościach ciemny kształt, plama, cień, jego ojciec - osuszył butelkę, po czym rzucił ją w nieznane, za Adamem, który pędził teraz pracując ramionami, ścigany przez narastający ból pleców i brzęk tłuczonego szkła.

Na rogu skręcił.

Znalazł się w najciemniejszych rejonach, po drugiej stronie księżycy. Mijał puste oczy slumsów stojących po drugiej stronie ulicy, pogrążonych w dobroczynnym śnie.

Dalej zaparkowany samochód, w którym wijące się ciała nawet nie zmieniły rytmu, chociaż dziewczyna wyjrzała zza ramienia kochanka i na moment utkwiała wzrok w przebiegające za szybą widmo.

Potem alejka, gdzie stukot jego butów przestraszył jakieś małe żyjątko, które zazgrzytało o ziemię twardymi pazurkami i wbiegło głębiej w ciemny tunel.

Na rogu skręcił.

I znów latarnie. Jego płuca płonęły, nie był w stanie oddychać, w piersiach czuł nieustępliwy ból, jednakże raz jeszcze rzucił się do przodu, by przerwać taśmę na oczach nie istniejącego i nie wiwatującego tłumu, dobiegł do Maxiego, zatoczył się i stanął.

Jezu.

Łykał powietrze, czuł, że zaraz zwymiotuje, czknał głośno i stwierdził, że jednak nie.

Pod pachami, między nogami i po twarzy płynął mu pot. Głupiec. Dysząc ciężko oparł się plecami o witrynę Maxiego, która zatrzeszczała złowrogo, po czym zjechał po niej, aż pośladki opadły na wąski, pomalowany na czerwono drewniany parapet.

Zazgrzytał piach. Do diabła z tym, ciuchy i tak nadają się już tylko do prania.

Odrzucił głowę do tyłu i wpatrzył się w bezgwiezdne niebo. - Nie mają prawa modlić się do mnie - powiedział. - Dlaczego nie żądają obietnic od ciebie?

Obniżył trajektorię spojrzenia o kilka stopni i zdał sobie sprawę z obecności budynku zaledwie odrobinę niższego niż niebo, ujrzał stare czerwone cegły, zbrązowiałe od kurzu i dymu spowijającego miasto, poczuł idiotyczną cierpliwość znaczonej bliznami fasady.

Księga pierwsza.

Lato.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Adam Silverstone.

Coraz mniejsze gwiazdy kryły się z wolna w jaśniejącym niebie. Kiedy astmatyczna ciężarówka zjechała z autostrady i potelepała się przez wyludnione przedmieścia, długi rząd latarni ciągnący się wzdłuż rzeki zamigotał dwukrotnie, po czym zgasł w półmroku. Zapowiadał się kolejny gorący dzień, choć nagłe zniknięcie tej linii świateł dodało nadchodzącemu porankowi mylącego chłodu i mroku.

Patrzył przez brudną szybę ciężarówki na zbliżający się Boston myśląc, że właśnie to miasto ukształtowało jego ojca, złamało go i rzuciło do rynsztoka.

Ze mną wam się to nie uda, mówił w duchu do mijanych budynków, nieba, rzeki.

- Miasto wcale nie wygląda na takie niebezpieczne - odezwał się na głos.

Kierowca spojrzał na niego ze zdziwieniem. Ich rozmowa utknęła w martwym punkcie jakieś osiemdziesiąt mil wcześniej, między Hartfordem a Worchesterem, po gwałtownej sprzeczce na temat Stowarzyszenia Johna Bircha. Teraz kierowca powiedział coś, co jednak rozmyło się w warkocie silnika.

Adam pokręcił głową.

- Przepraszam, nie zrozumiałem.

- Co się stało, głuchy pan jesteś?

- Trochę. Ale tylko na lewe ucho.

Mężczyzna zmarszczył brwi podejrzewając, że pasażer próbuje się z niego naigrawać.

- Pytałem, czy będziesz pan miał tutaj robotę?

Adam pokiwał głową.

- Jaką?

- Jestem chirurgiem.

Kierowca spojrzał na niego z niesmakiem, teraz już w pełni przekonany, że jego wcześniejsze podejrzenia były słuszne.

- Pewnie, ty szajbnięty bitniku, jesteś. A ja jestem astronautą.

Otworzył usta, chcąc mu to wyjaśnić, zaraz jednak stwierdził, że szkoda wysiłku, i skupił uwagę na krajobrazie. Po drugiej stronie rzeki Charles z mroku sterczały białe iglice, zapewne Harvard. Gdzieś tam znajduje się Radcliffe College, gdzieś tam Gaby Pender śpi

niczym kotka; ciekawe, jak długo uda mu się wytrzymać, zanim do niej zadzwoni? Czy ona w ogóle będzie go jeszcze pamiętać? Ni stąd, ni zowąd przypomniał sobie pewien cytat, coś o tym, jak często mężczyzna powinien widywać kobietę... Że raz wystarczy, a drugi raz może to tylko potwierdzić.

Komputer w jego głowie natychmiast podpowiedział mu, kto jest autorem tych słów. I jak zwykle ta zdolność zapamiętywania informacji zupełnie nie związanych z medycyną zamiast sprawić mu radość, wywołała w nim obrzydliwe niezadowolenie. Marnotrawca słów, podsumowałby pewnie jego ojciec.

Adamie Robercie Silverstone, ty zarozumiały bydlaku, powiedział do siebie. Ciekawe, gdzie też podziewa się ta twoja wybitna pamięć, kiedy trzeba sobie przyswoić fragment Anatomii w chirurgii Thoreka albo Niedrożności jelit Wangensteena.

Po paru chwilach kierowca skręcił, ciężarówka zjechała ze Storow Drive po wąskim podejździe, nagle pojawiły się oświetlone okna magazynów, ciężarówki, samochody, ludzie, słowem jeden wielki bazar. Jechali po brukowanej uliczce, minęli jadłodajnię, której neon wciąż jeszcze świecił, skręcili w inną uliczkę i zatrzymali się pod szyldem BENJO MORETTI I SYNOWIE. Kierowca zatrąbił, ze środka na platformę rozładunkową wyszedł mężczyzna. Muskularny i nieco łyśawy, w białym kitlu, wyglądał całkiem podobnie do anatomopatologów ze szpitala Georgia, w którym Adam odbywał staż i pierwszy rok specjalizacji. Eh, paisan.

- Co macie?

Kierowca czknął, wydając z siebie odgłos rozrywanego dywanu.

- Melony. Perskie.

Mężczyzna w kitlu kiwnął głową i zniknął.

- Koniec trasy, koleś. - Kierowca otworzył drzwi i zeskoczył ciężko na ziemię.

Adam zsa siedzenia wyciągnął zniszczoną walizkę i także wysiadł.

- Pomóc panu to rozładować? - zaproponował. Kierowca spojrzał na niego podejrzliwie.

- To ich robota - odparł wskazując głową magazyn. - Szukasz pracy, to gadaj z nimi.

Propozycja miała być dowodem wdzięczności, Adam stwierdził jednak z ulgą, że jego pomoc jest najwyraźniej zbędna.

- Dzięki za podwiezienie - powiedział.

- Aha.

Adam chwycił walizkę i ruszył z powrotem w dół uliczki do jadłodajni, zmagając się z ciężarem - niski, krzywonogi facet, zbyt wysoki na dżokeja, a równocześnie zbyt drobnej

budowy, by z powodzeniem uprawiać jakikolwiek inny sport. Z wyjątkiem nurkowania i skoków do wody, z którymi jednak skończył przed pięcioma laty. Przy takich okazjach żałował, że nie jest bardziej podobny do śniadych braci matki. Nie znosił być na łasce kogokolwiek albo czegokolwiek, a już szczególnie jakiejś przyciężkiej walizki.

W jadłodajni unosiły się apetyczne zapachy i panował dziki hałas: gadanie i śmiech, głuchy brzęk patelni dochodzący zza niewielkiego okienka łączącego salę z kuchnią, ciężki stukot dzbanków z kawą stawianych na marmurowym kontuarze, skwierczenie mięsa na grillu. Kosztowne przysmaki, doszedł do wniosku. Zbyt kosztowne.

- Kawę. Czarną.

Stojąca za barem słomianowłosa dziewczyna miała pełne, Jędrne kształty i mlecznobiałą cerę, aczkolwiek nie ulegało wątpliwości, że jeszcze przed trzydziestką przyjdzie jej rozpocząć zmagania z otyłością. Pod okrytą bielą lewą piersią bliźniacze plamy z dżemu wyglądały jak stygmaty. Kiedy Pchnęła kubek w jego stronę, kawa rozlała się na kontuar.

Dziewczyna z ponurą miną przyjęła dziesiątaka, po czym zakołysała obraźliwie biodrami i odpłynęła.

Muuu...

Kawa była okropnie gorąca, tylko od czasu do czasu zdobywał się na odwagę, by upić łyk, po czym uśmiechał się triumfująco, kiedy okazywało się, że nie poparzył sobie języka. Ścianę za kontuarem tworzyło lustro, z którego spoglądał na niego włóczęga, zarośnięty, nie uczesany, ubrany w pomiętą i poplamioną niebieską koszulę. Skończywszy kawę, wstał, wziął walizkę i poszedł do toalety. Sprawdził krany - z obu leciała tylko zimna woda, co zresztą wcale go nie zdziwiło. Wrócił na salę i poprosił dziewczynę o kubek gorącej wody.

- Ma być zupa czy herbata?

- Zwykła woda.

Z pełną cierpliwością pogardą barmanka go zignorowała. W końcu ustąpił i zamówił herbatę. Kiedy mu ją podała, zapłacił, po czym torebkę ze spodka rzucił na ladę, zabrał kubek i poszedł do toalety. Podłoga była pokryta warstwą piachu i sądząc po fetorze, zaschniętego moczu. Postawił kubek na skraju brudnej umywalki, z walizki ułożonej na kaloryferze wyjął przybory toaletowe. Nabierając w dłoń zimną wodę z kranu i dolewając odrobinę wrzątku zdołał jakoś zmiękczyć zarost. Kiedy skończył się golić, twarz spoglądająca na niego z poplamionego lustra wydała mu się nieco bardziej cywilizowana. Doktor Silverstone. Piwne oczy. Wydatny nos, który wolał nazywać rzymskim, wcale nie przeraźliwie wielki, tyle tylko że podkreślony niewysokim wzrostem właściciela. Szerokie usta, niczym cyniczne cięcie na

chudej twarzy. Cera pomimo opalenizny bezdyskusyjnie jasna, do tego brązowa czupryna. Ależ ponury, nijaki kolor. Wyjął z walizki szczotkę i zaczął zmagania z włosami. Zawsze miał wyrzuty sumienia z powodu swojej karnacji. Kiedyś usłyszał przypadkiem, jak matka stwierdziła, że dzieciak powinien mieć cerę w kolorze oliwek, a nie cytryn albo kaszy. A jego skóra właśnie miała kolor kaszy i stanowiła zgniły kompromis pomiędzy ojcem blondynem a matką typową Włoszką.

Matka była kobietą śniadą, o czarnych oczach i mięsistych, niewiarygodnie ciężkich powiekach. Były to sypialniane oczy ziemskiej świętej. Prawie nie pamiętał jej twarzy, za to by przywołać jej oczy, wystarczyło, że na krótką chwilę zamknął własne. Ilekroć ojciec wracał do domu zalany - ten odszczepieniec Myron Silberstein tonący w strumieniach stregi, którą dla zademonstrowania demokracji panującej w jego małżeństwie przyjął razem z włoskimi powiedzonkami, wykrzykujący pachnące anyżem wołania o pomoc (O puttana nera! O troia scura! O donna! Oi, nafkeh!) - no więc, ilekroć to się zdarzyło, jego mały syn leżał w mroku, drżąc przy każdym głuchym odgłosie wydawanym przez ojcowską pięść bębniącą o ciało matki i każdym plaśnięciu jej dłoni o jego twarz, dźwiękach, po których najczęściej następowała seria innych, gorących i oszalałych mlaskań i posapywań, sprawiających z kolei, że malec nieruchomiał, szczerze nienawidząc nocy.

Mniej więcej w ósmej klasie, a więc jakieś cztery lata po śmierci matki, Adam odkrył historię o Gregorze Johannie Mendlu i groszku i zabrał się ostro do pracy, próbując rozpracować własne cechy dziedziczne w nadziei - chociaż nigdy się do tego przed sobą nie przyznał - że brązowe włosy i piwne oczy to genetyczne nieprawdopodobieństwo, że powinien odziedziczyć blond włosy ojca, a skoro tak się nie stało, to widocznie jest bękartem, dziełem swojej pięknej zmarłej matki i jakiegoś obcego mężczyzny, posiadającego wszystkie te szlachetne cechy, których brakowało mężczyźnie, nazywanemu przez niego papą.

Jednakże podręczniki do biologii wykazały, że kombinacja światła księżyca oraz cienia daje właśnie barwę kaszy.

No cóż.

W każdym razie w tym okresie łączyły go z ojcem więzy nie tylko miłości, ale i nienawiści. Aby to udowodnić, ty przeklęty głupcze - zwrócił się do odbicia w lustrze - najpierw uciulałeś dwieście doków, a potem pozwoliłeś, żeby wyłudził je od ciebie. Prawie co do centa. Cóż takiego lśniło w jego oczach, kiedy zacisnął dłonie na tych pieniądzach?

Miłość? Duma? Nadzieja na najwspanialszą niespodziankę: nieoczekiwane, nie zaplanowane pijaństwo? Ciekawe, czy stary nadal ugania się za spódnicami? Raczej wątpliwe. Impotencja wieku średniego, charakterystyczna dla alkoholików. Prędkiej czy

później łańcuchy skuwają wszystkich, nawet Myrona Silbersteina.

Tylko jedna osoba, babka, vecchia, potrafiła zastraszyć ojca. Rosella Biombetti, drobna kobieta pochodząca z południowych Włoch, siwe włosy upinała w kok, a z kolorów uznawała tylko i wyłącznie czarny. Buty, pończochy, suknia, chusta, a często nawet humor - wszystko to było czarne, jakby nosiła żałobę po całym bożym świecie. Miała dzioby na oliwkowej twarzy, pozostałość po, vaiolo, przerażającej ospie” na którą jako czterolatka zachorowała wraz z siedmiorgiem rodzeństwa w wiosce Avellino w Petruro. Choroba nie zabrała nikogo z nich, lecz naznaczyła bliznami siedmioro i zniszczyła ósme, ośmiolatka imieniem Muzi, któremu umysł spopieliła wysoka gorączka. W rezultacie stał się on czymś, co po latach przeistoczyło się w łysego, podstarzałego mężczyznę, mieszkańca East Liberty w Pittsburghu w stanie Pensylwania, bawiącego się przez cały dzień łyżeczkami oraz kapslami, zawsze ubranego w ten sam stary potargany sweter, nawet gdy na Larimer Avenue lał się z nieba lipcowy żar.

Kiedyś Adam spytał babkę, dlaczego stary wuj jest taki dziwny.

- L'Arlecchino - odparła po włosku.

Wcześniej nauczył się, że ów Arlekin to wewnętrzny strach! rządzący życiem babki, wszechobecne zło, dziedzictwo z Europy sprzed dziesięciu stuleci. Umiera dziecko, pokonane nagłym, niespodziewanym atakiem choroby? Zostało zabrane przez Arlekina, który pożąda dzieci. Kobieta zapada na schizofrenię? Widocznie szczupły, diabolicznie przystojny demon kochanek uwiódł ją i zawładnął jej duszą. Ramię skręca paraliż albo jakiś mężczyzna gaśnie powoli, zżerany przez gruźlicę? To Arlekin wysysa siły ze swoich ofiar, delektując się ich życiową esencją niczym najwspanialszym cukierkiem.

Starając się uchronić przed nim swoich bliskich, uczynił go członkiem rodziny. Kiedy kuzynki Adama rozkwitły i za częły eksperymentować ze szminką i wysokimi spiczastymi stanikami, skrzeczała, że na pewno przyciągną Arlekina, który w nocy kradnie dziewice. Słuchając przez lata opowieści vecchii Adam poznawał kolejne szczegóły. Arlekin nosił bryczesy i surdut z wielobarwnych łat i był niewidoczny, chyba że znalazł się w promieniach księżyca w pełni, które przemieniały tę zbieraninę w imponujący garnitur lśniących świateł. Nie mówił, lecz jego obecność dało się rozpoznać po dzwonieniu dzwonek na błazeńskiej czapce. Nosił drewniany magiczny miecz, rodzaj pałasza, którego używał jako czarodziejkiej różdżki.

Chłopak myślał czasami, że byłoby wspaniale zostać Arlekinem, tak wszechmocnym, tak cudownie złym. Kiedy skończył jedenaście lat i przydarzyły mu się pierwsze mokre sny o pociągającej trzynastoletniej Lucy Sangano, postanowił, że na Halloween będzie złym

duchem. Podczas gdy inne dzieciaki biegały od jednych drzwi do drugich domagając się słodyczy, on snuł się powoli w nagle przyjaznych ciemnościach, wyobrażając sobie, jak mieczem z kartonu i listewki klepie jędrne, młode pośladki Lucy Sangano i rozkazuje bezgłośnie: Pokaż mi wszystko.

Rosella odpędzała Złego, korzystając z czterech sposobów, z których jedynie dwa-polewanie wodą święconą i codzienna obecność na mszy-Adam uważał za absolutnie nieszkodliwe. Trzecia metoda, polegająca na nacieraniu klamek czosnkiem, była jego zdaniem okropnym idiotyzmem, ponieważ lepily się one do rąk, a intensywny zapach niejednokrotnie stał się dla niego powodem wstydu w szkole. Z drugiej strony Adam lubił ten zapach, którego ulotne resztki wyczuwał na spoconych dłoniach, kiedy późnym wieczorem przykładał je do nozdrzy.

Najskuteczniejszą ochronę zapewniało ukrycie dwóch środkowych palców dłoni pod kciukiem, wyprostowanie wskazującego i małego na podobieństwo diabolicznych rogów, a następnie splunięcie pomiędzy nimi i wypowiedzenie zaklęcia: rozwiej się, czarze złych oczu, scutta mai occhio, pu-pu-pu. Rosella odprawiała ten rytuał po wielekroć każdego dnia, czym również wprawiała Adama w ogromne zakłopotanie. Dla niektórych jego kolegów gest ów był tajemnym symbolem o całkiem innym znaczeniu, odprawą, lekceważącym dowodem niedowierzania, wyrażanym za pomocą jednego tylko brzydkiego słowa. Tak więc niewtajemniczonych profanów babka Adama Silverstone'a nieodmiennie bawiła do łez. Adam zapłacił za to cenę rozbitego nosa i ogromnej urazy.

Jego młoda dusza była rozdarta pomiędzy pobożnymi zabobonami starszej kobiety a ojcem, który z jakiegoś tajemniczego powodu w każdy Jom Kippur konsekwentnie zachowywał trzeźwość po to tylko, żeby być w stanie wybrać się na ryby. Zabobony i religia babki miały pewne zalety, zbyt wiele jednak z tego, co mówiła, było jawną bzdurą. W rezultacie, chociaż milcząco, Adam trzymał raczej stronę ojca, niewykluczone, że również dlatego, iż za wszelką cenę starał się odnaleźć w tym człowieku cechy, które mógłby podziwiać.

A jednak kiedy w jej osiemdziesiątym, a jego piętnastym roku życia zachorowała i zaczęła gasnąć, ogromnie cierpiał. Kiedy zaś długi czarny packard doktora Calabrese zaczął parkować przed ich czynszową kamienicą przy Larimer Avenue z coraz większą częstotliwością, Adam modlił się za babkę. A kiedy któregoś ranka umarła z kokieterijnym uśmiechem na ustach, długo płakał i nagle pojął, co tak naprawdę uosabia Arlekin. Już nie marzył o tym, by wcielić się w lubego błazna, który był śmiercią, przeciwnie, postanowił, że kiedyś będzie jeździł długim, nowym autem, takim jak doktor Calabrese, i że wypowie wojnę

Arlekinowi.

Pożegnał się z babką na wspianym pogrzebie zorganizowanym przez jej agencję ubezpieczeniową „Synowie Włoch”, choć tak naprawdę nigdy go nie opuściła. Wiele lat później, kiedy już został chirurgiem i robił, a także widział rzeczy, o których ona w swoim Petruro ani nawet w East Liberty nigdy nie śniła, jego pierwszą reakcją na nieszczęście było natychmiastowe podświadome poszukiwanie Arlekina. Jeśli akurat trzymał rękę w kieszeni, od razu układała się ona w dobrze znany gest. Ojciec i babka zaszczepili w nim nie mający końca wewnętrzny konflikt. Bzdura, szydził człowiek nauki, podczas gdy mały chłopiec szeptał scutta mai occhio, pu-pu-pu.

Teraz w męskiej toalecie jadalni zgarnął z umywalki przybory toaletowe, później, niczym niezgrabny żuraw, który stara się jak najmniej ubrudzić, po kolei uniósł wysoko nogi i zdjął dżinsy oraz niebieską koszulę. Koszula i garnitur, które wyjął z dużej torby, były także nieco wymięte, ale nadawały się do włożenia. Krawat nie wyglądał nawet w przybliżeniu tak dobrze jak osiemnaście miesięcy wcześniej, kiedy i tak był już używany, Adam kupił go bowiem od pewnego studenta trzeciego roku - namiętnego, acz wyjątkowo pechowego pokerzysty. Ciemne buty, które zastąpiły tenisówki, zachowały jeszcze odrobinę blasku.

Kiedy kroczył przez restaurację, krówsko zza lady zamachało ogonem, jakby starało się sobie przypomnieć, gdzie go wcześniej widziało.

Na zewnątrz świt zadomowił się na dobre. Stojąca przy krawężniku taksówka mruzczała cichą mechaniczną pieśń, kierowca siedział schowany za kuponem wyścigowym i marzył, że może kiedyś uda mu się trafić wygraną osiem do jednego. Adam spytał, czy do szpitala okręgowego da się dotrzeć na piechotę.

- Do szpitala? Pewnie, że się da.

- A jak tam trafić?

Taksówkarz uśmiechnął się przelotnie.

- Ciężko będzie. To spory kawał drogi. Za wcześnie na autobus, a do metra też daleko.

- Odłożył kupon przekonany, że trafił mu się klient.

Ile miał w kieszeni? Mniej niż dziesięć dolców, to na pewno. Osiem, może dziewięć?

- Zawiezie mnie pan za dolara? Wyras pogardy w oczach.

Podniósł z ziemi torbę i ruszył ulicą. Przy tablicy BENJO MORETTI I SYNOWIE taksówka minęła go i zatrzymała się.

- Wskakuj do tyłu - powiedział taryfiarz. - I tak jadę w tamtą stronę. Ale jeśli trafi mi się jakiś klient, ty znikasz. Za dolca.

Wsiadł dziękując losowi. Taksówka ruszyła przez miasto, a on wyglądał przez okno,

starając się domyślić, jaki to będzie szpital. Ulice były stare i smutne, po obu stronach ciągnęły się rzędy kamienic czynszowych z poobłupywanymi schodami i wypełnionymi po brzegi kubłami na śmieci. Ot, okolica zamieszкана przez ludzi zjednoczonych przez wspólną biedę. Przyszło mu do głowy, że szpitalne ławki zatłoczone będą każdego ranka przez chorych i tych, którzy wpadli w jedną z samotworzących się pułapek tego społeczeństwa.

Wasz pech, powiedział bezgłośnie do ofiar śpiących za gołymi oknami. A moje szczęście, bo być może będzie to dla mnie dobra szkoła chirurgii.

Kompleks szpitalny majaczył we wczesnoporannym świetle niczym monolit, z dużych latarni wokół pustego parkingu dla karetek wciąż jeszcze padał żółty blask.

Wejście do szpitala okazało się ponure i staroświeckie. Za kontuarem siedział starszy mężczyzna o obwisłych, pomarszczonych policzkach i niewiarygodnie czarnych włosach. Adam zjrzał do listu, który otrzymał cztery tygodnie wcześniej, i spytał o doktora Meomartino. Ach, Włosi tego świata, wszędzie nas pełno.

Mężczyzna sprawdził w grubej księdze.

- Czwarty oddział chirurgii. Ale nie jestem pewien, czy nie śpi - dodał z wahaniem. - Mam zadzwonić?

- Nie, broń Boże.

Adam podziękował mu i wyszedł na dwór. W niewielkiej kawiarni po drugiej stronie ulicy paliło się światło, a kiedy podszedł bliżej, ujrzał niskiego bruneta stojącego za ladą i dolewającego wody do bufetowego termosu. Drzwi jednak były zamknięte, na stukanie mężczyzna nie raczył nawet podnieść wzroku. Wrócił więc do szpitala i spytał portiera o farbowanych włosach, jak trafić na oddział.

- Tym korytarzem, drugie schody za izbą przyjęć. Pierwsze piętro. Na pewno pan trafi.

Zbliżając się do izby przyjęć zastanawiał się, czy nie zaproponować pomocy. Na szczęście szybko wybił sobie z głowy ten pomysł, i to zanim jeszcze zjrzał do środka i stwierdził, że gabinet jest całkiem pusty. Na krześle siedział stażysta i czytał książkę, naprzeciw pielęgniarka ospale robiła na drutach. W kącie na noszach leżał sanitariusz. Miał lekko rozchylone usta i wyglądał jak śpiący niedźwiedź.

Adam wszedł po schodach, w pogrążonym w ciszy korytarzu minął chudego stażystę, którego rozpięty kołnierz zwiślał pod przyszczatą brodą niczym flaga w bezwietrzny dzień.

Ponieważ na oddziale paliło się tylko nocne oświetlenie, było tam ciemno. Pacjenci leżeli w rzędach, niektórzy nieruchomi jak kłody, inni wiercąc się nerwowo, nawiedzani we śnie przez demony.

„Nazwano ciebie, O Śnie!, przyjacielem nieszczęścia, ale to szczęśliwi dali ci to

imię...” Southey, natychmiast odpowiedział komputer.

Z jednego z łóżek dobiegało łkanie kobiety. Adam stanął.

- Co się stało? - spytał łagodnie. Chora miała zakrytą twarz.

- Tak bardzo się boję.

- Nie ma takiej potrzeby - odparł. Lepiej stąd zjeżdżaj, powiedział w duchu. Bo bardzo dobrze wiesz, że jest taka potrzeba.

- Kim pan jest?

- Lekarzem. Kobieta pokiwała głową.

- Jezus też był.

Po chwili milczenia ruszył dalej.

W gabinecie pielęgniarek zastał starszą kobietę, przyzwyczajoną do nowych lekarzy. Poczęstowała go kawą i smakowitymi świeżymi bułkami z masłem.

- Smacznego, doktorze. To bogaty okręg. Jestem Rhoda Novak. - Nagle się roześmiała. - Ma pan szczęście, że Helen Fultz ma dzisiaj wolne. Ona nie dałaby nikomu nawet okruszka.

Wyszła, zanim Adam skończył jeść. Miał ochotę na więcej, ale był jej wdzięczny i za tyle. Do gabinetu wszedł potężny mężczyzna w zielonym stroju operacyjnym i z westchnieniem opadł na krzesło. Spod czepka sterczały mu rude włosy, twarz, chociaż ogromna, wydawała się delikatna i nie uformowana, niczym twarz dorastającego chłopca. Przywitał Adama skinieniem głowy i już chciał sięgnąć po dzbanek z kawą, ale pager w jego kłapie nagle zabręczał. Mruknął coś, podszedł do telefonu, wystukał numer, powiedział do słuchawki kilka słów i szybko wyszedł.

Adam zostawił fusy po kawie i ruszył za nim przez labirynt korytarzy, aż znalazł się na bloku operacyjnym.

Blok operacyjny szpitala w Georgii był czysty, jaskrawo oświetlony, przestronny i nie zagracony. Tutaj natomiast światło było w najlepszym wypadku przyćmione, korytarze sprawiały wrażenie przechowalni niepotrzebnych mebli, zapasowych noszy, szafek na książki i najrozmaitszego wyposażenia; w godzinach szczytu leżeli tu zapewne również pacjenci - zarówno przed, jak i po operacji. Wahadłowe drzwi do sal operacyjnych były poobijane z obydwu stron, zwłaszcza tam gdzie kanty niezliczonych łóżek uderzały i ocierały się o nie, odkrywając kolejne warstwy laminowanego drewna, niczym znaki czasu, pierścienie w pniu drzewa.

Adam wszedł na galerię obserwacyjną, gdzie panował mrok i słychać było jakieś dziwne odgłosy, jakby ktoś bardzo głośno oddychał. Okazało się, że to oddech pacjenta

dochodzący przez interkom, który ktoś zostawił włączony z siłą głosu ustawioną na maksimum. Nie mogąc znaleźć wyłącznika światła, Adam po omacku przedostał się do pierwszego rzędu i usiadł. Przez szybę ujrzał leżącego na stole operacyjnym mężczyznę około czterdziestki, łysiejącego i najwyraźniej bardzo cierpiącego, który nie spuszczał z oka pielęgniarki szykującej narzędzia. Wzrok miał otępieły, pewnie dostał już środek uspokajający, jak również skopolaminę.

Po paru minutach otyły chłopak, który pił w kuchni kawę, wszedł na salę operacyjną, umyty i w rękawiczkach.

- Doktorze - przywitała go pielęgniarka.

Gruby kiwnął głową bez zainteresowania i zaczął podawać pacjentowi narkozę. Jego palce przypominające kielbaski przez chwilę bawiły się lewym ramieniem chorego, bez większego trudu odnalazły żyłę i wprowadziły cewnik dożylny. Na drugie ramię założył pacjentowi mankiet, a następnie zaczął badać ciśnienie.

- Tego się nie spodziewaliśmy - odezwała się pielęgniarka.

- I dalibyśmy sobie bez niego radę - odrzekł gruby. Podał środek rozkurczowy z usypiającą dawką Pentothalu, po czym zaintubował pacjenta. Od tego momentu oddychaniem chorego zajmowała się maszyna.

Wszedł stażysta, ten sam wysoki zaniedbany chudzielec, którego Adam minął na korytarzu. Ani anestezjolog, ani pielęgniarka nie zwrócili na niego uwagi. Zaczął przygotowywać brzuch do zabiegu, nacierając go środkami antyseptycznymi. Adam przyglądał się temu z zainteresowaniem, chciał bowiem wiedzieć, jak robi się takie rzeczy w tym szpitalu. Wyglądało na to, że stażysta użył tylko jednego roztworu.

W Georgii robiono to najpierw eterem, później alkoholem, a na koniec betadyną.

- Ufam, że zauważyłeś, jak gładko ogolony jest nasz pan Peterson - odezwał się stażysta. - Dupcia niemowlęcia to w porównaniu z nim dzika gęsta puszcza.

- Muszę rzeczywiście przyznać, Richardzie, że jak na chirurga świetny z ciebie cyrulik - odparował gruby.

Richard skończył dezynfekowanie brzucha, po czym zaczął przykrywać pacjenta sterylnymi serwetami, zostawiając odsłoniętą jedynie stopę kwadratową nagiego ciała.

Wszedł chirurg. Adam przypuszczał, że to właśnie poszukiwany przez niego Meomartino, nie był jednak w stu procentach pewien, gdyż nikt się z nim nie przywitał. Był to potężny mężczyzna o orlim nosie i ze starą blizną na policzku. Przez cały czas ziewał, przeciągał się i wzdrygał.

- Miałem taki fajny sen - powiedział. - Jak tam nasz perforowany wrzód? Krwawi?

- Nie sędzę, Rafę - odrzekł gruby. - Serce dziewięćdziesiąt sześć. Oddech trzydzieści.
- A ciśnienie krwi?
- Sto dziesięć na sześćdziesiąt.
- No to zaczynamy. Założę się, że dziura jest jak po papierosie.

Adam patrzył, jak bierze skalpel podany przez pielęgniarkę i wykonuje pierwsze cięcie rozdzielając ciało, które w miejscu gdzie dotąd znajdował się fałd brzuszny, teraz utworzyło coś na kształt ust. Meomartino przeciął skórę i tłustą żółtą tkankę podskórną, a Adam spostrzegł z zainteresowaniem, że stażysta zatrzymuje krwawienie gazikiem, a nie zaciskiem, wykorzystując jednocześnie nacisk gazika, aby rozszerzyć margines rany i odsłonić lśniąca szarą kopertę powięzi. „Kurczę, jakie to proste, a jakie przy tym skuteczne” - pomyślał Adam z podziwem. W Georgii nigdy nie wpadli na pomysł, by robić to właśnie w taki sposób. Po raz pierwszy ogarnęło go zadowolenie - zaczynał wierzyć, że czegoś się tu nauczy.

Początkowo Meomartino ciął ostrożnie i powoli, teraz jednak szybko i pewnie przeciął powięź. Adam wiedział, że aby zrobić to jednym pewnym cięciem, które nie uszkodzi znajdującego się tuż pod spodem mięśnia prostego, trzeba wcześniej przeprowadzić sporo podobnych operacji. Pozwolił, by na krótką chwilę ogarnęła go idiotyczna niechęć do chirurga z powodu jego wysokich umiejętności. Uniósł się z miejsca, by przyjrzeć się Meomartino w akcji, lecz stażysta przesunął głowę i ramiona i teraz już Adam nie widział niczego poza nimi.

Oparł się wygodnie i oczyma wyobraźni widział wszystko, co robi stojący na dole chirurg: unosi powięź, podważa ją ostrzem skalpela, a potem oddziela tępym brzegiem odsłaniając złączenie mięśnia prostego, odciąga go na bok i przez otrzewną dostaje się do jamy brzusznej.

Do jamy brzusznej. Dla kogoś planującego poświęcić się chirurgii ogólnej, gdzie tak wiele przypadków związanych jest właśnie z brzuchem, tam właśnie tkwi sedno całej sprawy.

- No i proszę, Richardzie, jest - odezwał się po chwili chirurg. Głos miał głęboki, a jego angielski wydawał się nieco zbyt poprawny, jakby był to jego drugi język. - Przez tylną ścianę dwunastnicy. No to co robimy?

- Trzeba by to zaszyć?

- A potem?

- Wagotomia?

- Och, Richardzie, Richardzie. Aż trudno mi w to uwierzyć. Taki jesteś młody i bystry, a rację masz tylko w połowie. Wagotomia, zgoda. Ale do tego jeszcze drenaż, mój drogi. A

potem wszystko pięknie się nam zabiżni. Wierz mi, chłopcze, to istny kamień milowy w annałach medycyny.

Przy stole zapadło milczenie. Adam uśmiechał się w ciemnościach, czując smutek młodego stażysty, który niezliczoną ilość razy bywał jego udziałem w jakże podobnych sytuacjach. Na galerii było ciepło i ciemno jak w łonie matki. Zasnął i natychmiast przyśnił mu się stary koszmar, o tym, jak w czasach studenckich dorabiał sobie wieczorami paląc w dwóch piecach; szczerze nienawidził pomarańczowych ziewających paszcz, które domagały się więcej węgla, niż był w stanie w nie wrzucić.

Jęknął przez sen i od razu się obudził, zdrętwiały i przygnębiony, początkowo nie rozumiejąc, skąd się wzięła ta nagła zmiana nastroju. Kiedy sobie przypomniał, oblizał wargi i lekko się uśmiechnął. Znowu ten przeklęty sen. A przecież nie miał go już od wielu lat. To pewnie z powodu zmiany miejsca, nowej sytuacji.

W dole tymczasem zespół chirurgów kontynuował pracę.

- Pomóż mi zamknąć jamę brzuszną, Richardzie - odezwał się Meomartino. - Ja będę szył, a ty będziesz wiązał. Ma być ładnie i ciasno.

- Będzie tak ciasno jak u twojej pierwszej dziewczyny - odparł Richard, patrząc przy tym na niepozorną pielęgniarkę, która jednak udawała, że nie słyszy.

- Chcę, żeby było jeszcze ciaśniej - odrzekł Meomartino.

Kiedy w końcu skinął głową i zadowolony odwrócił się od stołu, Adam wyszedł z galerii, zbiegł po schodach i dogonił chirurga przy drzwiach bloku operacyjnego.

- Doktorze Meomartino.

Chirurg zatrzymał się. W rzeczywistości okazał się niższy, niż wydawał się z góry. Powinien być synem mojej matki, pomyślał Adam, ale nie jest Włochem. Może to Hiszpan? Oliwkowa cera, ciemne oczy, twarz ogorzała pomimo szpitalnej bledkości, pod czepkiem włosy ciemne od potu, a w rzeczywistości prawie całkiem siwe. Facet jest starszy ode mnie, skonstatował.

- Jestem Adam Silverstone - przedstawił się lekko dysząc. - Nowy naczelny rezydent.

Kiedy ścisnął wyciągniętą rękę, uważne oczy bacznie mu się przyglądały.

- Przyjechał pan o dzień wcześniej. Widzę, że będę miał konkurencję - rzekł Meomartino z nieznacznym uśmiechem.

- Jechałem autostopem. Wyjechałem o dzień wcześniej, żeby mieć bezpieczny zapas, ale jak się okazało, był to nadmiar ostrożności.

- Aha. Ma pan gdzie mieszkać?

- Tutaj. W liście napisano, że szpital zapewnia pokój.

- Zazwyczaj naczelny rezydent korzysta z niego tylko w te noce, kiedy ma dyżury. Ja osobiście wolę mieszkać gdzie indziej. Tutaj byłoby mnie zbyt łatwo znaleźć.

- Więc wygląda na to, że będzie mnie zbyt łatwo znaleźć. Jestem kompletnie splukany.

Meomartino pokiwał głową bez zdziwienia.

- Nie mam uprawnień, żeby przydzielić panu pokój, ale pomogę panu przynajmniej znaleźć jakieś miejsce, żeby mógł się pan trochę przekimnąć.

Winda była stara i powolna. W nagłych wypadkach nacisnąć trzy razy - radził napis koło dzwonka. Adam pomyślał o oczekiwaniu na to monstrum w nagłym wypadku i ogarnęły go wątpliwości.

W końcu winda przyjechała i zawiozła ich na szóste piętro. Korytarz był wyjątkowo wąski i bardzo mroczny. Pokój miał numer 6-13, co jednak - powtarzał sobie - nie mogło być złym zwiastunem. Sufit był skośny, pomieszczenie znajdowało się na poddaszu starego budynku. Rolety były zaciągnięte. W przytłumionym świetle przerażające pęknięcie na jednej z gipsowych ścian zdawało się mieć kolor kału. Pod pęknięciem i naprzeciwko dwóch łóżek stało drewniane krzesło przy sekretarzyku oraz biurku w kolorze starej musztardy. Na jednym z łóżek leżał wyciągnięty mężczyzna w białym stroju, z egzemplarzem „New England Journal of Medicine” rozłożonym na klatce piersiowej i porzuconym na rzecz snu.

- To Harvey Miller. Chirurg z tamtej wytwornej instytucji na drugim końcu miasta - odezwał się Meomartino, nie siląc się na szept. - Niezły jest, jak na taką firmę.

W jego tonie brzmiało lekceważenie dla osób z zewnątrz. Ziewnął, machnął ręką i wyszedł.

Powietrze w pokoju było zatęchłe. Adam podszedł do okna i otworzył je na cztery cale. Roleta natychmiast zaczęła łopotać, Adam uniósł ją do poziomu okna i łopotanie ustało. Mężczyzna na łóżku zaczął się wiercić, lecz się nie obudził.

Adam zdjął „New England Journal” z Harveya Millera i położył się. Próbował sobie przypomnieć, jak wygląda Gaby Pender, po chwili stwierdził jednak, że nie pamięta żadnych szczegółów. W pamięci utkwiły mu jedynie silna opalenizna oraz cudowny pieprzyk na twarzy, no i jeszcze fakt, że całość ogromnie mu się kiedyś podobała. Materac był cienki i nierówny - demobil z oddziału. Przez otwarte okno dobiegały gdzieś z dołu pojękiwania cierpiącego pacjenta. Może nawet więcej niż pojękiwania, chociaż jeszcze nie krzyki. Harvey Miller głaskał się po kroczu, nieświadomy, że jakiś intruz śmiał naruszyć jego prywatność.

- Alice - powiedział bardzo wyraźnie.

Adam zaczął przeglądać strony z ogłoszeniami, fantazując na temat przyszłości, która

da mu wszystko, na co dotąd nie mógł sobie pozwolić, a przede wszystkim tyle pieniędzy, że wyciągnięta dłoń Myrona Silbersteina przestanie być jakimkolwiek zagrożeniem. Część ogłoszeń pomijał, inne przeglądał z pogardą - były to głównie zaproszenia dla kandydatów na studia podoktoranckie, wprawdzie ze zwrotem kosztów, za to z co najwyżej symbolicznym stypendium, informacje o stypendiach naukowych w wysokości siedmiu tysięcy dolarów rocznie bądź też o wolnych posadach na uczelniach za całe wielkie dziesięć tysięcy. Znalazł również sporo zwodniczych reklam tanich praktyk w wielkich centrach medycznych, takich jak Boston, Nowy Jork, Filadelfia, Chicago czy Los Angeles, gdzie starzy wyjadacze tylko czekali, żeby związać ręce początkującemu naiwniakowi i natychmiast wysłać go z blaszaną poduszką w dłoni na poszukiwania pracy w towarzystwach ubezpieczeniowych, płacąc mu całe sześć dolarów za godzinę.

Od czasu do czasu trafiało się ogłoszenie, które czytał uważnie kilka razy.

Dziesięcioosobowa klinika położona w północnym Michigan, w centrum wędkarskim i łowieckim, poszukuje chirurga ogólnego. Dysponujemy nowym budynkiem i gwarantujemy udział w zyskach.

Płaca początkowa: \$20000. Po dwóch latach możliwość przystąpienia do spółki.

Dochody z tytułu udziałów we własności od \$30000 do \$50000. Adres: F-213, New Eng. J. Med. 13-21.

Adam zdawał sobie sprawę, że za rok będzie potrzebował posady gdzieś z dala od uderzającej do głowy atmosfery szpitali uniwersyteckich i rządzącej w nich konkurencji. Wymarzonym rozwiązaniem byłby jakiś schorowany albo podstarzały chirurg gdzieś na prowincji, który pragnie przekazać stopniowo praktykę młodszemu wspólnikowi, zachowując jednocześnie udziały w zyskach. Coś takiego gwarantowałyby mu na początek jakieś trzydzieści pięć tysięcy i szansę na siedemdziesiąt po całkowitym usamodzielnieniu się.

Przy rzadkich okazjach, kiedy zdarzało mu się zastanawiać nad swoim stosunkiem do medycyny, Adam dochodził do wniosku, że chciałby być zarówno uzdrowicielem, jak i kapitalistą. Jezusem Chrystusem i maszynką do produkcji pieniędzy w jednym ciele. A właściwie dlaczegoż by nie? W końcu ludzie, których stać na płacenie horrendalnie wysokich rachunków, chorują tak samo jak głodni żebracy. A on nigdy i nikomu ubóstwa nie ślubował. Zresztą doświadczył go aż nadto i bez ślubowania.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Spurgeon Robinson.

- Dziecko! - wyszeptała mama Spurgeona głosem lekkim jak piórko. - Spurgeon, dziecko - powtórzyła głosem cięższym, za to wyższym, niczym ptak wypełniający pokój trzepotem skrzydeł.

Oczy miał zamknięte, lecz widział ją. Pochyliła się nad jego łóżkiem niczym drzewko brzoskwińskie uginające się pod ciężarem owoców, w koszuli nocnej z wyświechtanej flaneli, która skrywała dojrzałe, obwisłe piersi i twarde płaszczyzny, z palcami stóp powykręcanymi niczym korzenie i nogami jak dwa zniszczone pnie. Wstydził się, że mama nakryła go w tak niezręcznej sytuacji, wiedział bowiem, że przez cienki koc widać erekcję, efekt uboczny snów. Być może, pomyślał, jeśli będę udawał, że śpię, da mi spokój i wyjdzie, lecz w tym właśnie momencie sen stał się niemożliwy, gdyż zadziałał mechanizm jego budzika. Rozległo się znajome, niemal przyjemne dzwonienie, które towarzyszyło mu wiernie od wielu lat, i Spurgeon natychmiast się obudził, chociaż trochę potrwało, zanim przypomniał sobie, że jest dorosłym mężczyzną. Przez dłuższą chwilę nie pamiętał nawet, kim jest.

Doktor Robinson, pomyślał w końcu.

I gdzie: w jakimś cholernym szpitalu w Bostonie. Pierwszy dzień jako stażysta.

W łazience na końcu korytarza ktoś stał na palcach przed poplamionym lustrem, skrobiąc się maszynką po brodzie.

- Dobry. Jestem Spurgeon Robinson.

Biały chłopak sięgnął po ręcznik, po czym wyciągnął w stronę Spurgeona dłoń dobrego chirurga, niewielką, lecz silną, z pewnym, ale swobodnym uściskiem.

- Adam Silverstone - przedstawił się. - Jeszcze dosłownie trzy ruchy i będę gotowy.

- Nie ma pośpiechu - odparł Spurgeon, chociaż obaj zdawali sobie sprawę, że to nieprawda. Podłoga w łazience była drewniana, ze ścian odchodziła farba. Na drzwiach jednej z kabin ręka jakiegoś filantropa napisała: Siostrzyczka Rita Leary grzeje się jak młoda nutria. ASpinwall j-9910. Był to jedyny napis w całym pomieszczeniu, Spurgeon szybko więc go odcyfrował, po czym rzucił okiem w stronę lustra, żeby sprawdzić, czy biały to zauważył.

- Co to za jeden ten naczelny rezydent? Jaki jest? - spytał niedbale.

Maszynka, która miała właśnie przejechać po twarzy, zatrzymała się jakies pół cala od

policzka.

- Czasami go lubię. A czasami nie znoszę - odparł Silverstone.

Spurgeon pokiwał głową i postanowił się zamknąć, żeby biały mógł spokojnie skończyć golenie. Przez takie czekanie, pomyślał, mógłbym się spóźnić już pierwszego dnia. Powiesił szlafrok, zdjął slipy i wszedł do kabiny. Nie ośmielił się pozwolić sobie na luksus długiego prysznica, po upalnej letniej nocy spędzonej na dusznym poddaszu nie potrafił jednak zrezygnować z chociaż paru chwil pod strumieniem wody.

Kiedy wyszedł, Silverstone'a już nie było.

Spurgeon ogolił się szybko, ale starannie, wygięty nad staroświecką umywalką niczym sztywny czarny znak zapytania. Wiedział, że tego pierwszego dnia wytworzą się pewne precedensy, i postanowił, że jednym z nich będzie zasada, aby nigdy nie przychodzić na poranny obchód jako ostatni.

Już w swoim pokoju wskoczył w biały strój, tak sztywny od krochmalu, że aż szeleścił, i w buty, które poprzedniego wieczora starannie wypolerował. Zostało mu zaledwie kilka minut. Pomyślał ze smutkiem, że o śniadaniu może zapomnieć. Winda wlokła się niemilosiernie; upłynęło jeszcze mnóstwo czasu, zanim w końcu przywykł do jej żółtego tempa, jaskrawo kontrastującego z dzikim rozkładem dnia." W mieszczącym się na drugim piętrze gabinecie naczelnego rezydenta pełno było młodych mężczyzn w bieli, siedzących, rozpartych wygodnie lub stojących tam, gdzie było miejsce. Część z nich starała się wyglądać na znudzonych, niektórym nawet się to udawało.

Naczelny rezydent siedział za biurkiem i czytał „Chirurgię”. Spurgeon stwierdził z ogromnym zażenowaniem, że to nikt inny, tylko Silverstone. Komediant albo filozof, pomyślał wściekły na siebie za brak ogłady, będący przyczyną tego, że spytał obcego o zdanie na temat szefa, którego nigdy przedtem nie widział. Rozejrzał się dookoła, zawieszając na chwilę wzrok na każdej twarzy. Sami biali. Błagam Cię, Boże, nie pozwól, żebym coś schrzanił, modlił się w duchu, dokładnie tak samo jak przed każdym egzaminem na studiach.

Stał przerzucając ciężar z jednej nogi na drugą. W końcu zjawił się ostatni, nowy rezydent, spóźniony o całe sześć minut, o pierwsze sześć minut swojej rezydentury.

- Pańskie nazwisko? - odezwał się Silverstone.

- Potter, panie doktorze. Stanley Potter. Silverstone wpatrywał się w niego bez zmrużenia powiek.

Nowy tymczasem czekał na jakiś znak.

- Doktorze Potter, kazał nam pan na siebie czekać, przez co teraz my kažemy czekać pacjentom i pielęgniarkom.

Rezydent pokiwał głową, uśmiechając się z zakłopotaniem.

- Zrozumiał mnie pan?

- Tak.

- Obchód to obowiązek, który ma pana czegoś nauczyć, a nie kiepski show wystawiany na cześć pańskiej dojrzewającej osobowości, na który może pan sobie przychodzić albo nie, wedle uznania i o dowolnych porach. Jeżeli zamierza pan poświęcić się tej służbie, będzie pan myślał i postępował tak jak przystało na chirurga.

Potter uśmiechał się żałośnie.

- Zrozumiał pan?

- Tak.

- Świetnie. - Silverstone rozejrzał się po gabinecie. - Czy wszyscy panowie zrozumieli?

Paru nowych pokiwało głowami niemalże radośnie, wymieniając ukradkiem niezwykle wymowne spojrzenia, jako że otrzymali wreszcie odpowiedź na nurtujące ich pytanie.

Bydlak, mówiły ich oczy.

Pochód prowadził Silverstone, za nim maszerowali rzędkiem rezydenci oraz stażyści. Przystawał tylko przy niektórych łózkach, przez chwilę rozmawiał z pacjentem, przedstawiał w skrócie historię choroby, ospałym, a nawet nieco znudzonym głosem zadawał któremuś z lekarzy pytanie albo dwa, po czym ruszał dalej. Grupa poruszała się po obwodzie dużej sali.

Kiedy stanął przed leżącą na jednym z łóżek kolorową kobietą, której rude włosy zawdzięczały barwę taniej farbie, ta potraktowała wianuszek młodych mężczyzn w białych kitlach jak powietrze.

- Dzień dobry - zwrócił się do niej Silverstone. Spurgeonowi przyszło na myśl, że kobieta wygląda tak samo jak przynajmniej pół tuzina pijaczek z jego dawnej dzielnicy.

- To jest... - Silverstone zajrzał do karty choroby. - ...panna Gertrudę Soames. - Przez kilka chwil studiował dokumentację. - Pani Gertrudę leżała już wcześniej w szpitalu z powodu objawów związanych z marskością wątroby, której przyczyny są w tym przypadku dosyć typowe. Objawy są zresztą jak najbardziej namacalne.

Odsunął prześcieradło i podciągnął jej bawełnianą koszulę, odsłaniając chude nogi, melancholijny wzgórek łonowy oraz brzuch z dwiema starymi bliznami. Badał ją najpierw palcami jednej ręki, potem obu, ona zaś ani na moment nie odrywała od niego wzroku. Spurgeonowi skojarzyła się z psem, który bardzo chciałby ugryźć, ale się boi.

- Tutaj - odezwał się Silverstone, chwytając rękę Spurgeona i kładąc ją we właściwym

miejscu.

Gertrudę Soames przeniosła wzrok na Spurgeona Robinsona.

Jesteś taki sam jak ja, mówiły jej oczy. Pomóż mi.

Spojrzał w bok, zanim jego oczy zdążyły powiedzieć: Nie mogę ci pomóc.

- Czuje pan? - spytał Silverstone.

Skinął głową.

- Gertrudę, będziemy musieli zrobić pani biopsję wątroby - poinformował radośnie naczelny rezydent.

Potrząsnęła głową.

- Ależ tak.

- Nie - powiedziała.

- Nie możemy jej zrobić, jeżeli sobie pani tego nie życzy. Przepisy wymagają pisemnej zgody. Ale powinna pani wiedzieć, że z pani wątrobą jest coś nie w porządku, a bez tego badania nie będziemy wiedzieli, jak pani pomóc.

Milczała.

- To tylko igła. Wbijemy igłę, a kiedy ją wyjmemy, na jej końcu będzie maleńki wycinek pani wątroby, maleńki, choć dla naszych potrzeb wystarczająco duży.

- Czy to boli?

- Trochę boli, ale nie ma innego wyjścia. Musimy to zrobić.

- Nie jestem waszym królikiem doświadczalnym.

- I wcale nie chcemy, żeby nim pani została. My naprawdę chcemy pani pomóc. Rozumie pani, co się może stać, jeśli tego nie zrobimy? - spytał łagodnie.

- Jak pan tak mówi, to rozumiem. - Jej twarz wciąż była jak wyciosana z kamienia, za to matowe oczy nagle zalśniły i po policzkach popłynęły łzy. Silverstone sięgnął po papierową chusteczkę, by je otrzeć, ona jednak gwałtownie odwróciła głowę.

Silverstone poprawił jej koszulę i pościel.

- Proszę to sobie jeszcze przemyśleć - rzekł, poklepał ją po kolanie i poprowadził pochód dalej.

Na męskiej części oddziału podeszli do olbrzymiego mężczyzny, który był tak gruby, że zdawał się wylewać z łóżka. Siedział wsparty na trzech poduszkach i przyglądał się im nieufnie.

- Pan Stratton pracuje jako kierowca w wytwórni napojów gazowanych - oznajmił Silverstone, przeglądając kartę pacjenta. - Parę tygodni temu z jego ciężarówki zsunęła się drewniana skrzynka i uderzyła go poniżej prawego kolana. - Odkrył pacjenta odsłaniając jego

nogę, potężną, lecz nienaturalnie białą, z ropiejącą raną o średnicy około czterech cali.

- Czy noga wydaje się panu zimna, panie Stratton?

- Przez cały czas.

- Próbowano sączków i antybiotyków, ale rana nie chce się goić, a noga straciła normalną barwę. - Silverstone zwrócił się w stronę lekarza, którego zbeształ za spóźnienie.

- Doktorze Potter, co pan o tym sądzi?

Potter znowu uśmiechnął się żałośnie, nic jednak nie powiedział.

- Doktorze Robinson?

- Arteriogram.

- Świetnie. A gdzie wstrzyknąłby pan kontrast?

- W tętnicę udową - odparł Spurgeon.

- Co, chcecie mi zrobić operację?

- Nie rozmawiamy o operacji, przynajmniej na razie - wyjaśnił Silverstone. - Pańska noga wydaje się zimna, ponieważ krew nie krąży w niej prawidłowo. Musimy się dowiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Dlatego do tętnicy w pachwinie wstrzykniemy panu specjalny barwnik, a potem zrobimy kilka zdjęć.

Twarz Strattona poczerwieniała.

- Za nic w świecie nie zgodzę się na coś takiego - oświadczył.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Chyba wystarczy odsączać tę ranę, tak jak to robił doktor Perlman?

- Nie wystarczy. Doktor Perlman próbował tej metody przez dłuższy czas i nie przyniosła ona żadnej poprawy.

- Więc popróбуйте jeszcze.

Przez dłuższą chwilę panowała zupełna cisza.

- Gdzie jest doktor Perlman? - spytał mężczyzna.

- Chcę rozmawiać z doktorem Perlmanem.

- Doktor Perlman nie jest już naczelnym rezydentem - odparł Silverstone. - O ile wiem, obecnie jest kapitanem Perlmanem i znajduje się w drodze do Wietnamu. A ja nazywam się Silverstone i jestem jego następcą.

- Nie znosiłem żadnych zastrzyków, już kiedy pracowałem we flocie handlowej - wyjąkał mężczyzna. Któryś z otaczających łóżko stażystów parsknął radośnie, Silverstone odwrócił się i posłał mu lodowate spojrzenie. - Wydaje się wam cholernie śmieszne, że ktoś tak ogromny jak ja boi się was, wy bydlaki - mówił dalej Stratton. - Ale wierzcie mi, to wcale nie jest śmieszne, a pierwszemu, który mnie dotknie, sprawię takie manto, że zapamięta mnie

do końca życia.

Silverstone położył dłoń na jego klatce piersiowej. Delikatnie, niemal z roztargnieniem. Przez chwilę patrzyli na siebie i nagle oczy Strattona zwilgotniały.

Nikt się nie śmiał. Spurgeonowi przyszło do głowy, że na twarzy olbrzyma zagościł dokładnie taki sam strach, jaki dostrzegli na twarzy podstarzałej prostytutki. Właściwie mogłaby być jego siostrą.

Tym razem Silverstone nie sięgnął po chusteczkę.

- A teraz niech pan posłucha - odezwał się tonem rodzica rozmawiającego ze zbuntowanym dzieckiem. - Tylko niech pan słucha uważnie. Nie może pan sobie pozwolić na dalszą stratę czasu. Jeśli będzie pan nam sprawiał kłopoty... jakiegokolwiek kłopoty... i utrudniał przeprowadzenie koniecznych badań, może pan raz na zawsze zapomnieć o sprawieniu nam lania, bo będzie pan miał za mało siły, żeby poradzić sobie nawet z Sierotką Marysią. Powiem jeszcze inaczej, albo będzie pan miał tylko jedną nogę, albo będzie pan trupem. Rozumie pan?

- Rzeźnicy - wyszeptał Stratton.

Silverstone odwrócił się na pięcie i odszedł, a jego śladem ruszyło posłusznie czternaście postaci w bieli.

Posiedzenia Komisji Zgonów odbywały się na galerii nad salą operacyjną.

- Co to, do licha, jest ta cała Komisja Zgonów? - spytał szeptem stażysta Jack Moylan, stojący obok Spurgeona, kiedy przestudiował fotokopię rozkładu pierwszego dnia.

Spurgeon wiedział. Takie same komisje zbierały się regularnie w Nowym Jorku, chociaż jako student nie miał prawa w nich uczestniczyć.

- To takie miejsce, gdzie spadają ci na łeb wszystkie przeklęte błędy, które zdarzyło ci się popełnić - wyjaśnił.

Moylan nadal nie bardzo rozumiał.

- Niedługo zaczniesz jak inni nazywać te posiedzenia Sądem Truposzy. Spotykają się na nich wszyscy chirurdzy, żeby jeszcze raz przeanalizować zejścia śmiertelne i ocenić, czy można było im zapobiec, a jeżeli było można, to dlaczego tak się nie stało. To taka metoda zapewniająca kontynuację nauki, a zarazem swoista kontrola jakości pracy. Polowanie na czarownice, obciążanie brzemieniem odpowiedzialności.

Jezu - wykrztusił stażysta.

Siedzieli we wznoszących się rzędach krzeseł, popijając kawę albo pepsy z tekturowych kubków. Jedna z pielęgniarek przyniosła talerze z herbatnikami. Z przodu, po przeciwnych stronach niewielkiego stołu zarzuconego stertami dokumentacji, siedzieli Silverstone i Meomartino. Ze względów administracyjnych oraz szkoleniowych lekarze

zostali podzieleni na dwa zespoły: Niebieski i Czerwony. Przypadki dotyczące Zespołu Czerwonego prowadził Meomartino, Niebieski obsługiwał Silverstone.

Z brzegu pierwszego rzędu zastępca ordynatora chirurgii, doktor Bester Caesar Kender („Kłopoty? To Bester C. Kender.”), żujący cygaro były pułkownik lotnictwa, który zdobył sławę jako pionier transplantacji nerek, opowiadał sprośny kawał doktorowi Joelowi Sackowi, szefowi patologii. Stanowili oni genialne studium kontrastu: Kender był potężnym, mocno owłosionym facetem o rumianej twarzy, zaciągającym w sposób typowy dla mieszkańców ziemniaczanego królestwa Maine, Sack natomiast był łysy, przesadnie elegancki i na pierwszy rzut oka bardziej przypominał wyłysiałą złośliwą wiewiórkę niż mężczyznę.

Razem siedzieli dwaj zatrudnieni na chirurgii Chińczycy, doktor Lewis Chin, rodowity Bostończyk, oraz księżycolicy doktor Harry Lee, rezydent trzeciego roku z Furmosy, a także dwie kobiety: doktor Miriam Parkhurst i doktor Helena Manning, chłodna, pewna siebie dziewczyna, rezydentka pierwszego roku.

Kiedy wszedł ordynator chirurgii, wszyscy wstali. Spurgeon zrobił to tak gwałtownie, że cola wylała mu się z tekturowego kubka na śliczne śnieżnobiałe spodnie.

Doktor Longwood skinął głową i wszyscy posłusznie usiedli.

- Panowie - rozpoczął. - Witam wszystkich tych, którzy dopiero przybyli do naszego szpitala. Na wstępie powinienem chyba wyjaśnić, że nasz szpital to tętniąca życiem podległa miastu placówka, która ma wam do zaoferowania ciężką pracę i w zamian oczekuje od was bardzo, bardzo dużo. Nasze standardy są wysokie. Spodziewamy się, że każdy z was będzie ni mniej ni więcej, tylko wypełniał złożoną przysięgę. Zebranie niniejsze to obrady Komisji Zgonów. Jest to część naszego tygodnia pracy o niezwykłym znaczeniu dla waszego dalszego rozwoju zawodowego. Kiedy opuszczacie salę operacyjną, zabieg, który przeprowadziliście, przechodzi do przeszłości. Tutaj, na tych spotkaniach, wszystkie błędy zarówno wasze, jak i moje, będą wyciągane na światło dzienne i badane pod czujnym okiem naszych kolegów. To, co dzieje się tutaj, być może nawet w większym stopniu niż to, co dzieje się na sali operacyjnej, uczyni z was prawdziwych chirurgów. - Zgarnął garść krakersów, rozsiadł się wygodnie w pierwszym rzędzie, po czym skinął głową w stronę Meomartino. - Może pan zaczynać, doktorze.

W miarę jak Rafael Meomartino czytał dokumentację pierwszej sprawy, stało się jasne, że rzecz dotyczy rutynowego przypadku pięćdziesięciodziewięcioletniego mężczyzny z zaawansowanym rakiem płuc, który zdecydował się szukać pomocy lekarzy, kiedy było już na nią zdecydowanie za późno.

- Możliwa do zapobieżenia czy nieunikniona? - spytał doktor Longwood, strzepując okruszki. Wszyscy starsi lekarze uznali śmierć za nieuniknioną. - Daleko za miejscem, z którego nie ma już powrotu - podsumował ordynator chirurgii. - Wskazuje wyraźnie na potrzebę odpowiednio wczesnej diagnozy.

Drugi przypadek dotyczył kobiety, która zmarła na oddziale, leczona z powodu zmian w żołądku. Wcześniej nie stwierdzono choroby serca, a sekcja zwłok wykazała, że zmiany nie były złośliwe. Ponownie wszyscy chirurdzy uznali zgon za nieunikniony.

- Zgadzam się - stwierdził doktor Longwood - muszę jednak zauważyć, że gdyby zgon nie nastąpił z powodu choroby wieńcowej, należałoby uznać, że pacjentka była leczona nieprawidłowo. Powinniśmy byli otworzyć jamę brzuszną i zbadać te zmiany. Przed dwoma miesiącami „Lancet” opublikował niezwykle interesujący artykuł, w którym podkreślono, że odsetek pięcioletniego okresu przeżycia u pacjentów z leczonym farmakologicznie nowotworem żołądka, niezależnie od tego, czy jest on łagodny czy złośliwy, wynosi około dziesięciu procent. Kiedy pacjent zostaje zoperowany, choćby po to, by sprawdzić, jak przedstawia się sytuacja, odsetek ten wzrasta i sięga od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu procent.

To zwykła szkolna klasa, pomyślał Spurgeon, nieco uspokojony. Tylko klasa.

Doktor Longwood przedstawił Elizabeth Hawkins oraz Louisa Solomona. Spurgeon wyczuł pewną zmianę nastroju, zwrócił też uwagę, że Kender, ten od transplantacji nerek, wychylił się do przodu i nerwowo obraca jakiś przedmiot w wielkiej dłoni.

- Cieszymy się, że doktor Hawkins i doktor Solomon przyjęli nasze zaproszenie na dzisiejsze spotkanie - mówił Longwood. - Są rezydentami na pediatrii, gdzie kończyli właśnie staż, kiedy doszło do zgonu, który zamierzamy teraz omówić.

Adam Silverstone przeczytał o pięcioletniej Beth-Ann Meyer, która doznała oparzeń trzydziestu procent powierzchni ciała, po tym jak ściągnęła na siebie garnek z wrzątkiem. Dwa przeszczepy później, o trzeciej w nocy zaczęła wymiotować, a zwracane kawałki pożywienia zatkały tchawicę. Upłynęło szesnaście minut, zanim zjawił się rezydent anesteziologii. Wtedy jednak mała pacjentka już nie żyła.

- Nie ma oczywiście żadnego usprawiedliwienia dla anesteziologa, który zjawił się tak późno - stwierdził doktor Longwood. - Proszę mi jednak powiedzieć... - Jego zimne spojrzenie przeskakiwało z doktor Hawkins na doktora Solomona i z powrotem. - ...dlaczego nie nacięliście państwo tchawicy?

- To wszystko stało się tak szybko - odparła dziewczyna.

- Nie było zestawu do tracheotomii - dodał doktor Solomon.

Doktor Kender uniósł pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym ów przedmiot, którym tak nerwowo się bawił.

- Czy wie pan, co to jest? - spytał.

Doktor Solomon odchrząknął.

- Scyzoryk.

- Nigdy się z nim nie rozstaję - powiedział cicho chirurg. - Mógłbym nim otworzyć tchawicę nawet w tramwaju.

Oboje pediatrizy milczeli. Spurgeon nie mógł oderwać oczu od bladej twarzy dziewczyny. Podają im to bez żadnego znieczulenia, pomyślał. Mówią im: To wy - właśnie wy - zabiliście to dziecko.

Doktor Longwood spojrzał na doktora Kendera.

- Możliwa do uniknięcia - stwierdził zastępca ordynatora, nie wyjmując z ust cygara.

Na doktora Sacka.

- Możliwa do uniknięcia.

Na doktora Paula Sullivana, chirurga wizytującego.

- Do uniknięcia. Na doktor Parkhurst.

- Zgadza się - odparła.

Spurgeon siedział bez ruchu, a słowa-wyrok przetaczały się po obwodzie sali niczym ciężkie głazy. Nie był już w stanie patrzeć na dwójkę rezydentów pediatrii.

Boże, pomyślał. Proszę cię, nigdy nie pozwól, żeby mnie coś takiego spotkało.

Skierowano go na oddział do Silverstone'a. Poszli tam razem. Była akurat pora, kiedy pielęgniarki mają pełne ręce roboty: zmieniają proste opatrunki, mierzą temperaturę, podają soki, baseny, lekarstwa, a także uzupełniają dokumentację. Stali na korytarzu.

Rezydent przeglądał notatki, które zrobił w czasie porannego obchodu, Spurgeon gapił się na dwie chichoczące pielęgniarki zajęte ścieleniem łóżek, aż w końcu Silverstone uniósł nieco głos.

I wtedy przemówił Pan, pomyślał Spurgeon.

- Harold Krebs z 304, pacjent po nacięciu stercza. Trzeba mu podać dwie jednostki pełnej krwi. Trzeba też podłączyć kroplówkę Abrahamowi Batsonowi z 310. Później weźmie pan zestaw do wenesekcji i założymy Rogerowi Cortowi z 308 cewnik do żyły głównej.

W dyżurce siedziała stara chuda kobieta o słabych, rzadkich włosach, nosząca na czepku opaskę pielęgniarki oddziałowej. Spurgeon mruknął słowa przeprosin i sięgnął nad jej głową po telefon.

- Ma pani numer banku krwi? - spytał. Nawet na niego nie spojrzawszy, podała mu

zeszyt. Wykręcił numer, ten jednak okazał się zajęty.

Do dyżurki weszła śliczna, zgrabna, ciemnowłosa pielęgniarka i zaczęła pisać na tablicy wiadomość: Doktor Levine, proszę zatelefonować do W. Ayland 8j2-8694.

Spurgeon ponownie wykręcił numer banku krwi.

- Może w czymś panu pomóc, doktorze? - odezwała się młoda pielęgniarka.

- Próbuję dodzwonić się do banku krwi.

- Ma pan małe szanse. Ten numer jest ciągle zajęty. Większość stażystów po prostu schodzi tam i osobiście przynosi potrzebną krew. Musi pan rozmawiać z Betty Callaway.

Podziękował jej, a ona wybiegła z dyżurki. Raz jeszcze pochylił się nad głową oddziałowej, żeby odstawić telefon. Ty stara biała wiedźmo, pomyślał. Dlaczego mi nie powiedziałaś? Cholera, nawet nie wiem, gdzie jest ten przeklęty bank krwi.

Pochylił się i spojrzął na plakietkę z nazwiskiem oddziałowej.

- Panno Fultz - zwrócił się do niej, ona jednak nie przerwała pisania. - Czy zechce mi pani powiedzieć, gdzie jest bank krwi?

- Na dole - burknęła nie unosząc wzroku.

Odnalazł go w końcu trzykrotnie pytając o drogę, zamówił krew u Betty Callaway i czekał niecierpliwie, kiedy szukała odpowiedniej grupy. Jadąc z powrotem na górę w trzeszczącej, niemiłosiernie wlokącej się windzie, kłął się w duchu i nazywał tępym osłem, który użera się z gospodarzami niczym jakaś miniaturowa, cynowa wersja Stokeleya, zamiast po prostu pokręcić się po szpitalu i zorientować się, gdzie wszystko jest.

Początek dnia był taki, że Spurgeon wcale by się nie zdziwił, gdyby pacjent z 304 miał niewidoczne żyły, na szczęście jednak okazało się, że tak nie jest. Wręcz przeciwnie, Harold Krebs miał żyły bardzo wyraźne, jakby stworzone do wszelkiego rodzaju kroplówek. Transfuzja odbyła się bez najmniejszych problemów.

Teraz przyszła kolej na kroplówkę w 310. Tylko gdzie są zestawy do kroplówek? Pomyślał, że nie może spytać panny Fultz, ale niemal natychmiast zmienił zdanie. W żadnym razie nie pozwoli tej starej wiedźmie się zastraszyć.

- Na korytarzu, w szafce - odparła, nadal nie podnosząc wzroku.

Spójrz no na mnie, paniusiu, powiedział w duchu. To tylko czarna skóra, oczu ci nie wypali. Wziął zestaw i - a jakże - Abraham Batson z 310 okazał się tym, kogo spodziewał się zastać w sali 304: zasuszonym człowieczkiem o żyłach cienkich jak włos, ze śladami na rękach jasno wskazującymi, że już niejeden próbował się w nie wkluć, i to z raczej marnymi efektami. Spurgeonowi ta trudna sztuka udała się po ośmiu próbach, którym towarzyszyły pojękiwania i rozpaczliwe spojrzenia człowieka wyglądającego jak poduszczyk do igieł.

Wreszcie skończył i był wolny.

Jezu, zestaw do wenesekcji.

- Panno Fultz - odezwał się.

Tym razem podniosła wzrok, a jego o mało nie trafił szlag na widok bezgranicznej pogardy w jej bladoniebieskich oczach.

- Gdzie znajdę zestaw do wenesekcji?

- Trzecie drzwi po lewej.

Wziął zestaw i odszukał Silverstone'a, który czekał na żeńskiej części oddziału.

- Boże. Już chciałem wysłać po pana ekspedycję ratunkową - przywitał go rezydent.

- Większość czasu spędziłem szukając drogi.

- Znam ten ból. Razem poszli na salę 308.

Roger Cort miał raka jelit. Spurgeon pomyślał, że jeśli człowiek przyjrzałby się temu pacjentowi bardzo uważnie, dostrzegłby przycupniętego na jego prawym ramieniu anioła.

- Robił pan kiedyś wenesekcję?

- Nie.

- To niech pan patrzy uważnie, bo następnym razem zrobi ją pan samodzielnie.

Obserwował, jak Silverstone sterylizuje okolice kostki, podaje nowokainę, po czym wykonuje niewielkie nacięcie za kostką przyśrodkową. Założył dwa szwy, jeden na dole, drugi na górze, wsunął kaniulę, umocował ją drugim szwem i już po paru sekundach glukoza płynęła powoli do krwiobiegu Rogera Corta. Silverstone zrobił to wszystko z taką łatwością, że Spurgeon pomyślał, że on także powinien sobie poradzić.

- Jaką przyjemność proponuje pan teraz? - spytał.

- Idziemy na kawę - odrzekł Silverstone i tak też uczynili. Nalała im tamta śliczna brunetka.

- Jak się panu podoba nasz oddział? - zagadnęła.

- Ciekawe, cóż takiego gnębi waszą oddziałową? - spytał Silverstone. - Od rana nic, tylko na mnie burczy.

- Och, ta kobieta to prawdziwa legenda tego szpitala. I postrach - roześmiała się dziewczyna. - Nie rozmawia z lekarzami, o ile ich nie lubi, a lubi mało którego. Podobno są tacy, którzy znają ją już od trzydziestu lat, a wciąż na nich burczy.

- To dopiero dziedzictwo - mruknął Silverstone ponuro.

Przynajmniej, pomyślał Spurgeon, nie chodzi jej o kolor skóry. Babsko zionie nienawiścią do całego świata. Ta myśl poprawiła mu humor. Dopił kawę, zostawił Silverstone'a i poszedł na oddział, gdzie zmienił kilka opatrunków, nie musząc o nic pytać

panny Fultz. Lepiej trochę się tutaj rozejrzeć, pomyślał, zastanawiając się, co by zrobił, gdyby nagle jakiś pacjent dostał zawału. Nie miał pojęcia, gdzie szukać defibrylatora czy respiratora. Korytarzem pędziła akurat jakaś pielęgniarka.

- Przepraszam, gdzie jest zestaw reanimacyjny? - spytał.

Stała, jakby wyrznięta w niewidzialną szklaną ścianę.

- Czy jest potrzebny?

- Nie - odpowiedział.

- A więc spodziewa się pan, że będzie, doktorze?

- Nie.

- Widzi pan, a ja mam pacjentkę, która właśnie próbuje wyrzucić żołądek - stwierdziła z oburzeniem i popędziła dalej.

- Tak, psze pani - wydusił z siebie, lecz jej już nie było. Westchnął i wyruszył na poszukiwania, Spurgeon Robinson, badacz i odkrywca na dziwnym, obcym lądzie.

O ósmej wieczorem, trzydzieści sześć godzin od rozpoczęcia kariery stażysty Spurgeon otworzył drzwi pokoju na szóstym piętrze i skrzywił się, kiedy buchnęło na niego duszne, gorące powietrze.

- Oho - mruknął.

Poprzedniej nocy spał zaledwie parę godzin, jako że w razie potrzeby na pierwszy ogień szli stażyści, rezydentów budzono jedynie w wypadkach naprawdę poważnych. Tak więc Spurgeon musiał wstawać osiem albo dziewięć razy, żeby przepisać pacjentom proszki na sen, do którego jemu, jako stażystce, prawo odebrano.

Odłożył papierową torbę, którą przyniósł, i otworzył szeroko okno. Ściągnął buty nie rozwiązując sznurowadeł, zrzucił białe łachy i przepoconą bieliznę, a następnie wyjął z papierowej torby sześciopak piwa, szybko otworzył puszkę i wypił jednym haustem jedną trzecią jej lodowatej zawartości. Westchnął, podszedł do szafy i wyjął gitarę.

Siedząc na łóżku dopił piwo, po czym zaczął delikatnie uderzać w struny i nucić cicho partię tenorową madrygału.

W moim ogrodzie rośnie róża.

Która ostry kolec ma

A ja kłuję się tym kolcem

Na dzień chyba razy dwa.

Śpieszę więc błagać.

Gdy zaczynam krwawić:

Zetrzyj krew

Z róży

W moim ogrodzie...

Do licha, nie, pomyślał ze smutkiem. W tym miejscu nie było odpowiedniego nastroju.

Jego własne utwory zawsze potrzebowały entuzjastycznej publiczności, jakiegoś smukłego kociaka o oczach mówiących „cudownie, Spurgeon”, zachęcającego dotyku kolana dziewczyny siedzącej obok niego za fortepianem, facetów stawiających mu drinki, jakby był Ellingtonem, i domagających się, żeby zaśpiewał to czy tamto.

Uświadomił sobie, że tęskni za tymi występami.

- To wszystko twoja wina, wuju Calvinie - odezwał się na głos.

Wuj Calvin był przekonany, że Spurgeon skończy brzdąkając na pianinie w jakiejś podrzędnej speluncie w Harlemie, a może nawet jeszcze gorzej. Spurgeon uśmiechnął się, otworzył następną puszkę i wypił za zdrowie ojczyma. Jego pieniądzom zawdzięczał to, że został lekarzem, chociaż uparł się, że nie przejmie interesu, który wuj rozwijał w pocie czoła przez większą część życia. A potem wypił za siebie, za faceta pływającego we własnym pocie w tym ciasnym dusznym pudełku.

- Wuju Calvinie - przyznał głośno - dla mnie słowo „sukces” oznacza coś trochę innego.

Podszedł do okna i spojrzał na światła, które właśnie zaczynały się palić, nad miastem bowiem zapadał zmrok. Muszę za wszelką cenę wyrwać się z tej przeklętej dusznej szafy, postanowił. Gdzieś tam na dole na pewno znajdą się cztery kąty zdolne pomieścić używane pianino.

- Bydlaki - rzucił w stronę miasta.

Przez trzy dni mieszkał w Statlerze, odpowiadając na wszystkie ogłoszenia w sprawie mieszkań do wynajęcia, które ukazywały się w „Heraldzie” i w „Globe”. Pośrednicy reagowali bardzo ciepło na telefon doktora Robinsona, kiedy wszakże przychodził na spotkanie, nagle się okazało, że mieszkanie właśnie zostało wynajęte.

- Mówi coś panu nazwisko Crispus Attucks? - rzucił w stronę ostatniego pośrednika.

- Że jak? - spytał tamten nerwowo.

- Był kolorowy, tak samo jak ja. To pierwszy Amerykanin, który poległ w waszej przeklętej rewolucji.

Mężczyzna pokiwał radośnie głową i uśmiechnął się z wyraźną ulgą, kiedy natręt w końcu sobie poszedł.

Przecież muszą być jakieś przyzwoite budynki, w których wolno mieszkać

kolorowym, pomyślał wtedy Spurgeon.

No cóż, zastanawiał się teraz, być może po prostu szukałem czegoś zbyt przyzwoitego. Problem polegał jednak na tym, że mógł sobie pozwolić na naprawę przyzwoitego mieszkania, wuj Calvin uparł się bowiem, że co miesiąc będzie mu przysyłać czek, chociaż Spurgeon tłumaczył, że teraz sam zarobi na swoje utrzymanie. Klócili się tak długo, aż Spurgeon pojął, że w każdy trzeci czwartek miesiąca podpisując czek Calvin będzie mu dawał dwie rzeczy: pieniądze, które cenił, gdyż pamiętał czasy, kiedy ich nie miał, i miłość, najcudowniejszą rzecz w jego życiu.

Dobry staruszek, pomyślał czule. Dlaczego nigdy nie potrafiłem nazwać go ojcem?

Kiedyś, przed laty - pamiętał to dokładnie, choć zdawało mu się, że to tylko zły sen - byli ubogimi czarnuchami, później matka wyszła za Calvina i stali się bogatymi Murzynami. Wcześniej spał w kołysce stojącej obok łóżka mamy w ciasnym brzydkim pokoju przy 172 Zachodniej. Ściany były wyklejone bladobrązową tapetą z zaciekami pod sufitem, pozostałością po tym, jak dawno temu na górze coś się rozlało albo pękła rura od ogrzewania. Zawsze myślał, że te zacieki to ślady po łzach, bo kiedy płakał, mama wskazywała na nie i mówiła, że jeśli nie przestanie się mazać, to na policzkach zrobią mu się takie same. Pamiętał też skrzypiący fotel bujany z wyświechtaną poduszką, dwupalnikową kuchenkę gazową, fatalnie działającą, bo zagotowanie wody trwało chyba godzinę, a także niewielki stolik do kart, na którym nie można było zostawiać na noc żadnego jedzenia ze względu na głodne stworzenia wylazące ze ścian.

Wspominał te rzeczy tylko wówczas, gdy nie udawało mu się przed nimi uciec. Wolał jednak myśleć o mamie, o tym, jaka była w młodości.

Kiedy był mały, mama zostawiała go codziennie u pani Simpson, która zajmowała trzy pokoje piętro niżej i sama miała trójkę dzieci oraz comiesięczny czek z pomocy społecznej zastępujący jej męża i pracę. Mama nie dostawała takich czeków, pracowała jako kelnerka w niezliczonych restauracjach, po czym zostały jej zniekształcone stopy i wiecznie opuchnięte nogi. Lecz nawet mimo to pozostała niezwykle piękna. Urodziła go jako młoda dziewczyna, dzięki wczesnemu macierzyństwu jej ciało dojrzało, ale zostało szczupłe i jędrne.

Mama czasami płakała przez sen i zawsze wcierała środek odkażający w deskę sedesową w ubikacji, którą dzielili z Hendersonami i Catlettami. Niekiedy wieczorem, zmówiwszy pacierz, leżał w ciemnościach i powtarzał szeptem jej imię. Roe-Ellen Robinson... Roe-Ellen Robinson...

Słyszac to, pozwalala mu przyjsc do swojego lozka. Obejmowala go wtedy mocno i

tuliła tak długo, aż zaczynał krzyczeć, a potem drapała po plecach i śpiewała mu piosenki -

Och, ta rzeka jest szeroka i głęboka, alleluja! A na drugiej stronie tylko miód i mleko...

- i opowiadała mu, jak bajeczne będzie ich życie, kiedy dotrą do owej mlekiem i miodem płynącej krainy, on zaś leżał z głową na jej dużych, miękkich piersiach i zasypiał, szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy.

Chodził do pobliskiej szkoły, starego budynku z czerwonej cegły, gdzie szyby wybijano tak często, że miasto nie nadążało z ich wymianą, betonowym boiskiem na zewnątrz i dziwnymi miazmatami wewnątrz, na które składały się głównie woń gazu świetlnego oraz odór ciał nie znających wanny ani gorącej wody. Kiedy poszedł do pierwszej klasy, mama powiedziała mu, że musi koniecznie nauczyć się czytać, bo jego ojciec był wykształcony i zawsze siedział z nosem w książce. Spurgeon nauczył się więc i czytać, i pisać, i wkrótce bardzo mu się to spodobało. W wyższych klasach, czwartej, piątej i szóstej, trudniej było mu czytać w szkole, gdyż zawsze istniały jakieś obiektywne przeszkody, wówczas jednak znał już drogę do biblioteki publicznej, z której znosił do domu mnóstwo książek.

Po dworze biegał głównie z dwoma chłopakami, Tommym White'em,*[* White - angielskie biały (przyp. tłum.)] który był bardzo czarny, i Fatsem McKenną, który miał skórę koloru jasnożółtego, był okropnie kościsty i pewnie dlatego nazywano go Fats*[* Fats - angielskie tłścioch (przyp. tłum.)].

Początkowo najbardziej lubił w nich właśnie to, jak się nazywali, ale po jakimś czasie zostali jego najlepszymi kumplami. Wszystkim trzem podobała się niejaka Fay Hartnett, która potrafiła śpiewać jak Satchmo i trąbić za pomocą samych ust jak najprawdziwsza funkowa trąbka. Kręcili się głównie po okolicach Siedemnastej Zachodniej, grali w palanta i krytykowali jankesów oraz swoich tępych białych belfrów. Od czasu do czasu szli do sklepu, żeby coś zwędzić. Dwóch odwracało uwagę sprzedawcy, trzeci zgarniał towar, przede wszystkim jakąś wałówkę. Ze trzy razy zdarzyło im się obrobić jakichś zapitych facetów. Tommy i Spurgeon trzymali delikwenta, Fats natomiast, któremu wydawało się, że wygląda jak Sugar Ray, wykonywał pracę fizyczną.

Obserwowali uważnie zmiany zachodzące w ciele Fay Hartnett; pewnego wieczora na dachu domu, w którym mieszkał Fats, nauczyła ich tego, czego nieco wcześniej sama nauczyła się od starszych chłopaków. Chwalili się tym każdemu, kogo spotkali, i parę dni później Fay wykonała tę samą usługę dla nich oraz sporej grupy ich kumpli. Po dwóch

miesiącach wyleciała ze szkoły i odtąd widywali ją jedynie na ulicy. Chichotali wtedy radośnie, gdyż wyglądała, jakby połknęła piłkę do kosza, a potem dała ją sobie nadmuchać. Spurgeon nie miał wyrzutów sumienia, nie czuł się ani trochę odpowiedzialny za jej stan; w końcu za pierwszym razem był drugi, za drugim - siódmy, może nawet ósmy. A skąd miał wiedzieć, ile było innych podobnych imprez, na które nie dostał zaproszenia? Czasami jednak brakowało mu jej śpiewu.

Nie potrafił sobie wyobrazić mamy wyczyniającej to samo co Fay, rozkładającej nogi, wilgotnej i wijącej się z rozkoszy, aczkolwiek w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że na pewno to robi, przynajmniej od czasu do czasu. Roe-Ellen zawsze знаła mnóstwo facetów, czasami płaciła pani Simpson, żeby przenocowała Spurgeona w pokoju jej synów, Peteya i Teda. Szczególnie taki jeden - nazywał się Elroy Grant - potężny i przystojny właściciel pralni chemicznej przy Amsterdam Avenue kręcił się koło jego mamy. Cuchnął mocną whisky i nie zwracał uwagi na Spurgeona, który szczerze go nienawidził. Facet uganiał się za wieloma innymi kobietami, nic więc dziwnego, że pewnego dnia Spurgeon zastał Roe-Ellen siedzącą na kanapie i zalewającą się łzami, a kiedy spytał panią Simpson, co się stało, usłyszał, że Elroy ożenił się z pewną wdową, właścicielką knajpy w Borough Hall, zamknął pralnię i wyniósł się do Brooklynu. Przez kilka tygodni mama snuła się osowiała, aż w końcu otrząsnęła się z letargu i oznajmiła, że teraz Spur będzie musiał zachowywać się jak dorosły mężczyzna, ponieważ zapisała się na kurs dla sekretarek i cztery wieczory w tygodniu będzie spędzać w szkole na górnym Broadwayu. Kiedy nie szła do szkoły, Spurgeon starał się zawsze być w domu, traktował te wieczory jak święta.

Roe-Ellen chodziła do szkoły przez dwa lata, po jej ukończeniu pisała na maszynie siedemdziesiąt dwa słowa na minutę i notowała do stu słów systemem Gregga. Obawiała się, że będzie miała kłopoty ze znalezieniem pracy, tymczasem już po dwóch tygodniach została zatrudniona przez Towarzystwo Ubezpieczeń na Życie American Eagle. Co wieczór wracała do domu z radosnym błyskiem w oczach i opowiadała synowi nowe cuda, o elektrycznej windzie, pięknych dziewczynach, listach, które tego dnia przepisała, i o rozkoszach pracy siedzącej.

Któregoś dnia wróciła nieomal przerażona.

- Kochanie, widziałam dzisiaj samego prezydenta.

- Eisenhowera?

- Nie. Pana Calvina J. Priesta, prezydenta Towarzystwa Ubezpieczeń na Życie American Eagle. Spur, kochanie, on jest kolorowy!

To się nie trzymało kupy!

- Coś ci się musiało pomylić, mamó. To na pewno tylko jakiś mocno przysmażony białas.

- Mówię ci, że jest tak samo czarny jak ty. A skoro Calvin J. Priest potrafił się wybić tak wysoko i zostać prezydentem Towarzystwa Ubezpieczeniowego, to niby czemu czegoś podobnego nie miałby osiągnąć Spurgeon Robinson? Synku, synku, jeszcze się przekonasz, że uda nam się dotrzeć do krainy mlekiem i miodem płynącej. Zobaczysz! Obiecuję ci to!

- Wierzę ci, mamó.

Ich pociągami do owej krainy okazał się, oczywiście, wuj Calvin.

Zanim do końca wydorósł, Spurgeon znał Calvina Priesta zarówno z teraźniejszości, jak i z dalekiej nawet przeszłości. Dowiedział się tego wszystkiego, ponieważ Calvin okazał się człowiekiem niezwykle komunikatywnym, który używał głosu, by nawiązywać kontakty, i słowami niczym ramionami sięgnął po Roe-Ellen oraz jej syna. Przez lata w trakcie niezliczonych rozmów odsłaniał przed Spurgeonem okrucy swego życia, a ten, nasłuchawszy się nie mających końca wspomnień i opowieści, stworzył sobie prawdziwy obraz ojczyma.

Calvin J. Priest urodził się podczas burzy tropikalnej 3 września 1907 roku w brzoskwiniowym miasteczku Justin w Stanie Georgia. J w jego nazwisku oznaczało właśnie Justin, imię to pochodziło od nazwiska założycieli miasteczka, u których babka Calvina, Sara, była niegdyś służącą i niewolnicą.

Ostatni żyjący członek rodziny Justinów, niejaki Osborne Justin - adwokat, archiwariusz i stary dowcipniś, a poza tym dziedzic niektórych tradycyjnych funkcji - obiecał Sarze dziesięć dolarów, jeśli jej córka zgodzi się ochrzcić chłopca imieniem Judasz, kobieta była jednak na to zbyt dumna i stanowczo zbyt przebiegła. Dała wnukowi na drugie imię Justin, mimo że - a może właśnie dlatego - miejscowa legenda głosiła, iż stosunki łączące w młodości Sarę z Osborne'em Justinem były więcej niż zażyłe. Naturalnie doskonale wiedziała, że stary obyczaj każe, by w dowód wdzięczności za hołd złożony swojej rodzinie biały człowiek hojnie obdarował dziecko.

Calvin dorastał jako czarny wieśniak. Dopóki mieszkał w Georgii, nigdy nie zdarzyło się, by ktokolwiek wymówił jego nazwisko nie akcentując drugiego imienia - Calvin Justin Priest - i to prawdopodobnie właśnie ta nić łącząca go z moźnymi, a zarazem zwiastun świetlanej przyszłości spowodowała, że pozwolono mu pobierać nauki. Był chłopcem bardzo poboźnym, uwielbiał dramaturgię wspólnych modlitw i przez dłuższy czas planował nawet zostać kaznodzieją. Dzieciństwo miał szczęśliwe, mimo że obojga rodziców zabrała epidemia grypy szalejąca w 1919 roku, która rozprzestrzeniła się z miast na tereny wiejskie i chociaż

mocno spóźniona, okazała się tam równie zabójcza. Trzy lata później Sara zdała sobie sprawę, że Bóg wprawdzie obdarzył ją bogatym i długim życiem, to przecież dobiega ono końca. Podyktowała młodemu Calvinowi list, który ten starannie wykaligrafował i wysłał do Chicago, miasta wielkich szans i nieograniczonej wolności. Proponowała w nim pieniądze, które odłożyła na swój pogrzeb - dokładnie sto siedemdziesiąt dolarów - byłym sąsiadom, niejakim Haskinsom, pod warunkiem że przyjmą do siebie jej wnuka. Była pewna, że Osborne Justin zadba o jej pochówek; była to szansa na jeszcze jeden żart na jego koszt.

Odpowiedź przyszła na kartce pocztowej, na której ktoś nagryzmoilił ołówkiem: pszyślij chłopaka.

Do Georgii wrócił jako mężczyzna.

Moses Haskins okazał się wrednym bydlakiem, który tłukł Calvina i swoje własne dzieci z zaiste imponującą bezstronnością. Calvin nie wytrzymał u Haskinsów nawet roku. Sprzedał, co miał, łącznie z wyjściowymi lakierkami, potem skłamał na pytanie o swój wiek i zatrudnił się w paczkami miejscowej rzeźni. Praca była okrutnie ciężka - kto by pomyślał, że zabite zwierzę może ważyć aż tyle? - i na początku był przekonany, że długo nie wytrzyma, ale jego ciało szybko zmęźniało, a zarobki były wysokie. A jednak po dwóch latach, kiedy tylko nadarzyła się okazja, bez chwili namysłu najął się na robotnika do wędrownego cyrku, mimo że miał tam zarabiać znacznie mniej. Odtąd podróżował po kraju, rozkoszując się jego pięknem, wyżynami i dolinami, różnorodnością poznawanych ludzi. Pracował jako chłopak do wszystkiego, co wymagało silnego karku, pakował i rozpakowywał namioty, składał je i rozkładał, karmił i poił nieszczęsne zwierzęta: kilka sparszywiałych dzikich kotów, parę małąp, tresowane psy, starego niedźwiedzia i orła z przyciętymi skrzydłami, który przykuty łańcuchem do grzędy siedział ze zwieszonym ogonem. Ptak zdechł w Chillicothe w stanie Ohio.

Po mniej więcej dziesięciu miesiącach cyrk wyruszył na południe, a kiedy przybyli do Atlanty, Calvin pomógł rozstawić namioty, po czym oznajmił brygadziście, że musi na parę dni wyjechać, złapał autobus i udał się do Justin.

Calvin zdążył już opłakać babkę, lecz bardzo chciał odwiedzić jej grób. Nie mógł go jednak znaleźć. Kiedy wieczorem poszedł do pastora, ten wpierw zrzędził, że przez cały dzień zrywał brzoskwinie i jest wykończony, po chwili wszakże wziął latarkę, poszedł z Calvinem na cmentarz i szukał tak długo, aż w odległym kącie przeznaczonym dla najbiedniejszych znalazł mały grób bez nagrobka.

Nazajutrz Calvin wynajął człowieka do pomocy. Udało mu się znaleźć wolną kwaterę nieopodal i z pomocą mężczyzny wykopał grób, do którego przeniósł zwłoki babki. Trumna

zatrzeszczała złowrogo, kiedy ją podnieśli, była jednak w zaskakująco dobrym stanie, zważywszy, że przeleżała w wilgotnej czerwonej glinie całe dwa lata. Później stał i słuchał, jak czytane przez pastora wersety z Biblii wznoszą się ku ciemniejącemu niebu. Gdzieś w górze, bardzo, bardzo wysoko krążył dumnie jakiś ptak. Orzeł, doszedł do wniosku Calvin, ale jakże różny od tamtego zniewolonego ptaszydła z cyrku. Ten szybował wolno w powietrzu, a Calvin patrzył na niego i płakał. Pojął, że skazując starą dumną Murzynkę na spoczynek w kwaterach dla biedoty Osborne Justin - adwokat, archiwariusz i stary dowcipniś, a poza tym dziedzic niektórych tradycyjnych funkcji - był tym, który śmiał się ostatni. Calvin zostawił pastorowi pieniądze na nagrobek, wsiadł w autobus i wrócił do cyrku. Odtąd już nigdy nie używał drugiego imienia, od tego dnia nazywał się po prostu Calvin J. Priest.

Kiedy amerykańska ekonomia legła w gruzach, Calvin miał dwadzieścia jeden lat. Do tego czasu zdążył zjeździć cały kraj wzdłuż i wszerz, widział miasta, zarówno te wielkie, ruchliwe, jak i małe, pogrążone w letargu, i pojął, że kocha Amerykę, choć nie należy ona do niego, w przeciwieństwie do tysiąca siedmiuset dolarów ukrytych bezpiecznie w brązowej skarpecie.

Ogólny krach nastąpił, kiedy cyrk wyruszył na południe na jesienne tournee. Kolejne przedsiębiorstwa i korporacje padały jak muchy, po malejącej publice widać było, że to dopiero początek, że najgorsze dopiero nastąpi. Wreszcie w Memfis w stanie Tennessee po przedstawieniu, na które przyszło jedenaście osób, cyrk zbankrutował.

Calvin wynajął pokój i spędził jesień w Memfis zastanawiając się, co dalej. Początkowo po prostu bezwstydnie próżnował. Prawie codziennie chodził na ryby, które łowił za pomocą widel i jutowego worka. Sztuczki tej nauczył go pewien robotnik z Missouri. Trzeba było pójść na dno zaschniętego po suchym i upalnym lecie koryta rzeki, rozbić górną spękaną warstwę błota, a potem tylko wyciągać lśniące jak diamenty czarne zębaczki, które zagrzebały się tam w oczekiwaniu na zimowe deszcze. Kopał je niczym ziemniaki, pełen worek zanosił do domu, gdzie pomagał gospodyni oczyścić i wypatroszyć ryby. Później kobieta smażyła słodkie białe mięso, a wszyscy lokatorzy wychwalali pod niebiosa jego wędkarskie umiejętności. Wieczorami leżał w łóżku i czytał w gazetach o byłych milionerach rzucających się z okien drapaczy chmur. Wkładał wtedy rękę do kieszeni i bawił się pieniędzmi, niczym mężczyzna głaszczący z roztargnieniem swą męskość, rozważając, czy nie byłoby warto wyruszyć na północ.

Gospodyni miała córkę, latawicę o imieniu Lena, oczach wielkich jak białe spodki i kontrastujących jaskrawo z ciemnobrązową cerą, prostowanych włosach oraz gorących ustach, które często pieściły jego ciało. Którejś nocy leżeli w łóżku i próbowali kochać się na

materacu, pod którym ukrył pieniądze, ale całą przyjemność psuło mu dobiegające gdzieś z dołu biadolenie.

Kiedy spytał dziewczynę, kto i dlaczego tak lamentuje, odparła, że to jej matka, bo właśnie upadł bank, w którym trzymała pieniądze na swój pogrzeb, płacze więc z żalu, że nie będzie miała godnego pochówku.

Po wyjściu dziewczyny długo rozmyślał o starej Sarze i o pieniądzach, które niegdyś przypięła mu do bielizny. Przypomnił sobie nędzną mogiłkę na cmentarzu w Justin.

Następnego ranka wyruszył na obchód Memfis, a po lunchu wybrał się na wędrowkę daleko za miasto. Po pięciu dniach zdecydował się na kupno dwóch akrów łąk położonych między sosnowym zagajnikiem a brzegiem rzeki. Kosztowały go one sześć banknotów studolarowych, ręce drżały mu, kiedy zamieniał pieniądze na akt własności, lecz nic nie mogło go powstrzymać, ponieważ wszystko dokładnie przemyślał i wiedział, że tym właśnie chce się zająć.

Kolejne dwadzieścia jeden dolarów i pięćdziesiąt centów wydał na dużą czarno-białą tablicę z napisem: Cmentarz Kwiatów-Cieni. Nazwę zaczerpnął z Księgi Hioba, ulubionej księgi Sary. Człowiek zrodzony z niewiasty ma krótkie i bolesne życie, wyrasta i więdnie jak kwiat, przemija jak cień chwilowy.

Gospodynię odnalazł w kuchni, gdzie gotowała wielki kocioł bielizny, a z jej zaczerwienionych od ługowej pary oczu nadal płynęły strumienie łez. Na stole stał dzban z maślanką. Calvin bez słowa wypił trzy szklanki, po czym położywszy na stole zapłatę za napój: jedną pięć - i jedną dziesięciocentówkę, zaczął mówić. Opowiadał jej o swoich planach, o pięknych kwaterach, większych niż należące do białych; o ptakach śpiewających pośród sosen, a nawet o wielkich zębaczach w rzece, które chociaż nigdy ich nie widział, na pewno w niej pływały.

- To wszystko na nic, chłopcze - odparła. - Całe moje pieniądze na pochówek przepadły.

- Na pewno ma pani jakieś pieniądze. Przecież ma pani lokatorów.

- Ale z tego nie da się nic zaoszczędzić. Nawet na pogrzeb.

- No cóż. - Dotknął monet leżących na stole. - Ma pani to.

- Piętnaście centów? Sprzedasz mi kwaterę za piętnaście centów?

- Coś pani powiem - odrzekł. - Od dzisiaj co tydzień będzie mi pani płacić piętnaście centów, a w zamian dostanie pani kwaterę już teraz.

- Człowieku, a co będzie, jeśli umrę za trzy tygodnie?

- To by była ogromna strata.

- Albo jeśli nigdy nie umrę?

Uśmiechnął się.

- Wtedy oboje będziemy szczęśliwi, siostró. Ale przecież dobrze wiemy, że każdy kiedyś umrze. Prawda?

- Prawda - odpowiedziała.

Sprzedził jej jeszcze dwie inne kwatery, po jednej dla każdej z córek.

- Ma pani znajomych, którzy po upadku banku także stracili pieniądze i teraz nie mają na kwatere?

- Pewnie że tak. Kwatery za piętnastka, to ci dopiero! Nie mogę w to uwierzyć!

- Niech mi pani poda nazwiska i adresy. Odwiedzę ich - poprosił Calvin.

Takie właśnie były początki Towarzystwa Ubezpieczeń na Życie American Eagle.

Spurgeon pamiętał ten dzień, w którym mama przyproceedziła Calvina do domu. Siedział w pokoju i odrabiał lekcje, kiedy w zamku zazgrzytał klucz. Wiedział, że to musi być mama. Wstał, żeby się z nią przywitać, i w otwartych drzwiach ujrzał towarzyszącego jej mężczyznę, niewysokiego, łysawego, w okularach ze srebrnymi oprawkami. Jego wesołe, kpiarskie oczy patrzyły prosto na Spurgeona, mierzyły go, oceniały i najwyraźniej spodobało im się to, co ujrzały, ponieważ mężczyzna uśmiechnął się, wyciągnął rękę i mocno uściskał dłoń Spurgeona.

- Jestem Calvin Priest - przedstawił się.

- Prezydent?

- Co? Ach - roześmiał się. - Tak. - Potoczył wzrokiem po pokoju, zobaczył plamy na suficie, burą tapetę, poniszczone tanie meble.

- Nie możecie dłużej tu mieszkać - oświadczył. Matce głos uwiązł w gardle.

- Panie Priest - wyszeptała. - Nie jestem taka, jak pan sądzi. Jestem prostą czarną dziewczyną. Nie jestem nawet prawdziwą sekretarką. Przez większość życia pracowałam jako kelnerka.

- Jesteś damą - odparł. Później wielokrotnie opowiadała tę historię i zawsze podkreślała, że Calvin powiedział wtedy: Jesteś moją damą. Jak Don Kichot do swojej Dulcynei.

Ani Spurgeon, ani Calvin nigdy jej nie poprawiali.

Już w następnym tygodniu zainstalował ich w mieszkaniu w Riverdale. Matka musiała mu dużo opowiadać o swoim życiu, bo na stole w jadalni w wypełnionym lodem wiaderku do szampana czekała kwarta najlepszego mleka skondensowanego Bordena oraz miska z równie wybornym miodem.

- A więc udało się nam, mamó, czy tak? - spytał. Roe-Ellen nie była w stanie odpowiedzieć, za to Calvin zmierzwił mu włosy i zrobił to za nią.

- Tak. Przepłynęliście na drugą stronę rzeki, synu. Tydzień później wzięli ślub i wyjechali na miesiąc na Wyspy Dziewicze. Ze Spurgeonem została tęga wesoła kobieta, niejaka Bessie McCoy. Przez cały dzień rozwiązywała krzyżówki, gotowała i nie wchodziła Spurgeonowi w paradę. Od czasu do czasu pytała tylko o jakieś ezoteryczne słowa, których i tak nie znał.

Po powrocie Calvin poświęcił kilka tygodni na znalezienie dobrej prywatnej szkoły dla Spura, i w końcu zdecydował się na Horacego Manna, renomowaną liberalną szkołę, znajdującą się stosunkowo niedaleko Riverdale. Ku jego niewysłowionej uldze, po egzaminach wstępnych i rozmowach kwalifikacyjnych Spurgeon został przyjęty.

Stosunki pomiędzy nim a Calvinem były bardzo dobre, kiedyś jednak spytał ojczyma, dlaczego nie stara się pomóc swoim czarnym braciom.

- Spurgeon, a co mogę zrobić? Gdyby wziąć cały mój majątek i rozdzielić go pomiędzy mieszkańców choćby jednej kamienicy czynszowej w Harlemlie, nie byłoby nikogo, kto prędzej czy później by się nie splukał. Musisz zrozumieć, że wszyscy ludzie są tacy sami. Zapamiętaj, chłopcze: Tacy sami. Niezależnie od rasy można ich tylko podzielić na leniwych i pracowitych.

- Ty sam w to nie wierzysz - odparował Spurgeon z oburzeniem.

- Ależ oczywiście, że wierzę. Nikt nie będzie im w stanie pomóc, jeżeli nie wyjdą ze swoich nor i nie pomogą sobie sami.

- Bez wykształcenia i możliwości? Niby jak mają sobie pomóc?

- Mnie się udało, prawda?

- Tobie. Ty jesteś tym jednym na milion. Dla innych jesteś zwykłym dziwakiem, czy naprawdę nie zdajesz sobie z tego sprawy?

Jeżeli miało to cokolwiek oznaczać, to jedynie podziw, jednakże pełna goryczy rozpacz w jego głosie sprawiła, że Calvin odebrał to jako obelgę. Po tej rozmowie przez długie miesiące, pomimo obustronnych wysiłków, dzieliła ich niewidoczna szklana ściana. Podczas wakacji - miał wtedy szesnaście lat - Spur uciekł z domu i zamustrował się na statek wmawiając sobie, że chce poznać życie zmarłego ojca marynarza, w rzeczywistości jednak próbując się sprawdzić, sprostac legendzie ojczyma, jego niezależności w młodym, bardzo młodym wieku. Kiedy na jesieni wrócił do domu, jego stosunki z Calvinem bardzo się poprawiły. Wróciło dawne ciepło, którego żaden z nich nie odważył się zniszczyć ryzykując dyskusję na temat rasy. Po jakimś czasie Spur zapomniał, jaki był powód tego

nieporozumienia i sam zaczął myśleć o mieszkańcach miejsc w rodzaju Amsterdam Avenue identycznie jak myślał o białych.

Stali się dla niego „tymi ludźmi”.

W końcu jednak po latach spędzonych z Calvinem Spurgeon miał okropny mętlik w głowie. W Riverdale, czarny z koloru skóry i biały ze statusu, nie wiedział, kim jest ani kim powinien zostać. Teraz zdawał sobie sprawę, że dzięki niemu Calvin poczuł się dumny, że jest czarny, bo nawet Justinowie z Justin w Georgii nie mieli w rodzinie lekarza. Kiedy wszakże usłyszał dowcip komika Godfreya Cambridge’a o bogatych Murzynach, którzy na wieść, że gdzieś w pobliżu czai się czarnuch, wrzeszczą z trwogą, rozglądają się dziko dookoła i pytają z udręką w głosie: „Gdzie? Gdzie? Gdzie?”, natychmiast stanął mu przed oczyma dom w Riverdale.

Pokoik na poddaszu szpitala był nieznośnie duszny, ciasny i niewygodny nawet w porównaniu z pokojem przy Amsterdam Avenue, nie wspominając już o wygodnym mieszkaniu z klimatyzacją w Riverdale. Spur wstał i wyrzwał przez okno; dopiero teraz spostrzegł, że szóste piętro jest cofnięte w stosunku do pozostałych, pod samym oknem ma więc jakieś dziesięć stóp dachu. Niewiele się zastanawiając rzucił tam poduszkę i koc, potem chwycił gitarę, karton piwa i wyszedł przez okno.

Wiała lekka słona bryza, a on leżał wygodnie, oparty o ścianę. W dole migotały nierealistyczne światła miasta, po prawej widać było skrawek ciemności, Atlantycką, w oddali mrugała na żółto latarnia morska.

Przez otwarte okno sąsiedniego pokoju słyszał, jak Adam Silverstone otwiera drzwi, wchodzi do środka i zaraz potem znowu wychodzi. Rozległ się brzęk dziesięciocentówki wrzucanej w szczelinę aparatu telefonicznego wiszącego na ścianie korytarza i Silverstone poprosił do telefonu jakąś Gabrielle.

Przecież nie podsłuchuję, pomyślał Spurgeon. Cóż mogę poradzić? Skoczyć z dachu?

- Halo? Gaby? Mówi Adam. Adam Silverstone. Pamiętasz? Z Atlanty... - Roześmiał się.

- Mówiłem ci, że prędzej czy później się zjawię. Jestem rezydentem w County General...

- Och... No wiesz, mam okropne problemy z pisaniem. Naprawdę. Nigdy nie piszę listów...

- Ja też. Było cudownie. Dużo o tobie myślałem. Jego głos brzmiał bardzo młodo i brakowało mu tej pewności siebie, która charakteryzowała Silverstone’a jako lekarza. Spurgeon przyssał się mocno do puszki piwa zastanawiając się, jak wyglądało dzieciństwo

tego białego faceta. Żyd, pomyślał, to żydowskie nazwisko. Pewnie go rozpieszczali, nowy rower, szkoła tańca, synagoga, dom w stylu kolonialnym, Adamie, to bardzo brzydkie słowo, za karę zostaniesz w swoim pokoju, przyprowadź ją do domu, kochanie, chętnie ją poznamy...

- Posłuchaj, chciałbym się z tobą spotkać. Może jutro wieczorem?

- Aha - mruknął bezbarwnym głosem, a leżący w mroku Spurgeon uśmiechnął się ze współczuciem.

- Nie, wtedy mam dyżur. Wiesz, trzydzieści sześć godzin dyżuru, potem trzydzieści sześć godzin wolnego. A jak znowu będę miał wolne, pewnie wezmę jakieś nadgodziny, żeby zarobić trochę grosza...

- W porządku, prędzej czy później i tak się spotkamy. Jestem cierpliwy. Przekręcę w przyszłym tygodniu. A ty bądź grzeczną dziewczynką.

Rozległ się szcęk słuchawki odwieszanej na widełki, później powolne kroki.

Facet z trudem wlecze tyłek. Naczelny rezydent czy nie, pomyślał Spurgeon, dla niego ten pierwszy dzień był pewnie tak samo wykańczający jak dla mnie.

- Hej! - zawołał. Musiał powtórzyć to jeszcze dwa razy, zanim Silverstone wyjrzał w końcu przez okno.

Adam ujrzał Robinsona siedzącego na dachu w samej bieliźnie, z nogami skrzyżowanymi jak Budda, i uśmiechnął się.

- Wpadniesz na piwo? - zaproponował Spur.

Adam wyszedł, przyjął puszkę, kucnął, pociągnął spory łyk i westchnął, zamykając oczy.

- Niezły mieliśmy początek - odezwał się Spurgeon.

- Amen. Jezu. Miną wieki, zanim się wreszcie nauczymy, gdzie co leży. Mogli nas przynajmniej oprowadzić.

- Gdzieś słyszałem, że w pierwszym tygodniu lipca, kiedy zaczynają pracę nowi stażyści i rezydenci, w szpitalach umiera więcej ludzi niż w jakimkolwiek innym okresie.

- Wcale bym się nie zdziwił, gdyby to była prawda - odparł Adam. Napił się i pokręcił głową. - Do tego jeszcze ta panna Fultz.

- I ten Silverstone.

- Co to za jeden ten naczelny rezydent? Jaki jest?

- zadrwił Silverstone.

- Czasami go lubię, a czasami nie. Nagle obaj zaczęli się śmiać.

- Podoba mi się, jak rozmawiasz z pacjentami - stwierdził Spurgeon. - Potrafisz przyjąć właściwy ton.

- Tego akurat musiałem się nauczyć już jakiś czas temu - odparł Silverstone.
- Stratton pozwolił sobie zrobić arteriogram. Już się nie stawiał.
- Za to ta czarna dziewczyna, Gertrudę Soames, wypisała się po południu ze szpitala - stwierdził Adam. - To samobójstwo.

Może nie ma po co żyć, pomyślał Spurgeon. Zostały jeszcze dwie puszki piwa. Jedną wręczył Adamowi, drugą zostawił dla siebie.

- Trochę ciepłe - powiedział przepraszająco.
- Dobrze. Ostatnie, jakie piłem, to Bax.
- Nie znam.
- Końskie szczyny z mydlinami. Robią takie na południu.
- Nie gadasz jak południowiec.
- Pensylwania. Pittsburgh. Jefferson Medical. A ty?
- Nowojorczyk. New York University. Gdzie robiłeś staż?
- W Filadelfii. A pierwszy rok rezydentury na chirurgii w Atlancie.
- W klinice Hostvogela? - spytał Spurgeon, bezskutecznie starając się ukryć nutę podziwu. - Często widywałeś mistrza?

- Byłem jego rezydentem. Spurgeon gwizdnął z podziwem.
- To co cię tu sprowadza? Program transplantacji nerek?
- Nie, chcę zostać chirurgiem ogólnym. A transplantacje to tylko lukier na ciastku. - Uśmiechnął się. - Rezydentura u Hostvogela to wcale nie taka gratka, jak by się mogło wydawać. Mistrz uwielbia operować, więc inni rzadko mają okazję potrzymać skalpel.

- Boże.
- Och, nie robi tego z podłości czy wyrachowania. Tylko kiedy trzeba kogoś pokroić, facet po prostu nie potrafi się powstrzymać. Być może dlatego wciąż jest taki dobry.

- Naprawdę jest? Tak dobry jak mówią?
- To prawdziwy geniusz - zapewnił Silverstone. - Jest tak dobry, że czuje puls, których nie potrafi wyczuć nikt inny na świecie, bo ich tam nie ma. A statystykę wymyślono chyba specjalnie dla niego. Pamiętam, jak na spotkaniu towarzystwa medycznego ogłosił, że dzięki technice chirurgicznej jego pomysłu tylko w trzech prostatektomiach na tysiąc wystąpiły jakiegokolwiek powikłania, a taki jeden wieśniak chirurg z południa, który stosował tę metodę, wstał i powiedział z tym swoim akcentem: „Tak, sir, i wszystkie trzy to moi pacjenci.”

- Uśmiechnął się. - Ma świetną reputację, ale nauczyciel z niego żaden. Spędziłem tam rok głównie jako obserwator i w końcu doszedłem do wniosku, że muszę rzucić to w diabły.

Zrezygnowałem z tych wszystkich fanfar i przeniosłem się tutaj, żeby w końcu czegoś się nauczyć. Jako chirurg Longwood nie dorasta Hostvogelowi do pięt, ale za to świetny z niego nauczyciel.

- Na tej całej komisji napędził mi niezłego stracha.

- No cóż, ten chiński rezydent... Lee?... mówił mi, że ta tradycja sięga wiele lat wstecz, kiedy poprzednik Longwooda, Paul Harrelmann, walczył o stanowisko z Kurtem Dorlandem. Boje toczyli właśnie na obradach komisji. Prowokowali się nawzajem, przycinali sobie, odpytywali, żądali uzasadnienia zastosowanej techniki. W końcu posadę dostał Harrelmann, a Dorland wyjechał i zrobił karierę w Chicago. Pokazali jednak, że posiedzenia można wykorzystać dla utrzymania zespołu w jak najlepszej formie. - Silverstone pokręcił głową.

- To nie przelewki. Nigdy nie spodziewałem się czegoś takiego.

Spurgeon wzruszył ramionami.

- To nic nadzwyczajnego. Nawet bez szefa w rodzaju Longwooda w wielu szpitalach nie tylko nowi siedzą na takich zebraniach sztywni jak w szkolnej ławce. Co tu gadać, stare wygi wiedzą, jak dołożyć drugiemu. - Przyjrzał się Silverstone'owi z zainteresowaniem. - Ale coś mi się wydaje, że dla ciebie to nowość. Czyżbyście nie mieli takich posiedzeń w krainie napoju brzoskwiniowego i Lestera Maddoxa?

- Pewnie, że mieliśmy. Zrobili może jedną sekcję dla celów edukacyjnych. Jeden gość, nazywał się Sam Mayes, drugi po Hostvogelu, siedział z dwoma albo trzema innymi lekarzami, głądził o tym, jak chłopak Jerry'ego Wintersa dostał się na medycynę na Florydzie, nadawał na zwolenników uspołecznienia medycyny w Waszyngtonie i szeroko omawiał kształt tyłeczka nowej pielęgniarki. Potem wszyscy ziewnęli kilka razy, ktoś stwierdził, że szkoda biednej duszyczki, ale cóż, zgon był oczywiście nieunikniony, pokiwali zgodnie głowami i rozeszli się do domów posuwać żonki.

Przez chwilę milczeli.

- Chyba już wolę, żeby wyglądało to tak jak tutaj - stwierdził w końcu Spurgeon. - Może jest nieco mniej przyjemne... no cóż, muszę przyznać, że tyłek mi się marszczy, jak sobie o tym pomyślę... ale przynajmniej czemuś to służy, zmusza lekarzy, żeby przez cały czas mieli się na baczności, i być może gwarantuje, że nie staniemy się tacy, za jakich ludzie coraz częściej nas mają.

- A za jakich nas mają?

- No wiesz... za kierowców cadillaków. Grube ryby. Nadzianych filistrów.

- Pieprzyć idiotów.

- Łatwo powiedzieć.

- A co oni wiedzą? Czy mają pojęcie, ile trzeba włożyć wysiłku, żeby zostać lekarzem? Mam dwadzieścia sześć lat i przez te dwadzieścia sześć lat byłem biedny jak mysz kościelna. Osobiście nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie kupię sobie luksusowego, najdroższego cadillaka z największym na świecie zadem. I dużo innych rzeczy, materialnych, na które będzie mnie w końcu stać właśnie dlatego, że jestem chirurgiem.

Spurgeon przyjrzał mu się uważnie.

- Kurczę, jeśli tak bardzo chcesz tego wszystkiego, nie musisz się przecież męczyć i przechodzić całego piekła rezydentury. Skończyłeś staż i na dobrą sprawę mógłbyś choćby jutro znaleźć sobie dobrą pracę i zacząć kosić przyzwoity szmal.

Adam uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Na tym właśnie polega twój błąd w rozumowaniu. Przyzwoity, ale nie gruby. Żeby zarabiać naprawdę dużo, muszę zdobyć odpowiedni glejt. Na to z kolei trzeba czasu. No więc inwestuję swój czas. Dla mnie najbliższy rok będzie jak biczowanie się, jak ostatnie podrygi przed orgazmem.

Spurgeon nie mógł się nie roześmiać z tego porównania.

- Parę posiedzeń takich jak dzisiejsze i będziesz mógł wstąpić do zakonu.

Łyknęli piwa, Adam wskazał puszką na gitarę.

- Grasz?

Spur chwycił instrument i zagrał kilka taktów Oh, I wish I was in the land of cotton...

Adam uśmiechnął się szeroko.

- Aha, akurat. Baję, baję.

Parę przecnic dalej zawyła syrena ambulansu, samotna zjawa wieszcząca śmierć. Jej dźwięk narastał, aż w końcu sięgnął zenitu i ucichł.

Spurgeon zachichotał.

- Gadałem dzisiaj z kierowcą karetki, takim sympatycznym piwnym maćkiem. Nazywa się Morris Meyerson. Mów mi Maish, tak powiedział. Ale to szczegół. W każdym razie w zeszłym miesiącu wysłali go w nocy po jakiegoś klienta z Dorchester. Facet cierpiał chyba na bezsenność i ni diabła nie mógł, biedaczyna, zasnąć. W kuchni ciekł kran, co doprowadzało go do szału. Wygrzebał się więc z wyra i zlazł na dół, żeby się tym zająć. - Odbiło mu się. - O, przepraszam. No więc słuchaj. Ten gość zawsze sypia tylko w górze od pizamy. Nigdy nie zakłada dołu, kapujesz? No więc schodzi do piwnicy po klucz francuski czy coś takiego, a trzeba ci wiedzieć, że właśnie w piwnicy trzyma wielkiego wrednego kocura. Później wraca do kuchni, ale po drodze zapomina zamknąć za sobą drzwi i właśnie

stoi na czworakach pod zlewozmywakiem, zakręca wodę... pamiętaj, bez spodni... kiedy ten jego kocur przychodzi na górę na pieszcoty, widzi to coś dziwnego i... - Czarna dłoń uniosła się naśladując kocie pazury, po czym opadła. - Facet gwałtownie się prostuje, wali czaszką w zlew i oczywiście nabija sobie ogromnego guza. Jego szanowna żonka budzi się słysząc hałas, zbiega na dół, znajduje męża leżącego w kuchni i dzwoni po pogotowie. Nic strasznego mu się nie stało, ot, lekki wstrząs mózgu, więc zanim zjawia się Meyerson i jego ekipa, odzyskuje przytomność. Na wszelki wypadek zabierają go jednak na badania i w drodze do karetki Meyerson pyta go, jak to się stało. No to facet opowiada, a Maish dostaje takiego ataku śmiechu, że nosze wyslizgują mu się z rąk, klient łąduje na ziemi i łamie sobie biodro. A teraz oczywiście skarży szpital.

Bardziej chyba zmęczenie niż sama historia sprawiło, że obaj dostali niepohamowanego ataku śmiechu. Leżeli obok siebie, trzęśli się, krztusili, płakali, a gdyby skraj dachu był nieco dalej, pewnie zaczęliby się turlać po ziemi. Gdzieś z głębi ich trzewi wypłynęła nagle dzika, nieokiełznana i niczym nie uzasadniona radość, rozluźniając ogromne napięcie po trzydziestosześciodzinnym dyżurze. Z policzkami mokrymi od łez Adam leżał i wierzył nogami, aż w końcu kopnął niechcący jedną z pustych puszek. Potoczyła się po papie i znikła za brzegiem dachu.

Spadała.

I spadała.

By w końcu z brzękiem uderzyć w betonowe podwórze.

Czekali w milczeniu starając się odzyskać oddech.

- Lepiej sprawdzę - wyszeptał Adam.

- Poczekaj, ja się tym zajmę. Naturalny kamuflaż.

- Spur podczołgał się na skraj i lekko wychylił.

- Co widzisz?

- Niczego tam nie ma, tylko jakaś blaszana puszka. Leżał, oparty policzkiem o krawędź dachu, wciąż ciepłą po upalnym dniu, a w głowie kręciło mu się ze zmęczenia, wesołości i od nadmiaru piwa. To miejsce może się okazać całkiem do rzeczy, pomyślał.

Trochę później tego wieczora nie patrzył już w przyszłość z takim optymizmem. Było coraz bardziej gorąco, ciemne niebo rozjaśniały od czasu do czasu błyskawice, na deszcz jednak się nie zapowiadało. Spur leżał nago na łóżku i tęsknił za Manhattanem. Kiedy ucichły wszelkie odgłosy w sąsiednim pokoju i uznał za pewne, że Silverstone już śpi, wziął gitarę i grał w ciemnościach cichą melodię, której nikt nigdy przedtem nie słyszał, lecz która w pełni oddawała to, co czuł: mieszaninę samotności i nadziei. Po mniej więcej dziesięciu minutach

odłożył instrument.

- Hej - rozległ się głos Silverstone'a. - Co to za kawałek?

Nie odpowiedział.

- Hej, Robinson - odezwał się ponownie Silverstone.

- Facet, to naprawdę świetny numer. Zagraj go jeszcze raz, dobra?

Spur leżał bez ruchu. Nawet gdyby bardzo chciał, nie byłby w stanie zagrać tej melodii po raz drugi. Co za miejsce, pomyślał. Ani krztyny prywatności. Za oknem błyskało, od czasu do czasu rozlegało się ciche pomrukiwanie. Jeszcze dwukrotnie zawyła syrena ambulansu. Przyszło mu do głowy, że to fantastyczny dźwięk i można by go użyć w jakimś kawałku. Trzeba by było wykorzystać orkiestrę dętą.

Wreszcie, nie zdążywszy zdać sobie sprawy, że to w ogóle możliwe, zasnął.

Rozdział Trzeci.

Harland Longwood.

Na początku sierpnia, kiedy adwokaci dopełnili wszystkich niezbędnych formalności, Harland Longwood zatelefonował do Gilberta Greene'a, prezesa zarządu szpitala, i poprosił go do swego gabinetu, aby mogli spokojnie omówić szczegóły testamentu, na wykonawcę którego wybrał właśnie Greene'a.

Czuł, że wszystko to dobrze sobie obmyślił. Dochody z najlepszych papierów wartościowych zostały przeznaczone na ufundowanie nowej katedry w szkole medycznej, którą objąć miał Kender. Zarobki Longwooda jako ordynatora chirurgii w zupełności wystarczały na pokrycie jego bieżących potrzeb, cierpiał on jednak na typową dla mieszkańców Nowej Anglii chroniczną niechęć do zanurzania się w świat operacji kapitałowych.

Ustalono, że główna część majątku wejdzie w skład funduszu dopiero po śmierci Longwooda, kiedy to powołany zostanie komitet doradczy z zadaniem wydawania uzyskanych dochodów w sposób gwarantujący maksymalne korzyści dla uczelni.

- Mam nadzieję, że jeszcze długo nie będziemy musieli myśleć o żadnym Komitecie Doradczym - stwierdził Greene, przestudiowawszy dokumenty.

Było to chyba najbardziej emocjonalne stwierdzenie, jakie Longwood kiedykolwiek usłyszał z ust bankiera.

- Dziękuję, Gilbercie - odparł. - Napijesz się czegoś?

- Chętnie. Odrobinę brandy.

Doktor Longwood otworzył przenośny barek stojący za biurkiem i napełnił kieliszek z jednej ze starych niebieskich karafek. Tylko jeden, sobie nie nalał.

Bardzo lubił ten barek z pięknego ciemnego mahoni i starego srebra. Kupił go pewnego popołudnia na aukcji antyków przy Newbury Street, zaledwie dwie godziny po tym, jak oddał głos za przyjęciem Bestera Kendera w poczet etatowych pracowników szpitala. Kender już wtedy cieszył się w Cleveland opinią pioniera transplantacji, a tamtego popołudnia Harland Longwood nagle uświadomił sobie, że w jego bezpośrednim otoczeniu pojawili się już lekarze młodszy od niego i bardziej błyskotliwi. Zapłacił za ten antyk więcej, niż był on wart, po części dlatego iż wiedział, że na pewno spodobałby się Frances, po części

po to by - jak mawiał z nieco wisielczym humorem - móc spokojnie napełniać karafki ulubionymi trunkami i uśmierzać ból istnienia w długie samotne popołudnia, kiedy młode koguty odstawiają go już na bocznicę.

Teraz po dziesięciu latach nadal pozostawał ordynatorem chirurgii, o czym myślał ze sporą satysfakcją. Kender przyciągnął wprawdzie innych młodych geniuszy, lecz każdy z nich rzucał światło tylko na własne wąskie poletko. Stary doświadczony chirurg ogólny, potrafiący utrzymać w ryzach cały oddział, wciąż jeszcze był potrzebny.

Greene przez chwilę rozkoszował się bukietem szlachetnego trunku, potem upił mały łyk, długo go smakował, w końcu przełknął i rzekł:

- To bardzo szczodry dar, Harlandzie.

W odpowiedzi Longwood tylko wzruszył ramionami. Przecież obaj czuli się tak samo związani ze szpitalem i uczelnią, Greene nie powinien więc się dziwić. Chociaż sam nie otrzymał wykształcenia medycznego, jego ojciec był lekarzem naczelnym i naturalną kolejną rzeczą Gilberta wybrano do zarządu, kiedy tylko jego pozycja w świecie bankierów stała się na tyle znacząca, że miał szansę przydać się szpitalowi. Longwood dobrze wiedział, że testament Gilberta zawiera zapisy jeszcze korzystniejsze dla szpitala niż te, które on umieścił we własnym.

- Czy jesteś pewien, że przez swoją lojalność wobec szpitala nie zaniedbałeś któregoś ze spadkobierców? - spytał Greene. - Zauważyłem, że pozostałe zapisy to dziesięć tysięcy dolarów dla pani Marjorie Snyder z Newton Centre i tyle samo dla pani Rafaelowej Meomartino z Back Bay.

- Pani Snyder to moja stara znajoma - odparł doktor Longwood.

Greene znał Harlanda Longwooda niemal od dziecka i był dotąd święcie przekonany, że zna także wszystkich jego przyjaciół, mimo to skinął głową bez zdziwienia, z miną człowieka, który przeczytał w swoim życiu mnóstwo o wiele bardziej zaskakujących testamentów.

- Dostaje wysoką dożywotnią rentę - kontynuował Longwood - i nie potrzebuje ani tym bardziej nie oczekuje ode mnie finansowego wsparcia. Pani Meomartino natomiast to moja bratanica Elizabeth. Córnica Florence - dodał pamiętając, że swego czasu Gilbert trochę się w niej podkochiwał.

- Kto jest jej mężem?

- Jeden z naszych młodych chirurgów. Nieźle ustawiony. Rodzinny majątek.

- Musiałem go kiedyś spotkać - oznajmił Greene. Longwood już dawno zauważył, że Gilbert fatalnie znosi sytuację, kiedy przychodzi mu przyznać, że nie zna któregoś z

młodszych pracowników szpitala. Całkiem jakby rozmawiali o małej rodzinnej firmie.

- I to już wszyscy - stwierdził. - Dlatego chciałem, żeby już teraz powstała katedra dla Kendera. Tak naprawdę powinna istnieć już od dawna.

- Katedra Chirurgii imienia Harlanda Masona Longwooda - rzekł Greene, delektując się tymi słowami tak samo, jak wcześniej delektował się brandy.

- Katedra Chirurgii imienia Frances Sears Longwood - poprawił go Longwood.

Greene pokiwał głową.

- Ładnie brzmi. Frances na pewno by się ucieszyła.

- Wcale nie jestem tego taki pewien. Mogłaby się poczuć trochę zakłopotana. Chcę, żebyście wszyscy mieli pełną świadomość, że to w żadnej mierze nie wpłynie na obniżenie budżetu wydziału. Nie taki jest cel tej darowizny. Zamierzam wykorzystać część funduszy, które zostaną uwolnione.

- W jaki sposób? - ostrożnie spytał Greene.

- Chociażby szkoląc nowego wykładowcę chirurgii. To kosztuje, a na razie nie zadbałszy o dobrze przygotowanych następców. Czas się tym zająć, i to szybko.

Greene pokiwał głową.

- Jeżeli interesuje cię moje zdanie, uważam, że to dobry pomysł. Masz już jakiegoś kandydata?

- Właściwie nie. W grę mógłby ewentualnie wchodzić Meomartino, choć nawet nie wiem, czy będzie zainteresowany. Nadawałby się chyba także ten młody Silverstone, chłopak, który właśnie zaczął pracę. Ale na razie nie ma sensu zawracać tym sobie głowy. To już zadanie dla wydziału. My musimy tylko uważnie patrzeć i dopilnować, żeby komisja nominacyjna przedstawiła nam w lipcu najlepszego możliwego kandydata.

Greene wstał zbierając się do wyjścia.

- Jak się właściwie czujesz, Harlandzie? - spytał, kiedy podali sobie ręce.

- Dobrze. Jak poczuje się gorzej, dam ci znać - odparł, świadomy, że Greene otrzymuje raporty na temat stanu jego zdrowia.

Prezes zarządu pokiwał głową i jakby się zawahał.

- Wiesz, pewnego dnia myślałem o tych wszystkich sobotnich popołudniach, które spędzaliśmy na farmie - powiedział w końcu. - To były wspaniałe czasy, Harlandzie. Naprawdę wspaniałe.

- Tak - zgodził się doktor Longwood, zdumiony tym, co usłyszał. Muszę wyglądać gorzej, niż mi się wydaje, pomyślał, skoro Gilbert zdobył się na tak sentymentalne wyznanie.

Po wyjściu Greene'a opadł z powrotem na fotel i rozmyślał o tamtych sobotnich

popołudniach, gdy jako młody chirurg zaraz po obchodzie wsiadał do auta i prowadził kawalkadę trzech pojazdów na farmę w Weston, gdzie grali we własną prześmieszoną odmianę softballu na nierównej, pochyłej łące aż do przygotowywanej przez Frances kolacji, na którą składały się parówki, pieczona fasola i ciemne pieczywo.

Właśnie po jednej z takich sobót Frances nagle zachorowała. Od razu zorientował się, że to wyrostek i że bez problemów zdąży ją odwiedzić do swojego szpitala.

- Sam mi go wyniesiesz? - spytała, uśmiechając się pomimo bólu i mdłości, ponieważ wydawało się jej piekielnie zabawne, że zostanie jego pacjentką.

- Nie - pokręcił głową. - Harrelmann. Ale będę w pobliżu. - Nie chciał jej operować, nawet jeśli chodziło tylko o zwykły wyrostek.

W szpitalu oddał ją w ręce młodego Portorykańczyka o nazwisku Samirez.

- Moja żona jest uczulona na penicylinę - uprzedził na wypadek, gdyby Frances sama zapomniała o tym wspomnieć.

Powtórzył to jeszcze dwukrotnie, po czym pocałował ją i pobiegł szukać Harrelmanna. Dopiero później wyszło na jaw, że Samirez prawie nie znał angielskiego. O nic nie pytał Frances z tej prostej przyczyny, że nie potrafił sformułować żadnego pytania, a nawet gdyby mu się to udało, i tak nie zrozumiałby odpowiedzi. Ponieważ zaś jedynym słowem, które dotarło do niego z całej rozmowy z Longwoodem, była „penicylina”, posłusznie podał chorej domięśniowo czterysta tysięcy jednostek. Jeszcze zanim Harland zdążył odnaleźć doktora Harrelmanna, Frances doznała wstrząsu anafilaktycznego i zmarła.

Mimo iż przyjaciele starali się go powstrzymać, Harland poszedł na posiedzenie Komisji Zgonów, co więcej nalegał na udział tłumacza, aby doktor Samirez dokładnie pojął każde wypowiedziane słowo. Pod czujnym okiem Harrelmanna potraktował chłopaka z ogromnym spokojem i delikatnością, choć był przy tym bezlitośnie dokładny. Miesiąc po tym, jak zebrani uznali, że zgonu można było uniknąć, a Samirez zrezygnował z pracy i wrócił na ojczystą wyspę, doktor Harrelmann zaprosił Harlanda Longwooda na lunch i przekonał go, by po jego przejściu na emeryturę zajął stanowisko szefa chirurgii.

Harland musiał porzucić prywatną praktykę, lecz ani przez chwilę tego nie żałował. Na tyle, na ile było to możliwe, zerwał z dotychczasowym stylem życia, sprzedał farmę prawnikowi z Framingham, niejakiemu Bancroftowi, rezygnując z dodatkowych pięciu tysięcy dolarów, jakie proponował mu pewien księgowy z Worcesteru o nazwisku Rosenfeld. Rosenfeld i jego małżonka wydawali się miłymi ludźmi, dlatego Longwood nigdy nikomu nie wspomniał o ich ofercie. Wiedział, że takim zachowaniem doprowadziłby Frances do szału, a jednak nie potrafił znieść myśli, że mógłby oddać farmę ludziom tak różnym od ukochanej

żony.

Po krótkiej walce z samym sobą pokręcił głową i odstawił karafkę z powrotem do barku.

Nigdy nie pił dużo, ostatnio wszakże zaczął trochę pociągać usprawiedliwiając się, że alkohol zawarty w brandy niemal całkowicie się metabolizuje, w związku z czym nie jest w stanie mu zaszkodzić.

Kiedy zauważył pierwsze objawy, podejrzewał, że to powiększenie prostaty. Miał w końcu sześćdziesiąt jeden lat, taka dolegliwość wydawała się całkiem prawdopodobna.

Perspektywa prostatektomii strasznie go mierzła, oznaczała bowiem konieczność czasowej rezygnacji z pracy i odłożenia na później projektu, który właśnie zaczynał się realizować, a do którego szykował się od lat: napisania nowego podręcznika chirurgicznego.

Szybko jednak okazało się, że to wcale nie prostata.

- Miałeś ostatnio jakieś kłopoty z gardłem? - spytał internista Arthur Williamson, kiedy w końcu udał się do niego po poradę. Było to pytanie, którego się spodziewał, i właśnie dlatego strasznie go ono rozdrażniło.

- Tak. Ale tylko przez jeden dzień. Jakies dwa tygodnie temu.

- Miałeś robiony posiew?

- Nie.

- A brałeś antybiotyk?

- To nie paciorkowiec.

Williamson przyjrzał mu się ze zdziwieniem.

- Skąd wiesz, że nie?

Obaj podejrzewali jednak, że tak właśnie jest, a Harland jeszcze przed wykonaniem testów wiedział z pełną rezygnacją pewnością, że pozornie niegroźna infekcja uszkodziła mu obie nerki. Williamson niezwłocznie przekazał go pod opiekę Kendera.

Wkrótce potem w nodze umieszczono mu sztuczną przetokę tętniczo-żylną.

Był piekielnie trudnym pacjentem, prowadzącym z maszyną wojnę emocjonalną już od momentu, kiedy podłączali mu ją do przetoki. Aparat był hałaśliwy i bezosobowy, podczas trwającego bite czternaście godzin procesu oczyszczania krwi Harland leżał niespokojnie, cierpiał na dokuczliwe bóle głowy i bezskutecznie starał się porządkować fiszki o wymiarach trzy na pięć, na których gromadził materiały mające się złożyć na pierwszy rozdział książki.

- Często się zdarza, że po paru sesjach z tą maszyną nerki zaczynają na nowo pracować - pocieszał go Kender.

Odbывał ten obsceniczny rytuał z przeklętą maszyną dwa razy w tygodniu. Po

miesiącu stało się jasne, że nerki nie zareagowały, co oznaczało, że przy życiu trzyma go tylko znieawidzony aparat.

Wyznaczyli mu stałe terminy sesji: w każdy poniedziałek i czwartek o wpół do dziewiątej wieczorem.

Harland powykreślał swoje nazwisko ze wszystkich planowanych operacji, rozważał też możliwość rezygnacji, lecz doszedł do wniosku - miał nadzieję, że obiektywnego - iż jest dla szpitala zbyt cenny jako administrator oraz nauczyciel. Odbywał więc dalej codzienne obchody.

Jednakże w czwartek w siódmym tygodniu udręki wcale tego wcześniej nie planując, po prostu nie poszedł do stacji dializ, przekazał jedynie wiadomość, że mają podłączyć do aparatu innego pacjenta.

Przypuszczał, że Kender będzie próbował go przekonać do zmiany tej decyzji, grubo się jednak pomylił. Następnego dnia lekarz nawet nie próbował się z nim skontaktować.

Dwa dni później wieczorem zauważył, że na kostkach pojawił się obrzęk. Większą część nocy przeleżał bezsenne, a rano, po raz pierwszy od wielu lat, zadzwonił do sekretarki i poinformował, że nie przyjdzie do pracy.

Dzięki paru tabletkom zasnął i spał aż do drugiej. Obudził się niespokojny i poirytowany, ugotował sobie zupę z puszki, na którą wcale nie miał apetytu, po czym zażył następne półtorej tabletki i spał do wpół do szóstej.

W braku lepszego zajęcia wziął prysznic, ogolił się i ubrał, a potem siedział w gęstniejącym mroku, nie włączając lampy. Po jakimś czasie poszedł do spiżarni i z najdalszej półki zdjął butelkę Chateau Mouton-Rothschild, rocznik 1955, prezent od wdzięcznego pacjenta, który poradził mu, by zachował to wino na jakąś specjalną okazję. Otworzył butelkę, napenił kieliszek, później wrócił do salonu i siedział w mroku sącąc ciepły ciemny płyn.

Myślał bardzo trzeźwo. Trzymanie się na siłę takiego życia nie miało najmniejszego sensu. I nie chodziło nawet o ból, lecz przede wszystkim o upokorzenie.

Tabletki nasenne były bardzo łagodne, musiałby połknąć ich naprawdę dużo, aczkolwiek cała zawartość buteleczki z pewnością by wystarczyła.

Starał się myśleć o sytuacjach, w których mógłby okazać się potrzebny.

Liz ma Meomartino i malutkiego synka, a poza tym, na Boga, i tak nigdy nie potrafił jej pomóc w rozwikływaniu problemów.

Marge Snyder z pewnością będzie go brakowało, lecz już od lat dają sobie bardzo niewiele. Straciła męża niedługo przed śmiercią Frances i w najtrudniejszym okresie ona i

Harland byli kochankami. Romans wygasł jednak bardzo dawno. Marge będzie za nim tęsknić jak za starym przyjacielem, ale jego odejście nie zostawi w jej uporządkowanym życiu pustki.

Jakaś pustka z pewnością powstanie w szpitalu, lecz Kender, choć wolałby pozostać specjalistą do spraw transplantacji, w takiej sytuacji z pewnością weźmie na siebie obowiązki ordynatora chirurgii. Longwood wiedział, że Kender na pewno sprawdzi się w tej roli lepiej niż dobrze.

Zostaje tylko książka.

Wszedł do gabinetu i rzucił okiem na dwie poobijane komody z czterema szufladami pełnymi historii przypadków, potem na poukładane na biurku sterty papierów.

Czy ma podstawy sądzić, że ten podręcznik naprawdę okaże się kamieniem milowym rozwoju chirurgii?

A może to tylko przejaw owej niegdyś życiodajnej próżności, pragnienie, by studenci medycyny mogli czerpać wiedzę z Longwooda zamiast z Mosely'ego albo Dragstedta?

Buteleczkę z tabletkami nasennymi włożył do kieszeni.

Wypił jeszcze jeden kieliszek wina, po czym wyszedł z mieszkania. Wsiadł do auta i ruszył przez pochmurny mrok w stronę Harvard Square zastanawiając się, czy nie pójść do kina, ponieważ wszakże okazało się, że grają jakiegoś starego Bogarta, pojechał dalej przez plac. Przyszło mu do głowy, że Frances na pewno nie pochwalałaby tych wszystkich bosych stóp, bród i odsłoniętych ud.

Objechał Yard i zaparkował nieopodal kaplicy Appleton. Nie wiedząc dlaczego, wysiadł z auta i wszedł do wnętrza, cichego i opuszczonego - taka właśnie zawsze była dla niego religia.

Po paru chwilach rozległy się kroki.

- Czy mogę w czymś pomóc?

Longwood nie był pewien, czy ten miły młody człowiek to ksiądz, spostrzegł jednak, że jest on niewiele starszy od stażysty.

- Nie sądzę - odparł.

Wrócił do samochodu. Tym razem wiedział, dokąd zmierza. Skierował się do Weston, a kiedy dotarł na farmę, zjechał z drogi i zaparkował tak, żeby mieć widok na łąkę, na której grywali w softball.

W ciemnościach nie widział wprawdzie zbyt wiele, ale wyglądało na to, że prawie nic się tam nie zmieniło. Niedaleko auta rósł stary srebrzystoszary buk. Longwood ucieszył się, że drzewo przetrwało.

Nagle, nie mogąc w to uwierzyć, poczuł kiedyś tak dobrze znajomy ucisk na pęcherz.

Może to wino, pomyślał coraz bardziej podekscytowany.

Wysiadł, przeszedł kawałek i zatrzymał się w połowie drogi między autem a wysokim drzewem. Stojąc twarzą do starego kamiennego muru, rozpiął rozporek i skoncentrował się.

Po dłuższej chwili na ziemię kapnęły dwie krople, całkiem jak z zakręconego kranu.

W tej samej chwili mrok rozjaśniły światła nadjeżdżającego samochodu. Longwood zapiął w pośpiechu rozporek, niczym mały chłopiec zaskoczony otwierającymi się nagle drzwiami. Auto minęło go i pomknęło dalej, a on stał trzęsąc się jak jakiś idiota. Idiota, myślał rozwścieczony, dureń usiłujący wysikać się na konwalie, które osobiście zasadził dwadzieścia pięć lat wcześniej. Ćwierć wieku.

Czoło musnął mu zimny pocałunek deszczu.

Zastanawiał się, czy kiedy przyjdzie ta chwila, sąd truposzy uzna zejście Harlanda Longwooda za nieuniknione, czy też za takie, któremu można było zapobiec.

Pomyślał, że gdyby dzięki jakiejś sztuczce reinkarnacji mógł przewodniczyć temu posiedzeniu, całą odpowiedzialność przypisałby doktorowi Longwoodowi.

Za nazbyt wiele złych decyzji.

Przejęty zgrozą, widział to wręcz niewiarygodnie wyraźnie.

Całe życie to jedna wielka komisja zgonów.

Historia przypadku zaczyna się w pierwszym momencie świadomej egzystencji.

I prędzej czy później do każdego człowieka przychodzi, najpierw skradając się, później coraz szybciej, ta chwila, w której jego historia dobiega końca. A on właśnie stanął twarzą w twarz z sumą swoich niedoskonałości.

Taki bezbronny, tak potwornie bezbronny.

Panowie, zajmijmy się teraz przypadkiem Longwooda.

Nieunikniona czy możliwa do zapobieżenia?

Zanim wrócił do auta, deszcz rozpadał się na dobre, niczym wyciśnięty z nieba przez napięte mięśnie miednicowe Harlanda Longwooda.

Kiedy zawracał, reflektory oświetliły tablicę stojącą na końcu podjazdu. Okazało się, że Bancroftowie sprzedali farmę niejakim Feldsteinom.

Miał nadzieję, że państwo Feldstein są równie mili jak Rosenfeldowie.

Roześmiał się w głos i po chwili śmiał się tak mocno, że raz jeszcze musiał zatrzymać się na poboczu.

Och, Frances, mówił, jak to możliwe, że nawet o tym nie wiedząc, przeistoczyłem się w schorowanego starca?

W swoich wspomnieniach wciąż pozostawał tamtym młodym mężczyzną, który klęczał przed nią nago owej nocy, kiedy kochali się po raz pierwszy.

A skoro przez całe życie czcił właśnie takie świętości, nie mógł nagle uwierzyć w Boga Zbawiciela tylko z tego powodu, że teraz potrzebował zbawienia.

Ani też, co pojął nagle z zatrważającą jasnością, nie mógł zafundować sobie śmierci, skoro przez całe życie z nią walczył.

Kendera znalazł w laboratorium. Razem z młodym Silverstone'em przeglądał zdjęcia rentgenowskie.

- Chciałbym wznowić dializowanie - rzekł Longwood. Kender podniósł wzrok znad kliszy.

- Przez resztę nocy maszyny są zajęte - odparł. - Mogę cię podłączyć dopiero rano.

- O której?

- Powiedzmy o dziesiątej. Po dializie chcę ci zrobić transfuzję.

Harland Longwood uświadomił sobie, że to stwierdzenie, a nie prośba. Kender rozmawiał z pacjentem.

- Uważamy, że aparat do dializy nie będzie w twoim wypadku jedynym rozwiązaniem - mówił Kender. - Spróbujemy znaleźć dla ciebie nową nerkę.

- Dobrze wiem, jak trudno jest wybrać odpowiedniego biorcę - rzekł sztywno Longwood. - Nie chcę być traktowany lepiej niż inni.

Doktor Kender uśmiechnął się.

- I nie jesteś. Twój przypadek został wybrany ze względów naukowych przez Komisję Przeszczepów, masz jednak rzadką grupę krwi i oczywiście może upłynąć sporo czasu, zanim uda się nam znaleźć odpowiedniego dawcę. A na razie musisz przychodzić tutaj dwa razy w tygodniu na dializę.

Doktor Longwood pokiwał głową.

- Dobranoc - powiedział.

Wyszedł na korytarz. Aparaty do dializy ucichły, zapanowała niemal idealna cisza. Już prawie był przy windzie, kiedy nagle usłyszał, jak drzwi do laboratorium się otwierają i ktoś biegnie w jego stronę.

Odwróciwszy się, zobaczył Silverstone'a.

- Zostawił to pan na biurku doktora Kendera - rzekł Adam wyciągając dłoń, w której trzymał buteleczkę z pastylkami nasennymi.

Longwood szukał w oczach młodego lekarza litości, lecz dojrzał tylko baczne zainteresowanie. Dobrze, pomyślał, wyrośnie z niego chirurg z prawdziwego zdarzenia.

- Dziękuję - powiedział biorąc fiolkę. - Postąpiłem nierozważnie.

Rozdział Czwarty.

Adam Silverstone.

Trzydziestosześciodzinne zmiany sprawiały, że dni i noce zlewały się w jedno, tak więc w okresach wzmożonej pracy Silverstone musiał czasami wyrzucić przez okno, aby się zorientować, czy na dworze jest jasno, czy ciemno.

Doszedł do wniosku, że Suffolk County General to miejsce, którego od dawna szukał, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Szpital był stary, mocno podniszczony i nie tak czysty, jak Adam by chciał, niedomyta nędza pacjentów działała mu na nerwy, na dodatek skąpa administracja oszczędzała na wszelkie możliwe sposoby, nie zapewniając na przykład odpowiedniej liczby fartuchów. Jednakże pod względem naukowym szpital reprezentował niesłychanie wysoki poziom. Od samego początku Silverstone często operował, już w pierwszym miesiącu miał do czynienia z większą liczbą ciekawych przypadków niż przez całe pół roku w Georgii.

Dosłownie zamarł słysząc, że Rafę Meomartino to mąż bratanicy Starego, aczkolwiek z biegiem czasu musiał przyznać, że ciekawe przypadki są dzielone pomiędzy nich z bezstronną sprawiedliwością. Spostrzegł również, że z jakichś niezrozumiałych powodów stosunki pomiędzy Meomartino a Longwoodem są raczej chłodne, i pojął, że związki rodzinne mogą paradoksalnie pogarszać sytuację Rafe'a.

Jedynie w pokoju na szóstym piętrze czuł się źle, bo z winy własnej głupiej bezmyślności zamienił go w miejsce zimne i samotne.

Najgorsze w całym tym mydlanym incydencie było to, że naprawdę lubił Spurgeona Robinsona.

Któregoś ranka wszedł do łazienki, kiedy stażysta się golił, pogadali więc o baseballu, a Adam rozebrał się i wszedł pod prysznic.

- Do diabła - mruknął pod nosem.

- Co jest?

- Zapomniałem mydła.

- Weź moje.

Adam spojrział na kostkę białego mydła leżącą na czarnej dłoni Robinsona i pokręcił głową.

- Nie, dzięki.

Odrpężył się pod strumieniem ciepłej wody, później - bez zastanowienia - wziął cienki kawałek mydła leżący obok prysznic i namydlił nim ciało.

Wychodząc Robinson zajął pod prysznic.

- O, widzę, że jednak znalazłeś jakieś mydło - stwierdził.

- Tak - odparł Adam bardzo zmieszany.

- Tym kawałkiem myłem wczoraj swój czarny tyłek - oznajmił Spur pogodnie.

Finanse przestały być jego główną bolączką. Udało mu się dostać dodatkową pracę, a to dzięki propozycji pulchnego rezydenta anestezyjologii, którego pielęgniarki z bloku operacyjnego nazywały Wesołym Zielonym Olbrzymem, a który okazał się zwykłym Normanem Pomerantzem. Pewnego dnia Pomerantz wszedł do dyżurki lekarzy i nalewając sobie kawy spytał, czy ktoś nie ma przypadkiem ochoty spędzać paru nocy w tygodniu w izbie przyjęć szpitala w Woodborough, zabitej deskami dziurze na zachód od Bostonu.

- Mało mnie obchodzi, gdzie to jest - odezwał się Adam, zanim ktokolwiek inny zdążył zareagować. - Jeśli tylko płacą, biorę tę robotę.

- To w Woodborough - zaśmiał się Pomerantz. - Nie ma obawy, zapłacą ci odszkodowanie za pobyt w szpitalu.

Tak oto Adam przehandlował swój sen i wcale nie żałował tej transakcji. Pierwszej nocy, kiedy nie miał dyżuru w Suffolk County General, wsiadł do kolejki nadziemnej do Park Square, tam przesiadł się na autobus do Woodborough, które okazało się barokową nowoangielską wioską fabryczną, niedawno przekształconą w sypialnię wielkiego miasta. Szpital był dobry, lecz mały, praca niezbyt inspirująca - głównie guzy, otarcia, rany i stłuczenia; najtrudniejszym chyba przypadkiem było powikłane złamanie nadgarstka - za to pieniądze sprawiały mu ogromną radość. Następnego wieczora wracając autobusem do Bostonu ze zdumieniem uprzytomnił sobie, że stał się wypłacalny. Był oczywiście wykończony, trzydzieści sześć godzin dyżuru w Suffolk County General plus następne dwadzieścia cztery w Woodborough każdemu dałyby się we znaki, mimo to czuł, że warto się poświęcić. Przespał równe osiem godzin, a kiedy wstał, miał zawroty głowy, niesmak w ustach i dziwne wrażenie, że jest bogaczem.

Jeździł do Woodborough, kiedy tylko nie miał dyżuru w Suffolk County General. Wreszcie jego organizm zaczął zdradzać objawy wyczerpania, wpadł wówczas w nawyk wykorzystywania każdej wolnej chwili na krótką drzemkę. Przysypiał więc siedząc na koszach na śmieci, raz nawet zasnął oparty o ścianę na korytarzu, rozkoszując się każdą taką chwilą snu jak dziecko landrynką.

Bardzo jednak dokuczala mu samotność. Któregoś wieczora leżał w łóżku słuchając, jak Spurgeon Robinson gra na gitarze; pomyślał, że ta muzyka wiele mówi o stażycie. Po chwili wstał, poszedł na dół do sklepu i kupił sześciopak piwa. Kiedy zapukał, Robinson otworzył drzwi i przez chwilę stał bez słowa.

- Jesteś zajęty? - spytał Adam.

- Nie. Wchodź.

- Pomyślałem, że moglibyśmy wyskoczyć na dach na piwo.

- Wariat.

Jak na idealnego gospodarza przystało, otworzył okno i chwycił siatkę, puszczając Adama przodem.

Pili i gadali o nieistotnych drobiazgach, w końcu jednak zabrakło im tematów i zapadło kłopotliwe milczenie. Wreszcie Adam czknął i spojrzał Spurgeonowi prosto w oczy.

- Do diabła - rzekł. - Przepraszam. Nie możemy się na siebie wściekać jak jacyś głupi smarkacze. Jesteśmy zawodowcami, a od tego, czy potrafimy się porozumieć, może zależeć los naszych pacjentów.

- Zawsze jak się wścieknę, przestaję gadać.

- No cóż, do licha, miałeś rację. Nie lubię używać niczyjego mydła...

Spurgeon uśmiechnął się szeroko.

- Ja tam bym twojego nie użył nawet za grubą forszę.

- ...ale im więcej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że jednak wtedy wcale nie o to chodziło, że nie dlatego nie wziąłem twojego.

Spurgeon po prostu siedział i patrzył na Adama.

- W gruncie rzeczy nigdy dobrze nie znałem nikogo o innym kolorze skóry. Kiedy byłem mały i mieszkalem w Pittsburghu we włoskiej dzielnicy, bandy czarnych chłopaków przychodziły się z nami tłuc. I aż do teraz moje międzyrasowe doświadczenia na tym się właściwie kończyły.

Spurgeon wciąż milczał, Silverstone sięgnął więc po następne piwo.

- Dużo znasz białych? - spytał.

- Przez ostatnie dwanaście lat byłem nimi otoczony i pozbawiony wszelkich szans.

Obaj rozglądali się po okolicznych dachach. Robinson wyciągnął coś w jego stronę, a Adam sięgnął po to sądząc, że to piwo, okazało się jednak, że to dłoń. Którą uściśnął.

Po otrzymaniu pierwszego czeku z Blue Shield natychmiast spłacił zaliczkę, którą dostał ze szpitala wkrótce po przyjeździe, a kiedy zainkasował drugi, poszedł do banku i założył rachunek oszczędnościowy. Wiedział, że w Pittsburghu został ojciec, który

wprawdzie chwilowo milczy, lecz kiedyś na pewno się odezwie i będzie skamlał o gotówkę. Adam obiecał sobie, że tym razem będzie twardy - owszem, w razie jakiejś katastrofy odda wszystko, co ma, ale na wodę ani centa. Chociaż nie wypłacił pieniędzy ani nie zaczął odwiedzać placów z używanymi samochodami, po raz pierwszy w życiu miał ochotę pozwolić sobie na chwilę szaleństwa. Chciał mieć auto, które mógłby zaparkować gdzieś na uboczu, żeby się z kimś pokokosić. Chociażby z Gaby Pender.

Minęło sześć tygodni, a on jeszcze się z nią nie widział. Kilka razy rozmawiali przez telefon, lecz nawet nie próbował się z nią umówić, bo ciągle gnało go do Woodborough, gdzie mógł pomnażać swój skromny kapitał.

Powtarzał sobie, że kiedy w końcu się spotkają, będzie go stać na pójście do dobrej restauracji.

Z drugiej wszak strony wyczuwał, że z każdą rozmową Gaby jest bardziej zakłopotana i chłodna, doszedł więc do wniosku, że musi jej powiedzieć, co robi, kiedy ma wolne.

- Przecież ty się wykończysz - odrzekła szczerze przerażona.
- Już niedługo będę mógł trochę zwolnić.
- Obiecaj mi, że w najbliższy weekend zrobisz sobie wolne.
- Pod warunkiem że się ze mną umówisz. Powiedzmy, w niedzielę wieczorem.
- Masz się wyspać.
- Najpierw chcę się z tobą zobaczyć.
- Dobra - zgodziła się po chwili namysłu.

Adam pomyślał z optymizmem, że ustąpiła z wyraźną radością.

- Wielki wieczór w mieście.
- Posłuchaj - odparła. - Mam świetny pomysł na cudowny wieczór. O tej porze będą nadawać z Tanglewood koncert Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej. Wezmę radio, pójdziemy na esplanadę, rozłożymy koc i będziemy sobie słuchać.

- To ładnie, że chcesz mi zaoszczędzić wydatków, ale naprawdę stać mnie na lepszy wieczór.

- Droższy, nie lepszy. Proszę. Przynajmniej będziemy mogli pogadać.

Obiecała, że będzie gotowa o szóstej, żeby mieli więcej czasu.

- Jesteś szalona - powiedział, najbardziej ciesząc się na ten koc.

W niedzielę po południu napięcie spowodowane oczekiwaniem sięgnęło zenitu. Dzień mijał spokojnie. Starając się myśleć naprzód, Adam przykładął ogromną wagę do każdej, nawet najbardziej rutynowej czynności, żeby przypadkiem nie zdarzyło się nic, przez co mógłby się spóźnić. Nad dyżurką pielęgniarek wisiał wielki stary zegar, którego wskazówki

zastygły na za dwadzieścia pięć piąta, niczym ręce tańczącego charlestona, sparaliżowane zaraz po tym, jak tancerz poruszył kolanami. Osiemdziesiąt pięć długich minut, pomyślał. Planował wziąć prysznic, przebrać się i wyjść ze szpitala kryty ze wszystkich stron. Wyszorowany i ogolony, z twarzą spryskaną płynem po goleniu i lekko przypudrowaną, butami wypucowanymi na najwyższy połysk, włosami przygładzonymi i przede wszystkim z ogromnymi nadziejami.

Rozparł się na krześle i przymknął oczy. Przyszło mu do głowy, że wielki budynek szpitala jest jak śpiący pies; drzemie sobie zadowolony, lecz prędzej czy później...

Zadzwoił telefon.

Stara suka już się obudziła, pomyślał niechętnie i podniósł słuchawkę. Pilne. Trzech poparzonych.

- Idę - powiedział. W windzie nie przestawał się martwić, że sprawa okaże się poważna i spóźni się przez nią na randkę.

Już w holu poczuł odór spalenizny.

Mężczyzna i dwie kobiety. Po krótkich oględzinach Adam stwierdził, że kobiety są w stosunkowo dobrym stanie, dostały też środki przeciwbólowe. Dwa punkty dla rezydenta z izby przyjęć, smarkacza o nazwisku Potter, któremu należą się słowa uznania. Zrobił mężczyźnie tracheotomię, prawdopodobnie pierwszą w życiu (plus jeden punkt za odwagę i minus pięć za to, że nie zaczekał paru minut i nie zrobił jej na sali operacyjnej), a teraz zaciekle zmagął się drżącymi rękoma z cewnikiem aspiratora, starając się odessać wydzielinę.

- Czy ktoś dzwonił po Meomartino?

Potter pokręcił głową, Adam podniósł więc słuchawkę i wybrał numer.

- Doktorze, przydałaby się nam pomoc. Meomartino chwilę się wahał.

- Nie poradzisz sobie sam? - spytał rzeczowo.

- Nie - odparł Silverstone i odłożył słuchawkę na widełki.

- Boże, co on ma w płucach? - dziwił się Potter.

Adam spojrział i odsunął stażystę na bok.

- To treść żołądka. W końcu ma założony aspirator - wyjaśnił z niesmakiem, po czym tam, gdzie było to możliwe, zaczął rozcinać ubranie ofiary i odrywać je delikatnie od poparzonego ciała. - Jak to się stało?

- Straż pożarna prowadzi dochodzenie, doktorze - odrzekł Maish Meyerson, który właśnie stanął w drzwiach. - To stało się w delikatesach. Z tego, co udało się nam ustalić, eksplodowała maszyna do smażenia frytek. Knajpka była zamknięta na czas remontu. Sądząc po zapachu, w tej frytkownicy trzymali jakąś mieszaninę nafty i oleju. Prawdopodobnie

zapaliła się chwilę przed tym, jak ich zalała.

- Miał facet szczęście, że nie pracuje w pizzerii. Nie ma nic gorszego niż poparzenia trzeciego stopnia od mozarelli - wtrącił Potter, próbując się uspokoić.

Mężczyzna jęknął; Adam upewniwszy się, że pacjent jeszcze nie dostał środka uśmierzającego ból, podał mu pięć miligramów morfiny i kazał Potterowi jak najdokładniej oczyścić rany. W tych okolicznościach znaczyło to niezbyt dokładnie; ogień to strasznie brudna sprawa.

Zjawił się Meomartino. Miał kwaśną minę, kiedy wszakże się zorientował, że rzeczywiście jest potrzebny, trochę się rozchmurzył, pobrał od kobiet krew na badania, podczas gdy Adam zajmował się mężczyzną, później podali całej trójce pierwszą porcję elektrolitów i koloidów przez te same igły, przez które chwilę wcześniej pobierali krew. Zanim przenieśli cały ten cyrk na salę operacyjną, pielęgniarka przejrzała kieszenie mężczyzny. Okazało się, że ma on imię, nazwisko, a nawet wiek. Joseph P. Grigio, lat czterdzieści osiem. Meomartino nadzorował Pottera, który zajmował się kobietami, Adam założył Grigio cewnik, następnie wykonał nacięcie w długiej żyły odpiszczelowej, wsunął w nie polietylenową kaniulę i umocował ją jedwabnymi podwiązkami, zakładając w ten sposób wewnątrzżylną linię życia.

Pacjent miał poparzone ponad trzydzieści pięć procent powierzchni ciała - twarz, klatkę piersiową (płuca?), ramiona, pachwinę, a także niewielkie fragmenty nóg i pleców. Kiedyś był muskularny, lecz z wiekiem zwiotczał. Ile sił pozostało w tym starzejącym się ciele?

Adam zdał sobie nagle sprawę, że Meomartino go obserwuje.

- Nie ma szans. Jutro go już z nami nie będzie - stwierdził Rafę, kiedy ściągali rękawice.

- A ja sądzę, że przeżyje - odparł Adam niechętnie.

- Dlaczego?

Adam wzruszył ramionami.

- Ot, przecucie. Widziałem wiele oparzeń. - Nagle wściekł się na siebie: nie miał żadnych podstaw, by uważać się za specjalistę w tej dziedzinie.

- W Atlancie?

- Nie, w Filadelfii. Na studiach dorabiałem w prosektorium.

Meomartino spojrział na niego zbolałym wzrokiem.

- To niezupełnie to samo, co leczenie oparzeń u żywych pacjentów - stwierdził.

- Wiem. Ale mam przecucie, że facet z tego wyjdzie.

- Mam nadzieję, choć szczerze mówiąc nie sędzę. Jest twój. - Meomartino ruszył w stronę drzwi, po czym raz jeszcze się zatrzymał. - Wiesz co? Jeśli przeżyje, kupię u Maxiego kawę na cały tydzień, zgoda?

Diabli nadali takie zawody, pomyślał Adam, odprowadzając go wzrokiem.

Podał pacjentowi zastrzyk przeciwwężcowy, polecił przetransportować chorego na oddział i sam ruszył za nim. Stosując regułę Evansa obliczył ilość płynu należną stusiedemdziesięciofuntowemu ciału. Wyszło mu, że będzie to 2100 mililitrów koloidu, tyle samo soli i 2000 mililitrów pozostałych elektrolitów, aby utrzymać pracę układu moczowego. Wiedział, że połowę tych płynów trzeba będzie podać dożylnie w ciągu pierwszych ośmiu godzin, razem z potężnymi dawkami antybiotyków mających zwalczyć bakterie, które zechcą się zadomowić na zwęglonych i zanieczyszczonych fragmentach poparzonego ciała.

Kiedy wyjeżdżali z windy na drugim piętrze, spojrzął na zegar i zamarł. Szósta piętnaście.

Powinien już szykować się na randkę z Gaby, tymczasem zdawał sobie sprawę, że minie jeszcze przynajmniej dwadzieścia minut, zanim będzie mógł zostawić pacjenta.

Sala 218 była pusta, wykorzystał ją więc jako izolatkę dla Grigio i skupił się na leczeniu samych oparzeń, zastanawiając się, jaką metodę zastosował Meomartino w przypadku kobiet.

Panna Fultz siedziała w dyżurce pielęgniarek uzupełniając dokumentację maszynowym czarnym wiecznym piórem i jak zwykle nie raczyła zwrócić na niego uwagi. Zmęczony oczekiwaniem, aż wreszcie podniesie wzrok, odchrząknął.

- Gdzie znajdę dużą sterylną miskę? - spytał. - Będę też potrzebował paru innych rzeczy.

Obok przechodziła akurat młoda pielęgniarka.

- Panno Anderson, proszę wydać wszystko, czego doktor zażąda - poleciła cicho panna Fultz, nie przerywając pisania.

- Joseph P. Grigio leży na sali 218. Przynajmniej przez trzy zmiany będzie tam potrzebna specjalna pielęgniarka.

- Nie ma żadnej wolnej.

- Jak to nie ma, do licha? - spytał, bardziej rozzłoszczony tym, że panna Fultz nie chce z nim rozmawiać, aniżeli samym problemem.

- Z jakichś niezrozumiałych powodów dziewczyny przestały zatrudniać się jako pielęgniarki.

- Będziemy musieli przenieść go na intensywną terapię.

- Terapia na intensywnej terapii wcale nie jest taka intensywna. Od zeszłego wtorku mają tam okropny tłok - uświadomiła go, a stalówka jej pióra zatoczyła w powietrzu kilka małych kóleczek, zanim opadła na papier i postawiła dużą kropkę.

- Proszę zgłosić zapotrzebowanie na pielęgniarki i jak tylko czegoś się pani dowie, dać mi znać.

Odebrał od panny Anderson dużą sterylną miskę, po czym przyrządził czarodziejską miksturę. Kostki lodu, żeby ochłodzić i znieczulić oparzenia, a także ograniczyć do minimum obrzęk. Sól fizjologiczna, gdyż sama woda zadziałałaby na elektrolity jak środek ługujący. Phisohex, żeby oczyścić rany. Brakowało jedynie krwi smoka i języka traszki.

Zaczął wyjmować z szafy gaziki, potem zauważył na górnej półce podpaski higieniczne, znacznie lepiej nadające się do tego celu, wziął więc całe trzy pudełka.

- Aha... czy nie mogłaby pani poświęcić nieco uwagi temu pacjentowi? - zwrócił się do panny Anderson.

- Nie, doktorze. Panna Fultz kazała mi zająć się trzema innymi sprawami, w tym podawaniem basenu na całym oddziale.

Pokiwał głową i westchnął.

- A czy zechciałaby pani zrobić dla mnie chociaż jedną rzecz? Zadzwoić w jedno miejsce? - Na druczku recepty zapisał nazwisko i numer telefonu Gabrielle Pender i podał pielęgniarce.

- Proszę jej powiedzieć, że chyba niestety trochę się spóźnię.

- Dobrze. Na pewno zaczeka. Ja bym zaczekała. - Dziewczyna uśmiechnęła się i odeszła, a on przez chwilę, acz bardzo krótką, podziwiał jej drobny skandynawski tyłeczek. Ostrożnie zaniósł miednicę do sali 218, rozlewając na wyfroterowaną podłogę zaledwie parę kropel płynu, i wrzucił podpaski do mikstury. Wycisnąwszy je delikatnie, by nie były zanadto wilgotne, układał jedną obok drugiej na spalonym cieple, zaczynając od głowy i kierując się w dół, aż w końcu Grigio miał na sobie dziwaczny garnitur z wilgotnych podpasek. Kiedy obłożył golenie, zaczął od początku, zmieniając ogrzane już podpaski na nowe.

Pan Grigio spał żeglując na falach opium. Dziesięć lat wcześniej jego twarz z całą pewnością uchodziła za przystojną - była to twarz włoskiego szermierza - lecz śródziemnomorski urok stał się tylko bladym wspomnieniem, zabity przez powiększające się zakola i zapadnięte policzki. Adam wiedział, że rano twarz pacjenta będzie przypominać groteskowy balon.

Poparzony poruszył się.

- Dove trewiamo i soldi?

Zastanawiał się, skąd zdobyć pieniądze. Z pewnością nie od towarzystwa ubezpieczeniowego. Nieszczęsny pan Grigio. Nie dość, że tłuszcz z naftą zostały postawione na piecyku, to teraz jeszcze rozpoczęto dochodzenie, dolewając oliwy do ognia.

Mężczyzna poruszył się niespokojnie i wymamrotał jakieś imię, być może kobiety, dręczony przez sumienie i przewidywanie bólu, który go czeka, oczywiście pod warunkiem że przeżyje. Adam zanurzał podpaski w lodowatej cieczy, wyciskał, nakładał na ciało, a zegarek, który podciągnął najwyżej jak się dało, tykał szyderczo.

Niedługo po tym, jak po raz czwarty zużył zawartość miski i ponownie ją nappełnił, zrobił sobie krótką przerwę i spostrzegł, że tuż obok stoi panna Fultz wyciągając w jego stronę duży kubek.

Zdumiony, bez słowa przyjął herbatę.

- Chyba udało mi się załatwić tę pielęgniarkę - oznajmiła. - Ma przyjść o jedenastej, a ja do tego czasu jestem wolna. To raptem godzina. A pan niech już pędzi.

- Rzeczywiście, byłem umówiony - odparł, odzyskawszy głos.

Pięć po dziesiątej!

Z najbliższej budki telefonicznej wykręcił numer Gaby, ale słuchawkę podniosła dziewczyna o rozbawionym głosie.

- Domyślam się, że rozmawiam z doktorem Silverstone'em?

- Tak.

- A ja jestem Susan Haskell, współlokatorka Gaby. Gaby czekała i czekała. Jakąś godzinę temu powiedziała, że jeśli zadzwonisz, mam ci przekazać, że czeka na esplanadzie.

- Pojechała sama na ciemne nabrzeże? - W głowie zawirowały mu przerażające myśli o napadach i gwałtach.

Na chwilę zapadła cisza.

- Nie znasz Gaby zbyt dobrze, prawda? - rozległ się w końcu głos dziewczyny.

- Gdzie dokładnie na esplanadzie?

- W pobliżu muszli koncertowej, wiesz której? On wprawdzie nie wiedział, za to taksówkarz tak.

- Tam nie ma dziś żadnego koncertu - powiedział.

- Wiem, wiem.

Wysiadł z taksówki i ruszył w mroku po miękkiej trawie. Przez chwilę sądził, że jej tam nie będzie, zaraz jednak spostrzegł ją siedzącą na kocu spory kawał dalej, pod latarnią, jakby to była dająca schronienie sosna.

Kiedy usiadł obok niej, obdarowała go ciepłym swego uśmiechu i natychmiast

zapomniał o zmęczeniu.

- Było jakieś trzęsienie ziemi, że o mały włos nie odprawiłeś mnie z kwitkiem?

- Skończyłem dosłownie przed chwilą. Byłem pewny, że nie zaczekasz. - Wskazał na swój biały strój. - Nawet nie zdążyłem się przebrać.

- Cieszę się, że w końcu przyszedłeś. Jesteś głodny?

- Jak wilk.

- A ja oddałam twoje kanapki. Spojrzał na nią.

- Ty się nie pojawiałeś, a do mnie podeszło trzech chłopaków i nawet nie próbowali się przystawiać, nic w tym rodzaju. Jeden z nich wygadał się, że nie mają forsę na kolację. Ale zjedz chociaż śliwkę.

Przyjął ją i zjadł, głównie dlatego że nie był w stanie wymyślić żadnej błyskotliwej odpowiedzi. Owoc okazał się krępująco soczysty. Adam miał wrażenie, że aż lepi się od brudu, i czuł, że stoi na straconej pozycji, bo chociaż ogromnie cieszył się na to spotkanie i chciał zrobić na dziewczynie wrażenie, to nagle uświadomił sobie, że jej współlokatorka ma absolutną rację - on w ogóle nie zna Gaby. W rzeczywistości spędził z nią zaledwie trzy godziny, w tym jedną w samym centrum hucznej imprezy w pokoju dziennym siostry Herba Shafera w Atlancie.

- Szkoda, że symfonia przeszła ci koło nosa - odezwała się Gaby. - Często zdarzają ci się takie przypadki?

- Nie aż tak bardzo - odparł, nie chcąc jej przestraszyć. Później pamiętał, że leżał na kocu i rozmawiali o muzyce, o pracy Gaby z psychologii, aż w końcu zamknął oczy. Kiedy je otworzył, zdał sobie sprawę, że zasnął, chociaż nie miał zielonego pojęcia, jak długo spał. Dziewczyna siedziała zapatrzona w rzekę i po prostu cierpliwie czekała. Nie potrafił zrozumieć, jak mógł zapomnieć tę twarz. Miała piwne oczy, teraz spokojne, ale bardzo żywe, usta może nieco zbyt szerokie, górną wargę wąską, sugerującą skłonność do uszczypliwości, dolną natomiast bardzo pełną. Ciemnoblonde włosy, lśniące w świetle latarni, były lekko spłowiałe od słońca. Pieprzyk pod lewym okiem uwydatniał kości policzkowe. Rysy miała trochę za mało regularne, by można zaryzykować twierdzenie, że jest piękna. Z drugiej wszak strony, chociaż niska i drobna, była stanowczo zbyt pociągająca, by pasowało do niej określenie milusia. Trochę za chuda, doszedł do wniosku.

- Takiej opalenizny dawno już nie widziałem. Ty chyba mieszkasz na plaży - odezwał się.

- Mam kwarcówkę. Trzy minuty dziennie, przez okrągły rok.

- Nawet w lecie?

- Pewnie. Sypialnia gwarantuje więcej prywatności. Żadnych białych plam czy pasków. Zrobiło mu się miękko w kolanach.

- Jeden z chłopaków w szkole twierdzi, że mam zamiłowanie do fizycznego ciepła, dlatego że pochodzę z rozbitej rodziny. Uwielbiam upalne dni.

- Robicie sobie psychoanalizę na zajęciach z psychologii?

- Po zajęciach - uśmiechnęła się. - Przez cały czas. - Położyła się na kocu, tuż obok niego. - Mocno pachniesz mężczyzną. I tak jakbyś był blisko ognia.

- Boże, aż tak źle? Planowałem, że zjawię się tutaj pachnący kwiatami.

- A po co komu facet pachnący kwiatami?

Ich twarze były teraz bardzo blisko siebie, nie musiał się więc wysilać, żeby ją pocałować.

Musnął też ustami jej pieprzyk.

Z głośnika przenośnego radia płynął temat z „Nigdy w niedzielę”.

- Umiesz hasapiko?

- Chętnie się nauczę - odparł lubieżnie.

- To taki grecki taniec.

- Aha.

Wstał ze szczerym żalem, ponieważ uparła się, że go nauczy. Jak na byłego pletwonurka i skoczka do wody przystało, miał dobre wyczucie rytmu, szybko więc złapał podstawowy krok. Trzymając się za ręce tańczyli w powolnym rytmie, później przyspieszyli, kiedy muzyka zaczęła grać głośniej. Zorba i jego kobieta na miękkiej trawie esplanady... Ale oczywiście pomylił krok i upadli na ziemię, śmiejąc się i z trudem łapiąc oddech. Znowu ją pocałował i poczuł jej ciepło pod swymi ustami, w ramionach.

Było przyjemnie. Leżeli w milczeniu i napawali się miłym uczuciem prywatności. Za nimi po Storrow Drive mknęły samochody, przed sobą mieli rzekę, ciemną aż do latarni wzdłuż Memorial Drive po stronie Cambridge i tylko na środku łopotał jeden ledwo widoczny biały żagiel.

Naturalnie padało na nich światło latarni.

Żagiel przesuwiał się.

- Popływałbym łódką - odezwał się Adam.

- Zaraz za muszlą koncertową jest klub. Stoi tam kilka łodzi.

Podał jej rękę i pobiegli na nabrzeże. Nie było wiosła, mimo to pomógł jej wsiąść do jednej z łodzi.

- Możemy poudawać. Ja będę Ulisesem - powiedział, wciąż w helleńskim nastroju. -

A ty syreną.

- Nie. Ja jestem po prostu Gabrielle Pender. Siedzieli na rufie twarzą do drugiego brzegu i świateł, które powinny były popsuć nastrój, lecz nie popsuly, Cambridge Electric, Electronic Corporation of America i inne. Znowu ją całował, a kiedy na chwilę przestał, odezwała się:

- Był żonaty.

- Kto?

- Ulisses. Pamiętasz nieszczęsną Penelopę, co czekała w Itace?

- Nie widział jej przez dwadzieścia lat. Ale w porządku, będę kim innym. - Zatopił twarz w jej włosach. Boże, wspaniale pachniała. Ledwo słyszalny oddech stał się szybszy, kiedy całował jej szyję, a krew pulsująca w żyłach uderzała delikatnie o jego usta. Łódź wznosiła się i opadała na niewielkich falach, które dochodziły do nich z odległego o kilka mil ujścia rzeki i pluskały o nabrzeże.

- Och, Adamie - szepnęła między pocałunkami. - Adamie Silverstone, kim teraz jesteś? Kim jesteś naprawdę?

- Jak już się dowiesz, to koniecznie mi powiedz - odparł.

Komary zmusiły ich do zejścia na ląd. Pomógł Gaby złożyć koc, który wrzucili do jej auta, zdezelowanego plymoutha kabrio rocznik 1963 zaparkowanego przy Storror Drive. Poszli do kawiarenki na Charles Street i siedzieli przy stoliku pod ścianą, popijając kawę.

- Co właściwie zatrzymało cię tak długo w szpitalu? Opowiedział jej o Grigio. Była dobrą słuchaczką, zadawała inteligentne pytania.

- Nie boję się pożaru ani utonięcia.

- To znaczy, że czegoś się jednak boisz.

- W mojej rodzinie było wiele przypadków raka. I to zarówno po stronie ojca, jak i matki. Niedawno zabrał moją babcię.

- Przykro mi. Ile miała lat?

- Osiemdziesiąt jeden.

- W tym wieku mógłbym umrzeć nawet na raka.

- Ja też. Ale weźmy na przykład moją ciocię Luizę. Młoda, piękna kobieta. Nie chciałabym umrzeć, zanim się zestarzeję. Czy w szpitalach umiera dużo pacjentów?

- Na oddziałach takich jak nasz, kilku w miesiącu. W mojej specjalności, jeżeli miesiąc minie bez żadnego zgonu, to naczelny rezydent albo szef chirurgów wydaje przyjęcie.

- Często macie przyjęcia?

- Nie.

- Nie mogłabym robić tego, co ty. Nie potrafiłabym patrzeć na cierpienie i umieranie.

- Umierać można na wiele sposobów. W psychologii też jest wiele bólu i cierpienia, prawda?

- Pewnie. W klinicznej. I właśnie dlatego mam zamiar zajmować się badaniem małych chłopców i odgadywaniem, dlaczego nie chcą wyjść spod łóżka.

Pokiwał głową i uśmiechnął się.

- Jak to jest, kiedy patrzy się na kogoś, kto umiera?

- Pamiętam pierwszy raz... Na studiach. Był taki facet... Widywałem go na obchodach. Czuł się świetnie, śmiał się i żartował. A kiedy podłączałem mu kroplówkę, jego serce nagle przestało bić. Próbowaliśmy wszystkich możliwych sposobów, żeby go zreanimować. Pamiętam, że patrzyłem na niego i zadawałem sobie pytanie, co się właściwie stało, co takiego odeszło, co zmieniło go z człowieka w... to.

- Boże - szepnęła. - Mam guz.

- Co takiego?

Potrząsnęła głową. Lecz Adam słyszał.

- Gdzie?

- Wolalabym nie mówić.

- Na miłość boską. Zapomniałaś, że jestem lekarzem? - Pewnie pierś, pomyślał.

Odwróciła wzrok.

- Proszę. Żałuję, że ci o tym powiedziałam. To na pewno nic poważnego. Niepotrzebnie się zamartwiam.

- W takim razie może byś poszła do lekarza i dała się zbadać?

- Dobrze, pójdę.

- Obiecuj.

Skinęła głową, uśmiechnęła się i zmieniła temat. Opowiedziała mu o sobie. Rodzice rozwiedli się. Ojciec ponownie się ożenił i obecnie prowadził jakiś kurort w Berkshires, matka wyszła za farmera z Idaho. Adam powiedział tylko, że jego matka była Włoszką i już nie żyje, a ojciec jest Żydem, lecz wolał nie wdawać się w szczegóły. Gaby zauważyła to i nie naciskała.

Kiedy wypili po trzy filiżanki kawy, uparła się, że odwiezie go do szpitala. Nie pocałował jej na dobranoc, po części dlatego że wejście do szpitala nie sprzyjało intymności, po części dlatego że był zbyt wykończony, by próbować sobie wyobrazić, że jest jakimś tam Zorbą, Ulissem czy kimkolwiek innym oprócz bezwładnego ciała w łóżku na poddaszu.

Mimo wszystko zatrzymał windę na drugim piętrze i niczym żelazo przyciągane przez

magnes poszedł na salę 218. Obiecał sobie, że tylko szybko sprawdzi, czy wszystko w porządku, a potem położy się spać.

Helen Fultz pochylała się sztywno nad Josephem Grigio.

- Co pani robi?

- Pielęgniarka nie przyszła.

- No cóż, za to ja już wróciłem. - Wyrzuty sumienia objawiły się rozdrażnieniem. - Niech pani idzie do łóżka, proszę. - Zastanawiał się, ile ona może mieć lat. Sprawiała wrażenie steranej życiem, na pokrytą zmarszczkami twarz o wąskich ustach opadały kosmykami siwe włosy.

- Nigdzie nie pójdę. Od dawna nie robiłam tego, co powinna robić pielęgniarka. Cała ta papierkowa robota zmienia człowieka w urzędasza. - Wypowiedziała to tonem nie znoszącym sprzeciwu, on wszakże nie ustępował. W końcu poszli na kompromis. Zgodził się, żeby posiedziała przy pacjencie do pierwszej. Niedawno minęła północ.

Zauważył, jak wiele zmienia obecność drugiej osoby. Panna Fultz zachowywała swe neurotyczne milczenie, lecz parzyła kawę gorętszą niż ciało Gaby i czarniejszą niż Robinsona. Zmieniali się przy nakładaniu kompresów na ciało Josepha Grigio, kiedy ich dłonie zaczynały się buntować przeciwko moczeniu ich w lodowatej soli.

Joseph Grigio wciąż oddychał. Ta stara wiedźma, milcząca siwa suka, zmęczona starzejąca się kobieta utrzymała go przy życiu i teraz, z pomocą chirurga, miał jeszcze szansę wydobrzeć i okazać się osłem. Szekspir.

O drugiej w nocy wygonił ją do dyżurki, stawiawszy czoło jej zabójczemu spojrzeniu. W pojedynkę było dużo trudniej. Oczy same mu się zamykały, mięśnie karku zaczynały łapać skurcze. Lewa nogawka jego kiedyś białych spodni była mokra i zimna od kapiącej z podpasek soli.

W szpitalu panowała cisza.

Przerywana od czasu do czasu cichymi odgłosami. Okrzykami bólu, stłumionym bębnieniem moczu o basen, stukotem gumowych obcasów o linoleum. Wszystko to mieszało się z tłem, zupełnie jak cykanie świerszczy albo śpiew ptaków na wsi. Czuło się to wszystko, choć właściwie nie słyszało.

Dwa razy zdarzyło mu się na moment zasnąć, a kiedy się budził, zaczynał pospiesznie zmieniać pacjentowi lodowate kompresy.

Przepraszam, panie Grigio, zwracał się w myślach do leżącego na łóżku ciała. Gdyby nie ten mój głód pieniędzy, byłbym teraz bardziej wypoczęty i mógłbym zapewnić panu znacznie lepszą opiekę. Ale tak się składa, że cierpię na brak gotówki. Dlatego właśnie

wziąłem te dyżury. Naprawdę potrzebuję forsy.

Tylko proszę, niech pan nie umrze, kiedy będę spał.

Boże, nie pozwól, żeby mnie to spotkało. Nie pozwól, żeby spotkało to jego.

Zanurzył dłonie w lodowatym płynie.

Wycisnął zimną podpaskę.

Nałożył ją na ciało pacjenta.

Chwylił tkaninę przeznaczoną dla ciepłych kobiecych łądźwi, którą ogrzał ogień zaabsorbowany z poparzonego ciała mężczyzny, i wrzucił do miednicy, żeby z powrotem się ochłodziła.

Powtarzał całą tę procedurę, a nieprzytomny Joseph Grigio wydawał z siebie ciche westchnienia, od czasu do czasu występując jakieś niezrozumiałe włoskie zdania. Jego poparzona twarz i ciało były teraz wyraźnie napuchnięte.

Posłuchaj mnie, mówił do niego Adam. To będzie cholerny kłopot, jeśli umrzesz. Nie wolno ci umrzeć, przynajmniej dopóki ja tutaj jestem. Rozumiesz, ty żalony przysmalony sukinsynu?

Lepiej dla ciebie, żebyś tego nie robił, zagroził.

W pewnym momencie zdawało mu się, że słyszy Arlekina krocącego szpitalnym korytarzem.

- Precz stąd - powiedział na głos. Scutta mai occhio, pu-pu-pu.

Powtarzał tę litanię zanurzając dłonie w lodowatej cieczy.

Stracił rachubę upływających godzin, lecz nie musiał już toczyć bitwy z własnym organizmem. Co chwila łapały go bolesne skurcze, które nie pozwalały mu zasnąć. Prawie płakał z bólu sięgając do miednicy, której lodowatą zawartość zdążył w ciągu nocy wymienić jeszcze trzykrotnie. Jego dłonie zrobiły się niebieskie i sękaty, z trudnością zginał palce, których pomarszczone koniuszki wydawały się puste.

Raz we własnym cierpieniu zapomniał o pacjencie i zostawił go. Wstał, roztarł dłonie, przeciągnął się, zrobił skłon, rozluźnił palce, zamrugał oczyma, później poszedł do ubikacji, załatwił się i umył ręce w rozkosznie ciepłej wodzie.

Kiedy wrócił na salę 218, podpaski na ciele Grigio były ciepłe, stanowczo zbyt ciepłe. Z furią wyciskał nowe i kładł na ciało, stare wrzucał do miednicy.

Grigio pojękiwał, a on mu wtórował.

- Chyba nie siedziałeś tutaj przez całą noc? - spytał Meomartino.

Nie odpowiedział.

- Chryste. Widzę, że jesteś gotów na wszystko, byle tylko wygrać tę kawę.

Słyszał jego głos jak przez telefon, choć przecież Rafael Meomartino stał tuż obok.

Uprzytomnił sobie, że jest już rano. Grigio wciąż oddychał.

- Zasuważ na górę i kładź się spać.

- A pielęgniarka?

- Kogoś załatwię, doktorze Silverstone - rozległ się głos panny Fultz. Adam nawet nie zauważył, kiedy pojawiła się w progu.

Wstał.

- Przysłać panu na górę jakieś śniadanie? Albo kawę?

- spytała panna Fultz. Pokręcił głową.

- Chodź, odprowadzę cię - rzekł Meomartino. Kiedy wchodzili do windy, Helen Fultz zwróciła się do niego raz jeszcze:

- Czy ma pan jakieś szczególne instrukcje? Ponownie pokręcił głową.

- Proszę mnie obudzić, gdyby były jakieś problemy. - Musiał mówić bardzo uważnie.

- Jakby co, zwołaj mnie - wtrącił Meomartino.

- Dobrze, doktorze Silverstone. Niech pan śpi spokojnie - odparła jawnie lekceważąc Rafaela Meomartino.

W windzie Meomartino uważnie mu się przyglądał.

- Od jak dawna tu jesteś? - odezwał się w końcu. - Od sześciu, siedmiu tygodni? Niecałe dwa miesiące. A ona już z tobą rozmawia. Mnie to zajęło bite dwa lata. Niektórym w ogóle się nie udaje. Sześć tygodni to najlepszy wynik, o jakim kiedykolwiek słyszałem. Rekord świata.

Adam otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zdołał jedynie ziewnąć.

Zasnął kwadrans po siódmej, trochę po wpół do dwunastej obudziło go walenie do drzwi. Meyerson, kierowca ambulansu, stał w progu i spoglądał na niego z przyjaznym lekceważeniem.

- Wiadomość z dołu, doktorze. Nie odpowiedziałeś na pager.

Czuł, że serce wali mu jak młotem.

- Właż - wyszeptał pocierając skronie. - Przeklęty sen. Meyerson przyjrzał mu się bystro, ze świeżym zainteresowaniem.

On i Gaby umarli. Po prostu przestali żyć, ale donikąd nie poszli; był całkiem nieświadomy zmiany, życia po śmierci bądź tego, że nic tam nie ma.

Meyerson słuchał z zaciekawionym.

- Nie śniły ci się żadne liczby? Adam pokręcił głową.

- A po co ci liczby?

- Jestem mistykiem. Mistykiem?

- Powiedz mi, Maish, co właściwie dzieje się z duszą po śmierci?

- Dobrze znasz Talmud?

- Stary Testament?

Meyerson spojrzał na niego jakoś dziwnie.

- Nie. Jezu Chryste, gdzieś ty chodził do hebrajskiej szkoły?

- Wcale nie chodziłem. Kierowca westchnął.

- Wiem niewiele, ale akurat to wiem. Talmud to księga tradycyjnych praw. Mówi, że dobre dusze trafiają pod tron Jahwe. - Uśmiechnął się. - Wychodzi mi na to, że albo ten tron jest piekielnie wielki, albo dobrych dusz jest cholernie mało. Jedno albo drugie.

- A co w takim razie dzieje się ze złymi duszami? - spytał Adam wbrew sobie.

- Po przeciwnych stronach świata stoją dwaj aniołowie i grają nimi w piłkę.

- Robisz sobie ze mnie jaja.

- Nie. Ciskają bydlakami tam i z powrotem. - Meyerson przypomniał sobie, po co przyszedł. - Słuchaj, jest do ciebie rozmowa na koszt abonenta. Z Pittsburgha. Jeśli chcesz ją przyjąć, przekręć do centrali... - Spojrzał na kartkę. - Dwieście osiemdziesiąt cztery.

- O Boże... Dzięki. Hej! - zawołał za Meyersonem. - Masz może jakieś drobne?

- Tylko trochę szmalu na pokera.

- Rozmienisz mi? - Podał mu dwa banknoty i wziął monety.

- W tym śnie byłeś tylko ty i ta dupeczka? Żadnych liczb? Adam pokręcił głową.

- A więc dwie osoby. Postawię na dwieście dwadzieścia dwa. Jak chcesz, to wyłożę pół dolca także za ciebie.

Ale mistyk.

- Nie, dzięki.

- Może na dwieście osiemdziesiąt cztery? Numer centrali?

- Nie.

Maish wzruszył ramionami i skierował się ku windzie, Adam podszedł do aparatu na ścianie korytarza. Bolała go głowa i miał sucho w ustach.

A więc w końcu stało się, pomyślał. Spadł z mostu. Czy może skoczył? Albo leży w szpitalu, poparzony jak Grigio. Przecież smarkacze nagminnie podpalają pijaków.

Jednakże telefonistka poinformowała go, że dzwoni ojciec. Pięć dwudziestopięciocentówek, jedna piątka i jedna dziesiątka.

- Adam? To ty, synu?

- Tato, co się stało?

- No... potrzebuję paru stówek. Chcę, żebyś je dla mnie zdobył.

Ulga i gniew, emocjonalna huśtawka.

- Dałem ci pieniądze, kiedy cię ostatnio widziałem i w efekcie przyjechałem tu jak jakiś włóczęga. Sam musiałem się zapożyczyć, wziąć ze szpitala zaliczkę.

- Przecież wiem, że nie masz pieniędzy. Powiedziałem, żebyś je dla mnie zdobył.

- Na co ci są potrzebne?

- ...Jestem bardzo chory.

Nagle wszystko stało się łatwe. Musi być pijany nawet teraz, bo w przeciwnym razie nie rozgrywałby tej partii w równie idiotyczny sposób. Na trzeźwo był cwany i niebezpieczny.

- W takim razie idź na moją uczelnię i powiedz Maury'emu Bernhardtowi, doktorowi Bernhardtowi, że cię przysłałem. On przekręci do mnie, a ja go poproszę, żeby ci zapewnił odpowiednią opiekę.

- Potrzebuję pieniędzy. Pieniądzy.

Swego czasu, pomyślał Adam, zastawiłbym coś w lombardzie, żeby tylko dać ci tę forszę.

- Więcej ode mnie nie dostaniesz.

- Adamie.

- Skoro przepiłeś tamte dwie stówki, a wygląda na to, że tak, najpierw wytrzeźwiej, a potem poszukaj sobie jakiejś pracy. Przyślę ci dziesięć dolarów na jedzenie.

- Adamie, nie rób mi tego. Miej litość. Synu... - zaszlochał w odpowiedzi. Był inteligentny. Potrafił się rozplakać na samą myśl o swoim życiu. Jeżeli miewał z czymś problemy, to co najwyżej z udawaniem, że się śmieje.

Adam zaczekał cierpliwie, aż wybrzmi ostatni spazm, zmiękł jednak tylko odrobinę.

- Dodam jeszcze pięć. To razem piętnaście dolarów. I ani centa więcej.

Dzwoniąc nie na swój koszt, ojciec spokojnie wydmuchał nos. Kiedy ponownie się odezwał, w jego głosie znowu pobrzmiwała wielkopańska arogancja.

- Mam nowy cytat do twojej kolekcji, ty marnotrawco słów.

- Tato...

Szkoda, że jesteś mądrzejszy, i Szkoda, że jesteś większy...

- Zapamiętałeś? Adam powtórzył.

- Dobrze - rzekł Myron Silberstein i odłożył słuchawkę, och, co za stary bękart, facet, dla którego najważniejsze są wyjścia.

Adam stał ze słuchawką przy uchu nie wiedząc, czy śmiać się czy płakać, z

zamkniętymi oczyma starał się zwalczyć coraz głośniejsze dudnienie w głowie. Kłębiły się w niej takie myśli, że miał wrażenie, jakby chwycił go anioł, unosił w górę, rzucał w lodowaty mrok, gdzie łapały go ręce drugiego anioła po to tylko, by natychmiast odrzucić go z powrotem. Wreszcie odłożył słuchawkę, telefon znowu zadzwonił. Telefonistka poleciła, by dopłacił jeszcze trzydzieści centów, co też posłusznie uczynił.

Wrócił do łóżka, lecz wszelkie nadzieje na sen diabli wzięli. Nie znał tego cytatu. Po krótkich zmaganiach poddał się, ubrał i powłókł do szpitalnej biblioteki, żeby sprawdzić w Bartlecie. Okazało się, że fragment jest autorstwa Alinę Kilmer, której mąż Joyce został zabity jako młody i zapewne uroczy człowiek. Całości dopełniały jeszcze dwie linijki:

Szkoda, że jesteś mądrzejszy, Szkoda, że jesteś większy; Milszy mi byłeś głupszy, Milszy mi byłeś mniejszy.

Wbrew sobie poczuł bolesne ukłucie, co ojciec bez wątpienia przewidział. Powiniennem po prostu o nim zapomnieć, pomyślał, raz na zawsze wykreślić go z życia.

Zamiast tego jednak napisał krótki list, włożył do koperty razem z piętnastoma dolarami i całość wysłał ze znaczkiem poczty lotniczej, który zwędził w dyżurce pielęgniarek, kiedy panna Fultz udawała, że nie patrzy.

Gaby Pender.

Zahipnotyzowała go. Opalenizną na całym ciele i soczystą śliwką. Myślał o niej bez przerwy, telefonował stanowczo za często. Kiedy spytał, powiedziała, że była w przychodni studenckiej. Guz okazał się niegroźny, właściwie nie był to nawet żaden guz, tylko mięsień i wytwór wyobraźni. Uszczęśliwieni, rozmawiali o innych rzeczach. Chciał się z nią zobaczyć, jak najszybciej.

Między nich weszła śmierć Susan Garland. To, że udało mu się uratować Josepha Grigio, nie było dlań dostateczną rekompensatą za stratę Susan. Zdał sobie sprawę, że w medycynie nie ma mowy o wyjściu na zero.

Jego duszę ogarnęło znużenie światem, które go przerażało, lecz z którego nie był w stanie się otrząsnąć. Być może strach Gaby przed śmiercią sprawił, że stał się bardziej wrażliwy, za bardzo. Jakakolwiek jednak była przyczyna, odkrył w sobie głęboką studnię wściekłości na bezsilność wobec marnowania pięknych istnień.

Po raz pierwszy od ukończenia studiów zdarzało mu się podczas obchodów wahać i wątpić. Zaczął szukać potwierdzenia u fachowców, bał się podejmować samodzielne decyzje, które zaledwie parę tygodni wcześniej podjąłby bez chwili namysłu.

Swój gniew skierował do wewnątrz, znajdując w sobie same wady i słabości.

Ot, weźmy na przykład ciało.

Wprawdzie już od dawna nie nurkował ani nie skakał, wciąż jednak był młody. Powtarzał to sobie z ogromnym rozdrażnieniem, patrząc w lustro i myśląc o białych larwach, które wuj Frank wykopywał z ziemi, kiedy przygotowywał grunt pod pomidory.

Stojąc w samej bieliźnie widział krągłość brzucha, jaka przystoi jedynie kobiecie w pierwszych miesiącach ciąży.

Kupił trampki i dres i odtąd po zakończeniu każdego dyżuru przebiegał sześć okrążeń dookoła budynku. W nocy nikt go nie widział, rano natomiast był narażony na chichot pielęgniarek.

Któregoś ranka jakiś czarny malec, siedmio - albo ośmioletni, przesiewający właśnie piasek w rynsztoku, podniósł wzrok i spytał:

- Człowieku, kto cię goni?

Za pierwszym razem, oszczędzając oddech, Adam nie odpowiedział. Kiedy wszakże mijał malca powtórnie, a ten zadał mu to samo pytanie, zaczął rzucać odpowiedzi, niczym mini wyznania.

- Susan Garland.

- Myron Silberstein.

- Spurgeon Robinson.

- Gaby Pender.

Męczyło go pragnienie, by odpowiedzieć uczciwie. Dlatego podczas ostatniego okrążenia, walcząc z bólem nóg i rąk, zawołał do chłopca przez ramię:

- Sam się gonię!

Tego ranka, kiedy Komisja Zgonów omawiała przypadek Susan Garland, Adam dowiedział się czegoś nowego.

Dowiedział się, że kiedy sprawa dotyczy cię osobiście, Komisja Zgonów staje się całkiem innym zwierzem.

Różnica okazała się mniej więcej taka, jak między zabawą z domowym kotem a walką z dziką panterą.

Sączył kawę, od której natychmiast zaczęło go ssać w żołądku, podczas gdy Meomartino zreferował historię choroby, a doktor Sack przedstawił wyniki sekcji zwłok.

Wykazała ona, że przeszczepiona nerka była w najlepszym porządku, tym samym więc Meomartino został zdjęty z haka.

Nie stwierdzono również żadnych problemów z zespoleniem ani pozostałymi elementami techniki transplantacyjnej doktora Kendera.

Adam pojął, że teraz została tylko jedna osoba.

- Doktorze Silverstone - odezwał się doktor Longwood. - O której godzinie badał ją pan po raz ostatni?

Nagle poczuł na sobie spojrzenia wszystkich obecnych na posiedzeniu.

- Tuż przed dziewiątą wieczorem - odparł.

Oczy Starego wydawały się większe niż zwykle, gdyż utrata wagi bardzo wyostrzyła jego brzydkie rysy. W zamyśleniu gładził swoje rzadkie siwe włosy.

- Nie zauważył pan żadnych objawów infekcji?

- Żadnych, sir.

Pielęgniarka znalazła ją martwą o drugiej czterdzieści dwie.

Doktor Sack odchrząknął.

- Godzina nie wydaje się istotna. Nie potrzebowała dużo czasu, by wykrwawić się na śmierć. Mogło wystarczyć nawet półtorej godziny.

Doktor Kender strząsnął popiół z cygara.

- Czy na nic się nie skarżyła?

Chciała, żeby umyć jej włosy, przyszła Adamowi do głowy idiotyczna myśl.

- Na ogólne samopoczucie. I na bóle brzucha.

- A jakie były objawy?

- Miała lekko przyspieszony puls. Wcześniej ciśnienie krwi było nieco za wysokie, podczas ostatniego badania wróciło do normy.

- Jakie wyciągnął pan z tego wnioski? - spytał doktor Kender.

- Wtedy wydawało mi się, że to dobry znak.

- A co obecnie myśli pan na ten temat, wiedząc to, co pan wie? - Doktor Kender zadał to pytanie tonem bynajmniej nie wrogim.

Adam uświadomił sobie, że traktują go łagodnie; być może to znak, że mają o nim dobre zdanie. Mimo to poczuł mdłości.

- Przypuszczam, że już wtedy, kiedy ją badałem, miała krwotok wewnętrzny, co tłumaczyłoby spadek ciśnienia.

Doktor Kender skinął głową.

- Po prostu brakuje panu jeszcze doświadczenia w pracy z pacjentami po przeszczepach. Trudno mieć o to do pana pretensje. - Pokręcił głową. - Jedno chciałbym jednak powiedzieć bardzo jasno i wyraźnie. W przyszłości, jeśli natknie się pan na coś, czego nie będzie pan potrafił wyjaśnić, musi pan niezwłocznie sprowadzić któregoś ze starszych stażem lekarzy. Każdy chirurg pracujący na tym oddziale od razu zorientowałby się, co naprawdę się święci. Mogliśmy podać jej krew i spróbować poradzić sobie z tętnicą.

Umieścić głęboki dren za nerką i naszpikować dziewczynę antybiotykami. Gdyby się okazało, że nerki nie da się ocalić, mogliśmy ją usunąć.

A Susan Garland żyłaby, pomyślał Adam. Zdał sobie sprawę, że od śmierci Susan podświadomie wiedział, że powinien był wtedy wezwać któregoś z chirurgów. Dlatego właśnie obecnie konsultował sprawy nawet najbardziej rutynowe.

Skinął głową w stronę Kendera.

Transplantolog westchnął.

- Przekłete zjawisko odrzucania przeszczepów to w dalszym ciągu nasz największy wróg. Jesteśmy wystarczająco dobrymi technikami chirurgii, żeby przeszczepiać cokolwiek. Fizycznie. Serca, kończyny albo ogony psów. Potem jednak do akcji wkraczają przeciwciała biorcy, które starają się usunąć z organizmu obcego, żeby więc temu zapobiec, zatruwamy organizm chemikaliami i wystawiamy pacjenta na zagrożenie infekcją.

- Kiedy będzie pan przeprowadzał następną transplantację, u pani Bergstrom, czy zamierza pan użyć mniejszych dawek antybiotyków? - spytał doktor Sack.

Doktor Kender wzruszył ramionami.

- Musimy przeprowadzić następną serię badań na zwierzętach, a potem zadecydujemy.

- Wróćmy do sprawy Susan Garland - rzekł spokojnie doktor Longwood. - Jak zaklasyfikowaliby państwo jej śmierć?

- No cóż, nie ulega wątpliwości, można było jej uniknąć.

- Do uniknięcia - zgodził się doktor Kender, popalając cygaro.

- Jak najbardziej - stwierdził doktor Sack.

Kiedy przyszła kolej Meomartino, był na tyle przyzwoity, że tylko kiwnął głową.

Stary wlepił w Adama wielkie oczy.

- Na tym oddziale, doktorze Silverstone, ilekroć pacjent wykrwawi się na śmierć, komisja zawsze uzna, że zgonowi można było zapobiec.

Adam ponownie skinął głową. Jakikolwiek słowa nie miałyby sensu.

Doktor Longwood wstał i posiedzenie dobiegło końca.

Adam odsunął krzesło od stołu i czym prędzej opuścił amfiteatr.

Tego wieczora, schodząc z dyżuru, zajrzał do laboratorium, gdzie znalazł doktora Kendera przygotowującego nową serię badań na psach.

Kender przywitał się z nim przyjaźnie.

- Weź krzesło, synu, i siadaj. Wygląda na to, że przeszedłeś próbę ognia.

- Ale nie mogę powiedzieć, że mnie nie przypaliło. Doktor wzruszył ramionami.

- Zasłużyłeś, żeby przypalić ci tyłek, aczkolwiek był to błąd, który zapewne

popęlniłyby większość z nas, gdybyśmy mieli tak małe doświadczenie w transplantacjach jak ty.

Dobrze sobie radzisz i tak się składa, iż wiem, że doktor Longwood zwrócił na ciebie uwagę. Adama te słowa mile połechnęły.

- Oczywiście nie liczyłbym na wiele, jeśli zaczniesz stawać regularnie przed Komisją Zgonów - dodał Kender w zamyśleniu ciągnąc się za ucho.

- Nie zacznę.

- Też tak sędzę. No dobra, w czym mogę ci pomóc?

- Pomyślałem, że byłoby dobrze, gdybym nauczył się czegoś o transplantacjach - wyjaśnił Adam. - Czy jest coś, w czym mógłbym pomóc?

Kender posłał mu zaciekawione spojrzenie.

- Kiedy już będziesz tu pracował tak długo jak ja, to zrozumiesz, że nie wolno odmawiać, kiedy ktoś pali się do roboty. - Podeszedł do szafki i wyjął z niej tacę zastawioną maleńkimi buteleczkami. - Czternaście nowych leków. Dostajemy ich dziesiątki od ludzi zajmujących się rakiem. Na całym świecie badacze przez cały czas opracowują nowe preparaty do walki z nowotworami. Odkryliśmy, że większość preparatów skutecznie je zwalczających pozbawia jednocześnie organizm zdolności do odrzucania obcych tkanek. - Zdjął z półki dwie książki i wręczył je Adamowi. - Jeśli naprawdę cię to interesuje, przeczytaj je. A potem zapraszam ponownie.

Trzy wieczory później Adam odwiedził laboratorium po raz drugi. Tym razem zobaczył, jak Kender przeszczepia psu nerkę, i wymienił dwie książki na trzecią. Następną wizyta nieco się odwlekła, ponieważ Adamowi nadarzyła się okazja sprzedaży wolnego czasu w Woodborough. Jednakże tydzień później schodząc wieczorem z dyżuru stwierdził nagle, że kieruje się do laboratorium. Kender przywitał się z nim bez najmniejszego zdziwienia, zaproponował kawę i opowiedział o nowej serii doświadczeń na zwierzętach, którą właśnie zamierzał rozpocząć.

- ...Rozumiesz wszystko, co ci powiedziałem? - spytał w końcu.

- Tak.

Kender uśmiechnął się i sięgnął po kapelusz.

- No to świetnie. W takim razie zrobię żonie niespodziankę i chociaż raz wrócę do domu wcześniej.

Adam spojrzał na niego zdumiony.

- Mam zacząć sam?

- A czemuż by nie? Za pół godziny zjawi się student medycyny, niejaki Kazandjian.

Pracuje jako technik i wie, gdzie czego szukać. - Zdjął z półki notatnik i rzucił go na biurko. - Notuj wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Gdybyś się pogubił, wszystko jest tutaj opisane.

- No to świetnie - rzekł cicho Adam.

Opadł na krzesło pamiętając, że następnego dnia ma dyżur w pomocy doraźnej w Woodborough.

Zanim zjawił się student, Adam zdążył przestudiować notatnik. Pobyt w laboratorium sprawiał mu wielką przyjemność. Kiedy pomagał Kazandjianowi przygotować do operacji sukę Harriet, mieszańca collie o błyszczących brązowych oczach i cuchnącym oddechu, ta przez cały czas lizała go po ręce swoim ciepłym szorstkim językiem. Miał ochotę kupić kość i zabrać zwierzątko do siebie na szóste piętro, przypomniał sobie jednak Susan Garland, zebrał się w sobie i uspił ofiarę silną dawką Pentothalu. Umył się i przygotował jak do zwykłej operacji; podczas gdy Kazandjian dawał narkozę owczarkowi niemieckiemu wabiącemu się Wilhelm, on wyciął nerkę Harriet, kiedy zaś Kazandjian perfundował nerkę, on usuwał nerkę Wilhelmowi i od tego momentu zapomniał, że ma do czynienia z psami. Żyłby były żyłami, tętnice tętnicami, a on wiedział jedynie, że przeprowadza pierwszą w życiu transplantację nerek. Pracował z wielką uwagą, kiedy skończył obie operacje, dochodziła pierwsza, on zaś wyczuł milczący szacunek Kazandjiana, który sprawił mu większą satysfakcję, niż gdyby chłopak coś powiedział.

Podali Harriet minimalną dawkę imuranu, Wilhelmowi natomiast maksymalną. Nie był to żaden z najnowszych preparatów - ten sam lek dostała Susan Garland - ponieważ Kender wolał najpierw przeprowadzić dalsze badania na znanych lekach, by jak najlepiej się przygotować do bliskiej operacji pani Bergstrom. Odnieśli psy do kojców. Kazandjian parząc kawę nad palnikiem Bunsena zadał kilka inteligentnych pytań dotyczących immunosupresji. Adam w odpowiedzi tłumaczył, że przeciwciała w organizmie biorcy są jak wojska broniące go przed najeźdźcą, czyli przeszczepioną tkanką, a zadaniem leku immunosupresyjnego jest zadać tym wojskom cios na tyle silny, żeby nie były w stanie zwalczyć obcego organu.

Wrócił do swojego pokoju prawie o drugiej. Powinien był zwalić się do łóżka jak kłoda i natychmiast zasnąć, tymczasem sen długo go zwodził. Był zanadto podekscytowany swoją pierwszą transplantacją, poza tym nie dawała mu spokoju myśl, by zadzwonić do Arthura Garlanda i przeprosić go.

Po czwartej wreszcie zasnął. Budzik Spurgeona Robinsona obudził go o siódmej. Właśnie śniła mu się Susan Garland.

Baw się dobrze, Mała.

Około ósmej postanowił wstać, zrobić sobie krótką przebieżkę, a potem wziąć długi prysznic. Wiedział z doświadczenia, że czasami ta kombinacja skutecznie zastępuje odpoczynek.

Włożył dres i trampki, zjechał na dół i ruszył truchtem przed siebie. Skręciwszy za róg, stwierdził, że znajomy dzieciak zdążył już wymknąć się z nory zamieszkiwanej przez jego rodzinę w murzyńskich slumsach.

Dzieciak kuczał w rynsztoku i przesiewał piasek. Na widok biegnącego ciężkim krokiem Adama jego ciemna twarz pojaśniała z radości.

- Człowieku, kto cię goni?

- Komisja Zgonów - odparł Adam.

Księga druga.

Jesień i zima.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Rafael Meomartino.

Jedynymi dźwiękami mącącymi ciszę w gabinecie Rafe'a Meomartino były głos kobiety oraz śpiew sprężonego powietrza w rurach okalających sufit małego pomieszczenia. Ten szum z niezrozumiałych przyczyn wprowadzał go w nostalgiczną euforię, aż pewnego poranka nagle uświadomił sobie, że taki sam odgłos słyszał w innym świecie, w innym życiu, siedząc na werandzie klubu El Ganso Oro, czyli Złota Gęś, jednego z ulubionych miejsc jego brata Guillermo. Wprawdzie wówczas był zgłuszony nadmierną ilością wypitego alkoholu, lecz szum gorącego kubańskiego wiatru pośród palm wydawał się bardzo podobny do tego, który dobiegał teraz ze szpitalnych przewodów.

Pomyślał, że wygląda na wyczerpaną, choć nie tylko zmęczenie sprawiało, że twarze sióstr różniły się od siebie. Kobieta na sali 211 miała miękkie, niemal obwisłe usta, być może słabe, lecz także bardzo kobiece. Usta jej bliźniaczki zdawały się... bardziej samicze aniżeli kobiece. Nie było w nich cienia słabości. Jeżeli cokolwiek przebijało przez warstwę makijażu, była to raczej szorstka ochronna elegancja.

Obserwując ją dotykał palcami maleńkich aniołków wyrzeźbionych na kopercie leżącego na biurku kieszonkowego zegarka. Zabawa tym zegarkiem była oznaką słabości, nerwową fiksacją, której ulegał jedynie w skrajnym napięciu. Gdy tylko się zorientował, co robi, natychmiast przestał.

- Gdzie udało się nam w końcu panią dogonić? - spytał.

- W Reno. Właśnie kończyłam dwutygodniowy pobyt.

- Ale przecież trzy wieczory temu była pani w Nowym Jorku. Widziałem panią w programie Sullivana.

Po raz pierwszy na jej twarzy zagościł uśmiech.

- Skądże znowu, ten show nagrano kilka tygodni temu. Byłam tak zajęta, że nie miałam nawet czasu go obejrzeć.

- Był bardzo dobry - powiedział szczerze.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się znowu i niemal natychmiast spoważniała. - Jak się czuje Melanie?

- Potrzebuje nerki. - Doktor Kender mówił ci o tym przez telefon, pomyślał, jeszcze

zanim zasugerowałaś, że być może twojej nie dostanie. - Planuje pani zatrzymać się na jakiś czas w Bostonie?

Od razu zrozumiała prawdziwy sens pytania.

- Nie jestem pewna. Jeśli będą państwo chcieli się ze mną skontaktować, jestem w Sheraton Plaza. Zameldowałam się na nazwisko Margaret Weldon - dodała. - Nie chcę, by ktokolwiek się dowiedział, że Peggy Weld jest tutaj.

- Rozumiem.

- Dlaczego to musi być właśnie moja nerka? - spytała.

- Nie musi.

Spojrzała na niego pytająco, wstrzymując westchnienie ulgi.

- Moglibyśmy przeszczepić pani Bergstrom nerkę jakiegoś nieboszczyka, ale wtedy mielibyśmy do czynienia z większymi różnicami immunologicznymi.

- Czy to dlatego, że jesteśmy bliźniaczkami?

- Gdyby były panie bliźniaczkami jednojajowymi, nerka pasowałaby idealnie. Od Melanie wiemy, że nie jesteście, dopasowanie nie będzie więc idealne, ale i tak pani tkanki zostaną przyjęte przez organizm siostry znacznie lepiej niż czyjekolwiek inne. - Wzruszył ramionami. - Jej szansę bardzo by w ten sposób wzrosły - dodał.

- Człowiek ma tylko dwie nerki - odparła.

- Nie każdy.

Nie odpowiedziała. Otworzyła szerzej oczy i po prostu mu się przyglądała.

- Do życia w zupełności wystarczy jedna nerka. Zresztą wielu ludzi rodzi się z jedną i w spokoju dożywa późnej starości.

- A niektórzy najpierw oddają jedną, potem druga ulega uszkodzeniu i umierają - odparła cicho. - Tak się składa, doktorze, że odrobiłam zadanie domowe.

- To prawda - przyznał.

Wyjęła z torebki papierosa i zapaliła machinalnie, zanim Meomartino zdążył choćby drgnąć.

- Nie jesteśmy w stanie wyeliminować ryzyka. Nie mamy również prawa naciskać na panią, żeby się pani zgodziła. Decyzja należy tylko do pani.

- To skomplikowana sprawa - rzekła znużonym głosem. - W najbliższych dniach mam jechać na Zachodnie Wybrzeże, żeby zagrać w filmie o erze bigbandów. Bardzo długo czekałam na tę rolę.

Tym razem to on milczał.

- Pan nie rozumie, jak to bywa między niektórymi siostrami - mówiła dalej. - Wczoraj

w samolocie dużo na ten temat myślałam. - Uśmiechnęła się bezbarwnie. - Jestem od niej starsza, wie pan?

Pokręcił głową.

- O całe dziesięć minut. Gdyby jednak pan zobaczył, jak zachowywała się nasza matka, pomyślałby pan, że to przynajmniej dziesięć lat. Melanie zawsze była laleczką o ślicznym imieniu, Margaret przypadła rola starszej siostry, na którą zawsze można liczyć. Przez całe życie musiałam się o nią troszczyć. Odkąd skończyłyśmy szesnaście lat, śpiewałyśmy w knajpach, gdzie strach było pójść do toalety, a ja przez cały czas musiałam uważać, żeby Melanie nie wylądowała za sceną z jakimś wszawym trębaczem. Sześć lat takiego życia. Aż w końcu po udanym sezonie z telewizyjnym show Leonarda Rathbone'a zaczęło nam jakoś iść, zostałyśmy zaklepane do Blinstruba i wtedy nasz agent przedstawił ją swojemu kuzynowi z Bostonu. Tak oto skończył się siostrzany duet. - Wstała, podeszła do okna i utkwiała wzrok w parking. - Wie pan, naprawdę cieszyłam się z jej szczęścia. Jej mąż to miły, porządny dzieciak. Absolwent college'u, nieźle zarabia. Traktuje ją jak królową. Nie rozpaczalam z powodu rozpadu tego naszego duetu. Zaczęłam od nowa jako solistka.

- Świetnie sobie pani poradziła - zapewnił Meomartino.

- Ciężko zapracowałam na ten sukces. Musiałam znowu wrócić do tych ponurych spelun, przez cały czas byłam w trasie. Każdego lata jeździłam do baz wojskowych na Grenlandię, do Wietnamu, do Korei i do Niemiec, i jeden Bóg raczy wiedzieć dokąd jeszcze licząc, że ktoś mnie w końcu zauważy. To pociągało za sobą wiele innych rzeczy. - Posłała mu chłodne spojrzenie. - Jako dla lekarza nie jest chyba dla pana nowością, że kobieta potrzebuje seksu.

- To rzeczywiście żadna rewelacja.

- No cóż, konsekwencją było wiele okropnych związków na jedną noc, bo przecież nigdzie nie zatrzymałam się wystarczająco długo, żeby związać się z kimś na dłużej.

Pokiwał głową, jak zawsze wrażliwy na kobiecą szczerłość.

- W końcu mi się poszczęściło i zrobiłam parę płyt, które wszystkie te małe półgłówki kupiły bez zastrzeżeń. Ale kto wie, co będą kupować w przyszłym roku czy choćby w przyszłym miesiącu? Mój agent wciska wszystkim, że mam dopiero dwadzieścia sześć lat, ale prawda jest taka, że skończyłam trzydzieści trzy.

- I tak trudno byłoby pani zarzucić zaawansowany wiek.

- Być może, aczkolwiek pozostaje faktem, że jestem zdecydowanie za stara na to, żeby robić swój pierwszy film. I żeby odnosić pierwsze wielkie sukcesy w telewizji oraz klubach. Ten sukces powinnam była osiągnąć jakieś dziesięć lat temu. Jest mi coraz trudniej

utrzymać figurę, za parę lat będę miała zmarszczki na szyi. Jeżeli teraz mocno nie przycisnę, wszystko szybko się skończy. Tak więc w rzeczywistości prosząc o nerkę, prosi mnie pan o znacznie więcej. Dużo więcej, niż jestem gotowa jej dać.

- Nie proszę, żeby dała jej pani cokolwiek. Zgasiła papierosa.

- Więc niech pan nie prosi. Mam własne życie, o które też muszę dbać.

- Chce ją pani zobaczyć? Skinęła głową.

Kiedy weszli na salę, jej siostra spała.

- Lepiej jej nie budźmy - szepnął Meomartino.

- Posiedzę tu i poczekam. Jednakże chora otworzyła oczy.

- Peg - powiedziała.

- Cześć, Mellie. - Pochyliła się i pocałowała ją. - Jak tam Ted?

- Dobrze. Co za wspaniałe uczucie, obudzić się i zobaczyć cię tutaj!

- A te dwie małe Szwedki?

- Są cudowne. Oglądały program Sullivana. Świetnie wypadłaś, byłam z ciebie taka dumna. - Melanie spojrzała na siostrę i usiadła na łóżku. - Och, nie, Peg, tylko nie to.

Wzięła bliźniaczkę w ramiona i głaskała ją po głowie.

- Proszę, Peggy. Peggy, kochanie, proszę cię, przestań... Rafę wrócił do swojego gabinetu. Usiadł za biurkiem i zajął się papierkową robotą.

Nie wie pan, jak to bywa między niektórymi siostrami.

Za to wiem, jak bywa między niektórymi braćmi, pomyślał.

Sprężone powietrze wciąż pojękiwało w rurach. Wbrew własnej woli wyciągnął rękę w stronę zegarka. Jego palce bawiły się nerwowo aniołami wygrawerowanymi w srebrnym matowym wieczku. W końcu otworzył zegarek i przez staroświecką tarczę z rzymskimi cyframi spojrzał na wydarzenia, które tak bardzo chciał raz na zawsze zapomnieć.

Ten schemat powstał, kiedy Rafael miał pięć, a Guillermo siedem lat.

Leo, złota rączka w ich domu - potężny, powłóczący nogami zwierz w ludzkiej skórze, który wprost uwielbiał Rafaela - próbował ostrzec, kiedy ściągnął go z parapetu okna na drugim piętrze, gotowego do skoku w ekwipunku złożonym z przymocowanych do ramion papierowych skrzydeł.

- On cię sprowadzi na manowce, ten przeklęty mały bękart, niech mi jego matka wybaczy te słowa - powiedział, spluwając przez otwarte okno. - Nigdy go nie słuchaj, dobrze to sobie zapamiętaj.

Ale Guillermo opowiadał takie ciekawe rzeczy.

- Mam coś - oznajmił parę tygodni później.

- Pokaż.

- To miejsce.

- No to mnie tam zaprowadź.

- To miejsce dla dużych chłopaków. A ty jeszcze robisz w majtki.

- Nie - gorąco zapewnił Rafael bojąc się, że zaraz wybuchnie płaczem, i właśnie w tym momencie czując bolesny ucisk w pęcherzu. Dobrze pamiętał, że przed zaledwie trzema dniami rzeczywiście nie zdążył na czas do łazienki.

- To wspaniałe miejsce. Ale wydaje mi się, że jesteś za mały, żebyś mógł cię tam zabrać. Jeśli się zsikasz, porwie cię ta stara wiedźma. Ona potrafi zmienić się w każde zwierzę. A wtedy to do widzenia.

- Bujasz.

- Wcale nie. Ale to naprawdę świetne miejsce.

Rafael milczał.

- Widziałeś ją? - spytał w końcu. Guillermo spojrzał na niego złowrogo.

- Przecież ja nie robię w majtki.

Bawili się dalej, po jakimś czasie zawędrowali do pokoju rodziców. Guillermo stanął na łóżku, z najwyższej szuflady komody wyjął pudełko obciążone czerwonym aksamitem, do którego ojciec wieczorem chował i z którego rano wyjmował zegarek.

Z zadowoloną miną otwierał je i z hukiem zamykał.

- Zobaczysz, spotka cię kara - ostrzegł Rafael. Guillermo prychnął pogardliwie.

- Mogę go dotykać, bo i tak będzie mój. - Rodzice im powiedzieli, że zegarek zawsze dostaje najstarszy syn, mimo to odłożył pudełko na miejsce i wyszedł z pokoju, a Rafael za nim.

- Zabierz mnie tam, Guillermo. Proszę.

- A co mi dasz?

Rafael wzruszył ramionami i Guillermo wybrał trzy zabawki, o których wiedział, że są najbliższe sercu młodszego brata: czerwonego żołnierzyka, książeczkę z obrazkami o smutnym kłownie oraz pluszowego misia imieniem Fabio, garbatego, ponieważ Rafael w nocy tak mocno go ścisnął.

- Misia nie oddam.

Guillermo posłał mu spojrzenie twarde i zimne jak marmur, lecz ustąpił.

Tego popołudnia w porze sjeisty poprowadził młodszego brata krętą ścieżką przez las skarłowaciałych sosen rosnących za domem. Po dziesięciu minutach marszu wyszli na niewielką polanę. Stała tam wędzarnia, duża drewniana buda bez okien. Surowe deski

wyblakły od słońca i posrebrzyły się od deszczy.

W środku panowała wieczna noc.

- Wchodź - rozkazał Guillermo. - Ja idę zaraz za tobą. Kiedy wszakże Rafę posłusznie zostawił za sobą świat światła i zieleni, drzwi zatrzasnęły się i rozległ się szcęk zamykanej zasuw.

Zaczął wrzeszczeć.

Po chwili przestał.

- Guillermo! - zawołał ze śmiechem. - Przestań się wygłupiać.

Niezależnie od tego, czy miał oczy otwarte, czy zamknięte, pod powiekami kłębiło mu się światło. Szkarłatne cienie kołysały się obok niego, na niego i przez niego. Miały one kształty, których nie chciał rozpoznać, barwę krwi wielkiej świni, która kiedyś tu wisiała. Ojciec kilka razy zabierał go ze sobą na ubój. Rafael dobrze zapamiętał tamtą woń, krew, pochrząkiwanie i dzikie wywracanie oczami.

- Guillermo! - krzyknął. - Możesz wziąć Fabio. Nawet cisza była czarna.

Plącząc rzucił się przed siebie i uderzył w niewidoczną ścianę, o której myślał, że jest parę stóp dalej. W jednej chwili miejsce jego nosa zajęła kula potwornego bólu. Kolana się pod nim ugięły, sterczący ze ściany gwóźdź rozdarł policzek, dosłownie o włos mijając prawe oko. Rafę na twarzy czuł wilgoć i ból, piekielny ból, w kąciu ust sól. Osunął się na chłodną glinianą posadzkę, po wewnętrznej stronie jego ud spływał ciepły strumień.

Gdzieś w najdalszym kącie poruszyły się liście i przebiegło jakieś niewielkie stworzenie.

- Będę dużym chłopcem! Będę dużym chłopcem! - krzyczał Rafael.

Pięć godzin później, kiedy ekipa poszukiwawcza, wykrzykując jego imię, kilkakrotnie już minęła wędzarnię, ktoś - naturalnie Leo „złota rączka” - wpadł na pomysł, żeby otworzyć drzwi i zajrzeć do środka.

Tej nocy Rafael, nafaszerowany środkami uspokajającymi, dokładnie wykąpany, z opatrzoną raną na policzku i groteskowym, także opatrzonym nosem, spał w ramionach mamy, Leo powiedział rodzicom, że drzwi do wędzarni zostały zamknięte od zewnątrz na zasuwę. Ponieważ w łóżku porywacza odnaleziono Fabio, ten przyznał się do winy i dostał zasłużone lanie. Następnego ranka stawiał się karnie przed bratem i wygłosił pełne skruchy przeprosiny. Dziesięć minut później, ku niewysłowionemu zdumieniu rodziców, chłopcy bawili się, a Rafael roześmiał się po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin.

Miał jednak iloraz inteligencji 147 i nawet w wieku pięciu lat był wystarczająco bystry, by z tej lekcji wyciągnąć wnioski.

Odtąd jego życie zdominowały ucieczki przed towarzystwem brata.

Mężczyźni z rodu Meomartino kształcili się za granicą; Guillermo wybrał Sorbonę, rok później Rafael rozpoczął naukę na Harvardzie. Spędził tam przyjemnie cztery lata, dzieląc pokój z niejakim George'em Hamiltonem Currierem z Portland w stanie Maine, kościstym dziedzicem potentatów pieczonej fasoli, których puszkowane produkty stały w kuchennych szafkach trzech na dziesięć amerykańskich rodzin. To właśnie Fasola Currier nadał mu pierwsze i jedyne przezwisko: Rafę, i to on roztaczał przez nim blaski kariery lekarza. Guillermo postanowił studiować prawo na Uniwersytecie Kalifornijskim - zgodnie z rodzinną tradycją wszyscy Meomartino zdobywali zawód, mimo iż przez całe życie mieli się zajmować rodzinną cukrownią - Rafę zaś, wyjechawszy z Cambridge, niemal w ostatniej chwili zdecydował się studiować medycynę na Kubie. Jego ojciec zmarł parę lat wcześniej na udar sercowy. Świat matki, który dotąd kręcił się wokół ciepłego blasku męża, teraz zachował stabilność, albowiem zaczął krążyć po orbicie najmłodszego dziecka. Była piękną kobietą o słodkim, acz umęczonym uśmiechu, staromodną kubańską damą, której długie szczupłe ręce z łatwością wykonywały frywolitki, dość jednak nowoczesną, by kolekcjonować sztukę abstrakcyjną i udać się do rodzinnego lekarza, kiedy tylko odkryła guz w prawej piersi. W jej obecności złowrogie słowo nigdy nie padło, pierś natychmiast usunięto.

Lata spędzone przez Rafe'a na La Facultad de Medicina de la Universidad de la Habana należały chyba do najprzyjemniejszych w jego życiu - taki okres nie zdarza się w życiu człowieka więcej niż raz - a charakteryzowała je kombinacja młodości, nieśmiertelności i przekonania o słuszności wszystkiego, w co wierzył. Od samego początku zapach szpitala uderzał mu do głowy bardziej niż słodko-mdławy odór wytłocznin z trzciny cukrowej. Była też dziewczyna, koleżanka z grupy o imieniu Paula, drobna, ciemna i ciepła, o lekko sterczących przednich zębach. Nogi miała dalekie od doskonałości, za to tyłeczek w kształcie gruszki, mieszkanie w pobliżu uczelni i absolutną, kliniczną nieomyślność w sprawach antykoncepcji. Słyszając o Batiście miotła błyskawice z oczu i robiła się nagle strasznie oziębła, dlatego Rafę szybko nauczył się o nim nie wspominać, co zresztą nie było dla niego większym problemem. Niekiedy zastawał w jej mieszkaniu niewielką grupkę - nigdy więcej niż pół tuzina - szybko mówiących mężczyzn i kobiet, którzy na jego widok natychmiast milkli. W takim wypadku natychmiast wychodził.

Nic nie obchodziły go sieci, które snuła pod jego nieobecność w czasie owych tajnych posiedzeń, intryga dodawała jedynie większej pikanterii ostrej przyprawie imieniem Paula. Tego rodzaju spotkania odbywały się na Kubie od zawsze, któż więc by się nimi przejmował? Marzenia i sekretne knowania dotyczące przyszłości, która nigdy nie nadchodziła, stanowiły

nieodłączny składnik atmosfery, podobnie jak słońce, kochankowie na trawie, jai alai, walki kogutów czy też dziwne plamy pozostające na marmurowych chodnikach. Prawdopodobnie po rozgniecionych ciemnoniebieskich jagodach, które spadały z nisko przyciętych drzewek. Rafę zajmował się swoimi sprawami i nikomu nawet nie przyszło do głowy, by zaprosić go na takie spotkanie, pochodził bowiem z rodziny zawsze nabijającej kiesy tym, co akurat znajdowali się przy władzy.

Kiedy Guillermo wrócił do domu, Rafael był na ostatnim roku medycyny i odbywał staż w klinice uniwersyteckiej. Brat powiesił swój dyplom na ścianie gabinetu i spędzał czas udając, że kreśli wykresy ukazujące związki pomiędzy trzcina cukrową, brązowym cukrem i melasą. Często pióro trzęsło mu się w dłoni, a to z powodu wyjątkowej predylekcji do podwójnie i potrójnie destylowanych trunków, zarówno krajowych, jak i sprowadzanych z zagranicy. Rafael rzadko go widywał, staż wypełniał mu całe dni, które zdawały się wyparowywać w gorączce pracowitej krzątanimy. Zbyt wielu było chorych, a za mało lekarzy.

Dwa dni po tym, jak Rafael otrzymał dyplom Doctor en Medicina, odwiedził go wuj Erneido Pesca. Brat matki był wysokim chudym mężczyzną o postawie wojskowego, z siwym wąsem na pomarszczonej i obwisłej twarzy, lubującym się w cygarach Partagas i starannie wyprasowanych garniturach z białego lnu. Zdjął panamę, odsłaniając niebieskoszarą grzywkę, westchnął, poprosił o drinka - co w jego wypadku zawsze oznaczało czysty rum - i patrzył z dezaprobatą, jak siostrzeniec nalewa sobie whisky.

- Kiedy rozpocznesz pracę w firmie? - spytał w końcu.

- Wolałbym raczej poświęcić się medycynie - odparł Rafael.

Erneido westchnął.

- Twój brat - odezwał się po chwili - to dureń i rozwiąży wymoczek. Albo nawet gorzej.

- Wiem.

- I dlatego ty musisz zająć się firmą. Ja nie będę żył wiecznie.

Spierali się cicho, ale gorąco.

W końcu osiągnęli kompromis. Rafael miał zająć w cukrowni gabinet sąsiadujący z biurem Guillermo, Erneido z kolei zadbać, by na uczelni przydzielono mu laboratorium. Trzy dni w cukrowni, dwa dni w laboratorium; było to najdalsze ustępstwo, na jakie Erneido mógł się zgodzić jako głowa rodziny.

Rafę ustąpił zrezygnowany. I tak wywalczył więcej, niż miał nadzieję wywalczyć.

Dziekan, akademicki weteran, znający się na zdobywaniu wyposażenia, osobiście zaprowadził go do dużego, choć obdrapanego pomieszczenia wypełnionego sprzętem, który

wystarczyłyby dla trzech, nie dla jednego badacza, i przekazał je Rafe'owi w użytkowanie wraz z tytułem pracownika naukowego.

Z wielką dumą pokazywał laboratorium Pauli, całkiem jak mały chłopiec chwalący się nową zabawką. Spojrzała na niego zdziwiona i jakby rozbawiona.

- Nigdy nie wspominałeś o pracach badawczych - stwierdziła. - Skąd to nagle zainteresowanie?

Sama zatrudniła się jako lekarz w rządowej służbie zdrowia i niedługo miała jechać do pracy do małej górskiej wioski w prowincji Oriente w górach Sierra Maestra.

Stąd, że aż po sam tyłek tkwię w melasie, a ani trochę mi się nie uśmiecha utonąć w cukrze, pomyślał.

- Są bardzo potrzebne - odparł nie przekonując ani jej, ani siebie.

W sąsiednim laboratorium pracował pewien doktor biochemii, niejaki Rivkind, który przyjechał na Kubę ze stanu Ohio dzięki niewielkiemu stypendium fundacji na rzecz walki z rakiem. W rozmowie z Rafaelem przyznał, że głównym powodem jego wyjazdu było to, iż życie w Hawanie jest bez porównania tańsze niż w Columbus. Tylko raz zdarzyło się, że Rivkind sam zaczął rozmowę z Rafaelem, a i to tylko po to, by poskarżyć się z goryczą, że uczelnia nie chce mu kupić nędznej wirówki za jedyne dwieście siedemdziesiąt dolarów. Rafę miał taką w swoim laboratorium, lecz było mu głupio się do tego przyznać. Nie zaprzyjaźnili się. Ilekroć Rafę zachodził do ciasnej kłitki Amerykanina, ten sprawiał wrażenie pochłoniętego pracą.

Zdesperowany postanowił także zabrać się do roboty.

Na początek został pisarzem. Sporządził listę.

Leptospiroza, mały wredny gnojek.

Trąd, obdarty żebrak.

Żółtaczka, żółty bękart.

Malaria, sporo się trzeba napocić.

Inne choroby gorączkowe, stek palących problemów.

Słoniowacizna, jeden wielki problem. Dyzenteria i jej podobne, kupa gówna. Gruźlica, czy da się to wykaszleć? Pasożyty, wyjaławianie gleby.

Przez wiele dni nosił tę listę złożoną w kieszeni, często ją wyjmując i czytając, po jakimś czasie była więc w strzępach.

Na jakim problemie powinien się skoncentrować?

Później został czytelnikiem. Znosił z biblioteki wielkie sterty książek i w każdy poniedziałek oraz wtorek siedział w laboratorium, pogrążony w lekturze, robiąc szczegółowe

notatki, z których część udało mu się nawet ocalić. We środy, czwartki i piątki chodził do biura w cukrowni i zbierał całkiem inną literaturę: Gnicie korzenia i śnieć trzciny cukrowej, Geneza i zapobieganie blednicy, wyniki badań rynku, wydawnictwa Departamentu Rolnictwa Stanów Zjednoczonych, poufne notatki, kompletną bibliotekę cukrownika, kolekcjonowaną dla niego przez wuja Erneido. Te pozycje znacznie mniej go interesowały i już w trzecim tygodniu po prostu je porzucił na rzecz książek medycznych, które przynosił do cukrowni w teczce i niczym złodziej czytał za zamkniętymi drzwiami.

Często późnym popołudniem rozlegało się ciche skrobanie do drzwi.

- Ciii. Wyrwijmy się gdzieś wieczorem i odmieńmy nasz podły los - proponował Guillermo głosem już ochrypłym od whisky.

Rafę nieodmiennie odrzucał to zaproszenie, powodowany - taką przynajmniej miał nadzieję - braterską troską. Czy Pasteur zostałby ojcem mikrobiologii, czy Semmelweis postawiłby tamę gorączce połogowej, czy wreszcie Hipokrates napisałby słowa przeklętej przysięgi, gdyby wszyscy oni przez cały czas obijali się, szukając łatwego, krągłego łupu? On spędzał wieczory w laboratorium, stawiając pytania, ćwicząc, tłukąc szklane retorty, hodując pleśń, oglądając pod mikroskopem własne rzęsy.

Któregoś dnia Paula przyjechała do Hawany z niewielkiej wioski w górach Sierra Maestra.

- Nad czym pracujesz? - spytała.

- Nad trądem - odparł, podejmując decyzję.

Uśmiechnęła się sceptycznie.

- Przez długi czas nie będzie mnie w Hawanie - oznajmiła.

Zrozumiał, że to pożegnanie.

- Czyżby było tam tylu chorych zależnych od ciebie? - spytał.

- Nie o to chodzi. To sprawa zbyt osobista.

Zbyt osobista? Cóż takiego mogło być zbyt osobiste? Przecież rozmawiali o jej miesiączkach jak o wynikach meczów baseballu. W jej życiu jedyną rzeczą osobistą była polityka. Gdzieś w tamtych górach siedział Fidel Castro, co jakiś czas schodził na dół i robił rozróbę.

- Tylko nie wpakuj się w jakieś kłopoty - rzekł dotykając jej włosów.

- Zmartwiłoby cię to? - Łzy w jej oczach bardzo go zdziwiły.

- Naturalnie - zapewnił. Dwa dni później zniknęła z jego życia i nie myślał o niej poważnie, aż do dnia kiedy po raz ostatni dane mu było usłyszeć jej głos.

Powiedziawszy jej, że zajmuje się trądem, spędził mnóstwo czasu nad bibliografią

Index Medicus, sporządził długą listę materiałów źródłowych, przywłókł z biblioteki nowe sterty czasopism i zabrał się do dalszej lektury.

Co wszakże do niczego go nie doprowadziło.

Po prostu siedział w swoim kosztownym laboratorium, obserwował latający w powietrzu kurz oświetlony przez promienie słońca, które w jakiś sposób zdołały się przedrzeć przez brudne okna, i próbował wymyślić jakiś sensowny program badań.

Jednakże wszelkie wysiłki okazały się bezowocne.

W końcu pozbył się całego strachu. Spoglądając na swoje odbicie w lustrze krytycznie, lecz uczciwie, po raz pierwszy przyznał, że ten, którego widzi, nie jest badaczem.

Wielokrotnie pokonał schody, czasami prawie biegiem, i rozdawał całe wyposażenie - kubański Święty Mikołaj współczesnej medycyny - spore, nigdy nie używane zapasy. Wirówkę zaniósł do ciasnego laboratorium Rivkinda. Mikroskop, przedmiot niezwykle przydatny w służbie zdrowia, zapakował starannie i wysłał Pauli w te jej dzikie góry, gdzie pracowała jako prawdziwy lekarz. Klucz i zwięzłe, acz pełne wdzięczności podanie o zwolnienie z pracy włożył do skrzynki pocztowej dziekana, po czym ostatecznie opuścił budynek. Jego serce zostawiało na ziemi ślady prawie widocznych łez.

I tyle.

Nie został badaczem.

Postanowił posłuchać genów ojca i zostać cukrownikiem.

Od tego dnia chodził do biura codziennie, pięć razy w tygodniu.

Siedział po lewicy wuja Erneido (Guillermo zajmował miejsce po prawicy) na naradach handlowych i produkcyjnych, podczas najważniejszych naborów i na posiedzeniach, na których zapadały decyzje o zwolnieniach, harmonogramie prac i wysyłkach towaru.

Nie był już dużym, przerośniętym dzieciakiem bawiącym się w człowieka nauki.

Teraz stał się dużym, przerośniętym dzieciakiem bawiącym się w człowieka interesu.

Co wieczór z biura szedł do jednego z wielu pijackich klubów, gdzie niedługo po nim zjawiał się Guillermo w towarzystwie kobiet. Były to na ogół półprofesjonalistki, aczkolwiek zdarzało się, jakby dla zaostrenia apetytu, że nie. Kiedy zbliżali się ku jego stolikowi, Rafę zabawiał się, próbując to odgadnąć. Często się mylił. Któregoś razu zakwalifikował dziewczyny jako prostytutki, tymczasem okazało się, że to dwie nauczycielki z Flint w stanie Michigan.

Wkrótce zdał sobie sprawę, że tak jak we wszystkich innych dziedzinach, również i w tej gust oraz klasa Guillermo pozostawiają wiele do życzenia. Odwiedzali paskudne spelunki, palarnie opium, zamtuzy, o których starzy i mądrzy Habaneros powiadali, że to pułapki na

jankeskich turystów, poszukiwaczy ducha Hemingwaya. Rafael świadom był, że się stacza. Oczyma wyobraźni widział siebie za dziesięć lat, otępiąłego i zubożonego, przerzucającego się z Guillermo sprośnymi historyjkami, pijącego w barach ciągnących się wzdłuż całej długości Prado. A jednak brakowało mu sił, by się z tego wyrwać, tak jakby był hinduską figurką zastygłą wbrew swej woli na lubieżnym kamiennym fryzie, przeklinającą tego, który ją wyrzeźbił.

Później, kiedy się nad tym wszystkim zastanawiał, nie miał najmniejszych wątpliwości, że ocalenie zawdzięcza Fidelowi Castro.

Przez pierwszych parę dni wszyscy siedzieli w domach. W mieście miały miejsce akty plądrowania i niszczenia, ich celem stało się na przykład kasyno Deauville, gdzie Batista dzielił się wpływami z amerykańskimi hazardzistami.

Ludzie Castro byli wszędzie, ubrani w różnorodne brudne stroje. Ich umundurowanie stanowiły czarno-czerwone opaski z napisem 26 de Julio, załadowane strzelby oraz brody, z którymi jedni przypominali Chrystusa, inni po prostu kozły. W hawańskim Pałacu Sportów rozpoczęły się egzekucje, które odtąd trwały całymi dniami, czasami nawet od wczesnego świtu.

Któregoś popołudnia Rafę siedział w prawie pustym Klubie Dżokeja i kelner poprosił go do telefonu. Nie mówił nikomu, dokąd się wybiera, pomyślał więc, że ktoś musiał go śledzić.

- Halo?

Kobieta po drugiej stronie linii przedstawiła się jako „przyjaciółka”. Natychmiast rozpoznał głos Pauli.

- To dobry tydzień na podróż - rzekła.

Małe dzieci bawiące się w melodramat, pomyślał, choć wbrew swej woli poczuł delikatny pocałunek strachu. Co wiedziała?

- A moja rodzina?

- Też. To powinna być długa podróż.

- Kto mówi? - spytał miłosiernie.

- Nie zadawaj pytań. I jeszcze jedno: twoje telefony w domu i w biurze są na podsłuchu.

- Dostałaś mikroskop? - spytał, kończąc z miłosierdziem.

Teraz łkała, głośno i przejmująco, usiłując coś z siebie wydusić.

- Kocham cię - powiedział, nienawidząc się za to łgarstwo.

- Oszust.

- Nie - skłamał.

Połączenie urwało się. Stał ze słuchawką w dłoni, odrętwiały i pełen wdzięczności, zastanawiając się, co stracił, kiedy nie dopuszczał Pauli do siebie. Po chwili odwiesił słuchawkę i popędził do wuja.

Tej nocy nie zmrzyli oka. Nie mogli zabrać ziemi, budynków, maszyn ani długich pomyślnych lat. Pozostawały jednak papiery wartościowe, biżuteria, najcenniejsze obrazy z kolekcji matki oraz pieniądze w banku. W stosunku do standardów Meomartino czekała ich bieda, lecz w porównaniu z większością mieli zapewniony względny finansowy komfort.

Łodzi, którą zdobył wuj Erneido, w żadnym razie nie można było nazwać rybacką krypą. Była to duża łódź motorowa, 57-stopowy ChrisCraft, wyposażona w bliźniacze dieslowskie silniki General Motors 320, z salą recepcyjną, luksusowym salonem i kambuzem. Szybka i komfortowa łódź zbudowana dla przyjemności bogaczy. Zanim następnego dnia o północy wypłynęli z plaży w Matanzas, Rafael podał matce półtorej tabletki nembutalu. Przespała smacznie całą podróż.

Rafę i matka spędzili w Miami zaledwie dziesięć dni. Guillermo i wuj Erneido przygotowywali prawną kampanię, dzięki której mieli nadzieję zachować nieruchomości jako własność rodziny in absentia, i założyli kwaterę główną w dwóch pokojach tamtejszego Holiday Inn. Decyzję Rafe'a o wyruszeniu na północ potraktowali jak chwilową aberrację.

Matce podobała się podróż do Bostonu pociągiem East Coast Champion. Udali się prosto do Ritza, wdychając cytrynowo-mroźne powietrze nowoangielskiej wiosny. Przez następnych kilka tygodni byli turystami odkrywającymi świąty Paula Revere'a i George'a Apleya, jednakże siły uchodziły z matki wąską strużką, niczym trociny z dziurawej lalki. Kiedy zaczęła gorączkować, znalazł dla niej sławnego lekarza chorób nowotworowych w szpitalu Massachusetts General i nie odstępował jej na krok, dopóki gorączka nie ustąpiła. Później powrócił do swoich upartych poszukiwań - czego właściwie? - teraz już samotnych.

Był marzec, chłodny i okrutny. Bzy i magnolie rosnące wzdłuż Commonwealth Avenue miały dopiero małe twarde pączki, brązowe i czarne, za to w parku naprzeciwko Ritza rabaty ciepłarnianych tulipanów tworzyły jaskrawe plamy na tle jeszcze nie przebudzonej darni.

Wybrał się na krótką wycieczkę do Cambridge, pospacerował po dziedzińcu, przyglądając się różowolicym uczniakom, z których wielu nosiło brody a la Castro, oraz zdrowym atrakcyjnym pannom z zielonymi filcowymi torbami na książki. Ani przez chwilę jednak nie miał uczucia, że wrócił do domu.

Spotkał się z Fasolą Currierem, obecnie rezydentem pediatrii w Bostońskim Szpitalu

dla Dzieci i Niemowląt. Dzięki Fasoli poznał innych lekarzy, popijał z nimi piwo u Jake'a Wirtha i słuchał uważnie tego, co mówili. Któregoś ranka zdał sobie nagle sprawę, że wcale nie zerwał z medycyną. Po dłuższym namyśle doszedł do wniosku, że to właśnie ona daje mu sensowne perspektywy na przyszłość. Zaczął więc odwiedzać kolejne szpitale. Spędzał całe wieczory chodząc po korytarzach Massachusetts General, Peter Bent Brigham, Carney, Beth Israel, Boston City, New England Medical Center. Kiedy wszakże wszedł do Suffolk County General Hospital, poczuł to dziwne mrowienie w brzuchu, zupełnie jakby zobaczył dziewczynę, której bardzo pragnął. Szpital okazał się ogromnym monstrum, pełnym biedoty. Własnej matki na pewno by do niego nie posłał, lecz wiedział, że jest to miejsce, w którym chirurgii uczyłby się ze skalpelem w dłoni. Przyciągało go i rozgrzewało mu krew już samymi hałasami oraz zapachami.

Doktor Longwood, ordynator chirurgii, nie przywitał go serdecznie.

- Nie sądzę, bym mógł poprzeć pańskie podanie - oświadczył.

- Dlaczego nie, sir?

- Pozwoli pan, doktorze, że będę z panem szczerzy - odparł z zimnym uśmiechem. - Mam powody, zarówno osobiste, jak i zawodowe, by zachowywać najdalej posuniętą ostrożność i nieufność wobec osób, które studiowały za granicą.

- Powody osobiste nie powinny mnie chyba obchodzić - rzekł Rafę ostrożnie - ale czy zechciałby pan zdradzić mi zawodowe?

- Podobnie jak wiele szpitali w całym kraju, mieliśmy kłopoty z takimi lekarzami.

- Jakiego rodzaju kłopoty?

- Zatrudnialiśmy ich, broniąc się przed brakiem rąk do pracy. Okazało się jednak, że wielu z nich nie potrafi nawet sporządzić historii choroby zgodnie z regułami sztuki. Co więcej, często znają angielski zbyt słabo, by w nagłych przypadkach zrozumieć wszystko to, co konieczne.

- Jestem przekonany, że uzna pan, iż potrafię sporządzić historię choroby. A angielskim posługiwałem się biegle już w dzieciństwie, zanim jeszcze rozpocząłem naukę na Harvardzie - dodał Rafael, spostrzegłszy dyplom Harvardu wiszący na ścianie gabinetu doktora Longwooda.

- Na zagranicznych uczelniach nie przerabia się tak szerokiego zakresu materiału równie dokładnie jak na uczelniach amerykańskich.

- Trudno mi powiedzieć, jak będzie w przyszłości, ale moja uczelnia zawsze cieszyła się tutaj uznaniem. Ma bogate tradycje i duże osiągnięcia.

- Musiałby pan powtórzyć cały staż.

- Nie mam nic przeciwko temu - odparł cicho Rafę.

- A także zdać egzamin nostryfikacyjny. Powinienem chyba dodać, że jestem jedną z osób odpowiedzialnych za jego wprowadzenie.

- Dobrze.

Do egzaminu przystąpił w siedzibie władz stanowych w towarzystwie Nigeryjczyka, dwóch Irlandczyków oraz stada żalonych Portorykańczyków. Był to dziecinnie prosty test z podstaw medycyny oraz języka angielskiego, niemal obelga dla kogoś, kto ukończył renomowaną uczelnię.

Zgodnie z przepisami Amerykańskiego Stowarzyszenia Medycznego Rafę przedłożył swój dyplom La Facultad de Medicina de la Universidad de la Habana wraz z wymaganym tłumaczeniem Berlitz. Pierwszego lipca, ponownie w białym fartuchu stażysty, stawiał się na pierwszy dyżur w Suffolk County General. Stwierdził, że Longwood traktuje go w taki sam sposób, w jaki wcześniej on traktował trędowatych na hawańskim wybrzeżu - z wymuszoną, oziębłą uprzejmością. Nie miał wielkiego laboratorium, nikomu nawet nie przyszłoby do głowy kupić mu wirówkę albo cokolwiek innego, stwierdził za to, że kiedy trzyma w dłoni skalpel, czuje dawną pewność i wierzył, że z biegiem czasu będzie coraz lepiej; przemierzał wyłożone brązowym linoleum szpitalne korytarze długim radosnym krokiem, z trudem powstrzymując chęć, by krzyknąć ze szczęścia.

Było to w szpitalu Massachusetts General. Matka czekała w gabinecie na ósmym piętrze Warren Building na cotygodniowe badania i świeżą dawkę kupujących czas sterydów, on zaś zawędrował na parter do mieszczącej się tam kawiarenki i zamówił filiżankę czarnej kawy u dziewczyny w niebieskiej bluzce z wyszytym na lewej piersi czerwonym napisem Wolontariuszka. Była to ciemna blondynka o ciężkich powiekach, atrakcyjna na swój wyrafinowany sposób, który na Rafe'a jednak na ogół nie działał, albowiem kojarzył mu się z tym, co najbardziej podniecało w kobietach jego brata Guillermo - cieniem dawnej lubieżności.

Powoli sączył kawę, kiedy dziewczyna wyszła zza lady i podeszła do jego stolika niosąc tacę, na której znajdowały się czasopismo, filiżanka herbaty oraz talerzyk z duńskim pasztetem.

- Czy mogę?

- Oczywiście - odparł.

Czuła się jak u siebie w domu. Stolik był mały, za to jej czasopismo duże. Kładąc je na blacie, szturchnęła filiżankę Rafe'a, przez co kawa plusnęła, lecz się nie rozlała.

- Och, przepraszam bardzo!

- Nie szkodzi, nic się nie stało.

Sączył kawę, wyglądając przez szklaną ścianę na korytarz, ona czytała, popijała herbatę i skubała pasztet. Czuł subtelny zapach jej niewątpliwie drogich perfum. Piżmo i róże, doszedł do wniosku po chwili namysłu. Całkiem bezwiednie zamknął oczy i wdychał ten zapach. Po chwili zaszeleścił papier. Dziewczyna zabrała się za lekturę następnej strony.

Zaryzykował krótkie spojrzenie na nią i został przyłapany - szare oczy o bardzo wyrazistej głębi, delikatne kurze łapki w kącikach, zmarszczki śmiechu czy może raczej zmarszczki grzechu? Zamiast umknąć wzrokiem, ku własnemu zażenowaniu nawet nie poruszył głową, tylko szybko zacisnął powieki.

Roześmiała się jak dziecko.

Otworzywszy ponownie oczy zobaczył, że wyjęła z torebki papierosa i szuka zapalek. Czym prędzej podał jej ogień, pewien swojej ręki chirurga, kiedy wszakże palce dziewczyny musnęły ją, by osłonić płomień, dłoń jednak zdrząła. Ten moment dał mu szansę, by jeszcze raz przyjrzeć się nieznajomej. Kolor włosów nie był naturalny, farba z pewnością sporo kosztowała, choć i tak dało się ją zauważyć. Dziewczyna miała gładką cerę, nos lekko zakrzywiony, zmysłowy, usta może odrobinę za szerokie, ale pełne.

W tej samej chwili oboje zdali sobie sprawę, że się jej przygląda. Uśmiechnęła się, on zaś poczuł się jak poszukiwacz przygód.

- Jest pan tutaj z pacjentem?

- Tak - odparł.

- To bardzo dobry szpital.

- Wiem. Jestem lekarzem. Odbywam staż w Suffolk County General.

Przekrzywiła głowę.

- Tak? A na jakim oddziale?

- Na chirurgii. - Wyciągnął rękę. - Nazywam się Rafę Meomartino.

- Elizabeth Bookstein. - Z niewiadomego powodu śmiała się, co nieco go drażniło. Nie wyglądała na głupią lalkę.

- Doktor Longwood to mój stryj - dodała ściskając wyciągniętą dłoń.

Cristos.

- Naprawdę?

- Tak. - Przyglądała mu się rozbawiona. - O rany. Chyba nie lubi pan mojego stryja.

Ani trochę.

- To prawda - rzekł i również się uśmiechnął. Wciąż trzymał jej dłoń.

Miała dość taktu, by nie drażnić tego tematu i nie pytać o przyczyny.

- Słyszałam, że to dobry nauczyciel - stwierdziła tylko.

- Rzeczywiście - przyznał Rafę, a ją to najwyraźniej usatysfakcjonowało. - A pani nazwisko? Czy mogę spytać, skąd się wzięło?

- Jestem rozwódką.

- A czy pani serce należy teraz do kogoś szczególnego?

Cofnęła dłoń, choć nie przestała się uśmiechać.

- Do nikogo szczególnego.

Ujrzał matkę wchodzącą do kawiarni. Wydawała mu się dużo mniejsza niż poprzedniego dnia, poruszała się znacznie wolniej niż dawniej.

- Mamo - odezwał się wstając. Przedstawił jej dziewczynę, po czym uprzejmie się pożegnał i wyszedł z kawiarni, dostosowując krok do kroku matki.

Przy okazji kolejnych wizyt w szpitalu rozglądał się za dziewczyną, nigdy jednak jej nie spotkał. Wolontariusze nie mieli stałych godzin pracy, zjawiali się wtedy, kiedy mieli ochotę. Mógłby sprawdzić jej numer telefonu - nie zadał sobie nawet trudu, by zajrzeć do książki - lecz miał mnóstwo pracy, a choroba matki, coraz bardziej zaawansowana, była dla niego ogromnym obciążeniem. Jej skóra wydawała się coraz cieńsza i bardziej przezroczysta, i coraz mocniej opinała delikatny kościec. Cera nabrała osobliwej błości, którą do końca życia miał natychmiast zauważać u wszystkich chorych na raka.

Coraz częściej mówiła o Kubie. Zdarzało się, że kiedy wracał do domu, siedziała w ciemnym pokoju tuż przy oknie, spoglądając w dół, na ludzi i pojazdy mknące bezgłośnie po Arlington Street.

Zadawał sobie pytanie, co wtedy widziała. Kubańskie morze? Kubańskie lasy i kubańskie pola? Twarze duchów, ludzi, których on nigdy nie poznał?

- Mamacita - powiedział któregoś wieczora, nie potrafiąc zachować zupełnego milczenia. Pocałował ją w czubek głowy. Bardzo chciałby wyciągnąć rękę i dotknąć jej twarzy, objąć ją tak, żeby żadna krzywda nie mogła jej spotkać, żeby wszystko złe musiało najpierw przejść przez niego. Jednakże z obawy, że ją przestraszy, powstrzymał się.

Siedem tygodni później aspiryna i kodeina przestały działać. Onkolog zastąpił je demerolem.

Po kolejnych jedenastu tygodniach Rafę odwiózł matkę do przytulnego, słonecznego pokoju w Massachusetts General, gdzie urocze pielęgniarki regularnie szpikowały ją zbawienną morfiną.

Dwa dni po tym, jak matka zapadła w śpiączkę, onkolog poinformował go delikatnie, acz bardzo rzeczowo, że można kontynuować czynności podtrzymujące funkcje życiowe albo

też ich zaprzestać, co oznacza szybki zgon.

- Nie mówimy w żadnym razie o eutanazji - zastrzegł - lecz o zaprzestaniu podtrzymywania życia, kiedy nie ma już nadziei na choćby w miarę normalne funkcjonowanie, a tylko co najwyżej na krótkie okresy piekielnego bólu. Jeżeli pacjent ma krewnych, nigdy nie podejmuję takiej decyzji samodzielnie. Proszę się nad tym zastanowić. To decyzja, którą jako lekarz niejednokrotnie będzie pan musiał podejmować.

Rafę nie zastanawiał się zbyt długo.

- Pozwólmy jej odejść - rzekł.

Następnego ranka wszedł do pokoju matki i ujrzał pochylający się nad nią ciemny cień, wysokiego kościstego księdza. Jego piegowata dziecięca twarz i marchewkowe włosy nad czarną sutanną wydawały się ponurym żartem.

Na powiekach matki lśnił już olej, w którym odbijało się migocące światło.

- ...Niechaj dobry Bóg wybaczy ci wszystkie grzechy, które popełniłaś - mówił ksiądz, unurzany w tłuszczu kciukiem kreśląc znak krzyża na wykrzywionych ustach chorej. Głos miał nieprzyjemny, akcent okropny, najgorsza odmiana południowobostońszczyzny.

Ty chorobliwie trzeźwy młokosie, niby jakie grzechy miała popełnić, pomyślał Rafę. Kciuk ponownie zanurzył się w tłuszczu.

- Poprzez to święte namaszczenie...

Och, Boże, mają rację ci, co mówią, że nie żyjesz. Gdybyś istniał, to chyba nie pieprzyłbyś nas w taki sposób? Kocham cię. Nie umieraj. Kocham cię. Proszę.

Lecz na głos nie powiedział ani słowa.

Stał niezdecydowany nad łóżkiem matki, czując nagle całą samotność, straszliwą izolację, świadomość, że w tej okropnej, przerażającej pustce jest co najwyżej kroplą gołębic odchodów.

Po chwili zauważył, że oddychanie ustało. Podeszedł do matki nieświadomie odtrącając dłoń duchownego i wziął ją w ramiona.

- Kocham cię. Kocham cię. Proszę.

W ciszy pokoju te słowa zabrzmiały nienaturalnie donośnie.

Matka odeszła w przepychu, ale też w samotności. Rafę zadbał, żeby kwiatów nigdzie nie zabrakło. Trumna wyglądała jak miedziany cadillac z niebieską aksamitną tapicerką. Ostatnią rzeczą, którą dla niej uczynił, było opłacenie nabożeństwa żałobnego u Świętej Cecylii. Guillermo i wuj Erneido przylecieli z Miami. Zjawili się również szef personelu i pokojówka z Ritza, którzy zajęli miejsca w ostatniej ławce. W kącie niedaleko kościelnego jakiś trzęsący się pijak mrucał do siebie i klękał w nieodpowiednich momentach. Poza tym

kościół był zupełnie pusty, w rozbrzmiewającym echami powietrzu unosił się zapach pasty do podłóg i kadzidła.

Na cmentarzu w Brooklinie byli całkiem sami, drżąc z żalu, strachu i przenikliwego zimna. Kiedy wrócili do Ritza-Carltona, Erneido wytłumaczył się bólem głowy, zażył tabletkę i poszedł do swojego pokoju. Rafę i Guillermo zeszli na dół, usiedli w barze. Jak za najgorszych czasów pili, Guillermo mówił, a Rafę go nie słuchał. W końcu, jak przez mgłę, jakby z daleka pojął, że brat tłumaczy mu coś bardzo ważnego.

- ...Dadzą nam broń, samoloty, czołgi. Szkolą nas. Będą walczyć razem z nami. Ci marines to wspaniali żołnierze. Potrzebny nam będzie każdy oficer, musisz skontaktować się ze wszystkimi, których znasz. Ja jestem kapitanem. Ty na pewno też nim zostaniesz.

Rafę wyteżył wszystkie siły, skupił się, a kiedy w końcu pojął, o co chodzi bratu, roześmiał się bez cienia wesołości.

- Nie - rzekł. - Dziękuję.

Guillermo przerwał w pół zdania i wytrzeszczył oczy.

- Jak to? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie potrzebuję inwazji. Postanowiłem zostać tutaj i starać się o obywatelstwo.

Sześćdziesiąt procent przerażenia, trzydzieści procent nienawiści, dziesięć procent pogardy, stwierdził Rafę, spoglądając w zamglone oczy brata.

- Więc ty nie wierzysz w Kubę?

- Czy wierzę? - roześmiał się Rafę. - Powiem ci prawdę, wielki bracie. Nie wierzę w nic, a nawet jeśli, jest to wiara całkiem inna od twojej. Uważam, że wszelkie ruchy, wszelkie wielkie organizacje tego świata to jedno wielkie oszustwo, które ma napęlić czyjeś kieszenie. Wierzę chyba tylko w to, że każdy człowiek powinien czynić jak najmniej szkody innym ludziom.

- Jakież to szlachetne. Choć w rzeczywistości znaczy to tylko tyle, że ty po prostu nie masz jaj.

Rafę spojrział mu w oczy.

- Nigdy nie miałeś - powtórzył Guillermo, opróżnił szklankę i strzelił z palców na kelnera. - Moich musi wystarczyć za wszystkich Meomartino. Bo ja kocham Kubę.

- Tobie wcale nie chodzi o Kubę, alcahete. - Dotąd rozmawiali po hiszpańsku, teraz ku własnemu zaskoczeniu Rafę nagle przeszedł na angielski. - Chodzi ci o cukier, lepiej więc daruj sobie tę zgrywę. Co to pomoże tym wszystkim biedakom, którzy naprawdę są Kubą, jeżeli załatwimy Fidela i odbierzemy wszystkie swoje marmury? - Wziął wściekły łyk szkockiej. - Czy ktokolwiek, kogo posadzimy na jego miejscu, będzie traktował ich inaczej?

Nigdy - odpowiedział po chwili sam sobie. Ze złością stwierdził, że cały się trzęsie.

Guillermo z zimnym spokojem poczekał, aż brat skończy.

- Tylko nieliczni w naszym ruchu mają coś wspólnego z cukrem. Są wśród nas najlepsi - tłumaczył jak dziecku.

- Być może wszyscy oni są patriotami. Ale nawet jeśli tak jest, to kierują się pobudkami wcale nie lepszymi niż twoje.

- Jak to wspaniale być wszechwiedzącym, ty pozbawiony kręgosłupa skurwysynu.

Rafał wzruszył ramionami. Na swój sposób Guillermo był kochającym synem. Rafę wiedział, że ta obelga była skierowana przeciwko niemu, nie przeciwko matce. W końcu, pomyślał z dziwnym uczuciem ulgi, powiedzieliśmy sobie to, co zawsze myśleliśmy, a do czego baliśmy się przyznać.

Jednakże Guillermo najwyraźniej pożałował, że użył takiego słowa.

- Mama - odezwał się.

- Co?

- Jak myślisz, czy spoczywa w spokoju w grobie zasypanym śniegiem? Powinna zostać przewieziona na Kubę.

- A idź do diabła - warknął Rafę. Wstał nie dopiwszy drinka i wyszedł, zostawiając brata samego, wpatzonego w szkło.

Guillermo i wuj Erneido wyjechali jeszcze tego samego wieczora, pożegnawszy go jak obcego.

Cztery dni później nad Nową Anglię napłynął ostatni tej wiosny prąd powietrza z północnego wschodu, pokrywając czterema calami śniegu pas wybrzeża od Portland aż po Block Island. Późnym popołudniem Rafę złapał taksówkę i pojechał na cmentarz. Zadyмка już się skończyła, lecz wiatr dalej unosił śnieżne diabły, które wdzierały się pod rękawy i za kołnierze płaszcza. Zanim dotarł do grobu, w butach miał pełno śniegu. Stał bez ruchu, aż z nosa zaczęło mu lecieć i zupełnie stracił czucie w przemarzniętych stopach. Po powrocie do hotelu siadł przy zgaszonym świetle tak, jak jeszcze niedawno siadywała matka, obserwując ruch na Arlington Street. Był pewny, że na niektóre z tych samochodów patrzyła matka. Pojazdy umierają dłużej niż ludzie.

Przeprowadził się z Ritza do wynajętego pokoju w budynku z piaskowca oddalonego o przecnicę od szpitala. Po drugiej stronie korytarza żyli sobie jacyś dwaj smukli studenci, kto wie, może w grzechu? Pokój na górze zajmowała zezowata dziewczyna. Rafę przypuszczał, że to dziwka, chociaż nic nie wskazywało na to, by w swoim lokum zabawiała się choćby z własnym narzeczonym.

Większość wolnego czasu spędzał w szpitalu, umacniając swą reputację osoby gorliwej i kompetentnej i robiąc wszystko, by to właśnie jego wybrano w następnym roku spośród kandydatów na rezydenta; nie przeprowadził się jednak do szpitala, aby nie przyznać się w ten sposób, że potrzebuje schronienia.

Nawet nie zauważył nadejścia wiosny. Zapomniał obciąć włosy; dumiał nad życiem po śmierci i w swej mądrości doszedł do wniosku, że jednak niczego tam nie ma; zastanawiał się nawet nad psychoanalizą, ale dał sobie spokój przeczytawszy artykuł Anny Freud, która twierdziła, że osoby pogrążone w żałobie i zakochane znajdują się poza zasięgiem analityka.

Z letargu wyrwała go w wyjątkowo nieprzyjemny sposób wiadomość o inwazji w Zatoce Świń. Po raz pierwszy usłyszał o niej z przenośnego radia na żeńskiej części oddziału. Raport był wprawdzie optymistyczny, lecz bardzo szkicowy i praktycznie pozbawiony faktów, stwierdzono jedynie, że do lądowania doszło właśnie w Zatoce Świń.

Rafę dobrze pamiętał ten nadmorski kurort, w dzieciństwie jeździli tam całą rodziną. Rano, kiedy rodzice jeszcze spali, on i Guillermo zbierali całe stosy morskich skarbów, które jeszcze przed zapadnięciem zmroku zaczynały cuchnąć, oraz małe, białe, gładkie kamienie, wyglądające jak skamieniałe ptasie jaja.

Z każdym kolejnym raportem wiadomości były coraz gorsze.

Próbował dodzwonić się do Guillermo, lecz bez skutku, w końcu więc przemógł się i zatelefonował do wuja Erneido.

- Nie da się powiedzieć, gdzie on teraz jest. Po prostu jest gdzieś tam, razem z innymi. Sytuacja jest chyba bardzo zła. Ten przeklęty kraj, który rzekomo miał być naszym przyjacielem...

Starzec nie był w stanie mówić dalej.

- Niech wuj da mi znać, kiedy się tylko czegoś dowie - poprosił Rafę.

Już po paru dniach bez większego trudu można było zrekonstruować sporą część przerażającego obrazu i dopowiedzieć sobie resztę: ogrom klęski, bezmiar niedoświadczenia atakującej brygady, przestarzały sprzęt, brak wsparcia z powietrza, arogancka fuszerka CIA, widoczna gołym okiem udręka młodego amerykańskiego prezydenta, nieobecność US Marines tam, gdzie byli tak bardzo potrzebni.

Rafę spędził długie godziny wyobrażając sobie, jak to jest, kiedy człowiek ma za plecami morze, a przed sobą mokradła oraz uzbrojoną przez Sowietów milicję Fidela Castro. Zabici, brak środków do ratowania rannych.

W szpitalu po raz pierwszy zwrócił uwagę na niektóre sprzęty.

Respirator do sztucznego oddychania i rozrusznik.

Ssak.

Łóżka dające pacjentom we wstrząsie niezbędne ciepło.

Fantastyczne bloki operacyjne, zespoły ludzkie.

Dobry Boże, bank krwi. Wszyscy Meomartino mają rzadkie grupy krwi.

Nigdy nie ukrywał, że jest Kubańczykiem. Część pracowników szpitala, a także niektórzy pacjenci mruzcili pod nosem słowa współczucia, aczkolwiek większość unikała tego tematu jak ognia. Parę razy zdarzyło się, że kiedy wchodził do jakiegoś pomieszczenia, rozmowy nagle milkły i zapadała wymowna cisza.

Nagle stwierdził, że w nocy może spać; kładł się do łóżka i momentalnie zapadał w głęboki, znieczulający sen człowieka wykorzystującego sposobność ucieczki.

Któregoś dnia, było to w maju, otrzymał pocztą poleconą od wuja Erneido ciężki srebrny zegarek z wygrawerowanymi na pokrywie aniołami. List, który mu towarzyszył, był krótki, lecz zawierał kilka istotnych wiadomości.

Siostrzeńcze.

Jak dobrze wiesz, ten zegarek jest częścią dziedzictwa rodu Meomartino. Zanim trafił do Ciebie, strzegli go godnie wszyscy ci, którym go powierzono. Ty również strzeż go tak pilnie, jak tylko potrafisz. Niech z Twoich rąk przejdzie w ręce następnych pokoleń.

Nie wiemy, jak zginął Twój Brat, wiemy jednak ponad wszelką wątpliwość, że zginął, a zanim to się stało, spisał się bardzo dzielnie. Kiedy to tylko będzie możliwe, dołożę wszelkich starań, by dowiedzieć się o Jego losie jak najwięcej.

Nie spodziewam się, by w bliskiej przyszłości dane nam było się spotkać. Nie pozwala na to mój wiek, a wszelkie siły, które jeszcze zachowałem, pragnę wykorzystać w najlepszy możliwy sposób. Życzę Ci sukcesów w zawodzie, który sobie wybrałeś, i mam szczerą nadzieję, że wszystko potoczy się po Twojej myśli. Beznadziejnie pragnę wyzwolenia mojej Ojczyzny. Jest jednak zbyt mało patriotów, w których żyłach płynie męska krew, by wyrwać z rąk Fidela Castro to, co do nich należy.

Twój wuj, Erneido Pesca.

Schował przesyłkę do szuflady biurka i poszedł do szpitala. Kiedy po czterdziestu godzinach wrócił i otworzył szufladę, zegarek wciąż tam leżał. Długo się w niego wpatrywał, później zamknął szufladę, włożył płaszcz i wyszedł. Na dworze popołudnie próbowało się zdecydować, czy to środek wiosny, czy też może początek lata, na niebie gromadziły się deszczowe chmury. Rafę długo włączył się po ulicach Bostonu.

Na Washington Street poczuł w żołądku niespodziewane ukłucie głodu, i skręcił do baru mieszczącego się w cieniu kolei nadziemnej. O przecnicę dalej znajdowała się siedziba

bostońskiego Herald-Traveler. Bar był całkiem przyzwoity, pełen pracowników gazety jedzących kolację. Niektórzy nadal mieli na głowach kanciaste papierowe kapelusze, których zadaniem było chronić włosy przed tłuszczem i tuszem.

Usiadł w kącie i zamówił kotlet cielęcy parmigiana. Telewizor ustawiony nad lustrem rzygał najświeższymi wiadomościami na temat klęski w Zatoce Świń.

Tylko nielicznym udało się ewakuować.

Większość żołnierzy zginęła.

Prawie wszyscy, którym udało się przeżyć, trafili do niewoli.

Kiedy na stoliku stanęła zamówiona cielęcina, nawet jej nie tknął.

- Poproszę podwójną szkocką.

Potem zamówił drugą, po której jego samopoczucie trochę się poprawiło, i trzecią, po której poczuł się bardzo źle. Potrzebował powietrza, zostawił więc banknot na mahoniowym blacie i wyszedł na chwiejnych nogach.

Niebo było niskie i czarne, podmuchy wiatru od morza przypominały rzucane na twarz mokre ręczniki. Zaczął szukać schronienia, kiedy obok zatrzymała się taksówka.

- Do jakiegoś dobrego baru. I niech pan tam na mnie zaczeka.

Park Square. Lokal nazywał się The Sands. Światła były przyćmione, za to whisky nie rozwadniana. Kiedy wyszedł, czekała taksówka - upiorny galopujący rumak - tykający taksometr i lśniące neonami pałace rozkoszy żywych. Jechali na północ, często przystając. Przed knajpą na Charles Street wdzięczny za wierność Rafę wcisnął w dłoń kierowcy banknot, a swój błąd pojął dopiero po odjeździe taksówki.

Kiedy wyszedł z lokalu przy Charles Street, widział tylko plamy. Wiał przenikliwy wilgotny wiatr. Deszcz bębnił i szumiał, uderzał o chodnik i buty. Ubranie i włosy Rafe'a najpierw go wchłaniały, w końcu jednak woda zaczęła po nich spływać. Strugi deszczu, twarde i zimne, smagały mu twarz, przyprawiając o zawroty głowy.

Minął Klinikę Okulistyczną i mokre kontury Massachusetts General. Nie wiedział, kiedy dokładnie zalegająca w nim wilgoć wypłynęła na spotkanie wilgoci otaczającego świata, lecz w pewnej chwili uświadomił sobie, że płacze z głębi, z samego dna serca.

Z żalu za sobą samym, to na pewno.

Za bratem, którego tak nienawidził i którego już nigdy nie miał zobaczyć.

Za zmarłą matką.

Za ojcem, którego ledwo pamiętał.

Za wujem, którego utracił.

Za dniami i miejscami swego dzieciństwa.

Za przeklętym światem.

Doszedł do markizy osłaniającej wejście do rozświetlonego lokalu, gdzie w deszczu pluskały fontanny.

- Spadaj - rzucił groźnym szeptem stojący przy drzwiach szwajcar, po czym odsunął się na bok, by przepuścić dwie wychodzące kobiety. Jedna wsiadła do taksówki, druga zawróciła i wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć Rafe'a.

- Doktorze? - odezwała się z niedowierzaniem. Skądś ją pamiętał, próbował więc coś odpowiedzieć.

- Doktorze - powtórzyła. - Nie pamiętam pańskiego imienia. Poznaliśmy się w kawiarence w Massachusetts General. Czy nic panu nie jest?

Jestem tchórzem, odparł, choć z jego ust nie dobiegł żaden dźwięk.

- Elizabeth! - zawołała jej towarzysząca z taksówki.

- Czy mogę jakoś pomóc? - spytała. Druga kobieta wysiadła z auta.

- Jesteśmy już spóźnione - rzekła zniecierpliwiona.

- Niech pan nie płacze - mówiła Elizabeth. - Proszę.

- Elizabeth - odezwała się koleżanka. - Co ty wyprawiasz? Wydaje ci się, że będą na nas czekać w nieskończoność?

Liz Bookstein objęła go w talii i zaczęła prowadzić do wejścia do hotelu.

- Przepróż ich w moim imieniu - rzuciła nawet się nie odwracając.

Kiedy obudził się po raz pierwszy, w przyćmionym świetle lampki nocnej ujrzał ją śpiącą na krześle koło łóżka. Miała na sobie sukienkę, ale jej buty, pończochy i pas leżały na podłodze, gołe stopy podkuliła pod siebie, jakby dla ochrony przed zimnem. Za drugim razem obudził się, kiedy zaczynało świtać i przez okno wpadało szare światło, a ona nie spała, tylko poważnie i w milczeniu wpatrywała się w niego oczyma, które teraz dobrze pamiętał. Po chwili wbrew sobie znowu zasnął. Kiedy obudził się na dobre, przez okno wpadały promienie porannego słońca, a ona z głową przechyloną na bok spała na krześle, dziwnie bezbronna i bardzo piękna.

Nie pamiętał, żeby się rozbierał, był jednak nagi. Z przerażeniem stwierdził, że ma potężną erekcję, i czym prędzej popędził do łazienki. Oczyszczając organizm z toksyn doszedł do wniosku, że absolutnie nie nadaje się na pijaka.

Po chwili rozległo się pukanie do drzwi.

- W szafce na lekarstwa jest nowa szczoteczka do zębów. Odchrząknął.

- Dziękuję.

Znalazł ją obok maszynki do golenia, co było dla niego sporym wstrząsem, do czasu

aż wytłumaczył sobie, że na pewno używa jej do golenia nóg. Pod prysznicem znalazł mydło z pokruszonymi płatkami róży, wzruszył jednak ramionami i postanowił zostać sybarytą. Ogolił się i wytarł, po czym lekko uchylił drzwi.

- Mogę prosić o moje ubranie?

- Było brudne. Oddałam je do pralni. Niedługo powinni przynieść.

Owinął się wilgotnym ręcznikiem i wyszedł z łazienki.

- No. Od razu wyglądasz o niebo lepiej.

- Przepraszam, że zająłem twoje łóżko - rzekł. - Kiedy mnie wczoraj znalazłaś...

- Daj spokój.

Usiadł na krześle, a ona, ciągle bosa, podeszła do niego.

- Nie przepraszaj za to, że jesteś mężczyzną, który potrafi płakać.

Nagle wszystko sobie przypomniał. Zamknął oczy. Kiedy jej palce dotknęły jego głowy, wstał i mocno ją objął. Wiedział, że na pewno czuje go przez ręcznik, lecz nie odsunęła się ani o cal.

- Chciałam cię zabrać z deszczu. I tyle.

- Nie sądzę.

- Tak dobrze mnie już znasz. Może to właśnie ty? Tak długo szukałam...

- Tak? - zapytał smutno.

- Jesteś z Ameryki Południowej? - spytała po chwili.

- Nie, z Kuby.

- Dlaczego zawsze zadaję się z mniejszościami? - szepnęła z ustami przy jego torsie.

- Pewnie dlatego, że twój wuj jest pod tym względem takim bydlakiem.

- Tak, ale postaraj się być miły. Błagam, nie okaż się wstrętnym typem. Nie przeżyłabym tego. - Uniosła twarz, a on stwierdził, że musi się pochylić, by pocałować ją w usta, ruchliwe, gorące i wilgotne. Przez chwilę bezskutecznie zmagił się z zapięciem jej sukienki, wreszcie sama ją rozpięła. Jego ręcznik opadł na niebieski dywan obok części jej garderoby. Piersi miała małe, choć już nie dziewczęce, lecz dojrzałe, o sutkach wielkości koniuszka palca. Pulchne stopy i zgrabne, lecz muskularne nogi - czyżby tenisistka? - o pełnych zachęcających udach były opalone.

A jednak z przerażeniem stwierdził, że jest dokładnie tak samo jak poprzedniego wieczora, kiedy wygłodzony zamówił posiłek, a potem nie był w stanie go zjeść.

- Nie przejmuj się - rzekła delikatnie go odpychając, aż wreszcie położył się na plecach z zamkniętymi oczyma. Podniosła się, zaskrzypiały sprężyny łóżka.

Była bardzo doświadczona. Kiedy otworzył oczy, jej twarz zakrywała cały jego

wszechświat. Była to bardzo poważna twarz, twarz małej dziewczynki skupionej na ważnym problemie; na lekko garbatym, nieco okrutnym nosie pojawił się pot, szare oczy były szeroko otwarte, tęczołki lśniły dziko, źrenice wydawały się ciepłe, rozmyte i wszystko widzące; oczy te wpatrywały się w niego, przyciągając jego spojrzenie tak długo, aż w końcu wślizgnął się w nie głęboko, głęboko, z czułością, która wydała mu się czymś dziwnym i nowym.

Może to Bóg, przemknęło mu przez myśl. Dość szczególny moment na religijne uniesienie.

Wiele miesięcy później, kiedy po raz pierwszy byli w stanie rozmawiać o tamtym poranku za pomocą słów - było to na długo przed tym, jak znów ogarnął ją niepokój, a on poczuł, że jej miłość przecieka mu przez palce niczym piasek - powiedziała, że było jej wtedy bardzo wstyd, że jest tak bardzo doświadczona, że nie może mu ofiarować niewinności.

- A kto może? - spytał.

Pojękiwanie powietrza uwięzionego w rurach przeszło w puste pogwizdywanie. Meomartino porzucił próby skoncentrowania się na papierkowej robocie i odsunął krzesło od biurka.

W drzwiach pojawiła się Peggy Weld. Oczy miała zaczerwienione, po makijażu nie został nawet ślad. Pewnie rozmazał się jej tusz do rzęs, pomyślał.

- Kiedy planuje pan pobrać nerkę?

- Nie wiem jeszcze dokładnie. Najpierw musimy przeprowadzić wszystkie niezbędne badania, testy i tym podobne.

- Chce pan, żebym przeprowadziła się do szpitala?

- Za jakiś czas, ale jeszcze nie teraz. Powiadomimy panią. Skinęła głową.

- Tylko niech pan nie próbuje mnie szukać w hotelu. Zatrzymam się w Lexington, u szwagra i dzieciaków.

Meomartino przyszło do głowy, że bez makijażu jest bez porównania bardziej pociągająca.

- Zaczniemy przygotowania - rzekł.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Spurgeon Robinson.

Spur egzystował na samym środku znajomej wyspy bezludnej, która zdawała się przemieszczać razem z nim. Niektórzy pacjenci wyglądali na wdzięcznych za udzieloną im pomoc, świadom był jednak, że wielu innych nie może oderwać oczu od czerni jego dłoni, kontrastującej z ich bladą skórą. Pewna bardzo wiekowa Polka trzykrotnie odpychała jego palce od swego pomarszczonego brzucha, zanim w końcu pozwoliła mu się zbadać.

- Jest pan lekarzem? - dopytywała się.

- Tak, proszę pani.

- Prawdziwym lekarzem? Po szkole?

- Tak.

- Cóż... Sama nie wiem...

Z czarnoskórymi pacjentami było zwykle łatwiej, aczkolwiek nie zawsze, bo niektórzy od razu brali go za zdrajcę. Skoro ja leżę tutaj, biedny jak niewolnik, zboleły i poszturchiwany przez wszystkich, to co ty robisz w tym swoim białym mundurku, żyjąc jak wielki pan?

Nigdy nie odpowiadała mu rola kolorowego profesjonalisty otoczonego przez białych, chociaż na przykład skośnoocy wcielali się w nią wręcz idealnie. Któregoś dnia, na sali operacyjnej, zobaczył doktora China i doktora Lee. Mieli oni asystować doktorowi Kenderowi, który właśnie zakładał fartuch. Alice Tayakawa, anestezjolog, z pochodzenia Japonka, postawiła taboret obok głowy pacjenta i usiadła. Kiedy doktor Chin pomagał doktorowi Tylerowi naciągnąć rękawiczki, na jego twarzy zagościł uśmiech.

- Sir, zna pan Zespół Niebieski i Zespół Czerwony, prawda?

Doktor Kender czekał.

- Chciałbym więc przedstawić panu Zespół Żółty. Wywołało to gromką salwę śmiechu i szybko rozniosło się po całym szpitalu, przysparzając skośnookim lekarzom jeszcze większej sympatii niż dotychczas. Było to coś, czego Spur na trzeźwo na pewno nie zdołałby z siebie wydusić w obecności białego przełożonego. Wprawdzie zaprzyjaźnił się z Adamem Silverstone'em, lecz przynajmniej przez te pierwsze tygodnie nie miał pojęcia, czego może się spodziewać po reszcie personelu.

Którejś nocy, było gdzieś około trzeciej, szedł samotnie korytarzem, zamierzając zrobić sobie przerwę na kawę, i zobaczył, jak Lew Holtz i Ron Preminger zatrzymują trzeciego stażystę, niejakiego Jacka Moylana. Szeptali coś, trzęsąc się ze śmiechu i zerkając ukradkiem na ambulatorium. Moylan skrzywił się najpierw, jakby poczuł nieprzyjemny zapach, zaraz jednak uśmiechnął się od ucha do ucha i ruszył w tamtym kierunku.

Holtz i Preminger poszli dalej, rozbawieni do łez, i obaj przywitali Spurgeonona. Holtz sprawiał wrażenie, jakby chciał się zatrzymać i coś powiedzieć, lecz Moylan pociągnął go za rękaw.

Spurgeon miał jeszcze około dziesięciu minut, postanowił sprawdzić, co się dzieje.

W słabo oświetlonym korytarzu na drewnianej ławce siedział czarny chłopak, na oko szesnastoletni. Spojrzał na Spurgeonona.

- Jest pan specjalistą?

- Nie. Tylko stażystą.

- Ilu lekarzy potrzebują? Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku.

- Na pewno dobrze się nią zajmą - odparł Spur ostrożnie. - Ja zszedłem tylko na kawę.

Napijesz się?

Chłopak pokręcił głową.

Spur wrzucił do automatu dziesięciocentówkę, po chwili wyjął pełny plastikowy kubek i usiadł na ławce obok chłopaka.

- Wypadek? - zainteresował się.

- Nie... to sprawa osobista. Wszystko wyjaśniłem tamtemu lekarzowi w środku.

- Aha - skinął głową Spurgeon sącząc powoli gorącą kawę. Ktoś zostawił na ławce „Daily Record”. Gazeta była tylko trochę pognieciona od nacisku pośladków, Spur wziął ją więc i zaczął czytać artykuły na temat baseballu.

Po chwili z gabinetu wyszedł Jack Moylan. Spurgeonowi wydawało się, że słyszy jego śmiech, nie miał natomiast żadnych wątpliwości, że idąc korytarzem Moylan kręci głową.

- Posłuchaj, jestem lekarzem - odezwał się do chłopaka. - Jeżeli mi powiesz, co się stało, może będę mógł jakoś pomóc.

- Mają tu dużo kolorowych lekarzy?

- Nie.

- No więc zaparkowaliśmy, rozumie pan, nie? - powiedział chłopak, postanawiając mu zaufać.

- No.

- Robiliśmy to. Wie pan co, prawda? Spurgeon skinął głową.

- To był jej pierwszy raz. Mój nie. No i... wie pan... zsunęła mi się i została w środku. W niej.

Spurgeon ponownie pokiwał głową, nie odrywając oczu od kubka.

Po chwili zaczął tłumaczyć chłopakowi, jak należy używać prezerwatywy, ten wszakże niemal natychmiast mu przerwał.

- Pan nic nie rozumie. Czytałem o tym. Ale nie umieliśmy go wyjąć. I wtedy wpadła w histerię. Nie mogliśmy iść z tym do mojego brata ani do jej matki, bo by nas chyba zabili. Więc przywiozłem ją prosto tutaj. A ten lekarz w gabinecie od prawie godziny woła różnych specjalistów.

Spurgeon wypił ostatni łyk, powoli odstawił kubek na gazetę, później wstał i wszedł do gabinetu.

Znajdowali się za zasuniętą kotarą. Dziewczyna miała zamknięte oczy. Jej odwrócona do ściany twarz wyglądała jak zaciśnięta brązowa pięść. Leżała na stole w pozycji jak do litotomii, ze stopami w strzemionach. Potter z otolaryngologicznym lusterkiem na jednym oku używał wąskiej latarki jako wskaźnika i wygłaszał wielce uczony wykład przeznaczony dla stażysty, który stał przy głowie dziewczyny. Spurgeon nie znał chłopaka, wiedział jedynie, że jest z anestezjologii. Facet trząsał się dławiąc śmiech.

Kiedy kotara się rozchyliła, Potter wyraźnie się przestraszył, rozpoznawszy jednak Spurgeona uśmiechnął się szeroko.

- Och, doktor Robinson. Cieszę się, że znalazł pan chwilę na konsultację. Przysłał pana doktor Moylan?

Spurgeon chwycił parę kleszczy i nie patrząc na tamtych dwóch wyjął krępujący przedmiot, po czym wyrzucił go do kosza.

- Twój chłopak czeka na korytarzu - rzekł. Dziewczyna pośpiesznie wyszła.

Stażysta z anestezjologii przestał się śmiać. Potter stał i patrzył na Spurgeona przez to swoje idiotyczne lusterko.

- To przecież nic takiego, Robinson. Po prostu żart.

- Ty przekłeta kanalio.

Czekał na jakąś reakcję, lecz naturalnie się nie doczekał, wrócił więc na oddział, tylko trochę roztrzęsiony.

Jeżeli miałby znaleźć sobie wroga pośród lekarzy, wybrałby właśnie Pottera, nadętego partacza. Doktor Lew Chin szczegółowo przedstawił mu czynności związane z usuwaniem żylaków. W trakcie szkolenia starszego chirurga wezwano na sąsiednią salę operacyjną, ponieważ doszło tam do zatrzymania akcji serca, a Potter postanowił sam dokończyć zabieg,

lecz przez pomyłkę zamiast żyły usunął tętnicę udową. Doktor Chin, tak wściekły, że nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa, starał się jeszcze naprawić zniszczenia, zastępując tętnicę nylonowym przeszczepem. Jednakże nic z tego nie wyszło. Przeszczep okazał się niemożliwy i w rezultacie kobieta, która trafiła na salę operacyjną na prosty zabieg, wróciła na oddział z amputowaną nogą. Podczas cotygodniowego kominka poświęconego komplikacjom doktor Longwood wypowiedział się o tym przypadku bardzo dobitnie. Ale niecały tydzień później Potter, przeprowadzając dziecinnie prosty zabieg usunięcia przepukliny, związał nasieniowód z workiem przepuklinowym. Krążenie krwi w tym rejonie zostało zupełnie odcięte i po paru dniach jądro męczyzny przestało funkcjonować. Tym razem Stary w ogóle nie przebiegał w słowach i przypomniał pracownikom, że przynajmniej na razie medycyna nie ma dostępu do magazynu części zamiennych.

Spurgeon trochę współczuł Potterowi, lecz arogancja i bezdenna głupota rezydenta sprawiły, że szybko wyzbył się wobec niego wszelkich altruistycznych uczuć, a teraz cieszył się, że jest przez niego pogardliwie ignorowany. Z kolei na Jacka Moylana incydent na izbie przyjęć wpłynął wręcz przeciwnie, obecnie starał się być wobec Spurgeona bardzo przyjacielski. Ten wszakże wzgardził łapówką.

O całym zajściu wiedziało zaledwie kilka osób i większość z nich traktowała Spura tak samo jak dotychczas. On i Silverstone zintegrowali szóste piętro. Poza tym jednak żył samotnie na swojej wyspie i czasami, chociaż rzadko, wołał tę samotność.

W połowie września nastąpiło kilka zimnych dni, po nich zaś przyszła wprawdzie nowa fala upałów, lecz w powietrzu, które każdego ranka wpadało przez otwarte okno do pokoju, w tej przedziwnej mieszaninie ozonu i miejskiego smrodu czuć było, że babie lato wkrótce dobiegnie końca. Pierwszego wolnego dnia Spur ściągnął koc z łóżka, wsiadł do starego volksa i pojechał na Revere Beach, plażę przyjemniejszą oczywiście niż Coney, za to nie mogącą się równać z Jones. Kiedy zjawił się tam około wpół do jedenastej, piach świecił pustkami, ale po lunchu, na który w jego przypadku złożyły się hot-dog i butelka millera, zeszły się tłumy.

Złożył koc i ruszył wzdłuż brzegu, aż znalazł się poza granicami plaży komunalnej. Wprawdzie ten teren także należał do miasta, nikt jednak o niego nie dbał. Piasek był płytki i szary jak popiół, bo tu nie zwożono ciężarówkami kremowobiałego, trzeba też było uważać na sterczące kamienie, lecz tłok panował zdecydowanie mniejszy. W najbliższej okolicy czterech chłopaków o sylwetkach Charlesa Atlasa ustawiało się w pozycjach eksponujących ego i mięśnie, jakiś bladobrzuchy tłuścioch o twarzy zakrytej rękawiczką sterczał z ziemi niczym grzyb, dwójka rozwrzeszczanych niczym zwierzątki dzieci biegała po wodzie skacząc

niczym tancerze nad grzbietami załamujących się fal, młoda Murzynka leżała na piasku wystawiając twarz do słońca.

Przeszedł obok dziewczyny, by się jej dokładnie przyjrzeć, po czym zawrócił i wybrał miejsce oddalone o jakieś dwanaście stóp od niej. Gdzie indziej znalazłby zapewne jakąś połąć miękkiego piasku, tymczasem tam, gdzie rozłożył koc, pełno było kamieni. Kiedy usiadł, wbijały mu się w ciało.

Skórę miała jaśniejszą niż on, w porównaniu z jego fioletową czernią przywodziła na myśl czekoladkę. Ubrana była w jednoczęściowy strój kąpielowy z dzianiny, śnieżnobiały i w zamierzeniach bardzo skromny, ale jej figura sprawiała, że plany projektantów brały w łeb. Czarne kręcone włosy, króciutko ostrzyżone, zdobiły jej kształtną czaszkę niczym jarmułka. Żadna biała dziewczyna, choćby nie wiadomo jak piękna, nie mogła się z nią równać.

Po chwili trzech kulturystów zmęczyło się napinaniem mięśni i wbiegło w wody Atlantyku, czwarty, wyglądający jak syn Johnny'ego Weismiillera i Isadory Duncan, potruchtał pogardliwie po wraźym terenie i przycupnął przy kocu dziewczyny. Ach, cóż za mięśnie, same mięśnie aż po czubek głowy. Opowiadał jakieś dyrdymały o pogodzie, przyplądzie i odpływie, wreszcie wpadł na genialny pomysł i zaproponował, że kupi jej coca-colę. W końcu dał za wygraną i wycofał się z ponurą miną, aby ponapinać biceps wielkości piersi kobiety, która niedawno urodziła.

Spurgeon w bezruchu napawał oczy wspaniałym widokiem, świadom, że ta dziewczyna to nie pierwsza lepsza panienka.

Jakiś bliżej nie określony czas później dziewczyna włożyła czepek i weszła do morza. Jako lekarz z krwi i kości, Spurgeon zauważył z niejakim zainteresowaniem, że jej widok sprawia mu fizyczny ból.

Wstał i zrobił sobie długi spacer do niebieskiej furgonetki, siłą woli powstrzymując się przed biegiem. Gitara była tam, gdzie ją zostawił, na podłodze obok tylnego siedzenia. Wziął ją i zawrócił, po drodze parząc bosc stopy o gorące kamienie. Był pewien, że czarnej Wenus już nie będzie, lecz nie, siedziała wsparta na ramionach na kocu, zmęczona po długim pływaniu, z mokrymi włosami, choć przecież miała czepek. Zdjęła go już i od czasu do czasu potrzasała głową, żeby włosy szybciej wyschły na słońcu.

Usiadł i zaczął uderzać w struny. Na imprezach i występach niezliczoną ilość razy próbował zdobywać dziewczyny bez słowa, za pomocą samych tylko nut. Czasami się udawało, czasami nie. Przypuszczał, że sukces odniósłby stosując jakikolwiek inny sposób, mruganie oczyma, sygnały dymne, tamtamy, wyśpiewany telegram czy choćby zakrzywiony palec.

Jednakże każdy używa najlepszej broni, jaką dysponuje.

Gitara przemawiała nieśmiało, z otwartą bezpłciową nieszczerością.

Pragnę zostać Twoim przyjacielem, bezimienna panno. Pragnę być dla Ciebie jak brat.
Uwierz mi.

Dziewczyna wpatrywała się w morze. Pragnę rozmawiać z Tobą o pomyłkach Schopenhauera. Pragnę kłócić się z Tobą o to, jaki film jest najbardziej artystyczny.

W deszczowy poranek pragnę oglądać z Tobą telewizję i oddać Ci połowę swoich ciasteczek z płatków owsianych. Rzuciła okiem w jego stronę, wyraźnie zmieszana. Pragnę chichotać z Twoich kalamburów, choćby nawet najbardziej mizernych.

Pragnę śmiać się radośnie ze wszystkich Twoich żartów, nawet jeśli wydadzą mi się kompletnie pozbawione sensu.

Palce sunęły po gryfie uderzając w struny, które wydawały odgłosy przypominające cichy śmiech. Dziewczyna odwróciła głowę... i... ach, uśmiechnęła się!

Pragnę całować te rozbawione afrykańskie usta. Miarowy, perfidny rytm.

Jesteś czarnym kwiatem, który ja jeden odkryłem na tej cudownej brudnoszarej plaży.

Teraz już muzyka nie była bezpłciowa. Szeptwała do niej, pieściła ją.

Uśmiech znikł. Dziewczyna odwróciła twarz.

Muszę zanurzyć twarz w brązowej krągłości Twojego brzucha.

Marzę o tym, by tańczyć z Tobą nago, gładzić twój kształtny pośladek.

Dziewczyna wstała. Podniosła koc, nawet go nie składając, i pośpiesznie opuściła plażę, choć nie była w stanie ukryć piękna swoich ruchów.

Przeklęta napalona gitara.

Przestał grać i dopiero teraz spostrzegł las brzydkich kolan. Czterech kulturystów, grubas, dwoje dzieci i jeszcze kilku obcych - wszyscy stali urzeczeni wokół jego koca.

- Oho - wyszeptał odprowadzając wzrokiem jej oddalającą się postać.

Następne trzydzieści sześć godzin trudno byłoby nazwać udanymi. W nocy Spur przygotowywał cztery osoby do operacji, czego szczerze nienawidził. Golenie brzucha i podbrzusza pacjenta z czającymi się nieoczekiwanymi, lecz jakże łatwymi do zadrażnienia pieprzykami i skazami, oraz wrednymi mieszkami włosowymi, które stawiały hardy opór nawet najostrzejszym ostrzom, nie miało wiele wspólnego z goleniem własnej, dobrze znanej twarzy. W poniedziałek rano dzielnie asystował Silverstone'owi przy usuwaniu wyrostka robaczkowego i w nagrodę pozwolono mu wyciąć zakażoną parę migdałków.

Zszedł z dyżuru we wtorek o ósmej, a już o wpół do jedenastej był na plaży, na której zastał zaledwie parę osób. Pochmurny i wietrzny ranek odstraszył amatorów kąpieli. Spur

obserwował mewy i wiele się nauczył o subtelnych zasadach aerodynamiki. Około wpół do dwunastej słońce przebiło się przez chmury i trochę go ogrzało. Po lunchu zaczęli się schodzić plażowicze, jednakże wiatr wciąż wiał, a dziewczyna się nie pojawiała.

Wczesne popołudnie spędził na przechodzeniu nad różnymi nogami i wypatrywaniu tych jednych zmysłowych w kolorze czekolady. Ponieważ jednak nie odnalazł właściwej pary, poćwiczył pływanie kraulem i żabką, w przerwach pozwalając sobie na krótkie drzemki, z których gwałtownie się budził i rozglądał po okolicy. W końcu poderwał pewną sześciolatkę, niejaką Sonię Cohen. Wspólnie zbudowali z piasku Jeruzalem, projekt międzywyznaniowy, zrównany z ziemią przez romańską falę dokładnie siedem po czwartej. Nieszczęsne dziecko siedziało nad wodą, łkając rozpaczliwie.

Zszedł z plaży dosłownie w ostatniej chwili, tak późno, że po powrocie do szpitala miał już tylko czas na króciutki prysznic, a kiedy zjawił się na oddziale, we włosach wciąż zgrzytał mu piasek z łopatkki Soni.

Dyżur na oddziale był nudny, acz do wytrzymania. Spurgeon pogodził się już z myślą, że nigdy więcej nie zobaczy czekoladowej piękności, nawet zdołał sobie wmówić, że wcale nie była tak wystrzałowa, jak zapamiętał. W czwartek wieczorem ten kretyn Potter zdiagnozował u siebie jakiegoś wirusa, co oznaczało zapewne, że dolega mu coś całkiem innego, i stwierdził, że musi zostać w łóżku. Adam był zmuszony poprzestawiać harmonogram dyżurów i przydzielić Spurgeonowi cztery godziny w pomocy doraźnej.

Kiedy się tam zjawił, Meyerson siedział na ławce i czytał gazetę.

- Co muszę wiedzieć, Maish?

- Bardzo niewiele, doktorze - odparł kierowca. - Chyba tylko tyle, że jeśli zjawi się ktoś, kto wygląda, jakby miał zaraz wykorkować, trzeba go natychmiast skierować na oddział. Natychmiast. To stara niepisana zasada.

- Dlaczego?

- W godzinach szczytu ten lokal jest okropnie napakowany. Czasami pacjenci muszą czekać godzinami. Długimi godzinami. Jak przypadkiem ktoś nam tutaj kopnie w kalendarz, wszyscy są od razu święcie przekonani, że każdy może wykorkować w tym przeklętym miejscu, zanim ktokolwiek raczy się nim zająć.

Spurgeon przygotował się więc na ostry trening, lecz te cztery godziny upłynęły bardzo spokojnie i nie miały nic wspólnego z szaleńczą bieganiną, której się spodziewał. Miał nawet dość czasu, by trzykrotnie przeczytać wywieszoną na tablicy ogłoszeń notatkę.

DO WSZYSTKICH PRACOWNIKÓW

Od Emmanuela Brodsky'ego, Naczelnego Farmakologa

DOTYCZY: zaginięcia bloczków recept.

Nadzór farmakologiczny stwierdził, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni w wielu klinikach doszło do zaginięcia bloczków recept. W tym samym okresie stwierdzono również kilkakrotnie zniknięcie znacznych ilości barbituranów oraz amfetaminy. W związku z narastającym problemem narkomanii nadzór farmakologiczny zaleca, by czyste recepty oraz wszelkie lekarstwa przechowywać wyłącznie w miejscach gwarantujących, że nie trafią one w niepowołane ręce.

Wczesnym wieczorem Maish przywiózł alkoholiczkę, która absolutnie nieprzekonywająco próbowała wmówić Spurgeonowi, że jej zniszczone ciało pokryła cała masa sińców oraz zadrapań, kiedy potknęła się i spadła ze schodów. Dobrze wiedział, że ktoś ją pobił, zapewne mąż albo kochanek. Prześwietlenie niczego nie wykazało, Spurgeon nie wypuścił jej jednak do domu, tylko czekał, aż któryś rezydent będzie miał trochę czasu, by zejść na dół, w szpitalu bowiem obowiązywała zasada, że w sprawach powypadkowych ostateczną decyzję mogą podejmować jedynie starsi rezydenci. Adam miał wolną noc i pojechał do Woodborough. W końcu po wielu wysiłkach Spurgeon zdołał ściągnąć Meomartino, który wypisał pacjentkę do domu, zalecając jej gorącą kąpiel. Spurgeon pomyślał ze złością, że zrobiłby dokładnie to samo, tyle tylko, że o jakieś dwadzieścia minut wcześniej.

Krótko po dziesiątej przyjechało kolorowe małżeństwo o nazwisku Sampson. Ich czteroletnie dziecko darło się wniebogłose, z porozcinanej dłoni kapąca mu krew. Spurgeon założył pół tuzina szwów, wcześniej dokładnie oczyściwszy ranę z kawałków szkła. Okazało się, że mały spadł z umywalki trzymając w ręce buteleczkę lekarstw.

- Co było w buteleczce? Kobieta zamrugła oczyma.

- Jakież stare lekarstwa. Nie pamiętam. Coś czerwonego. Miałam to od bardzo dawna.

- W takim razie mają państwo wyjątkowe szczęście. Mógł połknąć zawartość. A wtedy być może by już nie żył.

Kręcili głowami, jakby mówił do nich w obcym języku. Co za ludzie, pomyślał.

Pozostało mu jedynie wręczyć im fiolkę z suszonym korzeniem wymiotnicy i liczyć, że jeśli mały kiedykolwiek połknie coś trującego, nie zapomną mu go podać, żeby zwymiotował, zanim przyjedzie lekarz.

O ile w ogóle wezwą lekarza.

Tuż po północy policyjny patrol przywiózł panią Therese Donnelly, bardzo wstrząśniętą i przynajmniej równie wściekłą.

- Mam dla pana zagadkę, młody człowieku. Co powstanie, jeśli zrobić z Irlandczyka

gliniarza?

- Poddaję się - odparł Spur.

- Anglik.

Oficer u jej boku zachował kamienną twarz.

Pani Donnelly miała siedemdziesiąt jeden lat. Jej auto ze sporą prędkością wjechało na drzewo. Co prawda uderzyła się w głowę, ale uparcie utrzymywała, że czuje się świetnie. Co chwila podkreślała, że to dopiero jej trzeci wypadek w ponad trzydziestoosmioletniej karierze kierowcy.

- Dwa pozostałe miałam jeszcze w młodości, rozumie pan, a poza tym żaden z nich nie był z mojej winy. Mężczyźni, kiedy posadzi się ich za kółkiem, pokazują swoją prawdziwą naturę.

Wraz ze świętym oburzeniem roztaczała dookoła delikatne opary alkoholu.

- O, ja też mam coś dla pani - powiedział Spur, przypomniawszy sobie nagle kilka linijek z komiksu, który najprawdopodobniej czytał przed wielu laty. - Gdyby Irlandia zatoniła, co by pływało?

Zarówno policjant, jak i szacowna dama długo myśleli, lecz nie odezwali się ani słowem.

- Cork*[* Cork - gra słów: hrabstwo w Irlandii, lecz także po prostu korek (przyp. tłum.).]*

Aż krzyknęła z zachwyty.

- A co to takiego? Myjesz ją codziennie, ma cztery litery i zaczyna się na D?

Nad jej głową Spurgeon i policjant wymienili uśmiechy niczym potajemny uścisk ręki.

- Wcale nie, wy świntuchy! Odpowiedź brzmi: dłoń!

Czyżby starcze dzieciństwo, zastanawiał się. Była wystarczająco ożywiona, by przez całe badanie rzucać cierpkie uwagi i głośno protestować, co było dosyć niezwykle.

Zlecił rentgen czaszki i właśnie oglądał mokre jeszcze zdjęcia, kiedy zjawił się syn starszej pani. Arthur Donnelly był wyraźnie podenerwowany.

- Nic jej nie jest?

Zdjęcia nie wykazały żadnych uszkodzeń czaszki.

- Wygląda na to, że nie. Ale wydaje mi się, że raczej nie powinien pan jej pozwalać siadać za kierownicą.

- Wiem, wiem. Tylko że to chyba ostatnia rzecz, która sprawia jej przyjemność. Odkąd zmarł mój ojciec, jedyne, co ją bawi, to właśnie jazda samochodem do przyjaciółek.

Grają sobie w brydża i chyba odrobinę popijają.

Raczej odrobinę więcej niż odrobinę, pomyślał Spurgeon.

- Wydaje mi się, że pani Donnelly nic nie dolega, aczkolwiek powinna chyba spędzić tę noc w szpitalu na obserwacji.

Pani Donnelly zachowała kamienną twarz.

- Kto to jest głupiec? - spytała.

- Poddaję się - odrzekł Spurgeon bezradnie.

- To ktoś, kto nie rozumie, że po tym, co przeszłam, chcę spędzić noc we własnym łóżku.

- Proszę posłuchać - wtrącił jej syn. - Wiemy, jak sprawy się tutaj mają. Mój brat, Vinnie... zna pana Vincenta X. Donnelly'ego z Izby Reprezentantów, prawda?

- Niestety, nie.

Donnelly wyglądał na poirytowanego.

- No cóż, jest w zarządzie tego szpitala i jestem pewien, że zyczyłby sobie, żeby mama została wypisana.

- Zapewniam, że możemy zapewnić pańskiej matce właściwą opiekę, panie Donnelly - odparł Spurgeon.

- Do diabła z tym. Przecież wiemy, jak tutaj jest. Nie macie łatwego życia. I bez mojej matki pacjentów jest dość. Niech więc pan będzie taki miły i wypisze ją do domu. Obiecuję, że wezwiemy doktora Francisza Dalahanty'ego, który opiekuje się nią od trzydziestu lat. Jeżeli to potrzebne, wynajmiemy nawet pielęgniarki. Na tak długo, jak pan każe.

Spur zadzwonił do Meomartino, który niecierpliwie wysłuchał jego ustaleń.

- Poza paroma innymi sprawami mam na głowie zatrzymanie pracy serca - oświadczył Meomartino. - A muszę chociaż chwilę się zdrzemnąć. Naprawdę jestem ci tam koniecznie potrzebny?

W najlepszym wypadku było to milczące wotum zaufania, którego Spurgeon kurczowo się chwycił.

- Poradzę sobie - zapewnił, po czym wypisał starszą panią do domu, wreszcie czując się jak prawdziwy lekarz.

Reszta nocy upłynęła spokojnie. Zrobił wieczorny obchód, zmienił kilka opatrunków, zaordynował trochę leków, powiedział dobranoc staremu niesamowitemu budynkowi i nawet odpoczął przez pełne trzy godziny, a po dyżurze poszedł do siebie i spał aż do południa.

W drodze na lunch do stołówki nagle, niemal w pół kroku, rozmyślił się i nie zahaczając nawet o swój pokój, żeby zabrać kąpielówkę, wybiegł ze szpitala i pojechał na

Revere Beach.

Soni Cohen nie było, za to dziewczyna leżała w tym samym miejscu, w którym widział ją za pierwszym razem. Patrzyła, jak idzie w jej stronę w brązowych zamszakach pełnych piasku.

Wydawało mu się, że dostrzega jakiś dziwny błysk w jej oczach - może to wyraz skrywanego zadowolenia? - zaraz potem jednak spojrzała na niego, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

- Mogę się przysiąść? - spytał.

- Nie - odparła krótko.

Poczłapał ciężko w swoich pełnych piachu butach na kamieniste wysypisko dla samotnych wielbicieli, na którym rozłożył koc tamtego dnia. Kamienie okazały się rozgrzane, parzyły go przez bawełniane spodnie.

Siedział w milczeniu i obserwował ją. Z nieba lał się żar.

Dziewczyna starała się zachowywać tak, jakby była na plaży zupełnie sama, od czasu do czasu wstawiała i z niewymuszoną gracją szła do wody, pływała z przyjemnością, która sprawiała wrażenie szczerej, później wracała na stary wojskowy koc, by znowu wygrzewać się na słońcu.

Była to owa wczesna jesień, która czasami przybywa do Nowej Anglii prosto z tropików. Spur czuł, jak w palącym słońcu ze wszystkich porów na ciele płynie mu pot, który najpierw zmoczył krótko przystrzyżone kręcone włosy, potem zaczął spływać po policzkach niczym krople deszczu i sprawił, że ubranie przywarło mu do skóry.

Lunch przeszedł mu koło nosa. Około trzeciej głowę miał pustą i lekką, niczym węgiel przemieniający się w popiół w promieniach słońca. Oczy piekły go od własnej soli, a kiedy je otwierał, widział trzy dziewczyny poruszające się unisono, niczym wspaniała grupa baletowa. To okresowy zez, tłumaczył sobie, doceniając niewiarygodną skuteczność mięśni oka w normalnych warunkach.

Krótko po wpół do czwartej dziewczyna poddała się i uciekła jak tamtego pierwszego dnia. Tym razem jednak Spurgeon ruszył za nią.

Czekał przed przebieralnią, a kiedy wyszła w żółtej bawełnianej sukience z kocem i strojem kąpielowym pod pachą, zastąpił jej drogę.

- Posłuchaj - odezwał się. Zauważył, że się boi. - Proszę - ciągnął. - Nie jestem zbrojcem, alfonsem ani nikim w tym rodzaju. Nazywam się Spurgeon Robinson. Jestem zwykłym, spokojnym facetem, być może nawet nudziarzem, ale nie chcę ryzykować, że już cię nigdy więcej nie spotkam. A przecież nie ma nikogo, kto mógłby nas sobie przedstawić.

Ruszyła przed siebie.

- Będziesz tu jutro? - spytał idąc za nią. Nie odpowiedziała.

- Powiedz mi przynajmniej, jak się nazywasz.

- Nie jestem tą, której szukasz - odparła. Zatrzymała się i zwróciła w jego stronę, a jemu spodobał się wyraz nieustępliwej pogardy w jej oczach. - Tobie potrzebna jest jakaś rozrywkowa panienka, która zapewniłaby ci dreszczyk emocji w taki nudny dzień. A ja, mój drogi panie, nie zamierzam ci go zapewnić. Dlatego lepiej będzie, jeśli poszukasz sobie innej.

Następny raz raczyła się obejrzeć dopiero wtedy, kiedy znaleźli się obok schodów prowadzących na peron kolejki naziemnej.

- Powiedz mi przynajmniej, jak masz na imię. Proszę.

- Dorothy Williams.

Stał i patrzył, jak wspina się po stromych schodach, co nie było postępkiem zbyt przyzwoitym. Nie był jednak w stanie oderwać od niej oczu, odwrócił się, kiedy wrzuciła żeton do kołowrotka i zniknęła za drzwiami obrotowymi.

Wkrótce potem pociąg, niczym trzęsący ziemią smok, przesłonił na chwilę słońce, a kiedy odjechał, odjechała także ona.

Słońce wciąż jeszcze świeciło, lecz upał minął, ponad wszelką wątpliwość na dobre. Spur jednak miał na sobie kąpielówki i jej widok wcale go nie zaskoczył. Przywitali się trochę nieśmiało, ona nie sprzeciwiła się ani słowem, kiedy rozłożył swój koc obok jej, tam gdzie piasek był najmiększy.

Zaczęli rozmawiać.

- Przez cały tydzień wypatrywałem za tobą oczy.

- Byłam w szkole. Dopiero wczoraj miałam pierwszy wolny dzień.

- Jesteś studentką?

- Nauczycielką. W gimnazjum plastycznym. Siódme i ósme klasy. A ty? Jesteś muzykiem?

Skinął głową, doszedł bowiem do wniosku, że to wcale nie kłamstwo, a na razie nie chciał za bardzo zagłębiać się w szczegóły. Wolał najpierw dowiedzieć się jak najwięcej o niej.

- A ty? Malujesz, rzeźbisz w kamieniu, a może w glinie? Pokiwała głową.

- To znaczy? W czym się specjalizujesz?

- We wszystkim i w niczym. Jestem niezła we wszystkim, ale w niczym wybitna. I dlatego uczę. Gdybym miała prawdziwy talent, taki jak ty masz do gry, rzuciłabym się na głęboką wodę.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- To amatorskie podejście. Wy wszyscy piekielnie utalentowani artyści umierajcie sobie za swoją twórczość, a my, nieboracy, będziemy sobie spokojnie patrzeć.

- Nie masz prawa nazywać mnie hipokrytką. Nawet jej niezadowolenie sprawiło mi przyjemność.

- Wcale tak cię nie nazywam. Ale moje pierwsze wrażenie jest takie, że nie należysz do dziewczyn, które chętnie podejmują ryzyko.

- Nie dziewczyna, tylko ciotka stara panna, tak?

- Nie, do licha. Niczego takiego nie powiedziałem.

- Ale ja właściwie jestem czymś w rodzaju starej panny.

- Bardzo starej?

- W listopadzie skończyłam dwadzieścia cztery lata. To go zdziwiło; była od niego młodsza tylko o rok.

- I doszłaś do wniosku, że już po zawodach, że jesteś zbyt pomarszczona i zwiędła na małżeństwo?

- Och, wcale nie chodzi o małżeństwo. Mówię raczej o sposobie myślenia. Staję się coraz bardziej konserwatywna.

- Kolorowe dziecko nie ma prawa do konserwatyzmu.

- Czy jesteś bardzo zaangażowany politycznie?

- Dorothy, jestem czarny - odparł. Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu; wyglądała na zadowoloną, albo z tego, albo z jego odpowiedzi.

Zajął się budowaniem zamków z piasku, a ona uklękła obok i wykopała głęboki dół, żeby mieli skąd brać mokry piasek, po czym zaczęła rzeźbić twarz, patrząc na niego i długimi palcami gładząc piach w taki sposób, że kości Spurgeona natychmiast zmieniły się w galaretę. Choć jeśli chodzi o talent, chyba miała rację, pomyślał patrząc na piaskową twarz, która nie była do niego zbyt podobna.

W końcu, kiedy byli brudni od piachu, zerwała się na nogi bez żadnego ostrzeżenia i pobiegła do wody. Ruszył za nią, smagany przez zimny wiatr, by po chwili stwierdzić z prawdziwą ulgą, że woda pokryła jego ciało niczym delikatny jedwab, cieplejszy od chłodnego powietrza. Płynęła prosto przed siebie, Spur, wymachując energicznie nogami i ramionami, starał się za nią nadążyć. Już wydawało mu się, że będzie musiał się poddać, kiedy Dorothy zawróciła, zwolniła tempo, później zatrzymała się i ustawiła w pionie, poruszając delikatnie rękoma i nogami.

- Świetnie pływasz - wydyszał z uznaniem, czując bolesne klucie w płucach.

- Mieszkamy blisko jeziora. Spędzam w wodzie dużo czasu.

- Ja nauczyłem się pływać dopiero w wieku szesnastu lat. Na Riwierze. - Zauważył, że potraktowała te słowa jako żart. - Naprawdę. Mówię poważnie.

- Co tam robiłeś?

- Nie znałem swojego ojca. Był marynarzem, pływał na tankowcach. Moja matka ponownie wyszła za mąż, jak miałem dwanaście lat, za wspaniałego człowieka, wuja Calvina. Ilekroć pytałem o swojego prawdziwego ojca, odpowiadali mi tylko, że nie żyje. Kiedy skończyłem szesnaście lat, postanowiłem spróbować spojrzeć na świat tak jak on. Teraz wydaje mi się to trochę głupie, ale wtedy chyba się łudziłem, że może w ten sposób zdołam go odnaleźć. Albo przynajmniej zrozumieć.

Unosiła się w wodzie bez wysiłku, zanurzona aż po pachy. Atlasowe brązowe ramiona nad powierzchnią wody wyglądały przecudownie.

- To wcale nie jest głupie - odparła.

Nad jej górną wargą, tuż nad różem kształtnych ust, pojawiła się biała plamka po słonej morskiej wodzie, która wyschła w promieniach słońca. Zdecydowanie wolałby unicestwić ją językiem, wyciągnął jednak mokry kciuk i delikatnie przejechał po ustach Dorothy.

- Sól - wyjaśnił, kiedy cofnęła się nerwowo. - No cóż, nie udało mi się zamustrować na tankowiec. I moje szczęście. Ale zełgałem, że mam skończone osiemnaście lat, i przyjęli mnie na Ile de France jako pianistę. Pierwszej nocy w Hawrze była okropna mgła, snułem się po ulicach, odpowiadałem „nie” na zaczepki dziwek i próbowałem sobie wyobrazić, że jestem starszy, twardszy, a w Stanach czeka na mnie żona z małym synkiem. Oczywiście nic mi z tego nie wyszło. Nie potrafiłem się postawić na miejscu ojca, nie umiałem sobie wyobrazić, jak patrzył na świat.

- Boże, to najsmutniejsza opowieść, jaką w życiu słyszałam.

Postanowił wykorzystać jej smutek, podpłynął do niej niezgrabnie niczym lew morski i zbliżył twarz ku jej twarzy. Już miała uciec, lecz nagle rozmyśliła się, położyła mu dłonie na ramionach i na krótką chwilę dotknęła ustami jego ust. Był to pocałunek smakujący morzem, pozbawiony pasji, za to pełen czułości.

- Pamiętam mnóstwo dużo smutniejszych opowieści - rzekł i ponownie chciał ją pocałować, tym razem jednak pokazała równe białe zęby, oparła stopy na jego torsie i mocno się odepchnęła. Nie był to w żadnym razie kopniak, aczkolwiek wystarczyło, by Spurgeon znalazł się pod wodą, którą naturalnie natychmiast się zakrztusił. Kiedy przestał kaszleć, doszli do wniosku, że czas wyjść z wody.

Dopłynawszy do brzegu, trzęśli się z zimna i mieli gęsią skórę. Spurgeon zaproponował Dorothy, że wytrze ją ręcznikiem, lecz ona grzecznie odmówiła, po czym ruszyła biegiem wzdłuż brzegu, żeby się rozgrzać. Pobiegł za nią i niemal natychmiast się przekonał, że wygląda jeszcze bardziej porażająco, niż kiedy idzie. Przyjemność ta skończyła się stanowczo za szybko. Wrócili na koc, a Dorothy otworzyła coś, co wydawało mu się torbą z robótką, i wyjęła lunch, którym solidarnie się z nim podzieliła.

- Ale nadal nie wiem, jak to się stało, że nauczyłeś się pływać - odezwała się po chwili.

- Ach - odparł połykając sałatkę z tuńczyka i ryżu.

- Przez całe lato pływałem z Manhattanu do Southampton i dalej do Hawru, skąd po dwóch dniach postoju wracaliśmy tą samą trasą. To był luksusowy statek, ale ja przez cały czas widziałem tylko wodę. Bałem się nawet wybrać na nocną przejażdżkę łodzią do Paryża. Aż wreszcie, mniej więcej o tej porze roku, statek zacumował w Hawrze na tygodniowy przegląd. Był tam młodszy oficer, niejaki Dusseault. Jego żona prowadziła luksusowy butik w Cannes. Zaproponował, że mnie tam zabierze, pod warunkiem że będę prowadził z nim na zmianę jego peugeota. Podróż zajęła nam trzydzieści godzin. Kiedy on zabawiał się z żoną, ja siedziałem na plaży i gapilem się na dziewczyny w bikini. Ale szybko zaadoptowała mnie banda francuskich nastolatek. I właśnie jedna z nich nauczyła mnie pływać. W ciągu trzech dni.

- Kochałeś się z nią? - spytała Dorothy po chwili.

- Ta dziewczyna była biała, a ja miałem w głowie żywe wspomnienia z Amsterdam Avenue. Wydaje mi się, że wtedy chyba prędzej dałbym sobie poderznąć gardło.

- A teraz?

- Teraz? - Przez wiele lat mała Francuzeczka była centralnym obiektem jego fantazji, zarówno erotycznych, jak i towarzyskich. Bez końca zadawał sobie pytanie, co by się stało, gdyby tam wtedy został, lepiej ją poznał, zdobył jej serce, wziął z nią ślub i stał się Europejczykiem. Czasami to nierealne marzenie napełniało go głębokim smutkiem i tęsknotą, zwykle jednak dochodził do wniosku, że taka decyzja musiałaby się skończyć koszmarną katastrofą. Z prześlicznej dziewczyny wyrosłaby zapewne stara jędza, ludzie prędzej czy później wyleczyliby się z daltonizmu, a do rajy wpełzłby wąż. - Teraz... wydaje mi się, że zadajesz zbyt wiele pytań.

Chciał zaprosić ją na kolację, ale odmówiła.

- Rodzice na mnie czekają - wyjaśniła.

- W takim razie odwiozę cię do domu - zaproponował.

- To za daleko - odparła, lecz nalegał. Na widok furgonetki roześmiała się. - Ty nie jesteś żadnym muzykiem, tylko dostawcą.

- Lider zespołu to rzeczywiście w pewnym sensie dostawca. Wozi basistę, sekcję dętą, wyjca i jazzmana z kompletnym zestawem perkusyjnym.

Milczała.

- Co się stało? - spytał.

- Nic.

- Sprawiasz wrażenie przestraszonej.

- No bo niby skąd mam wiedzieć, kim naprawdę jesteś? - wybuchnęła. - Facetem, któremu dałam się poderwać na publicznej plaży. Przecież możesz być dealerem albo jeszcze gorzej.

- No pewnie - roześmiał się w głos. - Zbieram to, co morze wyrzuci na brzeg, i tylko z tego żyję. Zobaczysz, uprowadzę cię na bezludną wyspę i będę ci wplatał we włosy liście i kwiaty czerwonego uroczynu.

Już miał jej powiedzieć, że jest lekarzem, lecz coraz lepiej się bawił, a jego spontaniczna radość sprawiła, że Dorothy odzyskała pewność siebie i dobry humor, co więcej, bardzo się rozgadała. Samo jej towarzystwo wystarczało Spurgeonowi do szczęścia i zanim się obejrzał, już jego stary volks wjeżdżał do miejscowości o nazwie Natick. Dom Dorothy znajdował się zaledwie parę minut od płatnej autostrady i był to bardzo zadbane bungalow z kamieni, kontrastujących z bielą sąsiednich domów. Matka Dorothy okazała się chudą, drobną kobietą o ostrych rysach, które wskazywały na dawno zapomniany gwałt dokonany przez białego. Ojciec miał skórę brązową i był spokojnym człowiekiem, wyglądającym na kogoś, komu cały wolny czas zajmują trawnik i żywopłot oraz rzucanie niespokojnych spojrzeń na trawniki i żywopłoty anglosaskich i semickich sąsiadów.

Rodzice uścisnęli niepewnie jego dłoń, byli jednak wyraźnie zadowoleni, że córka przyprowadziła kogoś do domu. Było tam także dziecko, trzyletnia dziewczynka o imieniu Marion, kręconych czarnych włosach i skórze koloru kawy z mlekiem. Spurgeon mimowolnie błędząc wzrokiem po ich twarzach, zauważył wyraźne podobieństwo rysów.

To pewnie jej dziecko, pomyślał.

Pani Williams miała wszakże intuicję.

- Mówimy na nią Kropka - powiedziała - wie pan, dlatego że jest taka malutka. To córka Janet, młodszej siostry Dorothy.

Zaprowadzili go do altany z tyłu domu, zacienionego miejsca pachnącego winoroślą, za to rojącego się od komarów. Podczas gdy Spurgeon prowadził z nimi beznadziejną walkę,

pan Williams nalał mu piwa, w którego produkcji osobiście uczestniczył.

- Kontrola jakości. Sprawdzam wyrób na kolejnych etapach produkcji. Przeprowadzam testy chemiczne i bakteriologiczne na każdej partii poddawanej fermentacji. - Początkowo pracował w browarze jako sprzątacze, potem przez sześć lat był spedytorem, zwierzał się Spurgeonowi, podczas gdy żona i córka zachowywały milczenie, zapewne rezultat wieloletniej praktyki. Zanim został kontrolerem jakości, musiał zdać długą serię egzaminów. No i na koniec najważniejsze:

- Mam pod sobą trzech białych!

- To wspaniale - odrzekł Spurgeon.

- Wspaniała jest nauka - stwierdził pan Williams. - I dlatego cieszę się, że nasza Dorothy została nauczycielką i robi co może dla młodych ludzi. - Przekrzywił głowę. - A ty czym się zajmujesz, młody człowieku?

Dziewczyna i Spurgeon odezwali się równocześnie.

- Jest muzykiem.

- Jestem lekarzem.

Rodzice Dorothy byli wyraźnie skonsternowani.

- Jestem lekarzem - wyjaśnił Spur. - Stażystą na oddziale chirurgii w szpitalu Suffolk County General.

Patrzyli na niego - rodzice z zachwytem, dziewczyna z nienawiścią.

- Jaki lubisz paj z kurczaka? - spytała pani Williams, poprawiając fartuch.

Lubił właśnie taki: gorący, parujący, chrupiący i zawierający więcej kawałków kurczaka niż warzyw, z młodymi kabaczkami i małymi ziemniakami, które pochodziły zapewne z ogrodu warzywnego za domem. Na deser był kompot z rabarbaru i jabłek, po nim mrożona herbata z cytryną. Kiedy damy sprzątały ze stołu, pan Williams nastawił starą płytę Caruso, mocno porysowaną, mimo to ciekawą.

- Potrafił głosem wprawić szklankę w drżenie - mówił pan Williams. - Przed laty, zanim jeszcze zostałem kontrolerem jakości, od czasu do czasu dorabiałem sobie w weekendy. W którąś sobotę sprzątałem w warsztacie we Framingham, kiedy jakaś snobka wyniosła na śmietnik wielką stertę płyt Caruso. „Proszę pani”, mówię do niej, „wyrzuca pani na śmietnik część swojego dziedzictwa kulturowego.” Ale ona tylko spojrzała na mnie krzywo, więc po prostu zapakowałem te płyty na tylne siedzenie swojego auta.

Słuchali głosu wielkiego tenora, lekka jak piórko Kropka siedziała Spurgeonowi na kolanach, z kuchni dobiegały odgłosy mycia naczyń. Kiedy skończyła się płyta Caruso, Spur przewertował stertę płyt w poszukiwaniu jakiegoś dixie albo czegoś współczesnego, niczego

wszakże nie znalazł. W pokoju stało pianino, zniszczone i pomalowane, aczkolwiek całkiem przyzwoicie nastrojone.

- Kto gra? - zainteresował się.

- Dorothy trochę się uczyła. Panie właśnie wróciły z kuchni.

- Wzięłam dokładnie osiem lekcji. Potrafię zagrać od początku do końca trzy piosenki dziecięce i jeszcze kilka albo kilkanaście fragmentów. Za to Spurgeon gra jak zawodowiec - dodała kąśliwie.

- Och, może zagrasz nam jakieś hymny? - poprosiła pani Williams.

A co mi tam, pomyślał. Usiadł na obrotowym stołku i zagrał najpierw „Wykradnij się”, a później „Zstąp, Mojżeszu”, „Stary surowy krzyż” i „Panie mój, cóż za poranek”. Nikt z obecnych nie miał dobrego głosu, a ten dureń, co wymyślił bzdurę, że wszyscy czarni mają wrodzone wyczucie rytmu, powinien był sobie posłuchać śpiewu ojca Dorothy. Jednakże Spurgeon słuchał dziewczyny nie tak, jak słuchałby profesjonalistki, ale jak człowiek słuchający drugiego człowieka; jej cienki, pełen emocji głos wtórujący matce i ojcu sprawił, że poczuł się jak ryba, która bawiła się wabikiem i nagle uświadomiła sobie, że połknęła haczyk.

Powiedzieli sporo ciepłych słów na temat jego gry, on wydusił z siebie trochę hipokryzji o ich śpiewie, później rodzice poszli położyć małą do łóżka i przygotować kawę. Kiedy zostali sami, Dorothy zaczęła traktować go pogardliwie.

- Dlaczego musiałeś skłamać?

- Nie skłamałem.

- Powiedziałeś im, że jesteś lekarzem.

- Bo jestem.

- Tak? A mnie mówiłeś, że jesteś muzykiem.

- Jestem. Zanim zostałem lekarzem, byłem muzykiem. Ale teraz jestem lekarzem.

- Nie wierzę ci.

- Twoja strata.

Ojciec Dorothy wrócił, po chwili matka wniosła tacę z kawą. Popijali kawę i jedli chleb bananowy. Kiedy Spurgeon spostrzegł, że na dworze zrobiło się ciemno, oznajmił, że na niego już czas.

- Czy chodzisz do kościoła? - spytała matka Dorothy.

- Nie, proszę pani. W ciągu ostatnich pięciu lat byłem w kościele nie więcej niż pięć albo sześć razy.

Pani Williams przez chwilę milczała.

- Podoba mi się, że powiedziałeś prawdę - odezwała się w końcu. - A kiedy już zdarzy ci się pójść, do jakiego kościoła idziesz?

- Moja matka jest metodystką.

- My jesteśmy unitarianami.

- Gdzieś słyszałem, że unitarianin to ktoś taki, kto wierzy w Boga Ojca, braterstwo ludzi i sąsiedztwo Bostonu.

Henry Williams dosłownie zrywał boki ze śmiechu, Spurgeon zauważył jednak, że pani Williams zacisnęła usta, i zdał sobie sprawę, że zachował się jak skończony dureń.

- Przez najbliższe dwie niedziele będę miał dyżur w szpitalu, ale za trzy tygodnie chętnie usiądę w kościele obok Dorothy, oczywiście jeśli to zaproszenie wciąż jest ważne.

Spostrzegł, że oboje rodzice utkwili wzrok w córkę.

- Ja nie chodzę do kościoła - rzekła wyraźnie - tylko do Boston Tempie Eleven.

- Jesteś muzułmanką?

- Nie - odparła szybko jej matka. - Po prostu bardzo interesuje się tym ruchem.

- Niektóre rzeczy w tej religii wydają się całkiem sensowne - stwierdził Henry Williams. - To nie ulega wątpliwości.

Spurgeon podziękował im za gościnę i pożegnał się. Dorothy odprowadziła go do wyjścia.

- Masz bardzo miłych rodziców - powiedział. Oparła się o drzwi i zamknęła oczy.

- Moi rodzice to Wuj Tom i jego kobieta. A ty - otworzyła oczy i spojrzała na niego - okręciłeś ich sobie wokół palca tak, że bez zmrużenia powiek jedzą ci z ręki. Jak jakiś szarlatan. Mnie mówisz o sobie jedno, a im coś zupełnie innego.

- Pójdiesz ze mną na plażę w następny weekend?

- Nie - odparła.

- Uważam, że jesteś śliczną dziewczyną. Ale nie będę cię błagał. Dziękuję, że zaprosiłaś mnie do siebie.

Zdążył dojść do bramy, kiedy zatrzymał go jej głos.

- Ja też nie będę cię błagać. Przyjdź przed lunchem i przynieś ciepły sweter. Wybierzemy się na spacer. - Uśmiechnęła się. - Prawie odmroziłam sobie tyłek czekając na ciebie na tej żaloznej plaży.

W szpitalu nic się nie zmieniło. W powietrzu wisiał ten sam, dobrze mu znany ciężki odór ubóstwa. Winda skrzypiała i trzeszczała niemiłosiernie, wlokąc się w żółwym tempie do góry. Pod wpływem jakiegoś impulsu wysiadł na czwartym piętrze i zajrzał na oddział. Brakowało tam personelu, ponieważ niektóre pielęgniarki dopadł wirus Coxsackie, ten sam,

który położył do łóżek Pottera i paru innych lekarzy.

- Proszę - rozległ się czyjś głos.

Za zaciągniętą zasłoną pewna bardzo stara Polka o kończynach chudych jak patyki i pokrytych ropiejącymi ranami leżała dogorywając powoli w okropnym fetorze wydzielin własnego ciała. Oczyszczył ją, umył najdelikatniej jak potrafił, podał półtorej tabletki na otępienie, poprawił cewnik, podregulował kroplówkę i zostawił, by umierała dalej, tyle że w męczarniach nieco mniejszych niż dotychczas.

Kiedy w drodze powrotnej do windy mijął gabinet Silverstone'a, drzwi nagle się otworzyły.

- Spurgeon.

- Witam, szefie.

- Zajrzyj do mnie na słówko, dobrze?

Był teraz w lepszym nastroju. Prawie zapomniał o staruszce, której życie właśnie zanikało, za to przypomniał sobie dziewczynę, której życie dopiero rozkwitało.

- Cóż takiego się stało?

- Miałaś na dyżurze pacjentkę z wypadku. Nazywała się Therese Donnelly.

Pamiętasz?

Paniusia od zagadek. Poczuł w piersiach lekkie ukłucie niepokoju.

- Pewnie że tak. Pamiętam.

- Sześć godzin temu wróciła do szpitala. Teraz już ukłucie stało się bardzo wyraźne.

- Chcesz, żebym do niej zajrzał? Adam patrzył mu prosto w oczy.

- Byłoby dobrze, gdybyśmy jutro rano obaj zajrzeli do prosektorium i popatrzyli patologowi przez ramię.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Adam Silverstone.

W świecie Adama Silverstone'a patologowie cieszyli się sporym szacunkiem, choć nie budzili ani krzty zazdrości. Wystarczająco często zdarzało mu się wykonywać ich pracę, by nie miał żadnych wątpliwości, że wymaga ona wiedzy naukowca oraz żyłki detektywa, z emocjonalnego punktu widzenia natomiast nie potrafił pojąć, jak to możliwe, że człowiek wybiera taką drogę, zamiast praktykować medycynę na żywych.

Pomimo upływu lat wciąż szczerze nienawidził sekcji zwłok.

Chirurg poznawał ludzkie ciało jako cudowną mięsną maszynę, pokrytą gustowną skórą powłoką. Jako całość pulsującą rytmem różnorodnych procesów. Jako soki i włókna, zdumiewającą złożoność owej cudownej substancji falującej życiem i nieustannymi zmianami. Chemikalia reagują na enzymy; jedne komórki zastępują inne, czasami w sposób przestępczy; mięśnie ciągną dźwignie, a kończyny poruszają się w stawach; pompy, zawory, filtry, komory spalania, sieci neuronowe skomplikowane bardziej niż najbardziej złożony komputer - wszystko to pracuje, podczas gdy lekarz stara się przewidzieć potrzeby całego zintegrowanego organizmu.

Patolog natomiast pracuje na przedmiotach w stanie rozkładu, w których nic już nie funkcjonuje.

Wszedł doktor Sack, ponury i marzący jedynie o porannej kawie.

- Cóż pana tutaj sprowadza, doktorze? - przywitał Adama. - Głód wiedzy? Chyba nie była pańską pacjentką?

Zaparzył sobie kawę w dużym zielonym i nieco wyszczerbionym kubku z napisem MAMA.

- Nie, ale leżała na moim oddziale. Doktor Sack burknął coś pod nosem.

Kiedy dopił ostatni łyk, weszli za nim do wyłożonej białymi kafelkami sali. Na stole leżało ciało pani Donnelly, obok czekały przygotowane narzędzia.

Adam rozejrzał się wokół z uznaniem.

- Musi pan mieć świetnego pomocnika - stwierdził.

- Zgadza się - odparł doktor Sack. - Pracuje ze mną od jedenastu lat. Zna się pan na tej robocie?

- Na studiach pracowałem jako pomocnik patologa. W Pittsburghu.
- U Jerry'ego Lobsenza? To był mój stary przyjaciel, świeć Panie nad jego duszą.
- Mój również.

Doktor Sack nie spieszył się z rozpoczęciem sekcji. Siedział na jedynym krześle i podczas gdy oni cierpliwie czekali, czytał powoli i uważnie historię choroby.

W końcu wstał i podszedł do ciała. Ujął głowę i zaczął obracać nią na boki.

- Doktorze Robinson - odezwał się po chwili. - Pozwoli pan tutaj?

Spurgeon zbliżył się, Adam stanął obok niego. Doktor Sack ponownie poruszył głową denatki. Martwa kobieta wyglądała tak, jakby uparcie czemuś zaprzeczała..

- Słyszysz pan?

- Tak - odparł Spurgeon. Adam także usłyszał cichy zgrzyt.

- Co to takiego? - spytał.

- Wkrótce się przekonamy - odparł doktor Sack. - Pomóżcie mi ją przewrócić. Ale coś mi się wydaje, że to złamanie zęba kręgu obrotowego - zwrócił się do Spurgeona. - Krótko mówiąc, nieszczęsna starowinka złamała sobie szyję, kiedy przywaliła głową o kierownicę.

- Podczas badania nie skarżyła się na ból - odparł Spurgeon. - Nic ją nie bolało.

Doktor Sack wzruszył ramionami.

- Wcale nie musiało boleć. Miała stare, kruche i łatwo łamliwe kości. A przecież ząb obrotnika to maleństwo, drobny wyrostek na drugim kręgu szyjnym. Jej syn mówił, że wczoraj wieczorem czuła się świetnie, zjadła kolację z apetytem, a było to zaledwie godzinę przed zgonem. Położyli ją do łóżka, pod plecy podłożyli trzy poduszki. Kiedy zasnęła, głowa opadła jej przypuszczalnie do tyłu, a obrzęk i częściowe skrzywienie głowy sprawiły, że odłamany fragment wbił się w rdzeń, powodując niemal natychmiastowy zgon.

Przeprowadził laminektomię, rozcinając skórę z tyłu szyi, aby odsłonić kręgosłup szyjny. Z wprawą ciął czerwone mięśnie oraz białawe więzadła.

- Widzi pan opony rdzenia, doktorze Robinson? Spurgeon skinął głową.

- Wyglądają tak samo jak błony otaczające mózg. - Czubkiem palca w gumowej rękawiczce oraz końcem skalpela przytrzymał rozcięcie tak, aby było widać obszar krwotoku oraz rdzeń zgnieciony przez kawałek kości, maleńkiego roznosiciela śmierci.

- No i mamy go - odezwał się radośnie. - Nie zlecił pan prześwietlenia szyi, doktorze Robinson?

- Nie.

Doktor Sack odął wargi i uśmiechnął się szeroko.

- Sądzę, że następnym razem będzie pan o tym pamiętał.

- Tak - odrzekł Spurgeon.

- Połóżmy ją na plecy - polecił doktor Sack i zwrócił się do Silverstone'a. - A teraz zobaczymy, ile nauczył pana stary Jerry. Niech pan to za mnie dokończy.

Bez chwili wahania Adam przyjął skalpel i wykonał nad mostkiem głębokie nacięcie w kształcie litery Y.

Kiedy po paru minutach uniósł wzrok, dostrzegł w oczach doktora Sacka wyraz uznania, jednakże twarz Spurgeona, spięta i ponura, sprawiła, że stracił dobry humor. Stażysta wpatrywał się w skalpel, lecz to, co teraz widział, znajdowało się daleko od grupy osób stojących wokół stołu.

Adam współczuł Spurgeonowi, a jednocześnie zdawał sobie sprawę, że otępiająca świadomość wyłącznej odpowiedzialności za śmierć pacjenta to swoista gorgona tej profesji, która prędzej czy później dopada każdego lekarza, i czuł, że lepiej będzie pozwolić koledze uporać się z nią po swojemu.

Poza tym miał dość własnych problemów w laboratorium.

Owczarek niemiecki Wilhelm, pierwszy pies, któremu zaordynował dużą dawkę imuranu, zareagował niemal identycznie jak mała Susan Garland, i po trzech dobach zwierzę zdechło w wyniku infekcji.

Z kolei suka Harriet, której podał minimalną dawkę środka immunosupresyjnego, odrzuciła przeszczepioną nerkę na dzień przed śmiercią Wilhelma.

Zoperował wiele psów. Część była stara i brzydka, inne ledwo dorosłe i tak piękne, że musiał bardzo wysilić wolę, żeby zapomnieć o szalenie oryginalnej kampanii prasowej prowadzonej przez przeciwników doświadczeń na zwierzętach, którzy dla ich ochrony gotowi byli poświęcić życie dzieci. W kolejnych doświadczeniach zmniejszał dawki maksymalne i zwiększał minimalne, prowadząc drobiazgowo notatki w poplamionym kawą zeszyście doktora Kendera.

U trzech psów po dużych dawkach rozwinęła się infekcja, w wyniku której zdechły.

Cztery zwierzęta, którym podał mniejsze dawki, odrzuciły przeszczepione nerki.

Kiedy zawęził pole wyboru, stało się jasne, że zakres dawki skutecznej i zarazem bezpiecznej jest niezwykle wąski. Po jego jednej stronie znajdowało się odrzucenie przeszczepu, po drugiej śmierć w wyniku infekcji.

Przeszedł do badań nad innymi lekami. Zakończył doświadczenia na dziewięciu środkach, kiedy doktor Kender zaprosił Peggy Weld na serię badań przedoperacyjnych.

Kender uważnie przestudiował notatnik z laboratorium. Wspólnie z Adamem porównali masę psów z masą człowieka i ustalili proporcjonalne dawki leku.

- Którego środka immunosupresyjnego zamierza pan użyć w przypadku pani Bergstrom? - spytał Adam.

Kender nie odpowiedział, tylko najpierw strzelił z palców, a potem pociągnął się za ucho.

- A ty którego byś użył? Adam wzruszył ramionami.

- Pośród środków, które dotychczas przebadalem, nie ma chyba żadnego panaceum. Wydaje mi się, że cztery albo pięć w ogóle się nie nadaje. Dwa, powiedziałbym, są równie skuteczne jak imuran.

- Ale nie lepsze?

- Moim zdaniem, nie.

- Zgadzam się z tobą. Twoje badania to mniej więcej dwudzieste z kolei w naszym szpitalu. Dziesięć albo dwanaście przeprowadziłem osobiście. Nasz zespół transplantologiczny jest przynajmniej obyty z imuranem, dlatego pozostaniemy przy nim.

Adam pokiwał głową.

Umieścili transplantację w planie zabiegów na czwartkowy poranek. Pani Bergstrom miała zostać zoperowana na sali operacyjnej numer 3, panna Weld w czwórcę.

Był wypłacalny, brał więc mniej nocnych dyżurów, choć i tak ciągle nie dosypiał, teraz głównie z powodu Gaby Pender. Chodzili po muzeach, byli na koncercie symfonicznym, a także na kilku przyjęciach. Któregoś wieczora zostali w jej mieszkaniu i pieścili się coraz namiętniej, ale niestety współlokatorka Gaby wróciła do domu. Kiedy nie mogli się spotkać, rozmawiali przez telefon.

Gdzieś na początku listopada Gaby rzuciła niedbale, że musi jechać na cztery dni do Vermont, i spytała, czy nie miałby ochoty jej towarzyszyć. Przez chwilę zastanawiał się nad implikacjami tej propozycji, później nad doborem słów.

- Dlaczego mówisz, że musisz?

- Bo muszę odwiedzić ojca.

- Aha.

Czemu nie, pomyślał. Co prawda właśnie w czwartek miał uczestniczyć w transplantacji nerki pani Bergstrom, lecz przecież mogli wyruszyć wieczorem.

Przysługiwało mu wprawdzie jedynie trzydzieści sześć godzin wolnego, ale jakoś dogadał się z Meomartino i dzięki temu miał tyle czasu, ile potrzebował.

Wczesnym rankiem w czwartek Miriam Parkhurst i Lewis Chin operowali pacjenta z wypadku na sali numer 3. Był to jakiś piekielnie brudny zabieg, co oznaczało, że salę trzeba będzie starannie wyszorować, zanim będzie można wwieźć panią Bergstrom. Adam czekał na

korytarzu w towarzystwie Meomartino, obok stały dwa wózki, na których leżały bliźniaczki, naszpikowane środkami uspokajającymi, ale przytomne.

- Peg? - odezwała się sennie Melanie Bergstrom. Peggy Weld uniosła się na łokciu i spojrzała na siostrę.

- Szkoda, że nie możemy zrobić chociaż jednej próby.

- Będziemy improwizować. Zobaczysz, poradzimy sobie.

- Peg?

- Mhm?

- Tyle czasu tu jesteśmy, a ja ci jeszcze nie podziękowałam.

- Więc lepiej teraz nie zaczynaj, bo chyba tego nie zniosę - odparła oschle Peggy Weld, po czym szeroko się uśmiechnęła. - Pamiętasz, jak w dzieciństwie prowadziłam cię do ubikacji? No więc teraz w pewnym sensie robię to samo. Prowadzę cię do ubikacji.

Rozweselone Pentothalem, dostały dzikiego ataku śmiechu, który niósł się po cichym korytarzu.

- Jeśli coś mi się stanie, zaopiekuj się Tedem i dziewczynkami, dobrze? - odezwała się Melanie Bergstrom.

Siostra nie odpowiedziała.

- Obiecujesz, Peg?

- Och, zamknij się, ty wariatko.

Drzwi sali operacyjnej otworzyły się na oścież i na korytarz wyszło dwóch sanitariuszy, popychając kopniakami duże wiadra na kółkach.

- Należy do pana, doktorze - powiedział jeden z nich.

Adam skinął głową, po czym razem z Meomartino wwieźli panią Bergstrom do środka.

- Peg? - odezwała się raz jeszcze.

- Kocham cię, Mellie - odparła Peggy Weld. Płakała, kiedy Adam transportował ją na salę. Nie czekając na instrukcje grubas wpakował jej następny zastrzyk, zanim zdążyli przenieść ją na stół.

Adam poszedł się wyszorować. Kiedy wrócił, anestezjolog siedział już przy jej głowie, bawiąc się swoimi tarczami. Rafę Meomartino, którego przydzielono na drugą salę, stał obok Peggy Weld, delikatnie ocierając jej wilgotną twarz kawałkiem sterylnej gazy.

Wszystko poszło jak po maśle. Peggy Weld miała bardzo zdrowe nerki. Adam asystował Lew Chinowi, kiedy ten wycinał jedną z nich, a następnie poddał ją perfuzji i poszedł na sąsiednią salę, żeby zobaczyć, jak Meomartino będzie pomagał Kenderowi w

transplantacji.

Reszta dnia minęła spokojnie, bez żadnych niespodziewanych wydarzeń. Adam bardzo się ucieszył na widok Gaby, która zgodnie z umową przyjechała po niego wczesnym wieczorem.

W drodze prawie nie rozmawiali. Krajobraz był bardzo przyjemny na swój surowy, jesienny sposób, wkrótce jednak zapadł zmrok i za oknami nie było już widać nic oprócz przemykających cieni; w środku, w przyćmionym świetle deski rozdzielczej majaczyła sylwetka Gaby, śliczna i za każdym razem trochę inna, kiedy wyprzedzali jakieś rozsądniej prowadzone auto albo hamowali, żeby nie wpaść na ciężarówkę. Jechała stanowczo za szybko; pędzili, jakby ścigali się z diabłem albo przynajmniej z Lyndonem Johnsonem.

Zauważyła, że na nią patrzy, i uśmiechnęła się.

- Patrz na drogę - powiedział.

Kiedy znaleźli się na pogórz, temperatura spadła. Adam opuścił szybę i napawał się aromatem jesieni w powietrzu, który jakby spływał ze śliwkowych wzgórz, aż w końcu Gaby poprosiła, żeby zasunął szybę, ponieważ bała się, że się przeziębi.

Ośrodek jej ojca nazywał się Pender's North Wind. Była to bardzo duża wiejska posiadłość, która pamiętała lepsze czasy. Gaby skręciła, przejechała pomiędzy dwoma kamiennymi rzygaczami i po chwili byli na żwirowym podjeździe prowadzącym pod mającący w ciemnościach wiktoriański budynek, w którym światła paliły się tylko w środkowych oknach na parterze. Widok był cokolwiek niesamowity.

Wysiadając z auta, usłyszeli dochodzący gdzieś z pobliza wysoki, żalony krzyk jakiegoś zwierzęcia albo ptaka, powtarzający się niczym błagalna litania.

- Boże - odezwał się Adam. - A co to takiego?

- Nie mam pojęcia.

Kiedy Adam wyjmował torby z bagażnika, na spotkanie wyszedł im jej ojciec. Był to wysoki mężczyzna, szczupły i wysportowany, ubrany w spodnie z niebieskiego dreluchu oraz niebieską bluzę. Włosy miał siwe, lecz gęste i falujące. Prezentował ten typ wyrazistej urody, który musiał robić porażające wrażenie, gdy był młodszy, chociaż i teraz był z niego nie byle jaki przystojniak.

Adam zwrócił jednak uwagę, że wyraźnie obawiał się pocałować córkę.

- A więc dojechałaś. I to z przyjacielem. Cieszę się, że tym razem kogoś przywiozłaś.

Przedstawiła ojcu Adama, uścisnęli sobie dłonie, a pan Pender, człowiek o pogodnym, choć hardym spojrzeniu, zakomenderował:

- Mów mi Bruce. A torby zostaw tutaj. Dopilnujemy, żeby ktoś się nimi zajął. -

Poprowadził ich chodnikiem obok pola golfowego, gdzie wokół zapalonych latarni wirowały ostatnie ćmy, aż w końcu zatrzymali się przed lśniącem lustrem wody.

- Tego jeszcze nie widziałaś, prawda? - zwrócił się do córki.

- Nie - odparła.

- Olimpijskie wymiary, odpowiedni na profesjonalne zawody. Szkoda, że nie widziałaś, jak w lecie w upalne dni kłębiły się w nim tłumy gości. Kosztował mnie majątek, ale warto było.

- Jest bardzo ładny - odparła jakoś dziwnie oficjalnie.

Weszli bocznymi drzwiami, zeszli po schodach, przemierzili długi wąski korytarz i po chwili znaleźli się w piwnicznym barze. Pomieszczenie zaprojektowano na jakieś dwieście osób. Przed ogromnym kominkiem, w którym po trzech kłodach skakały i strzelały płomienie, siedziały kobieta i dwie dziewczynki. Wszystkie były na bosaka i wyciągały identycznie szczupłe stopy w stronę ognia, który odbijał się w szeregu trzydziestu palców niczym w małych krwistoczerwonych muszelkach.

- Przywiozła przyjaciela - oznajmił ojciec. Pauline, macocha Gaby, była zadbanym rudzielcem, a jej bujne ciało wciąż wyglądało młodo, choć nie tak młodo, jak zdawała się głosić fryzura. Dziewczynki, Susan i Buntie, były jej córkami z poprzedniego małżeństwa, miały jedenaście oraz dziewięć lat i wchodziły w trudny wiek. Ich matka mówiła niewiele, a kiedy już się odezwała, każde słowo sprawiało wrażenie wcześniej przygotowanego i starannie przemyślanego.

Bruce Pender wrzucił w ogień kolejną kłodę, mimo że na gust Adama w barze było stanowczo za gorąco.

- Jedliście? - spytał.

Jedli, ale tak dawno temu, że Adamowi kiszki grały marsza. Oboje pokiwali jednak głowami, Bruce Pender przygotował więc drinki. Miał ciężką rękę.

- Masz jakieś wiadomości od matki? - spytał Gaby.

- Radzi sobie.

- Nadal jest mężatką?

- O ile wiem, to tak.

- Świetnie. Fajna z niej babka. Szkoda tylko, że jest, jaka jest.

- Susan, Buntie, chyba najwyższy czas, żebyście poszły do łóżka - odezwała się Pauline. Dziewczynki próbowały protestować, ale posłusznie wstały, założyły kaptcie i zaspanymi głosami powiedziały dobranoc. Adam zwrócił uwagę, że Gaby pocałowała je z ciepłem, na które nie potrafiła się zdobyć w stosunku do ojca ani macochy.

- Pauline zaraz wróci - powiedział Bruce, kiedy zostali sami. - Dom jest kawałek stąd.

- Nie mieszkanie w hotelu?

Pender uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Przez całe lato i w każdy weekend w sezonie narciarskim ten hotel to istny dom wariatów. Orkiestra skrzypiących łóżek. Ponad tysiąc gości, głównie samotnych, którzy przyjeżdżają tutaj, żeby zaszałeć i przeżyć jak najwięcej orgazmów.

- Jak widzisz, mój ojciec jest wyjątkowo subtelny - wtrąciła Gaby.

Pender wzruszył ramionami.

- Po prostu nazywam rzeczy po imieniu. Zarabiam pieniądze prowadząc legalny burdel. Mam zapewnione wszystkie korzyści ekonomiczne, a nie ponoszę żadnego prawnego ryzyka. Przyjeżdża tu motłoch z Nowego Jorku, choć trzeba przyznać, że zostawia nam niezłą gotówkę.

Zapadła cisza.

- Silverstone - odezwał się Bruce Pender i zmrużył oko.

- Jesteś Żydem?

- Mój ojciec jest. Matka była Włoszką.

- Aha. - Dolał alkoholu sobie, Gaby oraz nieobecnej Pauline. Adam zakrył szklanekę dłonią.

- Zeszłego lata około drugiej w nocy - mówił Pender - o mały włos nie doszło do utonięcia w fontannie. Nie w basenie, tylko w fontannie. To dopiero pomysłowość. Dwóch smarkaczy z college'u, pijanych jak bele.

Gaby w milczeniu sęczyła drinka.

- Niektóre dziewczyny to niezłe dupki. Ale Pauline trzyma mnie na krótkiej smyczy. - Zamyślił się. - To oczywiście jej posiadłość. To znaczy, jest na nią zapisana. Matka Gaby dokładnie ogołociła mnie z gotówki. Zapłaciłem jak za zboże.

- Miała powody, drogi ojcze.

- Do diabła z takimi powodami. - Pender upił duży łyk.

- Jeszcze pamiętam niektóre sceny z dzieciństwa, tato. Czy ty i Pauline narażacie Suzy i Buntie na takie same przyjemności?

Pender posłał córce beznamiętne spojrzenie.

- A ja się łudziłem, że skoro przyjechałaś z przyjacielem, łatwiej będzie się z tobą dogadać.

Z dworu ponownie dobiegł żalostny skowyt.

- Co to takiego? - spytał Adam.

Pender skorzystał z okazji, by zmienić temat.

- Chodźcie. Pokażę wam.

Po drodze do wyjścia zapalił zewnętrzne oświetlenie, które rozjaśniło czarny fragment trawnika za basenem. Po drucianej klatce miotał się duży szop. Wyglądał jak wściekły lew, jego oczy błyskały złowrogą czerwienią na tle czarnego pyska.

- Skąd go masz? - zainteresował się Adam.

- To samica. Jeden z dzieciaków z college'u strącił ją drągiem z drzewa i przykrył kartonem.

- Zamierzasz trzymać ją jako... atrakcję turystyczną?

- Nie, są zbyt niebezpieczne. Taka sztuka potrafi bez trudu załatwić psa. - Chwytał miotłę i wepchnął kij do klatki, trącając zwierzę w żebra. Samica odwróciła się. Jej łapy niczym dłonie filigranowej damy wbiły się w kij, podobnie jak zęby, spod których natychmiast poleciały wióry. - Ma teraz cieczkę. Trzymam ją na wabia, żeby przyciągała samce. - Wskazał na dwa pudła na granicy światła. - To pułapki.

- Co z nimi zrobisz, jeśli dadzą się złapać?

- Pieczone ze słodkimi ziemniakami są naprawdę wyborne. Niebo w gębie.

Gaby odwróciła się i ruszyła z powrotem do domu, a oni za nią. Właśnie siadali przed kominkiem ze świeżymi drinkami w dłoniach, kiedy wróciła Pauline.

- Brrr - odezwała się, narzekając na wieczorny chłód. Skuliwszy się obok męża, spytała Gaby, co nowego w szkole. Bruce objął ją i uszczypnął w pierś w kształcie melona, podkreślając swe prawo własności. Adam odwrócił wzrok, kobiety natomiast rozmawiały dalej, tak jakby niczego nie zauważyły.

Rozmowa rwała się i zaczynała na nowo, czasami wskutek iście rozpaczliwych wysiłków. Rozmawiali o teatrze, baseballu, polityce. Bruce Pender, który zazdrościł Kalifornii, jako że ta miała Ronalda Reagana, mruczał do szklanki, że republikanie dali się zbrukać Rockefellerowi i Javitsowi, utrzymywał również, że Stany Zjednoczone powinny zebrać siły i z okazji czwartego czerwca zalać czerwone Chiny deszczem atomowych fajerwerków. Adam, wtedy już zafascynowany bez reszty ogromem swej awersji do tego człowieka, nie potrafił podejść do wygłaszanych przezeń bredni na tyle poważnie, żeby się z nim posprzeczać.

Poza tym był niewiarygodnie śpiący. W końcu, po tym jak ziewnął po raz trzeci, Pender uniósł prawie pustą butelkę i dał znak, że wieczór dobiegł końca.

- Zazwyczaj kładziemy Gabrielle w domu. Ale skoro przyjechaliście razem, daliśmy wam przyległe pokoje na trzecim piętrze.

Pożegnali się z Pauline, która siedziała zamyślona, drapiąc się po podszewie szczupłej białej stopy ostrymi paznokciami w takim samym krwistoczerwonym kolorze jak paznokcie u nóg, po czym Pender zaprowadził ich na górę.

- Dobranoc - rzekła Gaby chłodno, zwracając się zarówno do ojca, jak i do Adama. Weszła do pokoju i nawet się nie obejrzawszy zamknęła drzwi.

- Gdybyś przypadkiem czegoś potrzebował, będziesz musiał to sobie przynieść. Gabrielle wie, gdzie co jest. Macie cały ten cholerny budynek do swojej dyspozycji.

Adam zastanawiał się, jak to możliwe, żeby facet uśmiechał się tak lubieżnie, kiedy mu się wydaje, że jego córka za chwilę pójdzie z kimś do łóżka.

Zdawał sobie sprawę, że Gaby stoi za drzwiami i podsłuchuje.

- Dobranoc - powiedział.

Pender zamachał na pożegnanie i poszedł.

Jezu.

Położył się na łóżku. Słyszał, jak Pender schodzi po schodach, śmieje się z czegoś razem z żoną, a potem oboje wychodzą z hotelu. W wiekowym budynku zapadła cisza i tylko z sąsiedniego pokoju dochodziły jakieś odgłosy. To Gaby krzątała się po pokoju, szykując się zapewne do snu.

Pokoje oddzielała wspólna łazienka. Adam zapukał do zamkniętych drzwi.

- Tak?

- Masz ochotę pogadać?

- Nie.

- W takim razie dobranoc.

- Dobranoc.

Zamknął za sobą drzwi, przebrał się w piżamę, zgasił światło i położył. Za otwartym oknem świerszcze grały zaciekłą serenadę, jakby przeczuwając, że mróz, który przyniesie im śmierć, czai się już gdzieś za horyzontem. Szop rozpaczliwie skomlał. Gaby Pender weszła do łazienki i z za zamkniętych drzwi dobiegł najpierw cichy odgłos spadającego strumyka, po nim szum sfluczki, dźwięki, które mimo że był lekarzem, sprawiły, że leżał sztywno, nienawidząc jej ojca.

Wstał i zapalił światło. W biurku znalazł papeterię z firmowym nadrukiem ośrodka. Wyjął pióro i napisał pośpiesznie, jakby to była recepta:

Komisarz Wydziału Rybołówstwa i Łowiectwa

Montpelier, Vermont

Szanowny Panie.

Pragnę niniejszym zawiadomić, że w tutejszym ośrodku przetrzymywana jest złapana nielegalnie samica szopa, która zamknięta w klatce ma służyć jako przynęta na samce. Byłem świadkiem złego traktowania zwierzęcia i jestem gotów to poświadczyć. Można mnie znaleźć na Oddziale Chirurgicznym Szpitala Generalnego Hrabstwa Suffolk w Bostonie.

Z poważaniem Adam R. Silverstone, M.D.

Włożył kartkę do koperty, starannie ją zapieczętował, z książeczki ze znaczkami, którą miał w portfelu, wyrwał jeden i nakleił, a następnie schował list i wrócił do łóżka. Przez mniej więcej kwadrans przewracał się z boku na bok, przekonany, że pomimo wszechogarniającego zmęczenia nie będzie w stanie zasnąć.

Stary hotel trzeszczał, jakby lubieżne duchy przeskakiwały z łóżka na łóżko, zamiast łańcuchami potrząsając zrzuconymi pasami cnoty. Świerszcze kontynuowały swój łąbodzi śpiew. Szop skomlał i rzucał się w klatce. Przez chwilę Adamowi wydawało się, że słyszy płacz Gaby, doszedł jednak do wniosku, że się przesłyszał.

Zasnął.

Obudził go - wydawało mu się, że niemal natychmiast - dotyk jej dłoni.

- Co się stało? - zapytał, sądząc początkowo, że jest w szpitalu.

- Adamie, zabierz mnie stąd.

- Oczywiście - odparł głupio, wciąż jeszcze nie do końca rozbudzony. Zaraz potem zamknął oczy, oślepiony światłem, które właśnie włączyła. Kiedy ponownie je otworzył, spostrzegł, że Gaby ubrała się w sweter i spodnie. - To znaczy teraz?

- Natychmiast. - Oczy miała czerwone od płaczu. Poczł nagły przyływ czułości i współczucia, lecz w tym samym momencie zmęczenie pchnęło go z powrotem na poduszkę.

- Co oni sobie pomyślą? - spytał. - Chyba nie powinniśmy zniknąć w nocy bez żadnego ostrzeżenia.

- Zostawię im kartkę. Napiszę, że wezwali cię nagle do szpitala.

Zamknął oczy.

- Jeśli nie chcesz ze mną pojechać, jadę sama.

- Idź i napisz tę kartkę. Zaraz się ubiorę.

Po szerokich schodach musieli schodzić po omacku. Księżyc znajdował się teraz nisko na niebie, ale rzucał dość światła, by jakoś dotarli do samochodu. Świerszcze zapadły w sen albo też robiły to, co robią, kiedy przestają cykać. Z klatki za basenem nadal dobiegało żalosne skomlenie.

- Zaczekaj - poleciła Gaby.

Włączyła światła samochodu i uklękła, szukając odpowiedniego kamienia. Adam

ruszył za nią, lecz go powstrzymała.

- Nie. Chcę to zrobić sama.

Siedział na skórzanym siedzeniu, mokrym od rosy, i trzął się z zimna, podczas gdy ona rozbijała zamek klatki. Zastanawiał się, czy zdecydowałby się wysłać donos na jej ojca. Po chwili żalony tryl szopa ucichł. Adam słyszał, jak Gaby biegnie w jego kierunku, potem rozległ się huk uderzenia i ciche przekleństwo.

Wsiadając do auta śmiała się przez łzy i ssała zadrapaną dłoń.

- Bałam się, że mnie pogryzie, a jak uciekałam, potknęłam się o jedną z pułapek - wyjaśniła. - O mało nie wpadłam do tego cholernego basenu.

Zaczął śmiać się razem z nią; śmiali się jadąc podjazdem, mijając rzygacze i wjeżdżając na autostradę. Uspokoiwszy się Adam spostrzegł, że Gaby płacze. Przez chwilę rozważał, czy nie zastąpić jej za kierownicą, żeby mogła się wypłakać w spokoju nie narażając nikogo na niebezpieczeństwo, doszedł jednak do wniosku, że przy jego zmęczeniu niewiele by to zmieniło.

Łkała bezgłośnie. Pomyślał, że to chwytą za serce znacznie mocniej niż dramatyczne szloch.

- Posłuchaj - odezwał się w końcu z trudem, zupełnie jakby nałykał się prochów. - Wcale nie masz monopolu na okropnych rodziców. W przypadku twojego ojca wszystko rozbija się o seks, w przypadku mojego o flaszkę.

Opowiedział jej najistotniejsze szczegóły z życia Myrona Silbersteina, rzeczowo i bez emocji, opuszczając tylko pojedyncze drobiazgi: była to historia wędrownego muzykanta z Dorchesteru, który znalazł pracę w kanale dla orkiestry w Davis Theater w Pittsburgu i tam właśnie któregoś wieczora poznał pewną dużo młodszą i bardzo niedoświadczoną Włoszkę.

- Jestem pewien, że ożenił się z nią tylko dlatego, że ja byłem w drodze - wyznał. - Odkąd go pamiętam, zawsze pił i do dziś nie przestał.

Kiedy wjechali na drogę numer 128 i samochód zaczął się wwiercać w noc w kierunku, z którego przybył, Gaby dotknęła jego ramienia.

- Możemy być początkiem nowych pokoleń - rzekła. Pokiwał głową i uśmiechnął się. A potem zasnął.

Obudził się na moście Sagamore.

- Gdzie my, do diabła, jesteśmy?

- Załatwiliśmy sobie tyle wolnego - odparła. - Szkoda byłoby wrócić do domu i zmarnować urlop.

- Ale dokąd jedziemy?

- W takie jedno miejsce. Zobaczysz.

Czekał w milczeniu. Trzy kwadransy później byli w Truro, tak przynajmniej wynikało z przydrożnej tablicy, która znalazła się na moment w świetle reflektorów. Gaby kierowała się w stronę Cape Cod. Jechali teraz dwiema białymi piaszczystymi koleinami, rozdzielonymi pasem trawy. Wkrótce znaleźli się na niewielkim wzniesieniu. Po prawej obracający się palec światła przeszukiwał czerń nieba na skraju morza. Nagle rozległ się szum fal rozbijających się o brzeg. Zabrzmiało to tak, jakby ktoś go po prostu włączył.

Zwolniła gwałtownie, prawie zatrzymując samochód. Adam nie miał pojęcia, czego szuka, aczkolwiek bez wątpienia to znalazła, gdyż zjechała z drogi. On nie widział praktycznie nic, jedynie atramentową czerń, choć kiedy wysiedli z auta, spostrzegł coś jeszcze ciemniejszego, co okazało się niewielkim budynkiem.

Bardzo niewielkim - chatą albo szopą.

- Masz klucz?

- Nie ma żadnego klucza - odparła. - Zamknięte na skobel od środka. Wejdziemy tajemnym wejściem.

Poprowadziła go za dom ścieżką pomiędzy niewysokimi sosnami, które drapały ich niewidocznymi palcami. Przyjrząwszy się chacie z bliska zauważył, że okna są pozabijane deskami.

- Pociągnij za deskę - poinstruowała go Gaby.

I rzeczywiście, gwoździe nie stawiały oporu, jakby już wielokrotnie przebyły tę drogę w obie strony. Gaby podniosła okno i wślizgnęła się do środka.

- Uważaj na głowę - ostrzegła.

Mimo to się uderzył, o górne łóżko. Pokój rozmiarami przypominał raczej szafę i w porównaniu z nim nawet szpitalna klitka Adama wydawała się przestronna. Proste drewniane łóżka zajmowały większość powierzchni, zostawało jedynie wąskie przejście do drzwi. Oświetlenie pochodziło z gołych żarówek, które włączało się pociągając za sznurek. Były jeszcze dwie klitki, równie ciasne jak pierwsza. Jedna okazała się miniaturową łazienką z prysznicem, druga służyła do wielu celów. Znajdowały się tam głównie urządzenia i przybory kuchenne, lecz także chybotliwy fotel bujany i zżarta przez mole sofa, dziurawa i pozarywana. Dekoracje były typowe dla Cape Cod: muszle małży służące jako popielniczki, sieć na homary w roli stolika, jeżowce i rozgwiazdy na kominku, gotowa do użytku wędka zawieszona w jednym kącie. W drugim stał palnik gazowy, który Gaby bez najmniejszego trudu zapaliła.

Adam chwiał się na nogach.

- W czym mogę ci pomóc?

Spojrzała na niego i dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo musi być wyczerpany.

- O, Boże - powiedziała. - Przepraszam cię. Naprawdę. - Zaprowadziła go na dolne łóżko, zdjęła mu buty, przykryła kocem, który trochę łaskotał go w brodę, i ucałowała w obie powieki, które natychmiast się zamknęły, a następnie wyszła pozwalając, by do snu utulił go szum morza.

Obudziło go wycie syren okrętowych brzmiące jak burczenie w brzuchu olbrzyma, skwierczenie i zapach smażonego jedzenia oraz dziwne wrażenie, że podróżuje w najgorszej klasie jakiegoś małego statku. Kłęby dymu sprawiały, że okno wydawało się równie puste jak oczy Sierotki Marysi.

- Miałam nadzieję, że pośpisz trochę dłużej - rzekła Gaby, przewracając bekon na drugą stronę. - Ale byłam tak piekielnie głodna, że musiałam pojechać na kemping po jakieś jedzenie.

- Czyja to chata? - spytał, wciąż napawając się myślą, że zostaną aresztowani.

- Moja. Spadek po babci. Zapisała mi ją tuż przed śmiercią. Nie martw się, jesteśmy tu jak najbardziej legalnie.

- Jezu, panna dziedziczka.

- Mamy mnóstwo gorącej wody - oznajmiła z dumą.

- To dobry piecyk. Pasta do zębów jest w szafce. Prysznic przywrócił mu entuzjazm, który ostudziła nieco zawartość apteczki. Znalazł w niej coś, co okazało się lewatywą, a oprócz niej krople do nosa, do oczu, aspirynę, tabletki przeciwbólowe paru różnych gatunków oraz mieszaninę witamin i innych, najczęściej nie podpisanych pastylek - słowem zestaw medyczny „zrób to sam” przeznaczony dla neurotyka.

- Boże - powiedział, wychodząc z łazienki. - Czy możesz coś dla mnie zrobić?

- Co takiego?

- Pozbądź się tego... śmietnika z apteczki.

- Dobrze, doktorze - odparła nieco zbyt potulnie. Na śniadanie zjedli brzoskwinie z puszki, jajka na bekonie i mrożoną kukurydzę, która okropnie przywierała do tostera, przez co trzeba ją było jeść w kawałkach.

- Parzysz wyborną kawę. Tak dobrej w życiu nie piłem - pochwalił ją, jako że humor nieco mu się poprawił.

- To kwestia bliskiej znajomości z dzbankiem. Mieszkałam tu sama przez rok.

- Cały rok? Chcesz powiedzieć, że nawet w zimie?

- Przede wszystkim w zimie. A w takich okolicznościach filiżanka gorącej kawy może uratować życie.

- Czemu się tutaj zaszylaś?

- No dobrze, powiem ci. Rzucił mnie facet.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Przeklęty głupiec. Uśmiechnęła się.

- Dziękuję, Adamie. Jesteś słodki.

- Mówię poważnie.

- No dobrze. Tak czy owak, kiedy na nie najwspanialszą sytuację rodzinną, z którą zdążyłeś już nieco się zapoznać, nałożyło się jeszcze to, mój stan psychiczny bardzo się pogorszył i doszłam do wniosku, że to, co okazało się dobre dla Thoreau, będzie dobre także dla takiej szarej myszy jak ja. Zabrałam więc stertę książek i przyjechałam tutaj. Żeby wszystko przemyśleć. Zorientować się, kim naprawdę jestem.

- I co, udało ci się? Wiesz, kim jesteś? Zawahała się.

- Chyba tak.

- Szczęściara.

Pomógł jej pozmywać naczynia.

- Wygląda na to, że mgła nie pozwoli nam ruszyć się stąd ani na krok - zauważył, kiedy ustawiali do suszenia filiżanki i spodeczki.

- Bez obawy. Bierz kurtkę i chodź. Chcę ci coś pokazać. Poprowadziła go ścieżką niemal całkowicie zakrytą niską gęstą roślinnością. Rozpoznał wawrzyn i niektóre krzewy. Mgła była tak gęsta, że widział tylko czubki własnych butów i kształtny zarys jej obcisłych, niebieskich džinsów.

- Wiesz, dokąd idziesz?

- Trafiłabym tam z zamkniętymi oczyma. Teraz ostrożnie. Musimy iść powoli. Jesteśmy prawie na miejscu.

Wyglądało to jak najprawdziwsza przepaść. Stali na skraju klifu, przed sobą mieli ścianę mgły, pod sobą pustkę, a nieco niżej jeszcze gęstszą mgłę. Wyobraźnia podpowiadała mu, że to przerażająca replika skoków z wysokości stu stóp, które w przeszłości zdarzało mu się wykonywać dla pieniędzy w zespole akrobatyki wodnej Benson's Aquacade.

- Stromo tutaj?

- Bardzo stromo. I spory kawałek w dół. Ludzie mają okropnego stracha, kiedy widzą to po raz pierwszy, choć w gruncie rzeczy to całkiem bezpieczne miejsce. Zjeżdżam na sam

dół na tyłku.

- No cóż, jeśli się ma taki pojazd...

Przyjęła komplement z uśmiechem. Podczas gdy on kucał nerwowo parę kroków za nią, ona siedziała na skraju klifu, machając w powietrzu nogami. Oczy miała zamknięte i wdychała zimną słonawą mgłę.

- Strasznie cię to bawi - oskarżył ją.

- Linia brzegowa nieustannie się zmienia, tutaj natomiast jest ciągle tak samo jak wtedy, kiedy mój dziadek budował tę chatę dla babci. Pewien pośrednik z Provincetown uparcie proponuje mi sporą sumkę za tę ziemię, ale ja chcę, żeby zobaczyły ją moje dzieci. A potem ich dzieci. To fragment nadmorskiego parku krajobrazowego imienia Johna F. Kennedy'ego, nie można więc tutaj niczego zbudować, a do tego ocean nieustannie wgryza się w ląd. Po kilka stóp rocznie. Za jakieś pięćdziesiąt lat ten klif dojdzie prawie pod sam dom. Będę musiała go wtedy przenieść albo pochłonie go ocean.

Miał wrażenie, że są zawieszeni we mgle. Daleko w dole fale huczały i szumiały. Słuchał i kręcił głową.

- Co się stało? - spytała.

- Ta mgła. Tworzy jakąś dziwną atmosferę.

- Na lądzie nie tak bardzo. Za to w wodzie jest rzeczywiście niesamowicie. To przeżycie niemal mistyczne - odparła. - Kiedy tu mieszkałam, czasami nawet nie zwracałam sobie głowy strojem kąpielowym, tylko nurkowałam w tej mgle. To przeżycie po prostu nie do opisanie. Czułam się tak, jakbym stawała się częścią oceanu.

- To chyba niebezpieczne?

- Przez cały czas słyszysz fale walące o brzeg, wiesz więc, gdzie jest ląd. Parę razy... - Umilkła na moment, potem jednak zdecydowała się kontynuować. - Parę razy płynęłam prosto przed siebie, ale brakowało mi odwagi i zwracałam.

- Gaby, a dlaczego niby miałabyś nie zawrócić?

- Gdzieś za nimi, we mgle, rozległo się wołanie przepiórki.

- Czy ten mężczyzna, który cię porzucił, aż tyle dla ciebie znaczył?

- To był chłopak, nie mężczyzna. Nie o niego chodziło... wydawało mi się, że umieram.

- Dlaczego?

- Miałam uporczywe bóle, poza tym odrętwienie i wszechogarniające zmęczenie. Takie same objawy miała moja babcia, kiedy umierała.

Aha. Tak oto kolekcja znaleziona w apteczce stała się żalospną częścią całej historii.

- To mi brzmi jak podręcznikowy przypadek hysterii - powiedział delikatnie.

- Oczywiście. - Siedziała przepuszczając piasek pomiędzy palcami. - Wiem, że jestem hipochondryczką. Ale wtedy byłam święcie przekonana, że jakaś okropna choroba pozbawi mnie życia. A przekonanie, że jest się na coś takiego chorym, może być równie szkodliwe jak sama choroba. Wierz mi, doktorze.

- Wiem.

- Pływając próbowałam chyba odnaleźć to, czego tak bardzo się bałam, żeby skończyć z tym raz na zawsze.

- Jezu, ale dlaczego przyjechałaś tutaj? Dlaczego nie poszłaś z tym do lekarza?

Uśmiechnęła się.

- Poszłam. I to nie do jednego. Do bardzo wielu. Tyle tylko, że po prostu im nie dowierzałam.

- A czy wierzysz im teraz, kiedy mówią, że nic ci nie jest? Znowu się uśmiechnęła.

- Na ogół tak - odparła.

- Cieszę się - powiedział, choć coś mu mówiło, że skłamała.

Mgła stopniowo się przerzedzała, niebo nad ich głowami zaczynało jaśnieć.

- Jak zareagowali twoi rodzice, kiedy postanowiłaś tutaj zamieszkać?

- Matka właśnie ponownie wyszła za mąż. Była więc... no... bardzo zajęta. Od czasu do czasu pisała do mnie list. Za to ojciec nie przysłał nawet jednej kartki. - Pokręciła głową.

- To naprawdę wyjątkowy bydlak, Adamie.

- Gaby... - Przez chwilę szukał odpowiednich słów.

- Nie lubię go, ale przecież wszyscy jesteśmy słabi, każdy na swój sposób. Byłbym hipokrytą, gdybym go potępiał. Jestem pewny, że sam mam na sumieniu wszystko to, za co go nienawidzisz.

- Nie.

- Przez większą część życia byłem sam. Znałem dużo kobiet.

- Nie rozumiesz. On nigdy niczego mi nie dał. Niczego od siebie. Płacił chesne za moją szkołę i oczekiwał, że będę mu za to odpowiednio wdzięczna.

Adam milczał.

- Odnoszę wrażenie, że na studiach sam się utrzymywałeś. Że skończyłeś je dzięki własnej pracy.

- Skończyłem je przede wszystkim dzięki wujowi Vito.

- Wujowi?

- Miałem ich trzech. Joego, Franka i właśnie Vito. Frank i Joe byli potężni jak byki i

pracowali w hutach. Vito też był wysoki, ale bardzo drobny. Zmarł, kiedy miałem piętnaście lat.

- Zostawił ci w spadku pieniądze?

- Nie - roześmiał się Adam. - Nie miał żadnych oszczędności. Był ręcznikowym w szatni w oddziale YMCA w Pittsburghu.

- Ręcznikowym? A któż to taki?

- Nigdy nie byłeś w szatni w YMCA? Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- No cóż, to oczywiście ten, co wydaje ręczniki. A oprócz wielu innych rzeczy przyciska też mały brzęczyk, który otwiera wejście na basen. Codziennie po szkole roznosiłem „Pittsburgh Press”, potem maszerowałem na Whitfield Street, a Vito wpuszczał mnie na basen. Kiedy się w końcu zorientowali, że nie płacę składek, wszyscy mnie już znali i zarząd Newsboy Club postanowił przyznać mi stypendium. Wspaniała trener z YMCA, facet o nazwisku Jack Adams, wziął mnie w swoje ręce i zanim skończyłem dwanaście lat, byłem świetnym płetwonurkiem. Nurkowałem tak dużo, że złapałem zapalenie ucha, i dlatego teraz mam kłopoty ze słuchem.

- Nie zauważyłam. Jesteś głuchy?

- Raczej głuchawy, i to tylko z lewej strony. Ale to wystarczyło, żebym wybronił się przed wojskiem.

Dotknęła jego ucha.

- Biedaku. Bardzo ci to przeszkadzało, kiedy dorastałeś?

- Nieszczęśliwie. Jako płetwonurek reprezentowałem YMCA i swoją szkołę i tamte cztery lata przeżyłem dzięki stypendium, które dostawałem jako członek drużyny pływackiej. Żyłem wtedy jak panisko. Ale na pierwszym roku medycyny znów byłem biedny jak mysz kościelna. Żeby zarobić na jedzenie i miejsce do spania, co rano ze wszystkich akademików nosiłem bieliznę do pralni i z powrotem. A wieczorami pokonywałem tę samą trasę dźwigając karton z kanapkami.

- Szkoda, że cię wtedy nie poznałam.

- Nie miałbym nawet czasu, żeby z tobą pogadać. Później musiałem zrezygnować i z pralni, i z kanapek, bo medycyna okazała się zbyt wymagająca. Przez dwa semestry dorabiałem w taniej knajpie, poza tym zapożyczyłem się na uczelni. W pierwsze wakacje pracowałem jako kelner w hotelu w Poconos. Miałem tam romans z pewną kobietą, gościem hotelu. Była to bogata Greczynka, której mąż, prezes jakiejś sieci sklepów, nie chciał się zgodzić na rozwód. Mieszkała w Drexel Hill, niedaleko od miejsca, gdzie chodziłem do szkoły. Spotykałem się z nią bardzo często, prawie przez rok.

Gaby siedziała i słuchała.

- Nie chodzi tylko o to, że mieliśmy romans. Czasami dawała mi pieniądze. Nie musiałem pracować. Dzwoniła po mnie, szedłem do niej, a potem często wsuwała mi do kieszeni banknot. Wysoki nominał.

Teraz odwróciła głowę w drugą stronę.

- Przestań - powiedziała tylko.

- W końcu z nią zerwałem. Nie mogłem już patrzeć na swoje odbicie w lustrze. Znalazłem pracę przy rozładowywaniu węgla i tam naprawdę musiałem nieźle się napocić, żeby zarobić. Chyba traktowałem to jako pokutę.

Z oddali dobiegały głosy dwóch przepiórek. Gaby spojrzała na Adama.

- Czemu mi o tym mówisz? Bo jestem głupcem, pomyślał.

- Sam nie wiem. Nigdy wcześniej nikomu o tym nie opowiadałem.

Wyciągnęła rękę i ponownie dotknęła jego twarzy.

- Cieszę się. Mogę cię o coś spytać? - dodała po chwili.

- Pewnie.

- Kiedy szedłeś do łóżka z tamtą kobietą... wiesz, tak bez uczucia. Czy było inaczej niż z kimś, kogo kochałeś?

- Nie wiem - odparł. - Nigdy żadnej z nich nie kochałem.

- Przecież to tak... jak zwierzęta.

- Jesteśmy zwierzętami. I nie ma w tym nic złego.

- Ale powinniśmy starać się być czymś więcej.

- To nie zawsze możliwe.

Przez rzadniejącą mgłę zaczynały się przebijać promienie słońca. W dole rozciągał się bezkres oceanu. Plaża była szeroka, biała, upstrzona jedynie drobiazgami wyrzuconymi przez morze i kawałkami drewna, przy linii wody tak mocno ubita przez fale, że lśniła w słońcu.

- Chciałam, żebyś to zobaczył - odezwała się Gaby. - Siadywałam tutaj samotnie i powtarzałam sobie, że gdyby wszystkie złe wspomnienia ułożyć tam w dole w wielką stertę, natychmiast zmyłyby je fale przyływu.

Zastanawiał się nad tym, kiedy ku jego przerażeniu Gaby krzyknęła radośnie i zniknęła za skrajem urwiska, które opadało ku plaży pod oszalamiającym kątem około stu stopni. Jej pośladki zostawiły w miękkim czerwonym piasku prostą bruzdę. Już po chwili śmiała się do niego z dołu. Miał tylko jedno wyjście. Usiadł na skraju, zamknął oczy i z całej siły się odepchnął. Wszzechmogący cisnął nim na oślep niczym ognistą błyskawicą z wiecznego nieba ku bezdennemu wiecznemu potępieniu. John Milton. W butach miał piasek i

ponad wszelką wątpliwość jego zjazd nie był imponujący. Tyłek w każdym razie trochę go bolał. Gaby zaśmiewała się do łez. Otworzywszy oczy stwierdził, że rozbawiona, staje się prześliczna. Nie, nawet więcej. To zdecydowanie najpiękniejsza dziewczyna, jaką w życiu widział.

Przeczesał plażę, lecz zamiast skarbu znaleźli kilka cuchnących gąbek; obserwowali morskiego psa pływającego w przejrzystej wodzie maleńkiej zatoczki; trafili na osiem nie pokruszonych rozgwiazd; wykopali spod skały czerwoną glinę i ulepili z niej garnek, który pękł schnąc w podmuchach zimnego wiatru.

Przemarznięci na kość najpierw próbowali bezskutecznie wytrząsnąć piasek z butów, później wspięli się na klif po chyboliwych drewnianych schodach i wrócili do ciepłej chaty. Wnętrze, a w szczególności sofa, skąpane było we wpadających przez okno promieniach słońca. Adam zajął się rozpalaniem ognia, Gaby położyła się; kiedy w palenisku zaczęło huczeć, zrobiła dla niego miejsce. Leżeli obok siebie pozwalając, by bóg słońce zamienił ich świat w wielką czerwoną dynię.

Po długiej chwili Adam odwrócił się ku Gaby i pocałował ją bardzo delikatnie, a potem jeszcze delikatniej musnął końcami palców. Usta miała ciepłe, suche i słone. Słysząc było jedynie szum morza, krzyk mew, trzask ognia w palenisku oraz ich oddechy. Pieścił jej pierś przez niebieską bluzę, świadomy, że oboje pamiętają, jak jej ojciec przemienił podobny gest w pogardliwe, uwłaczające piętno, którym naznaczył własną żonę.

To coś innego, mówił do niej w myślach. Zrozum to. Proszę cię, zrozum. Dotykając ją czuł, jak leciutko drży, bardziej ze strachu niż z pożądania, i chociaż miał w życiu tak wiele dziewcząt i kobiet, ten strach mu się udzielił i on również zaczął drżeć. Nie cofnął jednak ręki, która tworzyła most pomiędzy ich ciałami, i w końcu poczuł, że żadne z nich już nie drży. Tym razem go pocałowała, początkowo nieśmiało i z wahaniem, później - ulegając uczuciom - dziko i zachłannie, jakby chciała go pożreć. Zrobiło to na nim ogromne wrażenie. Za obopólnym milczącym porozumieniem odsunęli się od siebie i zaczęli pomagać sobie w pośpiesznym rozpinaniu uciążliwych drobiazgów, takich jak guziki, zamki i haftki. Było tak, jak się spodziewał - żadnych białych plam, żadnych śladów po paskach. Spostrzegłszy to poczuł, że nogi zmieniają mu się w galarete.

- Rośnie ci brzuch - zauważyła.

- Przecież biegam - bronił się. - Za to ty masz ciało - dodał po chwili. - Wspaniale.

- Nie zawsze.

Potem leżeli blisko siebie, przytuleni, idealnie sobie bliscy. Boże, jakże cudownie jest w ciepłym słońcu. Całowała jego uszkodzone ucho i płakała, a on uświadomił sobie, że nagle

zawładnęło nim całkiem nowe uczucie, że wcale nie chce brać, a jedynie dawać, że pragnie oddać jej wszystko, co ma na tym świecie, wszystko, czym jest Adam Silverstone.

W końcu zgłodnieli.

- Jutro - powiedziała - wstaniemy wcześniej rano, żeby zdążyć na przyływ. Ja nałapię trochę małych, ale pulchnych fląder, ty wypatroszysz je dla mnie, jak na dobrego chirurga przystało, a potem ja upiekę je dla ciebie na węglu drzewnym, natarte świeżym sokiem cytrynowym i ogromną ilością masła.

- Mmmm... Pycha... A co dzisiaj? - spytał po chwili.

- Dzisiaj... zostały nam jeszcze jakieś jajka.

- Chyba już nie.

- Zupa portugalska?

- Co to takiego?

- Specialite de la region. Makaron i warzywa, głównie kapusta i pomidory, gotowane z wieprzowiną. W Provincetown jest taka miła knajpka. Podają tę zupę ze świeżym, chrupiącym chlebem. Do tego dobre zimne piwo z beczki. Oczywiście pod warunkiem że masz ochotę.

- Tego właśnie mi trzeba, aniołku.

- Nie jestem żadnym aniołkiem. - Spojrzeli sobie w oczy, Adam szeroko się uśmiechnął.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

Chodzili po pokoju, zbierając z podłogi porzucane ubrania i ubierając się prawie bez skrępowania, po czym wsiedli do auta i w słońcu przejechali powoli pięć mil ciągnącą się wzdłuż wydm drogą numer 6 do Provincetown. Zjedli zupę, gorącą i smakującą dymem, pełną smakowitych kąsków, później poszli na przystań, przy której właśnie zacumowała łódź, i Gaby targowała się bezwstydnie, aż udało się jej kupić za trzydzieści pięć centów piękną, okazałą flądrę, jeszcze żywą i dziko się rzucającą. Miała to być ich polisa ubezpieczeniowa, na wypadek gdyby następnego ranka padał deszcz albo gdyby przypadkiem zaspali i nie poszli na ryby.

Po powrocie do chaty Gaby włożyła rybę do lodówki, po czym podeszła do niego i ujęła jego twarz w obie dłonie.

- Ręce ci cuchną rybami - poskarżył się, a potem długo ją całował i po chwili oboje wiedzieli, że będzie się z nią kochał nie czekając, aż umyje ręce.

- Adamie - rzekła drżącym głosem. - Chcę dać ci sześcioro dzieci. Przynajmniej sześcioro. I być twoją żoną przez siedemdziesiąt pięć lat.

Żoną, pomyślał.

Dzieci?

To szaleństwo.

- Gaby, posłuchaj... - powiedział niespokojnie. Cofnęła się. Wyciągnął ręce, żeby ją do siebie przyciągnąć i trzymać w ramionach, kiedy będą rozmawiać, lecz ona odsunęła się jeszcze bardziej i spojrzała mu prosto w oczy.

- O Boże - westchnęła.

- Posłuchaj...

- Nie - przerwała mu. - Nie chcę słuchać. Nie jestem zbyt bystra. To dla mnie żadna nowina, zawsze zdawałam sobie z tego sprawę. Ale ty. Boże. Nieszczęsny Adamie. Jesteś niczym.

Pobiegła do łazienki i zamknęła się od środka. Nie słyszał szlochu, ale po krótkiej chwili rozległy się jakieś okropne odgłosy, jakby wstrząsały nią torsje, zaraz potem zahuczała spłuczka.

Zapukał do drzwi, gnębiony przez wyrzuty sumienia.

- Gaby, nic ci nie jest?

- Idź do diabła - sapnęła, teraz już płacząc.

Po pewnym czasie Adam usłyszał, jak odkręca kran i myje się. W końcu drzwi się otworzyły.

- Chcę stąd wyjechać - oświadczyła.

Zaniósł bagaże do auta, zakręcił gaz, zamknął drzwi od środka, wyszedł przez okno i zabił je deskami. Chciał usiąść za kierownicą, lecz tylko na niego warknęła. Jechała jak samobójczyni, co skończyło się mandatem za przekroczenie prędkości na drodze numer 128 w Hingham.

Później prowadziła ostrożniej, tylko że co jakiś czas miała okropne ataki kaszlu. Serie astmatycznych spazmów wstrząsały jej ciałem, mimo to uparcie trzymała kierownicę.

Znosił te odgłosy, dopóki był w stanie.

- Zjedź z autostrady i poszukaj jakiejś apteki - odezwał się w końcu. - Wypiszę ci receptę na efedrynę.

Zignorowała jego słowa.

Zapadał już zmrok, kiedy zatrzymała się przed szpitalem. Po drodze niczego nie jedli, Adam po raz kolejny czuł się więc zmęczony, głodny i emocjonalnie zdruzgotany.

Postawił swoją torbę na chodniku.

Słyszał jej kaszel, kiedy z całej siły wcisnęła pedał gazu. Plymouthem szarpnęło i aż

rzuciło na środek ulicy, prosto pod koła nadjeżdżającej taksówki, której kierowca przy akompaniamencie szpetnych przekleństw i klaksonu gwałtownie zahamował.

Adam nagle sobie przypomniał, że zapomnieli wyjąć rybę z lodówki. Kiedy następnym razem Gaby pojedzie do swojego domku, będzie miała dodatkowy ohydny powód, żeby rozpamiętywać ten ich przerwany urlop. Przygniatały go sprzeczne uczucia - żal, wyrzuty sumienia i niepokój. Wypełnił ją po same uszy najintymniejszymi zwierzeniami, a potem pozwolił sobie na...

Do diabła, pomyślał, czy cokolwiek jej obiecywałem?

Czy podpisałem jakiś kontrakt?

Mimo to zdawał sobie sprawę, że chociaż jej ciało potraktował czule i delikatnie, to duszę rozerwał niczym dzikie zwierzę. Czuł do siebie obrzydzenie.

Odrzucił głowę do tyłu i spojrzął na monstualny budynek.

No to wróciłem, rzekł do szpitala.

W miarę jak robiło się ciemno, zapalały się kolejne światła i teraz szpital spoglądał na niego setką oczu. Adam rozmyślał o mrówkach krzątających się w kopcu, zastanawiał się, co dzieje się w środku, ilu spośród pacjentów leżących obecnie na oddziałach przyjdzie mu operować w nadchodzącym tygodniu.

Jako człowiek jestem żalonym partaczem i głupcem, mogę jednak funkcjonować jako chirurg, a to przecież się liczy. Cóż, niechaj Bóg da mądrość tym, którzy ją mają, a ci, którzy są błaznami, niechaj używają swoich zdolności. William Shakespeare.

Chwycił torbę. Drzwi rozdziawiły się niczym paszcza i po chwili połknął go uśmiechnięty budynek.

Rozpakował się, zszedł na dół, żeby ukraść kubek kawy, i niemal natychmiast gorzko pożałował, że wrócił.

Od Helen Fultz dowiedział się, że przez dłuższy czas pani Bergstrom czuła się dobrze, ale po południu pojawiły się pierwsze objawy wskazujące na odrzucenie przeszczepu. Temperatura wzrosła do 101,6 stopni Fahrenheita, chora skarżyła się również na ogólne złe samopoczucie i ból w okolicach rany.

- Czy nerka produkuje mocz? - spytał. Panna Fultz pokręciła głową.

- Początkowo sprawowała się naprawdę świetnie, ale dzisiaj wszystko się popsuło.

Spojrzał w historię choroby i stwierdził, że doktor Kender stara się zapobiec odrzuceniu przeszczepu podając prednizon oraz imuran.

Cóż za wspaniałe zakończenie tego niezwykle udanego dnia, pomyślał.

Przez chwilę rozważał, czy nie zaszyć się w laboratorium, lecz nie miał sił, żeby tam

dojść. Poza tym chwilowo miał dosyć psów, kobiet i chirurgii. Wrócił na górę i położył się spać, żeby chociaż na trochę o wszystkim zapomnieć. Już w windzie cieszył się na ten krótki okres błogiej nieświadomości.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Spurgeon Robinson.

Spurgeon Robinson spędzał sporo czasu na martwieniu się.

Skoro sprawa któregoś z twoich pacjentów rzeczywiście musi być rozpatrywana na posiedzeniu komisji, powinno się ono odbyć w dobrym dla twoich współpracowników okresie, albowiem w takim jak ten, kiedy coraz więcej wskazuje na to, że przeszczepiona nerka zostanie odrzucona, a Stary wygląda niczym z piekła rodem, było jasne, że przynajmniej część lekarzy spróbuje znaleźć sobie kozła ofiarnego, którego można będzie rozerwać na strzępy.

Zaczął się zastanawiać, co zrobi, jeśli go wyrzucą.

W porze snu rozmyślał nad zagadkami pani Donnelly, a którejs nocy, kiedy w końcu zasnął, śnił, że wszystko to wydarzyło się ponownie, tylko że tym razem, zamiast wypisać kobietę do domu i posłać ją na pewną śmierć, dzięki swojej imponującej wiedzy lekarskiej natychmiast się zorientował, że chodzi o złamanie zęba kręgu obrotowego. Rano obudził się szczęśliwszy niż kiedykolwiek i przez dłuższą chwilę zastanawiał się dlaczego, aż przypomniał sobie, że przecież uratował życie pani Donnelly. Później oczywiście zrozumiał, że to był tylko sen i nic nie jest w stanie zmienić faktu, że ją zabił. Leżał zdruzgotany, nie mając sił zwlec się z łóżka.

Jest lekarzem. Przynajmniej tego jednego nie mogą go pozbawić.

Gdyby wyrzucili go ze stażu, pozostałoby mu tylko znaleźć sobie jakieś inne zatrudnienie. Wuj Calvin z pewnością załatwiłby mu posadę konsultanta medycznego w American Eagle, i to z gwarancjami szybkiego awansu. Również niektóre firmy farmaceutyczne zatrudniały czarnych lekarzy. Wiedział jednak, że jeśli rzeczywiście go wyrzucą, jeśli nie będzie mógł uprawiać zawodu lekarza, tak jak chce, na swój własny sposób, wróci tam, gdzie był przed paroma laty, i spróbuje na nowo zająć się muzyką. Tak jak chce.

Zaczął wynajdywać preteksty, by zejść do pokoju Peggy Weld i wciągać ją w rozmowy na temat muzyki.

Początkowo widział, że uważa go za jeszcze jednego młokosa, który trochę sobie gra i od razu myśli, że jest wielkim profesjonalistą, później wszakże zmieniła zdanie.

- Naprawdę grałeś w Dino na Pięćdziesiątej Drugiej? Na Manhattanie?

- Razem z zespołem. Ja grałem na pianinie, a oprócz mnie było jeszcze trzech chłopaków.

- Kto jest tam menedżerem? - zaatakowała.

- Vin Scarlotti.

- Zgadza się. Też tam śpiewałam. Parę razy. Musisz być rzeczywiście dobry. Vin jest piekielnie wybredny.

Po jakimś czasie jednak zaczęło mu brakować nowych powodów, by ją odwiedzić, poza tym ona myślała teraz głównie o siostrze. Zrezygnował i przestał ją nachodzić.

Kiedy po trzydziestu sześciu godzinach zszedł z dyżuru, usiadł na skraju łóżka i chociaż był bardzo śpiący, zaczął ćwiczyć grę na gitarze, czego nie robił już od paru lat.

Musi zdobyć dojście do fortepianu.

Tego popołudnia po krótkiej drzemce pojechał metrem do stacji przy Dudley Street, gdzie zawsze wysiadało wielu kolorowych, po czym szedł w dół Washington Street tak długo, aż znalazł miejsce, jakiego szukał, zapuszczoną murzyńską knajpę z czerwono-czarnymi oknami i zepsutym neonem w kształcie dłoni trzymającej karty do pokera z białą nazwą klubu: Ace High. Nocny klub to stanowczo zbyt dumne określenie, był to raczej tani bar, który miał jednak jedną zaletę: w rogu stało pianino.

Zamówił szkocką, na którą wcale nie miał ochoty, i postawił ją na pianinie. Porysowany instrument był rozstrojony, lecz spod palców Spura popłynęły balsamiczne dźwięki.

Zupełnie zapomniał, co mówił mu wuj Baldwin, kiedy jako chłopiec wracał wyczerpany do domu i skarżył się, że nie potrafi grać tak jak biali. Zapomniał nawet o zmarłej pacjentce i jej zagadkach.

Po chwili podszedł barman.

- Podać coś jeszcze, przyjacielu? - spytał, spoglądając na drinka, z którego Spurgeon upił może łyk.

- Aha. Jeszcze jednego.

- Grasz naprawdę nieźle, ale mamy już pianistę. Facet nazywa się Speed Nightingale.

- Nie przyszedłem na przesłuchanie.

Barman przyniósł mu drugą szklankę. Spur zapłacił dolara osiemdziesiąt. Później miał już spokój. Wreszcie wstał od pianina, usiadł na wysokim stołku przy barze i powtórzył zamówienie.

Barman rzucił okiem na stojące na instrumencie szklanki, z których tylko jedna była

pusta.

- Nie musisz nic zamawiać, żeby pogadać. Chcesz o coś spytać?

- Jestem lekarzem w szpitalu County General. Nie mogę wstawić sobie do pokoju pianina. Chciałbym wpadać tu parę razy w tygodniu, żeby sobie pograć. Tak jak dzisiaj.

Barman wzruszył ramionami.

- Jeśli o mnie chodzi, nie ma sprawy. Nic mi do tego. Tymczasem okazało się, że jest inaczej. Najbardziej lubił Debussy'ego, za którego zamiast gromkim aplauzem podziękował drinkiem. Spurgeon chciał zapłacić, lecz w porę ustąpił. Profesjonalista nigdy nie obraża miłośnika muzyki.

Parę dni później, kiedy ponownie odwiedził klub, przy barze stał szczupły brązowy facet z włosami jak Zulus i cienkim wąsikiem. Rozmawiał z barmanem. Spurgeon skinął głową na powitanie i poszedł prosto do pianina. Przez całą drogę w wyobraźni słyszał muzykę, a teraz po prostu usiadł i zaczął grać. Bach. Na początek „The Well-Tempered Clavier”, później fragmenty z „Francuskich suit” i „Fantazji i Fugi Chromatycznej”.

Po pewnym czasie do pianina podszedł szczupły Murzyn, niosąc dwie szkockie.

- Grasz jak zawodowiec. - Wręczył Spurowi szklanekę. Spurgeon przyjął poczęstunek i uśmiechnął się.

- Dzięki.

- A znasz coś trochę lżejszego?

Spurgeon wypił łyk, odstawił szklanekę i zagrał kawałek Shearinga.

Mężczyzna przysunął krzesło, po czym lewą ręką zaczął grać linię basu, prawą akordy. Spur zaś w górnych oktawach rozpoczął improwizację, która stawała się coraz dziksza, w miarę jak bas narzucał coraz szybsze tempo. Barman przestał polerować szkło, stał tylko i słuchał. Raz dominował jeden, raz drugi. Prowadzili te zmagania tak długo, aż ich czoła zalśniły od potu, a kiedy za obopólnym porozumieniem przestali, Spur czuł się tak, jakby przebiegł kilka mil w deszczu.

Wyciągnął rękę.

- Spurgeon Robinson.

- Speed Nightingale.

- Aha. A więc to twoja szafa.

- Akurat. To własność knajpy, a ja jestem tu tylko najemną siłą roboczą. Dzięki, że się dostroiłeś. Już od dawna tak dobrze nie brzmiałem.

Usiedli przy stoliku i Spurgeon zamówił kolejkę.

- Słuchaj, mam dla ciebie propozycję. Razem z kumplami zbieramy się w pewnym

mieszkanu przy Columbus Avenue i robimy sobie małe jam session. Mówię ci, to dopiero prawdziwa muzyka. Mieszkanie 4D, budynek 11. Może wpadniesz kiedyś do nas?

- Świetnie. - Spur wyjął notes i zapisał adres. - Na pewno przyjdę.

- Fajnie. Trochę sobie gramy, popalamy, a potem robimy imprezę. Jeśli masz ochotę przypalić, to ktoś zawsze ma jakiś dobry towar.

- Nie używam tego.

- W ogóle? Pokręcił głową.

Nightingale wzruszył ramionami.

- Nie szkodzi. I tak przyjdź. U nas panuje pełna demokracja.

- W porządku.

- W tym mieście trudniej ostatnio trafić na dobry towar niż na porządny koncert.

- Tak?

- Tak. To prawda, że jesteś lekarzem?

- Kto ci powiedział? - Stojący za kontuarem barman wyjątkowo starannie polerował szkło. Spur czekał. Po chwili usłyszał słowa, które - teraz nie miał już żadnych złudzeń - po prostu musiały paść.

- Przynies trochę towaru na któreś spotkanie, a wszyscy na pewno będą ci wdzięczni.

- A skąd niby miałbym go wziąć, Speed?

- Do diabła, przecież każdy wie, że w szpitalach wala się tego całe mnóstwo. Nikt nie będzie płakał, jak trochę wyparuje. Mam rację, doktorze?

Spurgeon wstał i rzucił banknot na stół.

- Wiesz co? - mówił dalej Speed. - Zapomnij o tym. Po prostu daj mi parę pustych recept, a ja już sam skombinuję jakiś porządny koks.

- Na razie, Speed.

- Jakiś piekielnie dobry koks.

Kiedy przechodził obok kontuaru, meloman pilnie polerujący szkło nawet nie podniósł wzroku.

W muzyce odnalazł katharsis i dzięki temu na sali operacyjnej był bystrzejszy, bardziej rozluźniony i zaangażowany. Porównując się z innymi odkrył, że wcale nie jest zły. W tamten piątek przydzielono go na salę operacyjną, gdzie miał asystować doktor Parkhurst i Stanleyowi Potterowi. Niestety, czasami przychodziło mu współpracować z rezydentem i za każdym razem było to wyjątkowo niemiłe przeżycie, a czas, jak na złość, okropnie się wtedy dłużył.

Tego ranka robili przeszczepy Josephowi Grigio, pobierając zdrową skórę z uda i

transplantując ją na klatkę piersiową. Później trafił im się wyjątkowo otyły pacjent o nazwisku Macmillan, sierżant policji, któremu trzeba było usunąć wyrostek robaczkowy. Mężczyzna był tak gruby, że długo przebijali się przez warstwę nie kończącego się tłuszczu, aż wreszcie doktor Parkhurst usunęła wyrostek i zostawiła ich, żeby zawiązali kikut i zamknęli ranę.

Spurgeon ucinał nić, Potter wiązał. Spur od początku odnosił wrażenie, że rezydent zbyt mocno zaciska katgut, a nabrał stuprocentowej pewności, kiedy szew zaczął znikać pod tkanką.

- Za mocno - zwrócił uwagę. Potter posłał mu lodowate spojrzenie.

- Zawsze tak robię i jakoś wszystko jest w porządku.

- Szew wygląda tak, jakby miał zaraz przeciąć błonę surowiczą.

- Będzie dobrze.

- Ale...

Potter trzymał nić i z drwiącą miną czekał, aż stażysta ją obetnie.

Spurgeon wzruszył ramionami i pokręcił głową. W końcu ten typek jest rezydentem, a ja tylko stażystą, pomyślał i posłusznie przeciął nić.

Do Ace High już nie wrócił. Zamiast tego w niedzielę spytał panią Williams, czy mógłby od czasu do czasu poćwiczyć na ich pianinie. Instrument był kiepski, dojazd autem do Natick nie tak wygodny jak podróż kolejką na Washington Street, ale pani Williams lubiła go słuchać, a on miał przynajmniej okazję, by zobaczyć się z Dorothy.

We wtorek wieczorem, kiedy na dworze padał pierwszy śnieg, siedzieli w pokoju i rozmawiali szeptem, ponieważ jej matka, ojciec i mała siostrzenica spali w sąsiednim pokoju, za nie domkniętymi drzwiami. Wówczas to Dorothy zapytała, co go gryzie.

Już po chwili opowiadał jej ochryłym szeptem o starszej pani, która przez niego umarła, o Komisji Zgonów i o tym, że w razie czego zawsze może zarobić na życie jako muzyk.

- Och, Spurgeon.

Przyciągnęła jego głowę, a on oparł się o jej piersi, tak jak opierał się o Roe-Ellen, kiedy był małym chłopcem. Dorothy pochyliła się, żeby ucałować jego zamknięte powieki; poczuł płynące od niej współczucie, pożądanie i pragnienie, by w jego życiu wszystko jak najlepiej się ułożyło.

Kiedy jednak próbował zachować się, tak jak jego zdaniem w takiej sytuacji należało się zachować, skończyło się na ugryzionej wardze i podrapanej paznokciami potylicy. Zaraz potem dowiedział się, że Dorothy nadal dochowuje wierności jednej z podstawowych zasad

religii muzułmańskiej.

Wprost nie mógł w to uwierzyć. Przecież w środowiskach, w których się wychowywał i obracał, i to zarówno wśród czarnych, jak i białych, dwudziestoczteroletnie dziewice należały do rzadkości. Zdumiało go to, lecz się uśmiechnął, chociaż warga mocno go piekła.

- Kawalek ciała. Tkanka. Cienka, często bardzo delikatna. To nie ma nic wspólnego z bliskością. Co to ma za znaczenie? Przecież już jesteśmy sobie bliscy.

- Znasz ten dom i ogród? Jakies rupiecie, szkło, kilka drzew i trochę krzewów. Ale czy tylko tyle? Czy może jednak coś więcej? Jak sądzisz, czym to wszystko jest dla mojego ojca?

- Chodzi ci o moralność klasy średniej?

- Właśnie. Roześmiał się.

- Boże, co za analogia. Tak bardzo starasz się podporządkować, że w rezultacie stajesz się nonkonformistką. Przy tej ulicy nie ma drugiego równie zadbanego obejścia jak to. Idę też o zakład, że badania lekarskie nie wykazałyby istnienia zbyt wielu dwudziestoczteroletnich dziewic. Czy sądzisz, że musisz wymagać od siebie więcej niż ci wszyscy biali, którzy tu mieszkają, żeby zasłużyć na bilet do ich świata?

- Wcale nie staramy się niczemu podporządkować. Uważamy, że biali ludzie tracą coś, co kiedyś mieli, coś bardzo cennego. A my staramy się to zdobyć - odparła, sięgając do jego kieszeni po papierosa. Podał jej ogień. Oświetlona blaskiem płomienia afrykańska twarz sprawiła, że dłoń mu zadrżała i zapalka zgasła, lecz kiedy Dorothy się zaciągnęła, czubek papierosa się rozżarzył.

- Posłuchaj - odezwała się. - Myślałeś, że Midge to moje dziecko, prawda? No cóż, byłeś na dobrym tropie. To córka mojej siostry. Samotnej matki Janet.

- Twoja mama mówiła mi o tym. Ale nie wiedziałem, że twoja siostra nie ma męża.

- Nie ma. Wiesz, jak wyglądała w młodości Lena Home? Dodaj jeszcze do tego... taką radosną dzikość. To właśnie moja młodsza siostra.

- Dlaczego jeszcze jej nie poznałem?

- Zjawia się w domu tylko od czasu do czasu. Bawi się wtedy z Midge, jakby sama była dzieckiem, a nie matką. Twierdzi, że nie czuje się matką. Mieszka w Bostonie z bandą białych hipisów.

- Przykro mi. Wzruszyła ramionami.

- Janet twierdzi, że dla nich kolor skóry się nie liczy. Wygląda na to, że nigdy niczego się nie nauczy. Ojciec Midge to baseballista z Minneapolis, ściągnięty na próbę do Red Sox. Na kilka tygodni. Grał na trzeciej bazie. Zagrał też sobie na mojej siostrze.

- Nie jest pierwszą dziewczyną, która popełniła ten błąd - odparł łagodnie.

- Powinna była wiedzieć, że biali baseballiści nie umawiają się z czarnymi dziewczynami dla dobra amerykańskiej demokracji. Zanim wrócił do którejś tam podrzędnej ligi, jej już spóźniał się okres. - Zgasła papierosa. - Z chęcią pozbyłaby się dziecka, ale mój ojciec to dziwny człowiek. Zaakceptował Midge, dał jej swoje nazwisko i nawet nie chciał słyszeć o sądzeniu się z tym baseballistą. Chodził z podniesioną głową, patrzył wszystkim sąsiadom prosto w oczy i jakby czekał, aż ktoś mu powie, że jego rodzina to śmieci i że wszystkie jego wieloletnie wysiłki, by się wybić, spełzły na niczym. Z tego co wiem, nikt mu słowa nie powiedział. Tylko że ojciec... jego świat albo przynajmniej jego część... na pewno się zawałiła...

Spur wziął ją w ramiona.

- Janet zawsze była jego oczkiem w głowie - mówiła przytulona. - Na pewno by temu zaprzeczył, ale to prawda.

- Maleńka, przecież nie wynagrodzisz mu tego żyjąc jak zakonnica.

- Spur, być może to, co teraz powiem, sprawi, że spakujesz zabawki i zwiejesz stąd w te pędy, ale i tak muszę ci to powiedzieć. Ojciec przez cały dzień chodzi po domu wstrzymując oddech, bo wydaje mu się, że istnieje szansa, że między nami zaczyna się coś poważnego, że może któregoś dnia zechcesz poprosić mnie o rękę. Czarny zięć i do tego lekarz, o mój Boże.

Pogładził ją po plecach.

- Nie sądzę, żebym z tego powodu miał zwiać. - Tym razem Dorothy odwzajemniła pocałunek.

- A może powinienes - wyszeptwała, z trudem odzyskując oddech. - Chcę, żebyś mi coś przysięgł...

- Co?

- Gdybym kiedyś... straciła nad sobą kontrolę... obiecaj mi...

Złość tylko na chwilę zapała mu dech w piersiach, później musiał bardzo się starać, by na jego twarzy nie pojawił się szeroki uśmiech.

- Kiedy wyjdiesz za mąż, twój pan młody otrzyma cały pakiet. Nienaruszony, razem z plombą - zapewnił trzeźwo. To powiedziawszy, uniósł głowę i zaryczał, czym strasznie ją rozżłościł, a rodziców obudził. Pan Williams wybiegł z sypialni w szlafroku i kapciach i Spurgeon zauważył, że śpi w długich kalesonach. Zaraz za mężem pojawiła się pani Williams, bez górnej szczęki, mrugając oczyma i mrużąc coś pod nosem. Spurgeon doszedł do wniosku, że i ona na swój sposób go zaakceptowała. Zanim wróciła do łóżka, zrobiła mu gorące kakao, okazało się jednak, że jego śmiech obudził Midge; kiedy mała zaczęła płakać,

pani Williams zbeształa go za zbyt głośne i wyjątkowo nierozsądne zachowanie.

Zanim dotarł do szpitala, było już po drugiej. Po drodze do pokoju zajrzał do kilku pacjentów, między innymi do Macmillana. Potężny policjant jęczał i gorączkował. Z karty wynikało, że zarówno temperatura, jak i puls wynosiły równo sto.

- Czy doktor Potter widział wieczorem tego pacjenta?

- spytał pielęgniarkę.

- Tak. Pacjent narzekał na złe samopoczucie i tkliwość uciskową. Doktor Potter powiedział, że widocznie ma bardzo niski próg wytrzymałości na ból. Zlecił setkę demerolu.

- Wskazała na kartę.

Jeszcze jedno zmartwienie, pomyślał Spurgeon czekając na windę.

Położył się do łóżka, zgasił światło i w mroku rozważał ścieżki, po jakich mogło teraz potoczyć się jego życie.

Jeśli go wyrzucą, być może któryś z jego profesorów będzie mógł mu pomóc w znalezieniu pracy w jednym z nowojorskich szpitali.

Wtedy jednak musiałyby rozstać się z Dorothy. Na razie nie było go stać na małżeństwo. Nie chciałby, żeby wuj Calvin utrzymywał jego żonę.

Do Komisji Zgonów, która miała rozpatrzyć przypadek pani Donnelly, pozostał już tylko tydzień...

Była to jego ostatnia świadoma myśl. Obudził się w bladym świetle wczesnego poranka w mokrej od potu pościeli, mimo że w pokoju panował chłód.

Pamiętał bardzo wyraźnie, że śniły mu się i Dorothy, i Komisja Zgonów.

Kiedy w sobotę wrócił na oddział, stan Macmillana uległ znacznemu pogorszeniu. Mężczyzna miał zaczerwienioną twarz, usta suche i spękane. Jęczał z bólu, który promieniował z wnętrza wielkiego, twardego brzucha. Jego puls walił z prędkością stu dwudziestu uderzeń na minutę, temperatura sięgnęła stu dwóch stopni.

Potter wyjechał na szumnie rozreklamowaną wycieczkę w nowojorskie luksusy. Och, ty żaloszny snobie, pomyślał Spurgeon, mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawił i dokładnie zapamiętasz każdy szczegół. Poszedł do telefonu i zadzwonił do doktora China, który miał akurat dyżur.

- Mamy tu pacjenta, który zdradza książkowe objawy zakażenia. Jestem prawie pewny, że to zapalenie otrzewnej - powiedział, po czym szczegółowo opisał przypadek.

- Natychmiast dzwoń na salę operacyjną i zarezerwuj dla niego stół - odparł doktor Chin.

Kiedy zwieźli go na dół i otworzyli, stwierdzili, że kikut wyrostka pękł. Z powodu

obręku tkanka zaczęła naciskać na zbyt mocno zaciśnięty katgut, który rozciął ją tak, jak ostry nóż rozcina ser.

- Kto to, do diabła, wiązał?

- Doktor Potter - odparł Spurgeon.

- Znowu ten dureń - pokręcił głową chirurg. - Tkanka jest przesiąknięta płynem i zbyt krucha, by udało się nam coś z nią zdziałać. Jeśli dotkniemy jej zaciskiem, rozpadnie się na kawałki. Będziemy musieli przyciągnąć kątnicę do ściany brzucha i wykonać przetokę.

Pod cierpliwym nadzorem starszego chirurga Spurgeon naprawił to, co spartaczył Potter.

W poniedziałek rano nastąpiła rotacja dyżurów i Spurgeon miał teraz przed sobą pięć tygodni w pomocy doraźnej, przez co był bardzo spięty, jako że właśnie tu, gdzie sprawy toczyły się w bardzo szybkim tempie, a jeśli trzeba było podjąć decyzję, należało to zrobić bez chwili zwłoki, już raz zawiódł. Dobrze wiedział, co musiałyby oznaczać ewentualna powtórka wpadki z panią Donnelly...

Starał się o tym nie myśleć.

W karetce dyżurował z Maishem Meyersonem. Był to intensywny klub dyskusyjny, swego rodzaju Przegląd Wiadomości ze Świata, seminarium z filozofii. Poglądy kierowca karetki miał zawsze bardzo zdecydowane, często irytujące i już koło południa Spurgeon czuł się znużony jego towarzystwem.

- Weźmy na przykład konflikt rasowy - zaczął Meyerson nowy temat.

- W porządku, rozumiem.

Maish spojrzał na niego podejrzliwie.

- Zaczekaj, a nie będzie ci do śmiechu. To są dwie armie, czarna i biała, zdolne zamienić ten kraj w jeden wielki fajerwerk.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Tobie pewnie się wydaje, że wszyscy biali to liberałowie w ubrankach braci Brooks?

- Nie.

- No więc, kurczę, właśnie o to chodzi. Dla wielu z nas czarny człowiek to zagrożenie.

- Chcesz powiedzieć, że jestem dla ciebie zagrożeniem?

- Ty? - prychnął Meyerson pogardliwie. - Nie, ty jesteś wykształconym śmieciem, doktorkiem. Białasem o czarnej skórze. W porównaniu z tobą nawet ja jestem czarnuchem. Bo ja jestem białym czarnuchem. Mnie zagrażają czarnoskóre czarnuchy, a jest ich od jasnej cholery i jeszcze trochę. Dlatego najpierw będę pomagał samemu sobie. Dobroczynność zaczyna się w domu.

Spurgeon nie odpowiadał. Meyerson spojrział na niego z ukosa.

- I dlatego jestem zły, zgadza się?

- Pewnie że tak.

- Ty niby jesteś lepszy?

- Jasne - odrzekł Spurgeon, aczkolwiek z nieco mniejszym przekonaniem.

- Pieprzysz! Słyszałeś kiedyś swój głos, jak gadasz z kolorowym pacjentem? Brzmi to tak, jakbyś robił biednemu fagasowi niesłychaną łaskę płynącą z dobroci twego szlachetnego serca.

- Słuchaj, czy mógłbyś mi oddać drobną przysługę? Po prostu nie gadaj - warknął Spurgeon.

Z triumfującą miną Meyerson przyczał się za wlokącym się kabrioletem, który prowadziła kobieta, po czym ją nastraszył, włączając na chwilę syrenę, mimo że karetka była pusta, a oni wracali do szpitala.

Spur jakoś przetrwał te długie godziny.

Tego wieczora ogarnęło go głębokie współczucie dla Stanleya Pottera.

- Jesteś pewny? - spytał Adama.

- Widziałem na własne oczy - odparł Adam. - Siedział w gabinecie młodszych chirurgów, czytał gazetę i popijał kawę, kiedy wezwano go do Starego. Niedługo potem wrócił. Wyglądał jak zbity pies. Wyjął graty z szafki i spakował w papierową torbę. Żegnamy, doktorze Potter.

- Amen. Ale ja będę następny.

Nie zdawał sobie sprawy, że powiedział to na głos, aż do chwili gdy spostrzegł spojrzenie Adama.

- Nie bądź osłem.

- Jeszcze dwa dni, stary. A potem wielka komisja rozszarpie mnie na kawałki.

- To na pewno. Ale gdyby mieli zamiar cię stąd wykopać, nie czekali by na posiedzenie komisji. Sam widzisz, że z Potterem się nie patyczkowali, zgadza się? Bo za co tylko się zabrał, wszystko spieprzył. Tamta kobieta zmarła, nie da się tego ukryć, ale gdyby mieli zwalniać każdego lekarza, który popełnił błąd w sztuce, zaręczam ci, że nie miałby kto leczyć.

Spurgeon nie odpowiedział. Jeśli chcą, mogą nigdy nie przyznawać mi statusu rezydenta, pomyślał, tylko niech pozwolą mi zostać na stażu.

Nie chciał porzucać medycyny.

Potrzebował muzyki jako sposobu ucieczki w piękno od brzydoty choroby, z którą

spotykał się w każdym kącie szpitala. Ale choćby świat miał się walić na czterdzieści różnych sposobów, nie potrafiłby udawać, że pragnie spędzić resztę życia grając na fortepianie.

W środę rano nie był już tego aż taki pewien. Dzień zaczął się złowrogo. Adam Silverstone leżał w łóżku z wysoką gorączką jako najświeższa ofiara wirusa, który zmieniał personel szpitala w jego pacjentów. Spurgeon dotąd nie uświadamiał sobie, jak ogromne znaczenie ma dla niego ciche wsparcie Adama.

- Mogę ci jakoś pomóc? - spytał załóżnie. Adam spojrzał na niego i jęknął.

- O Jezusie, po prostu idź na dół i miej to już za sobą.

Ze śniadania zrezygnował. Na dworze szalała dzika zadymka. Niektórzy lekarze już zadzwonili, że nie zdążą przyjechać na posiedzenie komisji, co Spurgeon uważał za dobrą wiadomość, aż do chwili gdy ogłoszono, że zostało ono przeniesione z amfiteatru do biblioteki, której intymność miała go wystawić na jeszcze cięższą próbę.

O dziewiątej pięćdziesiąt, kiedy polecono mu zgłosić się w gabinecie doktora Kendera, zareagował z obojętnością, przekonany że poinformują go o zwolnieniu jeszcze przed posiedzeniem komisji. Widocznie w tym tygodniu postanowili pozbyć się wszystkich nieudaczników.

U Kendera zastał dwóch nieznanymi mężczyzn; byli to porucznik James Hartigan z Wydziału Narkotyków oraz Marshall Colfax, farmaceuta z Dorchester.

- Czy to pan pisał, doktorze Robinson? - cicho spytał Kender.

Spurgeon wziął recepty i szybko przekartkował. Każda upoważniała do zakupu dwudziestu czterech tabletek siarczanu morfiny, po ćwierć grana sztuka*[* gran - aptekarska miara wagowa, 1 gran = 64,8 mg (przyp. tłum.)].

Wszystkie zostały wypisane na nie znane mu nazwiska. George Moseby, Samuel Parkes, Richard Meadows.

Na każdej widniał jego podpis.

- Nie, sir.

- Skąd ta pewność, doktorze? - spytał porucznik.

- Po pierwsze, dopóki nie ukończę stażu, mam jedynie ograniczoną licencję na wykonywanie zawodu lekarza, co oznacza między innymi, że wypisuję zlecenia, które są wykonywane w aptece szpitalnej, ale nie wolno mi wypisywać recept. Po drugie, to wprawdzie moje nazwisko, ale nie mój podpis. Poza tym każdy lekarz posiada Federalny Numer Rejestracyjny, a ten na recepcie nie jest mój.

- Nie ma powodu do niepokoju, doktorze Robinson - szybko wtrącił Kender. - Nie jest pan jedynym lekarzem, którego nazwisko zostało wykorzystane do takiego celu. Po prostu

tym razem trafiło na pana. Muszę oczywiście prosić, by nikomu pan o tym nie wspominał.

Spurgeon skinął głową.

- Dlaczego zaczął pan podejrzewać, że te recepty zostały sfalszowane? - spytał Kender farmaceutę.

Colfax uśmiechnął się.

- Przede wszystkim zwróciło moją uwagę, że wypisano je wyjątkowo starannie. Weźmy na przykład skróty. Prawie każdy lekarz, z jakim się zetknąłem, pisze po prostu „p.r.n.” zamiast pro re nata.

- Co to oznacza? - zainteresował się Hartigan.

- To po łacinie „w razie potrzeby” - wyjaśnił Spurgeon.

- Tak. Proszę spojrzeć na te recepty. Na nich jest to w całości - powiedział Colfax. - Kiedy przejrzałem te i sprawdziłem wcześniejsze, stwierdziłem, że wszystkie są do siebie bardzo podobne, całkiem jakby wypisano je hurtem.

- Sprawca popełnił jednak błąd - wtrącił Hartigan. - Kiedy pan Colfax odczytał mi receptę przez telefon, od razu wiedziałem, że to fałszywka. Facet użył sześciocyfrowego numeru federalnego. Tak się składa, że w Massachusetts nie mamy tylu lekarzy.

- Czy udało się wam złapać człowieka, który realizował te recepty? - spytał Kender.

Hartigan pokręcił głową.

- Kiedy przyszedł po raz ostatni, zanim zadzwoniłem na policję, zadałem mu kilka pytań - wyjaśnił Colfax. - Pewnie go spłoszyłem. - Uśmiechnął się. - Cóż, nędzny ze mnie detektyw.

- Wręcz przeciwnie, panie Colfax - sprzeciwił się Hartigan. - Mało który farmaceuta jest na tyle spostrzegawczy, żeby zwrócić uwagę na podobne szczegóły. Czy zechciałby pan opisać doktorowi Robinsonowi tego człowieka?

Colfax zawahał się.

- No cóż, to był Murzyn... - Odwrócił wzrok, wyraźnie zakłopotany.

Zbierz się w sobie, spójrz na nas, pomyślał Spurgeon.

- Miał wąsy. Niestety, niewiele pamiętam. Speed Nightingale?

Hartigan uśmiechnął się.

- Orientuję się, że to niezbyt wiele, doktorze Robinson. Spurgeon zdał sobie sprawę, że byłoby nie w porządku mieszać do tego Nightingale'a. W końcu wielu czarnych nosi wąsy, a spośród nich na pewno niejeden bierze narkotyki.

- To mógł być praktycznie każdy - powiedział. Hartigan pokiwał głową.

- Sporo osób ma okazję, by dorwać się do pustych recept. Pracownicy drukarni,

personel szpitala, pacjenci i ich rodziny, kiedy lekarz na moment się odwróci. - Westchnął.

Doktor Kender spojrział na zegarek i odsunął krzesło.

- Czy możemy jeszcze w czymś pomóc? - spytał. Obaj goście uśmiechnęli się i wstali.

- W takim razie musimy panów niestety przeprosić. Doktor Robinson i ja musimy teraz udać się na konferencję.

O wpół do jedenastej Spurgeon usiadł na jednym z krzeseł przy długim, bardzo lśniącym stole i natychmiast zaczął skubać herbatniki i popijać colę, patrząc wprost przed siebie na ścianę ozdobioną plakatem przedstawiającym Marcello Malpighiego, odkrywcę krążenia włosniczkowego, który wyglądał trochę jak doktor Sack z brodą i w tupecyku.

Lekarze schodzili się jeden po drugim. Kiedy do biblioteki wszedł doktor Longwood, wszyscy wstali.

Meomartino przedstawił pierwszy przypadek, bardzo długi.

Meomartino przedstawił następny przypadek. Nie ten. Może, myślał Spurgeon z nadzieją, mną się dzisiaj nie zajmą. Może zabraknie im czasu. Kiedy wszakże uniósł wzrok i spojrział na zegar, zrozumiał, że będzie go aż nadto. Żołądek skurczył mu się, podszedł pod gardło i przez chwilę Spurgeon był niemal pewny, że zapisze się w annałach szpitala jako pierwszy stażysta, który zwymiotował na lśniący stół, na wszystkie te herbatniki, butelki z colą i na ordynatora chirurgii.

A potem Meomartino ponownie zabrał głos i Spur usłyszał wszystkie jakże dobrze mu znane informacje. Imię i nazwisko pacjentki, wiek, szczegóły wypadku samochodowego, któremu uległa, datę zdarzenia, historię jej chorób, rodzaje zdjęć rentgenowskich zrobionych jej w szpitalu, samowolne wypisanie jej do domu przez Spurgeona...

Chwileczkę, zreflektował się nagle. Co jest grane?

Ty przebiegły bydlaku!

A nasza rozmowa telefoniczna? Czyżbyś zapomniał? Przecież dzwoniłem do ciebie.

Jednakże Meomartino już referował, jak to starsza pani wróciła do szpitala, tym razem martwa.

Doktor Sack przedstawił wyniki sekcji zwłok, co zajęło mu niecałe pięć minut.

Doktor Longwood rozparł się na krześle.

- Takie przypadki są zawsze najgorsze - rzekł. - Ale niestety w dalszym ciągu zdarza się nam tracić pacjentów w taki właśnie sposób. Jak pan sądzi, doktorze Robinson, dlaczego tak się dzieje?

- Nie wiem, sir.

Podkrążone oczy wpatrywały się w Spurgeona, który z przerażeniem i fascynacją

spozrzegł, że głowa doktora Longwooda zaczęła niemal niezauważalnie drżeć.

- Otóż dlatego, że takie przypadki wymagają, byśmy umieli rozpoznać urazy, z którymi na co dzień się nie spotykamy. Należy tu zaznaczyć, że są to urazy w pełni uleczalne, pod jednym warunkiem: muszą zostać właściwie rozpoznane. Bo w przeciwnym wypadku pacjent skazany jest na śmierć.

- Tak, sir - odrzekł Spurgeon.

- Nikt nie musi mi mówić, jakiej presji podlegają lekarze w tym szpitalu i jak ciężka jest ich praca. Przed wieloma laty także ja byłem stażystą, i to w tym szpitalu, później pracowałem tu jako chirurg, aż w końcu dostałem wymarzoną posadę. Wiem, że trafiają do nas pacjenci zaniedbani i czasami bardzo trudni, a na dodatek jest ich tak wielu, że pracownicy niejednej prywatnej placówki nie uwierzyliby, że w ogóle jesteśmy w stanie poradzić sobie z całym tym kramem. Ale właśnie fatalny stan naszych pacjentów, jak również wymagania współczesności obligują nas do wzmożonej czujności. I dlatego każdy stażysta powinien zawsze zadać sobie pytanie, czy na pewno pacjent został prawidłowo zdiagnozowany i czy zrobiono wszystkie niezbędne zdjęcia. Czy pan zadał sobie te pytania, doktorze Robinson?

- Tak, sir, zadałem - odparł Spurgeon.

- W takim razie dlaczego ta kobieta zmarła?

- Przypuszczam, że moja wiedza okazała się zbyt mała, bym był w stanie jej pomóc.

Doktor Longwood pokiwał głową.

- Zabrakło panu doświadczenia. I właśnie dlatego żaden stażysta nigdy nie powinien podejmować decyzji o wypisaniu pacjenta ze szpitala, nawet gdyby ten złorzeczył, że wszystko tak długo trwa i że bez potrzeby marnuje się jego czas. Stażysta ma obowiązek poczekać, aż bardziej doświadczony lekarz zdecyduje, czy pacjent rzeczywiście powinien zostać wypisany. Żaden pacjent nie umarł jeszcze ze złości, a naszym obowiązkiem jest chronić go przed samym sobą. Czy wie pan, co by było, gdyby pan jej nie wypisał?

Spurgeon szukał wzrokiem oczu Meomartino, ten jednak był akurat zbyt zajęty przeglądaniem historii choroby.

- Pacjentka żyłaby - odparł.

Zapadło milczenie i Spurgeon skierował wzrok z powrotem na doktora Longwooda. Zapadnięte niebieskie oczy, które świdrowały go przez całe posiedzenie, wciąż patrzyły w jego stronę, lecz zniknął z nich złowrogi błysk, wydawało się też, że skupiły się na czymś, co znajdowało się bardzo daleko za Spurem.

- Doktorze Longwood? - odezwał się Kender. - Harlandzie - powtórzył po chwili. -

Czy możemy rozpocząć głosowanie?

- Słucham?

- Czy możemy rozpocząć głosowanie?

- Zgon możliwy do zapobieżenia - zaczął doktor Kender.

Doktor Longwood przejechał językiem po zaszuszonych wargach i spojrział na doktora Sacka.

- Możliwy do zapobieżenia. Na doktor Parkhurst.

- Możliwy do zapobieżenia. Możliwy do zapobieżenia. Możliwy do zapobieżenia. Możliwy do zapobieżenia.

Spurgeon raz jeszcze spróbował spojrzeć Meomartino w oczy, jednakże ponownie okazało się to niewykonalne. Zapewne to tylko przypadek, Meomartino na pewno nie unika mojego wzroku, powtarzał sobie siedząc bez ruchu, wpatrzony w portret Marcello Malpigiiego.

Kiedy odwiedził Adama Silverstone'a w jego pokoju na szóstym piętrze, myślał, że ten ze wściekłości zacznie chodzić po ścianach.

Co więcej, Spur ze zdumieniem stwierdził, że owa wściekłość skierowana jest bezpośrednio przeciwko niemu.

- Jak mogłeś pozwolić, żeby Meomartino tak łatwo się z tego wywinął?!

- On nie kazał mi jej wypisać. To prawda, dzwoniłem do niego, ale zrozum, on niczego mi nie nakazał. Spytał tylko, czy naprawdę jest mi potrzebny, a ja uznałem, że poradzę sobie bez niego.

- Ale zadzwoniłeś do niego - odparował Adam. - A jego psim obowiązkiem było polecić ci, żebyś zatrzymał pacjentkę, dopóki nie będzie mógł zejść. Komisja na pewno wzięłaby to pod uwagę.

Spurgeon wzruszył ramionami.

- Pójdę z tym do Starego - stwierdził Adam.

- Wolałbym, żebyś tego nie robił. Wygląda tak fatalnie, że nie jestem pewien, czy byłby w stanie poradzić sobie z takim pasztetem.

- W takim razie idź z tym do Kendera. Spurgeon potrząsnął głową.

- Czemu nie?

- Dlatego - padła odpowiedź - że obowiązuje przepis, który mówi, że stażystom nie wolno wypisywać pacjentów do domu, a ja ten przepis złamałem. Dlatego że Meomartino nie kazał mi jej wypisać. Dlatego że jeśli chciałem się poskarżyć, powinienem był to zrobić podczas posiedzenia komisji.

- Wiesz co, Robinson? Ty jesteś największym idiotą, jakiego w życiu spotkałem - usłyszał jeszcze Spurgeon w progę.

Meomartino okazał się tchórzem i mięczakiem, pomyślał wsiadając z ponurą miną do windy.

Jednakże w czasie powolnej jazdy z szóstego piętra na parter walcząc ze starym, dobrze znajomym uczuciem strachu, zdołał przyznać się przed samym sobą, dlaczego nie ujawnił przed komisją że tamtego wieczora przeprowadził z Meomartino rozmowę telefoniczną.

Przerażały go te wszystkie białe, białe twarze.

Przez resztę dnia wszystko szło tak samo jak rano.

Czyli katastrofalnie.

Nie mając nic do roboty nudził się w towarzystwie Meyersona. Aż do popołudnia. Od wpół do czwartej do wpół do dziewiątej mieli sześć wyjazdów, w tym cztery do skomplikowanych przypadków, później, dokładnie za dwadzieścia pięć dziewiąta, wysłano ich na Simpson Court 31 w Charlestown po panią Catlett, żonę Thomasa Catletta, której zagrażał przedwczesny poród. Meyerson tymczasem zjechał z autostrady i zaczął kluczyć uliczkami, których chyba nikt nie poszerzał, odkąd uznano, że są wystarczająco obszerne, by pomieścić Paula Revere'a i jego konia*[* Paul Revere - amerykański złotnik i patriota. Zasłynął tym, że 18 kwietnia 1775 roku pojechał konno w środku nocy z Bostonu do Concord, aby ostrzec kolonistów przed zbliżającymi się oddziałami brytyjskimi.].

W końcu zatrzymał się na zakazie przed księgarnią Shapiro przy Essex Street.

- A ty dokąd? - spytał niepewnie Spurgeon.

- Jestem głodny. Kupię sobie w delikatesach jakąś kanapkę i coś do picia, a jak będę jadł, ty poprowadzisz. Zgoda?

- Tylko się streszczaj.

- W porządku, wyluzuj się. Może ci coś przynieść? Kanapkę z mielonką?

- Nie, dzięki.

- To może z pastrami? Gotują je na parze.

- Maish, nie mamy czasu.

- A jeść trzeba.

Spurgeon skapitulował i wyjął z portfela dolara.

- Szwajcarski na białym pieczywie. I kawę. Czarną, bez cukru.

Siedział na przednim siedzeniu ambulansu i oglądał książki na wystawie, tymczasem mijały sekundy, potem minuty, a Maish ciągle nie wracał. Wreszcie Spurgeon wysiadł z

karetki, poszedł na róg i zajrzał przez wielką szybę do delikatesów Essex. Otoczony wiszącym na wystawie ogromnym wiankiem salami, z torsem schowanym za stertą kiełbas, Meyerson stał w kolejce, prowadząc ożywioną dyskusję z dwoma taksówkarzami.

Spurgeon zapukał w szybę, zignorował spojrzenia jakichś stu dwudziestu paru oczu ciekawskich i wskazał palcem na zegarek.

Maish wzruszył ramionami i pokazał na ladę.

O Boże, nawet go jeszcze nie obsłużyli.

Spur poszedł w drugą stronę, minął księgarnię i doszedł do najbliższej przecznicy. Dalej zaczynał się Chinatown, płonąca dżungla neonowych palm i smoków.

Zawrócił. Jeszcze chwilę postął oparty plecami o karetkę, aż w końcu nie wytrzymał.

Szybkim krokiem wszedł do delikatesów.

Maish siedział z taksówkarzami przy stoliku, na stojącym przed nim talerzu zostały już tylko okruszki. W butelce było jeszcze około cala piwa.

- Rusz tyłek, do jasnej cholery, i wracaj do auta - polecił Spurgeon.

Maish spojrzał na taksówkarzy i wznosił oczy ku niebu.

- Nowy - powiedział tylko.

W karetkę wręczył Spurgeonowi brązową papierową torbę i dwadzieścia centów reszty.

- Pomyślałem sobie, że jak wrzucę to w siebie na miejscu, będę mógł prowadzić.

Znam Charlestown. Ty mógłbyś się zgubić.

- Lepiej spadajmy stąd i pędźmy po tę kobietę. Tak ja sobie myślę.

- My ją przywieziemy do szpitala, a ona i tak urodzi dopiero za dwa dni. Zobaczysz.

Przejechali przez Chinatown i wkrótce znaleźli się na dwupasmówce.

- Jedz - polecił Maish, żydowska matka korpusu sanitariuszy.

Prawdopodobnie dlatego, że Spur był zdenerwowany, kanapka smakowała mu jak karton, kawa zaś wydawała się ohydnie chłodna i chlapała z kubka, kiedy jechali przez most Tobin Memorial.

- Masz ćwierćdolarówkę? - To kierowca miał obowiązek uiszczać opłaty drogowe, lecz Spurgeon wyjął pieniądze, odnotowując w pamięci, żeby je później sobie odebrać.

Wszystkie ulice były takie same. Wszystkie domy także. Minęło jeszcze dobre dziesięć minut, zanim Maish raczył przyznać, że nie jest w stanie odnaleźć Simmons Court, i kolejne pięć, zanim dał sobie spokój z planem miasta.

Po długich konsultacjach z policjantami w końcu udało im się dotrzeć na miejsce. Była to nieoświetlona ślepa uliczka, chyba na terenie prywatnym. Państwo Catlett mieszkali -

jakże mogłoby być inaczej? - na trzecim piętrze, a ich nora była ciemna, brudna i cuchnąca. Kręciła się po niej gromadka wyrwanych ze snu, przerażonych dzieci i milczący ponury mężczyzna. Kobieta cierpiała na otyłość spowodowaną niepowodzeniami, wiecznymi problemami i zbyt częstymi porodami. Spur i Maish podnieśli nadmiernie obciążone nosze, jęcząc unisono. Najstarsza córka położyła obok matki brązową papierową torbę.

- To moja koszula nocna i wszystkie drobiazgi - odezwała się kobieta z dumą.

Ruszyli w stronę drzwi, lecz tuż przed progiem Spurgeon zatrzymał się - tak gwałtownie, że nosze wbiły mu się w uda - i spojrzał na mężczyznę.

- Nie chce się pan pożegnać? - spytał.

- Cześć.

- Cześć - odparła kobieta.

Była okropnie ciężka. Z ogromnym trudem znieśli ją po wąskich schodach.

- Uważaj na lód - ostrzegł Maish Przywódca na dworze. Kiedy w końcu wpełzli nosze do karetki, nogi drżały im z wysiłku.

Ciężarna krzyknęła.

- Co się stało - spytał Spurgeon.

Minęła chyba minuta, zanim zdołała odpowiedzieć. Wystraszony jej krzykiem Spurgeon zapomniał spojrzeć na zegarek.

- Mam bóle.

- Jakie bóle?

- Wie pan.

- Czy to był pierwszy raz?

- Nie. Brało mnie już kilkanaście razy.

- Meyerson, lepiej ruszaj. I z łaski swojej włącz koguta. Ten szpaner i kretyń Maish zrobił to bez chwili namysłu.

Przejechali przez puste podwórko i znaleźli się na równie pustej ulicy. We wszystkich okolicznych budynkach natychmiast pozapalały się światła, z okien wyjrzały czarne i brązowe twarze.

Spur usiadł obok pacjentki i oparł stopę o przeciwną ścianę, aby ograniczyć drżenie kolan, kiedy będzie na nich pisał.

- Żeby nie marnować czasu, spróbujmy wypełnić pierwszą część karty! - wrzasnął, przekrzykując syrenę. - Czy mogę prosić o pani nazwisko?

- Co?

- Imię i nazwisko!

- Martha Hendricks Catlett. Hendricks to moje nazwisko panięskie. - Ochryłym głosem przeliterowała dane.

Spurgeon skinął głową.

- Miejsce urodzenia?

- Rochester.

- W stanie Nowy Jork? - Skinęła głową. - Thomas to imię pani męża. Jaki jest inicjał drugiego imienia?

- C. jak Charlie. - Skrzywiła się, krzyknęła i pobladła. Tym razem spojrzął na zegarek. Dziewiąta czterdzieści dwie. Skurcz trwał prawie minutę.

- Miejsce urodzenia męża?

- Choctaw, Alabama. Cholerny łgarz!

- Dlaczego?

- Wmawia dzieciakom, że jest półkrwi Indianinem. Pokiwał głową i uśmiechnął się. Zaczynał ją lubić.

- Gdzie pracuje?

- Bezrobotnyyyyyyyyy! - Krzyk przeszedł w skowyt bólu. Ponownie spojrzął na zegarek. Dziewiąta czterdzieści cztery. Dwie minuty.

Dwie minuty?

Przecież ja nie umiem przyjąć porodu, pomyślał oszołomiony.

Całe jego doświadczenie w tej dziedzinie ograniczało się do pięciodniowego kursu położniczego, który przeszedł na trzecim roku studiów. Czyli przed dwoma laty.

Czy chociaż uważał wtedy na zajęciach?

- Ma pan basen, doktorze?

- Nie może pani poczekać?

- Chyba nie.

To mu wystarczyło. Wiedział, że dziecko wprost rwie się na świat. Rzucił się do przodu karetki i szturchnął Meyersona w ramię.

- Zjedź na bok i stań!

- Czemu?

- Bo mam ochotę kupić ci jeszcze jedną cholerną kanapkę z mieloną! - wrzasnął.

Karetką zwolniła i zatrzymała się, syrena umilkła, na koniec wydając z siebie dziwaczne czknięcie. Nagle zrobiło się bardzo cicho. Słychać było jedynie odgłosy przejeżdżających obok samochodów. Przejeżdżających bardzo szybko i bardzo blisko.

Spurgeon wyjrzał na zewnątrz i omal nie zemdleł. Stali na moście.

- Masz te sygnały dymne, raketnice, czy jak je tam zwali?

Maish pokiwał głową.

- To odpal je, żeby nas nie zabili.

- Mam zrobić coś jeszcze?

- Weź dwa patyki i wykrzesaj ogień. Zagotuj mnóstwo wody. Módl się. I, do cholery, trzymaj się ode mnie z daleka.

- Auuuuu - jęknęła kobieta.

Pod noszami znajdował się niewielki pojemnik z gazem rozweselającym i maska. I zestaw połoźniczy. Wyciągnął to wszystko i zaczął bardzo intensywnie myśleć. Z pewnością nie była pierwiastką. Czy jednak miała przynajmniej pięcioro dzieci, żeby można ją było nazwać wieloródką?

- Ile ma pani dzieci, mamusiu?

- Ośmioro - jęknęła.

- A ilu chłopców? - spytał, choć to akurat niewiele go obchodziło. Była wieloródką, a więc istniała całkiem realna szansa, że dzieciak wyleci z niej jak bomba.

- Pierwsi dwaj to synowie, a potem same córki - odparła, kiedy ściągał jej buty. Nie było oczywiście mowy o strzemionach; uniósł jej stopy i oparł o ławeczki po bokach noszy, tak aby krew nie spływała po nogach.

Meyerson otworzył drzwi, wpuszczając do środka szum ruchu drogowego.

- Doktor, masz może jakieś drobne? Przejdę się do telefonu i zadzwonię do szpitala.

Wręczył mu dziesięciocentówkę.

- Muszę zadzwonić gdzieś jeszcze.

Dał mu całą garść drobnych, wypchnął go z karetki i zablokował drzwi od środka.

Kobieta jęknęła.

- Dam pani coś przeciwbólowego, mamusiu.

- Zasnę?

- Nie. Poczuje się pani jak po paru głębszych.

Kiwnęła głową, a on pozwolił jej zaciągnąć się raz czy dwa gazem rozweselającym. Nie wiedząc, jaka będzie bezpieczna dawka, wolał nie przesadzić. Podziałało prawie natychmiast.

- Cieszę się - mruknęła.

- Z czego?

- Z tego, że jest pan Murzynem. Nigdy nie trafiłam na Murzyna.

Dobry Boże, pomyślał, nieszczęsna kobieta. Ja tam bym nie miał nic przeciwko temu,

żeby dziecko odebrali do spółki George Wallace*[* George Wallace i Louise Day Hicks - Znani amerykańscy rasiści (przyp. tłum.)] i Louise Day Hicks, pod warunkiem że jedno byłoby położnikiem, a drugie akuszerką.

No i oczywiście musieliby znaleźć się teraz właśnie tutaj.

Otworzył zestaw położniczy, którego zawartość nie była bynajmniej imponująca. Gruszka do odsysania, kleszczyki do powstrzymywania krwawienia, nożyczki i kleszcze. Podciągnąwszy sukienkę pani Catlett aż na brzuch, odsłonił uda potężne jak dęby i brązowe jedwabne figi, które natychmiast zaczął rozcinać.

- To prezent od drugiej córki - rozpląkała się.

- Kupię pani nowe.

Obnażony jej brzuch okazał się zdumiewający. Mroczny kawał mięsa, cętkowany z powodu grubej warstwy sadła i cały w rozstępach po częstych porodach; jej mąż kładł się na nim, by zaznać odrobinę rozkoszy, jedynej, na jaką mógł sobie pozwolić, jedynej, która nic go nie kosztowała, tańszej niż filmy, tańszej niż woda, i regularnie składał maleńkie nasionko, wkrótce przeistaczające się w to coś wielkiego i twardego jak arbuz.

Co było już nisko, tak bardzo nisko.

Mam jedno pytanie, ni z gruchy, ni z pietruchy, doktorze Robinson.

W jaki sposób wyciągnąć przedmiot niemal tak ogromny jak ten wielki brzuch przez otwór, który - chociaż zdarzało mi się widzieć mniejsze - i tak wydaje się stosunkowo ciasny?

Piekielnie ciasny.

Przyszło mu do głowy, że właśnie nadarza się niepowtarzalna okazja, by stracić dwoje pacjentów za jednym razem. A może nawet troje?

Znalazł butelkę zefiranu, połał szczerze srom oraz okolice, po czym wylał trochę na dłonie i machał nimi tak długo, aż wyschły. Nie był to w pełni satysfakcjonujący substytut mycia przed zabiegiem, lecz w tych warunkach musiał wystarczyć. Kobieta sapała, stękała, syczała i parła, jakby próbowała zdmuchnąć swój dom.

- Jak idzie, mamusiu? - spytał. Tylko stęknęła. Proszę, Boże.

Na jego białe spodnie chlusnął potok płynu. Wodospad Niagara w kolorze słomy. Oczy miała zamknięte, mięśnie ud napięte. W szparze sromu pojawiła się maleńka łysa główka, okolona włosami łonowymi matki niczym czarną tonsurką.

Jeszcze dwa skurcze i główka sterczała na zewnątrz. Spurgeon odessał płyn z maleńkich ust, po czym zdał sobie sprawę, że kobieta ma kłopoty z wypchnięciem ramion. Wykonał niewielkie nacięcie krocza, co na szczęście nie spowodowało zbyt obfitego krwawienia. Przy następnym skurczu pociągnął dziecko ku sobie i po chwili znalazło się ono

na lodowatym świecie. Założywszy na pępownię dwa zaciski, Spur wykonał między nimi cięcie i natychmiast spojrzął na zegarek. Ze względów prawnych konieczne było odnotowanie momentu narodzin.

Jedną ręką trzymał delikatną szyjkę i głowę, drugą maleńkie plecy, ciepłe, atlasowe i delikatne jak... pupcia niemowlęcia. Kompozytorze, muzyku, spróbuj to wszystko przekazać za pomocą dźwięków, mówił do siebie, choć dobrze wiedział, że to absolutnie niemożliwe. Noworodek otworzył usta, skrzywił się jak suszona śliwka i zapłakał, a z maleńkiego penisa popłynął strumień moczu. Czyli chłopiec. Szczodrze wyposażony przez naturę.

- Ma pani ślicznego synka - zwrócił się do kobiety. - Jak będzie miał na imię?

- Jak się pan nazywa, doktorze?

- Spurgeon Robinson. Chce mu pani dać tak na imię?

- Nie, do licha. Imię dostanie po ojcu. Po prostu chciałam wiedzieć, jak się pan nazywa.

Wciąż jeszcze się śmiał, kiedy Meyerson i oficer policji zastukali w drzwi karetki.

- Mogę w czymś pomóc, doktorze? - spytał policjant.

- Dziękuję, mam wszystko pod kontrolą. - Za nimi ciągnął się półmilowy korek, lecz Spurgeon uświadomił sobie, że klaksony zaczęły w końcu cichnąć. - Albo proszę zaczekać. Czy zechciałby pan potrzymać przez chwilę małego Thomasa Catletta?

Z punktu widzenia możliwości wystąpienia wstrząsu poród nie różni się niczym od zabiegów chirurgicznych. Spurgeon założył kobiecie kroplówkę z roztworu glukozy.

Przykrył pacjentkę kocem, postanawiając poczekać z porodem łożyska na nieco bardziej aseptyczne warunki. Następnie odebrał noworodka z rąk policjanta.

- Panie Meyerson - odezwał się doktor Robinson z wielką godnością. - Czy zechce pan teraz zwieźć nas z tego przeklętego mostu?

Kiedy dojechali do szpitala i Spurgeon otworzył drzwi, od razu oślepił go błysk flesza.

- Niech pan trzyma dziecko, doktorze - polecił kamerzysty. - I proszę przysunąć się bliżej matki.

Było dwóch fotografów, trzech reporterów. I dwie ekipy telewizyjne.

Cholera, pomyślał, po czym przypomniał sobie drobne, które potrzebne były Meyersonowi na jakieś inne telefony. Wściekły rozejrzał się dookoła.

Maish zniknął właśnie w drzwiach wejściowych. Zwiewał jak liść przed wiatrem. Nie, raczej jak marcowy zając.

Dużo, dużo później dotarł w końcu do swojego pokoju. Natychmiast zrzucił z siebie białe ciuchy, cuchnące krwią i wodami płodowymi. Co prawda prysznic na końcu korytarza

kusił, lecz Spur przez dłuższy czas siedział na łóżku i nic nie robił, po prostu dobrze się czuł.

Sampan, pomyślał w końcu. Weźmie prysznic, a potem kupi dwie butelki dobrego szampana. Jedną wypije z Adamem Silverstonem. Drugą z Dorothy.

Dorothy.

Wyszedł na korytarz, wrzucił dwie dziesiątki do automatu i wykręcił numer Dorothy.

Słuchawkę podniosła pani Williams.

- Czy ty wiesz, która jest godzina? - spytała ostro, kiedy poprosił Dorothy do telefonu.

- Aha. To właśnie jeden z uroków życia lekarza. Czas zacząć się do tego przyzwyczajać, mamusiu.

- Spurgeon? - odezwała się po chwili Dorothy. - I co z tą komisją?

- Nadal jestem stażystą.

- Ciężko było?

- Utarli mi nosa jak małemu szczeniakowi.

- Jak się czujesz?

- Świetnie. Jestem teraz największym żyjącym znawcą zęba obrotnika. - Nagle zachrypnął i zaczął jej opowiadać o wielkiej tłustej czarnej siostrze i prześlicznym, gładkim jak pupcia niemowlęcia, szczerze wyposażonym przez naturę bobasie, który przyszedł bezpiecznie na świat, dlatego że stając w pierwszej linii Spurgeon Robinson okazał się nieustraszonym lekarzem.

- Kocham cię, Spurgeon - rzekła cicho, lecz bardzo wyraźnie, a on wyobraził sobie, jak stoi w kuchni w samej koszuli nocnej, trzymając słuchawkę w pięknej smukłej dłoni, a jej matka krąży wokół niczym wielki ciemny motyl.

- Posłuchaj - powiedział głośno, nie przejmując się tym, że może go usłyszeć Adam Silverstone albo ktokolwiek inny w całym wszechświecie. - Ja też cię kocham, i to nawet bardziej niż pragnę twego dojrzałego nubijskiego ciała. Czyli zdecydowanie bardziej niż bardzo.

- Wariat - odparła tym swoim tonem starej panny nauczycielki.

- Aha. Ale kiedy ten twój bilet wstępu do wymarzonej białej średniej klasy zostanie w końcu skasowany, to ja będę kasownikiem.

Wydawało mu się, że się roześmiała, aczkolwiek nie był pewien, ponieważ się rozłączyła. Posłał głośny mokry pocałunek w buczącą słuchawkę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Harland Longwood.

W miarę postępu choroby Harland Longwood z wolna się do niej przyzwyczajał, jakby była brzydkim i znieawidzonym strojem, którego z powodów ekonomicznych nie mógł z siebie zrzucić. Stwierdził również, że potrzebuje coraz mniej snu - szczęście w nieszczęściu - albowiem pracował najefektywniej, kiedy kamienica w Cambridge spowita była w czarny aksamit, a świat wdzierał się przez zamknięte okna z minimum hałasu.

Pisał szybko, wykorzystując materiały zbierane powoli i skrupulatnie na przestrzeni minionych lat. Zanim zabierał się za następny rozdział, robił staranną korektę poprzedniego. Skończywszy pierwsze trzy, wiedział, że nadszedł czas na test i po bardzo długim zastanowieniu wybrał trzech wybitnych chirurgów, którzy mieszkali daleko od Bostonu, a więc nie wiedzieli jeszcze o jego chorobie. Rozdział dotyczący chirurgii klatki piersiowej wysłał do profesora Uniwersytetu McGill, rozdział o przepuklinie - do chirurga ze szpitala Loma Linda w Los Angeles, a ten o technice chirurgicznej - do wybitnego specjalisty z kliniki Mayo w Minnesocie.

Recenzje upewniły go, że to przedsięwzięcie jest nie tylko gonitwą za spełnieniem idiotycznego, egocentrycznego marzenia.

Profesor z McGill wyrażał się o części poświęconej klatce piersiowej w samych superlatywach i prosił o zgodę na opublikowanie jej w czasopiśmie, którego był redaktorem. Chirurg z Mayo wystawił ocenę równie wysoką, chociaż wskazał na dodatkowy obszar możliwej dyskusji, która wydawała się rzeczywiście jak najbardziej celowa, aczkolwiek wydłużyła pracę o bite trzy tygodnie. Kalifornijczyk, zazdrosny pedant, z którym Longwood od lat współzawodniczył, przyznał niechętnie, że wartość merytoryczna pracy jest wysoka, i od siebie dodał trzy poprawki, będące niczym innym jak próbą dzielenia włosa na czworo. Longwood z czystym sumieniem zignorował wszystkie jego uwagi, gdyż po prostu się z nimi nie zgadzał.

Pisał piórem, zapelniając liniowany papier zbitym pająkowatym pismem. Od czasu do czasu, kiedy wczesnym rankiem kończył pracę, potrzeba snu zwyciężała. W rezultacie w ogóle nie zjawiał się wtedy w szpitalu, co nigdy wcześniej mu się nie zdarzało. Cieszył się, że Bester Kender jest w stanie sobie poradzić.

Czuł się teraz na tyle bezpieczny, że któregoś dnia przy lunchu powiedział o książce Elizabeth i bardzo się wzruszył, kiedy zaproponowała, że będzie przepisywać rękopis na maszynie, nie wątpił bowiem, że chce mieć go na oku. Przez pierwsze dwa dni bawiła się maszyną jak dziecko nową zabawką, lecz już trzeciego ranka spędziła pół godziny przed lustrem wkładając kapelusz.

- Obiecałam Ednie Brewster, że pójde z nią na zakupy - wyjaśniła, a kiedy pokiwał głową, cmoknęła go w policzek.

Parę dni później zachorowała Bernice Lovett i Elizabeth musiała ją koniecznie odwiedzić.

Następnie Helen Parkinson uparła się, żeby pomogła jej komitetowi przygotować plan nowego przedstawienia w Vincent Club.

W dalszej kolejności była niezwykle potrzebna Susan Silberger, Ruth Moore i Nancy Roberts. Tymczasem leżąca obok maszyny sarta nie przepisane rękopisu rosła w zastraszającym tempie.

Zastanawiał się, kto tym razem jest jej wybranym.

Pomyślał, że Kubańczyk to człowiek stanowczo zbyt słaby, by ją przy sobie utrzymać, i w końcu znalazł usprawiedliwienie dla swej do niego niechęci.

Zawsze była w jego mieszkaniu jakiś czas, po czym wychodziła, podając dokładne personalia kobiety, z którą miała spędzić dzień. Już przy Helen Parkinson Longwood zorientował się, co tak naprawdę się święci.

- To znaczy, gdyby przypadkiem zadzwonił twój mąż? - spytał.

Liz spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Wuj Harlandzie, nie bądź głuptasem i nie mów rzeczy, których potem możemy oboje żałować - odparła.

- Elizabeth, przyszłaś tu, żeby mi pomóc. Ale może chcesz ze mną o... o czymś porozmawiać? Czy naprawdę nie mogę ci pomóc?

- Nie.

Zamiast o tym rozmyślać, zatelefonował do agencji sekretarek i zamówił maszynistkę na pół etatu.

Najgorsze były noce, które spędzał podłączony do dializatora ostrymi paluchami igieł. Szklane cylindry zabarwiały się na czerwono, kiedy aparat wysysał z niego krew niczym wampir, a on leżał nie mogąc się ruszyć, więziem martwego przedmiotu, który pozwalał mu żyć.

Jedynym odgłosem, jaki wydawał aparat, był cichy plusk. A chociaż Longwood

dobrze wiedział, że jest to nieożywiony produkt ludzkiej wiedzy, czasami miał wrażenie, że ów plusk to cichy drwiący śmiech.

Natychmiast po uwolnieniu uciekał z oddziału owładnięty ogromną ulgą, a po południu wyruszał w miasto, niczym marynarz na przepustce. Szedł na drinka do Ritz-Carltona, na obiad do Locke-Ober, gdzie często łamał zasady diety czując, że te niskosodowe ograniczenia dosłownie pozbawiają go soli życia. Zawsze też zamawiał dużo poobiedniej brandy. Nigdy nie był sknerą, teraz wszakże szczodrością napiwków wprawiał Loui'ego - kelnera, który obsługiwał go od trzydziestu lat - w niewymowne zdumienie.

Opętany pragnieniem, by dokończyć książkę, pracował każdej nocy; pisał tak szybko, jak potrafił, obserwując swój stan z obojętnością postronnego widza, który przypadkiem trafił na wyścigi konne i zastanawia się z ironicznym uśmiechem, kto wygra.

Kilka razy Elizabeth zostawiła u niego synka. Longwood siadał wówczas na podłodze i bawił się z małym we wpadających przez okno promieniach słońca, w swej słabości czując się jego rówieśnikiem, i ze szczerą radością popychał samochodziki, które Miguel przynosił ze sobą. Niebieskie autko popychała mała pulchna rączka, czerwone - długie kościste palce, które ostatnio trzymały przede wszystkim narzędzia chirurgiczne. Jeździli tak po dywanie, pod krzesłami i pod dużym stołem. Czasami po południu zabierał chłopca na prawdziwą przejażdżkę prawdziwym samochodem. Zwykle były to krótkie wycieczki, któregoś popołudnia jednak znaleźli się na drodze numer 128. Longwood z całej siły wciskał pedał gazu, wskazówka prędkościomierza pięła się coraz wyżej.

- Za szybko jedziesz, kochanie - zwróciła mu łagodnie uwagę Frances.

- Wiem - odparł z uśmiechem.

Nagle usłyszał wycie syreny; początkowo sądził, że to karetka, kiedy zaś uprzytomnił sobie swoją pomyłkę, dogonił go policjant na motocyklu dając znak, żeby zjechał na pobocze.

Policjant spojrzał na jego siwiznę, a później na lekarski numer rejestracyjny.

- Czy to jakiś nagły wypadek, panie doktorze? - spytał.

- Tak - odparł Longwood.

- Czy życzy pan sobie, bym pana eskortował?

- Nie, dziękuję - odparł, a policjant skinął głową, zasalutował i odjechał.

Kiedy ponownie spojrzał na Frances, znikła, zanim jeszcze zdążył ją spytać, jak ma się zachować w sprawie Elizabeth, a na przednim siedzeniu spał malec, skulony niczym kociak. Longwooda opanowało drżenie, zmusił się jednak do dalszej jazdy i wrócił do Cambridge, wlokąc się dwadzieścia mil na godzinę i trzymając się jak najbliżej prawego pobocza.

Nigdy więcej nie zabrał chłopca na przejażdżkę prawdziwym autem.

Rany od kaniul ropiały, igły trzeba więc było wbijać co jakiś czas w nowe miejsca, aż w końcu nogę Harlanda Longwooda zaczęły zdobić maleńkie blizny. W jego organizmie gromadziły się toksyny, któregoś dnia zaczęło go swędzieć całe ciało. Drapał się aż do krwi, potem leżał w łóżku i wił się, a po jego twarzy płynęły strumienie łez.

Gdy tego wieczora zgłosił się w szpitalu na dializę, lekarze zobaczyli zadrapania i momentalnie przepisali mu benadryl i stelazine, a doktor Kender poinformował, że odtąd będzie dializowany trzy, a nie jak dotąd dwa razy w tygodniu. Zamiast we wtorki i czwartki wieczorem, miał teraz przychodzić w poniedziałki, środy i piątki o dziewiątej rano. To oznaczało, że nawet jeśli w te dni będzie czuł się dobrze, nie będzie mógł pracować. Mimo to w dalszym ciągu co wieczór telefonował do Silverstone'a lub Meomartino, by dowiedzieć się, co słychać na oddziale. Zrezygnował natomiast z uczestniczenia w obchodach.

Czasami, kiedy był sam, płakał. Raz, uniósłszy wzrok, zobaczył Frances siedzącą koło jego łóżka.

- Nie możesz mi pomóc? - spytał. Uśmiechnęła się.

- Sam musisz sobie pomóc, Harlandzie - odparła.

- Panowie, co mogliśmy zrobić dla tego człowieka? - spytał Komisję Zgonów.

Nikt jednak nie odpowiedział.

Nie próbował już wracać do kaplicy Appleton ani do żadnej innej świątyni, lecz którejs nocy, kiedy pracował nad książką, nabrał nagle dziwnej pewności, że zdąży ją skończyć. Przeświadczenie to było niezwykle silne. Nie miało nic wspólnego z feerią wielobarwnych świateł i narastającą muzyką, jak to zwykle przedstawia się w kiepskich filmach wyświetlanych w telewizji w święta wielkanocne. Była to po prostu cicha, zdecydowana obietnica.

- Dziękuję, sir - rzekł na głos.

Nazajutrz, zanim dał się podłączyć do aparatu, zaszedł do pokoju pani Bergstrom i stanął przy jej łóżku. Wydawało mu się, że śpi, ale po chwili otworzyła oczy.

- Jak się pani czuje? - spytał. Uśmiechnęła się.

- Nie najlepiej - odparła. - A pan?

- Wie pani o mojej chorobie? - spytał z zainteresowaniem.

Skinęła głową.

- Jedziemy na tym samym wózku. To pan jest tym chorym doktorem, prawda?

A więc wiedzieli już nawet pacjenci. Informacja najwyraźniej rozpełzała się po całym szpitalu.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - spytał. Oblizwała usta.

- Doktor Kender i jego ludzie trzymają rękę na pulsie. Nie powinien się pan martwić.

O pana też się zatroszczą.

- Z pewnością - odparł.

- Są wspaniali. Dobrze mieć kogoś, komu można zaufać.

- Tak, to prawda.

W tym momencie w progu stanął Kender i powiedział, że aparat już czeka. Na korytarzu Longwood zwrócił się do młodszego lekarza:

- Ta kobieta bezgranicznie ci ufa. Jest przekonana o twojej nieomyślności.

- Zdarza się. Nie widzę w tym nic złego. Przeciwnie, taka wiara pomaga nam w pracy

- odrzekł Kender.

- Na nieszczęście, ja zdaję sobie sprawę z ograniczeń, którym podlegasz.

Kender pokiwał głową.

- Tak, to prawda, doktorze.

Longwood położył się, pielęgniarka podłączyła go do aparatu, który po chwili zaczął drwiąco pluskać. Leżał z zamkniętymi oczyma i delikatnie drapiąc swędzące miejsce zaczął od początku i powiedział Bogu wszystko.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Rafael Meomartino.

Tego wieczora Meomartino wrócił do domu, kiedy Huntley mówił dobranoc Brinkley. Liz, ubrana w domową sukienkę, odpoczywała na sofie w pokoju dziennym, włosy miała w lekkim nieładzie, zmęczenie podkreślało delikatne linie wokół oczu. Odwróciła się i nadstawiła policzek do pocałunku.

- Jak tam w pracy? - spytała.

- Okropnie - odparł. - Gdzie jest mały?

- W łóżku.

- Tak wcześnie?

- Nie budź go. Był zmęczony. Mnie zresztą też dał dzisiaj w kość.

- Tato? - zawołał Miguel ze swojego pokoju. Rafę poszedł do niego i usiadł na łóżku.

- Jak się masz?

- Dobrze - odparł chłopiec. Bał się ciemności, stojąca na biurku lampka była więc włączona.

- Nie możesz zasnąć?

- Nie - odrzekł mały. Kiedy wyjął rękę spod kołdry, Rafę spostrzegł, że jest brudna.

- Nie kąpałeś się dzisiaj?

Miguel pokręcił głową, na co Rafę poszedł do łazienki, napuścił do wanny ciepłej wody, potem przyniósł chłopca, rozebrał i delikatnie wykąpał. Normalnie Miguel broił w wodzie i rzucał się jak piskorz, teraz jednak był na to zbyt śpiący. Rósł szybko, jego ciało z trudem wytrzymało to szalone tempo. Kości biodrowe miał mocno sterczące, ręce i nogi bardzo chude.

- Robi się z ciebie wielki chłop - powiedział Rafę.

- Taki jak ty.

Rafę skinął głową. Wytarł syna, ubrał w czystą piżamę i zaniósł z powrotem do pokoju.

- Zrób namiot - poprosił Miguel. Rafę zawahał się, był zmęczony i głodny.

- Proszę - nalegał chłopiec.

Przyniósł z gabinetu stertę książek. Rozciągnął koc pomiędzy łóżkiem a biurkiem,

przyciskając każdy róg czterema, pięcioma książkami. Następnie pstryknął światło i razem z synem wczółgał się do namiotu. Akrylowy dywan był miększy niż darń. Malec przytulił się do ojca i objął go za szyję.

- Opowiedz mi o deszczu. Wiesz.

- Na zewnątrz leje jak z cebra. Wszystko jest takie zimne i mokre - posłusznie zaczął Rafę.

- I co jeszcze?

- W lesie małe zwierzęta trzęsą się z zimna, kopią więc w liściach i ziemi, żeby się rozgrzać. A ptaki pochowały główki pod skrzydłami.

- Aha.

- A czy nam jest zimno albo mokro?

- Nie - mruknął chłopiec.

- A dlaczego?

- Bo jesteśmy w namiocie.

- No właśnie. - Pocałował syna w gładki policzek, później zaczął go masować pomiędzy łopatkami, lekko poklepując i delikatnie głaszcząc.

Po chwili cichy równy oddech powiedział mu, że dziecko zasnęło. Delikatnie wyzwolił się z uścisku, wczółgał z namiotu i położył Miguela z powrotem do łóżka.

Tymczasem Liz nadal leżała na sofie.

- Nie musiałeś tego robić - powiedziała.

- Czego?

- Kąpać go. Wykąpałabym go rano.

- Lubię go myć.

- Nie jest zaniedbany. Są rzeczy, które robię dobrze, i takie, które robię źle. Ale uważam, że jestem dobrą matką.

- Jest coś do jedzenia?

- Zapiekanka. Muszę tylko włączyć piekarnik i ją podgrzać.

- Leż sobie - rzekł Rafę. - Ja to zrobię. Czekając, aż jedzenie się zagrzeje, pomyślał, że może mały drink postawi ich na nogi.

Właśnie szukał w kredensie toniku, kiedy za okrągłą puszką z płatkami owsianymi zauważył butelkę beefeatera. Była zimna i najwyraźniej wyjęto ją z lodówki na krótko przed jego przyjściem.

Przychodzi taki moment, pomyślał, kiedy trzeba spojrzeć prawdzie w oczy.

Postawił butelkę na tacy obok dwóch szklaneczek i zaniósł do pokoju.

- Martini?

Spojrzała na butelkę, lecz nic nie powiedziała. Przyrządził drinka i podał jej szklanę. Wypiła łyk.

- Powinien być zimniejszy - stwierdziła. - Choć muszę przyznać, że sama nie zrobiłabym lepszego.

- Liz, darujmy sobie sceny rodem ze „Straconego weekendu”. Masz ochotę pić w ciągu dnia? Pij. Nie musisz chować przede mną butelki.

- Przytul mnie. Proszę.

Położył się obok niej i mocno ją objął, balansując na skraju wąskiej sofy.

- Dlaczego piłaś?

Odsunęła się trochę i spojrzała mu w oczy.

- To mi pomaga - odparła.

- W czym?

- Zaczynam się bać.

- Czego?

- Już mnie nie potrzebujesz.

- Liz...

- Przecież to prawda. Kiedy cię poznałam, byłam ci potrzebna. Nawet bardzo. Teraz jesteś silniejszy. Samowystarczalny.

- Czy twoim zdaniem muszę być słaby, żeby cię potrzebować?

- Tak. Wszystko zniszczę, Rafę. Wiem to. Zawsze wszystko niszczę.

- To bzdura, Liz. Czy ty naprawdę nie widzisz, jaka to bzdura?

- Wcześniej to nie miało znaczenia. Po tym, jak wszystko zepsułam między mną a Booksteinem i się rozwiedliśmy, czułam się właściwie szczęśliwsza. Teraz nie potrafię znieść myśli, że zrobię to znowu.

- Niczego nie zniszczymy - zapewnił bezsilnie.

- Kiedy jesteś w domu, wszystko wydaje się w porządku. Ale ten przeklęty szpital zabiera cię co trzydzieści sześć godzin. A w przyszłym roku, jak otworzysz własną praktykę, będzie jeszcze gorzej. - Dotknął palcami jej ust, lecz odwróciła głowę. - Gdybyś mógł iść ze szpitalem do łóżka, pewnie w ogóle bym cię nie widywała.

- W przyszłym roku będzie lepiej, Liz. A nie gorzej. Zobaczysz.

- Nieprawda - odparła. - Pamiętam, jak ciocia Frances zawsze czekała na powrót wuja do domu. Prawie wcale go nie widywała. Sprzedał praktykę i poszedł do pracy w szpitalu dopiero po jej śmierci. Kiedy już było za późno.

- Ty nie będziesz musiała czekać na mnie całymi dniami. Obiecuję.

Jej ramiona oplotły go. Żeby nie spaść z sofy, złapał ją za uda, w miejscu gwarantującym pewny chwyt. Po chwili jej oddech, którego ciepło czuł na szyi, stał się wolny i równy; zasnęła tak samo jak mały, pomyślał. Poczuł przypływ pożądania, lecz zapanował nad sobą, nie chcąc zepsuć tej miłej, przytulnej intymności. Wkrótce potem sam zasnął i nie wiedzieć czemu przyśniło mu się, że jest małym chłopcem, że spokojnie śpi w swoim pokoju w wielkim domu w Hawanie. Sen był niewiarygodnie wyraźny i realistyczny, do tego stopnia, że Rafę nie miał wątpliwości, iż rodzice śpią w ogromnym rzeźbionym łożu w głównej sypialni na końcu korytarza, a Guillermo w pokoju obok.

Dopiero brzęczyk kuchenki w bostońskim mieszkaniu zbudził wszystkich - śpiącą rodzinę i mężczyznę, którego żona, kobieta z krwi i kości, zerwała się, by wyłączyć dzwonek, zanim obudzi ich synka.

Meomartino leżał na sofie.

W telewizji nadawali wiadomości, obejrzał więc rozmowę z trzynastoletnim Wietnamczykiem z południa, przygarniętym wbrew woli rodziców przez amerykański regiment piechoty. Żołnierze częstowali chłopca papierosami i piwem, dali mu również karabin i dzieciak zdążył już zastrzelić dwóch partyzantów Wietkongu.

- Jak się czuleś zabijając tych ludzi? - spytał reporter.

- Bardzo dobrze. Oni byli źli - odparł chłopiec, choć przecież po raz pierwszy zobaczył swoje ofiary tuż przed tym, jak jego drobny palec przycisnął spust amerykańskiego karabinu maszynowego, który - skonstruowany w taki sposób, by ewentualne opory użytkownika nie stanowiły istotnego czynnika - splunął śmiercionośnym ogniem.

Rafę wstał i wyłączył telewizor.

Do diabła, pomyślał, przecież ona nic o mnie nie wie.

Od pewnego czasu w jego snach znów pojawiała się wojna.

Koszmary zawsze zaczynały się w Zatoce Świń i zawsze uczestniczył w nich Guillermo, potem jednak okazywało się, że to Wietnam. Jako lekarz i naturalizowany obywatel Stanów Zjednoczonych Rafę stał przed groźbą powołania do wojska natychmiast po ukończeniu stażu. Wielu młodych lekarzy, którzy jeszcze w poprzednim roku pracowali w szpitalu, teraz stacjonowało w Wietnamie. Jeden zginął, dwaj inni zostali ranni. Na tej wojnie z lekarzami nikt się nie patyczkował, chirurdzy trafiali na front zamiast wojskowych medyków, a lazarety w Sajgonie były równie zagrożone jak punkty pomocy medycznej.

Doszedł do wniosku, że jego żona ma rację tylko w połowie. Rzeczywiście stał się silniejszy.

Teraz bowiem odważnie przyznawał się do tego, że jest tchórzem.

Było to niezwykle wydarzenie. Na kartce widniało jedno zdanie: Czy możemy zjeść razem lunch? oraz podpis: Harland Longwood. Bez tytułu. Gdyby chodziło o sprawę służbową, pod nazwiskiem starannie by wykaligrafowano: Ordynator Oddziału Chirurgicznego. Znaczyło to, że prawdopodobnie chodzi o Liz. Jedynym tematem osobistym, na jaki Rafe'owi zdarzało się rozmawiać ze stryjem żony, była właśnie ona.

Zajrzał do gabinetu Starego i powiedział sekretarce, że w porze lunchu będzie wolny. Lunch z Longwoodem jadł tylko jeden jedyny raz, pięć dni przed ślubem. W Męskim Barze w Locke-Ober. Doktor Longwood próbował mu wówczas delikatnie zasugerować, że chociaż Elizabeth jest osobą zasługującą na kogoś lepszego niż latynoamerykański imigrant, to jednocześnie w każdy związek wniesie pokaźną garść problemów - alkoholowy, seksualny i mnóstwo innych, o których jedynie napomknął, dlatego też doktor Meomartino oddałby ogromną przysługę wszystkim zainteresowanym, a już największą samemu sobie, gdyby natychmiast z nią zerwał.

I tak oto zostali małżeństwem.

Tym razem Longwood zaprowadził go do Pier Four. Kraby w miękkich skorupkach smakowały wybornie, wino było delikatne i podane w idealnej temperaturze. Pomogło to Rafe'owi przetrwać trudy żmudnych rozmów o niczym.

Przy czarnej kawie, którą pił sam, w końcu nie wytrzymał i spytał:

- Dlaczego chciał się pan ze mną spotkać, sir? Doktor Longwood wypił maleńki łyk brandy.

- Ciekawi mnie, co zamierza pan robić po ukończeniu stażu.

- Zapewne zdecyduję się na prywatną praktykę. O ile, jakimś cudem, uda mi się wywinąć od wojska.

- Pańska żona boryka się z wieloma problemami i potrzebuje stabilizacji.

- Rozumiem to.

- Ale nie ma pan jeszcze żadnych szczegółowych planów? Żadnych zobowiązań?

Rafę natychmiast zrozumiał powód zaproszenia na lunch. Stary obawiał się, że zabierze Liz i syna gdzieś na koniec świata.

Pomyślał z litością, że Longwood z dnia na dzień wygląda gorzej, i odwrócił wzrok, rozglądając się po zatłoczonej restauracji.

- Jeszcze nie, chociaż chyba najwyższy czas, żebym zaczął szukać. W Bostonie jest aż nadto chirurgów, jeśli więc postanowiłbym zostać tutaj, przyszłoby mi konkurować z najwybitniejszymi specjalistami na świecie. Być może spróbuję przyłączyć się do kogoś jako

wspólnik. Może pan zna jakiegoś chirurga, który cierpi na nadmiar pacjentów i potrzebuje kogoś do pomocy?

- Pewnie ktoś by się znalazł. - Wyjął z kieszeni cygarnicę, otworzył i wyciągnął do Rafe'a, który grzecznie odmówił. Doktor Longwood obciął koniec cygara, a kiedy Rafe'emu podał mu ogień, podziękował skinieniem głowy i pyknął raz czy dwa, by cygaro dobrze się rozżarzyło. - Finansowo jest pan niezależny, na początek nie musi pan więc osiągać wielkich dochodów. Zgadza się? - Rafe'emu skinął głową. - A myślał pan o pracy na uczelni?

- Nie.

- We wrześniu powstanie u nas nowa katedra.

- Czy to propozycja zatrudnienia?

- Niezupełnie - odparł doktor Longwood po namyśle. - Będziemy rozmawiać z paroma innymi osobami, aczkolwiek sądzę, że jedynym poważnym konkurentem byłby dla pana Adam Silverstone.

- Jest dobry - przyznał niechętnie Meomartino.

- Cieszy się dobrą opinią, ale pan również. Jeśli zdecyduje się pan kandydować, będę oczywiście daleki od wywierania w tej sprawie jakichkolwiek nacisków. Jestem jednak zdania, że z pańskimi kwalifikacjami ma pan naprawdę ogromne szanse.

Rafe'emu spostrzegł z lekko drwiącym rozbawieniem, że Stary chwali go z takim samym brakiem entuzjazmu, z jakim on mówił o zaletach Adama.

- Praca na uniwersytecie oznacza badania - rzekł - a Silverstone zajmuje się psami Kendera. Ja natomiast zdążyłem się już przekonać, że nie nadaję się na badacza.

- To wcale nie musi być praca badawcza. W całej tej gonitwie za pieniędzmi, stypendiami i laboratoriami uczelnie straciły z pola widzenia istotę swojego istnienia, czyli studentów, a my właśnie zaczęliśmy zdawać sobie z tego sprawę.

Dobrzy nauczyciele będą zyskiwać na znaczeniu, gdyż proces uczenia staje się coraz bardziej skomplikowany.

- Jest jeszcze sprawa mojego wojska.

- W przypadku wykładowców składamy podania o odroczenie służby - wyjaśnił Longwood. - Są one z reguły rozpatrywane pozytywnie i co rok przedłużane.

Oczy Longwooda nic nie zdradzały, lecz Rafe'emu miał niepokojące wrażenie, że Stary w duchu się uśmiechnął.

- Muszę się nad tym zastanowić - powiedział.

Przez następne dwa dni usiłował sobie wmówić, że istnieje możliwość, by nie starał się o tę pracę.

Potem odbyło się posiedzenie Komisji Zgonów, na którym siedział zawstydzony i otępiały, obserwując, jak Longwood spokojnie i metodycznie przybija Robinsona do ściany biblioteki. A przecież świadom był, że powinien skierować chociaż część tego ataku na siebie - czyli dać się współukrzyżować - przyznając, że w rzeczywistości stażysta zatelefonował do niego, zanim zdecydował się wypisać tę kobietę do domu.

Wystarczyłoby jedno proste zdanie.

Tłumaczył sobie w duchu, zresztą bez większego przekonania, że nie zrobił tego, gdyż doktor Longwood wyglądał tego ranka jeszcze gorzej niż zwykle, i nie chciał przeciągać posiedzenia.

Wiedział jednak doskonale, że milcząc wykonał pierwszy krok w kierunku zgłoszenia swojej kandydatury.

Tego wieczora w drodze do stołówki natknął się na Adama Silverstone'a, który właśnie wysiadał z windy.

- Już wstałeś? - zdziwił się. - Czujesz się lepiej?

- Przeżyję.

- Chyba powinieneś jeszcze trochę poleżeć. Ten wirus to wyjątkowe paskudztwo.

- Posłuchaj, Meomartino, wiem, że dziś rano to ty udupiłeś Spurgeona. Przywiązałeś mu do stóp worek z piaskiem.

Meomartino zastygł w bezruchu, lecz nie odpowiedział.

- Jest absolutnie nieodporny na takie zagrania - mówił dalej Silverstone. - Dlatego zapamiętaj, od tej chwili, jeśli znowu zrobisz mu coś takiego, zareaguję tak, jakbyś zrobił to mnie.

- To niezwykle heroiczne - odparł cicho Meomartino.

- Ja w takiej sytuacji potrafię sobie poradzić.

- Będę pamiętał.

- Moje motto to „Zamiast się pieniść, płąć pięknym za nadobne” - zakończył Adam, skinął głową i ruszył przed siebie, do stołówki.

Rafę nie poszedł za nim. Stracił apetyt, za to ogarnął go posępny nastrój, którego nie zaznał już od lat. Potrzebował pocieszenia ze strony kogoś bliskiego; pomyślał, że może reakcja Liz na wiadomość, iż postanowił starać się o pracę na uczelni, chociaż trochę poprawi mu samopoczucie.

Zadzwoił do Harry'ego Lee i poprosił, by go krył do czasu, aż wróci z domu.

Była to prośba tak niezwykle i bezprecedensowa, że rezydent nie potrafił ukryć zdumienia i oczywiście zgodził się bez chwili wahania. Powinienem chyba robić to częściej,

pomyślał Rafę. W przeciwnym razie mały gotów zapomnieć, że ma ojca.

Było już po godzinach szczytu, tak więc sznur pojazdów, aczkolwiek dość gęsty, poruszał się w całkiem przyzwoitym tempie. Rafę objechał centrum, dotarł do Charles Street, skręcił w wąziutką przecznicę i zaparkował naprzeciwko stajni zaadaptowanych na komfortowe mieszkania, niemal całkowicie blokując przyszły ruch. Kiedy wchodził po schodach, zegarek wskazywał za osiemnaście ósmą. Będę miał dość czasu, pomyślał, żeby załapać w locie jakąś kanapkę, pocałować małego na dobranoc, uściskać żonę i wrócić do szpitala, gdzie zapewne nikt nie zdążył jeszcze zauważyć mojej nieobecności.

- Liz? - zawołał od progu.

- Pani Elizabeth nie ma w domu. - Była to opiekunka Miguela, której imienia nigdy nie mógł zapamiętać. Siedziała na sofie, przytulona do jakiegoś chłopaka. Oboje mieli włosy i ubrania w lekkim nieładzie i wydawało się oczywiste, że Rafę im przeszkodził. Perdonen, niños, pomyślał.

- A gdzie jest?

- Powiedziała, że gdyby pan dzwonił, mam przekazać, że umówiła się ze stryjem na kolację.

- Z doktorem Longwoodem?

- Tak, proszę pana.

- Na którą?

- Nie wiem. - Dziewczyna wstała. - Ach, panie doktorze, to mój przyjaciel, Paul.

Skinął głową zastanawiając się, czy aby na pewno leży w interesie Miguela, że jego opiekunka spotyka się w pracy ze swoim narzeczonym. Najprawdopodobniej chłopak miał w planie się ulotnić, zanim Liz wróci do domu.

- Gdzie jest Miguel? - spytał.

- W łóżku. Przed chwilą zasnął.

Rafę poszedł do kuchni, zdjął marynarkę i powiesił na krześle, czując się we własnym mieszkaniu jak intruz, tym bardziej że rozmowa w pokoju przeszła w serię krótkich, urywanych zdań i zduszonych chichotów.

W kuchni był nieco czerstwy chleb, trochę szynki i kawałek sera. Znalazł też do połowy opróżnioną butelkę befeatera, która jeszcze przed jego planowanym powrotem ze szpitala następnego ranka z pewnością zostałaby wyjęta z lodówki.

Zrobił sobie kanapkę, otworzył małą butelkę piwa imbirowego i zaniósł to wszystko przez pokój dzienny do sypialni syna, zamykając za sobą drzwi, by uwolnić się od zaciekawionych spojrzeń siedzącej na sofie młodej parki.

Miguel spał. Długi pomarańczowy wąż z pluszu leżał na jego twarzy, poduszka spadła na podłogę. Rafę odstawił piwo i kanapkę na sekretarzyk, podniósł poduszkę i przez chwilę stał wpatrując się w twarz syna, oświetloną bladym światłem nocnej lampki. Czy powinien zabrać tego węża? Wiedział, że nie ma żadnego ryzyka uduszenia, ale zdjął zabawkę z twarzy dziecka, po to chociażby, żeby lepiej widzieć jego główkę. Miguel poruszył się, lecz nie obudził. Miał ciemne szorstkie włosy, już od drugiego roku życia obcięte na bitelsa, długie z tyłu i z grzywką z przodu, którą to fryzurę Liz po prostu uwielbiała, a której Rafę szczerze nie znosił. Stryj Liz nienawidził jej jeszcze bardziej niż obco brzmiącego imienia, zamiast którego używał znacznie bardziej swojskiego „Mikę”. Miguel miał męskie, można by nawet rzec brzydkie uszy, mocno odstające i będące powodem zmartwień matki. Poza tym był ładnym dzieckiem, krępy i nabitym, o jasnej cerze odziedziczonej po matce i delikatnych rysach po babce. Señora. Mamacita.

Zadzwonił telefon.

Rafę podniósł słuchawkę, zanim zrobiła to opiekunka, i natychmiast rozpoznał głos Longwooda.

- Myślałem, że ma pan dzisiaj dyżur.

- Wpadłem do domu, żeby coś przekąsić. Longwood wypytał go o kilka przypadków, a Rafę udzielił szczegółowych odpowiedzi, chociaż obaj dobrze wiedzieli, że nie ma żadnych szans, by ordynator powrócił do czynnej opieki nad pacjentami. Rafę słyszał gdzieś w tle odgłosy typowe dla restauracji, cichy gwar rozmów, brzęk metalu o szkło.

- Czy mogę porozmawiać z Elizabeth? - spytał w końcu Longwood.

- Jak to? Więc nie ma jej z panem?

- Dobry Boże, a miałem się z nią spotkać?

- Podobno byliście umówieni na kolację.

Po chwili ciszy starzec dołożył wszelkich starań, żeby zebrać się w sobie.

- Przeklęta sekretarka. Ta dziewczyna zrobiła mi taki bałagan w kalendarzu, że teraz wszystko mi się miesza. Jak ja to wytłumaczę Elizabeth? Proszę jej przekazać moje najgłębsze przeprosiny. - Zakłopotanie w jego głosie wydawało się całkiem szczerze, aczkolwiek było coś jeszcze, co Rafę zidentyfikował z niesmakiem jako współczucie.

- Dobrze, przekażę - obiecał i odłożył słuchawkę.

Z kanapką i piwem usiadł w nogach łóżka Miguela; jadł, pił i myślał o wielu rzeczach, obserwując, jak klatka piersiowa syna podnosi się delikatnie i opada w rytmie oddechu. W półmroku podobieństwo malca do Señory było szczególnie uderzające.

Po jakimś czasie wrócił do szpitala, zostawiając młodych kochanków samych sobie.

Następnego dnia wczesnym rankiem doktor Kender i Lewis Chin otworzyli brzuch pani Bergstrom i usunęli kawałek zepsutego mięsa, który jeszcze nie tak dawno był zdrową nerką Peggy Weld. Nie potrzebowali raportu z patologii, by wiedzieć, że przeszczep został bezwarunkowo odrzucony przez organizm pani Bergstrom.

Po zabiegu siedzieli w gabinecie chirurgów i pili gorzką kawę.

- Co teraz? - spytał Harry Lee. Kender wzruszył ramionami.

- Jedyne, co nam zostało, to znaleźć nowego dawcę i spróbować raz jeszcze.

- Trzeba powiedzieć pani Bergstrom - odezwał się Rafę.

- Już to zrobiłem - odparł Kender.

Po wyjściu z gabinetu Rafę poszedł do pokoju Peggy Weld, która właśnie się pakowała.

- Opuszcza pani szpital? - spytał.

Skinęła głową. Oczy miała zaczerwienione, lecz spokojne.

- Doktor Kender powiedział, że nie ma potrzeby, abym tu siedziała.

- Dokąd pani jedzie?

- Na razie niedaleko. Do Lexington. Nie wyjadę z Bostonu, dopóki sprawa mojej siostry się nie skończy. W jedną albo w drugą stronę.

- Chętnie bym się z panią kiedyś spotkał.

- Jest pan żonaty.

- Skąd pani wie?

- Dowiedziałam się. Rafę milczał.

Peggy Weld uśmiechnęła się.

- Pewnie żona pana nie rozumie.

- Raczej ja jej.

- No cóż, to nie mój problem.

- To prawda. - Przyjrzał się jej. - Zrobi pani coś dla mnie?

Czekała.

- Niech pani używa mniej kosmetyków. Jest pani naprawdę piękna. Przykro mi z powodu tej nerki. Tym bardziej, jeśli to ja przekonałem panią do operacji.

- Mnie też przykro - odparła. - Ale byłoby całkiem inaczej, gdyby nerka nie została odrzucona. A o wyrzutach sumienia może pan spokojnie zapomnieć, ponieważ sama podejmuję decyzje. Nawet w sprawie makijażu.

- Czy jest coś, co mógłbym dla pani zrobić? Pokręciła głową.

- W moim życiu wszystko jest z grubsza poukładane. - Poklepała go po dłoni i

ponownie się uśmiechnęła. - Doktorze, dziewczyna, której została tylko jedna nerka, nie może sobie pozwolić na sięganie po każdego faceta, który ma ochotę zrobić jakieś głupstwo.

- Nie chcę zrobić głupstwa - odparł nieprzekonywająco. - Chciałbym panią bliżej poznać.

- Nie ma nic, co mogłoby nas łączyć. - Zamki walizki szczęknęły głośno i zdecydowanie.

Wrócił do gabinetu i zadzwonił do Liz.

- Jaka szkoda, że nie było mnie wczoraj w domu - rzekła na przywitanie.

- A jak tam kolacja?

- Świetnie, ale strasznie wszystko pokręciłam. Pomyliły mi się daty. Wcałe nie byłam na kolacji ze stryjcem Harlandem.

- Wiem. A co robiłaś?

- W końcu wpadłam do Edny Brewster. Na szczęście Bili pracował do późna, więc najpierw poszliśmy do Charlesa, a potem siedziałyśmy u niej i trochę plotkowałyśmy. Wracasz już do domu?

- Tak - odparł.

- Świetnie. Powiem Miguelowi.

Posprzątał na biurku, zamknął drzwi, przebrał się, a potem odnalazł w książce telefonicznej numer Edny Brewster.

Była przyjaciółką Liz, nie jego, dlatego nieco się zdziwiła. Sprawiała jednak wrażenie zadowolonej, że zadzwonił.

- Posłuchaj, Edno, mam problem. Chcę na święta kupić Liz coś ładnego i pomyślałem sobie... no wiesz, wy, dziewczyny, zawsze wszystko wiecie...

Edna jęknęła.

- Gorzej trafić chyba nie mogłeś. W sprawach prezentów jestem naprawdę do niczego.

- A mogłabyś mieć oczy i uszy otwarte? Wiesz, może przypadkiem powie ci, że chciałyby mieć coś szczególnego?

Edna obiecała mu zrobić wszystko, co w jej mocy, a on jej podziękował.

- Kiedy wreszcie uda się nam spotkać? Liz też niedawno się skarżyła, że dawno cię nie widziała.

- Rzeczywiście. Minęło już parę miesięcy. Czy to nie okropne? - odparła. - Nigdy nie ma czasu, żeby spotkać się i pogadać z tymi, z którymi by się chciało. Może któregoś dnia zbierzemy się jakoś i zagramy w brydża? Powiedz Liz, że do niej zadzwonię. - Zachichotała. - Albo nie, lepiej jej nie mów, że ze mną rozmawiałeś. To będzie nasz mały sekret. Zgoda?

- Zgoda.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Adam Silverstone.

Adam winił Meomartino o to, że wprawił go w furię i wygonił w ten sposób z łóżka, wrócił jednak do pracy. Ilekroć się zamyślił, rozpamiętywał tamte niewiarygodne chwile, gdy Gaby Pender leżała w słońcu z zamkniętymi oczyma, bez żadnych białych plam czy pasków, drobna i idealnie kształtna, śmiejąc się nieśmiało, jakby nie była pewna, czy w ogóle ma prawo się śmiać.

Starał się odegnać jej obraz z myśli, rzucając się w wir różnych zajęć.

Poinformowany przez doktora Longwooda o nowej katedrze na wydziale chirurgii, natychmiast pojął, co takiego stało się z Meomartino. Opowiedział o wszystkim Spurgeonowi, kiedy siedzieli w jego pokoju i popijali piwo schłodzone w śniegu na parapecie.

- Zamierzam wygrać te zawody - oświadczył. - Meomartino nie dostanie tej pracy. - jego palce zgmiotły pustą puszkę.

- Ale zrobisz to nie tylko dlatego, że go nie lubisz - odparł Spurgeon. - To niemożliwe, żebyś go aż tak bardzo nie znosił.

- To też, choć nie tylko. Naprawdę zależy mi na tej pracy.

- Pasuje do Wielkiego Planu Silverstone'a? Adam uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Prestiżowa posadka prowadząca prostą drogą do następnej, dającej wielką kupę forsy?

- Właśnie tak.

- Przestań się oszukiwać, starszku. Wiesz, czym tak naprawdę jest ten twój cały Wielki Plan Silverstone'a?

- Czym? - spytał Adam.

- Piramidalną bzdurą i jednym wielkim krowim plackiem.

Adam tylko się uśmiechnął. Spurgeon pokręcił głową.

- Wydaje ci się, że wszystko sobie dokładnie poukładałeś i zaplanowałeś, czy tak?

- W każdym razie wszystko, co jestem w stanie ogarnąć. Jedną z takich rzeczy była świadomość, że ząb obrotnika to dla Spurgeona spory problem, w związku z czym powinien on poszerzyć wiedzę w zakresie anatomii. Kiedy zaproponował mu pomoc, Spurgeon zgodził się bez chwili namysłu, a doktor Sack pozwolił im robić sekcje w uczelnianym prosektorium.

Chodzili tam po kilka razy w tygodniu, Spurgeon uczył się szybko, Adam zaś był zadowolony, że ma okazję poćwiczyć. Któregoś wieczora doktor Sack wszedł do prosektorium i kiwnął głową na powitanie. Prawie się nie odzywał, ale zamiast wyjść, przystawił sobie krzesło i patrzył. Dwa dni później znowu przyszedł, tym razem jednak poprosił Adama, by przed wyjściem wstąpił na chwilę do jego gabinetu.

- Przydałby się nam od czasu do czasu ktoś do pomocy w prosektorium - rzekł. - Byłby pan tym zainteresowany?

Wiedział, że chociaż pieniędzy będzie miał z tej pracy znacznie mniej niż z dyżurów w Woodborough, to przynajmniej nie będzie ona wysysać z niego tyle energii ani też pozbawiać go jakże potrzebnych godzin snu.

- Tak, sir - odparł bez wahania.

- Jerry Lobsenz nieźle pana wyćwiczył. Ale przypuszczam, że nie uda się nam ściągnąć pana w przyszłym roku na cały etat?

Zaczynał dostawać coraz więcej propozycji, co mogło oznaczać, że jego nie kończące się zmagania mają jednak jakiś kres.

- Obawiam się, że nie.

- Za małe pieniądze?

- To również, choć nie tylko o to chodzi. Po prostu to nie jest zajęcie, któremu chciałbym się poświęcić.

Taka praca nie mieściła się w Wielkim Planie Silverstone'a.

Sack pokiwał głową.

- No cóż, przynajmniej jest pan szczery. Gdyby przypadkiem coś się jednak zmieniło, proszę dać mi znać.

Tak więc obecnie nie miał zbyt wielu powodów, by wychodzić ze szpitala. Stare budynki z czerwonej cegły stały się całym jego światem. Praca na patologii była nieregularna, lecz właściwie całkiem przyjemna. Lubił samotność w śpiewającej ciszy białego laboratorium, świadomy, że jest to miejsce, w którym inni nie są w stanie funkcjonować, podczas gdy on pracuje wydajnie i skutecznie.

Praktycznie cały wolny czas rozdzielał pomiędzy prosektorium a laboratorium, gdzie doktor Kender dzielił się z nim swoją ogromną wiedzą. Uderzał go absolutny brak podobieństwa między dwoma ludźmi, od których uczył się najwięcej. Lobsenz był małym introwertycznym Żydem, mówił z ledwo zauważalnym niemieckim akcentem, zyskującym na wyrazistości, kiedy patolog był zmęczony. Kender natomiast...

Kender to Kender.

Być może jednak za bardzo się starał. Po raz pierwszy w życiu zaczął cierpieć na regularną bezsenność, a do tego wróciły stare sny. Tym razem nie te o piecu, lecz o skokach do wody.

Za każdym razem najpierw wspinał się po drabinie ku oślepijącemu słońcu. Było to bardzo realistyczne: czuł, jak chłodna stalowa konstrukcja drży mu w dłoniach, ilekroć uderza w nią podmuch wiatru. Ten wiatr bardzo go niepokoił. Podczas wspinaczki nie odrywał oczu od platformy majaczącej w górze, tam gdzie drabina zwężała się niczym czubek ołówka, aż w końcu zaczynały mu łzawić od słońca i musiał je zamknąć. Ani razu nie spoglądał w dół. Wreszcie wchodził na platformę i patrzył na świat, rozciągający się dokładnie sto stóp pod nim. Pośladki miał ściśnięte, usta suche, deski pod nim kołysały się na wietrze, daleko w dole basen lśnił w słońcu, mały i twardy, bardziej podobny do plakietki identyfikacyjnej żołnierza aniżeli do siatki bezpieczeństwa. Stawał na skraju, odchyłał głowę do tyłu, rozkładał ramiona i odbijał się wysoko, by zaraz poczuć, jak podmuch wiatru łapie go jak żagiel i spycha, pozbawia równowagi, znosi gdzieś w bok. Rozpaczliwie starał się to kompensować wiedząc, że równie dobrze może wylądować poza basenem, jak w najgłębszym jego punkcie, w miejscu gdzie ta absorpcyjna poduszka wodna ma całe dziesięć stóp grubości. Na pewno źle wyląduję, myślał groteskowo zawieszony, widząc, jak woda coraz bardziej się zbliża. Będę ranny i nigdy nie zostanę chirurgiem.

O Boże.

Sen nieodmiennie kończył się gdzieś w połowie drogi między szczytem wieży a lustrem wody. Adam budził się i leżał w ciemnościach, obiecując sobie, że nigdy więcej nie zdecyduje się na coś tak idiotycznego, bo przecież jest już chirurgiem i nic nie jest w stanie go powstrzymać.

Dlaczego teraz ten koszmar powrócił?

Nie mógł znaleźć powodu, aż do czasu gdy któregoś wieczora na patologii zamknął oczy i wdychając głęboko zapach formaliny, przeniósł się nagle w czasie i przestrzeni do prosektorium Lobsenza, w którym ten sen nawiedził go po raz pierwszy.

Studiował wtedy na trzecim roku medycyny w Pensylwanii i był to dla niego okres największych kłopotów finansowych. Upokorzenie i obrzydzenie po podstarzałej pani i jej pieniądzech stały się już przykrym wspomnieniem. Przerzucanie węgla pozwoliło mu przetrwać srogą zimę, jednakże wczesną wiosną zaczął regularnie przysypiać na zajęciach i musiał rzucić tę pracę, gdyż w przeciwnym razie usunięto by go z dwóch kursów. Tak bardzo przyzwyczał się do rozpaczki, że właściwie przez większość czasu był w stanie ją ignorować. Już wtedy zaciągnął sześć tysięcy dolarów pożyczki. Zalegał także z czynszem za pokój, lecz

gospodyni gotowa była poczekać. Wmawiając sobie, że za dużo je, zrezygnował ze śniadań i przez dwa tygodnie wściekał się na pojawiające się koło południa ssanie w żołądku i na popołudniowe osłabienie. Od początku kwietnia do połowy maja brał dyżury w szpitalu i adorując właściwe pielęgniarki dostawał jedzenie szpitalne za darmo.

W czerwcu zastanawiał się nad podjęciem pracy technika chirurgicznego, ale z zalem stwierdził, że to niemożliwe; kiepska pensja nie pozwoliłaby mu odłożyć kwoty zapewniającej przetrwanie ostatniego roku nauki. W końcu, aczkolwiek z ogromną niechęcią, zdecydował się na powrót do poconos, kiedy pewnego dnia w filadelfijskim „Bulletin” przeczytał ogłoszenie, że zespół akrobatyki wodnej poszukuje profesjonalnych skoczków do wody do udziału w pokazach na wybrzeżu w stanie New Jersey.

Grupa Benson’s Aquacade była atrakcją nabrzeża. Występowało w niej dwóch Filipińczyków i jeden Meksykanin, do pokazu potrzeba było jednak pięciu skoczków i Adam był jednym z dwóch, których zatrudnili. Płacono trzydzieści pięć dolarów dziennie, pracowało się siedem dni w tygodniu. Chociaż nigdy przedtem nie skakał z wysokości stu stóp, szybko nauczył się, co trzeba robić. Podczas niezliczonych prób „na sucho” jeden z Filipińczyków pokazał mu, jak odrzucać ramiona do tyłu w momencie kontaktu z wodą i jak podciągać kolana aż pod klatkę piersiową, aby łukiem ześlizgnąć się tych dziesięć stóp w dół i miękko usiąść na dnie.

Za pierwszym razem najgorszą rzeczą była wysokość.

Stalowa drabinka wydawała się zbyt gładka, niemal śliska, i Adam miał wrażenie, że w żaden sposób nie da się jej utrzymać. Wspinał się bardzo powoli, za każdym razem sprawdzając, czy dość mocno trzyma szczebel jedną ręką, zanim puścił poprzedni drugą i postawił stopę na następny. Starał się patrzeć przed siebie, na horyzont, lecz olbrzymie zachodzące słońce przerażało go niczym jakieś złociste złośliwe oko - przystanął więc, zaczepiając zgiętym łokciem o szczebel, a palce układając w rogi, scutta mai occhio, pu-pu-pu - później uniósł głowę i utkwiał wzrok w odległej platformie, która zbliżała się i powiększała bardzo, bardzo powoli. W końcu jednak do niej dotarł. Kiedy jego stopy dotknęły platformy i puścił drabinę, przez dłuższą chwilę nie był w stanie się obrócić. Zdołał się jednak przemóc.

Była to zaledwie równowartość pięciu pięt, miał jednak wrażenie, że znajduje się znacznie wyżej; pomiędzy nim a lustrem wody nie było nic, platforma górowała nad wszystkimi pobliskimi konstrukcjami. Stojąc w tym swoim orlim gnieździe, spojrział najpierw w prawo, na zakręcający przy końcu promenady brzeg morza, później w lewo, gdzie daleko w dole maleńkie wózki jeździły po miniaturowej trasie górskiej kolejki.

Witaj, Boże.

- Można skakać! - popłynął ku niemu niecierpliwy głos Bensona, menedżera.

Zrobił krok przed siebie.

Pełne salto do tyłu to była pestka. Miał przecież o wiele więcej czasu niż przy skoku z dwunastu stóp. Jednakże przedtem nigdy nie leciał aż tak długo. Złożył się, kiedy tylko palcami nóg dotknął wody. Zaraz potem spłynął ukosem i wylądował na dnie na prawym pośladku. Uderzył mocno, ale nie za mocno. Wyprostował się, przez chwilę siedział, puszczać bańki i szeroko się uśmiechając, po czym odbił się od cementu i wypłynął na powierzchnię.

Jego skok nie zrobił na nikim wielkiego wrażenia, lecz po dwóch dniach treningu zaczął uczestniczyć w pokazach. Dwóch dziennie.

Drugi nowy, facet o nazwisku Jensen, okazał się świetnym skoczkiem, który w przeszłości studiował w Exeter i Brown. Obecnie był słuchaczem szkoły podyplomowej, studiował pisarstwo w Iowie i pisywał za darmo dla pobliskiego teatru. Namówił Adama na wynajęcie niedrogiego pokoju, w którym w nocy myszy darły się jak lwy, zza ściany ciągle dochodziły odgłosy awantur, za to materac był wygodny. Pogoda nie robiła żadnych nieprzyjemnych niespodzianek, jego nerwy również. Pewna dziewczyna z wodnego baletu, istota o pięknych piersiach, niemal bez przerwy się za nim oglądała, zaczął więc snuć plany, jak by ją przytulić i vice versa. Prowadził z Jensenem długie dyskusje na temat Eliota oraz Pounda i liczył, że może się zaprzyjaźnić. Skakał jak automat, dużo myśląc o tym, co będzie robił, kiedy wróci na uczelnię z workiem pieniędzy.

Opowieści o wypadkach brzmiały jak bajki. Lecz piątego dnia Jensen złożył się o ułamek sekundy za wcześnie i wyrznął plecami w lustro wody. Wynurzył się blady z bólu, zdołał jednak wyjść z basenu o własnych siłach, a nawet zadzwonić po taksówkę, którą pojechał do szpitala. Na następny pokaz nie wrócił. Kiedy Adam zatelefonował do szpitala, powiedziano mu, że stan zdrowia Jensena jest zadowalający i że został on zatrzymany na obserwację. Następnego dnia był szary i pochmurny, aczkolwiek deszcz nie padał, wiał za to mocny wiatr, od którego drżała drabinka i kołysała się platforma. Kto wzrósł wysoko, znosi wiele wstrząsów. Szekspir. Adam wykonał swoje dwa skoki bez żadnych problemów, a następnego ranka stwierdził z ogromną ulgą, że wiatr się uspokoił. Tego wieczora przy pierwszym skoku w ogóle się nie zastanawiał. Podczas drugiego pokazu wspiał się po drabinie, i stanął na platformie w żółtym świetle potężnych reflektorów. Daleko w morzu jakiś trawler zdradzał swą tajemniczą obecność pełnym oświetleniem, latarnie wzdłuż promenady lśniły niczym porozrzucana biżuteria.

- Ty przeklęty głupcze - rzekł do siebie.

Wcale nie odczuwał strachu, lecz nagle pojął, że nie skoczy, po prostu dlatego że pieniądze, które miał zarobić tego lata, nie są warte ryzyka, gdyby coś poszło niezgodnie z planem, a on odniósł obrażenia mogące upośledzić go jako lekarza albo zamknąć przed nim drzwi do kariery chirurga. Odwrócił się i zaczął schodzić.

- Nic ci nie jest? - pytał Benson przez mikrofon. - Czy chcesz, żeby ktoś wszedł i cię sprowadził?

Zatrzymał się i dał znak, że wszystko w porządku i nie potrzebuje pomocy, w tym celu musiał się jednak odwrócić i po raz pierwszy spojrzeć w dół. Nagle świat zawirował i Adam już nie czuł się tak dobrze. Schodził powoli, krok po kroku. Mniej więcej w połowie drabiny zaczęły się gwizdy i szydercze okrzyki. Na widowni przeważali młodzi chłopcy.

Kiedy znalazł się na dole, Benson wrzał.

- Co się dzieje, Silverstone? Jesteś chory?

- Nie.

- Więc włącz na górę i skacz. Każdemu raz na jakiś czas zdarzają się chwile słabości. Jeśli wejdiesz z powrotem i skoczysz, będziesz miał ich wszystkich po swojej stronie.

- Nie.

- Nigdy więcej nie będziesz skakał profesjonalnie, ty tchórzliwy żydowski chłystku. Już ja się o to postaram!

- Dziękuję bardzo - odparł Adam uprzejmie i całkiem szczerze.

Następnego ranka wsiadł w autobus i wrócił do Filadelfii, a dzień później podjął pracę w szpitalu jako technik chirurgiczny. Dzięki temu miał szansę dowiedzieć się wielu interesujących rzeczy o sali operacyjnej.

Trzy tygodnie przed rozpoczęciem semestru zimowego znalazł na tablicy ogłoszeń na uczelni ofertę:

Interesuje Cię anatomia?

Potrzebujesz pieniędzy?

Być może mam dla Ciebie odpowiednią pracę.

Blizsze informacje w biurze koronera.

Doktor Gerald M. Lobsenz.

Hrabstwo Filadelfia

Pensylwania

Kostnica okazała się trzypiętrową kamienicą, wołającą rozpaczliwie o świeżą warstwę tynku. Mieszczące się na parterze biuro koronera wyglądało jak zagracone muzeum. Za

dębowym biurkiem siedziała koścista Murzynka i stukała na maszynie.

- Tak?

- Chciałbym rozmawiać z doktorem Lobsenzem.

Nie przerywając pisania dziewczyna wskazała na mężczyznę w samej koszuli, usadowionego za biurkiem w kącie pomieszczenia.

- Proszę usiąść - odezwał się gospodarz.

Żuł cygaro, którego żar dawno zgasł, i uzupełniał jakieś dokumenty. Adam usiadł na prostym drewnianym krześle i rozejrzał się dookoła. Biurka, stoły i parapety obłożone były książkami i czasopismami, często mocno pożółkłymi. W taniej różowej doniczce z plastyku rósł wielobarwny koleus, obok ze szklanej retorty sterczały usychające liście rośliny, której Adam nie potrafił zidentyfikować, a której korzenie wyciągały się rozpaczliwie w stronę mniej więcej cała mętnej wody na dnie. Na stercie książek stała do połowy opróżniona butelka whisky z przyklejonym karteczką. Podłogę pokrywało zniszczone linoleum, okna były brudne i bez firanek.

- W czym rzecz?

Doktor Lobsenz miał bladoniebieskie oczy o bardzo bezpośrednim wyrazie i siwe włosy. Jeżeli w ogóle ogolił się tego ranka, zrobił to bardzo niestarannie, a biała koszula pamiętała przynajmniej poprzedni dzień.

- Przeczytałem na uczelni pańskie ogłoszenie. Chciałbym dostać tę pracę.

Doktor Lobsenz westchnął.

- Jesteś już piątym kandydatem. Jak się nazywasz? Adam przedstawił się.

- Mam trochę pracy. Pójdiesz ze mną? Porozmawiamy na dole.

- Dobrze, sir - odparł Adam zastanawiając się, dlaczego ciemnoskóra dziewczyna uśmiechnęła się drwiąco.

Doktor Lobsenz zaprowadził go do piwnicy. Dwa tuziny schodów niżej i przynajmniej tyle samo stopni Fahrenheita mniej.

Na stołach i noszach leżały ciała, niektóre przykryte, inne nie. Zatrzymali się przy zwłokach starszego mężczyzny, chudego i wyniszczonego, o bardzo brudnych stopach. Końcem zgaszonego cygara Lobsenz wskazał oczy denata.

- Widzisz tę białą otoczkę rogówki? Arcus senilis. A zwróciłeś uwagę na zwiększoną głębokość klatki piersiowej? To starcza rozedma płuc. - Odwrócił się i spojrzał na Adama. - Czy będziesz pamiętał te cechy, kiedy znowu je zobaczysz?

- Tak.

- Mhm. Być może.

Podszedł do jednej z szuflad, ciągnących się wzdłuż całej ściany, otworzył ją i spojrzał na leżące w środku zwłoki mężczyzny.

- Zginął w pożarze. Wiek około czterdziestu pięciu lat. Zwróć uwagę na ten różowawy kolor. Powodują go dwa czynniki. Jeden to zimno. Drugi to tlenek węgla we krwi. Gdziekolwiek pojawia się dym albo żółty płomień, tam zawsze jest tlenek węgla.

- Jak zginął?

- Pożar w kamienicy czynszowej. Poszedł ratować matkę. To, co z niej zostało, trudno było odróżnić od reszty popiołu.

Poprowadził Adama do windy i w milczeniu zawiózł go na drugie piętro.

- Nadal interesuje cię ta praca?

- A na czym ma ona polegać?

- Na zajmowaniu się nimi. - Ruchem głowy wskazał w dół, w stronę piwnicy.

- W porządku - odparł Adam.

- I na pomocy przy sekcjach. Widziałeś już kiedyś sekcję?

- Nie.

Wszedł za Lobsenzem do pomieszczenia wyłożonego białymi kafelkami. Na stole leżała miniaturowa postać. Początkowo myślał, że to lalka, dopiero po chwili uświadomił sobie, że to małe dziecko Murzynka. Mogła mieć nie więcej niż rok.

- Znaleźli ją martwą w łóżeczku. Nie wiadomo, dlaczego umarła. Tysiące dzieci robią nam to każdego roku. Ot, jeszcze jedna tajemnica. Ten przeklęty dureń, lekarz rodzinny, zrobił jej sztuczne oddychanie. Odczekał dzień, a potem oblały go zimne poty, bo nagle dotarło do niego, że mała mogła umrzeć na coś zaraźliwego. Na zapalenie wątroby, gruźlicę, diabli wiedzą co. Będzie miał za swoje, matko jeden, jeżeli rzeczywiście coś znajdziemy.

Wciągnął rękawiczki, rozluźnił palce, po czym chwycił skalpel i wykonał nacięcie od obu ramion do mostka, a następnie w dół aż do podbrzusza.

- W Europie tną linią prostą od brody. My wolimy swoje Y. - Brązowa skóra rozdzieliła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, odsłaniając warstwę żółtego tłuszczu, a pod nią białą tkankę. - Co trzeba koniecznie zapamiętać - tłumaczył Lobsenz uprzejmie - to fakt, że to nie jest żywe ciało. To już nie jest człowiek. Ciało zmienia się w człowieka dzięki życiu, osobowości, boskiej duszy. A tę klatkę dusza już opuściła. Została glina, rodzaj plastycznego materiału wykonanego przez bardzo sprawnego rzemieślnika. - Kiedy mówił, dłonie w rękawiczkach przez cały czas prowadziły badania, a skalpel ciął, pobierając próbki, wycinek stąd, wycinek stamtąd, plasterki skądinąd. - Piękna wątroba. Czy kiedykolwiek widziałeś piękniejszą? W przypadku zapalenia byłaby spuchnięta,

znaleźlibyśmy ślady krwotoku. Nie widać też żadnych objawów gruźlicy. Szczęściarz z tego durnego konowała.

Wycinki pobrane do badań laboratoryjnych umieścił w probówkach, po czym powkładał wnętrzności na swoje miejsce i zaszył rozciętą powłokę.

W ogóle nie robi to na mnie wrażenia, pomyślał Adam. Czy to już wszystko?

Lobsenz poprowadził go korytarzem do następnego prosektorium, bliźniaczo podobnego do pierwszego.

- Kiedy czas nas goni, pomocnik przygotowuje jedno prosektorium, podczas gdy ja pracuję w drugim - wyjaśnił. Na stole leżała starsza kobieta, zniszczone ciało, obwisłe, sflaczałe piersi, pomarszczona twarz. O Boże, uśmiechnięta. Ramiona miała skrzyżowane na piersiach. Lobsenz wyprostował je, postępując z wysiłku. - W podręcznikach piszą, że rigor mortis zaczyna się od szczęki i postępuje w dół w ściśle określonym porządku. Wierz mi, tak naprawdę to się nigdy nie zdarza.

Kiedy ją otworzył, nie wyleciały dwadzieścia cztery kosy. Adam z całej siły zaciskał szczęki - rigor vitae - i oddychał jrzadziej, jak tylko się dało, czując, że mięśnie zaciskają mu ię wokół pustego żołądka. Któż to twierdził, że choroba orska to jedna z największych przyjemności? Samuel Butler, a tam sobie daruję tę przyjemność, twardo postanowił Adam. W końcu Lobsenz zaszył zwłoki.

Kiedy wrócili do biura na parterze, gospodarz wyjął z szuflady dwie szklaneczki i nalał do nich po sporej porcji whisky. Na karteczce przyklejonej do butelki widniał napis: Dowód rzeczowy numer dwa - Elliot Johnson. Wypili whisky bez dodatków.

- Idę do ubikacji - oznajmił Lobsenz zdejmując klucz z gwoździa.

Po jego wyjściu chuda Murzynka odezwała się nie podnosząc wzroku znad maszyny:

- Zaproponuje ci pokój i siedemdziesiąt pięć dolców miesięcznie. Nie zgadzaj się na mniej niż sto. Będzie ci wciskał, że ma tłum innych kandydatów, tymczasem był tylko jeden chętny, który porzygał się w połowie sekcji. - Cały czas stukała w klawisze. - To świetny facet, ale bywa wyjątkowo wredny.

Wrócił doktor Lobsenz zacierając dłonie.

- No więc co o tym sądzisz? Interesuje cię ta praca? Możesz się tu nauczyć o ludzkim ciele więcej niż na czterech uczelniach. Będę cię uczył w czasie pracy.

- W porządku - odparł Adam.

- Mamy tu dla ciebie całkiem przyzwoity pokój. Mogę ci zapłacić siedemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie.

- Pokój plus sto dolarów miesięcznie i umowa stoi. Uśmiech zniknął z twarzy

Lobsenza. Doktor spojrział podejrzliwie na sekretarkę, lecz ta nie przerywała pisania.

- Mam innych kandydatów.

Być może przyczyną był wypity alkohol, który właśnie uderzył w pusty żołądek Adama jak pięść i sprawił, że własna głowa wydała mu się pusta i lekka jak balon, w każdym razie kandydat na pomocnika odparował bez chwili namysłu:

- Doktorze, jeśli teraz nie znajdę pracy, za parę miesięcy będę przymierał głodem. Gdyby nie to, nie dotknąłbym tej wspaniałej posady nawet trzymetrowym drągiem.

Lobsenz spojrział na niego i nagle się uśmiechnął.

- Chodźmy, Silverstone, postawię ci lunch - powiedział.

Pokój na piętrze wyglądał przez matowe drzwi jak zwykłe biuro, w środku jednak oprócz biurka stała także wersalka. Pościel można było zmieniać z dowolną częstotliwością, Adam miał właściwie nieograniczony dostęp do usług pralni. Była to wspaniała premia, o której doktor Lobsenz zapomniiał wspomnieć. Zawsze uważano, że czystość ciała wynika z czci dla Boga. Francis Bacon.

Dla osoby po dwóch latach medycyny praca nie była zbyt ciężka. Na początku z trudem znosił okropny fetor, nie cierpiał również zgrzytu piły przecinającej czaszkę. Jednakże Lobsenz uczył go w trakcie pracy, a nauczycielem okazał się naprawdę świetnym. Na pierwszym roku medycyny Adam w laboratorium anatomicznym dzielił z sześcioma innymi studentami zakonserwowane zwłoki nazywane Córą. Zanim odziedziczył Córę, wszystkie organy zostały tak pokrojone, że trudno było je rozpoznać. Teraz miał oczy szeroko otwarte i słuchał uważnie Lobsenza, który choć najwyraźniej zadowolony, wciąż burczał pod nosem, że powinien pobierać opłatę za te lekcje. Adam w głębi ducha w pełni się z nim zgadzał - były naprawdę wyjątkowe.

Pierwsze noce wspominał jako koszmar. W jego pokoju znajdował się telefon i od siódmej do wpół do dziewiątej dzwonił grabarze, uganiający się za trzydziestoma pięcioma dolcami, stawką płaconą przez hrabstwo za pochówek w prostej drewnianej trumnie i bez żadnej ceremonii tych, o których nikt się nie upominał. Tyle samo płacił Benson za dwa skoki.

Pierwszej nocy Adam najpierw odbierał telefony od grabarzy, później przez dwie godziny się uczył, wreszcie nastawił budzik i położył się spać. Śniły mu się skoki do wody.

Rozbudzony leżał w ciemnościach i śmiał się sam z siebie. To typowe dla takich głupków, myślał. Niczym się nie przejmują, kiedy narażają życie, za to później, w łóżku, trzęsą się i rozpamiętują, co mogło im się stać.

Drugiego wieczora ponownie odbierał telefony od grabarzy, uczył się do północy,

nastawił budzik i położył się spać, lecz nie mógł zasnąć.

Próbował liczyć barany i doszedł do pięćdziesięciu sześciu, zanim zmieniły się w ciała przefruujące powoli nad kołowrotem. Liczył więc od tyłu zaczynając od stu i dwukrotnie doszedł do jednego, lecz i tak nie poczuł się ani odrobinę bardziej senny. Leżał bez ruchu i przeczesywał wzrokiem mrok.

Pomyślał o babce, która trzymała go przy płaskiej piersi i kołysała do snu. A-aa, a-aa, śpij już, Adamo. Módl się do świętego Michała, on swoim mieczem przepędzi złego.

To był duży budynek. Przez cały czas rozlegały się hałasy, szyby grzechoczące na wietrze, skrzywienie, trzaski i zgrzytanie, jakieś dzwonienie i odgłos kroków.

Dzwonienie?

Kroki?

Przecież powinien być sam w budynku. Wstał z łóżka i zapalił światło, żeby się ubrać. Nie bał się duchów; jako człowiek nauki nie wierzył w siły nadprzyrodzone. Lecz wejście frontowe i wjazd dla karetek były pozamykane na klucz. Osobiście je zamykał. Być może ktoś włamał się do budynku w jakimś sobie tylko znanym celu.

Ruszył korytarzem zapalając po drodze wszystkie światła. Najpierw sprawdził prosektoria na drugim piętrze, następnie biura na piętrze i na parterze. Nikogo tam nie było.

W końcu zszedł do zimnej kostnicy, szukając pośpiesznie włącznika światła. Na noszach leżały zwłoki czterech osób, w tym ciało kobiety, przy której sekcji asystował doktorowi Lobsenzowi. Spojrzał na zamarły uśmiech.

- Kim byłaś, cioteczko?

Podszedł do wychudzonego Chińczyka, najprawdopodobniej gruźlika.

- Czy umarłeś daleko od domu? Czy miałeś synów w Czerwonej Armii, kuzynów na Tajwanie?

Niewątpliwie człowiek ten urodził się w Brooklynie, przyszło mu do głowy. Ta myśl sprawiła, że ponownie poczuł się jak głupiec. Wyszedł z kostnicy, pogasił światła; po powrocie do pokoju włączył radio, w którym nadawano przepiękny koncert Haydna.

Wydawało mu się, że słyszy jak tańczą. Oczyma wyobraźni widział nagą staruszkę dygającą przed Chińczykiem, pozostałych obserwujących ich z pootwieranych szuflad lodówek, milczącego arlekina stojącego w garniturze światła, uśmiechniętego i kiwającego głową w rytm muzyki.

Pobrękujące dzwoneczki na czapce.

Po chwili ponownie wyszedł z pokoju, pozapalał wszystkie światła i zamknął na klucz kostnicę. Później przestawił budzik na szóstą, żeby zdążyć pogasić światła i otworzyć

kostnicę, zanim ktokolwiek się zjawi, i wreszcie położył się spać. Śnił o skokach do wody.

Następnej nocy nie zapalił światła i nic mu się nie śniło. Kolejnego wieczora zapomniał zamknąć kostnicę, ale zły sen powrócił. W końcu nauczył się rozróżniać bulgotanie rur, pobrzękiwanie luźnych szyb i inne w pełni wytłumaczalne odgłosy, koszmar w końcu go opuścił, sen znowu stał się głęboki i spokojny. Odtąd jego życie toczyło się normalnie i bez żadnych szczególnych wydarzeń. Jakies dwa miesiące po tym, jak został pracownikiem kostnicy, zabawiał się z pewną studentką z Pensylwanii w jej pokoju. Dziewczyna nagle zatopiła twarz w jego torsie i szepnęła:

- Pachniesz tak seksownie jak nikt inny.

- Ty też, laleczko - odparł całkiem szczerze, nie wspominając oczywiście, że jego zapach to po prostu delikatna, niezniszczalna woń formaldehydu.

Obecnie, zatrudniwszy się w laboratorium doktora Sacka, szybko przywykł do zapachu chemicznego konserwantu drażniącego jego nozdrza, a po jakimś czasie sen o skokach do wody przestał go nawiedzać. Teraz jednak nie miał nikogo na tyle bliskiego, żeby usłyszeć komentarz na temat zapachu formaldehydu. Planował wprowadzić umówić się z drobną blond studentką, Anderson, ale jakoś nigdy nie przeszedł od zamierzeń do czynów.

Zatelefonował do Gaby.

Susan Haskell, jej współlokatorka, poinformowała go, że Gaby wyjechała z miasta i jest nieosiągalna.

A już na pewno dla doktora Adama Silverstone'a, wywnioskował z tonu dziewczyny.

Pięć dni po powrocie z Truro napisał do niej list.

Gaby.

Po raz kolejny zdałem sobie sprawę, jaki ze mnie okropny dureń.

Proszę Cię, odbierz telefon albo odpisz.

Przekonałem się, że z kimś, kogo się kocha, jest całkiem inaczej.

Adam.

Jednakże odpowiedź nie nadeszła, a ilekroć dzwonił, nigdy jej nie było.

Zima rozpanoszyła się na dobre. Śnieg padał, potem pokrywał go brud i kurz metropolii, znowu padał i znowu ginął w brudzie, a miasto otulały warstwy bieli i szarości, co widać było wyraźnie, gdy szufle wbijały się w zaspę.

Pewnego ranka w gabinecie chirurgów Meomartino opowiedział o tym, jak zabrał syna do Jordana Marsha, żeby pokazać mu świętego Mikołaja.

- Jesteś mężczyzną? - spytał Miguel.

Brodąta postać pokiwała głową.

- Prawdziwym mężczyzną? Kolejne skinienie brodatej głowy.

- A masz penisa i jajka?

Chirurdzy ryknęli gromkim śmiechem. Uśmiechnął się nawet Adam.

- I co mu Mikołaj odpowiedział? - zainteresował się Lew Chin.

- W każdym razie nie powiedział hu-hu-ha - odparł Meomartino.

Bostońscy sklepikarze szybko zareagowali na nadejście zimy. Okna wystawowe domów towarowych zakwitły ostrokrzewem i ożyły animowanymi scenkami, na ścianach szpitalnych wind pojawiły się zielone plastikowe wianki. Pielęgniarki nuciły kolędy, a doktor Longwood odbierał tę powszechną radość, jakby potwierdziła ona jego najgorsze obawy o fatalną kondycję duchową młodych chirurgów.

- Coś mi się wydaje, że Longwood coraz bardziej się starzeje - zauważył Spurgeon w rozmowie z Adamem.

- Moim zdaniem to wspaniały człowiek.

- Być może był wspaniały. Ale teraz, kiedy z powodu choroby musiał rzucić pracę, zachowuje się jak jednoosobowa pełnoetatowa Komisja Zgonów. Ten facet w każdym zejściu widzi błąd w sztuce. I to nie jeden. A jeśli ktoś nie wie, kiedy ma się odbyć posiedzenie komisji, wystarczy, że przyjrzy się zachowaniu lekarzy. Wszyscy robią się wtedy dziwnie nadpobudliwi.

- Płacimy więc za jego psi los odrobiną dodatkowego stresu. To chyba niezbyt wysoka cena, jeśli może mu przedłużyć życie.

Jak na ironię losu, dwie godziny później siedział z Meomartino, kiedy zadzwonił Longwood, by ich wypytać o usunięcie wyrostka, które przeprowadzili dwa dni wcześniej. Powątpiewał, czy operacja była konieczna, i żądał dokładnego omówienia przypadku następnego ranka podczas głównego obchodu.

- Nie trzęś tak tyłkiem - odezwał się Adam do Meomartino tonem cokolwiek oschłym.

- Na preparatach z patomorfologii widać wyraźnie rozległy stan zapalny i mnóstwo białych komórek.

- Wiem - odparł Meomartino. - Zabrałem je wczoraj do domu i długo ślęczałem nad mikroskopem. O, do jasnej cholery!

- Co się stało?

- Zapomniałem je przywieźć, a będą nam potrzebne.

- Za dwie godziny kończę dyżur. Mogę ewentualnie po nie pojechać.

- Świetnie. Weź moje auto.

- Nie, dzięki - odrzekł Adam.

Nie odmówił natomiast Spurgeonowi, który po skończonym dyżurze powiózł go swoją furgonetką przez ponury zimowy wieczór. Meomartino udzielił im dokładnych wskazówek, lecz w ostatniej chwili mieli sporo kłopotów. Uliczka bardziej przypominała wąską alejkę, a śnieżne zasy po obu stronach jeszcze ją zwężyły.

- Słuchaj, nie mogę zostawić tu auta, bo zablokuje całą ulicę - odezwał się Spurgeon. - Zaczekam na ciebie.

- W porządku.

Wciskając przycisk dzwonka Adam pomyślał z zazdrością, że Meomartino ma dobry gust i stać go na spełnianie kosztownych zachcianek. Zaadaptowane stajnie były naprawdę urocze.

Drzwi otworzyła pokojówka w średnim wieku. Szwedka.

- Słucham?

- Czy zastałem panią Meomartino?

- Nie wydaje mi się, by była w stanie przyjmować gości. Adam wyłuszczył szczegóły swojej misji.

- No dobrze, w takim razie proszę wejść - zgodziła się niechętnie.

Wszedł za nią do domu, a potem, nie bardzo wiedząc, jak się zachować, do kuchni, w której kilkuletni malec jadł kolację.

- Cześć.

- Nic mi nie wiadomo o żadnych preparatach - odezwała się cierpko pokojówka.

- Powinny leżeć obok mikroskopu. Może sam ich poszukam?

Niech pan zajrzy do gabinetu - zgodziła się, wskazała głową kierunek i odwróciła się do piekarnika. - Tylko nie pierwsze drzwi, bo to sypialnia. Drugie.

Pokój był bardzo ładny: perski dywan, głębokie skórzane fotele, regały pełne książek. Większość tomów dotyczyła medycyny, aczkolwiek były tam także biografie i książki historyczne, mieszanina tytułów angielskich i hiszpańskich. Poza tym zaledwie kilka powieści i maleńka półka ze współczesną poezją.

Poezja na pewno należy do jego żony, pomyślał spoglądając na zamknięte drzwi pomiędzy gabinetem a sypialnią.

Pudełko z preparatami rzeczywiście znajdowało się koło mikroskopu. Niektóre leżały na biurku, Adam schował je więc i już miał wyjść, kiedy drzwi do sypialni nagle się otworzyły.

Ubrana była w piżamę męża, stanowczo zbyt obszerną. Włosy miała zmierzwione, stopy bosa i chyba na co dzień nosiła okulary, gdyż patrzyła na Adama z ukosa, komicznie

mrużąc powieki. Ogólny efekt był cudownie pociągający. Okazało się również, że nie należy do osób, które w takich sytuacjach biegną po szlafrok.

- Dobry wieczór - rzekł Adam. - Nie jestem włamywaczem. Nazywam się Adam Silverstone.

- Silverstone. Czy Booksteinowie są pana krewnymi? Mówiła głosem lekko ochrypłym, a Adam szybko się zorientował, że zarówno ten niski ton, jak i spojrzenie krótkowidza mogą być rezultatem spożytego alkoholu. Weszła do gabinetu, stanęła i lekko się zachwiała.

- Hej. - Wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać, a ona, ku jego najgłębszemu zdumieniu, przyłgnęła do niego.

- Nie, nie są - odpowiedział na pytanie. - Pracuję z Rafe'em. Zapomniał wziąć do szpitala te preparaty.

Odchyliła głowę i spojrzała na niego, ani trochę się nie odsuwając.

- Wspominał o panu. Konkurent, tak?

- Na to wygląda.

- Biedny Rafe. Bardzo mi miło. - Pocałowała Adama prosto w usta. Wargi miała ciepłe i gorzkie od ginu.

- Mnie również - odparł uprzejmie.

Tym razem to on ją pocałował i zanim ten pocałunek dobiegł końca, przyszedł mu do głowy szaleńczy pomysł. Przyjrzał się jej i od razu zrozumiał, że to całkowicie wykonalne. Absurdalnie klasyczny rewanż na Meomartino. W centrum jego twierdzy, kiedy na dole czeka Spurgeon, a do pokoju w każdej chwili może wejść pokojówka.

Z drugiej części mieszkania dobiegł radosny śmiech dziecka.

Poza tym przecież ta kobieta jest pijana.

- Przepraszam - powiedział.

Uwolnił się z uścisku, wziął preparaty i zostawił ją samą pośrodku pokoju. Mały skończył już jeść i teraz oglądał dobranockę.

- Cześć! - krzyknął, nie odrywając wzroku od Kłowna Bozo.

- Czołem - odparł Adam.

Dwa dni później zjawiała się w szpitalu.

Po skończonym obchodzie poszli do gabinetu Adama. Otworzywszy drzwi, natychmiast zauważył futro z norek przerzucone przez krzesło. Miała na sobie elegancki czarny kostium i wyglądała jak mieszkanka Back Bay w wersji dla Playboya.

- Liz - odezwał się Meomartino.

- Powiedziano mi, że cię tu znajdę, Rafę.
- Chyba się nie znacie - stwierdził Meomartino. - To jest Spurgeon Robinson.
- Witam. Miło mi. - Spurgeon podał jej rękę.
- Adam Silverstone.

Wyciągnęła dłoń, którą chwycił niczym zakazany owoc.

- Bardzo mi miło - rzekł.
- Mnie również - odparła.

Nie był w stanie spojrzeć na Meomartino. Kuku, kuku, o straszne słowo, gdy spotka się małżonka z głową. Szekspir. Mruknął do widzenia i zanim Meomartino zdążył przedstawić żonę pozostałym, wrócił na oddział i zajął się ciężką pracą. Mimo to nie potrafił odegnąć myśli o kobiecie oferującej swe ciało w piżamie męża.

Po południu, kiedy wezwano go do telefonu, dobrze wiedział, kto dzwoni, zanim jeszcze przyłożył do ucha słuchawkę.

- Dzień dobry - powiedziała.
- Dzień dobry - mruknął bezmyślnie, czując, jak pocą mu się dłonie.
- Chyba zostawiłam coś w pana gabinecie.
- Co takiego?
- Rękawiczkę. Czarną.
- Niestety, nie widziałem jej.
- O Boże. Ale gdyby ją pan przypadkiem znalazł, proszę dać mi znać. Dobrze?
- Dobrze - obiecał.
- Dziękuję. Do widzenia.
- Do widzenia.

Kwadrans później wrócił do swojego gabinetu, stanął na czworakach i po chwili znalazł rękawiczkę pod biurkiem, gdzie z całą pewnością ją rzuciła. Wyciągnąwszy rzekomą zgubę, długo siedział i gładził drogą skórę. Kiedy przyłożył ją do nosa, zapach perfum natychmiast rozbudził jego wyobraźnię.

Teraz jest trzeźwa, pomyślał.

Odszukał numer w książce telefonicznej, wykręcił, a ona natychmiast podniosła słuchawkę, jakby czekała.

- Mam ją - oznajmił.
- Co?
- Rękawiczkę.
- Aha. To świetnie - odparła, jemu pozostawiając inicjatywę.

- Mogę ją oddać Rafe'owi - zaproponował.
- On jest taki rozkojarzony. Nigdy mi jej nie przyniesie.
- W porządku, jutro mam wolne, mogę ją pani podzucić.
- Planowałam wybrać się na zakupy.
- Ja także. Może więc gdzieś się umówimy? Postawię pani drinka i oddam rękawiczkę.
- Dobrze - zgodziła się. - O drugiej?
- Gdzie?
- Zna pan Parlor? Niedaleko Prudential Center.
- Jakoś znajdę.

Miał jeszcze sporo czasu. Siedział na kamiennej ławce w Prudential Center i obserwował łyżwiarzy, a kiedy pośladki mu przemarzły i zdrętwiały, ruszył w dół Boylston Street i znalazł restaurację. Wieczorami niewątpliwie pełno tu było pijaków, jak również kobiet i mężczyzn szukających partnera na jedną noc, teraz jednak przy stolikach siedzieli jedynie studenci jedzący późny lunch. Zamówił filiżankę kawy.

Przyszła, zaczerwieniona od mrozu. Już po raz drugi zwrócił uwagę, że ma naprawdę dobry gust. Ubrana była w czarny płaszcz przyozdobiony futrem bobra, a kiedy pomagał jej go zdjąć, zobaczył pod nim prostą, beżową, robioną na drutach sukienkę oraz jeden tylko klejnot - ozdobną szpilkę z kameą, wyglądającą na bardzo starą.

- Zamówić pani drinka? - spytał. Spojrzała na jego kawę i szybko pokręciła głową.
- Chyba trochę za wcześnie na alkohol, prawda?
- Rzeczywiście.

Poprosiła o filiżankę kawy, kiedy wszakże kelner ją przyniósł, stwierdziła, że nie chce jej się pić.

- Wybierzemy się na małą przejażdżkę? - zaproponowała.
- Nie mam auta.
- Aha. W takim razie przespacerujmy się.

Włożyli płaszcze, wyszli z lokalu i skierowali się w stronę Copley Square. Pomyślał, że nie może jej zabrać do Ritza, do Plazy ani w żadne tego rodzaju miejsce. Tam groziłoby im, że przypadkiem natkną się na kogoś z jej znajomych. Z powodu siarczystego mrozu szybko zaczęli trząść się z zimna. Adam rozglądał się dookoła, rozpaczliwie wypatrując wolnej taksówki.

- Chyba muszę wstąpić do toalety - oznajmiła. - Poczekaj pan?

Po drugiej stronie ulicy znajdował się Regent, mały podrzędny hotel. Adam spojrzał na nią z podziwem.

- Oczywiście - odparł.

Kiedy zniknęła za drzwiami toalety, zapłacił za pokój. Recepcjonista pokiwał głową bez zainteresowania słysząc, że ich bagaż przyjedzie wkrótce z lotniska Logan. Gdy wróciła, Adam chwycił ją delikatnie za łokieć i zaprowadził do windy. Jadąc na górę nie zamienili ani słowa. Stała sztywno i patrzyła prosto przed siebie. Otworzył drzwi do pokoju 314, weszli do środka, po czym Adam odwrócił się ku niej i przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Zapomniałem przynieść rękawiczkę - powiedział.

Później zasnęła, on zaś leżał obok niej w dusznym, przegrzanym pokoju i palił papierosy, aż w końcu obudziła się i spostrzegła, że się jej przygląda. Wyjęła mu papierosa z ust i starannie zgasiła w stojącej obok łóżka popielniczce, po czym powtórzyli cały obrządek. Za oknem zapadał zmierzch.

O piątej wstała z łóżka i zaczęła się ubierać.

- Musisz?

- Już prawie pora na kolację.

- Możemy zadzwonić na dół. Zresztą ja równie dobrze mogę nie jeść.

- W domu czeka na mnie syn - przypomniała mu. - Muszę dopilnować, żeby dostał jeść i poszedł spać.

- Aha.

Już w bieliźnie, siadła na brzegu łóżka i czule go pocałowała.

- Czekaj tu na mnie - powiedziała. - Wrócę.

- Dobra.

Po jej wyjściu próbował zasnąć, ale w pokoju było tak okropnie duszno, że ledwo oddychał. Powietrze pachniało nasieniem, papierosami i nią. Otworzył okno wpuszczając lodowate powietrze, po czym ubrał się, zszedł na dół i zamówił kanapkę, na którą nie miał ochoty, i filiżankę kawy. Później poszedł na Copley Square i spędził trochę czasu w publicznej czytelnicy, przeglądając stare numery „Saturday Review”.

Kiedy o ósmej wrócił do hotelu, ona już czekała. Leżała pod kocem. Okno było zamknięte, w pokoju znowu panowała straszna duchota. Jedynym oświetleniem był pobłyskujący za oknem neon, zamieniający pokój w psychodeliczny obraz. Przyniosła mu kanapkę z jajkiem, którą podzielili się punktualnie o jedenastej. Tak oto zapach jajka na twardo stał się jedną z mocnych, charakterystycznych woni, które przykleiły ten dzień do jego pamięci.

W świąteczny poranek Adam dyżurował samotnie na sali operacyjnej. Leżał w oddziałowej kuchni na długiej ławce, zasłuchany w samotne odgłosy ekspresu do kawy, kiedy

nagle zadzwonił telefon.

- Na popołudnie szykuje ci się amputacja - poinformował go Meomartino. - Mnie już tu wtedy nie będzie.

- OK - odparł lodowato. - Kim jest pacjent?

- Niejaki Stratton.

- Znam go - rzekł Adam, bardziej do siebie niż do Meomartino.

Parę dni wcześniej próbowali założyć tętniczy pomost omijający, aby przywrócić krążenie krwi w nodze mężczyzny. Początkowo planowali wykorzystać do przeszczepu fragment żyły odpiszczelowej, ustawiając ją w przeciwnym kierunku, żeby zastawki otwierały się w tym samym kierunku co w tętnicach, lecz żyły Strattona okazały się do niczego, miały bowiem zaledwie dwa milimetry średnicy, czyli mniej więcej jedną czwartą tego, czego potrzebowali. Wycięli więc płytkę miażdżycową, która blokowała przepływ krwi, i połączyli tętnicę plastikowym przeszczepem, który miał szansę wytrzymać najwyżej dwa lata. Jednakże od początku do końca wszystko szło nie po ich myśli i obecnie noga pacjenta była tylko białym martwym przedmiotem, zagrażającym jego życiu. Konieczna była amputacja.

- O której będzie gotowy?

- Nie wiem. Próbujemy złapać jego prawnika, żeby podpisał papiery. Stratton jest żonaty, ale jego żona leży w stanie krytycznym w Beth Israel. Przypuszczam, że będzie gotowy, jak tylko uda się odnaleźć tego prawnika. Szukają go już od wczoraj.

Adam westchnął odkładając słuchawkę, zgarnął zielony kombinezon ze sterty leżącej na stole i poszedł się przebrać. Strój chirurgiczny wydał mu się znajomy i wygodny. Wziął czarne plastikowe kapcie, oderwał perforowane osłony, wepchnął długie plastikowe paski między skarpetkę a but, a następnie za pomocą elastycznych taśm przytwierdził kapcie do kostek. Ubrany, obuty i uziemiony, żeby nie wywołać iskry, która zmieniłaby natlenioną salę operacyjną w ognistą kulę, wrócił do kuchni na swoją ławkę i ponownie zagłębił się w lekturze. Nie na długo.

Tym razem dzwonili z pomocy doraźnej.

- Wysyłamy na górę zawał krezki. Może pan zaczynać się myć. Doktor Kender już zbiera całą ekipę.

- Louise! - zawołał odkładając słuchawkę. Pielęgniarka odłożyła robótkę.

- Wesołych świąt - powiedziała.

Przyjemnie było mieć świadomość, że są w stanie zebrać tyle chirurgicznych talentów w tak krótkim czasie. W ciasnej sali operacyjnej tłoczyło się wśród elektronicznego sprzętu

czternaście osób - pielęgniarki, chirurdzy i anestezjolodzy. Pacjent był siwy, nie ogolony i w śpiączce. Wyglądał na pięćdziesiąt parę, może sześćdziesiąt lat, był dobrze zbudowany, ale miał ogromne miękkie piwne brzuszysko. Wiedziano, że jest sercowcem i przyjmuje naparstnicę, policja znalazła go w domu pogrążonego w śpiączce. Przypuszczalnie po zażyciu naparstnicy doszło do zaburzeń krążenia, chociaż nikt nie wiedział, ile dokładnie wziął ani kiedy.

Przywieźli go podłączonego do kroplówki, rezydent z anestezjologii ścisnął ambu, ułatwiając mu oddychanie.

Adam obserwował, jak Spurgeon Robinson szoruje tors pacjenta.

- Hej - powiedział nagle, wskazując coś ruchem głowy. Tatuaż. Adam spojrzał na klatkę piersiową pacjenta, czując się idiotycznie, jak wyznawca jakiejś dziwacznej wiary. Proszę, dobry Boże, zabierz tego człowieka do nieba... w piekle swoje już odsiedział. Czym życie doprowadziło go do rozpaczony na tyle głębokiej, że zdecydował się przywdziać tę myśl niczym zbroję? Adam starał się zapamiętać tę sentencję, podczas gdy Spurgeon wciąż zanurzał wacik w betadynie. Jeżeli było jakieś źródło tego cytatu, komputer Adama tym razem zawiódł.

Pacjent był już podłączony do rozrusznika. Także inne urządzenia przystawiono do stołu: aparat do gazometrii, monitor, który pikał jak zwierzę ze szkła i metalu i pobłyskiwał przemieszczającą się po ekranie jasną kreską, obrazującą zmagania serca nieprzytomnego mężczyzny.

Kender niecierpliwie poddał się sterylizacji, po czym podszedł do stołu, przyjął skalpel z dłoni Louise i szybko wykonał cięcie. Adam czekał już ze ssakiem, naczynie na ścianie zahaczało niczym wodospad Niagara, kiedy urządzenie zaczęło pompować płyn otrzewniowy z jamy brzusznej pacjenta.

Jedno spojrzenie i już wiedział, że mają do czynienia ze zgorzelinowym zapaleniem otrzewnej. Dłonie Kendera ugniatały i masowały odbarwione trzewia, jakby pieściły chorego pytona.

- Zadzwoń do domu doktora Sacka - polecił Kender studentowi czwartego roku. - Powiedz mu, że mamy zgorzelinowe zapalenie otrzewnej, sięgające aż do okrężnicy zstępującej. Spytaj, czy może przyjechać do szpitala z całym wyposażeniem.

- Jakim wyposażeniem?

- On już będzie wiedział.

Pod nadzorem Kendera wstrzyknęli pacjentowi barwnik, który w promieniach Roentgena miał ukazać stan krążenia krwi w jelitach. Zaraz potem wtoczono kolejne

urządzenie, przenośny aparat rentgenowski.

Adam spostrzegł, że krew w operowanych okolicach stała się bardzo ciemna, a mięśnie ramion pacjenta zaczęły drżeć, jak u konia oganiającego się od much.

- Chyba ma problemy z tlenem - powiedział.

- Jak to wygląda? - spytał Kender anestezjologa.

- Ciśnienie krwi bliskie zera. Do tego piekielna arytmia.

- A co z PH? Spurgeon sprawdził.

- Sześć i dziewięć.

- Lepiej przygotujcie dwuwęglan sodu - polecił Kender. - Ten facet jest na prostej drodze do zatrzymania pracy serca.

Żółte zygzaki na ekranie monitora, każdy odpowiadający jednemu skurczowi zamierającego mięśnia sercowego, stawały się coraz rzadsze, ich amplituda malała, aż w końcu została tylko żółta linia prosta.

- Jezu - powiedział Spurgeon. - On nam schodzi. Kender rozpoczął reanimację, naciskając na klatkę piersiową dolną częścią dłoni.

- Dwuwęglan - rozkazał.

Adam wbił igłę w żyłę nogi, wstrzyknął lek, potem obserwował Kendera.

Przycisnąć.

Puścić.

Przycisnąć.

Puścić.

Ten rytmiczny nacisk wyprostowanych ramion, widok lekarza kołyszącego się do przodu i do tyłu przywodził mu na myśl... no właśnie, co? Po chwili przypomniał sobie swoją babkę Włoszkę wyrabiającą ciasto na domowy chleb. Kuchnia, podarte rolety, wyblakłe biało-żółte firanki, krucyfiks na piecu, na starej napędzanej pedałem maszynie Singera egzemplarz „Il Giornale” z poprzedniego tygodnia, w klatce ten przeklęty rozśpiewany kanarek i ona wyrabiająca ciasto na wielkiej drewnianej desce, pełnej rys po nożu, które zawsze wypełniało zaschnięte ciasto na makaron. Mąka na brązowych ramionach babki, na zwieńczonych delikatnym wąsikiem sycylijskich ustach ciche przekleństwo skierowane do jego ojca.

Do diabła, zaklął w duchu wracając myślami do mężczyzny leżącego na stole.

- Adrenalina - zarządził Kender.

Pielęgniarka chwyciła szklaną ampułkę i złamała ją w palcach. Strzykawka Adama wypięła hormon, po czym wprowadziła go w żyłę drugiej nogi.

No już, przeklęty mięśniu, myślał. Bij.

Uniósł wzrok i zerknął na zegar wiszący na ścianie, cichy i nieruchomy jak serce operowanego mężczyzny. Po szpitalu krążyła opowieść, że w przeszłości konserwacją zegarów zajmował się pewien inżynier, który jako jedyny potrafił zmusić je do pracy. Kiedy przeszedł na emeryturę, one poszły w jego ślady.

- Ile czasu minęło? - spytał.

Jedna z pielęgniarek, która nie brała bezpośredniego udziału w operacji, mogła więc nosić zegarek, rzuciła okiem na nadgarstek.

- Cztery minuty i dziesięć sekund.

O Boże. No cóż, staraliśmy się, kimkolwiek byłeś, pomyślał i spojrział na Kendera oczekując, że ten przerwie próby reanimacji. Po czterech minutach bez natlenionej krwi to, co było mózgiem, staje się zamkniętą w czaszce rzepą. Nawet gdyby udało się przywrócić to ciało do życia, i tak nigdy by już nie myślało, nie czuło; w rzeczywistości wcale by nie żyło.

Jednakże Kender zachowywał się tak, jakby nie dosłyszał. Kołysał się, naciskając na klatkę piersiową, a potem pozwalając jej odskoczyć w górę.

Jeszcze raz.

I znowu.

I...

- Sir? - odezwał się w końcu Adam.

- O co chodzi?

- Minęło prawie pięć minut. - Pozwólmy nieszczęsnemu bydlakowi umrzeć, miał ochotę dodać.

- Podaj jeszcze jedną dawkę dwuwęglanu.

Po raz kolejny wbił igłę w żyłę. Doktor Kender nadal się kołysał, zachowując się jak stary lotnik; nie poć się, zrzuć bomby, nigdy nie mów, że to już koniec.

Mijały sekundy.

- Jest akcja serca - oznajmił anestezjolog.

- Przyłóż mu jeszcze odrobiną adrenaliny - polecił Kender tonem takim, jakby rozkazywał zrzucić napalm.

Adam wykonał polecenie, starając się zachować obojętną minę, a zaciśnięte usta chowając za maską.

Na monitorze pojawił się zygzak i po chwili rozpoczął się stary, rytmiczny marsz. Mięsień kurczył się, napelniał krwią, pulsował, bijąc w sposób, którego o mało na zawsze nie zapomniał.

Zmartwychwstał, pomyślał Adam.

Zjawił się doktor Sack z aparatem na slajdy i kamerą z kolorowym filmem.

- Rozszerz cięcie - rozkazał Kender.

Adam wykonał polecenie. Kamera zafurkotała, a on aż się wzdrygnął. Gwiazda filmowa.

Ujęcie trwało kilka chwil, później kamery odłożono, a oni znowu stali się chirurgami. Wycięli zwój trzewny, po czym podali leki mające zapobiegać skurczom mięśni i ewentualnie przywrócić krążenie krwi. Jelito nie nadawało się oczywiście do operacji. Adamowi przypadł zaszczyt zaszycia brzucha.

Później razem ze Spurgeonem oczyścili okolice rany alkoholem. W miarę jak zniką krew i betadyna, powróciły litery: Proszę, dobry Boże, zabierz tego człowieka do nieba... w piekle swoje już odsiedział.

- Przez cały czas mają przy nim siedzieć przynajmniej dwie osoby i za wszelką cenę utrzymywać go przy życiu - polecił Kender.

Adam pomógł przenieść pacjenta na nosze, a potem zerwał maskę ze spoconej twarzy i patrzył, jak w towarzystwie anestezjologa ściskającego ambu wywożą warzywo z sali operacyjnej.

Były dni, kiedy praktykował chirurgię życia. Operacje, które przeprowadzał, służyły żywym ludziom, miały uwolnić ich od cierpienia. Lecz bywało i tak, że uprawiał chirurgię śmierci i rozpaczy, otwierał ludzką powłokę, a w środku znajdował komórki szpetne i zdziczałe, które można było jedynie zamknąć i ukryć przed światem. Wówczas musiał bardzo się starać, by skoordynować mózg i ręce, wiedział bowiem, że cokolwiek zrobi, i tak nie będzie w stanie zapobiec okrutnemu cierpieniu, a w końcu śmierci.

To był właśnie taki dzień. Czuł to.

Późnym popołudniem na blok operacyjny przywieziono Strattona. Towarzyszył mu jakiś człowiek, niewątpliwie prawnik, bez którego pisemnej zgody nie mogli przeprowadzić operacji. Mężczyzna ubrany był w luźny brązowy garnitur, miał brudny kołnierzyk koszuli, a węzeł krawata stanowczo za duży. Jego zmęczona twarz pasowała do kapelusza, także wyraźnie przybrudzonego. Wcale nie przypominał Melvina Belliego ani F. Lee Bailey'a. Stał na korytarzu obok wejścia na salę operacyjną i rozmawiał ze Strattonem, aż w końcu Adam poprosił go, by sobie poszedł, co niezwłocznie uczynił, starając się ukryć ulgę.

- Panie Stratton, witam pana - rzekł Adam. - Postaramy się zapewnić panu najlepszą możliwą opiekę.

Mężczyzna zamknął oczy i pokiwał głową.

Na salę operacyjną weszła Helena Manning, rezydentka pierwszego roku, oraz Spurgeon Robinson. Adam zdecydował, że to ona przeprowadzi zabieg. Ponieważ na dyżurze była tylko jedna pielęgniarka, Adam polecił jej zajmować się lekarstwami, Spurgeon zaś miał najpierw pomóc mu w szorowaniu rąk, później przejąć rolę instrumentariusza. Kiedy wszakże podeszli do umywalki, czekała ich kolejna niespodzianka. Przeszarżowany system wodociągowy był niewydolny i po kilka razy w tygodniu zdarzało się, że nawet przez godzinę zamiast ciepłej wody płynęła lodowato zimna. Tak było i teraz. Sycząc i klnąc szorowali dłonie i przedramiona przez przepisowe dziesięć minut, a następnie, trzymając ręce w górze, wrócili przez wahadłowe drzwi na salę operacyjną.

Pielęgniarka, która dopiero niedawno zaczęła pracować w szpitalu, wyznała drżącym głosem, że po raz pierwszy zdarza się jej asystować w pojedynkę.

- To nic takiego - zapewnił Adam, jęknąwszy w duchu. Spurgeon otworzył zestaw do amputacji i ułożył narzędzia w lśniących rzędach. Szwy i nitki czekały pod sterylnym ręcznikiem. Rezydentka ułożyła pacjenta i pod baczny okiem anestezjologa zaczęła podawać znieczulenie zewnątrzoponowe.

Stratton jęknął.

Helena Manning wyszorowała nogę, Adam obłożył ją serwetami.

- Gdzie? - spytał.

Palcem w rękawiczce wskazała linię cięcia pod kolanem.

- Zgadza się. Musisz ciąć tak, żeby powstał długi przedni i krótki tylny płat skóry. Tak żeby - kiedy rana się zagoi - mógł chodzić na skórze, a blizna schowała się z tyłu. No to zaczynaj.

Spurgeon wręczył jej skalpel, później podawał Adamowi zaciski, którymi ten zamykał krwawiące naczynia natychmiast po przecięciu. Pracowali bez chwili wytchnienia, aż wzdłuż cięcia znalazło się dziesięć albo dwanaście zacisków, po czym przerwali, żeby podwiązać naczynia.

- Ustaw światło - poprosiła Helena pielęgniarkę. Dziewczyna weszła na taboret i przekręciła lampę, a Adam patrzył z przerażeniem, jak z kołyszącego się klosza drobny kurz opada na pole operacyjne. Oświetlenie na salach operacyjnych, podobnie jak zegary i ciepła woda, było reliktem łączącym Suffolk County Hospital z poprzednią epoką. Od Przyjazdu z Georgii Adam zastanawiał się, jak to możliwe, że poważni profesorowie uniwersyteccy marnują mnóstwo czasu na szorowanie i dezynfekcję, a później przez przypadek obsypują pole operacyjne kurzem, ustawiając zawieszony pod sufitem lampy.

Spostrzegł, że Helena zaczyna partaczyć robotę, wykonując cięcie zbyt nisko.

- Nie tak - powiedział. - Kresa chropawa musi być wyżej, bo w przeciwnym razie okostna utworzy ostrogę.

Powtórzyła cięcie, przedłużając o kilka minut czas trwania operacji. Klimatyzacja furkotała, monitor wydawał z siebie usypiające pik-pik-pik. Adam, czując pierwszy łagodny atak senności, siłą woli skoncentrował się na zabiegu i zaczął zastanawiać się, co za chwilę będzie potrzebne.

- Proszę przynieść alkohol absolutny - polecił pielęgniarce.

- Ojej - rozejrzała się dziko dookoła. - A... do czego jest potrzebny?

- Do ostrzyknięcia nerwu.

- Aha.

Rezydentka znalazła i podwiązała tętnicę udową. Po chwili zjawiała się pielęgniarka z alkoholem. W samą porę. Helena zlokalizowała nerw kulszowy, zmiażdżyła go i ostrzyknęła alkoholem.

- Teraz poprosimy wosk - zwrócił się Adam do pielęgniarki.

- Dobrze. - Dziewczyna zniknęła, by zмагаć się z nowym wyzwaniem.

Adam wręczył Helenie piłę. Ku jego zachwytowi młodsza koleżanka okazała się kobietą z krwi i kości. Nie miała pojęcia, jak należy trzymać piłę. Ściskając ją delikatnie i z ogromnym wdziękiem, przesuwała nią po kości.

- Od razu widać, że w szkole nigdy nie robiłaś dla mamy taborecika - stwierdził.

Posłała mu mordercze spojrzenie, zacisnęła zęby i z determinacją zabrała się do piłowania. Wróciła pielęgniarka.

- Nie ma wosku.

- A czym woskujecie szwy?

- Nie woskujemy. Oliwimy.

- Do diabła, tutaj będzie potrzebny wosk. Proszę sprawdzić na ortopedii. - Był to koniec ich ciepłego zawodowego zbliżenia, ale poszła. Po paru minutach wróciła.

- Nie ma wosku? - spytał z uśmiechem.

- Nie, na górze też nie ma.

- Dziękuję bardzo.

- Do usług - odparła chłodno i wyszła.

Helena zaszyła skórę drobnym równym ścięciem. Taborecików nie robiła, za to najwyraźniej miała sporą wprawę w szyciu sukienek dla lalek.

- Panie Stratton - mówił anestezjolog. - Może pan już się budzić. Proszę się obudzić.

Pacjent otworzył oczy.

- Wszystko poszło jak z płatka - oznajmił Adam. - Wkrótce dojdzie pan do siebie.

Stratton wpatrywał się spod przymkniętych powiek w sufit sali operacyjnej, rozmyślając w świątecznym nastroju o jednonogim kierowcy ciężarówki oraz jego żonie leżącej w innym szpitalu, tak ciężko chorej, że nie mogła nawet podpisać dokumentu.

Pielęgniarka zawinęła amputowaną nogę w dwie chusty. Adam, przebrawszy się z powrotem w biały strój, zabrał ją, jak również napisany przez Helenę raport, i poszedł do windy, na którą oczywiście musiał długo czekać. Patologia znajdowała się na czwartym piętrze. Na pierwszym wsiadło kilku pasażerów, a kiedy zbliżali się do drugiego, uwagę Adama przyciągnęła paniusia w średnim wieku, kobieta w rodzaju tych, które szczebioczą słodkim głosikiem nawet do buldoga. Przyglądała się zawiniątku, które dźwigał.

- Czy mogę tylko zerknąć na maleństwo? - spytała wyciągając rękę.

- Nie. - Szybko cofnął się o krok. - Nie chciałbym go obudzić.

To dziecko wezmę do siebie. Wordsworth. Jadąc na czwarte piętro gładził czule łydkę pana Strattona.

Gaby nie dawała znaku życia. Zadzwoił do niej ponownie i jak zwykle został splawiony przez Susan Haskell, którą zdążył już szczerze znienawidzić.

Dreczyły go wyrzuty sumienia z powodu Liz Meomartino, zdał sobie bowiem sprawę, że bezwzględnie ją wykorzystał w swoich tandetnych rozgrywkach z jej mężem, tak samo jak niegdyś wykorzystał podstarzałą Greczynkę.

Postanowił, że nigdy więcej do niej nie zadzwoni, i od razu poczuł ulgę. To był haniebny epizod, lecz przecież czas zaleczy rany.

A jednak ciągle o niej myślał. Zdumiewała go. W żadnym wypadku nie była zwykłą dziwką. Wytworna, obyta, z doskonałym gustem, bogata, a do tego piekielnie zmysłowa...

- Halo? - rozległ się jej głos w słuchawce.

- To ja, Adam - powiedział zamykając drzwi budki telefonicznej.

Wszystko odbyło się jak za pierwszym razem. Spotkali się w restauracji Par lor, potem poszli po brudnym śniegu do hotelu Regent. Adam poprosił o ten sam pokój.

- Czy zamierza pan zatrzymać się na dłużej? - spytał recepcjonista.

- Tylko na jedną noc.

- Za jakieś trzy, cztery godziny będziemy mieli komplet. Legion Amerykański ma zjazd w Audytorium Pamięci, kawałek dalej przy tej ulicy. Pomyślałem sobie, że lepiej pana ostrzeżę, na wypadek gdyby chciał pan zarezerwować pokój do końca tygodnia.

Drzwi toalety otworzyły się i ujrzał Liz wchodzącą do holu. Właściwie czemu nie? Przecież kiedy nie pracował, nic go w szpitalu nie trzymało.

- Niech pan policzy za tydzień - powiedział.

Tego popołudnia leżeli w pokoju 314, a muzyczny podkład tworzyły okrzyki i śmiech mężczyzn w niebiesko-złoty czapkach, wyrzaskiwane przez drzwi obelgi i wiadomości, zrzucane z góry puste butelki oraz worki z wodą.

- Jaki mają naturalny kolor? - spytał gładząc jej gęste włosy.

- Czarny - odparła.

- Nie powinnaś była go zmieniać. Odsunęła głowę.

- Przestań. On też zawsze mi to mówi.

- Co niekoniecznie oznacza, że nie ma racji. Powinnaś wrócić do własnego koloru - dodał łagodnie. - To chyba jedyna skaza na twojej urodzie.

- Są inne - odparła. - Nie przypuszczałam, że do mnie zadzwonisz - dodała po dłuższej chwili.

Na korytarzu odbywały się jakieś marsze. Adam patrzył w sufit i palił papierosa.

- Początkowo nie zamierzałem. - Wzruszył ramionami.

- Ale nie mogłem cię zapomnieć.

- Ze mną było tak samo. Znałam wielu mężczyzn. Czy to ci przeszkadza? Nie - przytknęła mu do ust końce palców.

- Nie odpowiadaj. Pocałował jej palce.

- Byłeś kiedyś w Meksyku? - spytała.

- Nie.

- Jak miałam piętnaście lat, stryj pojechał tam na symposium lekarskie. Zabrał mnie z sobą.

- Tak?

- Cuernavaca. W górach. Kolorowe domy. Cudowny klimat, kwiaty kwitnące przez okrągły rok. Prześliczne miejsce. Jeśli gospodarz zapomni zamieść chodnik przed południem, płaci mandat.

- I nie ma śniegu - dodał. Na zewnątrz sypało.

- Nie ma. A do Mexico City jest tylko kawałek. Raptem pięćdziesiąt mil. To bardzo kosmopolityczne miasto, podobnie jak Paryż. Są tam duże szpitale, kwitnie życie towarzyskie. Utalentowany lekarz z Ameryki Północnej ma tam przed sobą wspaniałe perspektywy. Z kolei ja mam dość pieniędzy, by kupić ci odpowiednią praktykę.

- O czym ty mówisz?

- O tobie, o mnie i o Miguelu.

- O kim?

- Miguel to mój syn.
- Przecież to szaleństwo.
- Wcale nie. Miguel ci chyba nie przeszkadza? Za nic w świecie bym go nie zostawiła.
- Nie, to znaczy, nie musi mi przeszkadzać, bo to po prostu niemożliwe.
- Obiecuj, że się nad tym zastanowisz.
- Posłuchaj, Liz...
- Proszę. Po prostu się zastanów.

Przewróciła się na bok i pocałowała go. Jej ciało było mu latem, rosą miodową, jeżynami, skórą brzoskwini, piżmem.

- Pokażę ci pałac Corteza.

Wczesnym wieczorem w niedzielę mężczyzna z zapaleniem otrzewnej wrócił na salę operacyjną, a po ponownym otwarciu brzucha okazało się, że działania podjęte w sobotę rano najwyraźniej pobudziły krążenie. Obszar tkanki wolnej od zgorzeli był teraz na tyle duży, że resekcja stała się wykonalna. Wycięli większą część jelita cienkiego oraz fragment grubego. Pacjent przez cały czas spał, pogrążony w ewidentnej śpiączce.

W poniedziałek podczas śniadania Adam dowiedział się, że mężczyzna przeszedł kolejne dwa zawały. Poddawany był teraz zmasowanej terapii, a Kender robił co mógł, by utrzymać go przy życiu. Przez cały czas człowieka-warzywa pilnowały przynajmniej dwie osoby, podając mu tlen i leki, oddychając za niego, wlewając w żyły płyny podtrzymujące życie.

Tego popołudnia Adam zajrzał do kuchni na oddziale i zobaczył Kendera, który siedział w kącie z zamkniętymi oczyma, być może drzemiąc, chociaż tego Adam nie potrafił określić. Najciszej jak potrafił, nalał sobie filiżankę kawy.

- Nalej mi też, dobrze? - odezwał się Kender. Adam podał mu filiżankę, po czym usiadł. Przez chwilę pili w milczeniu.

- Zabawny jest ten nasz zawód - odezwał się w końcu Kender. - Od tylu lat zajmuję się przede wszystkim transplantacjami. W przyszłym roku na uczelni powstanie nowa katedra. Powinien ją objąć specjalista od przeszczepów, tymczasem na pewno nie będę to ja. Ja zostanę ordynatorem.

- Żałuje pan? - spytał Adam. Kender posłał mu zmęczony uśmiech.

- Prawdę mówiąc nie. Ale powoli zaczynam się przekonywać, że doktor Longwood nie miał łatwej pracy. Przejąłem wszystkie jego przypadki.

- Wiem.

- A znasz może średni odsetek śmiertelności wśród wspólnych pacjentów doktorów

Longwooda i Kendera?

- Musi być wysoka, gdyż w przeciwnym razie nie pytałby pan. Pięćdziesiąt procent?

- Zaczynij od stu - odparł cicho Kender, po czym wyjął z kieszeni cygaro. - I taki właśnie utrzymuje się od bitych trzech miesięcy. To strasznie długi okres bez przynajmniej jednego pacjenta, który przeżył. Całe mnóstwo operacji.

- Z czego to wynika?

- Z tego, że niech to diabli, wszystkie łatwe przypadki są dla was. W takim szpitalu jak ten ordynator nie dostanie nikogo, kto nie siedzi w grobie przynajmniej po tyłek.

Adam nigdy wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy. Boże.

- Następnym razem, jak będę miał kogoś z przepukliną albo wyrostkiem, zwrócę się do pana o pomoc.

Kender uśmiechnął się.

- Byłbym zobowiązany - odrzekł. - Niezmiernie zobowiązany. - Zapalił cygaro i posłał chmurę dymu w kierunku sufitu. - Przed chwilą straciliśmy tego faceta z zapaleniem otrzewnej.

Współczucie Adama natychmiast stopniało.

- Tak naprawdę straciliśmy go podczas tamtego sześciominutowego zatrzymania pracy serca, nie sądzi pan?

Kender przyjrzał mu się uważnie.

- Nie, nie sądzę. Absolutnie się z tym nie zgadzam. - Wstał i podszedł do okna. - Widzisz tamto wielkie mauzoleum z czerwonej cegły po drugiej stronie ulicy?

- Laboratorium zwierzęce?

- Zbudowano je bardzo dawno, jeszcze przed wojną secesyjną. Tam właśnie kroił koty Oliver Wendell Holmes.

Adam milczał z obojętną miną.

- No cóż, ty, ja i Oliver Wendell Holmes to nie jedyni, którzy tam pracowali. Przez dłuższy czas doktor Longwood, doktor Sack i paru innych operowali zwierzęta ze zgorzelą jelit i robiąc to, co my zrobiliśmy temu facetowi na sali operacyjnej, zdołali uratować kilka z nich.

- Ale to był człowiek - zauważył Adam. - Nie pies.

- Przez ostatnie dwa lata mieliśmy szesnastu takich pacjentów. Każdy z nich zmarł, ale też każdy bez wyjątku żył dłużej niż jego poprzednik. Ten przeżył czterdzieści osiem godzin. W jego przypadku nasza metoda poskutkowała. Nie nadająca się do operacji zgorzel zmieniała się w taką, którą dało się zoperować. Kto wie, jeśli będziemy mieli trochę szczęścia, być

może u następnego pacjenta nie dojdzie do zatrzymania pracy serca.

Adam spojrział na starszego chirurga. Czuł teraz wiele rzeczy, wszystkie jednocześnie.

- Ale w takim razie kiedy uznaje pan, że pacjent jest już poza naszym zasięgiem, że nie uda się przywrócić go do życia? Kiedy postanawia pan pozwolić mu umrzeć w spokoju i z godnością?

- W tej sprawie każdy lekarz musi podjąć suwerenną decyzję. Ja zawsze walczę do końca.

- Zawsze?

- Do licha, młody przyjacielu - odparował Kender. - Tylko popatrz na to, co wydarzyło się w zasięgu rzutu kamieniem od tego szpitala. I to tylko w okresie, który obejmują pamięcią pracujący tutaj ludzie. W tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym młody lekarz, niejaki Paul Dudley White, rozpoczął leczenie piętnastolatki z Brockton. Trzy lata później dziewczyna umierała, ponieważ jej serce zaciskał włókniejący worek osierdziowy. Trafiła do Massachusetts General Hospital osiem albo dziewięć razy, wszyscy patrzyli na nią, coś tam robili, ale nikt nie był w stanie jej pomóc. White wypisał ją więc do domu wiedząc, że jest skazana na śmierć, chyba że ktoś zdołałby usunąć ten worek. Później jednak raz jeszcze przyjął Katherine do szpitala, bo liczył, że mimo wszystko uda się przeprowadzić operację. Zrządzeniem losu, nazwijmy to fuksem, przypadkiem albo wolą boską, akurat wtedy do Massachusetts powrócił z Europy inny młody chirurg, Edward Delos Churchill, który przeszedł intensywne szkolenie w zakresie chirurgii klatki piersiowej, między innymi u wielkiego Ferdynanda Sauerbrucha w Berlinie. Potem Churchill został oczywiście ordynatorem chirurgii w Massachusetts General Hospital. Otóż White natknął się na niego na starym korytarzu z czerwonej cegły i przekonał, żeby przyszedł na oddział i zbadał Katherine. Nikomu w całych Stanach Zjednoczonych nie udało się wcześniej usunięcie zwłókniałego worka osierdziowego ani za pomocą noża chirurgicznego, ani przy użyciu lekarstw. Ale White spytał Churchilla, czy zaryzykuje, a przecież - Kender wzruszył ramionami - dziewczyna powoli umierała. No cóż, Churchill się zgodził i dziewczyna przeżyła. Tak się składa, że dzisiaj jest szczęśliwą babcią. W minionych latach wielu pacjentów ze zwłóknieniem worka osierdziowego przeszło udane operacje. Adam nic nie mówił. Po prostu siedział i pił kawę.

- Jakiś inny przykład? Proszę, służę uprzejmie. Doktor George Minot. Błyskotliwy młody bostoński badacz, umierający na cukrzycę w czasach, kiedy jeszcze nie było na nią żadnego skutecznego lekarstwa. Już się zdawało, że nic go nie uratuje, i właśnie wtedy dostał jedną z pierwszych dawek nowego hormonu odkrytego przez dwóch Kanadyjczyków,

Fredericka C. Bantinga i Charlesa H. Besta. Ów hormon to oczywiście insulina.

A ponieważ nie umarł, po latach otrzymał Nagrodę Nobla za opracowanie leku przeciwko złośliwej anemii, który uratował życie ogromnej liczby osób, Bóg jeden raczy wiedzieć, ilu dokładnie. - Klepnął Adama z całej siły w udo i dmuchnął mu dymem prosto w oczy. - Dlatego właśnie nie kupuję wszystkich tych bajek na temat łatwej godnej śmierci. Dlatego, synu, walczę aż do końca, chociaż wydaje się to ohydne, a do tego piekielnie boli.

Adam pokręcił głową, nadal nie przekonany.

- Ale i tak wiele można by powiedzieć na temat nieprzedłużania bólu i cierpienia w obliczu nieuniknionej śmierci.

Kender spojrzał na niego i uśmiechnął się.

- Jesteś młody - stwierdził. - Ciekawe, jak zmienią się twoje poglądy z biegiem czasu.

- Raczej wątpię, żeby kiedykolwiek się zmieniły. Kender ponownie dmuchnął mu dymem w nos.

- Zobaczymy - powiedział.

Biegąc w środku nocy w dresie, rękawiczkach, szaliku i zimowych butach po świeżym puszystym śniegu, który w świetle latarni lśnił jak szkło, orbitując wokół szpitala, swojego słońca, tak długo, aż lodowate powietrze doszczętnie wyżarło mu płuca, Adam zrozumiał, że Spurgeon Robinson miał rację: Wielki Plan Silverstone'a to w gruncie rzeczy piramidalna bzdura i jeden wielki krwi placek. Liz Meomartino podawała mu Wielki Plan Silverstone'a na srebrnej tacy, tymczasem on natychmiast zorientował się, że wcale nie o coś takiego mu chodzi. Tak naprawdę marzył o tym, by za dwadzieścia lat stać się mieszaniną Lobsenza, Sacka, Kendera i Longwooda, a do takiej transformacji nie mogło dojść w Cuernavaca ani w żadnym innym miejscu, w które wybrałby się z Liz Meomartino.

Rano wykręcił jej numer i poinformował ją o tym najdelikatniej jak umiał.

- Jesteś pewien?

- Tak.

- Spotkajmy się, Adamie.

Wyczuwał, że wierzy, iż zdoła go przekonać.

- Raczej nie, Liz.

- Rafę będzie wieczorem w domu, ale jakoś się wymknę. Chcę się tylko z tobą pożegnać.

- Żegnaj, Liz. Powodzenia.

- Przyjdź, proszę. Tam gdzie zawsze. Przerwała połączenie.

Harował przez cały dzień jak wyemancypowany niewolnik na dorobku. O szóstej

skończył dyżur, wziął prysznic, potem położył się, przeczytał trzy czasopisma medyczne, wreszcie wstał i ubrał się do wyjścia. Kiedy szukał czystej chustki do nosa, jego dłoń natknęła się przypadkiem na jakiś przedmiot leżący w szufladzie. Wyjął go, a potem długo oglądał. Zupełnie jakby widział tę czarną rękawiczkę po raz pierwszy w życiu.

Tym razem w Regencie tłoczyli się legionieści i ich żony, musiał więc przeciskać się przez hol.

- Feliksie, czy masz bilety? - wydierała się otyła kobieta w mundurze służb pomocniczych.

- Pewnie - odparł jej mąż, szturchając Adama łaską między pośladki.

Adam aż podskoczył, czym wzbudził powszechne rozbawienie, aczkolwiek nie mógł odpowiednio zareagować, gdyż tłum wepchnął go do windy.

Byli na korytarzu, na schodach, wszędzie. Miał wrażenie, że ma ich pod paznokciami.

W chwili gdy otworzył drzwi do pokoju 314, neon za oknem błysnął, wykonując jeszcze jedno psychodeliczne zdjęcie, którego centralnym obiektem była położona na komodzie niebiesko-złota czapka.

Adam wziął do ręki ów absurdalny przedmiot. Mężczyzna w łóżku przyglądał mu się z obawą. To nie jest weteran Wietnamu, pomyślał Adam. Jest za stary nawet na Koreę. Starzy żołnierze, nie wiedzieć czemu, wydają się bardziej wygłodniali niż starzy marynarze. Hawthorne.

Mężczyzna był okropnie przerażony.

- Czego pan chce? Pieniędzy?

- Po prostu zabieraj się stąd. - Adam wręczył mu czapkę i przytrzymał drzwi, on zaś pośpiesznie naciągnąwszy spodnie, wyszedł.

Przyglądała mu się. Od razu zauważył, że piła.

- A mogłeś mnie uratować - wybełkotała.

- Nie jestem nawet pewien, czy potrafię uratować siebie samego.

Podniósł jej pończochy i włożył do torebki razem z czarną rękawiczką.

- Idź stąd - odezwała się.

- Muszę cię odtransportować do domu, Liz.

- Na to jest już stanowczo za późno - odparła z uśmiechem. - Powiedziałam, że idę tylko po papierosy.

Halkę miała na sobie, za to sukienka okazała się nie lada przeszkodą. Wobec braku jakiegokolwiek współpracy ze strony Liz, dopiero po dłuższej chwili jakoś ją w nią ubrał. Na dodatek zamek zaciął się w połowie i chociaż Adam spocił się z wysiłku, nie zdołał ani zapiąć

go do końca, ani odpiąć.

Płaszcz go zakryje, pomyślał.

Włożył jej buty, a potem postawił ją na nogi, lecz się zachwiała. Nie miał wyjścia, objął ją w tali i poprowadził do drzwi niczym pacjentkę.

Na korytarzu generałowie rozlewali piwo i whisky z wodą sodową.

- Nie, dziękuję - odmówił uprzejmie, opierając się o przycisk windy.

W głównym holu ujrzał mężczyznę z laską, który wyraźnie szykował się do powtórzenia żartu.

- Posłuchaj, Feliksie - zwrócił się do niego. - Jeśli tylko dotkniesz tym przedmiotem tę panią albo mnie, owinę go dookoła tej twojej tłustej szyi.

Feliks wyglądał na oburzonego.

- Słyszałaś tego bydlaka? - rzucił w stronę otyłej kobiety.

- Przecież ci mówiłam, że ludzie tutaj są oziębli jak pogoda - odrzekła, podczas gdy Adam ze swym brzemieniem włókł się do wyjścia. - Może następnym razem posłuchają i zrobią tę imprezę w Miami.

Na dworze padał śnieg, gęsty i mokry jak kleik owsiany. Bał się oprzeć ją o ścianę budynku, wyszli więc na tę pluchę, chwiejąc się i zataczając.

- Taksówka! - krzyknął.

Sznur samochodów, w tym także kilka taksówek, sunął dalej, chlapiąc na boki.

- Taksówka!

- Och, zawiodłeś mnie - odezwała się.

- Nie kocham cię - odparł. - Przykro mi. Przepraszam. - Włosy miał już mokre, śnieg topił mu się na szyi i ściekał za kołnierz. - Co więcej, kompletnie nie rozumiem, jak tobie może się wydawać, że mnie kochasz. Przecież my się prawie nie znamy.

- To bez znaczenia.

- Jak to bez znaczenia? Na litość boską, przecież trzeba się znać! Taksówka! - krzyknął w stronę przejeżdżającej zjawy.

- Chodzi mi o miłość. Miłość nie jest aż taka ważna. Wystarczy, że bardzo cię lubię.

- Boże - jęknął. Krzyknął ponownie czując, że zaczyna chrypnąć. Cudownym zrządzeniem losu taksówka zatrzymała się, lecz zanim zrobili krok, jakiś cwany eks-kapral wskoczył do środka i trzasnął drzwiami. Odjechała.

W zasięgu wzroku pojawiła się następna. Minęła ich, choć jakieś dziesięć stóp dalej nagle się zatrzymała i zaczęło z niej wysiadać dwóch mężczyzn.

- Chodź - pociągnął ją w stronę auta. - Zanim ta też zdąży nam zwiąć.

Zataczali się i ślizgali, krzyknął więc na kierowcę i machnął ręką. Tymczasem mężczyźni już wysiedli i teraz zmięrzali w ich stronę. Dopiero teraz spostrzegł, że jednym jest Meomartino, drugim doktor Longwood. Stary nie powinien wychodzić z domu w taką pogodę, pomyślał.

Przestał ją ciągnąć. Po prostu stali i czekali. Meomartino gapił się na nich w milczeniu.

- Gdzieś ty była? - spytał doktor Longwood. - Jeździliśmy po całym mieście. - Zerknął na Adama. - Gdzie ją pan znalazł?

- Tutaj - odparł Adam.

Nagle uświadomił sobie, że jej ramię nadal owinięte jest wokół jego szyi, a on sam obejmuje ją w talii. Uwolnił się z uścisku i przekazał ją Meomartino, który nadal milczał jak grób.

- Dziękujemy panu bardzo - rzekł sztywno doktor Longwood. - Dobranoc.

- Dobranoc.

Dzieląc się ciężarem mąż i stryj powlekli Liz do taksówki. Drzwi otworzyły się, potem zatrzasnęły, silnik zawarczał, tylne koła zabuksowały. Śnieżna maź niczym zasłużona kara trafiła go w prawą nogawkę, która zresztą i tak była już mokra. Poza tym zbyt pochłaniały go rozmyślenia o do połowy zapiętym zamku jej sukienki.

- Taksówka - mruknął bez nadziei, kiedy zajęty żółty pojazd wyłonił się z mroku.

Przez następne dni, cierpiąc na ciężkie przeziębienie, cierpliwie czekał na moment, kiedy Longwood ciśnie gromy na tego, który śmiał uwieść krew z jego krwi. Stary mógł go przecież zniszczyć na nieskończoną ilość sposobów. Tymczasem dwa dni po katastrofie pod hotelem Meomartino zaczął go w gabinecie chirurgów.

- Żona powiedziała mi, że kiedy poczuła się chora, zaproponowałeś jej, że zapakujesz ją do taksówki.

Patrzył mu prosto w oczy.

- No cóż...

- Całe szczęście, że ją spotkałeś. Chcę ci podziękować.

- Nie ma za co.

- Jestem pewien, że już nie będzie potrzebowała twojej pomocy.

Meomartino skinął głową i odszedł, przechylając szalę zwycięstwa na swoją stronę. Adam nigdy wcześniej nie czuł takiej nienawiści połączonej z tak głębokim szacunkiem. Zastanawiał się, co też się stało z jego zemstą.

Gniew Longwooda nie zstąpił z niebios. Adam harował jak wół, praktycznie nie

wychodził ze szpitala, prawie cały wolny czas spędzał w laboratorium zwierzęcym i patologicznym. Operował mnóstwo przypadków - wyrostek, pęcherzyk żółciowy, kilka resekcji żołądka, a także kolejne przeszczepy skóry u Grigio.

Pani Bergstrom otrzymała spóźniony prezent na gwiazdkę: następną nerkę. W przedostatnią noc roku niespodziewana zadymka przykryła brudne miasto czterema calami śnieżnej bieli. W Cambridge, po drugiej stronie rzeki, szesnastoletni syn pewnego szanowanego naukowca ukradł samochód, a potem uciekając po Memorial Drive przed policyjnym pościgiem, wpadł w poślizg, uderzył w betonową podporę i zginął na miejscu. Zrozpaczeni rodzice, prosząc jedynie o anonimowość, przekazali obie jego rogówki klinice okulistyczno-laryngologicznej, a po jednej nerce szpitalom Suffolk County i Brigham.

Adam i Kender zastanawiali się, jaką dawkę środka immunosupresyjnego powinni zastosować tym razem.

Po namyśle Kender zdecydował się na 130 miligramów imuranu.

- Czy nie wystarczy 100? - powątpiewał Adam.

- Poprzednio podałem jej 90 miligramów - odparł Kender - i zdecydowanie odrzuciła przeszczep. Nie chcę, żeby musiała przechodzić to jeszcze raz.

Operację przeprowadzili tuż po północy, a kiedy panią Bergstrom wywożono z sali operacyjnej, nowa nerka produkowała już mocz.

W sylwestra Adam ponownie znalazł się na sali operacyjnej, szykując się do wycięcia śledziony pierwszemu pijanemu kierowcy, który miał dość zdrowego rozsądku, by przerwać ból istnienia na autostradzie zaledwie dwie przecznice od szpitala. Przygotowany do operacji, Adam stał i czekał krzyżując na piersiach dłonie w rękawiczkach. Asystować miał Harry Lee. Norm Pomerantz podawał znieczulenie ogólne, co było zadaniem dość skomplikowanym, jako że mężczyzna zdążył znieczulić się alkoholem. Na sali panowała cisza.

- Minęła dwunasta, Adamie - odezwał się Lee.

- No to szczęśliwego Nowego Roku, Harry.

Nazajutrz wieczorem dręczony wątpliwościami co do dawki leku zaordynowanego przez Kendera pani Bergstrom, przez kilka godzin przeglądał jej dokumentację, lecz nie znalazł ukojenia, w końcu więc zrezygnował i zasnął nad notatnikiem z głową w ramionach. Śnił mu się pokój 314. Kobieta, która mu się oddawała, stopniowo mieszała się z inną, stawała się coraz szczuplejsza, bardziej jędrna i mniej dojrzała, aż w końcu kochał się z Gaby, zamiast spółkować z Liz Meomartino.

Kiedy się obudził, śmiał się z samego siebie.

A jednak w jakiś sposób nabrał przekonania, że mężczyzna, który poślubi Gaby

Pender, nigdy nie będzie musiał się obawiać, co się stanie, jeśli po zostawione w domu slajdy pośle kolegę.

Miała oczywiście inne problemy. Doszedł do wniosku, że to chyba dobrze, że wreszcie uwolnił się od tej wariatki.

Godzinę później podszedł do telefonu i wykręcił jej numer. Spodziewał się usłyszeć głos Susan Haskell, tymczasem słuchawkę podniosła Gaby.

- Gaby?

- Tak?

- To ja, Adam.

- Och...

- Co u ciebie?

- W porządku. To znaczy teraz. Przez pewien czas było gorzej, ale jakoś doszłam do siebie.

- Naprawdę? - spytał ponuro.

- Tak.

- Ja nie. Szczęśliwego Nowego Roku, Gaby.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Adamie.

- Gaby...

- Adamie...

Odezwali się jednocześnie, a teraz oboje czekali.

- Muszę się z tobą spotkać.

- Kiedy?

- Dziś mam dyżur. Posłuchaj, przyjedź na parking szpitalny o dziewiątej wieczorem. Jeśli mnie nie będzie, zaczekaj.

- Wyobrazasz sobie, że przylecę na pierwsze zawołanie? - spytała lodowatym tonem. - I jeszcze będę na ciebie czekać?

Ogarnęło go przerażenie, smutek i ogromny żal.

- Och, Adamie, ja też nie mogę się pozbierać - wyrzuciła z siebie. Jednocześnie śmiała się i płakała. Adam nie znał innej dziewczyny, która by to potrafiła. - Przyjadę, kochany. Przyjadę.

Odłożyła słuchawkę.

Księga trzecia.

Wiosna i lato, pełny cykl.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Adam Silverstone.

Adam rozmawiał z Gaby cicho i szczerze aż do bólu. Siedzieli w jej niebieskim samochodzie na szpitalnym parkingu. Mieli włączone ogrzewanie, za oknem sypał śnieg, latarnia nad wjazdem dla karettek błyskała na nich, dopóki biała pokrywa na szybie nie stała się na tyle gruba, że odcięła ich od świata.

- To wszystko moja wina - przyznał. - Już nigdy nie pozwolę, by którekolwiek z nas zrobiło drugiemu coś takiego.

- O mało mnie nie wykończyłeś. Dosłownie nie mogłam patrzeć na facetów.

Milczał.

Pozostało jednak kilka niemiłych spraw, którym należało stawić czoło.

- Wiesz, mój ojciec to beznadziejny alkoholik. Na razie jakoś sobie radzi, o ile można to tak określić. Ale w przeszłości bywał już w fatalnym stanie i jeśli to się powtórzy, co wydaje się więcej niż pewne, gotów jestem wydać ostatniego centa, żeby zapewnić mu właściwą opiekę. Tak więc nie mogę się ożenić do czasu, aż zacznę przyzwoicie zarabiać.

- Czyli jak długo?

- Do przyszłego roku.

Wiedział, że nigdy nie będzie miała zmysłowości Liz, a jednak pożądał jej o niebo bardziej. Była mu taka bliska. Przez cały czas pilnował się, żeby jej nie dotknąć, i nie zrobił tego także teraz.

- Ale ja nie chcę czekać aż do przyszłego roku - stwierdziła zdecydowanie.

Zastanawiał się, czy nie porozmawiać z kimś z oddziału psychiatrycznego, później jednak przypomniał sobie, że Gerry Thornton, z którym studiował, pracuje obecnie w szpitalu psychiatrycznym. Zatelefonował do niego, wymienili pozdrowienia, poplotkowali przez pięć minut na temat znajomych z roku, aż w końcu Gerry spytał:

- Domyślam się, że masz do mnie jakąś sprawę?

- No cóż, rzeczywiście. Moja znajoma... bardzo bliska znajoma... ma pewien problem i przyszło mi do głowy, że byłoby dobrze porozmawiać o tym z fachowcem od psychoanalizy.

- Tak się składa, że minie jeszcze przynajmniej kilka lat, zanim uda mi się

przeanalizować samego siebie - stwierdził Thornton skrupulatnie.

- Geraldzie, jeśli masz napięty terminarz, możemy to przełożyć na później. Na przykład przyszły tydzień...

- Adamie - odparł Thornton z wyrzutem - czy gdybym zjawił się u ciebie z zapaleniem wyrostka, kazałbyś mi czekać do przyszłego tygodnia? Może być czwartek?

- Lunch?

- Chyba lepiej u mnie w gabinecie - odrzekł Thornton.

- ...Tak więc widzisz - zakończył. - Najbardziej gnębi mnie obawa, że związek ze mną może jej zaszkodzić.

- Cóż, nie znam jej, ale mogę chyba spokojnie stwierdzić, że jeśli głęboko się zaangażowała, a ty się tylko dobrze bawisz... wybac mi to określenie...

- Nie o to chodzi. Ale chciałbym się dowiedzieć, ty przemądrzały freudysto, jaki wpływ będzie miał długi, permanentny związek na dziewczynę, która zdaje się cierpi na hipochondrię.

- Hmm. No cóż, nie rozmawiałem z nią, nie jestem w stanie postawić diagnozy, tak samo jak ty rozmawiając przez telefon nie jesteś w stanie osądzić, czy pacjent ma raka. - Thornton sięgnął po tytoń i zaczął nabijać fajkę. - Mówisz, że jej rodzice są rozwiedzeni?

Adam skinął głową.

- Od pewnego czasu nie utrzymuje z nimi bliższych kontaktów.

- No tak, to oczywiście mógłby być jakiś powód. Powoli uczymy się nowych rzeczy na temat urojonych chorób. Niektórzy lekarze rodzinni szacują, że aż ośmiu spośród dziesięciu pacjentów siedzących w ich poczekalniach znajduje się tam z powodów psychosomatycznych. Ich ból jest równie prawdziwy jak u pozostałych, tyle tylko że został spowodowany przez umysł, a nie przez ciało.

Potał zapalną i pyknął.

- Znasz poezję Elizabeth Barrett Browning?

- Trochę.

- Jest taki wiersz, który napisała dla swojego psa o imieniu Fluff.

- Wydaje mi się, że pies wabił się Flush. Thornton sprawiał wrażenie lekko rozdrażnionego.

- Zgadza się, Flush.

Podszedł do półki, zdjął jedną z książek i zaczął ją kartkować. - O, mam.

Spojrzyj na tego psa. Wczorajszej nocy Rozmyślałam, niepomna jego obecności. Myśl za myślą - i lzy mi spłynęły w żałości. Wtedy na mokrą poduszkę ktoś wskoczył.

- Wszystko wskazuje na to, że przez prawie czterdzieści lat była klasyczną hipochondryczką. A właściwie inwalidką, w końcu doszło bowiem do tego, że trzeba ją było wnosić i znosić po schodach. Potem jednak Robert Browning zakochał się najpierw w jej wierszach, a później w niej samej, zdobył fortecę starego Barretta przy Wimpole Street i hipochondria przeminęła z wiatrem, a może raczej z miodowym miesiącem, nie wiem dokładnie. Co więcej, w wieku ponad czterdziestu lat Elizabeth Barrett Browning urodziła dziecko. Jak ma na imię twoja dziewczyna? - spytał nagle.

- Gaby. Gabrielle.

- Śliczne imię. A jak Gabrielle czuje się obecnie?

- Jest w okresie bezobjawowym.

- Chodzi na psychoterapię?

- Nie.

- Osoby z lękami przyjmowane są codziennie. Wiesz o tym, prawda?

- Przyjmiesz ją? Thornton zmarszczył brwi.

- Nie sądzę. Wydaje mi się, że będzie lepiej, jeśli odwiedzi pewnego bystrego gościa w Beth Israel. Facet specjalizuje się w hipochondriach. Daj mi znać, czy zgodzi się do niego pójść, to zadzwonię i ją umówię.

Adam uściśnął mu dłoń.

- Dzięki, Gerry.

Geraldzie, za jakiś czas zrobi się z ciebie dęty bufon, wieszczą w myślach, przedzierając się przez chmurę dymu do drzwi gabinetu. Zaraz potem na jego twarzy pojawił się uśmiech. Thornton z pewnością potraktowałby to spostrzeżenie jako transfer negatywny.

Gaby często spotykała się z Dorothy. Od razu zapalały do siebie szczerą sympatią i niejednokrotnie, kiedy Adam i Spurgeon pracowali, spędzały razem długie godziny. To właśnie Dorothy jako pierwszą Gaby zabrała w okolice wzgórza Beacon, gdzie znalazła mieszkanie.

- Niedaleko stąd mieszka moja młodsza siostra - powiedziała Dorothy. - Janet.

- Tak? To może ją odwiedzimy?

- Nie. Nie bywam u niej. Właściwie nie utrzymujemy kontaktów.

Gaby wyczuła, że Dorothy bardzo to gryzie, lecz o nic nie pytała. Dwa dni później, kiedy prowadziła Adama w górę Beacon Street, była tak podekscytowana, że na śmierć zapomniała o tym wydarzeniu.

- Dokąd mnie ciagniesz? - spytał.

- Zobaczysz.

Złoty liść na kopule siedziby władz stanowych wyglądał w porannym słońcu jak płonący krzak, ale nie odbijał ciepła. Po chwili Gaby chwyciła Adama za rękę i skręcili z wietrznej Beacon Street w stosunkowo przyjemne zacisze Joy Street.

- Daleko jeszcze? - spytał wydmuchując z ust obłoczki pary.

- Zobaczysz - powtórzyła.

Miała na sobie czerwoną kurtkę narciarską i niebieskie elastyczne spodnie opinające to, co poprzedniej nocy w trakcie delikatnych pieszczot określił mianem najatrakcyjniejszych okolic pośladkowych, jakie zdarzyło mu się widzieć na i poza salą operacyjną. Strój uzupełniała niebieska wełniana czapka z długim białym chwościkiem, za który pociągnął, zatrzymując ją w połowie wzgórza Beacon.

- Nie ruszę się stąd ani na krok, dopóki mi nie powiesz, dokąd idziemy.

- Proszę, Adamie. Jesteśmy już prawie na miejscu.

- Przysięgnij na coś seksownego.

- Zgoda. Przysięgam na twój interes.

Skręcili w Phillips Street, doszli mniej więcej do połowy jej długości i stanęli przed czteropiętrową kamienicą o ścianach pokrytych pokruszonymi stiukami.

- Uważaj na te schody - ostrzegła wskazując wejście do sutereny.

- Toż to samobójstwo - mruknął pod nosem.

Betonowe schody przykrywała trzycalowa warstwa spękanego lodu, po którym zeszli na miękkich nogach. Na dole wyjęła z torebki klucz i otworzyła drzwi.

Przez pojedyncze okno do pokoju wpadało bardzo niewiele światła.

- Zaczekaj - poleciła, po czym zapaliła wszystkie trzy lampy.

Była to niewielka kawalerka. Tapety na ścianach ktoś pomalował na brąz, stanowczo zbyt ciemny jak na tak słabe oświetlenie. Spod grubej warstwy kurzu widać było ceglasto czerwone płytki pokrywające podłogę, w niektórych miejscach popękane. Na umeblowanie składały się: stosunkowo nowa rozkładana wersalka, jeden stary fotel pokryty wypłowiałym adamaszkiem i drugi, który samotnie ocalał z wiklinowego kompletu werandowego.

Zdjęła rękawiczkę i zaczęła ssać kciuk. Adam zauważył, że robi tak zawsze, kiedy jest spięta.

- No i? Jak myślisz?

Wyjął jej palec z ust.

- Że co, myślę?

- Powiedziałam gospodyni, że do dziesiątej się zdecyduję.

- To piwnica.

- Niski parter.

- Nawet podłoga jest brudna.

- Będę ją szorować i pastować tak długo, aż zacznie lśnić.

- Gaby, chyba nie mówisz poważnie? Przecież ta klitka nie może się równać z twoim mieszkaniem w Cambridge.

- Oprócz tego pomieszczenia, które jak sam widzisz, jest zgrabną kombinacją sypialni i pokoju dziennego, do dyspozycji są łazienka oraz maleńka kuchnia.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że Susan Haskell będzie się tutaj podobać bardziej niż w dotychczasowym mieszkaniu?

- Susan Haskell nie będzie tu mieszkać. Przez chwilę się zastanawiał.

- Nie? A kto będzie? - spytał.

- My. Ty i ja.

Stali wpatrzni w siebie.

- Siedemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie. Moim zdaniem to okazja - rzekła.

- O tak - zgodził się. - Rzeczywiście. - Objął ją. - Gaby, czy jesteś pewna, że tego chcesz?

- Zdecydowanie. Chyba że ty nie chcesz.

- Pomaluję ściany - powiedział po chwili.

- Są okropne, za to położenie jest fantastyczne. Stacja kolejki nadziemnej znajduje się zaledwie parę ulic stąd. Tak samo więzienie przy Charles Street. A gospodyni mówiła, że w ciągu trzech, czterech minut można dojść do mieszkania przy Bowdoin Street, w którym mieszkał kiedyś Jack Kennedy.

Pocałował ją w policzek i zorientował się, że jest mokry.

- To rzeczywiście wygodne.

Miał niewiele rzeczy do spakowania. Najpierw zawartość szuflady wrzucił do torby, później to samo zrobił z ubraniami wiszącymi w szafie, dołożył trochę książek i był gotowy do wyprowadzki. Pokój wyglądał tak samo jak wówczas, kiedy go zajmował. Nie zostawił w nim najdrobniejszej cząstki siebie.

Spurgeon miał akurat dyżur, więc nie było nawet z kim się pożegnać.

Pojechali do Cambridge, gdzie Susan Haskell pomagała Gaby się pakować, podczas gdy on przekładał książki z półek do kartonów.

Susan wyglądała na podenerwowaną, lecz Adama traktowała z lodowatą uprzejmością.

- To plastikowe wiadro było moje - odezwała się Gaby z wyraźnym poczuciem winy.

- Kupiłam najważniejsze rzeczy, ale o wiadrze chyba zapomniałam. Mogę je zabrać?

- Pewnie, bierz wszystko, za co zapłaciłaś, wariatko.

- Za parę dni umówimy się na lunch - obiecała Gaby. - Zadzwoń.

W drodze oboje milczeli. Niebo miało barwę popiołu, ich doskonały dotąd humor prysnął jak mydlana bańka. Kiedy wszakże dotarli na Phillips Street, fizyczny wysiłek włożony w rozpakowywanie sprawił, że wszystko wróciło do normy.

Podczas znoszenia rzeczy Adam wykonywał obłądny taniec na lodzie, walczył jednak dzielnie i ani razu nie upadł. Zanim ostatni karton znalazł się w pokoju, Gaby zdążyła przetrzeć szuflady komody środkiem dezynfekującym i wyłożyć papierem pakowym.

- Mamy tylko jedną komodę - odezwała się. - W której szufladzie poukładać twoje rzeczy?

- Jak ci wygodniej - odparł, nagle w dużo lepszym nastroju. - Chyba spróbuję skuć lód ze schodów.

- Świetny pomysł - zgodziła się, a on poczuł dumę, że jest takim odpowiedzialnym gospodarzem.

Kiedy wrócił do domu, zmarznięty, lecz zadowolony z triumfu nad siłami natury, nie dała mu nawet zdjąć płaszcza.

- Potrzebne nam będą prześcieradła.

Poszedł więc do Jordana, gdzie stanął przed nie lada dylematem: białe czy kolorowe, proste czy raczej z lamówką? W końcu zaryzykował i wybrał beżowe z lamówką. Kupił cztery, żeby były na zmianę.

Kiedy otworzył drzwi, ona na czworakach szorowała podłogę.

- Idź blisko ściany, kochanie. Zostawiłam ci ścieżkę. Posłusznie obszedł pokój dookoła.

- Wiesz, trzeba umyć podłogę w łazience i kuchni. Mógłbyś się tym zająć, a ja w tym czasie skończę tutaj.

- Czy to naprawdę konieczne? - spytał słabym głosem.

- Przecież nie możemy mieszkać w takim chlewie - odparła zszokowana tym pytaniem.

Wziął więc plastikowe wiadro, wylał brudną wodę, przepłukał je i napełnił, po czym padł na czworaka i wziął się do roboty. Z bliska obie podłogi okazały się zdecydowanie większe, mimo to podśpiewywał sobie pod nosem.

Zanim skończył, zapadł zmrok, a im żołądki ścisnęły głód. Gaby zabrała się za pastowanie w łazience, Adam, chociaż pocił się obficie, pozwolił grawitacji, by ściągnęła

jego gumowe nogi po zimnym i wietrznym północnym zboczu wzgórza Beacon do baru szybkiej obsługi w pobliżu więzienia, gdzie zamówił kanapki i piwo korzenne na wynos. Odniósł wrażenie, że facet za ladą jest przeświadczony, iż kupuje to jedzenie dla jakiegoś znajomego więźnia.

Po posiłku Adam poczuł, że czas na kąpiel, Gaby jednak poprosiła, żeby umył szafki w kuchni, sama zaś zajęła się gruntownymi porządkami w łazience.

Teraz już nie śpiewał. Pod koniec oboje mieli markotne miny i poruszali się jak automaty. Gaby skończyła pierwsza i poszła pod prysznic, on zaś siedział w wiklinowym fotelu i czekał, tak wyczerpany, że sił starczało mu jedynie na oddychanie. Kiedy przyszła jego kolej, stanął pod gorącym strumieniem, który jednak z biegiem czasu zaczął stygnąć, zmuszając go do wyścigu ze spadającą temperaturą. Szybko się namydlił i spłukał. Zaraz potem woda była już nieznośnie lodowata.

Gaby w tym czasie przygotowała łóżko i teraz leżała w niebieskiej koszuli nocnej, czytając jakieś czasopismo i zaznaczając przepisy, które jej się spodobały.

- Fatalne światło. Popsujesz sobie wzrok - przestrzegł.

- Zgasisz?

Obszedł pokój, wyłączając po kolei wszystkie lampy. W drodze powrotnej potknął się o jej buty i o mało nie wylądował na podłodze. W końcu rzucił się na łóżko obok Gaby, dusząc jęk bólu, jako że wszystkie mięśnie miał sztywne i obolałe, i właśnie odwracał się ku niej, kiedy nagle rozległ się krzyk kobiety - długi, przeraźliwy wrzask, po którym coś stuknęło w pobliżu ich drzwi.

- O Boże. Zerwał się z łóżka.

- Co zrobiłaś z moją torbą?

- Jest w szafie.

Wstała i podała mu ją, a on włożył buty na bose nogi i wybiegł na zewnątrz. Było bardzo zimno i ciemno, nic nie widział. Gdzieś na górze ponownie rozległ się wrzask kobiety. Wszedł po schodach do górnej części budynku. Na korytarzu uchylły się drzwi mieszkania numer jeden, zza których wyjrzała jakaś kobieta.

- Tak?

- Słyszeliśmy jakieś hałasy. Czy wie pani może, co to takiego?

- Niczego nie słyszałam. Kim pan jest?

- Nazywam się Silverstone. Właśnie się wprowadziliśmy. Mieszkamy na dole.

- Ach, miło mi pana poznać. - Drzwi otworzyły się szerzej i oczom Adama ukazała się niska krępa sylwetka, siwiejące włosy oraz okrągła obwisła twarz z lekkim wąsikiem nad

górną wargą. - Jestem Walters, gospodyni tego domu. Pańska żona to urocza osoba.

- Dziękuję - odrzekł przy wtórze kolejnego wrzasku. - O, właśnie to.

- Och, to tylko Bertha Kroi.

- Bertha Kroi?

- Tak. Nie ma co się nią przejmować. Zaraz przestanie. Spostrzegłszy jego nie zawiązane buty, gołe łydki, krótką piżamę, stary szlafrok oraz torbę w rękach, kobieta nagle zaczęła drzeć.

- Dobranoc - rzekł sztywno.

Kiedy schodził po schodach, coś walnęło o ziemię i po ulicy rozsypały się śmieci. Zdumiony, stał i patrzył na widoczne w bladym świetle ulicznej latarni namacalne dowody uderzenia, które słyszeli parę minut wcześniej. Spojrzał w górę i zdążył jeszcze spostrzec głowę chowającą się w oknie.

- To okropne! - krzyknął. - Proszę natychmiast przestać, Bertho Kroi!

Coś świsnęło, przeleciało tuż obok jego ucha i potoczyło się po schodach.

Puszka po piwie.

W mieszkaniu przerażona Gaby siedziała w fotelu.

- Co to było? - spytała.

- To tylko Bertha Kroi. Gospodyni twierdzi, że za chwilę powinno jej minąć.

Odstawił torbę lekarską do szafy, zgasił światło, zdjął szlafrok i buty, po czym wrócili do łóżka.

- Adam?

- Co?

- Jestem wykończona - powiedziała słabym głosem.

- Ja też - odparł z ulgą. - Sztywny i obolały.

- Jutro załatwię jakieś mazidło i cię natrę.

- Mhm. Dobranoc, Gaby.

- Dobranoc, kochanie.

Na górze rozległ się kolejny skowyt, po czym następna puszką spadła na pokryty kawałkami lodu beton. Gaby drżała leciutko, więc ją objął.

Po chwili poczuł, że trzęsie się pod jego ręką mniej więcej tak samo, jak trzęsła się gospodyni, nie wiedział tylko - ze smutku czy może ze śmiechu.

- Co się stało? - spytał cicho.

- Jestem taka zmęczona. A do tego przez cały czas się zastanawiam, czy to tak właśnie wygląda życie kobiety upadłej.

Śmiał się razem z nią, chociaż było to nieco bolesne.

Mała zimna stopa wtuliła się w jego podbicie. Kobieta na górze - pijana, a może obłąkana? - już nie wyła. Od czasu do czasu przejeżdżał samochód, krusząc jego lód oraz śmieci pani Kroi i rzucając na ścianę ruchome obrazy. Dłoń Gaby uniosła się i opadła lekko na jego udo. Zasnęła i zaczęła chrapać, lecz Adam doszedł do wniosku, że to ciche rytmiczne syczenie jest melodyjne i przyjemne, niczym gruchanie gołębi w gałęziach wiekowych wiązków lub bzyczenie pszczelego roju. Był to odgłos, który od razu polubił.

Obudzili się wczesnym rankiem i pomimo bólu wszystkich mięśni i kości kochali się pod cienkimi prześcieradłami w cichym zimnym pokoju, a później, jako że w kuchni nie mieli jeszcze żadnych zapasów, ubrali się, zeszli ze wzgórza przykrytego w ciągu nocy świeżą warstwą białego śniegu i zjedli obfite śniadanie w barze przy Charles Street.

Odprowadziła go na stację kolejki, pocałowała na do widzenia i rozstali się na trzydzieści sześć godzin, widząc na swoich twarzach ogromną radość z tego, że są razem. Żadne wszakże nie próbowało tego wyrazić słowami, być może ze strachu, że zapeszy.

Wybrała się do A&P na zakupy. Starła się być bardzo oszczędna i rozsądna, gdyż trochę krępowało ją, że żyją z jego skromnych zarobków. Zdawała sobie sprawę, że daleko nie zajdą, jeśli będzie trwonić pieniądze z wrodzoną lekkomyślnością.

Jednakże na widok dojrzałego awokado nie potrafiła się powstrzymać i kupiła dwa. Mimo że bardzo się pilnowała, a ich było tylko dwoje, brała z półek całe zszywki, żeby wypełnić pusty kredens. Skończyło się więc na pięciu pełnych siatkach. Zastanawiała się, czy nie pójść do domu po auto, postanowiła jednak spytać kierownika sklepu, czy może pożyczyć wózek. Okazało się, że jest to wprawdzie sprzeczne z obowiązującymi w sklepie przepisami, lecz ujęła go tym, że spytała o pozwolenie, i kierownik zgodził się, a nawet pomógł jej zapakować sprawunki. Była przekonana, że to genialne rozwiązanie, aż do chwili kiedy zaczęła piąć się pod górę. Stalowe kółka były za małe, zapadały się w śniegu i skręcały każde w inną stronę.

Na szczęście z pomocą przyszła jej jakaś ciemnoskóra dziewczyna z siwym kosmykiem.

- Pchaj z jednej strony, a ja popchnę z drugiej - zaproponowała.

- Dzięki - wysapała Gaby.

Wspólnymi siłami wtoczyły wózek na Phillips Street.

- Uratowałaś mi życie! Może wstąpisz na herbatę?

- Chętnie - zgodziła się dziewczyna.

Wniosły zakupy do mieszkania, zdjęły kurtki i rzuciły je na wersalkę. Dziewczyna

była ubrana w wytarte niebieskie dzinsy i starą, powyciąganą bluzę. Miała wysokie kości policzkowe i cudowną atlasowobrazową cerę. Wyglądała na jakieś siedemnaście lat.

- Jak masz na imię? - spytała.

- Och, przepraszam. Jestem Gabrielle... - Przerwała nie wiedząc, czy ma powiedzieć Pender, czy raczej Silverstone.

Dziewczyna nie zauważyła tego wahania.

- Ładne imię.

- A ty jak się nazywasz?

- Janet.

Gaby stanęła na palcach, sięgając po dzbanek.

- Nie jesteś przypadkiem siostrą Dorothy?

- Rzeczywiście, mam siostrę o tym imieniu.

- Jesteśmy przyjaciółkami!

- Tak? - spytała dziewczyna obojętnie.

Gaby zaparzyła w kuchence pierwszy dzbanek herbaty, otworzyła paczkę herbatników, a potem piły, jadły i rozmawiały. Janet mieszkała przy Joy Street.

- Wprowadziliśmy się tam między innymi ze względu na nazwę ulicy.

Do tego ogromniastego domu.

Gaby roześmiała się.

- Z tego, co mówisz, musi być naprawdę ogromny.

- No i jest.

- Ile ma pokoi?

- Nie wiem, nigdy nie liczyłam. Osiemnaście, może dwadzieścia. Potrzebujemy dużo przestrzeni. Mieszkam z niezwykle liczną rodziną.

- Ile osób? Wzruszyła ramionami.

- To zależy. Czasami ktoś odchodzi, a na jego miejsce zjawia się ktoś inny. Nie wiem, ilu nas teraz jest. Ale sporo.

- Aha - odparła Gaby. Powoli zaczynała pojmować.

- To się sprawdza - stwierdziła Janet, częstując się następnym herbatnikiem. - Każdy robi, co do niego należy.

- To znaczy co?

- No wiesz. Plakaty. Kwiaty. Albo sandały. Cokolwiek.

- A ty co robisz?

- Jestem zaopatrzeniowcem. Załatwiam wałówkę.

- Skąd ją bierzesz?

- Och, z różnych miejsc. Z marketów i piekarni. Dają nam przeterminowane produkty, nadgniłe warzywa i tym podobne. Zdziwiłabyś się, ile zostaje po wykrojeniu zepsutych części. Poza tym okoliczni mieszkańcy znają nas i też dają nam różne rzeczy. W mojej rodzinie zajmuje się tym jeszcze pięć innych osób. Radzimy sobie.

- Rozumiem - odparła cicho Gaby. Po jakimś czasie zebrała filiżanki i talerzyki i wstawiła je do zlewu.

- Lepiej pójdę oddać ten wózek.

- Ja go wezmę. I tak będę przechodzić obok.

- Och nie, nie trzeba...

- Boisz się, że go podprowadzę?

- Ależ skąd.

- Więc nie ma problemu.

Gaby poszła do kuchni i zapakowała do torby słoik masła orzechowego, dwa słoiki dżemu, bochenek chleba i - nie wiedzieć czemu - jedno awokado.

- To dla ciebie - rzekła wręczając dziewczynie torbę. Była zawstydzona, chociaż nie miała pojęcia dlaczego.

Janet wzruszyła ramionami.

- Masz dużo książek - stwierdziła wskazując ułożone na podłodze stosy. - Świetne półki można zrobić ze skrzynek po pomarańczach. Trzeba tylko pomalować je na różne kolory.

Pomachała ręką na pożegnanie i wyszła. Mieszkanie natychmiast zrobiło się ciche i puste. Gaby odłożyła listę zakupów, świadoma, że będzie musiała jeszcze raz zjechać na dół, żeby dokupić to, co oddała dziewczynie. Masło orzechowe, dżem i chleb. Najpierw jednak ucięła dwa kawałki plastra, na jednym napisała drukowanymi literami GABRIELLE PENDER, na drugim ADAM R. SILVERSTONE, po czym przykleiła je do zardzewiałej skrzynki na listy.

W supermarkecie uzupełniła zakupy, później pod wpływem nagłego impulsu poprosiła o kilka skrzynek po pomarańczach. Dostała sześć. Z trudem wepchnęła je do plymoutha. W drodze powrotnej zajechała jeszcze do sklepu z narzędziami i kupiła dwa pędzle, rozpuszczalnik oraz czarną, różową i białą emalię.

Resztę dnia poświęciła temu przedsięwzięciu. Rozłożywszy poranną gazetę na podłodze, pracowała ciężko i prawie bez przerwy, malując po dwie skrzynki na każdy kolor. Bardzo jej zależało, żeby zrobić Adamowi miłą niespodziankę. Kiedy wszystkie skrzynki

były pomalowane, umyła pędzle, schowała je razem z puszkami pod zlewem, po czym wzięła prysznic i wskoczyła w piżamę. Ponieważ nie podobał się jej sposób, w jaki rozlokowane były ich rzeczy w komodzie, wyjęła je i układała od nowa tak długo, aż wszystkie szuflady stały się koedukacyjne. Teraz jego skarpetki tuliły się do jej pończoch, jej figi do jego slipów, a obok jego koszul umieściła okrągłe pudełko z masy perłowej, zawierające tabletki będące kamieniem probierczym ich związku, magiczne proszki pozwalające im żyć razem.

Uczyła się do dziesiątej, później zamknęła drzwi na zamek oraz łańcuch, wzięła jedną z tych okropnych tabletek, zgasiła światło i położyła się do łóżka.

Po chwili doszła do wniosku, że w mroku czuje się najbardziej samotna.

Powietrze w mieszkaniu było gęste od zapachu farby. Pani Kroi wrzasnęła ze trzy razy, nie włożyła w to jednak wystarczająco dużo serca, a poza tym nie wyrzuciła niczego przez okno. Kiedy od strony Massachusetts General dobiegło wycie syreny, poczuła, że Adam jest blisko niej. Światła samochodów jadących Phillips Street rzucały na ścianę obrazy goniących się potworów.

Kiedy się zdrzemnęła, rozległo się pukanie do drzwi.

Wyskoczyła z łóżka i stanęła w mroku za drzwiami, uchylając je na tyle, na ile pozwalał krótki łańcuch.

- Kto tam?

- Przysyła mnie Janet.

Przez szparę w drzwiach w świetle ulicznej latarni ujrzała mężczyznę. Nie, raczej chłopca. Potężnego blondyna o cerze, która w mroku wydawała się niemal tak ciemna jak skóra Janet.

- O co chodzi?

- Coś przysłała. - Wyciągnął bezkształtny pakunek.

- Czy mógłbyś go zostawić? Nie jestem ubrana.

- W porządku - odparł wesoło.

Położył przesyłkę na ziemi i po chwili jego niedźwiedziowata postać zaczęła się oddalać. Gaby włożyła szlafrok zapaliła wszystkie lampy, a potem bardzo długo zbierała się na odwagę. W końcu zdjęła łańcuch, porwała przesyłkę, szybko zatrzęsnęła drzwiami, zamknęła je na klucz i łańcuch, wreszcie usiadła na łóżku czując, jak dudni jej serce. W luźnym opakowaniu z gazety były papierowe kwiaty o dużych czarnych, żółtych i pomarańczowych płatkach.

Wróciła do łóżka i w świetle wszystkich lamp podziwiała pokój, już nie tak bardzo przerażona. W końcu przestała sobie wyobrażać, że słyszy pukanie do drzwi, a wkrótce potem

zasnęła, po raz pierwszy czując, że jest w swoim własnym domu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Rafael Meomartino.

Jako chłopiec Meomartino chadzał z Leo, totumfackim rodziny, do świętego Rafaela, małego bielonego kościółka otoczonego ze wszystkich stron polami trzcinowymi rodzinnej plantacji i tam przyjmował chłodną hostię z ręki ojca Ignacio, księdza robotnika o cuchnącym oddechu, przed którym regularnie spowiadał się z grzechów dojrzwania i otrzymywał łagodną pokutę.

Nachodziły mnie złe myśli, ojcze.

Pięć razy Zdrowaś Maryjo i pięć razy Akt Skruchy, synu.

Zbrukałem swoje ciało, ojcze.

Pięć razy Zdrowaś Maryjo i pięć razy Akt Skruchy, synu. Staraj się opierać cielesnym ułomnościom, mój synu.

Co się tyczy ślubów i pogrzebów, rodzina przywykła do pompy i przepychu hawańskich świątyń, lecz na co dzień Rafę czuł się lepiej w niewielkim kościele, zbudowanym na polecenie ojca z okazji jego narodzin. Klęcząc w mrocznym wilgotnym wnętrzu przed gipsową figurą świętego patrona, odprawiał zadaną pokutę, a później modlił się do archanioła, by wstawił się za nim u nauczyciela tyrana, pomógł mu w nauce łaciny i chronił go przed Guillermo.

Teraz, wtulony pośladkami w pośladki śpiącej żony, z którą przed godziną uprawiał lodowaty, rozpaczliwy seks, rozmyślał o świętym Rafaelu i marzył o tym, by mieć znów tylko dwanaście lat.

Wiarę utracił na Harvardzie. Minęło już wiele lat, odkąd spowiadał się po raz ostatni, i prawie tyle samo od ostatniej dłuższej rozmowy z księdzem.

Święty Rafaelu, rzekł bezgłośnie.

Pokaż mi sposób, w jaki mogę jej pomóc.

Pomóż mi pojąć, kiedy ją zawiodłem, zrozumieć, dlaczego jej nie wystarczam, dlaczego szuka innych mężczyzn.

Silverstone, pomyślał.

Czuł, że jest od niego lepszym mężczyzną i lepszym lekarzem, a jednak to właśnie Silverstone zagrażał jego życiu, zarówno prywatnemu, jak i zawodowemu.

Uśmiechnął się ponuro na myśl, że Longwood najwyraźniej przekonał się w końcu, iż zdarzają się gorsze plagi niż Kubańczyk w rodzinie. Stary doznał prawdziwego wstrząsu na widok Liz w towarzystwie Silverstone'a i od tego czasu stał się wobec Rafe'a niemal ciepły i przyjazny, jakby chciał mu pokazać, że wie, iż jego bratanica to osobowość wyjątkowo trudna i skomplikowana.

A jednocześnie Longwood wywierał na niego coraz większy nacisk, jakby chciał mieć pewność, że to właśnie on, a nie Silverstone zwycięży w konkursie na obsadę nowego stanowiska.

Meomartino tymczasem nie opuszczały wątpliwości.

Święty Rafaelu, powtórzył.

Czy nie jestem wystarczająco męski? Jako lekarz potrafię się zorientować, że kiedy kończymy, jest zaspokojona.

Wskaż mi drogę, powiedz, co mam począć. Obiecuję, że będę się spowiadał, przyjmował komunię i znowu stanę się prawdziwym katolikiem.

W ciemnym pokoju panowała cisza, słychać było jedynie głęboki oddech Liz.

Przypomniał sobie, że chociaż klęczał przed figurą, oblał łącinę, a jego ciało niemal przez cały czas pokrywały ciemne sińce i zadrapania po razach zadawanych przez Guillermo. Aż do czasu kiedy stał się dość silny, by stawić czoło starszemu bratu.

Również wtedy święty Rafael nie zechciał mu pomóc.

Rano zjawił się w szpitalu z podkrążonymi oczyma i bez zapachu, walcząc z sennością, zabrał się do pracy. Zanim jeszcze poprowadził obchód, humor miał fatalny i nie poprawił go widok Jamesa Roche'a, sześćdziesięciodziewięcioletniego dżentelmena cierpiącego na zaawansowanego raka okrężnicy, który następnego ranka miał zostać poddany operacji.

Pielęgniarki i dietetycy pędzili po ogromnym oddziale roznosząc tace. Meomartino opisał krótko przypadek, znany zresztą większości lekarzy, i szykował się do zadania kilku szczegółowych pytań.

Urwał jednak w połowie zdania.

- Cristos. Nie wierzę własnym oczom.

Roche jadł w najlepsze lunch. Na talerzu leżał kurczak, ziemniaki i fasolka szparagowa.

- Doktorze Robinson, dlaczego ten pacjent je?

- Nie mam pojęcia - odparł Spurgeon. - Osobiście zapisałem w książce polecenie zmiany diety.

- Proszę mi ją przynieść.

Spurgeon poszedł po książkę. Polecenie rzeczywiście tam było, wypisane równym, starannym pismem Robinsona. To wszakże wcale Rafe'a nie uspokoiło.

- Panie Roche, co jadł pan dzisiaj na śniadanie?

- To samo co inni. Sok, jajko, trochę owsianki. Okropny krochmal. No i wypilem szklankę mleka.

- Wykreście nazwisko pana Roche'a z planu zabiegów na jutro i przenieście na pojutrze - polecił Meomartino. - Cholera jasna.

- Aha, jeszcze grzanekę - przypomniał sobie pacjent. Meomartino potoczył wzrokiem po pozostałych lekarzach.

- Wyobrażacie sobie, co by się stało, gdybyśmy otworzyli jelito pełne stałej treści? Czy potraficie sobie wyobrazić, jak w takim brudzie wyglądałoby zaciskanie krwawiących naczyń? Do jak poważnego zanieczyszczenia rany by doszło? Uwierzcie mi na słowo: za nic w świecie nie potraficie sobie tego wyobrazić, chyba że już wam się to kiedyś przydarzyło.

- Doktorze - odezwał się zaniepokojony pacjent. - Czy to znaczy, że nie mogę skończyć lunchu?

- Niech pan spokojnie kończy. Życzę smacznego - odparł Meomartino. - Jutro rano przejdzie pan na dietę, na którą powinien być pan przejść już dzisiaj. Będzie to dieta płynna. Jeśli ktokolwiek spróbuje panu podać coś gęstszego niż galaretka, proszę tego nie jeść. I natychmiast po mnie posłać, comprehende?

Mężczyzna pokiwał głową.

Jakimś cudem żadna z pielęgniarek nie wiedziała, kto podał panu Roche śniadanie i lunch.

Dwadzieścia minut później Meomartino siedział w swoim gabinecie i szykował pisemną skargę na nie zidentyfikowaną pielęgniarkę, która przyniosła owe dwie nieszczęsne tace. Skończywszy, złożył na dole wściekły zamaszty podpis.

Po południu zadzwonił do niego Longwood.

- Nie jestem zadowolony z liczby pozwoleń na sekcję, które udało się panu zdobyć.

- Robię wszystko, co w mojej mocy - odrzekł Rafe.

- Lekarze z innych oddziałów przedłożyli znacznie więcej zezwoleń.

- Być może mają więcej zgonów.

- Na tym oddziale też jest lekarz, któremu udało się zdobyć ich dużo więcej.

Nawet nie musiał pytać o nazwisko tego lekarza.

- Dołożę starań - zapewnił.

Chwilę później do gabinetu wszedł Harry Lee.

- Wiesz, Harry, Stary właśnie zmył mi głowę. Życzy sobie większej liczby zezwoleń na sekcję zwłok. Chciałbym, żeby wiedzieli o tym wszyscy, którzy zajmują się moimi pacjentami.

- Przecież ilekroć tracimy pacjenta, błagamy na kolanach o zgodę na sekcję - bronił się Chińczyk. - Dobrze o tym wiesz. I zawsze kiedy uda się nam ją wywalczyć, pilnujemy, żeby została wyrażona na piśmie. Ale jeśli ktoś ma poważne motywy osobiste, żeby odmówić... - Wzruszył ramionami.

- Longwood zwrócił mi uwagę, że Adam Silverstone przedkłada mu o wiele więcej zezwoleń niż ja.

- Nie miałem pojęcia, że się ścigacie.

- To teraz już masz.

- Ano mam. Wiesz, w jaki sposób niektórzy zdobywają te zezwolenia?

Rafę czekał.

- Po prostu zastraszają rodzinę. Sugerują, że istnieje niebezpieczeństwo, iż cała rodzina cierpi na jakąś tajemniczą chorobę i że chcą przeprowadzić sekcję zwłok tylko i wyłącznie dla dobra tych, którzy żyją.

- To ohydne.

- Zgadza się. Chcesz, żebyśmy zaczęli działać w taki sposób?

Rafę spojrział na niego z uśmiechem.

- Nie. Po prostu róbcie wszystko, co w waszej mocy. Ile zezwoleń udało nam się zebrać w zeszłym miesiącu?

- Ani jednego - odparł Lee.

- Do diabła. Właśnie w tym cały problem.

- Nie byliśmy w stanie zdobyć ani jednego - zauważył łagodnie Lee.

- Do licha, niby dlaczego?

- Bo w zeszłym miesiącu nie straciliśmy żadnego pacjenta.

Nie będę przepraszać, pomyślał Meomartino.

- To znaczy, że jestem wam winien przyjęcie. Lee pokiwał głową.

- Ty albo Silverstone.

- Biorę to na siebie - stwierdził Meomartino. - Mam mieszkanie.

- Jeśli dobrze się orientuję, Adam też ma - odrzekł Lee. - W każdym razie nie mieszka już w szpitalu.

A więc to tam chodzi Liz, pomyślał Meomartino obojętnie.

Lee uśmiechnął się.

- Une necessite d'amour. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nawet na Tajwanie czasami się to zdarza.

Meomartino z rozdrażnieniem zdał sobie sprawę, że kciukiem pociera anioły na kopercie zegarka.

- Możesz rozpuścić wieść - powiedział. - Przyjęcie zrobimy u mnie.

Liz była zachwycona.

- Och, uwielbiam przyjęcia! Będę dobrą panią domu i postaram się, żebyś zajął posadę stryja Harlanda, kiedy przejdzie na emeryturę - oznajmiła podkurczając pod siebie nogi i zapelniając kartkę notatnika długą listą spraw, którymi należy się zająć. Alkohol, kanapki, kwiaty, obsługa...

Nagle z pewnym zakłopotaniem zdał sobie sprawę, że większość pracujących na oddziale nie przywykła do wysokich rachunków za kwiaty ani tym bardziej do wynajętej służby na przyjęciach.

- To ma być proste, skromne przyjęcie, Liz - rzekł.

Skończyło się na kompromisie. Postanowili ograniczyć się do barmana oraz Helgi, pomocy domowej, którą zatrudniali na pół etatu.

- Liz, byłbym ci zobowiązany, gdybyś...

- Nie wypiję ani jednego.

- Aż tak bardzo nie musisz się ograniczać. Po prostu nie przesadz.

- Ani jednego. Pozwól mi na to. Chcę udowodnić, że jestem ciebie warta.

Rozejm ze śmiercią nie trwał wiecznie. W piątek, na dzień przed przyjęciem, Melanie Bergstrom zachorowała na zapalenie płuc. W obliczu gwałtownie rosnącej temperatury oraz faktu, że zostały zajęte oba płuca, Kender naszpikował ją antybiotykami.

Peggy Weld siedziała przy łóżku siostry, trzymając rękę pod namiotem tlenowym. Meomartino wynajdywał coraz to nowe powody, by wejść do pokoju pani Bergstrom, lecz Peggy nie zwracała na niego uwagi. Jej oczy były utkwione w twarzy siostry.

- Trzymaj się mocno, mała - rozkazała. Melanie oblizła spierzchnięte usta.

- Zajmiesz się nimi? Tlen zasyczał głośno.

- Co?

- Tedem i dziewczynkami?

- Posłuchaj no - warknęła Peggy. - Przez całe życie odwalalam za ciebie brudną robotę. Sama się nimi zajmiesz.

Melanie uśmiechnęła się.

- Ach, Peg.

- Nie poddasz się temu, jasne? Następnego ranka Melanie Bergstrom zmarła.

Odkryła to Joan Anderson, mała blond praktykantka. Zachowała spokój i przytomność umysłu, lecz zgłosivszy zgon Meomartino zaczęła drżeć.

- Trzeba ją odesłać do domu - zasugerował Rafę pannie Fultz.

Jednakże przełożona miała do czynienia z przynajmniej setką młodych dziewcząt, które po raz pierwszy zetknęły się ze śmiercią. Przez resztę dnia przydzielała pannie Anderson najgorszych pacjentów na oddziale, kobiety i mężczyzn zmagających się z gorączką nieznośnego życia.

Kiedy Peggy Weld wbiegła do szpitala, Meomartino już na nią czekał.

- Witam - powiedział.

- Dzień dobry. Nie wie pan, jak tam moja siostra?

- Proszę usiąść. Porozmawiamy.

- A więc to już - szepnęła.

- Tak.

- Biedna Mellie. - Odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia.

- Peg - powiedział, ona wszakże tylko pokręciła głową. Po chwili była już za drzwiami.

Kilka godzin później zjawiała się po rzeczy siostry. Była blada, choć sądząc po oczach nie płakała, co bardzo go zaniepokoiło. Podejrzewał, że zalicza się do kobiet, które czekają, aż zostaną kompletnie same, nawet gdyby miało to oznaczać wielotygodniową zwłokę, i dopiero wtedy wpadają w histerię.

- Czy dobrze się pani czuje?

- Tak. Trochę spacerowałam. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Zasłużyła na lepszy los - odezwała się w końcu.

- Naprawdę. Szkoda, że jej pan nie znał, kiedy była zdrowa.

- Rzeczywiście, szkoda. Co zamierza pani teraz robić?

- spytał delikatnie. Wzruszyła ramionami.

- Jedyne, co potrafię. Po... kiedy już będzie po wszystkim... skontaktuję się ze swoim agentem i wrócę do pracy.

- To dobrze - rzekł z ulgą w głosie. Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

- Co ma pan na myśli?

- Przepraszam. Przypadkiem podsłuchałem rozmowę... Przyjrzała mu się uważnie i uśmiechnęła ze smutkiem.

- Moja siostra żyła z głową w chmurach. Prawda jest taka, że szwagier nie chce mieć

ze mną do czynienia. Uważa, że jestem nieodpowiedzialna, źle się prowadzę i nie mam żadnych zasad. Zresztą szczerze mówiąc ja tego nadętego bufona też nie znoszę. - Wstała i wyciągnęła rękę. - Żegnaj, Rafę - rzekła, nie starając się ukryć żalu.

Ujął jej dłoń myśląc o tym, jak bezsensownie przecinają się ludzkie losy. Ciekawe, co by się stało, gdyby poznał tę kobietę, zanim Liz przygarnęła obcego pijaka włączającego się po deszczu.

- Żegnaj, Peggy Weld - odparł.

Tego popołudnia pod nieobecność doktora Longwooda i pod przewodnictwem doktora Kendera odbyło się kolejne posiedzenie Komisji Zgonów, tym razem w całości poświęcone przypadkowi Melanie Bergstrom.

Doktor Kender nie próbował uchylać się od odpowiedzialności, przypisał zgon pacjentki obniżeniu odporności, spowodowanemu podaniem zbyt dużej dawki środka immunosupresyjnego.

- Doktor Silverstone sugerował 100 miligramów - rzekł. - Ja postanowiłem, że dawki powinny wynosić 130 miligramów.

- A jak pan uważa, czy u pacjentki rozwinęłoby się zapalenie płuc, gdyby dawka wyniosła 100 miligramów, które proponował doktor Silverstone? - spytał doktor Sack.

- Prawdopodobnie nie - odrzekł Kender. - Jestem jednak przekonany, że w takim wypadku organizm znowu odrzuciłby przeszczep. Doktor Silverstone prowadzi badania na zwierzętach i może potwierdzić, że w tym wypadku nie da się mówić jedynie o jakiejś liczbie jednostek leku pomnożonej przez ciężar ciała. Należało wziąć pod uwagę także inne istotne czynniki: wytrzymałość pacjentki, stan jej serca, własną odporność na choroby, a także niewątpliwie wiele innych wskaźników, o których nawet nie mamy pojęcia.

- Co pan teraz zamierza, doktorze? - spytał Sack.

Kender wzruszył ramionami.

- Istnieje substancja uzyskiwana poprzez wstrzykiwanie koniom rozdrobnionych ludzkich węzłów chłonnych pobranych ze zwłok. Jest to tak zwana surowica antylimfocytarna, w skrócie ALS. Wstępne raporty wskazują, że jest ona niezwykle pomocna w takich jak ten przypadkach. Sądzę, że niezwłocznie rozpoczniemy eksperymenty na zwierzętach.

- Doktorze Kender - odezwała się Miriam Parkhurst.

- Kiedy planuje pan przeszczepić nerkę doktorowi Longwoodowi?

- Przez cały czas szukamy odpowiedniego dawcy - wyjaśnił Kender. - Doktor Longwood ma grupę krwi B-minus. O dawców jest generalnie bardzo trudno, a biorąc pod

uwagę tak rzadką grupę krwi... - Pokręcił głową.

- To fatalna przeszkoda - wtrącił Joel Sack. Zaledwie dwóch na stu dawców trafiających do naszego banku ma taką grupę.

- Czy poinformował pan inne szpitale, że szukamy dawcy z grupą B-minus? - spytała Miriam.

Kender pokiwał głową.

- Jest jeszcze jeden aspekt tej sprawy, o którym wszyscy powinniśmy wiedzieć - rzekł.

- Za pomocą aparatu do dializy jesteśmy w stanie utrzymać doktora Longwooda w stosunkowo dobrym stanie fizycznym, ale musimy brać pod uwagę to, że emocjonalnie znosi on tę kurację bardzo, bardzo źle. Z powodów psychicznych nie da się go utrzymać pod dializatorem dużo dłużej.

- O to mi właśnie chodzi - stwierdziła Miriam Parkhurst. - Musimy coś zrobić. Niektórzy z nas znają tego człowieka... i wybitnego chirurga... od bardzo wielu lat. Jest naszym przyjacielem i nauczycielem.

- Doktor Parkhurst - łagodnie odparł Kender. - Naprawdę robimy wszystko co w naszej mocy. Zdarzają się jednak przeszkody, których nie da się przeskoczyć ani obejść.

- Najwyraźniej zdecydowany przywrócić posiedzeniu profesjonalny charakter, zwrócił się do Joela Sacka. - Czy sekcja zwłok pani Bergstrom została już zakończona?

Doktor Sack pokręcił głową. - Nie dostałem zezwolenia na przeprowadzenie sekcji.

- Rozmawiałem z panem Bergstromem - wyjaśnił Adam Silverstone. - Kategorycznie odmówił podpisania zgody na sekcję.

Kender zmarszczył brwi.

- Czy uważa pan, że to decyzja ostateczna i nieodwołalna?

- Tak, sir - odparł Silverstone.

- Chciałbym spróbować przekonać go do zmiany zdania - odezwał się nagle Meomartino.

Uwaga wszystkich skupiła się teraz na nim.

- Oczywiście pod warunkiem że doktor Silverstone nie ma nic przeciwko temu - dodał.

- Oczywiście że nie mam. Moim zdaniem jest mało prawdopodobne, żeby podpisał zgodę, ale może rzeczywiście warto...

- Spróbować nie zaszkodzi - stwierdził Kender, spoglądając z uznaniem na Meomartino. Rozejrzał się po zgromadzonych chirurgach. - Skoro nie mamy wyników sekcji, głosowanie w tej sprawie nie ma żadnego sensu. Wydaje się jednak oczywiste, że przy

obecnym stanie wiedzy i z uwzględnieniem zjawiska odrzucenia przeszczepu, tego zgonu nie można było uniknąć.

Przerwał czekając na ewentualne głosy sprzeciwu, po czym wyczuwając powszechną zgodę, skinął głową i zamknął w ten sposób posiedzenie.

Meomartino zatelefonował od siebie z gabinetu.

- Halo? - rozległ się głos Teda Bergstroma.

- Dzień dobry, czy pan Bergstrom? Mówi Rafael Meomartino z Massachusetts County General.

- W jakiej sprawie? - spytał Bergstrom, a Meomartino dostrzegł w jego głosie podświadomą nienawiść krewnego zmarłego pacjenta wobec lekarzy, którzy ponieśli klęskę.

- Chodzi o sekcję zwłok.

- Przecież w rozmowie z pańskim kolegą powiedziałem wyraźnie, że nie życzę sobie sekcji. Koniec, kropka. Dość już przeszliśmy. Niech jej śmierć wreszcie położy temu kres.

- Jest jeszcze coś, o czym powinien pan chyba wiedzieć.

- Słucham.

- Ma pan dwie córki, prawda?

- Tak?

- Jesteśmy przekonani, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Nie dysponujemy dowodami potwierdzającymi tezę, że podatność na choroby nerek może być dziedziczna.

- O mój Boże.

- Jestem przekonany, iż sekcja wykaze, że nie istnieje żadne zagrożenie.

Po chwili milczenia w słuchawce rozległ się ochrypły jęk, ryk cierpiącego zwierzęcia.

- Przyślę kogoś z niezbędnymi dokumentami, panie Bergstrom. Musi pan tylko je podpisać.

Meomartino jakiś czas siedział i słuchał tego okropnego jęku. W końcu odłożył słuchawkę.

Tego wieczora o ósmej dwadzieścia, kiedy dzwonek obwieścił przybycie pierwszych gości, Rafę osobiście otworzył drzwi.

- Czołem, doktorze. - W drzwiach stał Maish Meyerson.

Meomartino wprowadził kierowcę karetki i przedstawił go Liz. Rano zrobiła mu niespodziankę, wracając od fryzjera z czarnymi włosami.

- Podobam ci się? - spytała nieomal nieśmiało. - Fryzjerka powiedziała, że prawie nie będzie widać odrostów.

- Bardzo.

Trochę go to przeraziło, uczyniło ją jeszcze odleglejszą, jakby była zupełnie obcą osobą. Z drugiej jednak strony już od dawna ją na to namawiał i cieszył się, że go posłuchała. Miał nadzieję, że to dobry znak.

Meyerson zdecydował się na bourbon. Unieśli szkło, aby wznieść toast.

- A dla pani nic, pani Meomartino?

- Nie, ja dziękuję.

Wypili do dna i obaj głośno sapnęli.

- A właściwie za co to, Maish? - spytał Rafę.

- Co takiego?

- No to?

- Nie mam zielonego pojęcia.

Uśmiechnęli się szeroko, po czym Rafę ponownie napelnił szkło.

Rozległ się dzwonek i na twarzy Liz zagościł wyraz ulgi. Nie na długo jednak. Tym razem była to Helen Fultz. Oddała płaszcz Heldze i weszła do salonu, lecz nie dała się namówić na nic mocniejszego niż sok pomidorowy. Siedzieli we czworo, patrzyli na siebie i próbowali znaleźć jakiś wspólny temat, aż wreszcie dzwonek ulitował się nad nimi, rozdzwaniając na dobre, a mieszkanie zaczęły wypełniać tłumy gości. Wkrótce trudno było znaleźć wolne miejsce i zapanował typowy dla przyjęć gwar. Meomartino przez chwilę się zastanawiał, czy Peggy Weld miała już okazję, żeby popłakać, później jako gospodarz zaczął tonąć w tłumie gości.

Niektórzy pracownicy szpitala przyszli z małżonkami.

Mikę Schneider, którego małżeństwo, o czym wszyscy wiedzieli, znalazło się na mieliźnie, przyprowadził pulchną rudą kobietę, którą przedstawiał jako kuzynkę z Cleveland w Ohio.

Jack Moylan z kolei flirtował z Joan Anderson. Oczy studentki wydawały się Rafę'owi nieco zbyt błyszczące, było jednak oczywiste, że doszła już do siebie po wcześniejszym wstrząsie.

- Nigdy w życiu nie byłam pijana, Rafę - powiedziała. - Czy mogę to dzisiaj zmienić?

- Ależ proszę bardzo.

- Zmiany to podstawa. Do diabła z ustalonymi porządkami - stwierdził Moylan, prowadząc ją w stronę barku.

Harry Lee, którego nigdy dotąd nie widziano w towarzystwie dziewczyny, przyszedł z Alice Tayakawą z anestezjologii.

Spurgeonowi Robinsonowi towarzyszyli czarnoskóra Atena, której chłodno

przedstawił Rafe'a Meomartino, Adam Silverstone i jakaś drobna, mocno opalona blondynka.

Liz przyjrzała się jej z zainteresowaniem.

- Miło mi.

- Mnie również. Uśmiechnęły się do siebie.

Jeszcze przed wpół do jedenastej Meyerson zdołał namówić Helen Fultz na screwdrivera, tłumacząc jej, że sok pomarańczowy zawiera mnóstwo witaminy C. Harry Lee i Alice Tayakawa siedzieli w kącie i prowadzili ożywiony spór na temat groźby uszkodzenia wątroby w wyniku zastosowania narkozy halotanowej.

- Napij się jeszcze - zawołał Jack Moylan do Joan Anderson, która była już na tyle gotowa, że prezentowała imponujący pokaz limbo, karaibskiego tańca pod poprzeczką zawieszoną już mniej więcej dwie stopy nad podłogą, podczas gdy Moylan i Mikę Schneider prowadzili na jej temat profesjonalną dyskusję.

- Wąska miednica - zauważył Moylan.

- Masters i Johnson powinni napisać pracę na temat wrażliwości genitalnej młodych pielęgniarek po pierwszym kontakcie ze śmiercią - stwierdził Schneider, kiedy plecy dziewczyny wygięły się w łuk, a wąska miednica, wykonując ruchy frykcyjne, prześliznęła się pod drążkiem.

Moylan popędził do barku, żeby napełnić jej szklanke.

- Podać ci coś? - zwrócił się Meyerson do Liz Meomartino.

- Nie, dziękuję - odparła z uśmiechem.

- ... No więc zszylem jej mięsień naramienny - mówił Spurgeon. - I mówię do niej: „Zraniła się pani w bójce?” A ona na to: „Nie, proszę pana, w ramię”.

Spowodowało to całą lawinę anegdot o zabawnych przeinaczeniach nazw chorób, które przytrafiały się pacjentom: o mężczyźnie, który po wyjściu od wenerologa twierdził, że jego dolegliwość nazywa się rudy lis, o matce, która przyprowadziła do lekarza dziecko z wysypką i utrzymywała, że to na pewno wieczna ospa, a także o pewnym statecznym jegomościu, który skarżył się, że strasznie daje mu się we znaki kurew lszowa. Meyerson zmienił nieco temat i opowiedział o pewnej panience, która udawała bardzo odcytaną i przechwalała się, że wie, kim był Orgazm z Rotterdamu.

- Wrócisz na Tajwan? - spytała Alice Tayakawa Harry'ego Lee.

- Jak zrobię specjalizację.

- Jak tam jest? Wzruszył ramionami.

- W wielu sprawach pozostają bardzo konserwatywni, wierni tradycji. Na przykład szanujący się kawalerowie i niezamężne kobiety nigdy w życiu nie spotkałyby się na takim

przyjęciu...

Alice Tayakawa zmarszczyła brwi. Ona sama urodziła się w Darien w Connecticut.

- Jesteś bardzo poważnym człowiekiem - stwierdziła. Harry ponownie wzruszył ramionami.

- Chciałabym cię o coś spytać - odezwała się po chwili nieśmiało.

- Tak?

- Czy to, co opowiadają o Chińczykach, to prawda? Spojrzał na nią zmieszany. Potem zamrugał powiekami. A później, ku własnemu zdziwieniu, szeroko się do niej uśmiechnął.

Elizabeth Meomartino doszła do wniosku, że jej włosy to kompletne nieporozumienie. Co prawda kiedy były jasne, nie mogły się równać z wypłowiałym od słońca brązem tej małej suki Pender, za to teraz przy afrykańskim połysku tej drugiej, Murzynki, wyglądały na to, czym były - jak zafarbowana słoma. Zerknęła z urazą na Dorothy Williams, a potem zauważyła, że Adam Silverstone i Gaby Pender tańczą spleceni w czułym uścisku. Gaby uśmiechnęła się, kiedy coś do niej szepnął, po czym musnęła ustami jego policzek.

- Chyba jednak skuszę się na maleńkie martini - zwróciła się do Meyersona.

- Strasznie tu duszno - jęknęła Joan Anderson.

- Zrobię ci jeszcze jednego drinka - zaproponował Moylan.

- Kręci mi się w głowie - szepnęła.

- Chodźmy do drugiego pokoju. Tam jest więcej powietrza.

Trzymając się za ręce weszli do kuchni, a potem dalej, do sypialni.

W łóżku spał chłopiec.

- Gdzie możemy iść? - szepnęła, a on pocałował ją, po czym cicho poprowadził dalej, do głównej sypialni.

- Chyba powinnaś się położyć - stwierdził zamykając drzwi.

- Ale na łóżku leżą płaszcze.

- Nic im nie będzie.

Umościli się w gniazdku z wierzchnich okryć, jego usta odnalazły jej twarz, usta, szyję...

- Chyba nie powinieneś? - odezwała się po chwili. Nie zawracał sobie głowy wymyślaniem odpowiedzi.

- Powinieneś - stwierdziła rozmarzonym głosem.

- Jack - odezwała się niedługo potem. - Jack.

- Słucham, Joannie - odparł Moylan, teraz już pewny swego.

- Jack...

- Spokojnie. Nie spiesz się tak, bo wszystko popsujesz.

- Jack, nie o to chodzi. Chy... chyba będę wymiotować - wyjąkała w końcu.

Jak powiedziała, tak też uczyniła.

Na mój płaszcz, pomyślał Moylan z przerażeniem.

- Czy na Tajwanie jest dużo Japończyków? - spytała Alice Tayakawa, ściskając dłoń Harry'ego Lee.

Rafę wszedł do sypialni Miguela i poprawił pled okrywający szczupłe dziecięce ramiona. Siedział na skraju łóżka i patrzył na śpiącego syna, podczas gdy z salonu dobiegały śmiech, muzyka i pijacki śpiew pulchnego rudzielca.

Ktoś wszedł do kuchni. Przez uchylone drzwi Rafę słyszał, jak do szklanki wpadają kostki lodu i strumień alkoholu.

- Sam tu jesteś? - Był to głos Liz.

- Tak. Robię drinki.

Spurgeon Robinson, pomyślał Meomartino.

- Jesteś stanowczo zbyt miły, żeby być sam.

- Dziękuję.

- Pewnie jesteś bardzo duży, co? Później coś niewyraźnie szeptała.

- Wszyscy wiedzą, że kolorowi faceci mają wiele zalet. - Spurgeon nagle ściszył głos.

- Na przykład świetnie stepują.

- Akurat na stepowaniu się nie znam - stwierdziła.

- Pani Meomartino, mam piękniejszą i miłszą memu sercu pannę na zieleńszym i czystszy lądzie. Na chwilę zapanowała cisza.

- Gdzie? - spytała w końcu. - W Afryce? Meomartino stanął w progu.

- Masz wszystko, czego potrzebujesz, Spurgeon? - spytał.

- Absolutnie wszystko, dzięki. - Robinson wyszedł, niosąc drinki.

Meomartino spojrzał na żonę.

- No i jak, załatwiłaś mi posadę?

Kiedy goście w końcu się rozeszli, zdał sobie sprawę, że nie będzie w stanie spać obok niej. Wziął poduszkę, koce i położył się na sofie pośród cuchnących whisky i dymem resztek. Zapadłszy w półsen, widział jej ciało, cudowne jasne uda, zasłaniane przez plecy o różnym kolorze skóry, niektóre należące do mężczyzn kompletnie mu obcych, inne aż nazbyt łatwo rozpoznawalne.

Na wpół rozbudzony wyobrażał sobie, że ją zabił, chociaż dobrze wiedział, że nie byłby do tego zdolny, tak samo jak nie potrafił zdobyć się na to, by wyjść z mieszkania i

odjechać.

Gdyby chodziło o narkotyki, zastanawiał się, czy zdecydowałbym się ją opuścić?

Teraz już całkiem się obudził.

- Święty Rafaelu - odezwał się do pustego pokoju.

Rozmyślał nad tym przez resztę nocy, a rano zadzwonił ze szpitala pod jeden z numerów, które znalazł na żółtych stronach książki telefonicznej.

- Kittredge, słucham?

- Dzień dobry panu. Moje nazwisko Meomartino. Byłbym zobowiązany, gdyby zgromadził pan dla mnie pewne informacje.

- Wobec tego musimy się spotkać, żeby przedyskutować tę sprawę. Może pan wstąpi do mojego biura?

- A czy nie moglibyśmy porozmawiać teraz?

- Przykro mi, ale nigdy nie przyjmujemy klientów przez telefon.

- No cóż... Nie będę w stanie wyrwać się z pracy wcześniej niż o siódmej.

- Nie ma problemu.

Rafę poprosił więc ponownie Harry'ego Lee, żeby go krył, i w przerwie na kolację pojechał pod adres z książki telefonicznej. Był to stary budynek przy Washington Street, w którym pełno było zakładów jubilerskich. Samo biuro z powodzeniem mogłoby należeć do przedstawicielstwa firmy ubezpieczeniowej. Kittredge miał około czterdziestu lat i konserwatywny gust w kwestii ubioru. Na palcu nosił masoński sygnet i sprawiał wrażenie kogoś, kto nigdy nie kładzie stóp na biurko.

- Problemy rodzinne? - spytał.

- Żona.

- Ma pan jej fotografię?

Rafę wyjął z portfela zdjęcie Liz zrobione krótko po urodzeniu Miguela, zdjęcie, z którego był wtedy bardzo dumny. Liz z lekko przechyloną głową śmiała się, światło i cień ułożyły się wręcz perfekcyjnie.

Kittredge przyjrzał się fotografii.

- Chce się pan z nią rozwieść, doktorze?

- Nie. To znaczy, wszystko zależy od tego, czego się pan dowie - odparł Rafę ponuro, po raz pierwszy przyznając się do klęski.

- Pytam dlatego - wyjaśnił Kittredge - ponieważ muszę wiedzieć, czy będą panu potrzebne pisemne raporty.

- Aha.

- Orientuje się pan chyba, że teraz już nie potrzeba zdjęć z sypialni i wszystkich tych bzdur?

- Szczerze mówiąc, niewiele wiem na ten temat - odrzekł sztywno Meomartino.

- Obecnie prawo wymaga jedynie dowodu, że czas, miejsce i okoliczności sprzyjały popełnieniu cudzołóstwa. I właśnie w tym celu mogą być panu potrzebne moje pisemne raporty.

- Rozumiem.

- Za pisemne raporty nie pobieramy dodatkowej opłaty.

- Wystarczą mi chyba sprawozdania ustne - stwierdził Meomartino. - Przynajmniej na razie.

- Czy zna pan nazwiska jej przyjaciół?

- Czy to konieczne?

- Nie, aczkolwiek mogłoby okazać się pomocne - spokojnie odparł Kittredge.

Ogarnęły go mdłości, miał wrażenie, że ściany walą mu się na głowę.

- Chyba Adam Silverstone. Jest lekarzem. Pracuje w tym samym szpitalu co ja.

Kittredge zanotował.

- Moja stawka to dziesięć dolarów za godzinę, dziesięć dolarów dziennie za wypożyczenie auta plus dziesięć centów za każdą przejechaną milę. Na początek minimum dwieście dolarów zaliczki.

I to jest powód, dla którego nie załatwiają spraw telefonicznie, pomyślał Meomartino.

- Przyjmuje pan czeki? - spytał.

- Ależ oczywiście, sir - odparł Kittredge uprzejmie.

Po powrocie do szpitala okazało się, że czeka na niego Helen Fultz. Przyszło mu do głowy, że gdy zabrakło alkoholu, stała się ponownie zatroskaną, starzejącą się kobietą.

Zmęczoną, zrozumiał, kiedy przestał zwracać uwagę na fartuch i dostrzegł osobę.

- Bardzo bym chciała oddać to panu, doktorze Meomartino - rzekła.

Była to jego skarga na nie zidentyfikowaną pielęgniarkę, która pomimo pisemnego zakazu podała Roche'owi dwa posiłki.

- A co miałbym z tym zrobić?

- Mam nadzieję, że zgodzi się pan to podrzeć.

- Niby dlaczego?

- Wiem już, która dziewczyna podała te posiłki, i obiecuję zająć się tą sprawą we własnym zakresie.

- Zasłużyła na naganę - odparł Meomartino. - Nieszczęsny staruszek sporo się przez

nią wycierpiał. Operacja mogła jedynie złagodzić męki jego ostatnich dni. A jakaś leniwa lafirynda, której nie chciało się nawet zajrzeć w papiery, dodała mu do wyroku dodatkowe dwa dni.

Panna Fultz skinęła głową na znak, że w pełni się z nim zgadza.

- W czasach kiedy zaczynałam pracę, za nic w świecie nie zgodziłabym się przyjąć jej do szpitala. No cóż, to tępa krowa.

- W takim razie po co ją bronić?

- Brakuje nam pielęgniarek i potrzebujemy każdej krowy, którą uda się nam tutaj zatrzymać - odparła cicho. - Na razie mieliśmy szczęście i w nagłych wypadkach nigdy nie zabrakło nam rąk do pracy. Ale lepiej nie kuśmy losu. Ta krowa ma dwie ręce i dwie nogi, a ja nie chciałabym odmawiać prawdziwym pielęgniarkom prawa do wykorzystania tych rąk i nóg.

Dwukrotnie przedał kartkę i wrzucił do kosza.

- Dziękuję - powiedziała Helen Fultz. - Dopilnuję, żeby odtąd przed podaniem posiłku zawsze dokładnie sprawdzała wszystkie zalecenia.

Uśmiechnęła się do niego.

- Helen, zastanawiam się, co by się działo w tym szpitalu, gdyby pani tutaj nie było.

- To samo, co dzieje się teraz - odparła.

- Za bardzo się pani przepracowuje. A przecież nie jest już pani szesnastolatką.

- Nie jesteśmy dzisiaj zbyt szarmanccy, nieprawdaż, doktorze?

- Ile ma pani lat? Ale poważnie.

- A co to za różnica?

Zdał sobie sprawę, że jest zbyt blisko emerytury, by mieć ochotę na rozmowy o swoim wieku.

- Po prostu sprawia pani wrażenie zmęczonej. Skrzywiła się.

- Wiek nie ma tu nic do rzeczy. Wydaje mi się, że mam wrzód.

Nagle zobaczył w niej nie Helen Fultz, lecz pacjentkę.

- Skąd takie przypuszczenia?

- Opiekowałam się wystarczająco dużą liczbą wrzodowców, żeby znać objawy. Nie mogę wszystkiego jeść, do tego zdarzają mi się lekkie krwawienia.

- Idziemy do gabinetu - polecił.

- Nie.

- Proszę posłuchać, gdyby doktor Longwood przedsięwziął rutynowe środki ostrożności, byłby dzisiaj zdrowym człowiekiem. To, że jest pani pielęgniarką, nie zwalnia

pani z obowiązku troski o własne zdrowie. Marsz do gabinetu. To polecenie służbowe.

Uśmiechnął się, idąc pół kroku za nią, wiedział, że jest wściekła.

Badanie nie było łatwe, choć obyło się bez niespodzianek. Miała nadciśnienie. Sto dziewięćdziesiąt na dziewięćdziesiąt.

- Zdarzają się pani bóle klatki piersiowej? - spytał słuchając bicia jej serca.

- Od dziewięciu lat wiem o szmerze skurczowym - odparła oschle. - Przecież sam raczył pan zauważyć, że już od dawna nie mam szesnastu lat.

Podczas badania przez odbył, które zniosła w grobowym milczeniu, stwierdził, że ma hemoroidy, najpewniejszy powód krwawienia.

- No i? - spytała, wraz z ubraniami odzyskawszy godność.

- Sądzę, że dobra z pani diagnostka. Moim zdaniem to wrzód dwunastnicy. Ale na wszelki wypadek umówię panią na pasaż jelitowy.

- Cóż za niebywała troska. - Pokręciła głową, nie będąc w stanie zdobyć się na to, by mu podziękować, za to ponownie się uśmiechnęła. - Dobrze się wczoraj bawiłam, doktorze Meomartino. Ma pan piękną żonę.

- Tak - powiedział.

Nie wiadomo dlaczego, po raz pierwszy od wiadomości o śmierci Guillermo poczuł pieczenie pod powiekami, które ignorował - tak samo jak wszystko inne - tak długo, aż minęło.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Spurgeon Robinson.

Kiedy Adam wyprowadził się do mieszkania na wzgórzu Beacon, Spurgeon został na szóstym piętrze całkiem sam, zaczął więc częściej grać na gitarze do starych murów, a muzyka stała się krzywym zwierciadłem jego duszy. Był zakochany po same uszy, powinien cieszyć się jak wariat. Lecz jego piosenki chichotały tym szczególnym rodzajem radości, który oznaczał, że jest taki smutny, iż nie potrafi nawet o tym myśleć. Żeby zagrać coś weselszego, musiałby chyba kupić banjo i zająć się pracą w polu.

To coś było wszędzie dookoła, a on z każdym dniem widział to wyraźniej.

- Czy potrafisz mi wyjaśnić - spytał Moylan któregoś ranka - jak taka rzecz mogła się w ogóle tutaj zdarzyć?

Patrzył na dziecko z fascynacją zmieszaną z przerażeniem, a Spurgeon pomyślał, że dokładnie taką samą minę widywał na twarzach studentów oglądających po raz pierwszy zdjęcia nienormalnych płodów.

Dziecko było czarne. Trudno było określić jego wiek, albowiem wyniszczenie zżarło cały niemowlęcy tłuszcz, zostawiając jedynie pomarszczoną miniaturkę starca. Mięśnie uległy zanikowi, dziecko leżało słabe i umierające, cienkie jak zapałki kończyny podkreślały napuchnięty brzuszek.

- To może zdarzyć się wszędzie - odparł Spurgeon. - Wszędzie tam, gdzie dziecko nie dostaje wystarczająco dużo jedzenia.

- Nie. Potrafię zrozumieć, że na coś takiego można by się natknąć w chacie ubożego dzierżawcy gdzieś w Missisipi - stwierdził Moylan.

- Czyżby?

- Do diabła, przecież wiesz, o co mi chodzi. Ale tutaj, w tym mieście...

Pokręcił z niedowierzaniem głową, po czym wyszli, by dłużej nie oglądać tego okropnego widoku.

Jednakże Spurgeon nie zdołał uciec daleko.

Skończywszy trzydziestoseściogodzinny dyżur, pojechał kolejką nadziemną do stacji Dudley Street i ruszył na piechotę, minął Ace High, nawet nie zaglądając do środka, maszerował przed siebie bez żadnego celu tak długo, aż dookoła przestały się pojawiać białe

twarze, a ich miejsce zajęły brązowe i czarne.

Pojedyncze zapachy, dźwięki, zniszczone domy, pokruszone schody, śmieci i odchody na ulicy, dzikie wrzaski dzieciaków, okno z pękniętą szybą, chwytająca za serce puszka po pomidorach na parapecie, która służyła jako doniczka - wszystko to spowodowało, że wróciły do niego obrazy z dzieciństwa.

Co stało się z Fay Hartnett o grubych udach, z Peteyem i Tedem Simpsonami, z Tommym White'em, z Fatsem McKenną?

Gdyby mógł sprawić, że wszyscy ci ludzie stanęliby przed nim tu i teraz, tacy, jakimi obecnie są, czy chciałby tego?

Wiedział, że nie.

Prawdopodobnie nie żyją albo jeszcze gorzej - skończyli jako dziwki, alfonsi, dealerzy, śmieci, ludzcy rozbitkowie wielokrotnie notowani przez policję, prawie na pewno usidleni, jeśli jeszcze nie zabici, przez perspektywę łatwej ucieczki, jaką dają narkotyki.

Jakiś malec o kręconych włosach wybiegł z za rogu i obracając się bokiem, aby nie wpaść na niespodziewaną przeszkodę, otarł się o Spurgeona, rzucił krótkie drwiące przekleństwo i popędził dalej. Spur stał i patrzył ze smutnym uśmiechem na oddalającego się malca.

Choćbyś biegł nie wiem jak szybko, synu, pomyślał, to jeżeli nie spotkasz swojego wuja Calvina J. Priesta, jesteś muchą, która wpadła w pułapkę gorącego asfaltu. A na horyzoncie już widać zbliżający się walec. Próbując obliczyć szansę ucieczki rozejrzał się wokół, nagle uświadomiwszy sobie cud własnego ocalenia.

Po powrocie do szpitala zajrzał do skrzynki na listy, lecz okazało się, że dostał jedynie jakiś darmowy katalog z firmy farmaceutycznej, który zdążył przejrzeć, podczas gdy wiekowa winda walczyła z grawitacją.

Na korytarzu ktoś na niego czekał. Był to niski mężczyzna o czerwonej twarzy, ubrany w czarny płaszcz z aksamitnym kołnierzem i trzymający w dłoniach - Spurgeon nie wierzył własnym oczom - filcowy kapelusz.

- Doktor Robinson?

- Tak.

Mężczyzna wręczył mu kopertę.

- To dla pana.

- Przecież odebrałem już pocztę. Mężczyzna roześmiał się.

- To specjalna przesyłka - wyjaśnił.

Spurgeon wziął kopertę, na której nie było znaczka. Sięgnął do kieszeni po napiwek,

lecz mężczyzna włożył kapelusz, tajemniczo się uśmiechając.

- Nie jestem posłańcem - rzekł na odchodnym - tylko zastępcą szeryfa.

Zastępcą szeryfa?

W pokoju Spur usiadł na łóżku i rozpieczętował kopertę.

Stan Massachusetts Suffolk Sąd Stanowy Adresat:

Spurgeon Robinson, zamieszkały w Bostonie, hrabstwo Suffolk. W związku z powództwem Arthura Donnelly'ego, zamieszkałego w Bostonie, złożonym przeciwko Panu w tutejszym sądzie z datą 21 lutego 1968 roku, które należy zwrócić do Sądu Stanowego z siedzibą w Bostonie w nieprzekraczalnym terminie do poniedziałku 20 maja 1968 roku, a w którym powód domaga się kwoty \$20000000 za szkody wynikłe Z BŁĘDU W SZTUCE LEKARSKIEJ.

WZYWAMY PANA, jeżeli zamierza pan podjąć czynności obronne w rzeczonyj sprawie, by do dnia 20 maja 1968 roku albo, o ile pozwala na to prawo, w terminie późniejszym stawił się pan i złożył pisemną odpowiedź lub jakiegokolwiek inne przewidziane prawem dokumenty na ręce pisarza sądu, do którego powyższy pozew ma zostać zwrócony.

W przypadku uchylenia się od niniejszego wezwania postępowanie sądowe może zostać przeprowadzone pod Pańską nieobecność bez ponownego zawiadomienia.

Pański majątek oraz nieruchomości zostają przejęte w celu zabezpieczenia wykonania ewentualnego wyroku na Pańską niekorzyść wydanego przez Sąd w rzeczonyj sprawie.

Świadek, R. HAROLD MONTANO, Esq, zamieszkały w Bostonie.

Homer P. Riley Pisarz sądowy.

Spurgeon natychmiast zatelefonował do wuja Calvina. Próbował zrelacjonować całą sprawę spokojnie i rzeczowo, nie oszczędzając siebie ani też nie pomijając żadnego istotnego szczegółu.

- Zajmę się tym - oznajmił Calvin.

- Nie chcę - sprzeciwił się Spurgeon.

- Ubezpieczenia to moja działka. Znam mnóstwo ludzi. Zrobię wszystko, żeby obyło się bez niepotrzebnego szumu.

- Nie. Sam chcę się tym zająć.

- W takim razie dlaczego do mnie zadzwoniłeś?

- Jezu, Calvinie, czy ty nie możesz chociaż raz mnie zrozumieć? Potrzebowałem rady.

Nie chcę, żebyś załatwił to za mnie. Chciałem po prostu, żebyś mnie wysłuchał i powiedział mi, co powinienem zrobić.

- Moja firma ma w Bostonie dobrego prawnika. Musisz jak najszybciej się z nim

skontaktować. Na jaką sumę masz polisę?

- Pod tym względem jestem kryty. Mam dwieście tysięcy, czyli jakieś dwa razy więcej niż każdy inny lekarz z mojego szpitala.

Przypomniał sobie, że to właśnie Calvin nalegał, aby ubezpieczył się od błędów w sztuce na przynajmniej taką sumę.

- W porządku. Potrzebujesz czegoś jeszcze?

Calvin czuł się odepchnięty, w jego głosie słychać było urazę.

- Nie. Co tam u mamy?

- Roe-Ellen? - Głos Calvina natychmiast złagodniał. - Wszystko w porządku. Poranki spędza w sklepie z upominkami w ONZ-cie. Świetnie się bawi sprzedając tamtamy z serca dżungli jakimś białym kurczakom z Dubuque.

- Nie mów jej o tym, dobrze?

- Dobrze. Uważaj na siebie.

- Do widzenia, Calvin - rzekł Spur zastanawiając się, dlaczego po tej rozmowie poczuł się jeszcze bardziej zdruzgotany.

Cztery dni później Roe-Ellen zadzwoniła do szpitala.

- Calvin przyjechał do Bostonu w interesach - wyjaśniła. - Pomyślał, że to dla mnie niepowtarzalna okazja, żeby zobaczyć się z synem - dodała znacząco.

- Przepraszam, mamo, że tak rzadko bywam w domu.

- No cóż, nie przyszła góra do Mahometa... - Zatrzymali się w Ritz-Carltonie. - Będziesz mógł przyjść do nas na kolację?

- Pewnie.

- O siódmej?

W piorunującym tempie obliczył, ile czasu zajmie mu dojazd do Natick i powrót do centrum.

- Wolałbym o ósmej. Chciałbym kogoś przyprowadzić.

- Tak?

- Dziewczynę.

- Spurgeon, kochanie! Jak miło. Tam do licha, pomyślał zrezygnowany.

- Właściwie to chciałbym przyprowadzić trzy osoby.

- Trzy dziewczyny? - spytała z nadzieją.

- Ona ma rodziców.

- Wspaniale.

Nawet to jedno, jedyne słowo wystarczyło, żeby dostrzegł jej niepokój.

Kiedy wszakże Roe-Ellen zobaczyła Dorothy, Spurgeon dostrzegł na jej twarzy wyraz głębokiej ulgi i natychmiast wszystko zrozumiał. Matka obawiała się, że wpakował się w romans z jakąś białą lafiryndą. Priestowie tylko spojrzeli na prostą brązową suknię z jedwabiu oraz krótkie afrykańskie włosy Dorothy i od razu zaczęli traktować ją z rodzinnym ciepłem. Polubili także jej rodziców. Williamsowie nigdy wcześniej nie gościli w lokalu równie eleganckim jak Ritz, lecz byli przecież ludźmi godnymi, a Calvin i Roe-Ellen wywodzili się z tej samej klasy. Zanim podano deser, cała czwórka już się zaprzyjaźniła i nowojorczyki obiecali wstąpić do domu w Natick na kolację, kiedy następnym razem przyjadą do Bostonu.

- Wpadniesz do mnie na drinka? - zaproponował Calvin, kiedy Spurgeon szykował się, by odwieźć Dorothy i jej rodziców do domu.

- Nie idziesz jeszcze spać? Calvin pokręcił głową.

- Twoja matka pewnie tak, ale ja nie. Mam jeszcze trochę papierkowej roboty.

- Świetnie, postaram się wrócić jak najszybciej - obiecał Spurgeon.

Kiedy zapukał do drzwi, Calvin otworzył przykładając palec do ust.

- Śpi - szepnął.

W apartamencie był wprawdzie salonik, oni jednak postanowili pójść na drugą stronę ulicy do parku Public Garden.

Na dworze było zimno, od razu postawili kołnierze płaszczy. Udało im się znaleźć wolną ławeczkę obok rabaty hiacyntów, które lśniły jaskrawo w świetle latarni. Siedzieli twarzą do Boylston Street i obserwowali wieczorny ruch.

- Sympatyczna dziewczyna - stwierdził Calvin. Spurgeon uśmiechnął się.

- Też tak uważam.

- Matka bardzo się o ciebie martwiła.

- Przykro mi - odrzekł Spurgeon. - Staż to najgorszy rok. Rzadko miewam wolny dzień.

- Mógłbyś przynajmniej od czasu do czasu zadzwonić.

- Postaram się dzwonić częściej - obiecał Spurgeon. Calvin pokiwał głową.

- Przyjemny park. Ciekawe, czy w tym stawie są ryby?

- Nie mam pojęcia. W lecie będą tu łodzie. Z wielkimi białymi łabędziami na burtach.

- Skontaktowałeś się już z prawnikiem?

- Tak. Twierdzi, że nie mam się czym martwić. Podobno w naszych czasach proces o błąd w sztuce to dla młodego lekarza normalka. Ot, taki chrzest bojowy, inicjacja czy pierwsza bójka, bez której nie jest się prawdziwym mężczyzną.

Calvin przyjrzał mu się uważnie.

- I co ty na to?

- Że przynajmniej parę razy widziałem żalosne skutki pierwszych bójek, a ci, którzy w nich uczestniczyli, wcale nie wydali mi się z tego powodu bardziej męscy.

Calvin uśmiechnął się.

- Jestem o ciebie dziwnie spokojny.

- Dzięki.

- Ale martwię się o siebie. Powiedz mi, Spurgeon, dlaczego zawsze mnie odtrącasz?

Po drugiej stronie Boylston Street rozległy się salwy śmiechu i śpiew, zaraz potem trzasnęły drzwi samochodu.

- To Klub Playboya - wyjaśnił Spurgeon. - Pełno tam luksusowych panienek z przypiętymi do tyłków króliczymi ogonkami.

Calvin pokiwał głową.

- Byłem raz w takim w Nowym Jorku - odrzekł - ale dzięki za definicję.

- Trudno mi to wyrazić słowami - powiedział Spurgeon.

- Już najwyższy czas, żebyś postarał się to zrobić - stwierdził Calvin. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że nawet gdybyś był moim rodzonym synem, z krwi i kości, nie potrafiłbym kochać cię bardziej, niż kocham?

Spurgeon pokiwał głową.

- Nigdy w życiu o nic mnie nie poprosiłeś. Nawet jako dziecko.

- Bo zawsze dawałeś mi wszystko, zanim zdążyłem poprosić. Wiesz, co Rap Brown i Stokely mówią na temat białych ludzi pozbawiających nas męskości?

Calvin spojrzał na niego i przytaknął.

- No właśnie, to coś w tym stylu.

- Uważasz, że pozbawiam cię męskości? - spytał cicho Calvin.

- Nie, nie, nie o to chodzi. Posłuchaj, ocaliłeś mi życie. Odczuwam to na każdym kroku. Uratowałeś mnie.

- Nie jestem żadnym ratownikiem. Chcę być dla ciebie ojcem.

- W takim razie uważnie mnie wysłuchaj. I spróbuj zrozumieć. Jesteś wyjątkowym człowiekiem i byłoby mi bardzo łatwo i wygodnie zdać się na ciebie i pozwolić, żebyś wszystko robił za mnie. Tak samo łatwo, jak utonąć.

Calvin przyjrzał mu się uważnie, a potem znowu pokiwał głową.

- Tak. Chyba rozumiem.

- Pozwól mi być dorosłym facetem, Calvin. Nie proponuj mi więcej pomocy.

Calvin nie spuszczał z niego wzroku.

- Będziesz dzwonił do matki? A jak zdarzy ci się wolne, przyjedziesz do domu?

Spurgeon uśmiechnął się.

- Tak.

- A jeśli kiedyś będziesz mnie potrzebował... jeśli naprawdę będziesz potrzebował mojej pomocy... zwrócisz się o nią? Tak jakbym był twoim prawdziwym ojcem?

- Obiecuję.

- Co byś zrobił, gdyby mnie nie zaakceptowali? - spytała Dorothy kilka dni po powrocie Roe-Ellen i Calvina do Nowego Jorku.

- Zaakceptowali cię.

- Ale gdyby?

- Przecież wiesz.

Nie musieli używać wielu słów, by rosło między nimi zrozumienie, lecz Spurgeonowi coraz trudniej było traktować Dorothy tak, jakby byli podlotkami, a trudność tę potęgowały jeszcze częste spotkania z Adamem Silverstone'em i Gaby Pender, którzy tak jawnie nurzali się w rozkoszach cielesnych, że chwilami Spur czuł się w ich towarzystwie jak niecny podglądacz.

W pogodne, spokojne popołudnia włączyli się we czwórkę po wzgórzu Beacon czując, że są u siebie. Zachwycali się każdym drobiazgiem, stylowym starobostońskim porządkiem na Louisburg Square, gładkim brukiem, który pochodził jeszcze sprzed czasów kontraktów na budowę dróg wygrywanych dzięki politycznym konszachtom, pompatycznymi tłuściochami kłócącymi się o wysokość rachunku za kawę w drugstorze koło siedziby władz stanowych, cudownie zachowanymi latarniami wzdłuż Revere Street, budzącymi uczucie, zwłaszcza w ciemne wieczory, że po drugiej stronie wzgórza czeka na nich rok 1775. Zawsze kiedy wracali na mniej niezwykłą swoją północną stronę, zamieszkaną głównie przez robotników oraz szybko rozrastającą się komunę brodaczy i dziwaków, dochodzili do zgodnego wniosku, że jest ona lepsza, pełniejsza życia, bardziej soczysta.

Któregoś ranka spacerowali w zimnym wiosennym deszczu drobnym niczym mgiełka, szukając domu numer 121 przy Bowdoin Street, w którym kiedyś mieszkał niezwykle prezydent Stanów Zjednoczonych, i zastanawiali się głośno, co by się stało, gdyby owemu młodemu człowiekowi dane było dożyć starości.

Nagle Dorothy odwróciła się do nich plecami i pobiegła przed siebie.

Spurgeon dogonił ją na Beacon Street, na stopniach siedziby gubernatora. Objąwszy ją, całował jej mokrą twarz, słoną od łez.

- A jeśli z któregoś z tych okien obserwuje nas teraz gubernator? - spytała.

- No to niech sobie popatrzy, bo warto. - Tulił ją, lekko kołysząc, nie zważając na deszcz.

- Przepraszam - rzekła po chwili.

- Nie ma sprawy. To był wyjątkowy człowiek.

- Nie, nie rozumiesz. Nie chodzi mi o Kennedy'ego, popłakałam się, bo jestem z tobą taka szczęśliwa i tak bardzo cię kocham, a Gaby i Adam są wspaniali, ale ja wiem, że to nie będzie trwać wiecznie.

- Będzie - zapewnił.

- Ale coś się zmieni. Wszystko się zmienia.

Nad górną wargą na cudownej brązowej skórze lśniły maleńkie kropelki, które Spurgeon otarł delikatnie kciukiem, tak samo jak tamtego pierwszego dnia na plaży stał zaschniętą sól.

- Ja to nawet chcę, żeby coś się zmieniło między nami - odparł.

- Biedaku. Bardzo ci trudno?

- Jakoś przeżyję. Ale bardzo chcę, żeby to się zmieniło.

- Więc ożeń się ze mną. Proszę cię, Spurgeon.

- Nie mogę. Przynajmniej dopóki nie skończę stażu. Czyli do lipca.

Patrzyła na skąpaną w deszczu złocistą kopułę siedziby gubernatora.

- W takim razie możemy od czasu do czasu skorzystać z mieszkania przy Phillips Street. Rozmawiałam o tym z Gaby.

Ujął jej wilgotną wełnistą głowę w obie dłonie.

- Mógłbym kupić im psa. Odwiedzilibyśmy ich w porze spacerów.

Uśmiechnęła się.

- Mogliby obejść z nim całe osiedle.

- Nazwalibyśmy go Bim-bam.

- Och, Spurgeon. - Znowu się rozplakała.

- Nie, nie, dziękuję pani uprzejmie - uciał, po czym zanurzył twarz w czarnej wełnie. - W lipcu weźmiemy ślub - powiedział przez jej mokre włosy.

Po krótkiej chwili pomachali gubernatorowi na pożegnanie i wrócili do Gaby i Adama. Nie rozmawiali na ten temat, lecz za obopólną milczącą zgodą nie wspomnieli przyjaciółom ani słowem o ogromnej zmianie, jaka zaszła w ich życiu.

Następnego dnia przyjechał po nią, a potem zawiózł do getta Roxbury. Zaparkował volkswagena, po czym ruszyli powoli ulicami. Nie mieli ochoty na rozmowę. W nocy przestało padać, teraz prażyło ostre słońce, dając się im we znaki.

- Po co mnie tu przywiozłeś? - spytała w końcu.
- Sam nie wiem - odparł. - Czasami tutaj przyjeżdżam.
- Nienawidzę tego miejsca. Proszę cię, zabierz mnie stąd.
- Dobra - zgodził się. Zawrócili i ruszyli w stronę auta.

Na ulicy jacyś dwaj malcy grali w koszykówkę, grzebiąc ostatecznie zimę.

- No, Charlie - naśmiewał się jeden z drugiego. - Żaden tam z ciebie pieprzony Jim Longborn. Masz za bardzo spieczoną dupę.

- Spadaj! - krzyknął ten drugi, wykonując wściekły rzut.

- Nie jesteś też pieprzonym Looeyem Tiantem. Nie jesteś nawet chrzanionym Jimem Wyattem.

Wsiedli do samochodu i szybko odjechali.

- Nie mogłabym tam wychowywać dziecka - odezwała się Dorothy.

Spurgeon nucił pod nosem jakieś wesołe kawałki.

- Przecież mieszkają tam nie tylko biedacy, ale też wielu robotników, wierz mi. I jakoś wychowują swoje dzieciaki.

- Ja wołałabym już raczej nie mieć dzieci.

- Dobra, nie martw się o to - odparł nieco poirytowany. - Nie będziesz musiała wychowywać dzieci w takiej dzielnicy.

- Kiedyś obiecywałeś mi wyspę. Mówiłeś, że będziesz mi wplatał we włosy kwiaty czerwonego uroczynu.

- Masz to jak w banku.

- A może naprawdę wyjedźmy?

- Dokąd? Na wyspę bezludną?

- Na Hawaje.

Spojrzał na nią z ukosa, przekonany, że to tylko żart.

- Twoje wnuki miałyby skośne oczy.

- Och, uwielbiałabym je. Miałyby twój nos.

- Świetnie.

- Mówię poważnie, Spurgeon - odezwała się po chwili.

Teraz już wiedział, że tak jest, sam zresztą zaczynał się przekonywać do tego pomysłu i spokojnie szukał w nim wad.

- Najpierw muszę skończyć staż, a potem trzy lata rezydentury.

- A czy nie moglibyśmy się tam wyprowadzić, jak już to wszystko skończysz? Po ślubie dalej bym pracowała, oszczędzalibyśmy każdego centa, a za rok albo dwa może

udałoby się nam pojechać na wycieczkę, rozejrzeć się i wszystko dokładnie zaplanować?

Była teraz bardzo podekscytowana i pełna wiary, że tak właśnie może wyglądać ich wspólna przyszłość.

- To chyba rzeczywiście ma ręce i nogi - stwierdził ostrożnie, wzruszony jej radością.

W Natick zauważył, że kiedy auto stało zaparkowane w Roxbury, ktoś zwędził kołpak z tylnego lewego koła. Przez całą drogę powrotną do szpitala śpiewał ile sił w płucach.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Adam Silverstone.

Adamowi bardzo spodobały się półki na książki zrobione ze skrzynek po pomarańczach. Zainspirowany, kupił białą farbę i wałek, i zanim stare zakwasy zdążyły się rozpuścić, narobił sobie nowych, lecz białe ściany powiększyły pokój i całkiem go odmieniły. W sklepie przy Newbury Street Gaby wypatrzyła dwa niedrogie obrazki, reprodukcję chłopki z niemowlęciem pędzla Kathe Kollwitz i kolorową abstrakcję - kule i sześciiany, które świetnie pasowały do papierowych kwiatów.

Pestkę awokado przeszła wykałaczkami, umieściła w szklance wody - czytała o tym w jakimś czasopiśmie - i czekała niecierpliwie, czy eksperyment się powiedzie. Przez trzy tygodnie nic się nie działo, lecz kiedy już miała zamiar wyrzucić pestkę do śmieci, ta zakiełkowała jasnozielonym pędem życia, który zmienił się w ciemniejszy i bardzo lśniący liść. Gaby przeniosła go do żyznej czarnej ziemi, której worek kupiła w supermarkecie. Wkrótce w niewielkiej plamie słońca wpadającego przez pojedyncze okno pojawiły się dwa następne liście, pierzaste i lśniące, karmione miłością oraz nawozem.

Mieszkanie w suterenie stało się fundamentem ich życia; nie zamieniliby go nawet na komnaty Białego Domu. Kochali się radośnie i bardzo często, poznając się coraz dogłębniej, nękani co najwyżej przez lekkie wyrzuty sumienia. Gaby czuła się wolna i silna, niczym najprawdziwsza pionierka. Wiedziała z całą pewnością, że są pierwszymi i jedynymi kochankami na świecie, chociaż Adam powtarzał, iż pomimo jej bujnej fantazji oraz wielkiej sterty książek, którą przeczytał na studiach, nie uda się im zostać twórcami grzechu pierwotnego.

Chyba po raz pierwszy w życiu nie martwiła się o kondycję swojego ciała, uskarżając się jedynie na zaburzenia hormonalne spowodowane przez pigułki antykoncepcyjne, do których jej organizm nie zdążył się jeszcze dostroić, a które od czasu do czasu powodowały poranne napady nieznośnych nudności. Adam zapewniał, że nieprzyjemne symptomy wkrótce ustąpią.

Była bardzo dumna z tego, co zrobili ze swoim nowym gniazdkiem, i chętnie zapraszała wszystkich znajomych, mimo to ograniczała się do Dorothy i Spurgeona. Susan Haskell przyszła na lunch, ale zachowywała się nienaturalnie, wręcz dziwacznie, najwyraźniej oczekując od przyjaciółki opowieści o tym, jak źle Adam ją traktuje. Gaby postanowiła

więcej jej nie zapraszać. Bywali u niej również mieszkańcy Joy Street. Janet Williams wpadała często, aczkolwiek nie aż tak często, by Gaby musiała uznać ją za natręta. Kilka razy przyprowadziła drugiego „zaopatrzeniowca”, potężnego blondyna, który dostarczył Gaby papierowe kwiaty. Miał na imię Carl. Był delikatny, uprzejmy i świetnie znał się na sztuce oraz muzyce. Kiedy indziej Janet zjawiała się w towarzystwie niejakiego Ralpa, osobnika z rzadką bródką, który wyglądał tak, jakby od dawna się nie kąpał, chwiał się na nogach i sprawiał wrażenie nieobecnego duchem. Prawdopodobnie czegoś się naćpał. Janet nie zwracała na to uwagi. Traktowała go tak samo jak Carla czy Gaby. Po każdej wizycie „zaopatrzeniowca” wynosili niewielką część zapasów gospodarzy.

Jak należało się spodziewać, któregoś dnia natknęli się na Dorothy i Spurgeona.

- Cześć - przywitała się Janet z siostrą.

- Cześć - odparła Dorothy. Zaczekała, aż wszyscy się poznają, po czym spytała: - Nie chcesz wiedzieć, jak tam Midge, mama i tata?

- No to jak tam Midge?

- Dobrze.

- A mama i tata?

- Też dobrze.

- Świetnie - skwitowała Janet.

Wszyscy byli dla siebie bardzo uprzejmi. Adam zaproponował i przygotował drinki, podał solone orzeszki, czasami włączał się do rozmowy. Problemy pojawiły się, kiedy Spurgeon wspomniał o nadchodzących wyborach.

Ralph zmarszczył brwi i zamrugł oczyma. Wlazł na krzesło, usiadł na oparciu i postawił stopy na siedzisku, niczym władca rozparty na tronie.

- Gdyby tylko ludzie raczyli nas posłuchać - powiedział. - Pomyśleliby trochę i wypięli się na nich. Skurczybyki nie miałyby kim rządzić. Staramy się wam to tłumaczyć, ale do was to nie dociera.

- Chyba nie myślisz, że coś by z tego wyszło? - odparł łagodnie Spurgeon.

- Ty mi, facet, nie mów, co myślę, bo ja to wiem. Każdy powinien wypięć się na to wszystko, wynieść do lasu, przycpać i po prostu robić swoje.

- Co by się stało ze światem, gdyby wszyscy chodzili naćpani?

- A co się dzieje ze światem teraz, kiedy wy wszyscy trzeźwo myślący idioci chodzicie po nim nie naćpani?

- Bez nas, bez tych, jak mówisz, trzeźwo myślących idiotów, nie przeżylibyście ani dnia - wtrącił Adam. - Nie moglibyście robić tego, co robicie. Dajemy wam żreć, koleś,

ubieramy was i budujemy domy, w których grzejecie tyłki. Pakujemy do puszek zarcie, które kupujecie, kiedy tylko uda się wam sprzedać dość kwiatów i plakatów, a także dostarczamy olej opałowy, dzięki któremu w waszych norach jest w zimie w miarę ciepło. Leczymy was, kiedy już zrujnujecie swoje piękne ciała, dar od Boga. - Spojrzał na Ralphiego i uśmiechnął się szeroko. - A poza tym gdybyśmy nagle wszyscy stali się tacy sami jak wy, to natychmiast chcielibyście stać się kimś innym. Nie potrafilibyście znieść, że pozostali są tacy sami.

- Chrzanisz głupoty, facet.

- W takim razie może raczysz mi powiedzieć, czemu siedzisz jak jakiś wielki guru, gapiący się z góry na cały świat?

- Bo lubię tak siedzieć. Nikomu tym nie szkodzę.

- Owszem, szkodzisz. Gaby i mnie - odparował Adam. - Twoje buciory pobrudziły nasze krzesło.

- Nie praw mi kazań, bo mogę ci odpowiedzieć tym samym. Jesteś wyjątkowo agresywny, wiesz? Gdyby nie twoi bogaci starzy, którzy posłali cię do college'u, a potem na studia, najprawdopodobniej zostałbyś rzeźnikiem, a nie chirurgiem, i wbijałbyś swoje oczekujące agresją noże w krowy, a nie w ludzi. Zastanawiałeś się kiedyś nad tym?

Gaby i Adam nie potrafili powstrzymać śmiechu i nawet nie próbowali się tłumaczyć.

Janet już nigdy nie przyprowadziła żadnego z „zaopatrzeniowców”, sama zresztą też przestała zjawiać się wieczorem, choć nadal od czasu do czasu wpadała na poranną kawę. Któregoś dnia nagły atak mdłości zmusił Gaby do wizyty w łazience. Kiedy wróciła, blada i zmęczona, Janet spojrzała na nią z uśmiechem Mony Lisy.

- Wpadłaś? - spytała.

- Nie.

- A ja tak.

Gaby wytrzeszczyła oczy ze zdumienia, a potem spytała:

- Jesteś pewna?

- Aha, w stu procentach.

- I co zamierzasz?

- Dziecko będzie wychowywać moja rodzina.

- Tak jak Midge?

Dziewczyna posłała jej lodowate spojrzenie.

- Moja prawdziwa rodzina. Tutaj, przy Joy Street. Wszyscy będziemy rodzicami. Uważamy, że będzie świetnie.

Ta rozmowa jeszcze długo nie dawała Gaby spokoju. Czy to Carl będzie ojcem

dziecka? A może Ralphie? Albo jeszcze gorzej: czy Janet w ogóle wie, kto jest ojcem?

Jednego była pewna. Dziewczyna będzie potrzebowała opieki lekarskiej, i to jak najszybciej. Kiedy o wszystkim opowiedziała Adamowi, ten tylko zamknął oczy i pokręcił głową.

- Do diabła. Ktoś nie wiedział, jak się zabrać do rzeczy. Kto jak kto, ale my chyba nie powinniśmy sobie pozwalać na takie uwagi.

- Nie widzisz żadnej różnicy?

- Och, Adamie, oczywiście, że widzę. Ale nie będę spać po nocach, dopóki jakoś nie pomożemy tej małej kretynce. Powiemy Dorothy?

- Raczej nie. W każdym razie jeszcze nie teraz. Niech przyjdzie do szpitala, a ja już dopilnuję, żeby ją dokładnie przebadali i dali wszystkie potrzebne witaminy.

Pocałowała go i czekała niecierpliwie na następną wizytę Janet, jak na złość jednak dziewczyna się nie pokazywała. Sześć dni później, wlokąc się pod górę z torbą pełną zakupów, Gaby spotkała Ralphiego, który zmierzał w przeciwną stronę.

- Cześć. Co tam u Janet? - spytała. Oczy miał bardzo błyszczące.

- Co, u tej małej? Zajmuje się nią rodzina - odrzekł i odszedł, maszerując w rytm innych werbli.

Dwa dni później natknęła się na Carla roznoszącego plakaty.

- Już z nami nie mieszka - wyjaśnił, kiedy spytała o Janet.

- A gdzie teraz jest?

- Chyba w Milwaukee.

- W Milwaukee? - jęknęła Gaby.

- Przyjechał ten jej facet i zabrał ją ze sobą.

- Masz jej adres?

- W domu. Gdzieś go sobie zanotowałem.

- Mógłbyś mi go dać? Chciałabym do niej napisać.

- Dobra. Przyniosę ci. Ale nie przyniosł.

Brakowało jej tych porannych wizyt. Była pewna, że pani Walters z chęcią przychodziłaby do niej na plotki, lecz nie przepadała za gospodynią i starała się jej unikać. Zafascynowała ją za to inna mieszkanka kamienicy, niska przygarbiona kobieta, która wymykała się raz na parę dni i zawsze wracała taszcząc pojedynczą papierową torbę. Twarz miała ściągniętą, jakby protestowała przeciwko całemu wrogiemu światu. Gaby przyszło do głowy, że nieszczęsna kobiecina wygląda jak skacowana wiedźma, i od razu domyśliła się, co to za jedna.

Któregoś ranka otworzyła drzwi i wyszła jej na spotkanie.

- Pani Kroi - odezwała się.

Bertha Kroi zadrżała, gdy Gaby dotknęła jej łokcia.

- Jestem pani sąsiadką. Nazywam się Gabrielle Pender. Może wstąpi pani do mnie na filiżankę herbaty?

Przerażona kobieta rozglądała się po Phillips Street, niczym ptak szukający drogi ucieczki.

- Nie - wyszeptała. Gaby przepuściła ją.

Wiosna była wilgotna, bardzo często padało. Mdłości powodowane przez pigułki minęły jak ręką odjął. Ziemia ożyła, dni były coraz dłuższe i cieplejsze, co kilka dni lało i deszczówka spływała brukowanymi rynsztokami, tworząc w niektórych miejscach miniaturowe wodospady. Adam asystował w szpitalu przy serii operacji klatki piersiowej, a zabieg na otwartym sercu podziałał na niego mocniej niż LSD. W nocy, kiedy Jezeli w łóżku i cicho rozmawiali, opowiedział Gaby o tym, jak wsunął dłoń do rozciętej klatki piersiowej i przez cienką lateksową rękawicę poczuł bicie różowej pompy, żywego serca.

- Jakie to uczucie?

- Prawie tak samo wspaniałe jak dotykać ciebie.

Adam przestał nazywać psy, czym innym było bowiem przyjść do laboratorium i usłyszeć od Kazandjiana, że chirurgiczny eksperyment numer 37 zakończył się porażką, a czym innym dowiedzieć się o śmierci żywego stworzenia, wabiącego się Śliczna, Max, Wallace albo jeszcze inaczej. Zmuszał się do ignorowania psich języków usiłujących polizać jego dłoń, koncentrował się natomiast na mikrokosmicznych wojnach toczonych w psich organizmach przez antygeny i przeciwciała.

Kender, który obdarzył go pełnym zaufaniem i w ciągu ostatnich miesięcy tylko sporadycznie zjawiał się w laboratorium, teraz nagle zaczął nawiedzać je coraz regularniej.

- Pewnie szykują się do ostatecznej decyzji w sprawie obsady tego stanowiska - powiedział do Gaby, kiedy wieczorem leżała pod kwarcówką i smarowała się dziecięcą oliwką.

- Może wcale nie o to chodzi - odparła, po czym przewróciła się na brzuch i wręczyła mu butelkę. - Może po prostu tak bardzo interesują go te eksperymenty.

- Zawsze go interesowały, ale nigdy nie stał mi nad głową - odparł Adam.

Rozsmarowywał oliwkę w ulubionym miejscu, owym niewielkim wgłębieniu, gdzie kończy się kręgosłup, a zaczynają pośladki, wdychając zapach oliwki na ciepłej skórze. Kiedy przesunął dłonią po udach, nie byli w stanie dłużej się powstrzymać. Zanim się w końcu

odwróciła, Adam miał tłuste plamy na ubraniu, a następnego dnia w pracy, koszula skrywała lekkie oparzenia na plecach i karku.

Dwa dni później Kender poprosił, żeby wyjaśnił mu procedurę, którą właśnie szczegółowo opisał w notatniku. Adam nie miał już żadnych wątpliwości.

Zrelacjonował ustnie zasady eksperymentu, po czym z uśmiechem spojrzął na starszego chirurga.

- Jeśli o mnie chodzi, zdałeś - stwierdził Kender.

- A jak pana zdaniem poradzę sobie z pozostałymi?

- spytał wierząc intuicji, która mówiła mu, że akurat w tym momencie szczerota jest dozwolona.

Kender wyjął cygaro.

- Trudno przewidzieć. Powiem ci jedno: pole walki jest bardzo ograniczone. Właściwie brany pod uwagę jesteś tylko ty i jeszcze jeden kandydat. Przypuszczam, że wiesz, o kogo chodzi?

- Wiem.

- Obaj macie sporo atutów.

- Kiedy zostaniemy powiadomieni? Kender pokręcił głową.

- To się załatwia całkiem inaczej. Informuje się tylko jednego lekarza, tego, który dostaje posadę. Do drugiego smutna wieść dociera pocztą pantoflową. Nigdy nie będzie wiedział, dlaczego jego kandydatura przepadła ani tym bardziej, kto głosował przeciwko niemu. - Kender wzruszył ramionami. - Ot, taki system - stwierdził. - Ale dzięki niemu przegrany może przynajmniej pocieszać się myślą, że jakiemuś uprzedzonemu do niego skurczybykowi nie podobają się jego krawaty albo kolor oczu.

- Czy taka ewentualność jest częścią tego systemu? Kender pyknął. Koniec cygara załśnił jak neon, w laboratorium zrobiło się gęsto od dymu.

- Przypuszczam, że tak - odparł.

Nieco później tego wieczora laboratorium odwiedził doktor Longwood, z lekka poirytowany Adam zaczął się więc szykować na drugą część egzaminu.

Ale Stary spytał jedynie, czy może przejrzeć notatki dotyczące serii badań nad surowicą antylimfocytarną.

Siedział niczym tragiczna karykatura i czytał, dłoń mu drżała, a Adam starał się patrzeć w drugą stronę. Być może Longwood wyczuł to, gdyż zaczął bawić się kluczami, które dźwięczały cichutko jak... co?

Jak dzwonki Arlekina, pomyślał Adam.

- Trzymacie konie tutaj, w drugiej części budynku? - spytał doktor Longwood.

- Nie, sir. Konie są własnością szpitala, ale przebywają w biologicznych laboratoriach stanowych. Gromadzimy węzły chłonne z ludzkich zwłok, mielimy je i wysyłamy, a oni wstrzykują je koniom, aby otrzymać surowicę.

Doktor Longwood zastukał palcem w notatnik.

- Macie już pewne wyniki. Adam skinął głową.

- Surowica hamuje odrzucanie przeszczepów. Kiedy jej używamy, możemy podawać mocne leki immunosupresyjne w rodzaju imuranu w dawkach tak znikomych, że zwierzęta są w stanie bronić się przed infekcjami.

Longwood pokiwał głową, najwyraźniej dowiedziawszy się tego, czego chciał się dowiedzieć.

- Lubi pan pracę w laboratorium?

- Sądzę, że dzięki niej staję się lepszym chirurgiem.

- Z całą pewnością.

Adam poczuł nagle siłę jego spojrzenia.

- Dokąd wybiera się pan w przyszłym roku, kiedy już pan nas opuści?

Zabolało go to pytanie, pojął bowiem, że Longwood traktuje kwestię obsady stanowiska jako zamkniętą. Pocieszał się tylko, że Kender jest innego zdania.

- Jeszcze nie wiem.

- Niech pan się zastanowi nad kwestią położenia geograficznego i da mi znać. Z chęcią pomogę panu znaleźć coś interesującego.

- Dziękuję, sir - wydusił z siebie Adam.

- Chciałbym też, żeby pan coś przeczytał. - Doktor Longwood sięgnął do teczki i wyjął z niej pudełko. - To dwie trzecie rękopisu mojej książki. Podręcznika chirurgii ogólnej.

Adam skinął głową.

- Jeśli tylko opinia rezydenta jest cokolwiek warta, może pan na mnie liczyć, sir.

- Wybitni chirurdzy z całego kraju czytali poszczególne części tej książki, ale chciałbym też wiedzieć, jak przyjmie ją człowiek, który skończył studia nie tak dawno jak ja czy oni.

- Czuję się zaszczycony.

- Jeszcze jedno. - Longwood ponownie wbił w niego wzrok. - Nie chcę, żeby dowiedział się o tym którykolwiek z pracowników szpitala. Nie mogę sobie pozwolić na ograniczenie godzin pracy tylko ze względu na zły stan mojego zdrowia. Mam za mało czasu.

Boże, pomyślał Adam, co ja mam mu na to odpowiedzieć? Lecz nie musiał nic

mówić, gdyż Longwood skinął głową, wstał i ruszył do wyjścia.

- Dobranoc, sir - powiedział Adam. Stary chyba tego nie usłyszał.

Naszpikował lekami część zwierząt, spisał najważniejsze symptomy i uaktualnił dziennik laboratorium. Kiedy skończył, było już bardzo późno, kusilo go więc, żeby lekturę rękopisu odłożyć na później, wiedział jednak, że jeśli natychmiast nie zacznie, być może nie zrobi tego nigdy. Zadzwoił do operatora pagerów i uprzedził, że będzie w laboratorium, po czym usiadł za starym dębowym biurkiem i wyjął manuskrypt z pudełka. Kawa bulgotała na palniku Bunsena, wiekowy budynek trzeszczała, niektóre psy iskały się, inne jęczały i popiskiwały, może uganiając się przez sen za królikami albo gramoląc na suki mające cieczkę, które w przeszłości odganiały je szczerząc kły. Hałas obudził część zwierząt, a po chwili ich szczekanie zbudziło pozostałe. W laboratorium rozbrzmiał zwierzęcy protest.

- No już, spokojnie - rzekł Adam tak, jakby były ludźmi i mogły go zrozumieć. - Uspokójcie się, idźcie spać.

W końcu ucichły.

Nalał sobie filiżankę gorącej czarnej kawy, usiadł, wypił ostrożnie kilka łyków i zabrał się za lekturę.

Większość rozdziałów po prostu go zachwyciła. Zostały napisane w stanowczym i zwodniczo prostym stylu, były więc łatwym w czytaniu dziełem naukowym, które niezwykle trudno napisać. Longwood zawarł w nich kwintesencję swojego wieloletniego doświadczenia, nie wahając się jednocześnie cytować innych znanych chirurgów. Kiedy po około stu stronach rękopisu nagle zadzwonił telefon, Adama ogarnął szczery żal, że dokąds go wezwą i będzie musiał odłożyć lekturę na później. Na szczęście był to Spurgeon z prośbą o radę, której mógł mu udzielić nie wychodząc z laboratorium. Odłożywszy słuchawkę, natychmiast powrócił do rękopisu.

Czytał przez całą noc.

Kiedy skończył, za oknami zaczynało powoli świtać.

Być może to dlatego, pomyślał, że jestem zmęczony. Przetarł oczy, podgrzał kawę, wypił kolejną filiżankę, po czym raz jeszcze, powoli i uważnie, przeczytał trzy ostatnie rozdziały.

Miał wrażenie, że napisała je całkiem inna osoba.

Nawet przy swoim niewielkim doświadczeniu bez trudu wyłapał w nich wiele rażących błędów. Styl był bardzo gęsty, zdania skomplikowane i miejscami niezrozumiałe, w materiale raziły ogromne luki.

Przeczytał nieszczęsne rozdziały po raz kolejny i nagle pojął, w czym rzecz. Oto miał

przed sobą ponury obraz szybko postępującej degradacji potężnych niegdyś zdolności intelektualnych.

Dezintegracja umysłu, pomyślał głęboko wstrząśnięty.

Próbował się zdrzemnąć, lecz nie mógł zasnąć. Wyszedł z laboratorium i jako pierwszy klient Maxiego zjadł wczesne śniadanie, po czym wrócił do laboratorium, starannie złożył kartki rękopisu i włożył je z powrotem do pudełka.

Trzy godziny później zjawił się u niego Kender.

- Mam coś, co chyba powinienes przeczytać - oznajmił.

Następnego wieczora, tuląc się w mroku do Gaby, powiedział jej, że Longwood zrezygnował ze stanowiska ordynatora chirurgii.

- Biedny człowiek - rzekła. - Nic się nie da zrobić? - spytała po chwili.

- Szansę na znalezienie dawcy z tak rzadką grupą krwi są znikome. Można utrzymywać go przy życiu za pomocą dializatora, ale Kender twierdzi, że przeklęta maszyna ma fatalny wpływ na psychikę Longwooda.

Niczym zawieszeni, leżeli obok siebie w kruczoczarным morzu, wpatrzeni w kruczoczarne niebo.

- Nie sądzę, żebym długo zniosła taką maszynę, gdybym...

- Gdybyś co? - spytał sennie.

- Gdybym to ja zachorowała. Adam już tego nie słyszał.

Niedługo potem obudziła go, pocierając jego łydki palcami stóp, aż w końcu odwrócił się do niej twarzą. Po chwili jej dzikie okrzyki zmarszczyły powierzchnię czarnego morza.

Później dryfowała z głową na jego torsie. Adam spał i tylko jego bijące serce mówiło do niej:

- Żyje.

- Żyje.

- Żyje...

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

Spurgeon Robinson.

Na ławce siedział zgarbiony czarny mężczyzna, kiwał się i płakał, co w szpitalu nie było rzadkim widokiem, niemniej Spurgeon przystanął obok niego.

- Nic panu nie jest?

- Zabili go. Zabili.

- Przykro mi - cicho rzekł Spur, zastanawiając się, czy owa ofiara to syn starca, czy może jego brat, czy zginął w wypadku na autostradzie, czy też padł ofiarą zabójstwa.

Początkowo nie zrozumiał nazwiska.

- Zastrzelili go. Naszego przywódcę, Kinga.

- Kogo? Martina Luthera? - spytał z niedowierzaniem.

- Białe bydlaki. Prędzej czy później dopadną nas wszystkich.

Starzec wciąż się kiwał, a Spurgeon czuł do niego nienawiść za tę okropną mistyfikację.

Okazało się jednak, że to prawda. Wkrótce wiadomość potwierdziły wszystkie stacje radiowe i telewizyjne.

Spurgeon sam miał ochotę usiąść na ławce i płakać.

- O Boże, tak mi przykro - powiedział Adam. Inni zachowywali się podobnie. Minęło trochę czasu, zanim dotarło do niego, że ludzie składają mu kondolencje tak samo jak wcześniej on staremu pacjentowi, przekonani, że dotknęła go osobista strata, która na ich życie nie będzie miała żadnego wpływu. Upłynęło jeszcze trochę czasu, zanim ogarnął go gniew.

Nie mógł sobie pozwolić na luksus szoku. Doktor Kender wezwał w trybie pilnym wszystkich lekarzy. Szpital Suffolk County General miał do czynienia z konfliktem na tle rasowym tylko jeden jedyny raz, rok wcześniej, i wtedy dał się zaskoczyć. Teraz na oddziałach została minimalna obsada, a każdą salę operacyjną przygotowano do natychmiastowego użycia. Karetki zaopatrzone w dodatkowe nosze, leki i środki opatrunkowe.

- W każdej ma być drugi lekarz - zarządził Kender. - Jeśli naprawdę rozpęta się piekło, nie chcę, żeby karetki wracały z jednym pacjentem, podczas gdy mogłyby pomieścić dwóch albo nawet trzech. - Odwrócił się do Meomartino i Adama Silverstone'a. - Jeden z was

zostanie tutaj i będzie nadzorował pracę pomocy doraźnej. Drugi zajmie się karetkami.

- Co wybierasz? - zapytał Meomartino. Silverstone wzruszył ramionami i pokręcił głową, kiedy wszedł Moylan i zaczął opowiadać o podsłuchanym przez radiostację policyjnym raporcie o strzelających z dachów snajperach.

- Ja mogę zostać tutaj - stwierdził Meomartino.

Adam rozdzielił obowiązki, a sam razem ze Spurgeonem wsiadł do karetki Meyersona. Pierwszy wyjazd okazał się absolutnym zaprzeczeniem napiętej sytuacji. Na autostradzie zderzyły się trzy samochody, dwie osoby były ranne, żadna z nich poważnie.

- Kiepski mamy refleks, co? - zwrócił się Meyerson do jednego z kierowców, gdy nieśli go do karetki.

Po powrocie do szpitala dowiedzieli się, że w mieście panuje spokój. Doniesienia o snajperach okazały się wyssane z palca. Policja wciąż się mobilizowała, ale na razie nic się nie działo.

Wkrótce dostali zlecenie wyjazdu do Charlestown po dziewczynę, która nadepnęła na potłuczoną butelkę.

Za trzecim razem skierowano ich do Roxbury, gdzie w jakimś barze doszło do strzelaniny.

- Nie jadę - oświadczył Meyerson.

- Niby dlaczego? - spytał Spurgeon.

- Nie interesuje mnie taki zarobek. Niech się sukinsyny pozabijają.

- Spieprzaj - warknął Spurgeon.

- Rób jak uważasz. Twoja sprawa - rzekł spokojnie Adam. - Ale jeśli nie będziesz dzisiaj jeździł, już tu nie pracujesz. Osobiście się o to postaram.

Meyerson posłał im pogardliwe spojrzenie.

- Harcerzyki.

Wstał i powoli wyszedł z izby. Spurgeon myślał, że może przejdzie obok karetki, Meyerson otworzył jednak drzwi i usiadł za kierownicą.

Spurgeon wpuścił Adama na środkowe siedzenie.

Niektóre witryny sklepów na Blue Hill Avenue pozabijano deskami. Większość była ciemna. Nieliczne oświetlone miały pośpiesznie namalowane wielkie napisy: BRACIA, WŁASNOŚĆ CZARNYCH, WŁASNOŚĆ BRACI. Minęli sklep monopolowy, niemal zupełnie splądrowany, truchło objadane przez mrówki. Przez pozbawione szyb okna wychodziły dzieciaki, dźwigając butelki.

Spurgeon patrzył na to z goryczą. Opłakujcie go, myślał wzburzony. Czy wy

naprawdę nie wiecie, co to żałoba?

W okolicach Grove Hill natknęli się na pierwsze zgromadzenie, tak liczne, że ciągnęło się od przecznicy do przecznicy, a jego uczestnicy niczym stado bydła przetaczali się z jednej strony ulicy na drugą. Z tłumu dobiegały karnawałowe wrzaski, obelgi i pijacki śmiech.

- Nie przejeździemy - oświadczył Meyerson i wcisnął klakson.

- Lepiej zjedźmy z Blue Hill Avenue i objeźdźmy ich dookoła - zasugerował Adam.

- Jakies inne ciekawe pomysły? - rzucił cierpko Meyerson.

- Nie.

- Harcerzyki.

Pod uliczną latarnią kilku mężczyzn i chłopaków próbowało huścić zaparkowany samochód, czarną czterodrzwiową limuzynę. Był to ciężki pojazd, buick, lecz już po chwili kołysał się jak dziecięca zabawka, po każdym pchnięciu dwa koła unosiły się coraz wyżej w powietrze, a następnie z hukiem uderzały o jezdnię, aż w końcu auto położyło się na boku przy akompaniamencie wrzasków, śmiechu i klaksonu wzywającego ich, by zeszli z drogi. Meyerson włączył syrenę.

- Patrzcie go! - krzyknął ktoś.

Po krótkim czasie karetka stała się wyspą w morzu ludzi. Pięści zaczęły walić w boki pojazdu. Meyerson zasunął szybę.

- Zabiją nas.

Ambulans zaczął się niebezpiecznie kołysać.

Spurgeon odblokował drzwi i napał na nie barkiem, wyrzucając kogoś w powietrze. Wysiadł z auta, wspiął się na maskę i stanął plecami do siedzących w środku kolegów.

- Jestem waszym bratem! - krzyknął w stronę obcych twarzy.

- A oni to kto? Może kuzyni? - odkrzyknął ktoś, wzbudzając salwę śmiechu.

- Jesteśmy lekarzami i jedziemy po rannego człowieka. On potrzebuje naszej pomocy, a wy nie pozwalacie nam mu jej udzielić.

- Czy to brat?

- Tak, do jasnej cholery, to brat!

- Przepuścimy ich!

- Tak, do diabła, przepuścimy!

- Lekarze jadą na pomoc naszemu bratu! - przekazywano sobie z ust do ust.

Spur usiadł na masce. Dziewięć lat ostrej nauki po to tylko, żeby zostać figurką na chłodnicy. Meyerson skierował na niego reflektor. Karetka wolno ruszyła, tłum rozstępował się przed nią, jakby Spurgeon był Mojżeszem, a oni morzem.

Wkrótce droga była wolna.

Meyerson dopiero po kilku przecznicach zatrzymał się, żeby Spurgeon mógł wsiąść.

Odnaleźli bar. Zraniony mężczyzna leżał na podłodze, spodnie przesiąknięte miał ciemnoczerwoną krwią. Po sprawcy nie było już oczywiście śladu, broń zniknęła, naoczni świadkowie utrzymywali, że niczego nie widzieli.

Spurgeon rozciął spodnie i slipy.

- Kula przeszła na wylot przez mięsień pośladkowy - stwierdził po chwili.

- Jesteś pewien, że przeszła, a nie została w ranie? - spytał Adam.

Robinson dotknął rany i pokiwał głową, mężczyzna szarpnął się i jęknął. Ostrożnie ułożyli pacjenta na noszach. Naturalnie na brzuchu.

- To coś poważnego? - wydusił z siebie mężczyzna.

- Nie - odparł Spurgeon.

- Dostałeś, kolego, kulkę w zadek - uświadomił go Meyerson, po czym uniósł nosze, stękając przy tym z wysiłku.

W karetce Adam podał pacjentowi tlen, a Spurgeon usiadł obok Meyersona. Maish nie włączył syreny. Kilka minut później Spurgeon zdał sobie sprawę, że zbliżają się do „granicznego” terytorium północnego Dorchesteru, nieszczególnie bezpiecznej okolicy, w której czarna ludność zaczynała przejmować ulice zamieszkiwane dotychczas przez białych.

- Jedziesz dookoła - zwrócił Meyersonowi uwagę.

- To najkrótsza droga z Roxbury - odparł Meyerson, skręcił w najbliższą przecznicę i natychmiast zatrzymał się z piskiem hamulców.

- A to co znowu, do diabła?

Jedną połowę ulicy blokował samochód z otwartymi drzwiami. Druga połowa była równie nieprzejezdna, albowiem dwóch mniej więcej szesnastoletnich chłopaków - jeden czarny, drugi biały - stało na niej twarzą w twarz i okładało się pięściami na oślep i bez opamiętania.

Meyerson zatrąbił, później włączył syrenę, lecz chłopcy, niepomni na nic oprócz wroga, bili się dalej. Nie było w tej walce ani odrobiny piękna. Po prostu tłukli się najmocniej, jak potrafili. Trudno było określić, jak długo trwa ta bijatyka. Biały miał opuchnięte lewe oko, czarny krwawił z nosa i szlochał nerwowo.

Meyerson westchnął.

- Musimy rozdzielić tych głupich gówniarzy albo przestawić tę brykę - powiedział.

Wszyscy trzej wysiedli z karetki.

- Tylko uważajcie, żeby was któryś nie wypunktował - ostrzegł Meyerson.

- Teraz - rzucił Adam, kiedy chłopcy zwarli się i zaczęli mocować.

Zadanie okazało się zadziwiająco łatwe. Stawiali wprawdzie opór, aczkolwiek chyba tylko po to, aby uspokoić sumienie. Niewątpliwie czuli ulgę, że walka została przerwana. Spurgeon chwycił od tyłu białego chłopaka.

- To twoje auto? - spytał. Smarkacz pokręcił głową.

- Jego. - Wskazał drugiego koguta.

Dopiero teraz Spurgeon zauważył, że Adam trzyma czarnego chłopca za ręce, a blade dłonie Meyersona zaciśnięte na czarnych kręconych włosach, podobnych do włosów Dorothy, odchylają jego głowę do tyłu.

- To chyba nie jest konieczne - odezwał się ostro. Biały chłopak stęknął. Spur spuścił wzrok i ujrzał własne znajome palce wbijające się mocno w piegowatą skórę. Zdumiony puścił dzieciaka, a ten odszedł jak uwolnione zwierzę, siląc się na sztuczną nonszalancję.

Kiedy wsiadali z powrotem do karetki, Murzyn odjechał z piskiem opon.

Spurgeon po raz kolejny poczuł się jak starzec płaczący na ławce.

- No to się opowiedzieliśmy - odezwał się do Adama.

- To znaczy?

- Ja czym prędzej dopadłem tego białego gówniarza, z kolei wy dwaj rzuciliście się bohatersko na czarnego.

- Nie bądź dupkiem, Spur, dobra? Daj sobie spokój z tą paranoją.

W drodze do szpitala ranny mężczyzna od czasu do czasu pojękiwał z bólu, za to wszyscy pozostali milczeli jak zakłęci.

W pomocy doraźnej opatrywano właśnie trzech gliniarzy, którzy oberwali kamieniami, poza tym wszakże brak było jakichkolwiek oznak zapowiadanej ogólnej rzezi. Jakiś czas później wysłano ich z powrotem do Roxbury, tym razem po stolarza, który pokroił sobie rękę na pile tarczowej, tnąc deski, by zasłonić okno wystawowe. Dwadzieścia po dziewiątej wyjechali ponownie po mężczyznę, który spadł z drabiny, malując sufit w mieszkaniu.

Następne wezwanie pochodziło z osiedla w South End. Obok dużego pluskającego basenu czekał na nich chłopak, mniej więcej w tym samym wieku co smarkacze, których rozdzielili na ulicy, bardzo jednak wychudzony i ubrany w brudną białą kurtkę.

- Tędy, panowie - powiedział wchodząc w mrok.

- Zaprowadzę was. Wygląda na to, że niedobrze z nim.

- Bierzemy nosze? - spytał Spurgeon.

- Hej - zawołał Adam w stronę chłopaka. - Które to piętro?

- Czwarte.

- Jest winda?

- Zepsuta.

- Do diabła - mruknął Meyerson.

- Zostań tutaj - polecił Silverstone, sięgając po torbę.

- To za daleko, żeby targać nosze, jeśli miałyby się okazać, że nie będą nam potrzebne. Doktor Robinson i ja zbadamy go, a w razie konieczności któryś z nas zejdzie i pomoże ci je wtaszczyć.

Osiedle okazało się rzędem betonowych pudełek. Budynek numer 11 znajdował się tuż obok basenu; nie był stary, lecz wyglądał jak slums. Graffiti i anatomicznie nieprawdopodobne rysunki pokrywały dokładnie ściany parteru, na wyższych piętrach zasłonił je gęsty mrok, ponieważ wszystkie żarówki były albo poprzepalane, albo skradzione. Na drugim piętrze do owej ciemności doszedł smród starych śmieci i czegoś jeszcze gorszego.

Spurgeon usłyszał, jak Adam wstrzymuje oddech.

- Numer mieszkania? - spytał.

- Niech panowie idą za mną.

Z góry dobiegał wściekły kawałek Little Richarda, dzikie konie galopujące w rytm brzmienia Motown. Na czwartym piętrze młodziak poszedł korytarzem do drzwi, zza których dobiegała muzyka. Mieszkanie D. Załomotał i w środku zapadła cisza.

- Otwórz. To ja.

- Są z tobą?

- Tak. Dwóch lekarzy.

Drzwi otworzyły się, chłopak w białej kurtce wszedł do środka, zaraz za nim Adam. Przechodząc przez próg Spurgeon usłyszał jego ostrzegawczy krzyk:

- Uciekaj, Spur! szyb...

Lecz było już za późno. Rozległ się trzask zamykanych drzwi. W świetle pojedynczej żarówki Spur zobaczył czterech mężczyzn. Nie, pięciu, gdyż w tym momencie jeszcze jeden wyłonił się z mroku. Trzech białych i dwóch czarnych, nie licząc chłopca.

Jednego rozpoznał, chudego mężczyznę z zuluskimi włosami i cienkim wąsikiem, który trzymał kuchenny nóż, bardzo wąski od wielokrotnego ostrzenia.

- Cześć, Speed - powiedział. Nightingale uśmiechnął się.

- Włóż, doktorku - zaprosił go. Weszli do pokoju.

- Nie miałem pojęcia, że to będziesz ty, kudłacz. Nie róbmy sobie kłopotów. Chcemy

tylko torby twojego kumpla.

- Co za bezsens - stwierdził Spurgeon. - Mieć taki talent i tak idiotycznie się marnować.

Speed wzruszył ramionami, lecz uśmiechnął się, traktując to jako komplement.

- Mamy paru gości w kiepskim stanie. Muszą dostać działkę, i to szybko. Zresztą, ja sam też piekielnie długo chodzę na głodzie.

- Oddaj im torbę, Adamie - powiedział Spurgeon. Jednakże Adam podszedł do okna.

- Nie rób głupstw. Daj im tę cholerną torbę. - Spur z przerażeniem spostrzegł, że Adam spogląda w stronę basenu. - Aż tak dobrze nikt nie skacze - powiedział.

Ktoś się roześmiał.

- Spróbuj na deskę - dobiegł z mroku drwiący głos.

- To brodzik, psze pana - odezwał się dzieciak. Speed podszedł do Adama i odebrał mu torbę.

- Skończyliście już tę zgrywę? - spytał zyczliwie, wręczając torbę Spurgeonowi. - To teraz znajdź dla nas odpowiedni towar, doktorku.

Spur otworzył torbę, znalazł buteleczkę ipecacu i wręczył ją Nightingale'owi. Ten szybko odkręcił nakrętkę, wsunął do środka koniec języka, po czym splunął.

- Co to? - spytał jeden z mężczyzn.

- Przypuszczalnie coś, po czym mieliśmy się zrzygać.

- Spojrzał na Spurgeona, tym razem bez cienia uśmiechu, i ruszył w jego stronę.

Adam tymczasem już się kołysał, gotowy do walki.

Spurgeon próbował zadać cios, lecz był jeszcze gorszym bokserem niż tamci dwaj smarkacze na ulicy. Czyjeś ręce chwyciły go za ramiona, a jego ogarnęło niezwykle głębokie uczucie deja vu. Kiedy wielka czarna pięść zmierzała w jego stronę, świat zatoczył pełny okrąg, a on znowu miał czternaście lat i razem z kolegami - Tommym White'em oraz Fatssem McKenną - dawał wycisk pijakowi w ciemnej bramie przy Siedemnastej Zachodniej. Było jasne, że mężczyzna, który obecnie występował w roli Fatsa, wykona swoje zadanie bardzo skutecznie. Spur przekonał się o tym, gdy ogromna pięść wbiła się w jego brzuch z taką siłą, że nie był w stanie złapać oddechu. Coś uderzyło go w bok głowy, a reszty właściwie już nie czuł. Jak we śnie widział mężczyznę, którym sam mógłby się stać, gdyby nie łaska Boga oraz Calvina. Facet klęczał na podłodze i grzebał w torbie Adama, a w końcu wyrzucił na podłogę całą jej zawartość.

- Znalazłeś? - spytał jakiś głos.

Spurgeon nie zdążył usłyszeć, czy Speed Nightingale znalazł to, czego szukał. Ktoś

opuścił igłę gramofonu na płytę Little Richarda i tabun dzikich koni ponownie ruszył przed siebie traktując wszystko, także Spura.

Dwa razy odzyskiwał przytomność. Kiedy za pierwszym razem otworzył oczy, ujrzał Meyersona.

- Sam nie wiem - mówił Maish. - Coraz trudniej zdobyć te blankiety. Chyba będę musiał podnieść cenę. Sześć doków za receptę to chyba nie jest zbyt wiele.

- Nie będziemy się targować, facet - odrzekł Speed. - Tylko jak najszybciej dostarcz towar.

- Przez to, że obrobiliście tych dwóch gości, możecie wszystko skopać.

- Nimi się nie przejmuj, facet - odparł tamten pogardliwie.

Spur bardzo chciał się dowiedzieć, co z tego wszystkiego wyniknie, kiedy więc głosy zaczęły się oddalać, ogarnął go wściekły żal.

Twarz, którą ujrzał za drugim razem, była wielka, ohydna i z całą pewnością należała do Irlandczyka.

- Bambusowi nic nie będzie - odezwała się.

- Temu drugiemu też - odrzekł inny głos. - Choć wygląda mi na to, że ucierpiało jego poczucie godności.

Kiedy Spur usiadł, najpierw zwymiotował, później zobaczył, że w mieszkaniu jest dwóch policjantów.

- Nic ci nie jest, Adamie? - spytał słabo, czując potworny ból głowy.

- Nic. A tobie, Spur?

- Będę żył.

Speeda i jego kumpli już zabrano.

- Ale kto was wezwał? - spytał Adam.

- Ten wasz kierowca. Prosił, żeby wam przekazać, że kluczyki są pod siedzeniem.

Policjanci odwieźli ich do szpitala. W holu Spurgeon odwrócił się, żeby im podziękować, kiedy wszakże usłyszał własny głos, był nie mniej zdumiony niż oni.

- I nigdy więcej nie waż się nazywać mnie bambusem, ty tłusta świnię - powiedział.

Obudził się późno, sztywny i obolały, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że o czymś zapomniał.

O rozruchach.

Z radia dowiedział się jednak, że zamieszek z prawdziwego zdarzenia nie było. Żadnego Newark, Detroit, żadnej strzelaniny. Podpalono kilka sklepów, parę innych zdemolowano i na tym się skończyło. Korzystając z tego, że w mieście jest akurat Jimmy

Brown, burmistrz poprosił go o poprowadzenie całodziennej relacji w telewizji. W ten sposób ludzie, którzy zamierzali wyjść na ulicę, palić i demolować, siedzieli w domu i oglądali Jimmy'ego. Pozostali dyskutowali, jak ochłodzić nastroje.

Siedział pod prysznicem przez prawie godzinę i właśnie ostrożnie się wycierał, kiedy zadzwonił telefon.

Policja zatrzymała Meyersona. Wyznaczono kaucję. Dwieście dolarów. Potrzebował dziesięciu procent sumy.

- Niedługo przyjadę - obiecał Spurgeon.

Na posterunku policji przy Berkeley Street wpłacił pieniądze i odebrał pokwitowanie.

- Wyglądasz na zmęczonego - powitał Maisha.

- Parszywe materace.

Był ciepły słoneczny poranek, w powietrzu czuć było pierwszy powiew wiosny. W krępującym milczeniu doszli do placu Park Square.

- Dzięki, że wezwałeś gliny - odezwał się Spurgeon.

- Facet, przecież nie zrobiłem tego ze względu na was. Gdyby was zakatrupili, poszedłbym siedzieć za współudział.

Na to Spurgeon wcześniej nie wpadł.

- Dostaniesz swoje dwadzieścia dolarów z powrotem - rzekł Maish po dłuższej chwili.

- Nie śpieszy się.

- Miałem w pokoju trochę zaoszczędzonej gotówki na czarną godzinę. Kiedy wieczorem zakradłem się po nią, już na mnie czekali. Ale odeślę ci z nawiązką.

- Planujesz uciec, prawda?

- Jest jeszcze coś, co zdarzyło się wiele lat temu. Tym razem poszedłbym siedzieć.

Spurgeon pokiwał głową.

- Co za filozof - powiedział ze smutkiem.

- Mówiłem ci, że jestem wyrzutkiem. A tobie, gdybyś był prawdziwym czarnuchem, coś takiego nie przeszłoby przez gardło.

Dotąd szli Boylston Street w stronę Tremont, teraz stanęli i wpatrywali się w siebie. Jakiś brodaty bosy prorok zbliżył się do nich i oświadczył, że jeśli nie dadzą mu dolara, nie zje śniadania.

- Głoduj, ówoku - warknął Meyerson i chłopak natychmiast odszedł.

- Ty nie masz pojęcia, co to znaczy chcieć czegoś tak bardzo, że człowiek gotów jest na wszystko, byleby tylko to zdobyć - stwierdził Maish. - Ty jesteś biały shvartzeh i dlatego nie potrafisz rozumieć czarnych. A przez to jesteś równie zły jak my, biali, których to

wszystko nic nie obchodzi, bo myślimy tylko o własnych tyłkach. Może nawet jesteś od nas gorszy.

Nie jestem, pomyślał Spurgeon. Ani ja, ani nikt inny.

- Nie wszyscy są tacy jak ty, Meyerson! - krzyknął.

- Nie wszyscy!

Ale Maish był już daleko.

Jakaś staruszka o niebieskosiwych włosach posłała mu anglosaksońskie spojrzenie, twarde jak skała.

- Hipisi - mruknęła kręcąc głową.

Wbrew własnej woli skierował się do getta.

Wiało z południa i zanim jeszcze przekroczył granicę, przez okna samochodu poczuł lekki gorzkawy zapach spalenizny. A więc nie wszyscy zostali w domu, nie wszyscy mieli ochotę oglądać Jimmy'ego Browna.

Jechał bardzo wolno.

W świetle dziennym deski, którymi pozabijano okna, wyglądały żałośnie rachitycznie. Niektóre zostały pozrywane. Metalową furtę w sklepie monopolowym zdjęto z zawiasów, okno wystawowe rozbito, wewnątrz widać było ogołoczone półki i pobojuwisko na podłodze. Napis na drzwiach - BRAT

- został przekreślony wielkim iksem i zastąpiony innym: PRZEKŁĘTY KŁAMCA.

Pierwszy pożar Spur zauważył niedaleko Aces High. Kamienica czynszowa, podpalona zapewne przez kogoś, kto miał już dosyć szczurów i karaluchów.

Na drugi natknął się niecałą milę dalej i właściwie nie był to już pożar, a pogorzeliśko. Kilku strażaków bawiło się dwiema sikawkami, polewając pole przegranej bitwy. Po budynku zostały jedynie poczerniałe ceglane fundamenty i parę zwęglonych krokwi.

Zaparkował auto i podszedł do ruin.

- Co to było? - spytał jednego ze strażaków.

Facet posłał mu lodowate spojrzenie, lecz nie odezwał się ani słowem. Punkt dla Maisha, pomyślał Spurgeon.

- Sklep meblowy - poinformował go inny strażak.

- Dzięki.

Przykucnął, przez dłuższą chwilę przyglądał się dymiącym szczątkom, później wstał i ruszył przed siebie.

Dalej było tak samo. Na każdej ulicy sklepy zabarykadowane w obawie przed siejącą spustoszenie trąbą powietrzną. Większość nie zabarykadowanych sklepów była opuszczona.

Na jednym Spur ujrzał napis, który trochę go rozbawił: PIERWSZA POMOC. Drzwi były otwarte, wszedł więc do środka i uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy. To wcale nie był żart. W kartonach po środkach opatrunkowych leżały sterty brudnych bandaży, bynajmniej nie aseptycznych, lecz zrobionych na poczekaniu ze starych koszul i fartuchów przez czarne mieszkanki kamienic. Był to zapewne element większego planu przygotowanego przez Napoleona Czarnych Panter, zapewne jakiegoś uczestnika wojny w Wietnamie.

Zastanawiał się, czy mają antybiotyki, krwiodawców, fachowców i doszedł do smutnego wniosku, że jest raczej mało prawdopodobne, by dysponowali czymś więcej niż kilkoma pustymi sklepami, ukrytą bronią, bandażami domowej roboty i głębokim przekonaniem, że dość już tego czekania.

Sklep był bardzo przestronny.

I znajdował się w samym centrum czarnej dzielnicy.

Spur przypomniał sobie, jak Gertrudę Soames, dziwka o farbowanych na rudo włosach, wypisała się ze szpitala z marskością wątroby, ponieważ nie ufała białym dłoniom uciskającym ją i zadającym ból ani oczom białego lekarza, który - była o tym głęboko przekonana - zupełnie nie przejmował się jej losem.

Pomyślał o Thomasie Catlettcie Juniorze, którego maleńką pupkę klepnął w stojącym na moście ambulansie, o jego osmiorgu rodzeństwa i bezrobotnym ojcu, który z kolei z całą pewnością zdążył już zasiać w sflaczałym łonie Marthy Hendricks Catlett kolejną porcję nasienia, jako że za orgazm nie musiał płacić, a nikt ich nie nauczył, jak się kochać, żeby uniknąć poczęcia.

Zastanawiał się, czy to w ogóle możliwe, by do ludzi w rodzaju Speeda Nightingale'a dotarł ktoś, kto spróbuje pomóc im wyrwać się ze szponów nałogu.

Autor napisu nad wejściem porzrzucał drobne kawałki pokruszonej kredy. Spur podniósł jeden i zaczął się bawić, rysując na zapiaszczonej podłodze ściany, dzieląc pomieszczenie na poczekalnię, tuż przy drzwiach, rejestrację, gabinet lekarski, salę operacyjną, rentgen w kącie oraz ciemnię, którą postanowił umieścić w ubikacji, gdzie ściany upstrzone były gęstymi pajęczynami i trzema martwymi ćmami.

Później znowu kucnął i wpatrywał się w białe linie na brudnej podłodze pustego sklepu.

Tego popołudnia kręcił się po oddziale chirurgicznym tak długo, aż w końcu zauważył znajomego farmaceutę.

Farmaceuta nazywał się Horowitz, był miłym człowiekiem i znał się na rzeczy dość dobrze, by wiedzieć, że w ciągu zaledwie paru lat młodzi stażyści mogą stać się ważnymi

klientami. Siedział nad filiżanką kawy u Maxiego i słuchał.

- To wcale nie jest takie szalone - stwierdził. - Kiedy w 1923 Frank Lahey otwierał swoją klinikę, zatrudniał tylko jedną pielęgniarkę. - Zmarszczył brwi i zaczął notować jakieś liczby na serwetce. - Chyba mógłbym ci załatwić parę rzeczy za darmo, bo przemysł farmaceutyczny popiera tego typu inicjatywy. Zapas lekarstw, środków opatrunkowych. Część wyposażenia mógłbyś kupić za grosze z drugiej ręki. Rentgen nie byłby ci potrzebny, mógłbyś przecież wysyłać pacjentów do szpitala...

- Nie, rentgen byłby konieczny - sprzeciwił się Spurgeon. - Cała idea zasadza się na tym, żeby to była klinika, do której czarni chcieliby przychodzić, którą obdarzyliby pełnym zaufaniem i uważali za swoją. A przecież ci ludzie chorują na gruźlicę, rozedmę i inne choroby układu oddechowego. Do licha, przecież oni oddychają zatrutym powietrzem centrum miasta. Rentgen byłby niezbędny.

Horowitz wzruszył ramionami.

- OK, niech będzie rentgen. Do poczekalni można by wstawić używane meble. Wiesz, składane krzesła, jakieś stare drewniane biurko i tym podobne.

- Pewnie.

- Potrzebny byłby stół do badań, stół operacyjny. Narzędzia chirurgiczne, autoklaw do sterylizacji. Lampy, EKG. Aparat do diatermii. Kilka stetoskopów, otoskop, mikroskop i oftalmoskop. Ciemnia plus wyposażenie. I pewnie jeszcze parę drobiazgów, które w tej chwili nie przyszły mi do głowy.

- Ile to w sumie może kosztować? Horowitz ponownie wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Zależy, ile z tego udałoby ci się dostać z drugiej ręki, a ile musiałbyś kupić w sklepie.

- Zapomnij o używanym sprzęcie. Ci ludzie nie mieli w życiu nic pierwszej jakości. Stare krzesła w porządku, niech będą, ale sprzęt ma być nowy.

Horowitz liczył przez dłuższą chwilę.

- Jakieś dziewięć kawałków - oznajmił, odłożywszy długopis.

- Aha.

- Musiałbyś też mieć trochę gotówki, żeby po otwarciu jakoś przetrwać. Część twoich pacjentów będzie pewnie ubezpieczona, ale zdecydowana większość nie. Być może niektórych byłoby stać na jakieś niewielkie opłaty, choć na pewno nie wszystkich.

- Do tego dochodzi czynsz, rachunki za prąd i tym podobne - dodał Spurgeon. - Jak myślisz, dwanaście tysięcy wystarczy na pierwszy rok?

- Moim zdaniem to rozsądna kwota - odparł Horowitz.

- Jeśli będę mógł ci jakoś pomóc, daj znać.

- Dobra. Dzięki.

Po jego odejściu Spur wypił drugą kawę, potem trzecią. W końcu zapłacił i poprosił Maxiego, żeby mu rozmienił dolara na drobne. Kiedy wybierał numer, mruczał pod nosem, lecz żołądek miał ściśnięty ze zdenerwowania.

Wszystko szło jak po maśle, aż do momentu kiedy stanął przed ostatnim bastionem - sekretarką o lodowatym głosie, która miała za zadanie chronić Calvina Priesta przed śmiertelnikami.

- Pan Priest ma teraz gościa, doktorze Robinson - oświadczyła tonem, który zawsze wydawał się zniecierpliwiony. - Czy to bardzo ważne?

- No... nie - odparł i natychmiast poczuł do siebie odrazę. - Tak, właściwie to bardzo ważne. Proszę mu powiedzieć, że dzwoni syn i potrzebuje jego pomocy.

- Dobrze, proszę pana, powiem. Zaczeka pan czy mam poprosić pana Priesta, żeby do pana oddzwonił?

- Zaczekam. Na ojca zaczekam.

Następnego dnia zawiózł Dorothy do getta, żeby pokazać jej pusty sklep. Miał za sobą nieprzespaną noc, która upłynęła mu na zmaganiach z ogarniającymi go wątpliwościami. Nie wszystkie udało mu się rozwiać za pomocą logicznych argumentów. Zarówno ulica, jak i sam sklep wyglądały teraz bardziej ponuro niż poprzednio. Ktoś kredą narysował na chodniku kilka rysunków przedstawiających parę kopulującą w różnych pozycjach, a może nie była to jedna para, tylko cała chodnikowa orgia? Artysta zostawił kredę na ziemi i teraz dwie dziewczynki, ignorując bachanalia, grały zapamiętałe w klasy. Wnętrze sklepu wydało się Spurgeonowi mniej przestronne i zdecydowanie brudniejsze.

Dorothy słuchała go i patrzyła na białe linie na podłodze.

- To przedsięwzięcie na lata - rzekła w końcu.

- No... tak.

- Na szybko nie da się tego zrobić - kontynuowała.

- To pewne.

Zapadła cisza, w czasie której przyglądali się sobie w zamyśleniu. Spurgeon wiedział, że Dorothy zegna się z marzeniem o Hawajach i beztroskich wnukach o skośnych oczach.

- Obiecałem wplatać ci we włosy czerwony uroczyn - wyrzucił sobie Spurgeon.

- Ach, Spurgeon - odparła. - I tak nie wiem, jak on wygląda.

Zaczęła się śmiać. Po chwili Spur także się roześmiał. Kochał ją całą duszą.

- Boisz się? - spytała.

- Tak. A ty?

- Jak diabli.

Spur przytulił ją, zamknął oczy i zanurzył twarz w czarnych wełnistych włosach. Dziewczynki obserwowały ich przez okno.

Kiedy skończyli się całować, poszedł do Ace High i pożyczył od barmana miotłę, którą Dorothy zamiotła podłogę. Później on usuwał z ciemni pajęczyny i martwe ćmy, Dorothy zaś chusteczką do nosa zmyła kopulujące na chodniku postacie, po czym dała dziewczynkom lekcję rysunków. Zanim Spur wyszedł na zewnątrz, słońce zdążyło wysuszyć betonowy chodnik, pokryty teraz kredowymi liliami niczym rabata.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.

Adam Silverstone.

W kwietniu Gaby ogarnęło wrażenie, że jej biologiczny zegar trzeba by troszeczkę nakręcić. Wspinając się na wzgórze dostawała zadyszki, nie miała ochoty kochać się tak często jak dotychczas, prawie każdego popołudnia ucinała sobie długą drzemkę. Rok wcześniej ze strachu nie mogłaby zapewne spać i natychmiast popędziłyby do lekarza. Teraz powtarzała sobie zdecydowanie, że to wszystko już za nią, że nie jest już hipochondryczką.

Była przekonana, że po prostu jest osłabiona po zimie, że to wiosenne zmęczenie. Nie wspominała o tym ani Adamowi, ani młodemu psychiatrze z Beth Israel, który rozmawiał z nią raz w tygodniu i obecnie słuchał ciekawej opowieści o małżeństwie jej rodziców, zadając od czasu do czasu pytania sennym, niemal obojętnym głosem. Bywało, że odpowiedź na jedno pytanie trwała kilka tygodni i zadawała potworny ból przebijając się przez zabliźnioną tkankę, o której istnieniu Gaby nie miała dotąd pojęcia. Miejsce słabnącej nienawiści do rodziców zajmowało coraz silniejsze uczucie litości. Zrezygnowała z części lekcji i czekała, aż cieplejsza aura ożywi publiczne parki i maleńkie prywatne ogródki na wzgórzu, aż doda zielonej siły krzewom, kwiatom i jej samej. W mieszkaniu tymczasem awokado zaczynało żółknąć, karmiła je więc nawozem i zamartwiała się o nie. Któregoś dnia ścieląc łóżko uderzyła się w łydkę. Natychmiast zrobił się jej wielki siniak, który nie chciał zejść pomimo okładów z zimnej śmietany.

- Nic ci nie jest? - spytał Adam któregoś ranka.

- A czy słyszałeś, żebym się skarżyła?

- Nie.

- Oczywiście, że nic mi nie jest. A tobie?

- Chyba nigdy w życiu nie czułem się lepiej.

- To świetnie, kochanie - powiedziała z dumą. Kiedy jednak okres nie przyszedł na czas, pojęła z przerażającą pewnością, co tak naprawdę jej dolega.

Przeklęte pigułki musiały jakimś cudem zawieść i wpadli.

Pomimo ogólnego zmęczenia nie była w stanie zasnąć, a rano, choć tak bardzo chciała tego uniknąć, zadzwoniła do przychodni studenckiej i umówiła się na wizytę.

Lekarz nazywał się Williams. Był siwy, miał duży brzuch, a w kieszeni fartucha zawsze nosił dwa cygara.

Przyszło jej do głowy, że bardziej przypomina ojca niż jej własny ojciec. Dlatego też, kiedy spytał, co jej dolega, odpowiedziała w miarę spokojnie, że podejrzewa, iż zaszła w ciążę.

Przepracował jako lekarz studencki bite dziewiętnaście lat, wcześniej przez sześć lat był lekarzem w prywatnej szkole średniej dla dziewcząt. Wprawdzie przez ćwierć wieku nie nauczył się przyjmować tej wiadomości bez współczucia, ale zdążył przynajmniej trochę się do niej przyzwyczaić.

- No cóż, zaraz to sprawdzimy - stwierdził.

Po dwóch minutach, w czasie których kropelka jej moczu zmieszana z kroplą surowicy odpornościowej, a później dwiema kroplami antygeny aglutynowała się na szkiełku, mógł ją zapewnić, że nie będzie matką.

- A co z okresem?

- Czasami bywa z nim tak jak z opóźnionym pociągiem. Zaczekaj trochę, moje dziecko, a na pewno w końcu się zjawi.

Uśmiechnęła się, ogarnięta głupim uczuciem ulgi, i zaczęła się zbierać do wyjścia, on jednak zatrzymał ją ruchem ręki.

- A dokąd to się tak śpieszymy?

- Doktorze - odparła. - Jest mi strasznie głupio. Jestem jedną z tych idiotek, które wy, lekarze, nazywacie przewrażliwionymi pacjentkami. Myślałam, że mam to już za sobą, ale wygląda na to, że się pomyliłam.

Doktor Williams zawahał się. W przeszłości odwiedzała go wielokrotnie i dobrze wiedział, że to, co mówi, to prawda. Jej teczka, leżąca przed nim na biurku, pełna była raportów dotyczących urojonych chorób, sięgających sześciu lat wstecz, kiedy zaczęła uczęszczać do college'u.

- Powiedz mi, moje dziecko, jak się ostatnio czułaś? Myślę, że skoro już tu przyszałaś, możemy ci zrobić serię badań.

- A więc - spytała prawie godzinę później - czy mogę teraz iść do psychiatry i przyznać się, że znowu to zrobiłam?

- Nie - odparł. - Nie możesz. Czujesz się zmęczona, ponieważ cierpisz na anemię.

Ogarnęło ją delikatne uczucie triumfu, albowiem wyglądało na to, że wcale nie jest głupią neurotyczką.

- Co mam robić? Jeść dużo surowej wątroby?

- Chciałbym zrobić ci jeszcze jedno badanie - odrzekł, wręczając jej krótki biały fartuch.

- Muszę się rozebrać?

- Tak, proszę.

Wezwał pielęgniarkę i po chwili Gaby poczuła zimny pocałunek wacika nasączonego alkoholem, a następnie ukłucie igły.

- To już? - spytała.

- Nawet jeszcze nie zacząłem - odparł, a pielęgniarka cicho się roześmiała. - Na razie podaliśmy ci nowokainę.

- Dlaczego? Czy to będzie bolało?

- Muszę pobrać próbkę szpiku kostnego. To niezbyt przyjemne.

Kiedy to robił, stęknęła, w jej oczach pojawiły się łzy.

- Grzeczna dziewczynka. - Zalepił ranę plastrem. - Proszę przyjść za jakąś godzinę. - dodał spokojnie.

Chodziła po sklepach, oglądała meble, lecz nie znalazła nic, co by się jej podobało, wreszcie kupiła kartkę urodzinową dla matki.

Kiedy wróciła do gabinetu, doktor Williams był bardzo zajęty przeglądaniem jakichś dokumentów.

- Witam. Będę musiał umówić cię na serię transfuzji.

- Transfuzji?

- Anemia, na jaką cierpisz, to anemia aplastyczna. Orientujesz się, co to takiego?

Gaby zacisnęła dłonie złożone na podołku.

- Nie.

- Szpik twoich kości z jakichś powodów przestał produkować wystarczającą ilość krwinek i zaczął się stłuszczać. Dlatego potrzebne będą transfuzje.

Przez chwilę się zastanawiała.

- Ale jeśli organizm nie produkuje wystarczającej ilości krwinek...

- Trzeba mu je dostarczać z zewnątrz. Czują, jak sztywnieje jej język.

- Czy to choroba śmiertelna?

- Czasami.

- Jak długo można żyć w stanie takim, jak mój?

- Och... całe lata.

- Ile lat?

- Tego nie potrafię przewidzieć. Przede wszystkim musimy zrobić wszystko, żebyś przeżyła pierwsze sześć miesięcy. Później jest to już na ogół łatwiejsze.

- A ci, którzy umierają... Czy większość z nich umiera właśnie w pierwszych sześciu

miesiącach?

Spojrzał na nią z rozdrażnieniem.

- Drogie dziecko, w takich sytuacjach trzeba zawsze szukać pozytywnych aspektów. U wielu, wielu osób anemia aplastyczna przemija nie pozostawiając żadnych śladów. Nie widzę powodu, dla którego nie miałabyś być jedną z nich.

- Jaki odsetek zdrowieje? - spytała świadoma, że nie ułatwia mu zadania. Nic jej to jednak nie obchodziło.

- Dziesięć procent.

- Aha.

Dobry Boże, pomyślała.

Po powrocie do domu siedziała nie włączając żadnej lampy, chociaż pojedyncze okno nie wpuszczało dość światła, by można było przy nim czytać.

Nikt nie pukał do drzwi. Nikt nie telefonował. Po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że niewielka plama światła dziennego, która co popołudnie padała na awokado, zniknęła. Przyjrzała się uważnie żółknącej roślinie, przez chwilę rozważała, czy nie dać jej więcej nawozu albo wody, w końcu jednak postanowiła tego nie robić. Przyszło jej do głowy, że na tym właśnie polega cały problem: naszpikowała roślinę nadmierną ilością wody i nawozu i teraz pewnie młode korzenie gniją w zbyt wilgotnej ziemi.

Niedługo potem zobaczyła zbliżającą się do wejścia panią Kroi. Chwyliła awokado i wybiegła kobiecie na spotkanie.

- Proszę - rzekła. Bertha Kroi spojrzała na nią.

- Niech się nim pani zajmuje. Może u pani będzie rosło. Musi stać w słońcu. Rozumie pani?

Bertha Kroi nie dała żadnego znaku, że zrozumiała ani też że nie zrozumiała. Po prostu patrzyła. Gaby wróciła z powrotem.

Usiadła na sofie zastanawiając się, czemu właściwie oddała roślinę.

W końcu pojęła, że chociaż jeszcze przed chwilą wydawało się jej, że po prostu stara się jakoś przetrwać noc, to tak naprawdę kiedy Adam wróci o świcie do domu, jej już nie zastanie.

Spakowała tylko ubrania. Wszystko inne zostawiła. Zamknąwszy walizkę, napisała list, pośpiesznie, bojąc się, że jeśli zacznie zwlekać, nie zdobędzie się na to, by go napisać. Położyła go na sofie, na nim ustawiła wazon z papierowymi kwiatami, by mieć pewność, że Adam go znajdzie.

Nawet nie zauważyła, że wyjechała z miasta. Kiedy rozejrzała się wokół siebie, była

na drodze numer 128 i jechała w złą stronę, w kierunku New Hampshire. W stronę ojca? Nie, dziękuję, pomyślała. W Stoneham zawróciła i wcisnęła z całej siły pedał gazu. Ani bezlitosny gliniarz, który kiedyś w tych okolicach wlepił jej mandat, ani żaden jego kolega nie zmaterializował się tym razem, by ją powstrzymać, gdy próbowała przemienić swojego plymoutha w pocisk balistyczny, rozmyślając o wielkich betonowych filarach wiaduktów wznoszących się nad autostradą.

Widywała je w gazetach i w telewizji, nieruchome obiekty z resztkami samochodów i ludzi, o których od czasu do czasu się upominały. Lecz Gaby wiedziała, że jej życie jest zakłęte, że będzie powoli z niej uchodzić, że nie skończy się błyskiem światła ani nagłym grzmotem; ręce nie posłuchałyby jej nawet, gdyby zbliżając się do wiaduktu zdecydowała się lekko skręcić. Nieco później, na pełnym gazie wpadając i wypadając z gęstszego ruchu, na który natykała się na drodze numer 24, zrozumiała, jak głupio zrobiła oddając awokado Bercie Kroi. Było niemal pewne, że Bertha upije się, zacznie wrzeszczeć i wyrzuci roślinę przez okno. Czarna ziemia z supermarketu rozsypie się po Phillips Street razem z cuchnącymi odpadkami, a roślinka nigdy nie przeistoczy się w prawdziwe drzewko.

Kiedy się okazało, że drzwi są zamknięte na klucz, zapukał, a zaraz potem chrząknął ze zdziwieniem, spostrzegłszy, że poranna gazeta wciąż leży pod drzwiami. W mieszkaniu było ciemno, mimo to natychmiast zauważył list pod wazonem z papierowymi kwiatami.

Adamie.

Gdybym napisała, że było miło, obraziłabym i Ciebie, i siebie. Będę Cię pamiętać do końca życia. Umówiliśmy się przecież, że jeśli któreś z nas zechce odejść, może to zrobić. A ja niestety muszę odejść. Naprawdę muszę. Chciałam to zrobić już od pewnego czasu, tylko bałam się powiedzieć Ci to prosto w oczy. Nie myśl o mnie źle. Czasami mnie wspomnij. Życzę Ci wszystkiego najlepszego, Kochany Doktorze.

Gaby.

Usiadł na sofie, przeczytał list raz jeszcze, później zatelefonował do psychiatry w Beth Israel. Ten jednak nie był w stanie mu pomóc.

Zobaczył, jak niewiele ze sobą zabrała. Zostały wszystkie książki. Telewizor, gramofon, kwarcówka. Wszystko. Brakowało tylko ubrań i walizki.

Po chwili wykręcił numer Susan Haskell. Spytał, czy jest u niej Gaby.

- Nie.

- Jeśli się do ciebie odezwie, dasz mi znać?

Nastąpiła chwila ciszy.

- Raczej nie.

- Co to oznacza?

- Odeszła od ciebie, prawda? - Usłyszał triumf w jej głosie. - W przeciwnym razie byś nie zadzwonił. No cóż, jeśli się u mnie zjawi, ode mnie na pewno się o tym nie dowiesz.

Odłożyła słuchawkę, lecz nie miało to najmniejszego znaczenia. Gaby u niej nie było. Przez chwilę się zastanawiał, po czym raz jeszcze podniósł słuchawkę i zadzwonił na uczelnię.

Kiedy odezwał się głos telefonistki, poprosił o połączenie z przychodnią studencką.

Pożyczył volkswagena Spura i zanim jeszcze przejechał przez most Sagamore, zaczął się obawiać, co zobaczy, kiedy wysiądzie z auta. Kiedy minął Hyannis, docisnął pedał gazu do podłogi, pędząc tak samo jak przedtem ona. Było stanowczo zbyt wcześnie, by o tej porze roku na autostradzie mógł panować ruch, tylko od czasu do czasu mijał jakieś auto. W North Truro zjechał z drogi numer 6, ruszył wąską drogą tłuczniową, a potem, modląc się w duchu, skręcił w piaszczystą drogę prowadzącą na plażę.

Ze szczytu wzniesienia spostrzegł niebieskiego plymoutha zaparkowanego przy drzwiach.

Domek był otwarty, ale pusty. Adam ruszył ścieżką prowadzącą na klif. Z wysokiego brzegu widział białą plażę, ciągnącą się na wiele mil w obie strony, pokrytą różnorodnym śmieciem wyrzuconym przez zimowe sztormy. Po pasie piachu nie został nawet ślad. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy, tylko wzburzone białe grzywacze.

Czy to możliwe, że jest gdzieś tam, pod powierzchnią wody? Starał się zagłuszyć tę myśl.

Już zawracał, by wrócić do domku, kiedy zobaczył, że idzie powoli po klifie, jakieś ćwierć mili od niego. Osłabiony przez uczucie ulgi, puścił się za nią biegiem; zanim ją dogonił, wyczuła czyjąś obecność i odwróciła się.

- Cześć.

- Cześć, Adamie.

- Co się stało z łachą?

- Przesunęła się o jakieś ćwierć mili. W stronę Provincetown. Czasami po zimie tak się dzieje.

Ruszyła w kierunku chaty. Pomyślał, że latem będzie można tu zbierać borówki. Rośliny rozgniatane przez ich stopy roztaczały wokół charakterystyczną woń jagód.

- Och, Adamie, czy naprawdę musiałeś przyjechać? Trzeba było dać spokój sobie i mnie.

- Wejźmy do środka, usiądźmy i porozmawiajmy.

- Nie chcę wchodzić do środka.

- W takim razie wybierzemy się na przejażdżkę. Skierowali się do plymoutha. Adam otworzył dla niej drzwi od strony pasażera, sam zaś zajął miejsce za kierownicą.

Przez chwilę prowadził w milczeniu. Wjechał na autostradę i ruszył na północ.

- Rozmawiałem z doktorem Williamsem - odezwał się w końcu.

- Aha.

- Mam ci do powiedzenia kilka rzeczy. Chciałbym, żebyś uważnie mnie wysłuchała. - Ale nie miał pojęcia, co dalej, bo nigdy nie kochał żadnego z pacjentów, a nagle odkrył, że miłość liczy się nie tylko w łóżku, lecz także w rozważaniach nad widmem śmierci. Boże, modlił się ogarnięty nagłą paniką. Zmieniłem zdanie, od teraz będę myślał o każdym pacjencie jak o kimś, kogo kocham, tylko błagam, pomóż mi znaleźć odpowiednie słowa.

Gaby wyglądała przez okno.

- Czy gdybyś miała świadomość, że zginę w wypadku samochodowym, to odmówiłabyś mi tych drogocennych chwil, które mi zostały? - Nawet jemu wydało się to nieprzekonywające, dziwnie protekcyjne i nie mające związku z tym, co tak naprawdę starał się wyrazić. Widział, że jej oczy zrobiły się błyszczące, lecz nie pozwoliła sobie na płacz. - Doktor Williams powiedział mi, że próbowałeś przygwoździć go złymi przecuciami. Ale w twoim przypadku jest całkiem prawdopodobne, że dożyjesz późnej starości. Być może czeka nas pięćdziesiąt lat wspólnego życia.

- Albo tylko rok, Adamie? A kto wie, może nawet jeszcze mniej?

- Albo tylko rok. Zgadza się. Może został ci już tylko rok życia - rzekł cicho. - Ale, do diabła, Gaby, czy ty sobie nie zdajesz sprawy, co to dzisiaj oznacza? Stoimy na skraju złotego wieku. Już teraz możliwe jest wyjęcie serca z ciała jednego człowieka i przeszczepienie go do ciała innego. Tak samo jest z nerkami i rogówkami. A także z płucami i wątrobą. Prowadzone są prace nad niewielkim urządzeniem, które już wkrótce będzie w stanie zastąpić serce. W naszych czasach dla pacjenta każdy tydzień to bardzo wiele. W różnych zakątkach świata zespoły naukowców pracują nad każdym istotnym problemem, jaki jesteś w stanie sobie wyobrazić.

- Łącznie z anemią aplastyczną?

- Łącznie z anemią aplastyczną i zwykłym przeziębieniem. Naprawdę tego nie rozumiesz? - spytał rozpaczliwie.

- W medycynie wszystko opiera się na nadziei. W tym roku w końcu to pojąłem.

Potrząsnęła głową.

- To bez sensu, Adamie - odparła cicho. - Co by to było za małżeństwo, z czymś takim

wiszącym nam nad głowami? Nie tylko dla ciebie, dla mnie też.

- Takie coś tak czy owak wisi nam nad głowami. W końcu jutro może spaść na nas jakaś przeklęta bomba. Choćby w ciągu tego roku mogę umrzeć albo zostać zabity na dziesiątki różnych sposobów. Nie ma żadnej gwarancji. Trzeba korzystać z życia tak długo, jak to możliwe, brać je w obie ręce i wyciskać do ostatniej kropli.

Nie odpowiedziała.

- Ale na to trzeba mieć odwagę. A ty być może wolisz robić jak Ralphie. Po prostu się wyłączyć. Bo tak łatwiej.

Nie miał żadnych innych argumentów. Czuł się wyczerpany, bezsilny i zniechęcony. Prowadził bez słowa, nie wiedział, jak jej to wszystko wytłumaczyć.

Po chwili zauważyli daleko przed sobą wielkie stado rybitw, zataczających kręgi i nurkujących ku ziemi, jakby nagle uwierzyły, że są jastrzębiami. Wzdłuż prawego pobocza stał długi rząd samochodów.

- Co to? - spytał.

- Gdzie jesteśmy? W Brewster? Pewnie ławica śledzi - wyjaśniła.

Adam zaparkował, wysiedli i podeszli na skraj strumienia. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widział. Ryby były upchane w wodzie niczym w puszcze, jedna obok drugiej, od brzegu do brzegu i płynęły w górę strumienia - fantastyczna flotylla płetw grzbietowych przecinających lustro wody, pod płetwami zielonkawoszaro srebrzyste opalizujące ciała, dostojnie wachlujące płetwy brzuszne, rozdwojone ogony, setki tysięcy rozdwojonych ogonów, łopoczących w powolnym rytmie i czekających na... na co?

- Co to takiego? - spytał.

- Śledzie. Dziadek zabierał mnie tutaj każdej wiosny. Rybitwy wrzeszczały i ucztowały. Stojący wzdłuż brzegów ludzie prześladowcy wyciągali nieszczęsne ryby z wody za pomocą siatek i wiader, które nie mogły chybić. Niektóre dzieci rzucały żywymi rybami.

Kiedy tylko w tej niemal stałej masie śledzi powstawała dziura, natychmiast wypełniały ją następne, napływające powoli od strony morza, ryby.

- Z jak daleka przypląnęły? - zainteresował się Adam. Wzruszyła ramionami.

- Być może z Nowej Szkocji. Wracają, by złożyć ikrę w słodkich wodach, w których same przyszły na świat.

- Pomyśl tylko, ilu naturalnym wrogom musiały ujść, żeby tutaj dopłynąć - rzekł z zachwytem. - Wielorybom, rekinom, rybakom, wszelkim większym od nich rybom.

Pokiwała głową.

- Węgorzom. Rybitwom. Ludziom. - Ruszyła w górę strumienia. Adam poszedł za nią

i po chwili już wiedział, dlaczego niżej ryby prawie wcale się nie poruszają. Strumień wznosił się w górę serią specjalnych drabinek, chyba kilkunastu, ze spokojnych basenów pomiędzy nimi woda spływała maleńkimi kataraktami. Drabinki były tak wąskie, że mogły pomieścić zaledwie jedną rybę. Śledź wybraniec zmagał się z prądem i wpływał do basenu, za każdym razem z coraz większym trudem, ponieważ poprzednie przeszkody pozbawiały go sił.

- Dziadek i ja wybieraliśmy sobie jedną i szliśmy za nią.

- Zróbmy to samo - zaproponował. - Ty wybierasz.

- Dobrze. Tamta.

Ich ryba miała około dziesięciu cali długości. Patrzyli, jak cierpliwie czeka na wolną drogę, a potem rzuca się do przodu i płynie pod prąd wody spadającej z basenu, w którym znowu musi czekać na swoją kolej. Pierwszych sześć drabinek pokonała bez widocznego wysiłku.

- Wybrałaś zwyciężczynię - stwierdził Adam.

Być może ta przedwczesna pochwała spieszyła rybę. Przy kolejnej drabince nurt okazał się zbyt silny; najpierw przyhamował ją, później zatrzymał, a w końcu pomimo jej niezdatnych wysiłków porwał i wrzucił z powrotem do basenu.

Za drugim podejściem pokonała przeszkodę, lecz następna drabinka zmusiła ją już do trzech prób.

- Po co tak się męczą? Tylko po to, żeby złożyć ikrę? - zapytał Adam.

- Walczą o zachowanie gatunku.

Ryba poruszała się obecnie znacznie wolniej, jakby nawet samo pływanie zbyt wiele ją kosztowało. Mieli wrażenie, że każda udana próba to rezultat połączonej siły ich woli, bo nie ulegało wątpliwości, że ciało w kształcie torpedy szybko opada z sił. Dotarłszy do przedostatniego basenu, ryba przez długi czas leżała nieruchomo prawie na samym dnie i tylko pracujące skrzela i lekko wachlujące płetwy brzuszne zdradzały, że jeszcze żyje.

- O Boże - jęknęła Gaby.

- No, dalej - zachęcał Adam.

- Spróbuj, biedactwo.

Obserwowali cztery kolejne nieudane próby pokonania ostatniej przeszkody. Po każdej czas odpoczynku bardziej się wydłużał.

- Chyba nie da rady - odezwał się Adam. - Może spróbuję ją wyłowić i po prostu tam wrzucić?

- Zostaw ją.

Tuż obok przeleciała rybitwa, zamierzając zaatakować ich rybę.

- O nie! - krzyknęła Gaby i nagle się rozpląkała. - Co to, to nie! Zostaw ją, ty wstrętne ptaszyczo! Precz!

Ptak odleciał i skierował się w dół strumienia w poszukiwaniu łatwiejszego łupu. Jakby wyczuwając niedawne niebezpieczeństwo, ryba rzuciła się do przodu, lecz niemal natychmiast została zrzucona z powrotem do basenu. Tym razem nie czekała, tylko spróbowała ponownie. Popłynęła pod prąd, na górze na moment zastygła w bezruchu i po chwili wijąc się wypłynęła na spokojne wody.

Gaby wciąż płakała.

Srebrzysty ogon zamachał w ekstatycznym triumfie i śledź zniknął im z oczu w głębokiej toni.

Adam mocno przytulił Gaby.

- Adamie - rzekła cicho. - Chciałabym urodzić dziecko.

- Nie widzę żadnych przeciwwskazań.

- Naprawdę? Mogę?

- Weźmy ślub. Zaraz. Dzisiaj.

- A co z twoim ojcem?

- Musimy żyć swoim życiem. Dopóki nie będzie mnie stać na to, żeby zatroszczyć się o was oboje, musi sam sobie jakoś radzić. Powinienem być to sobie uświadomić już dawno temu.

Pocałował ją. Następny śledź przepłynął obok nich, tym razem był to prawdziwy siłacz, i wspinał się po drabince, całkiem jakby jechał windą.

Gaby śmiała się przez łzy.

- Ty się na niczym nie znasz - powiedziała. - Żeby wziąć ślub, trzeba czekać trzy dni.

- Mamy czas - odparł, dziękując Bogu i skatowanej rybie.

We wtorek rano Gaby zeszła ze wzgórza Beacon, po czym przeszła po kładce na esplanadę, na której wszystko się zaczęło. Stanąwszy nad brzegiem rzeki, otworzyła torebkę i wyjęła z niej pudełko z tabletkami. Cisnęła nim tak mocno, jak tylko umiała, masa perłowa zaślśniła w słońcu, zanim uderzyła o powierzchnię wody. Był to raczej kiepski rzut, aczkolwiek wystarczył. Gaby usiadła na ławce i cieszyła się myślą o pudełeczku płynącym z nurtem rzeki, być może od czasu do czasu poszturchiwany z zaciekawieniem przez błotnego żółwia albo jakąś rybę. Kto wie, może prądy poniosą je aż do morza, może kiedyś, w dalekiej przyszłości, ktoś znajdzie je podczas randki na plaży Quincy, razem z jeżowcami, muszlami, szczęką psa morskiego albo zapiaszczoną zwrotną butelką po coca-coli i umieści pod szkłem jako pamiątkę po rodzaju ludzkim z odległego dwudziestego wieku.

Tego popołudnia, jakby wiedząc, że będzie to wspaniały ślubny prezent, do ich drzwi zapukała Bertha Kroi i zwróciła awokado w takim samym milczeniu, w jakim wcześniej je przyjęła. Nie wyrzuciła go przez okno. Co więcej, w ogóle przestała rzucać śmieci, chociaż w żaden sposób nie udało im się skłonić jej do odpowiedzi, czym podlewała roślinkę. Pewnie piwem, pomyślał Adam.

Ślub wzięli w czwartek przed południem, a ich świadkami byli Spurgeon i Dorothy. Kiedy wrócili z ratusza, Gaby przede wszystkim zdarła ze skrzynki pocztowej kawałek taśmy ze swoim panieńskim nazwiskiem. Został po nim błądny ślad, którego widokiem napawała się, dopóki tam mieszkali.

Pewnego wieczora, krótko po ślubie, Adam pracował w laboratorium, kiedy Kender wpadł do niego na filiżankę kawy.

- Pamięta pan naszą rozmowę na temat utrzymywania przy życiu śmiertelnie chorych pacjentów?

- Tak, pamiętam.

- Chcę, żeby pan wiedział, że zmieniłem zdanie.

W oczach Kendera pojawił się błysk zainteresowania, lecz skinął tylko głową, nie pytając, co takiego spowodowało tę nagłą zmianę zdania. Siedzieli i sączyli kawę w przyjaznym milczeniu, a Adam siłą woli powstrzymywał się od zapytania o pracę na uczelni, której teraz nie tylko pragnął, lecz przede wszystkim piekielnie potrzebował, albowiem pozwoliłaby mu ona pozostać tam, gdzie znacznie lepsi od niego specjaliści mogliby walczyć o życie Gaby wszelkimi dostępnymi środkami.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY.

Rafael Meomartino.

Meomartino nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ledwo zauważalnie i w nie do końca zrozumiały dla niego sposób atomy jego życia ustawiają się w konfiguracje, nad którymi nie ma żadnej kontroli. Spotkał się z prywatnym detektywem w pizzerii mieszczącej się na drugim piętrze budynku przy Washington Street, gdzie prowadzili rozmowę nad linguini marinara, które popijali żywicznym winem.

W wyniku dyskretnego śledztwa Kittredge ustalił, że Elizabeth Meomartino regularnie odwiedza budynek przy Memorial Drive w Cambridge.

- Ale czy ma pan pewność, że z kimś się tam spotyka?

- Najpierw śledziłem ją tylko do budynku - odparł Kittredge. - Sześciokrotnie czekałem na zewnątrz i za każdym razem wchodziła do środka. Potem dwukrotnie pojechałem z nią windą, udając mieszkańca budynku. To przyjemny dom, zamieszkiwany przez porządną ludzi, głównie z klasy średniej.

- Jak długo tam przebywała?

- Różnie.

- A czy zna pan numer mieszkania, do którego chodzi?

- Tego na razie nie udało mi się ustalić. Zawsze wysiada na czwartym piętrze.

- No cóż, to już coś.

- Niekoniecznie. Równie dobrze może później wejść na piąte albo zejść na którekolwiek inne.

- Czy zorientowała się, że jest śledzona?

- Nie. Tego jestem pewien.

- W porządku. Załóżmy, że jednak jeździ na czwarte - rzekł zde gustowany Meomartino, zaczynając poważnie wątpić w profesjonalizm detektywa. - W końcu moja żona to nie Mata Hari.

- Zgoda. - Kittredge wyjął notes. - W takim razie przeczytam panu nazwiska osób mieszkających na czwartym piętrze. Może któreś z nich coś panu powie?

Rafę czekał w napięciu.

- Harold Gilmartin.

- Nie.

- Peter D. Cohen. A dokładnie państwo Cohen.

- Dalej.

- Następne mieszkanie zajmują dwie niezamężne dziewczyny, Hilda Conway i Marcia Niehaus.

Pokręcił głową, cokolwiek niegrzecznie.

- V. Stephen Samourian.

- Też nie.

- Zostaje tylko niejaki Ralph Baker.

- Nie - stwierdził Meomartino, przygnębiony koniecznością uprawiania takich gier.

Kittredge wzruszył ramionami. Wyjął z kieszeni napisaną na maszynie listę i wręczył ją swemu klientowi.

- Proszę, oto nazwiska wszystkich pozostałych lokatorów.

Meomartino miał wrażenie, że czyta stronę z książki telefonicznej jakiegoś obcego miasta.

- Nie - powtórzył po raz kolejny.

- Jeden z lokatorów z czwartego piętra to doktor. Ten Samourian.

- To nic nie zmienia. Słyszę to nazwisko po raz pierwszy w życiu. - Na chwilę zamilkł. - Czy istnieje prawdopodobieństwo, że bywa tam z jakiegoś całkowicie prozaicznego powodu? Na przykład chodzi do dentysty?

- Dwukrotnie, kiedy miał pan dyżur w szpitalu, wracała do domu mniej więcej w porze kolacji, po czym ponownie jechała na Memoriał Drive i spędzała tam resztę wieczora.

- Aha.

- Czy życzy pan sobie, żebym przygotował pisemny raport? - spytał Kittredge.

- Nie. Niech mnie pan nie pogania - warknął Meomartino, po czym na wyraźną prośbę detektywa wypisał czek na sto siedemdziesiąt osiem dolarów, chociaż każdy kolejny ruch ręki trzymającej długopis przychodził mu z większym trudem.

Tego wieczora około jedenastej przyszła do niego Helen Fultz.

- Doktorze Meomartino - powiedziała cicho. Zauważył, że jest blada, spocona i sprawia wrażenie przerażonej.

- Co się stało, Helen?

- Krwawię, i to dość obficie.

Kazał jej się położyć i unieść nogi do góry.

- Czy miała pani robione prześwietlenie?

- Tak. Regularnie chodzę na badania. Meomartino posłał po krew oraz dokumentację i

zdjęcia Helen Fultz. Na zdjęciach nie było widać wrzodów, dało się natomiast zauważyć niewielki tętniak, małe balonik z lewej strony aorty. Lekarze byli przekonani, że jest on zbyt mały, by mógł odpowiadać za krwawienie, które ich zdaniem pochodziło z niewidocznego na zdjęciach wrzodu. Zalecili Helen Fultz łagodną dietę.

Meomartino zbadał jej brzuch, na chwilę palce stały się jego oczyma i niemal od razu zorientował się, w czym problem.

Potrzebował rady bardziej doświadczonego lekarza. Na tablicy przeczytał, że dyżur na telefon pełni Miriam Parkhurst, kiedy jednak do niej zadzwonił, powiedziano mu, że właśnie wyjechała do szpitala Mount Auburn w Cambridge.

Zatelefonował do Lewisa China, lecz się okazało, że on z kolei wyjechał do Nowego Jorku. Wiedział, że doktor Kender bierze udział w konferencji transplantologicznej w Cleveland, szukając dla siebie godnego następcy. Żaden inny doświadczony chirurg nie był osiągalny.

W szpitalu był Silverstone.

Wezwał go przez pager i razem zbadali oddziałową. Prowadził dłoń Adama tak długo, aż trafiła na tętniak.

- Jak myślisz, jaki jest duży?

Silverstone gwizdnął bezgłośnie.

- Przynajmniej dziewięć centymetrów. Albo nawet więcej.

Przywieziono krew, Silverstone zamontował kroplówkę, Rafę zadzwonił raz jeszcze i tym razem udało mu się zastać Miriam Parkhurst. Musieli sprowadzić ją z bloku operacyjnego w Mount Auburn, na którym myślała się właśnie do zabiegu. Była wyraźnie rozłoszczona, że czas spędzony na szorowaniu rąk poszedł na marne, uciszyła się jednak słysząc o stanie Helen Fultz.

- Boże, przecież ta kobieta już była oddziałową, kiedy zaczynałam pracę - powiedziała.

- Lepiej zbieraj się i jak najszybciej tu przyjedź - odparł. - Ten tętniak może pęknąć dosłownie w każdej chwili.

- No cóż, doktorze Meomartino, będziecie musieli zacząć beze mnie.

- Jak to? Nie przyjedziesz?

- Nie mogę. Też mam nagły przypadek. Jeden z moich prywatnych pacjentów. Duży krwawiący wrzód. Dwunastnica i odźwiernik. Przyjadę do was, jak tylko skończę tutaj.

Podziękował jej, po czym zawiadomił salę operacyjną, że za chwilę będzie operował tętniak. Zaraz potem zatelefonował po anestezjologa.

Kiedy powiedział o wszystkim Helen Fultz, ta uśmiechnęła się blado.

- Pan i doktor Silverstone? - spytała.

- Tak.

- Mogłam trafić w gorsze ręce.

Wyszorowawszy ręce, musieli długo czekać, aż Norman Pomerantz skończy podawać narkozę, w końcu jednak mogli zaczynać. Meomartino wykonał długie cięcie, po czym zakładał zaciski na krwawiących naczyniach, które Silverstone podwiązywał.

Ostrożnie przeszedł przez otrzewną, a kiedy jama brzuszna była otwarta, od razu spostrzegł tętniak, duże pulsujące zgrubienie po lewej stronie aorty.

- Tu cię mamy, dziecino - mruknął Silverstone.

Krew sączyła się do jelita i stąd właśnie brało się krwawienie.

- No to pozbadźmy się go - rzucił Meomartino i natychmiast zaczęli naprawę pulsującej aorty Helen Fultz.

Miriam Parkhurst wpadła jak burza na salę operacyjną chwilę po tym, jak Silverstone przewiózł Helen Fultz do sali pooperacyjnej. Słuchała zwięzłego raportu Meomartino, starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo jest zadowolona.

- To dobrze, że jesteśmy w stanie pomóc także ludziom, którzy tutaj pracują. Założyłeś szwy podtrzymujące?

- Tak - odparł. - A tobie jak poszło w Mount Auburn? Uśmiechnęła się.

- Oboje mieliśmy dzisiaj dobry wieczór.

- To świetnie.

- Rafę, co będzie z Harlandem Longwoodem?

- Nie wiem.

- Może to zabrzmie głupio, ale kocham tego człowieka - rzekła zmęczonym głosem, po czym pomachała na pożegnanie i wyszła.

Meomartino siedział nieruchomo i słuchał przez otwarte drzwi cichych pogawędek pielęgniarek.

Poza tym panowała głucha cisza.

Zamknął oczy. Był spocony i wykończony, mimo to czuł się prawie jak po orgazmie - rozluźniony, zrelaksowany, spełniony i dowartościowany przez miłosny akt, dzięki któremu znalazł swoje miejsce na ziemi. Przyszło mu do głowy, że to, co kiedyś powiedziała Liz, to prawda: szpital potrafi zawładnąć nim jak żadna kobieta.

Lecz przecież to co najwyżej stara, zaniedbana, zużyta ładacznica, pomyślał, nagle bardzo rozbawiony.

Kiedy otworzył oczy, ta myśl zakłopotowała go, wołał się więc w nią nie zagłębiać. Ściągnął z głowy zielony czepek i rzucił go na podłogę.

Na stole stał magnetofon. Chwytał mikrofon, oparł się wygodnie i położył nogi, wciąż w antystatycznym obuwiu, tuż obok urządzenia.

Wcisnąwszy przycisk z boku mikrofonu, zaczął dyktować raport kooperacyjny.

Lało jak z cebra. Przez cały dzień padał deszcz, który farmerzy w Nowej Anglii przyjmują najpierw z radością, później z przerażeniem, a w końcu, kiedy już woda wypłucze z ziemi wszystkie nasiona, z wściekłością. Tej nocy leżał w łóżku, zasłuchany w bębnie kropli o szybę. Liz niczym jasny cień weszła do ciemnego pokoju w złotym jedwabnym szlafroku.

- Co się stało? Jesteś na mnie zły? - spytała.

- Nie - odparł.

- Rafę, potrzebuję odmiany albo cały mój świat się zawali.

- Kiedy doszłaś do takiego wniosku? - spytał przyjaźnie.

- Nie mam pretensji, że mnie nienawidzisz.

- Wcale cię nie nienawidzę, Liz.

- Gdybyśmy tak mogli cofnąć czas i uniknąć wszystkich błędów.

- Byłoby miło, prawda?

Deszcz dudnił o szyby z coraz większą siłą.

- Włosy prawie mi już odrosły. W naturalnym kolorze.

- Są śliczne i takie jedwabiste - powiedział, gładząc je delikatnie.

- Jesteś dla mnie taki dobry, Rafę. Przepraszam za wszystko.

- Ciii. - Odwrócił się i wziął ją w ramiona.

- Pamiętasz tamtą pierwszą, deszczową noc?

- Tak.

- Chcę udawać - rzekła. - Pozwolisz mi poudawać?

- Co?

- Że ty jesteś młodym chłopakiem, a ja dziewczyną i że jeszcze nigdy...

- Och, Liz.

- Proszę cię, chcę, żebyśmy udawali, że żadne z nas jeszcze nic nie wie...

Bawili się więc jak dzieci, a on na nowo poznał błąd imitacji odkrycia i strachu.

- Amoroso! - krzyknęła w końcu. - Delicioso, mdgico, marido.

Słowa, których nauczył ją w pierwszych tygodniach małżeństwa.

Później on śmiał się radośnie, ona zaś odwróciła się do ściany i gorzko zapłakała.

Wstał, przez przeszklone drzwi wyszedł na niewielki balkon i kuląc się w strugach deszczu oderwał od lodygi rosnący w skrzynce kwiat, nagietek lekarski, po czym wrócił do pokoju i położył jej go na pępku.

- Jest zimny i mokry - skarżyła się, lecz nie zrzuciła kwiatka, za to przestała płakać. -
Wybaczysz mi? Pozwolisz mi zacząć od początku? - spytała po chwili.

- Kocham cię - odparł.

- Ale czy mi wybaczysz?

- Śpij już.

- Powiedz tak.

- Tak - odparł szczęśliwy. Postanowił, że zadzwoni do Kittredge'a i zrezygnuje z jego usług. Zasnął trzymając ją za rękę, a kiedy się obudził, było już jasno. W nocy Liz przewróciła się na brzuch i rozgniotła kwiat. Zostały po nim tylko pomięte płatki i pomarańczowe ślady na pościeli. Spała głęboko, z rękoma i nogami rozrzuconymi, włosami zmierzwionymi, twarzą odprężoną.

Umył się i zjadł śniadanie nie budząc jej, później wyszedł z domu i pojechał do szpitala, nowy człowiek w nowy dzień.

W południe zadzwonił, ale nikt nie odbierał. Po południu był bardzo zajęty. Doktor Kender wrócił z konferencji w Cleveland, przywożąc ze sobą dwóch profesorów, Powersa i Rogersona, którzy wzięli udział w popołudniowym obchodzie, przez co, rzecz oczywista, był on dłuższy i bardziej oficjalny niż zazwyczaj. Meomartino nie miał czasu na myślenie o codziennych sprawach.

O szóstej zatelefonował ponownie. Kiedy i tym razem nikt nie podniósł słuchawki, poprosił Harry'ego Lee, żeby go zastąpił, i pojechał na Charles Street.

- Liz! - zawołał od progu.

W kuchni i salonie nie było nikogo. Gabinet także był pusty. W sypialni zobaczył pootwierane i opróżnione szuflady biurka. Z szaf zniknęły wszystkie sukienki Liz.

Nie było też kapeluszy, płaszczy, biżuterii.

- Miguel? - zawołał cicho, lecz syn nie odpowiedział. Udał się tam, gdzie matka zabrała jego rzeczy.

Meomartino pojechał do Longwooda. Drzwi otworzyła siwa obca kobieta.

- To pani Snyder, moja stara znajoma - oznajmił Longwood. - Marjorie, to doktor Meomartino.

- Elizabeth odeszła - powiedział Rafę.

- Wiem - odparł spokojnie Longwood.

- Powiedziała dokąd?

- Odeszła z innym mężczyzną. Tylko tyle wiem. Przyszła rano, żeby się ze mną pożegnać. - Posłał Meomartino nienawistne spojrzenie.

Rafę tylko pokręcił głową. Dalsza rozmowa nie miała sensu. Ruszył do wyjścia. Pani Snyder poszła za nim.

- Pańska żona dzwoniła do mnie przed wyjazdem - oznajmiła.

- Tak?

- Dlatego właśnie tu przyszłam. Powiedziała, że Harland ma się dzisiaj udać do szpitala na leczenie, że mają go podłączyć do jakiejś maszyny. - Pokiwał głową, patrząc na zatroskaną twarz i nie bardzo rozumiejąc, o co jej właściwie chodzi. - Ale on nie chce tam jechać.

Co mnie to obchodzi, pomyślał gniewnie.

- Uparł się i już - mówiła dalej. - Sądzę, że jest bardzo chory. Czasami wydaje mu się, że ja to Frances. Co mam robić?

Pozwolić mu umrzeć, pomyślał Rafę. Czy ta kobieta nie rozumie, że odeszła od niego żona i zabrała mu syna?

- Niech pani zadzwoni do szpitala, do doktora Kendera. Wyszedł, zostawiając ją w korytarzu. Jeszcze przez dłuższą chwilę odprowadzała go wzrokiem.

Następnego ranka zabrzączał pager. Rafę oddzwonił i usłyszał, że na dole czeka niejaki pan Samourian i chce się z nim koniecznie zobaczyć.

- Kto taki?

- Pan Samourian.

Aha, pomyślał, przypominając sobie przygotowaną przez Kittredge'a listę mieszkańców czwartego piętra.

- Zaraz do niego zejdę.

Już na pierwszy rzut oka facet ogromnie go rozczarował. Dawno po czterdziestce, łysawy, z piwnymi oczyma wystraszonego spaniela i oszronionym siwizną wąsikiem. Rafe'owi w głowie się nie mieściło, że taki pulchny mikrus był w stanie rozbić mu rodzinę.

- Pan Samourian?

- Tak. Doktor Meomartino?

Niepewnie uścisnęli sobie dłonie. Minęła dziesiąta, tak więc zarówno w szpitalnej kawiarence, jak i u Maxiego panował z pewnością stanowczo zbyt wielki tłok, by dało się porozmawiać na równie delikatny temat.

- Możemy pogadać tutaj - rzekł Meomartino prowadząc Samouriana do jednego z

gabinetów.

- Przyszedłem do pana w sprawie Elizabeth - oznajmił Samourian, kiedy usiedli.

- Wiem - odparł Rafę. - Mój detektyw śledził was od pewnego czasu.

Mężczyzna pokiwał głową, nie spuszczając z niego wzroku.

- Rozumiem.

- Co planujecie?

- Ona i chłopiec są na Zachodnim Wybrzeżu. Ja wkrótce do nich dojadę.

- Podobno jest pan doktorem. Samourian uśmiechnął się.

- Doktorem tak, ale nie lekarzem. Doktorem ekonomii. Wykładam tu, na uczelni, a od września mam załatwioną posadę w Stanfordzie - wyjaśnił. - Ona chce jak najszybciej złożyć pozew rozwodowy. Sądźmy, że nie zgłosi pan sprzeciwu.

- Chcę, żeby syn został ze mną - oświadczył Rafę przez ściśnięte gardło. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo go kocha.

- Ona też chce. A sądy na ogół uznają, że dziecko powinno zostać z matką.

- Niewykluczone, że tym razem stanie się inaczej. Jeśli będzie próbowała mi go odebrać, nie zgodzę się na rozwód i złożę własny pozew. Mam wystarczające dowody. Na piśmie - dodał i pomyślał ze smutkiem, że w tej absurdalnej sytuacji jedynym wygranym jest Kittredge.

- Przede wszystkim powinniśmy mieć na uwadze dobro dziecka.

- Od dawna mam je na uwadze - odparował Rafę. - Staralem się nie dopuścić do rozpadu tego małżeństwa i zapewnić mu normalny dom.

Samourian westchnął.

- Ja po prostu staram się, żeby to wszystko nie odbiło się na niej zbyt mocno. Jest bardzo delikatna. Krucha. Nie byłaby w stanie znieść zażartej walki. Już i tak, o czym zapewne pan wie, bardzo cierpi z powodu choroby stryja. Strasznie go kocha.

- Jeśli to prawda, to przyzna pan chyba, że wybrała sobie cokolwiek dziwny moment na odejście.

Samourian wzruszył ramionami.

- Ludzie okazują miłość na różne, nieraz trudne do zrozumienia sposoby. Nie potrafiłaby mieszkać tu i patrzeć na jego cierpienia. - Spojrzał na Meomartino. - O ile wiem, praktycznie nie ma żadnych szans.

- Nie.

- Obawiam się, że po jego śmierci utrzymanie jej w jako takiej formie psychicznej będzie niełatwym zadaniem.

Meomartino przyjrzał mu się uważnie.

- Obawiam się, że tak - odparł. - Nie przypuszczałem, że zna ją pan aż tak dobrze.

Samourian uśmiechnął się.

- Och, znam Beth - rzekł cicho.

- Beth?

- Tak ją nazywam. Nowe imię, nowe życie. Rafę pokiwał głową.

- Tylko jedno nie pasuje do tego idyllicznego obrazka - stwierdził. - Ona ma wciąż tego samego syna. Mojego syna.

- Tak - zgodził się Samourian. - Takie sprawy wymagają zazwyczaj sporo czasu. Adwokaci i sędziowie raczej sienie spieszą. Ale daję panu słowo honoru, że dopóki sąd nie podejmie ostatecznej decyzji co do losu Miguela, postaram się, żeby miał normalny dom. A kiedy tylko znajdziemy stałe lokum w Paño Alto, natychmiast prześlę panu adres.

- Dziękuję - rzekł Rafę stwierdzając, że w żaden sposób nie umie go nienawidzić. - Co właściwie oznacza to V?

- Jakie V?

- Przed pańskim imieniem.

- Aha - uśmiechnął się Samourian. - Vasken. Stare nazwisko rodowe.

Wyszli z gabinetu razem. Na chodniku podali sobie ręce mrużąc oczy przed oślepiającym słońcem.

- No to powodzenia, Vasken - powiedział Rafę. - Tylko niech pan uważa na młodych meksykańskich ogrodników.

Samourian spojrzał na niego jak na wariata.

Tego popołudnia w obecności profesorów z Cleveland odbyła się konferencja dotycząca komplikacji, które miały miejsce podczas operacji przeprowadzonych w ciągu ubiegłego tygodnia. Rafę prawie nie słuchał, siedział pogrążony w myślach i właściwie nie zdawał sobie sprawy, że obecnie tematem dyskusji jest stan zdrowia Harlanda Longwooda.

- ...Niestety, to już chyba koniec tego etapu leczenia - mówił doktor Kender. - Można by oczywiście podtrzymywać go przy życiu, ale on nie chce dłużej poddawać się dializie i obawiam się, że tym razem nie zmieni zdania. Wygląda na to, że wybrał uremię i śmierć.

- Przecież w żadnym razie nie wolno nam na to pozwolić - sprzeciwiła się Miriam Parkhurst. Sack odchrząknął.

- Byłoby dobrze, Miriam - rzekł - gdybyśmy mieli na to jakikolwiek wpływ. Na nieszczęście tak się składa, że nie mamy. Możemy proponować pacjentowi dializę, ale nie możemy go do niej zmuszać.

- Harland Longwood nie jest zwykłym pacjentem.

- Jest - odrzekł Sack, jak zwykle nie poddając się emocjom. - Powiem więcej, nie wolno nam traktować go inaczej. Nie jest nikim więcej ani nikim mniej. Nic więcej nie możemy dla niego zrobić.

Doktor Parkhurst unikała jego wzroku.

- Pomijając wszystko to, co zawdzięcza mu każdy z nas, i to, co zrobił dla tego oddziału - powiedziała - jest przynajmniej jeden powód, dla którego nie możemy mu na to pozwolić. Niektórzy z nas mieli okazję przeczytać rękopis jego książki. Ta wyjątkowa praca może mieć ogromny wpływ na całe pokolenia młodych chirurgów.

- Doktor Parkhurst - upomniał ją Kender.

- No cóż, ewentualna śmierć doktora Longwooda będzie miała wpływ na życie ludzi, których nie ma na tej sali.

Ma rację, pomyślał Meomartino.

- Panowie są nefrologami - zwróciła się do chirurgów z Cleveland. - Czy mogą panowie zaproponować jakieś wyjście?

Doktor Rogerson pochylił się do przodu.

- Jedyna możliwość to czekać, aż znajdzie się dawca o grupie krwi B minus - stwierdził.

- Ale my nie możemy czekać - odparła nie kryjąc zniecierpliwienia. - Czy pan nie słuchał?

- Miriam - wtrącił doktor Kender. - Jest jak jest i musisz się z tym pogodzić. Nie mamy dawcy z taką grupą krwi. A bez niego nie będziemy w stanie uratować Harlanda Longwooda.

- Ja mam grupę B-minus - odezwał się Meomartino.

Zbyt długo, pomyślał, rozwodzili się nad ryzykiem przedwczesnej śmierci.

- Mam nerki silne jak koń - uciał w końcu. - Jedna w zupełności mi wystarczy.

Kender i Parkhurst postanowili porozmawiać z nim na osobności, dając mu szansę honorowego wycofania tej niespodziewanej oferty.

- Czy jest pan pewien, doktorze? - spytał Kender po raz kolejny. - Dawca jest zazwyczaj krewnym biocy.

- To stryj mojej żony - odparł Meomartino. Kender parsknął, na co Rafę tylko się uśmiechnął. Wiedział, że brakuje im już argumentów. Uspokoili sumienia, teraz mogli spokojnie i z radością przyjąć propozycję. Kender potwierdził jego przypuszczenia.

- Dawca nie będący krewnym jest o niebo lepszy od martwego - rzekł. - Ale najpierw

musimy przeprowadzić badania. Samego zabiegu nie musi się pan obawiać. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, by zdrowy dawca zmarł w wyniku operacji.

- Nie obawiam się - odrzekł Rafę. - Jest tylko jeden warunek. On nie może wiedzieć, kto jest dawcą.

Nieszczęsna Miriam wyglądała na wstrząśniętą.

- Nie zgodziłby się. Delikatnie mówiąc, nie przepadamy za sobą - dodał Meomartino.

- Powiem mu, że dawca chce pozostać anonimowy - zgodził się Kender.

- A jeśli mimo wszystko się nie zgodzi? - spytała Miriam.

- To będziesz musiała powtórzyć swój wykład o tym, jak genialna będzie jego książka, jeśli zdoła ją dokończyć - stwierdził Rafę. - To na pewno kupi.

- Tym razem podamy surowicę antylimfocytarną - powiedział Kender. - Adam Silverstone skończył badania nad optymalną dawką.

Jedyna możliwa przeszkoda przestała istnieć, kiedy pobrano próbki tkanki z organizmów Rafe'a i Longwooda, wykonano testy zgodności i okazało się, że wszystko jest w najlepszym porządku. Po wydawałoby się zatrważająco krótkich przygotowaniach Meomartino leżał na plecach na stole operacyjnym w sali numer 3, nie bardzo pojmując, czego właściwie tu szuka, mimo że Norman Pomerantz podał mu najdelikatniej jak umiał i praktycznie bezboleśnie dawkę środka znieczulającego.

- Rafę - mówił teraz Pomerantz, a jego słowa zlewały się w jedno płynące strumieniem do uszu Meomartino. - Rafę, słyszysz mnie, stary?

Pewnie, że cię słyszę, próbował powiedzieć.

Zobaczył Kendera zbliżającego się do stołu. Za nim szedł Silverstone.

Tnij starannie, mój wrogu, pomyślał.

Zadowolony, że chociaż ten jeden raz ktoś wykona całą robotę za niego, zamknął oczy i zasnął.

Rekonwalescencja była wlokącą się nierzeczywistością.

Nieobecność Liz wkrótce stała się widoczna i do wszystkich dotarło, że jego małżeństwo dobiegło końca.

Tuż po zabiegu pokój Rafe'a zalała fala gości, która wszakże w miarę upływu czasu zmieniła się w wąski strumyk.

Miriam Parkhurst dała mu buziaka i kosz owoców, stanowczo nazbyt obfity. Po kilku dniach banany czerniały, a brzoskwinie i pomarańcze pokryły się białym pleśniowym nalotem i zaczęły wydzielać woń, która zmusiła go do natychmiastowego wyrzucenia wszystkiego z wyjątkiem jabłek.

Jego nerka funkcjonowała w organizmie Starego bez zarzutu. Rafę postanowił co prawda o nic nie pytać, mimo to na bieżąco informowano go o postępach w leczeniu.

Czasowe schronienie zapewniała mu telewizja. Któregoś dnia przeglądał program, kiedy do pokoju weszła Joan Anderson.

- Czy dzisiejszy mecz pokazują w telewizji, czy będzie tylko w radio?
- W telewizji też - odparła Joan. - Słyszał pan już o Adamie Silverstone?
- A co się stało?
- Dostał stanowisko na wydziale.
- Nie, nie słyszałem.
- Będzie prowadzić zajęcia z chirurgii.
- Świetnie. Na którym kanale jest ten mecz?
- Na piątym.
- Mogłabyś mi go włączyć? Dobra dziewczynka.

Spędzał mnóstwo czasu leżąc i rozmyślając. Pewnego popołudnia natknął się w „Massachusetts Physician” na ogłoszenie, które przeczytał kilkakrotnie z rosnącym zainteresowaniem, aż w końcu podjął decyzję.

Kiedy wypisano go ze szpitala, wziął taksówkę, pojechał do siedziby władz federalnych i tam odbył miłą rozmowę z przedstawicielem Agencji Rozwoju Międzynarodowego, po której podpisał osiemnastomiesięczny kontrakt na pracę w charakterze cywilnego chirurga.

W drodze do pustego mieszkania wstąpił do sklepu jubilerskiego, gdzie kupił pudełko wykładane czerwonym aksamitem, podobne do tego, w którym kiedyś jego ojciec trzymał zegarek. Później usiadł w zaciszu gabinetu nad białą kartką papieru i popełnił kilka falstartów, zmieniając Mój drogi Miguelu na Mój drogi Synu, aż w końcu zdecydował się na kompromis:

Mój drogi synu Miguelu.

Najpierw pragnę Ci podziękować za wielki dar - najcudowniejszą w moim życiu łaskę miłości. Przez tych kilka wspólnie spędzonych lat pozwoliłeś mi poznać wszystkie najwspanialsze zalety mojej rodziny oraz moje i ani cząstki podłej małości, której jakże wiele na tym świecie, a co za tym idzie, również w nas samych.

Jeżeli kiedyś, gdy będziesz już wystarczająco dorosły, by to zrozumieć, będzie Ci dane przeczytać ten list, stanie się tak dlatego, że ja nie wróciłem z podróży, w którą wkrótce wyruszam. Jeżeli bowiem wrócę, podejmę wszelkie dostępne środki prawne, żeby odzyskać prawo do opieki nad Tobą, a gdyby okazało się to niewykonalne, uczynię wszystko, by widywać się z Tobą często i regularnie.

Możliwe jednak, że przeczytasz ten list, i dlatego bardzo chciałbym umieć napisać w nim coś, co mogłoby się stać Twoim życiowym credo, co byłoby esencją wszystkiego, co ojciec powinien przekazać synowi, a przynajmniej podstawową mądrością, która byłaby w stanie złagodzić cudowny ból istnienia. Ale niestety, nie umiem. Mogę jedynie radzić Ci, abyś starał się swymi czynami wyrządzać jak najmniej szkód. Byś spróbował dokonać czegoś, co nigdy by nie zaistniało, gdyby nie Twoja obecność na tym świecie.

Jeżeli chodzi o mnie, nauczyłem się, że jeśli czegoś bardzo się boisz, najlepszym wyjściem jest stawić temu czoło. Zdaję sobie sprawę, że nie uzbrojonomu człowiekowi stojącemu twarzą w twarz z dzikim tygrysem użyteczność takiej rady może się wydać co najmniej wątpliwa. Ja jednak wyjeżdżam do Wietnamu na spotkanie ze swoim tygrysem, aby przekonać się, jaką moralną broń posiadam jako istota ludzka i jako mężczyzna.

Zegarek, z którym otrzymałeś ten list, przekazywano w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenie najstarszemu synowi. Modlę się, żeby za Twoim pośrednictwem ta tradycja była jeszcze długo kontynuowana. Proszę Cię, żebyś od czasu do czasu polerował orły i oliwił mechanizm. Bądź dobry dla swojej Matki, która bardzo Cię kocha i z pewnością nie raz będzie potrzebowała Twojej miłości oraz wsparcia. Nigdy nie zapomnij rodziny, z której pochodzisz, pamiętaj też o ojcu, który zawsze wiedział, że wyrośnie z Ciebie wspaniały człowiek.

Z najszczerzą miłością Rafael Meomartino

Starannie zapakował zegarek, wyłożywszy pudełko skrawkami „The Christian Science Monitor”, aby zabezpieczyć go przed wstrząsami. Później napisał do Samouriana kilka słów wyjaśnienia.

Kiedy skończył, siedział i rozglądał się po chłodnym, przyjemnym pokoju, zastanawiając się nad podnajmem i nad zabezpieczeniem mebli. Po paru minutach podszedł do telefonu, zadzwonił do Lexington i poprosił o numer w Los Angeles, który Ted Bergstrom podał, aczkolwiek z wyraźną niechęcią. Natychmiast zamówił rozmowę, nie pomyślał jednak o trzygodzinnej różnicy czasu.

Dopiero po dziesiątej wieczorem połączenie zostało zrealizowane.

- Halo? Peg? - powiedział. - Mówi Rafę Meomartino. Co u ciebie?... To świetnie... U mnie też wszystko w porządku. Rozwiodłem się, to znaczy jestem w trakcie... Tak... No... Posłuchaj, za parę tygodni będę przejeżdżał przez Kalifornię i chętnie bym się z tobą spotkał...

- Naprawdę? To cudownie. Posłuchaj, pamiętasz, jak powiedziałaś, że nic nas nie łączy? To jest właśnie najgorsze...

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY.

Adam Silverstone

Zbliżające się ojcostwo zmieniło Adama w namiętnego badacza brzucha.

- Przejdźmy się do Common i popatrzmy na ludzi - zaproponował żonie któregoś niedzielnego poranka, gładząc jej brzuch.

Gaby była dopiero w trzecim miesiącu, tak więc ktoś obcy nie zorientowałby się, że oczekuje dziecka. Twierdziła nawet, że to tylko gazy, on jednak wiedział lepiej. Po tym, jak zaszła w ciążę, jej małe piersi stały się po rubensowsku pełne i ciężkie, biodra i pośladki rozłożyste, a brzuch zbyt pięknie zaokrąglony, by można było uwierzyć, że to tylko prozaiczne gazy. Jego pełna czci dłoń nie wyczuwała nic oprócz gładkości młodej skóry, skażonej jedynie wgłębieniem pępka, lecz w wyobraźni przez warstwy ciała widział maleńką istotę pływającą w płynie owodni, na razie zaledwie kijankę, która już wkrótce miała mieć jej rysy, jego rysy, ramiona, nogi, narządy płciowe.

- Nie mam ochoty nigdzie iść - stwierdziła Gaby.

- Dlaczego?

- Idź sam. Przespaceruj się, pooglądaj dziewczyny, a ja w tym czasie przygotuję śniadanie.

Wstał więc z łóżka, umył się, ubrał i w pogodny letni poranek powędrował leniwie na drugą stronę wzgórza. San Francisco odeszło już do historii, ustępując miejsca Boston Common. Niektórzy ludzie byli weteranami Haight-Ashbury, inni świeżą krwią, reszta zaś po prostu sezonowymi przebierańcami, pseudohipisami, na których jednak też miło było popatrzeć. Mężczyźni wydawali się znacznie mniej interesujący od kobiet, i to wcale nie tylko ani nawet nie przede wszystkim z powodów fizycznych. Stwierdził, że mężczyźni to konformistyczni niewolnicy nonkonformizmu, chodzący w grupach, wszyscy bez wyjątku długowłosi, jakby był to symbol ich plemienia. Kobiety wykazują się bujniejszą wyobraźnią, pomyślał Adam, starając się oderwać wzrok od grającej na bongach rudowłosej piękności, owiniętej niczym Indianka w szary koc, mimo że z nieba lał się żar. Kiedy go mijała, stąpając na swoich prześlicznych bosych stopach, w opasce z paciorków ujrzał pojedyncze pióro, a na plecach napis U.S. NAVY, który unosił się i opadał w rytm tamtamów. Jednakże nawet najbardziej soczysta, zapierająca dech w piersiach hipisowska Wenus nie była w stanie

sprawić, by choć na krótką chwilę pożałował decyzji o ślubie z Gaby.

W tych dniach spędzał mnóstwo czasu dziękując losowi za wszystko, co od niego dostali. A z każdym upływającym dniem szansę Gaby rosły.

Na wieść, że dostał pracę, na krótką chwilę poczuli się bogaczami. Jedna z jej koleżanek wyprowadzała się właśnie z mieszkania przy Commonwealth Avenue, lokalu pod każdym względem bardziej komfortowego od ciasnej klitki w suterenie przy Phillips Street, bardziej przestronnego i do tego z piękną magnolią za niskim metalowym płotem. Po namyśle zrezygnowali jednak z przeprowadzki. Postanowili odłożyć ją na później, nie mieli bowiem wątpliwości, że dziecko powinno rozwijać się w otoczeniu większej ilości zieleni, niż zapewnia miasto. Lecz przecież mieli domek w Truro, świetne miejsce na wypady w wolne dni, a na razie chcieli zachować to, co dzielili na Beacon Hill. Gaby postanowiła, że co miesiąc będzie odkładać pieniądze, które wydawaliby na mieszkanie przy Commonwealth Avenue, aby dysponować niezbędną gotówką na rzeczy dla malucha. „Czy to właśnie nazywa się wyprawka?” - spytała.

Adam wreszcie znalazł wystarczający powód, by rzucić palenie. Zamiast zadreć się poczuciem winy, że chociaż jest lekarzem, truje się nikotyną, zaczął w rozsądnych odstępach czasu wrzucać równowartość paczki papierosów do tekturowego pudełka, oszczędzając na zakup angielskiej kołyski, jaką zachwycali się z Gaby w Public Garden. Finansowy aspekt porodu był więc z grubsza załatwiony. Gaby znajdowała się pod stałą osobistą opieką doktora Irvinga Gersteina, ordynatora szpitalnej przychodni położniczo-ginekologicznej, nie tylko najlepszego położnika znanego Adamowi, ale także człowieka potrafiącego świetnie przygotować młodych ojców do nowej, trudnej roli. Któregoś dnia siedział z Adamem w szpitalnym bufecie i pałaszował arbuza, kiedy Adam wyraził swoje obawy co do wąskiej miednicy Gaby. Gerstein chwycił czarne nasionko między dwa palce i mocno ścisnął, a ono wystrzeliło w powietrze.

- Właśnie z taką łatwością przyjdzie na świat wasze dziecko - powiedział.

Teraz, wróciwszy do domu, Adam był zadowolony z życia i głodny jak wilk. Zjadł grejpfruta, jajka na chrupiącym boczku i bułki z supermarketu, obdarzając licznymi komplementami kulinarne talenty Gaby. Ona wszakże była nienaturalnie spięta.

- Coś się stało? - spytał nalewając sobie drugą filiżankę herbaty.

- Nie chciałam ci psuć humoru przy śniadaniu. Poroniła, pomyślał z przerażeniem.

- Chodzi o twojego ojca, Adamie.

Chciała mu towarzyszyć, lecz on nalegał, żeby została w domu. Wyjął z pudełka większą część pieniędzy przeznaczonych na angielską kołyskę, oddał je liniom lotniczym

Allegheny i poleciał do Pittsburgha. Smog, który dawniej spowijał całe miasto, znikł dzięki postępowi technologicznemu i obecnie powietrze wyglądało na zanieczyszczone nie bardziej niż w Massachusetts. Wszystko w tym mieście wydawało mu się dziwnie znajome. Ruch był równie gęsty jak w Bostonie, taksówkarz zawiózł go pod szpital bliźniaczo podobny do Suffolk County General, na trzecim piętrze znalazł ojca leżącego w łóżku kupionym za pieniądze podatników, wyglądającego jak inni alkoholicy, których doktor Silverstone widywał codziennie na oddziale.

Z powodu delirium tremens otrzymał końską dawkę środka uspokajającego i nie było szans, żeby szybko się obudził. Adam usiadł na krześle przysuniętym blisko łóżka i wpatrywał się w wychudzoną twarz, której bladość podkreślało żółtaczkowe zabarwienie. Uświadomił sobie ze zgrozą, że te rysy są niemal identyczne jak jego własne.

Tyle ludzkiej substancji się marnuje, pomyślał Adam. Jeden człowiek może tak wiele osiągnąć albo wszystko zmarnować. A mimo to czasami ludzkie wraki żyją długo, choć wcale na to nie zasługują, a inni...

Pomyślał o Gaby marząc, by mieć taką moc, która byłaby w stanie przenosić chorobę z jednego ciała do innego...

Zawstydzony, zamknął oczy i zasluchał się w odgłosy oddziału. Tutaj jęk, tam pogardliwy deliryczny chichot, jakieś ciężkie westchnienie, nierówny oddech. Akurat przechodziła pielęgniarzka, spytał ją więc, czy będzie mógł zobaczyć się z lekarzem.

- Doktor Simpson przyjdzie na obchód - odparła, po czym wskazała podbródkiem w stronę postaci leżącej na łóżku. - Jest pan krewnym?

- Tak.

- Kiedy go przywieźli, krzychał coś o rzeczach, które zostawił w mieszkaniu. Wie pan może, o co chodziło?

O rzeczach? Co takiego mógł posiadać?

- Nie - odparł. - Czy zna pani jego adres?

Nie znała, ale po mniej więcej kwadransie zjawiała się z karteczką.

Przynajmniej miał jakieś zajęcie, zamiast czekać beczynn timer. Zszedł po schodach, wziął taksówkę i ani trochę się nie zdziwił, kiedy auto zatrzymało się przed trzypiętrową kamienicą z pokruszonej czerwonej cegły, obecnie zaadaptowanej na tani pensjonat.

Gospodyni rozmawiała z nim przez ledwo uchylone drzwi. Chociaż dawno minęło południe, wciąż miała na sobie stary brązowy szlafrok, a siwe rzadkie włosy zakręcone na metalowe wálki. Spytał o pokój pana Silbersteina.

- Nie mieszka tu nikt taki - oznajmiła kobieta.

- To mój ojciec. Nie zna go pani?

- Tego nie powiedziałam. Jeszcze kilka dni temu był tutaj dozorcą.

- Przyjechałem po jego rzeczy.

- Miał tylko kupę starych szmat i jakieś rupiecie. Spaliłam je. Rano zamieszkał tu nowy dozorca.

- Aha. - Odwrócił się i chciał odejść.

- Był mi winien osiem dolarów - rzekła i patrzyła mu na ręce, kiedy wyjmował portfel i odliczał banknoty, po czym wyszarpnęła mu je z dłoni. - To był stary pijak - rzuciła niczym pokwitowanie, zatrzasnąwszy drzwi.

Kiedy wrócił do szpitala, ojciec był już przytomny.

- Cześć - powiedział.

- Adam?

- Tak. Jak się czujesz?

Przekrwione niebieskie oczy usiłowały skupić się na jego twarzy, na ustach pojawił się uśmiech.

- A jak powinienem?

- Jak najlepiej.

- Na długo przyjechałeś?

- Nie. Wkrótce znowu cię odwiedzę, ale teraz muszę wracać. Dzisiaj mam ostatni dyżur w szpitalu.

- Jesteś już wielkim lekarzem? Adam uśmiechnął się ponuro.

- Jeszcze nie.

- Będziesz zarabiał górę pieniędzy?

- Wątpię, tato.

- Nie szkodzi - stwierdził Myron Silberstein. - Mam wszystko, czego potrzebuję.

Adam pojął z niesmakiem, że ojciec najwyraźniej podejrzewa go o to, iż stara się minimalizować swoje perspektywy finansowe na wypadek ewentualnych roszczeń.

- Próbowałem odebrać twoje rzeczy - rzekł nie mając pewności, co zostało utracone i ile może mu powiedzieć.

- Nie dostałeś ich? - spytał ojciec.

- Co miałeś?

- Trochę starych rupieci.

- Spaliła je. Ta gospodyni. Myron pokiwał głową.

- Co to były za rupiecie?

- Skrzypce. Siddur.

- Co? - Siddur. Hebrajski modlitewnik.

- Modlisz się? - Jakoś nie mieściło mu się to w głowie.

- Znalazłem go w antykwariacie - wzruszył ramionami Myron. - A ty chodzisz do kościoła?

- Nie.

- Oszukałem cię.

Adam zdawał sobie sprawę, że to nie przeprosiny, a jedynie obojętne stwierdzenie faktu. Wiedział, że rozmawia z człowiekiem, który niczego już nie osiągnie ukrywając prawdę. Tak, oszukałeś mnie, pomyślał. Wiele razy. Chciał powiedzieć, że odkupi mu utracone rzeczy, lecz spostrzegł, że rozpoczyna się kolejny atak delirium. Ojciec zadrżał, jakby targnął nim podmuch wiatru, wątłe ciało wygięło się w łuk, a potem zaczęło się trząść, szarpane przez okrutny ból, usta otworzyły się w niemym krzyku.

- Siostro! - zawołał dziękując Bogu, że Gaby nie musi na to wszystko patrzeć. Pomógł podać zastrzyk podskórny, tym razem środek uspokajający był znacznie słabszy, i ojciec ponownie zapadł w sen.

Adam wpatrywał się w człowieka leżącego na łóżku, starego mężczyznę, który awanturował się o skrzypce i zniszczony modlitewnik. W końcu spostrzegł, że ręce ojca nie zostały dokładnie umyte. Smar albo coś podobnego wbił się w nie już dawno temu i lekarz z izby przyjęć nawet nie starał się go usunąć.

Adam znalazł miednicę, napełnił ją ciepłą wodą, wziął phisohex i gazę, po czym delikatnie szorował obie dłonie tak długo, aż stały się czyste.

Wycierając prawą przyjrzał się z ciekawością zadrapaniom i połamanym paznokciom, sińcom i odciskom, palcom, w przeszłości długim i smukłym, teraz grubym i sękatym. Przyszło mu do głowy, że czego by nie powiedzieć o ojcu, prawdą jest, że ta ręka nigdy go nie uderzyła. Wbrew jego woli napłynęły wspomnienia, raz jeszcze poczuł, jak te palce głaszczą go po głowie, jak zaciskają się na jego karku z miłością i cierpieniem.

Tatę, pomyślał.

Upewnił się, czy ojciec śpi, i dopiero wtedy odważył się dotknąć ustami wilgotnej dłoni.

Po powrocie do domu zastał żonę na czworakach malującą łóżeczko, którego nigdy wcześniej nie widział. Wstała z niejakim trudem i pocałowała go.

- Jak się czuje? - spytała.

- Nie najlepiej. Skąd wzięłaś to łóżeczko?

- Rano zadzwoniła pani Kender i poprosiła, żebym jej pomogła w sklepie z używanymi rzeczami. Kiedy tam przyszłam, natychmiast mi je pokazała. Materacyk był stary i zniszczony, więc go wyrzuciłam, ale reszta jest w świetnym stanie.

Usiedli.

- Bardzo z nim źle? - spytała Gaby. Opowiedział jej dokładnie, co przeczytał w karcie choroby, którą pokazał mu lekarz. Funkcjonująca resztkami sił marska wątroba, anemia, podejrzenie uszkodzenia śledziony, delirium tremens połączone z niedożywieniem i bezsennością.

- Co można zrobić dla człowieka w takim stanie?

- Nie mogą go wypisać, bo każde następne pijaństwo mogłoby go zabić. - Pokręcił głową. - Jego jedyna szansa to intensywna psychoterapia. W państwowych szpitalach pracują dobrzy specjaliści, ale mają tam straszny tłok. Wątpliwe, żeby udało się załatwić mu leczenie.

- Nie powinniśmy byli decydować się na dziecko.

- To nie ma nic do rzeczy.

- Gdybyśmy nie wzięli ślubu...

- To bez znaczenia. Dopiero za półtora roku mógłby zostać zakwalifikowany do programu Medicare, a prywatny szpital kosztowałby przynajmniej czterdzieści dolarów dziennie. Jako wykładowca nie mam żadnych szans zarabiać takiej sumy. - Oparł się i spojrzał jej w oczy. - Łóżeczko wygląda naprawdę ładnie - rzekł zmęczonym głosem.

- To dopiero pierwsza warstwa. Zajmiesz się drugą?

- Dobrze.

- A potem nakleimy jakieś ładne kolorowe kalkomanie. Wstał, wyjął z szuflady koszulę, czystą bieliznę i poszedł do łazienki, żeby wziąć prysznic i przebrać się. Słyszał, jak Gaby wykręca numer telefonu, później rozległ się jej głos, na zmianę spokojny i podniesiony. W szumie płynącej wody nie rozumiał słów.

Kiedy wrócił do pokoju wiążąc krawat, Gaby siedziała i czekała.

- Jest tutaj jakiś dobry szpital, do którego można by go przenieść?

- Gaby, nie stać nas na to, więc nie ma o czym dyskutować.

- Owszem, jest - odparła. - Właśnie sprzedałam Truro.

Dał sobie spokój z krawatem.

- Zadzwon i natychmiast to odwołaj.

- Rozmawiałam z pośrednikiem z Provincetown - oznajmiła spokojnie. - Zgodził się zapłacić całkiem przyzwoitą cenę. Dwadzieścia cztery tysiące. Twierdzi, że zarobi na tym najwyżej trzy tysiące, i chyba można mu wierzyć.

- Powiedz mu, że po rozmowie z mężem zdecydowałaś się zrezygnować ze sprzedaży.

- Nie - odrzekła zdecydowanie.

- Przecież wiem, ile dla ciebie znaczy to miejsce. I że chcesz, aby twoje dzieci mogły je poznać.

- Znajdą sobie własne miłosne gniazdka.

- Gaby, w żadnym wypadku nie mogę się na to zgodzić. Teraz już wszystko rozumiała.

- Nie chodzi mi o to, żeby cię zatrzymać, Adamie. Jestem twoją żoną. Nauczyłeś się dawać, ale jeszcze trudniej jest ci nauczyć się ode mnie brać, czy tak?

Wzięła go za rękę i przyciągnęła do siebie. Wtulił twarz między jej piersi. Stary dżersej pachniał terpentyną, potem i ciałem, które tak dobrze znał. Spojrzawszy w dół, zobaczył na jej bosej stopie nierówne kółko z białej farby, które starł delikatnie palcem. Mój Boże, kocham ją, pomyślał z zachwytem. Odkąd zaszła w ciążę, zrezygnowała z kwarcówki i teraz wraz z nadchodzącym latem jej skóra bielała.

Dotknął ciepłego okrągłego brzucha.

- Czy te dżinsy nie są przypadkiem za ciasne?

- Jeszcze nie, ale niedługo już się w nie nie zmieszczę - odparła, wyraźnie z siebie zadowolona.

Proszę, pomyślał. Niech będzie mi dane dawać jej i brać od niej przez wiele, wiele lat.

- Wiem, że to nie będzie to samo, ale obiecuję, że kiedyś kupię ci domek w tamtych okolicach.

- Niczego nie obiecuj - odparła, głaszcząc go po głowie i po raz pierwszy w życiu czując się jak matka. - Mój ty chłopaczku. Dorastanie piekielnie boli, prawda?

Dotarł do szpitala lekko spóźniony, ponieważ jednak wieczór był spokojny, pierwszą godzinę i tak spędził w swoim gabinecie. Czekał na ten dyżur już od wielu tygodni i prawie wszystkie dokumenty miał już uporządkowane. Teraz uzupełnił ostatnie karty choroby i nagle zdał sobie sprawę, że w tych papierach znajduje się dwanaście miesięcy jego życia.

Za drzwiami czekały kartony po zupach Campbella, które trzy dni wcześniej wybłągał w supermarkecie przy Charles Street i które teraz miały mu posłużyć jako pojemniki na stojące na półkach książki oraz czasopisma. Nagle pomyślał z przerażeniem o czekającym go zadaniu opróżnienia biurka, w którym wypchane po brzegi szuflady stanowiły rezultat jego manii zbieracza. Każda decyzja, co zachować, a co wyrzucić, była niezwykle trudna, przyjął jednak twardą linię i kosz na śmieci szybko się zapełniał. Ostatnim przedmiotem w ostatniej szufladzie i był niewielki, gładko wypolerowany kamień. Adam dostał go od jednego z

pacjentów, kiedy postanowił rzucić palenie. Był to podobno kamyk stresu, który należało pocierać, kiedy nałóg zaczynał dawać znać o sobie. Adam był pewien, że to bzdura, ale kamyk podobał mu się ze względu na kolor, fakturę i to, że był świadectwem długowieczności pewnych rzeczy. Teraz zadziałał wręcz odwrotnie. Przypomnił mu o nałogu i sprawił, że nagle miał ogromną ochotę zapalić.

Doszedł do wniosku, że łyk świeżego powietrza dobrze mu zrobi.

Na dole, na parkingu karettek, Brady, wysoki chudy mężczyzna, który przyszedł na miejsce Meyersona, pieścił irchą karoserię ambulansu.

- Dobry wieczór, doktorze - powiedział.

- Czołem.

Zaczynało zmierzchać. Zamigotały latarnie i niemal natychmiast ogromne ómy rozpoczęły obłądny taniec wokół żarówek. Gdzieś z niedaleka dochodziły wojenne odgłosy eksplodujących petard, stukot przypominający strzały z broni maszynowej na dalekiej linii frontu, i Adama ogarnęły wyrzuty sumienia na myśl o Meomartino, który zapewne właśnie zmierzał w stronę miejsca o obco brzmiącej nazwie Ben Soi, Nha Hoa albo Da Nang.

- Do Czwartego Lipca zostały jeszcze cztery dni - odezwał się kierowca. - Słuchając tych cholernych idiotów, trudno w to uwierzyć. A przecież petardy są zakazane.

Adam pokiwał głową i pomyślał, że z powodu nadchodzącego święta przez resztę tygodni liczba wyjazdów z pewnością będzie bardzo wysoka, a w izbie przyjęć powstanie ogromny tłok.

- Hej! - zawołał Spurgeon Robinson wychodząc z budynku.

- Co nowego, Spur?

- Choćby to, że to moje ostatnie wyjazdy w tym przeklętym pudle - odrzekł Spurgeon.

- Fakt, przecież od rana będziesz pełnoprawnym rezydentem.

- No cóż. W tej sprawie mam ci coś do powiedzenia. W drodze do tej rezydentury przytrafiła mi się zabawna rzecz. Zrezygnowałem z chirurgii.

Adam aż podskoczył. Zainwestował w Spura spory kapitał zawodowego zaufania.

- A dokąd się przenieś?

- Na położnictwo. Wczoraj rozmawiałem z Gersteinem i tak się szczęśliwie złożyło, że znalazł dla mnie wolne miejsce. Mam też błogosławieństwo Kendera.

- Ale dlaczego? Jesteś pewien, że tego właśnie chcesz?

- Nie jestem w stanie bez tego żyć. Chcę się nauczyć rzeczy, których nigdy bym się nie nauczył, gdybym został chirurgiem.

- Czego na przykład? - spytał Adam, gotowy do gorącej dyskusji.

- Chociażby wszystkiego na temat antykoncepcji. I embrionu.

- Ale po co?

- Człowieku, przecież cały ten bajzel tam właśnie się zaczyna. Kiedy ciężarne kobiety są niedożywione, mózgi płodów nie rozwijają się wystarczająco dobrze, by później dzieci mogły się uczyć. I stąd właśnie bierze się tak znaczny wzrost liczby wołów roboczych. Doszedłem do wniosku, że skoro chcę iść w tym kierunku, najlepiej będzie zacząć od źródeł.

Adam pokiwał głową przyznając, że to rzeczywiście ma sens.

- Słuchaj, Dorothy znalazła dla nas nowe mieszkanie - zmienił temat Spurgeon.

- Ładne?

- Nieźle. Niedrogie, a na dodatek niedaleko kliniki w Roxbury. Na trzeciego sierpnia planujemy huczną parapetówkę. Zapisz to sobie w kalendarzu dużymi literami i czujcie się zaproszeni.

- Przyjdziemy na pewno, chyba że coś się zdarzy w tym cudownym miejscu. Sam wiesz...

- Jasne.

Zatrzeszczało radio w ambulansie.

- To do nas, doktorze Robinson - odezwał się Brady. Spurgeon wsiadł do karetki.

- Hej, wiesz, co mi właśnie przyszło do głowy? - Wychylił się przez okno. - Może będę asystował przy odbiorze twojego dziecka.

- Jeżeli tak, koniecznie gwizdź Bacha - odparł Adam. - Gaby uwielbia Bacha.

Spurgeon zrobił minę cierpiętника.

- Bacha się nie gwizdże.

- W takim razie pogadaj z Gersteinem, może pozwoli ci przynieść fortepian - odrzekł Adam, kiedy karetka ruszała. Jeszcze przez chwilę słyszał gromki śmiech Spura.

Uśmiechnął się do odjeżdżającego ambulansu, zbyt zmęczony i zadowolony, żeby się ruszyć. Czuł, że będzie mu brakowało Spura. Kiedy w dużym szpitalu, prowadzącym na dodatek działalność dydaktyczną, sprawy zaczynają się komplikować, lekarze pracujący na różnych oddziałach są od siebie tak daleko, jakby byli na innych kontynentach. Wiedział, że od czasu do czasu będą się spotykać, ale to już nie będzie to samo.

Okres przejściowy, przez który przebrnęli wspólnymi siłami, dobiegł końca.

A równocześnie nie wątpił, że jest to dla nich obu początek czegoś nowego, równie dobrego.

Pomyślał, że następnego dnia szpital czeka najazd nowych stażystów i rezydentów. Długi okres rządów Starego przeszedł do historii, lecz pałeczkę przejmował Kender, szef

równie dobry jak Longwood, równie twardy i wymagający, a podczas posiedzeń Komisji Zgonów nie ustępujący dociekliwością poprzednikowi. Rano spotkają się wszyscy pracownicy szpitala, tym razem wszakże Adam będzie jednym z nich. Aż do września będzie uczyć chirurgii młodych pracowników szpitala, później zajmie się studentami.

Stał na opustoszałym podwórku, pocierał kamień stresu i rozmyślał o czekających go pierwszych, jakże ważnych zajęciach i o wszystkich następnych, które miały poprowadzić go w przyszłość i połączyć z ludźmi takimi jak Lobsenz, Kender i Longwood. Z pewnym zakłopotaniem przypomniał sobie, że obiecał Gaby wiekopomne osiągnięcia medycyny, rozwiązania problemów takich jak anemia aplastyczna, głód czy też zwykłe przeziębienie. A jednak wiedział, że poprzez bezimiennych i nie mających twarzy młodych lekarzy, w których życiu się pojawi, zdarzy mu się być może bliski kontakt z jakimś wielkim przełomem w medycynie. Nie okłamałem jej, pomyślał odwracając się na pięcie i wchodząc z powrotem do budynku.

W uprzątniętym gabinecie usiadł na krześle, ukrył głowę w ramionach i przez kilka słodkich minut drzemał.

Wkrótce jednak się zerwał. Nielegalne petardy znowu hałasowały, tym razem znacznie dłużej, po ostatnim wybuchu usłyszał przez otwarte okno syrenę pędzącej karetki. Lecz to nie petardy go obudziły.

To odezwał się pager w jego klapie. Okazało się, że jednej z pacjentek Miriam Parkhurst bardzo doskwiera ból i że domaga się ona dodatkowej dawki opiatów.

- Zadzwoń do doktora Moylana, niech ją zbada - polecił, dziwnie wzdragając się przed opuszczeniem gabinetu. W końcu taką sprawą mógł się zająć stażysta. Odłożył słuchawkę na widelki i rozparł się wygodnie na krześle. Jego książki leżały w kartonach po zapach Campbella. Szafki z kartami choroby były pozamykane, porysowane metalowe półki całkiem puste. Gabinet wyglądał identycznie jak w dniu, w którym się doń wprowadził, łącznie ze starą brązową plamą po kawie na ścianie.

Pager odezwał się raz jeszcze. Adam musiał zejść na izbę przyjęć, by udzielić porady chirurgicznej. - Zaraz tam będę - powiedział. Jeszcze raz rozejrzył się dookoła.

Na podłodze leżała kula papieru. Wrzucił ją do pełnego kosza na śmieci, po czym otworzył środkową szufladę biurka i włożył do niej kamień stresu, prezent dla Harry'ego Lee, który nazajutrz miał zająć jego miejsce.

Kiedy wstał i z trudem się przeciągnął, teraz już całkiem rozbudzony, pager zabrzączał po raz kolejny. Przyszło mu do głowy, że ten odgłos zawsze będzie kojarzył z tym pokojem. Głośniejszy niż syreny, głośniejszy niż petardy, dość głośny nawet, by zagłuszyć -

dobry Boże - ciche, drwiące dzwonki czapki Arlekina.

Jego palce ułożyły się mimowolnie w znajomy znak rogów. Adam uśmiechnął się i zamknął za sobą drzwi. Scutta mai occhio, pu-pu-pu, pomyślał, odpędzając wroga sposobem babki i czekając przy szybie windy na powolnego zgrzytającego potwora, który miał go zwieźć do izby przyjęć.

Koniec